MÓJ PIĘKNY SYN

David Sheff

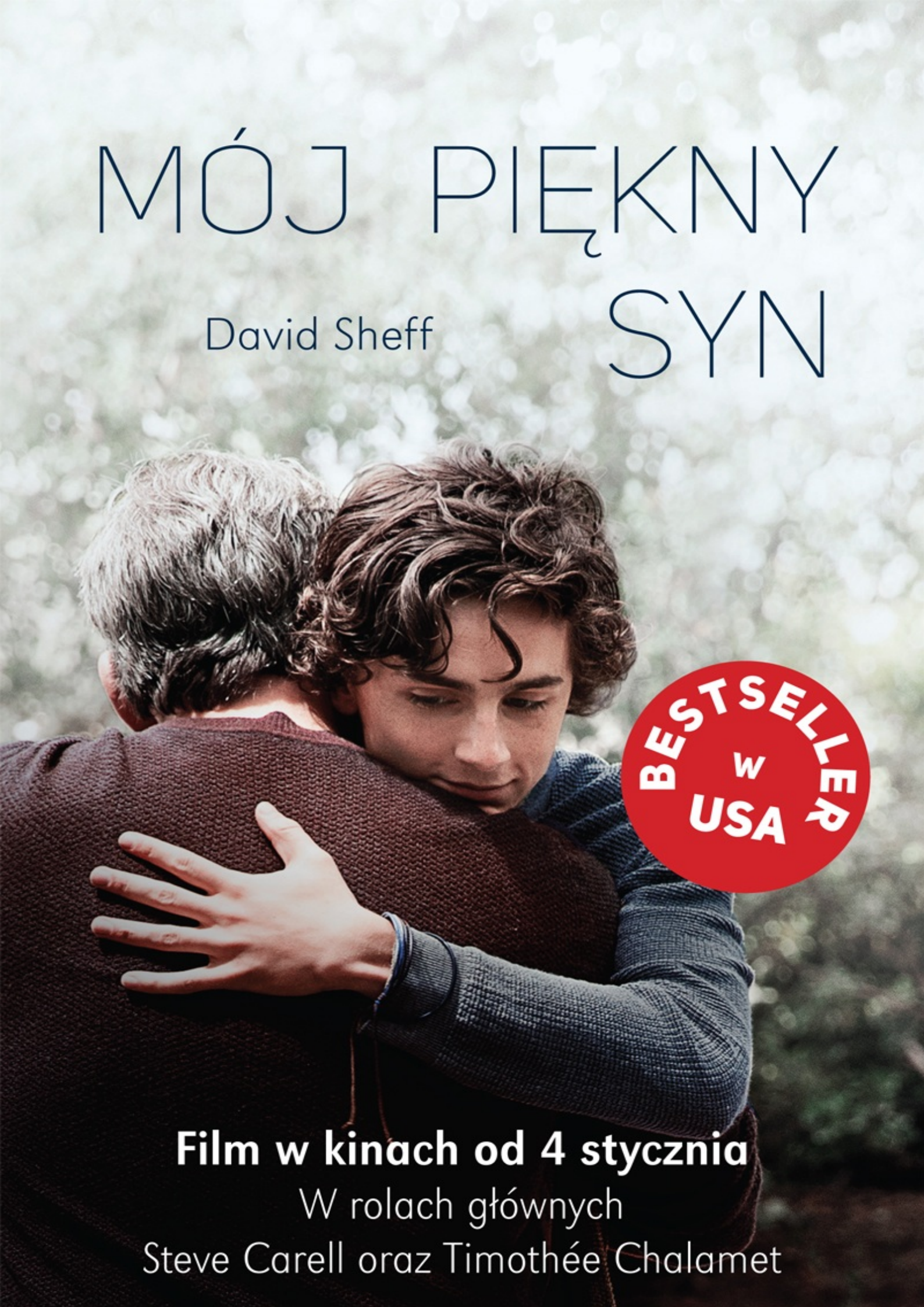

BESTSELLER W USA

Film w kinach od 4 stycznia

W rolach głównych

Steve Carell oraz Timothée Chalamet

MÓJ PIĘKNY SYN

David Sheff

Przełożył Jarosław Mikos

Poradnia K

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wprowadzenie

CZĘŚĆ I – DO PÓŹNA NA NOGACH

- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8

CZĘŚĆ II – JEGO ULUBIONY NARKOTYK

- Rozdział 9
- Rozdział 10

CZĘŚĆ III – JAK CHCESZ

- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14

CZĘŚĆ IV – GDYBY TYLKO

- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19

CZĘŚĆ V – NIGDY NIE WIADOMO

- Rozdział 20
- Rozdział 21
- Rozdział 22
- Rozdział 23
- Rozdział 24

Rozdział 25
Epilog
Posłowie
Podziękowania
Źródła
Przypisy

Tytuł oryginału: BEAUTIFUL BOY. A FATHER'S JOURNEY THROUGH HIS SON'S ADDICTION

Adaptacja projektu okładki na podstawie materiałów Gijs Kuijper Design: JOANNA RENIGER

Projekt typograficzny i łamanie: JOANNA RENIGER

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: ANNA GĄSIOROWSKA

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA

Beautiful Boy. A father's journey through his son's addiction
Copyright © 2008 by David Sheff
Afterword © 2018 by David Sheff
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Jarosław Mikos
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Wydanie II

ISBN 978-83-66005-18-1

Poradnia K Sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www: www.poradniak.pl
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Tę książkę dedykuję wszystkim kobietom i mężczyznom, którzy poświęcili życie próbie zrozumienia problemu uzależnień i walce z nimi w ośrodkach leczenia uzależnień, szpitalach, ośrodkach badawczych, domach trzeźwego życia i domach przejściowych oraz organizacjach zajmujących się edukacją na temat uzależnienia od narkotyków, a także anonimowym uczestnikom niezliczonych mityngów, realizującym program dwunastu kroków – tym dzielnym ludziom, którzy tam wracają, oraz ich rodzinom. Ludziom, którym bliska jest opowieść o mojej rodzinie, ponieważ mają podobne doświadczenia i nadal zmagają się z tym problemem. Rodzinom osób uzależnionych – ich dzieciom, braciom i siostrom, przyjaciołom, partnerom, mężom i żonom oraz rodzicom, takim jak ja. „Chodzi tylko o to, że tak naprawdę nie możesz im pomóc, i to jest takie przygnębiające", napisał Francis Scott Fitzgerald. Ale prawda jest taka, że pomagacie im i sobie nawzajem. Pomogliście mi. Tę książkę dedykuję także mojej żonie, Karen Barbour, oraz moim dzieciom, Nicowi, Jasperowi i Daisy.

Zanim przejdziesz przez ulicę,
weź mnie za rękę.

John Lennon *Beautiful Boy (Darling Boy)*

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zamówienie nr 15043109630 swiatksiazki.pl

Wprowadzenie

To tak strasznie boli, że nie mogę go wybawić, ochronić,
nie pozwolić, by chodził złymi drogami, uchronić go
przed bólem. Bo od czego są ojcowie, jeśli nie od tego?

Thomas Lynch, *The Way We Are*

Jak się masz, tato? Boże, tak bardzo za wami tęsknię. Nie mogę się doczekać, kiedy was wszystkich zobaczę. Jeszcze tylko jeden dzień. Hej, ho!

Nic mejluje z college'u, wieczorem w przeddzień swojego przyjazdu do domu na letnie wakacje. Jasper i Daisy, nasze maluchy, jedno ośmioletnie, drugie pięcioletnie, siedząc w kuchni przy stole, wycinają, naklejają i malują kolorowe hasła i napisy z okazji jego powrotu. Nie widziały starszego brata od sześciu miesięcy.

Rankiem, gdy nadchodzi pora wyjazdu na lotnisko, wychodzę z domu, żeby ich zgarnąć. Daisy, przemoczona i zabłocona, siedzi wysoko na gałęzi klonu. Jasper stoi na dole i woła:

– Albo mi to oddasz, albo zobaczysz!

– Nie, to moje – odpowiada Daisy. W jej oczach widać śmiałą gotowość do obrony zdobyczy, ale kiedy Jasper zaczyna wspinać się na drzewo, rzuca w dół laleczkę Gandalfa, o którą mu chodzi.

– Pora jechać po Nica – mówię, a wtedy błyskawicznie przebiegają koło mnie i pędząc w stronę domu, wołają: Nicky, Nicky, Nicky!

Jazda na lotnisko zajmuje nam półtorej godziny. Kiedy docieramy do terminalu, Jasper krzyczy:

– Nic, tam jest Nic! – Pokazuje. – Tam!

Nic, z zieloną brezentową torbą na ramieniu, stoi oparty o znak zakazujący parkowania na krawędzi chodnika przed salą odbioru bagaży linii United. Wygląda bardzo szczupło w spłowiałej czerwonej koszulce i rozpinanym swetrze swojej dziewczyny, workowatych dżinsach, które zjeżdżają mu

z chudych bioder, i w czerwonych trampkach Converse All-Stars. Gdy nas dostrzega, twarz mu się rozpromienia, energicznie macha do nas ręką.

Daisy i Jasper chcą koniecznie siedzieć koło niego, więc wrzuciwszy torby do bagażnika, Nic przeciska się nad Jasperem i siada pośrodku. Po kolei ujmuje w dłonie głowy rodzeństwa i całuje ich w policzki.

– Tak się cieszę, że was widzę – mówi. – Strasznie za wami tęskniłem, małe wariaty. Jak szalony. – W naszą stronę rzuca: – Za wami, mamo i tato, też.

W drodze z lotniska opisuje swój lot.

– Ale najgorsze było to – opowiada – że dostałem miejsce obok jakiejś paniusi, która ani na chwilę nie przestawała mówić. Miała platynowe włosy, ułożone w takie fale, jak na torcie cytrynowo-bezowym. Okulary w stylu Cruelli De Mon w rogowych oprawkach, śliwkowe usta i grubo nałożony różowy puder na twarzy.

– Cruella De Mon? – pyta Jasper z szeroko otwartymi oczami.

– Dokładnie jak ona – potakuje Nic. – Miała długie sztuczne rzęsy, fioletowe, i jeszcze polała się wodą Eau de Skunks. – Trzyma się za nos. – Tak! – Dzieciaki są w siódmym niebie.

Jedziemy przez most Golden Gate. Pod nami rzeka, spowita w gęstej mgle, opływa Marin Headlands.

– Nic, czy przyjdziesz na promocję? – pyta Jasper. Ma na myśli uroczystość z okazji zakończenia roku szkolnego. Jasper przejdzie do trzeciej klasy, a Daisy z przedszkola do pierwszej.

– Za Chiny bym czegoś takiego nie opuścił – przyrzeka.

– Nic, a czy pamiętasz taką dziewczynkę, Danielę? Spadła z drabinek na palcu zabaw i złamała duży palec u nogi – wtrąca się Daisy.

– Ojej.

– Ma teraz gips – dodaje Jasper.

– Gips na palcu u nogi? – pyta Nic. – To musi być malutki.

– Będą go cięli piłką do metalu – opowiada z powagą Jasper.

– Jej duży palec?

Cała trójka chichocze. Po chwili Nic mówi:

– Mam coś dla was, dzieciaki. W walizce.

– Prezenty!

– Kiedy przyjedziemy do domu – dodaje.

Błagają go, żeby im powiedział, co to jest, ale on kręci głową.

– Nie ma mowy, José, to niespodzianka.

Widzę całą trójkę w lusterku wstecznym. Jasper i Daisy mają gładką, oliwkową cerę. Nic też taką miał, ale teraz jest wychudzony i blady jak papier. Dzieciaki mają brązowe, lśniące oczy, jego są mroczne i podkrążone. Jasper i Daisy mają ciemnobrązowe włosy. Nic jako dziecko miał długie, blond, ale teraz są wyblakłe, niczym zboże pod koniec lata, z rozmazanymi smugami koloru sieny i sterczącymi żółtymi kępkami – w obu wypadkach efekt niefortunnej próby rozjaśniania cloroxem.

– Opowiesz nam o PJ? – błaga Jasper. Nic przez lata zabawiał dzieciaki historiami, których bohaterem był wymyślony przez niego PJ Fumblebumble, brytyjski detektyw.

– Później, szanowny panie, obiecuję.

Jedziemy autostradą na północ, a potem zjeżdżamy i skręcamy na zachód, drogą wijącą się przez kilka niedużych miasteczek, zalesiony park, a potem wzgórza wśród pastwisk. Zatrzymujemy się w Point Reyes Station odebrać pocztę. Nie sposób nie natknąć się tu na kogoś z przyjaciół i znajomych. Wszyscy cieszą się na widok Nica, bombardują go pytaniami o studia i plany na lato. Wreszcie udaje nam się wyrwać i jedziemy drogą wzdłuż Papermill Creek do skrętu w lewo, po czym wspinamy się na szczyt pagórka i skręcamy na nasz podjazd.

– My także mamy dla ciebie niespodziankę, Nicky – mówi Daisy.

– Ale nic mu nie mów! – Jasper patrzy na nią surowo.

– To plakaty. Sami je zrobiliśmy.

– Dai-ssy…

Taszcząc swoje torby, Nic idzie za dzieciakami do domu. Z powitalnym szczekaniem i wyciem wybiegają do niego psy. U szczytu schodów podziwia plakaty i rysunki, w tym także obrazek przedstawiający jeża, z podpisem „Tęsknię za Nikiem bu huu…” – narysowany przez Jaspera. Nic wychwala ich ta-

lenty plastyczne i znika w swoim pokoju, żeby się rozpakować. Od czasu wyjazdu do college'u jego sypialnia, pomalowana na kolor pompejańskiej czerwieni, leżąca na samym końcu domu, służy jako dodatkowy pokój do zabaw. Kryje liczne konstrukcje zbudowane przez Jaspera z klocków Lego, włączywszy w to zamek maharadży i ruchomą wersję R2-D2. Przygotowując pokój na przyjazd Nica, Karen zabrała stamtąd menażerię pluszowych zwierzaków Daisy i pościeliła łóżko, dodając kołdrę i świeże poduszki.

Kiedy Nic wreszcie się pojawia, ma w rękach mnóstwo prezentów. Dla Daisy – Josefinę i Kirsten, lalki z kolekcji American Girls, przekazane przez jego dziewczynę. Są ślicznie ubrane, jedna w wyszywaną ludową bluzkę z narzuconym na ramiona kolorowym meksykańskim szalem, druga w zielony aksamitny fartuszek. Jasper dostał dwa karabinki wodne Super Soakers, rozmiaru małego działka.

– Po obiedzie – Nic ostrzega Jaspera – będziesz tak mokry, że wrócisz do domu kraulem.

– A ty będziesz tak mokry, że będziesz potrzebował łódki.

– A ty będziesz tak mokry jak mokradło.

– Będziesz taki mokry, że przez rok nie będziesz potrzebował prysznica.

– Jak dla mnie idealnie – śmieje się Nic. – Zaoszczędzę mnóstwo czasu.

Jemy, a potem chłopcy napełniają wodą swoją broń i wybiegają z domu. Razem z Karen patrzymy na nich z salonu. Czając się na siebie, przemykają się wśród włoskich cyprysów i dębów, przykucają, kryjąc się za ogrodowymi meblami, i skradają się za żywopłotem. Kiedy któremuś z nich udaje się podejść przeciwnika, strzelają cienkim strumieniem wody. Daisy obserwuje ich uważnie, ukryta za hortensją rosnącą w doniczce. Kiedy przebiegają obok, odkręca jedną ręką kran i celuje w nich ogrodowym wężem, który trzyma w drugiej ręce. Nie zostawia na nich suchej nitki.

Zatrzymuję chłopców, kiedy właśnie mają ją złapać.

– Nie zasługujesz na ratunek – mówię – ale pora iść spać.

Jasper i Daisy biorą kąpiel, wkładają piżamy, a potem proszą Nica, żeby im poczytał.

Siedzi na miniaturowej kanapie między ich bliźniaczymi łóżkami, wyciągając długie nogi na podłodze. Czyta im *Wiedźmy* Roalda Dahla. Słyszymy

jego głos – a właściwie głosy – z sąsiedniego pokoju. Głos chłopca, narratora, pełen zdumienia i powagi, i skrzekliwy, złośliwy głos babci oraz wrzaskliwy, piszczący głos wiedźmy.

„Dzieci są wstrrrhętne! (…) Dzieci to brrrudhasy i brzydalce! Dzieci śmierrrhdzą jak psie siki! (…) Śmierrrhdzą nawet gorzej!!! Psie siki to przy dziecku bzy i rrrhóże!!!”[1]

Trudno się oprzeć aktorskim talentom Nica i dzieci jak zawsze są zachwycone.

O północy wreszcie wybucha burza, na którą zbierało się przez cały dzień. W szum ulewy od czasu od czasu wdzierają się fale gradu siekące miedziane blachy dachu, niczym kule z karabinu maszynowego. Rzadko zdarzają nam się burze z piorunami, ale tej nocy niebo co chwila rozjaśnia się, niczym rozbłyskujące żarówki.

W przerwach między kolejnymi odgłosami piorunów słyszę trzaskanie gałęzi drzew. Słyszę także Nica, który chodzi po korytarzu, robi sobie herbatę w kuchni, cicho brzdąka na gitarze i puszcza Björk, ścieżki dźwiękowe filmów z Bollywood i Toma Waitsa wyśpiewującego sensowną poradę: „Nigdy nie siadaj za kółkiem, kiedy jesteś martwy”. Martwię się jego bezsennością, ale odsuwam od siebie podejrzenia, przypominając sobie, jak daleko zaszedł od poprzedniego roku akademickiego, gdy porzucił naukę w Berkeley. Tym razem pojechał do college’u na wschodzie i zakończył z powodzeniem pierwszy rok. Zważywszy na to, co przeszliśmy do tej pory, to zakrawa na cud. O ile dobrze liczę, skończył właśnie swój sto pięćdziesiąty dzień bez metamfetaminy.

Rankiem jest po burzy, słońce połyskuje na wilgotnych liściach klonu. Ubieram się i wchodzę do kuchni, gdzie zastaję Karen i dzieciaki. Nic snuje się sennie. Ma na sobie flanelowe spodnie od piżamy, postrzępiony wełniany sweter i okulary typu x-ray. Przez chwilę kiwa się nad ladą kuchenną, manipuluje przy ekspresie do kawy, napełnia go wodą, sypie kawę i włącza, a potem siada przy stole obok Jaspera i Daisy z miską płatków.

– Daisy, twój atak z węża był świetny, ale jeszcze cię dorwę. Uważaj na siebie – ostrzega ją.

– Jakoś w to nie wierzę. – Daisy wyciąga szyję.

– Kocham cię, ty wariatko – mówi Nic.

Tuż po odjeździe Jaspera i Daisy do szkoły pojawia się kilka kobiet, żeby razem z Karen zrobić prezent pożegnalny dla ulubionej nauczycielki. Ozdabiają betonową rynienkę dla ptaków muszelkami, gładkimi kamykami i zrobionymi przez uczniów ceramicznymi płytkami. Prace umilają sobie rozmową, popijają herbatę.

Chowam się w swoim gabinecie.

W otwartej kuchni kobiety robią sobie przerwę na lunch. Jedna z matek przyniosła chińską sałatkę z kurczaka. Nic, który wrócił do łóżka, żeby jeszcze pospać, wyłania się z sypialni, odpędza senność i wita się z paniami. Uprzejmie odpowiada na ich pytania – jeszcze raz o college i plany na lato – a potem przeprasza wszystkich i żegna się, mówiąc, że ma rozmowę w sprawie pracy.

– Jaki przemiły chłopiec. – Słyszę, jak kobiety rozmawiają o nim. – Zachwycający.

Jedna z matek chwali jego dobre wychowanie.

– Macie wielkie szczęście – mówi do Karen. – Nasz nastoletni syn wydaje z siebie tylko jakieś chrząknięcia. Ale poza tym nie zwraca na nas uwagi.

Po kilku godzinach Nic wraca, w domu jest cicho – panie się rozeszły. Dostał pracę jako kelner we włoskiej restauracji. Jutro ma pójść na szkolenie. Chociaż jest przerażony wymaganym uniformem, obejmującym sztywne czarne buty i kamizelkę w kolorze burgunda, wierzy, że tak jak mu powiedziano, zarobi mnóstwo pieniędzy z napiwków.

Następnego popołudnia, po szkoleniu w restauracji, ćwiczy na nas. Wzoruje się na kelnerze z jednego ze swoich ulubionych filmów na wideo, z *Zakochanego kundla*. Siadamy do kolacji. Nic wchodzi, z jedną ręką wysoko w górze, balansując wyimaginowaną tacą, i z melodyjnym włoskim akcentem śpiewa: „Oto jest noc, to piękna noc, nazywamy ją *bella notte*".

Po kolacji pyta, czy może pożyczyć samochód, bo chce pojechać na spotkanie AA. Od ubiegłego lata nie dajemy mu prowadzić naszego samochodu, po tym jak wielokrotnie nie wracał na czas do domu i w inny sposób naruszał ustalone zasady. Udało mu się między innymi rozbić za jednym zamachem

oba nasze auta, kiedy wjechał jednym w drugie. Teraz prośba Nica brzmi rozsądnie, bo spotkania AA są podstawowym elementem jego procesu dochodzenia do zdrowia, więc się zgadzamy. Wyjeżdża naszym kombi, wciąż poobijanym po zeszłorocznej katastrofie, a potem grzecznie wraca do domu po spotkaniu. Mówi nam, że poprosił kogoś na mityngu o pełnienie funkcji sponsora na czas jego pobytu w miasteczku.

Nazajutrz znów prosi o samochód, tym razem zamierza spotkać się ze swoim sponsorem na lunchu. Oczywiście pozwalam mu jechać. Jego sumienność robi na mnie wrażenie, podobnie jak przestrzeganie ustaleń. Mówi nam, dokąd idzie i kiedy będzie w domu. Wraca zgodnie z tym, co obiecał. I tym razem nie ma go tylko kilka godzin.

Następnego dnia późnym popołudniem na kominku w salonie płonie ogień. Siedząc na dwóch bliźniaczych kanapach, Karen, Nic i ja czytamy, a Jasper i Daisy bawią się na wyblakłym dywanie ludzikami Lego. Daisy, rozglądając się za krasnoludkiem, opowiada Nicowi o pewnym chłopcu, „kartoflanej głowie", który popchnął jej przyjaciółkę Alanę. Na co Nic odpowiada, że przyjdzie do szkoły i zrobi chłopcu z głowy purée ziemniaczane.

Jestem zaskoczony, gdy chwilę później słyszę, jak Nic cicho pochrapuje, ale za piętnaście siódma budzi się nagle. Patrzy na zegarek, podskakuje z kanapy i ze słowami „Prawie przegapiłem spotkanie" jeszcze raz pyta, czy może pożyczyć samochód.

Cieszę się, że chociaż jest bardzo zmęczony i pewnie wolałby zostać w domu i się zdrzemnąć, to jednak jest na tyle zaangażowany we własne dochodzenie do zdrowia, że podrywa się, spryskuje wodą twarz nad umywalką, palcami odgarnia włosy z oczu, wkłada świeżą koszulkę i wybiega z domu, żeby zdążyć na czas.

Minęła już jedenasta, a Nica ciągle nie ma. Jeszcze przed chwilą byłem bardzo zmęczony, a teraz znów leżę na łóżku kompletnie przytomny, czując coraz większy niepokój. Są tysiące niewinnych wyjaśnień. Często po spotkaniach AA ludzie idą razem na kawę. A może rozmawia ze swoim nowym sponsorem. W mojej głowie walczą ze sobą dwa biegnące równocześnie i sprzeczne ze sobą monologi: jeden przekonuje mnie, że jestem głupcem i paranoikiem, drugi wyraża pewność, że stało się coś straszliwie niedobrego. Na tym etapie naszej historii już wiem, że zamartwianie się nie ma sensu, ale

mimo to zaczynam się niepokoić i czuję, jak strach gwałtownie ogarnia całe moje ciało. Nie chcę zakładać najgorszego, ale kilka razy, gdy Nic zignorował nieprzekraczalną godzinę powrotu do domu, zapowiadało to katastrofę.

Patrzę w ciemność i czuję, jak mój lęk narasta. Żałośnie znajomy stan. Czekałem tak na Nica latami. Po nocach, kiedy minęła umówiona godzina powrotu, wyczekiwałem na charkot silnika samochodu, kiedy toczył się po podjeździe i cichł. Wreszcie – Nic. Odgłos zatrzaskiwania drzwi samochodu, kroki, drzwi wejściowe otwierają się z cichym kliknięciem. Wbrew wysiłkom Nica, żeby wejść ukradkiem, Brutus, nasz czekoladowy labrador, zazwyczaj wydawał jakieś nieprzekonane szczeknięcie. Albo czekałem na dzwonek telefonu, nigdy nie wiedząc, czy to będzie on. (Hej, tato, jak leci?) czy też policja (Panie Sheff, mamy pańskiego syna). Ilekroć się spóźniał albo nie chciało mu się zadzwonić, spodziewałem się katastrofy. Nie żyje. Zawsze się tego bałem.

Ale wtedy właśnie Nic przyjeżdżał do domu, skradał się po schodach w holu, jego ręka przesuwała się po poręczy. Albo dzwonił telefon. „Przepraszam, tato, jestem w domu Richarda. Zasnąłem. Myślę, że raczej tu się prześpię, nie będę jechał do domu o tej porze. Zobaczymy się rano. Kocham cię". Byłem wściekły i jednocześnie czułem ulgę, bo przecież już zdążyłem go pochować.

Tego wieczoru, gdy nadal nie mam od niego żadnej wiadomości, zapadam wreszcie w jakiś nędzny półsen. Tuż po pierwszej budzi mnie Karen. Słyszy go, jak się skrada. Światło ogrodowe, wyposażone w czujnik ruchu, nagle się zapala, rzucając promień jasnego światła na ogród za domem. Ubrany w piżamę wsuwam buty i wychodzę tylnymi drzwiami, żeby go przyłapać.

Nocne powietrze jest chłodne. Słyszę trzaskające gałązki. Skręcam za róg domu i staję prawie oko w oko z ogromnym, zaskoczonym jeleniem, który szybkimi susami odbiega w głąb ogrodu i bez wysiłku przeskakuje ogrodzenie, które ma nas chronić właśnie przed jeleniami.

Kładę się do łóżka i leżymy oboje z Karen kompletnie rozbudzeni. Mija pierwsza trzydzieści. Potem druga. Jeszcze raz sprawdzam jego pokój. Jest wpół do trzeciej.

W końcu, odgłos samochodu.

Zastaję Nica w kuchni i pytam, co się stało, mamrocze jakieś usprawiedliwienia. Mówię mu, że nie dostanie już od nas samochodu.

– Jak chcesz.

– Jesteś na haju, tak? Powiedz mi.

– Jezu, nie.

– Nic, zawarliśmy umowę. Gdzie byłeś?

– Co, do cholery? – Patrzy na podłogę. – Parę osób po spotkaniu poszło do domu jakiejś dziewczyny pogadać, a potem obejrzeliśmy wideo.

– Nie było telefonu?

– Wiem – mówi z narastającym gniewem. – Powiedziałem, że mi przykro.

– Porozmawiamy o tym rano. – Ucinam rozmowę, a Nic ucieka do swojego pokoju, zatrzaskuje drzwi i zamyka je na zamek.

Przy śniadaniu przyglądam mu się z uwagą. Jego ciało mówi mi wszystko, wibrujące jak samochód na jałowym biegu. Jego dolna szczęka wykrzywia się, oczy miotają błyski jak opale. Układa plany z Jasperem i Daisy na popołudnie po szkole, obejmuje ich czule, ale w jego głosie słychać rozdrażnienie.

– Nic, musimy porozmawiać – mówię, kiedy w domu nie ma już Karen i dzieci.

– O czym? – Patrzy na mnie nieufnie.

– Wiem, że znowu bierzesz. Widzę to.

– O czym ty mówisz? Nie biorę. – Rzuca mi wściekłe spojrzenie. Wbija wzrok w podłogę.

– Więc nie masz nic przeciwko testowi na narkotyki?

– Proszę bardzo. Świetnie.

– Okej. Chcę, żebyśmy zrobili to teraz.

– Dobra!

– Ubierz się.

– Wiem, że powinienem był zadzwonić. Nie biorę. – Prawie warczy.

– Chodźmy.

Idzie szybko do sypialni. Zamyka drzwi. Wychodzi w koszulce Sonic Youth i w czarnych dżinsach. Jedną rękę włożył do kieszeni, ma spuszczoną głowę,

na ramieniu zwisa plecak. W drugiej ręce trzyma za gryf swoją elektryczną gitarę.

– Masz rację – przyznaje. Mija mnie pospiesznie. – Brałem, odkąd wróciłem do domu. Brałem cały semestr. – Wychodzi z domu, trzaskając drzwiami.

Wybiegam i wołam za nim, ale już go nie ma. Osłupiały, po kilku chwilach wchodzę do domu i idę do jego sypialni, siadam na niepościelonym łóżku. Wyciągam spod biurka zgnieciony kawałek papieru.

Nic napisał:

Jestem taki chudy i kruchy

Nie przejmuj się, potrzebuję innej poręczy

Późnym popołudniem do domu wpadają Jasper i Daisy. Przelatują wszystkie pokoje, aż wreszcie stają i patrząc na mnie, pytają:

– Gdzie jest Nic?

Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby uchronić mojego syna przed uzależnieniem od metamfetaminy. Nie byłoby mi pewnie łatwiej, gdyby się okazało, że jest uzależniony od kokainy czy heroiny, ale – o czym wcześniej czy później dowiaduje się każdy rodzic dziecka uzależnionego od mety – ten narkotyk ma pewną szczególną, przerażającą właściwość. W jednym z wywiadów Stephan Jenkins, solista zespołu Third Eye Blind, powiedział, że pod wpływem metamfetaminy czujesz się „jasny i świetlisty". Ale także zachowujesz się paranoicznie, destrukcyjnie i autodestrukcyjnie, masz omamy. A potem bez skrupułów zrobisz wszystko, żeby jeszcze raz poczuć się „jasno i świetliście". Nic był wrażliwym, rozsądnym, wyjątkowo inteligentnym i radosnym dzieckiem, ale odkąd zaczął brać metamfetaminę, stał się zupełnie kimś innym.

Nic zawsze podążał za najświeższą modą w świecie popkultury –byli to, zależnie od momentu jego życia, Care Bears, My Little Pony, Transformers, czy żółwie ninja, „Star Wars", Nintendo, Guns N'Roses, grunge, Beck i wiele innych. Jeśli chodzi o metamfetaminę, także przecierał szlaki i uzależnił się

od niej na wiele lat wcześniej, zanim politycy ogłosili, że to najgorszy narkotyk, jaki do tej pory zaatakował nasze społeczeństwo. W Stanach Zjednoczonych co najmniej dwanaście milionów ludzi próbowało metamfetaminy i jak się ocenia, jest co najmniej półtora miliona uzależnionych. Na całym świecie metę zażywa co najmniej trzydzieści pięć milionów osób, to najczęściej nadużywany twardy narkotyk, częściej niż kokaina i heroina razem wzięte. Nic twierdzi, że szukał metamfetaminy całe swoje życie. „Kiedy spróbowałem jej po raz pierwszy, wiedziałem, że to jest to", powiedział.

Historia naszej rodziny jest oczywiście wyjątkowa, ale także uniwersalna w tym sensie, że w każdej opowieści o uzależnieniu można usłyszeć podobieństwa do wszystkich pozostałych. Przekonałem się, jak wszyscy jesteśmy do siebie podobni, kiedy po raz pierwszy poszedłem na spotkanie Al-Anonu. Bardzo długo broniłem się przed takim doświadczeniem, ale te zgromadzenia, choć często na nich płakałem, wzmacniały mnie i łagodziły poczucie osamotnienia. Czułem się trochę mniej udręczony swoimi kłopotami. W dodatku historie innych ludzi przygotowywały mnie na wyzwania, które w innym przypadku niemile by mnie zaskoczyły. Nie przynosiły rozwiązania, ale byłem wdzięczny nawet za najskromniejszą ulgę i za wszelkie wskazówki.

Wychodziłem ze skóry, żeby pomóc Nicowi, zatrzymać jego staczanie się, ocalić mojego syna. Ale te wysiłki, podobnie jak ciągły niepokój i poczucie winy, spalały mnie. Ponieważ jestem pisarzem, zapewne nie ma nic dziwnego w tym, że zacząłem pisać, żeby znaleźć jakiś sens w tym, co się przytrafia mnie i Nicowi, a także żeby znaleźć rozwiązanie, jakieś lekarstwo, które dotąd wymykało się mojej uwadze. Obsesyjnie poszukiwałem informacji o tym narkotyku, mechanizmach uzależnienia i metodach terapii. Nie jestem pierwszym pisarzem, dla którego ten rodzaj pracy stawał się orężem w walce z przerażającym przeciwnikiem albo sposobem oczyszczenia się czy poszukiwania twardego gruntu, czegokolwiek, który dawałby oparcie wśród dręczącego nieszczęścia. To był bolesny proces, za pomocą którego mózg stara się uporządkować przytłaczające go doświadczenia i uczucia oraz wprowadzić w nie jakiś ład. W sumie moje wysiłki nie mogły uratować Nica. Podobnie jak pisanie nie mogło mnie uzdrowić, ale pomagało.

Pomocne okazały się także teksty innych autorów. Za każdym razem, kiedy wyciągałem z półki książkę Tomasa Lyncha *Bodies in Motion and at Rest: On Methaphor and Morality,* sama z siebie otwierała się na stronie dziewięćdziesiątej piątej, na eseju *The Way We Are* (Tacy jesteśmy). Czytałem ją dziesiątki

razy i za każdym chciało mi się płakać. Mając w pamięci wszystkie aresztowania, pobyty w izbie wytrzeźwień, na leczeniu w szpitalach i patrząc ze smutną, pozbawioną złudzeń rezygnacją na swojego ukochanego, uzależnionego syna, który leżał nieprzytomny na kanapie, Lynch, poeta, eseista i przedsiębiorca pogrzebowy, pisał: „Chcę go pamiętać takim, jakim był, tego błyskotliwego, promiennego chłopca z niebieskimi oczami i piegami, trzymającego amerykańskiego sandacza na pomoście u swojego dziadka czy w swoim pierwszym garniturze na zakończeniu roku szkolnego siostry albo ssącego kciuk, kiedy rysuje na blacie kuchennym, kiedy gra na swojej pierwszej gitarze, albo pozuje z kumplami z okolicy podczas pierwszego dnia w szkole".

Dlaczego czytanie historii innych ludzi pomaga? Nie tylko dlatego, że nieszczęście lubi mieć towarzystwo, ponieważ (jak się przekonałem) nieszczęście jest zbyt skupione na sobie, by szukać towarzystwa. Doświadczenia innych pomagały mi znosić zamęt własnych uczuć; czytając, czułem się nieco mniej szalony. I podobnie jak historie, które słyszałem na spotkaniach Al-Anonu, opowieści spisane przez innych służyły mi jako przewodniki po nieznanych wodach. Thomas Lynch pokazał mi, że można kochać dziecko stracone prawdopodobnie na zawsze.

Kulminacją mojego pisania stał się artykuł o doświadczeniach naszej rodziny, który wysłałem do „New York Times Magazine". Byłem przerażony, zapraszając innych do naszego koszmaru, ale czułem, że muszę tak zrobić. Czułem, że opowiedzenie naszej historii będzie miało sens, jeśli uda mi się w ten sposób pomóc innym, tak jak Lynch i inni pisarze pomogli mnie. Rozmawiałem o tym z Nikiem i resztą naszej rodziny. Choć mnie zachęcali, denerwowałem się jednak tym, że wystawiam nas na osąd i opinie innych. Reakcje na artykuł dodały mi jednak otuchy i według tego, co potem powiedział Nic, ośmieliły i jego. Pewien wydawca zwrócił się do niego z pytaniem, czy byłby zainteresowany spisaniem własnych doświadczeń, czegoś, co mogłoby zainspirować innych młodych ludzi zmagających się z uzależnieniem. Nic bardzo chciał opowiedzieć swoją historię. Co jednak bardziej znaczące, mówił, że kiedy podczas spotkań AA przyjaciele – a nawet nieznajomi – skojarzyli go z postacią chłopca z artykułu, ściskali go serdecznie i powtarzali, że są z niego bardzo dumni. Opowiadał, że odbierał to jako uznanie dla swojej ciężkiej pracy na drodze do wyzdrowienia.

Docierały do mnie także reakcje uzależnionych i ich rodzin – ich braci

i sióstr, dzieci i krewnych, a nade wszystko ich rodziców – setek osób. Tylko kilka głosów było krytycznych. Ktoś zarzucił mi, że wykorzystuję syna do własnych celów. Inny, oburzony moim opisem okresu, gdy Nic nosił ubrania włożone tył na przód, zaatakował: „Pozwolił mu pan nosić ubrania tył na przód? Nic dziwnego, że się uzależnił". Ale większość listów przynosiła słowa współczucia, pocieszenia, porady i wspólnego smutku. Wiele osób miało chyba poczucie, że ktoś wreszcie rozumie, przez co przechodzą. W tym sensie nieszczęście rzeczywiście lubi towarzystwo. Ludzie czują ulgę, dowiadując się, że nie są sami w swoim cierpieniu, że są częścią plagi społecznej – epidemii nękającej nasze dzieci, epidemii, której ofiarą padają rodziny. Z jakiegoś powodu opowieść nieznajomego stawała się dla nich sygnałem, że mogą opowiedzieć własną. Mieli poczucie, że ich zrozumiem.

„Siedzę tu i płaczę, ręce mi się trzęsą", napisał jakiś mężczyzna. „Dostałem pana artykuł wczoraj, kiedy byłem na cotygodniowym śniadaniu ojców, którzy stracili swoje dzieci. Człowiek, który mi przyniósł pana tekst, z powodu narkotyków trzy lata temu stracił szesnastoletniego syna". „Pana historia jest naszą historią", napisał inny ojciec. „Różne narkotyki, różne miasta, inne leczenie, ale ta sama opowieść". I kolejny: „Na początku byłem zdumiony, że ktoś napisał opowieść o moim dziecku bez mojego pozwolenia. Jednak gdzieś w połowie tego emocjonalnego tekstu o znajomych zdarzeniach i oczywistych konkluzjach uświadomiłem sobie, że daty najważniejszych wydarzeń się nie zgadzają, i w ten sposób doszedłem do wniosku, że inni rodzice przeżywają takie same niewyobrażalne tragedie i doświadczają takiej samej straty jak ja…".

„Doświadczenie zdobyte po upływie ćwierćwiecza zmusza mnie do poprawienia ostatniego akapitu: mój syn po ucieczce z ostatniego ośrodka leczenia uzależnień przedawkował i omal nie umarł. Wysłany na specjalny program w innym mieście zachował trzeźwość przez ponad dwa lata, po czym znów zaczął znikać, najpierw na kilka miesięcy, później na kilka lat. Chociaż był jednym z najzdolniejszych uczniów jednej z najwyżej notowanych szkół średnich w kraju, skończenie przeciętnego college'u zajęło mu dwadzieścia lat. A mnie samemu zajęło mniej więcej tyle samo czasu rozstanie się z daremną nadzieją i pogodzenie z faktem, że mój syn albo nie potrafi, albo nie chce pożegnać się z narkotykami. Ma teraz czterdzieści lat, jest na zasiłku i mieszka w domu dla dorosłych uzależnionych".

Poznałem wiele podobnych historii, często z tragiczną konkluzją. „Ale ko-

niec mojej historii jest inny. Mój syn zmarł w zeszłym roku z powodu przedawkowania. Miał siedemnaście lat". Inny list: „Moja piękna córka nie żyje. Miała piętnaście lat, kiedy przedawkowała". Inny: „Moja córka zmarła". Jeszcze inny: „Mój syn nie żyje". Listy i mejle stale do mnie przychodzą wraz z dręczącym przypomnieniem o żniwie, jakie zbiera uzależnienie. Z każdym takim listem na nowo czuję dojmujący ból.

Pisałem dalej i w trakcie tego mozolnego procesu udało mi się do pewnego stopnia ujrzeć nasze doświadczenie w taki sposób, że nabrało sensu. Oczywiście tyle, ile można znaleźć w uzależnieniu. Owocem moich wysiłków jest ta książka. Kiedy przekształcałem swoje pospiesznie zapisane, oderwane słowa w zdania, zdania w akapity, akapity w rozdziały, pojawiał się pewien pozór ładu tam, gdzie wcześniej były jedynie chaos i szaleństwo. Podobnie jak w przypadku artykułu z „Timesa", czuję lęk na myśl o opublikowaniu naszej historii. Zdecydowałem się to zrobić zachęcony przez najważniejszych bohaterów tej opowieści. Mam nadzieję, że książka napisana przez Nica wzbogaci wspomnienia osób uzależnionych o kolejne znaczące doświadczenie. Niemniej pomijając rzadkie wyjątki, jak esej Lyncha, o uzależnionych nie opowiadali dotąd ci, którzy ich kochają. Każdy, kto ma za sobą takie doświadczenie albo właśnie je przeżywa, wie, że troska o osobę uzależnioną od narkotyków jest czymś równie złożonym, pełnym napięcia i wyniszczającym, jak samo uzależnienie. W swoich najgorszych chwilach nawet zazdrościłem Nicowi, ponieważ uzależniony, kiedy jest na haju, może przynajmniej na chwilę zapomnieć o swoim cierpieniu. Jednak rodzice, mężowie, żony albo inne osoby, które ich kochają, nie mogą liczyć na podobne wytchnienie.

Nic zażywał narkotyki, z przerwami, przez ponad dziesięć lat i w tym czasie myślałem, czułem i zrobiłem prawie wszystko, co może pomyśleć, poczuć i zrobić rodzic uzależnionego. Wiem, że nie ma jednej prostej, słusznej odpowiedzi i nie ma nawet czegoś takiego, jak mapa drogowa dla rodzin osób uzależnionych. Jednak, jak sądzę, w naszej historii można znaleźć pewne pocieszenie, wskazówkę, a jeśli nie, to przynajmniej poczucie wspólnoty losu. Mam też nadzieję, że czytelnicy zdołają dostrzec w niej przebłysk czegoś, co wydaje się niemożliwe na wielu etapach uzależnienia ukochanej osoby. Często cytuje się powiedzenie Nietzschego: „Co mnie nie zabija, to mnie wzmacnia". W wypadku rodziny uzależnionego jest to absolutnie prawdziwe. Nie tylko nadal dość mocno stoję na nogach, ale też czuję więcej i wiem

więcej. Nie przypuszczałem, że będzie to możliwe.

W tej opowieści wystrzegałem się pokusy wybiegania myślą naprzód, ponieważ byłoby to nieszczere i wyrządzałoby niedźwiedzią przysługę każdemu, kto przez to przechodzi. Nie wolno sugerować, że można przewidzieć, jak sprawy się potoczą. Nigdy nie wiedziałem, co nam przyniesie kolejny dzień. Starałem się opowiedzieć uczciwie o wszystkich najważniejszych zdarzeniach, które ukształtowały Nica i naszą rodzinę – i tych dobrych, i tych okropnych. Przy wielu z nich nadal czuję zażenowanie. Jestem równie mocno przerażony tym, co sam zrobiłem, i tym, czego nie zrobiłem. Nawet jeśli wszyscy eksperci z całą życzliwością mówią rodzicom uzależnionych: „To nie wasza wina", nie zamierzam zwalniać siebie z odpowiedzialności. Często mam wrażenie, że całkowicie zawiodłem mojego syna. Nie szukam przy tym współczucia czy rozgrzeszenia, ale stwierdzam jedynie prawdę, którą rozpozna większość rodziców, którzy przeszli przez podobne doświadczenia.

Pewna osoba, która usłyszała moją historię, wyraziła zdumienie tym, że Nic w ogóle mógł się uzależnić od narkotyków. „Ale wasza rodzina nie wygląda na dysfunkcjonalną", usłyszałem. A jednak jesteśmy dysfunkcjonalni, tak jak każda inna rodzina, którą znam. Czasem mniej, czasem więcej. Nie jestem pewien, czy w ogóle znam jakąś „funkcjonalną" rodzinę, o ile funkcjonalna to taka, która nie przeżywa trudnych okresów, a jej członkowie nie mają różnych problemów. Podobnie jak wśród uzależnionych, w ich rodzinach można znaleźć wszystko, czego moglibyśmy się po nich spodziewać, i wszystko, czego byśmy się po nich nie spodziewali. Uzależnieni pochodzą z rodzin rozbitych i rodzin żyjących w idealnej zgodzie. Bywają wśród nich nieudacznicy, ofiary losu i ludzie sukcesu. Często słyszymy na wykładach i na spotkaniach Al-Anonu i mityngach AA o inteligentnych i uroczych kobietach i mężczyznach, którzy wzbudzają zdumienie w swoim otoczeniu, gdy lądują w rynsztoku. „Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, żeby to sobie robić", mówi lekarz alkoholikowi w opowiadaniu Francisa Scotta Fitzgeralda. Wiele osób, które znały Nica, mówiło podobnie. Jedna z nich stwierdziła: „To ostatnia osoba, o której mogłabym pomyśleć, że coś takiego się jej przydarzy. Nie Nicowi. Jest zbyt solidny, zbyt inteligentny".

Wiem także, że rodziców cechuje wybiórcza pamięć. Chętnie wyrzucamy z pamięci wszystko, co kłóci się z naszymi starannie zredagowanymi wspomnieniami – to zrozumiały wysiłek pozwalający unikać poczucia winy. Dzieci z kolei czasem fiksują się na wyjątkowo bolesnych wspomnieniach, ponie-

waż najmocniej zapisały się w ich pamięci. Mam nadzieję, że nie pozwalam siebie na rodzicielski rewizjonizm, kiedy mówię, że mimo rozwodu z matką Nica, mimo naszej drakońskiej umowy dotyczącej opieki rodzicielskiej sprawowanej na odległość oraz mimo wszystkich moich błędów i wad wczesne dzieciństwo Nica na ogół było niezwykłe. On to potwierdza, ale może dlatego, że stara się być dla mnie miły.

Takie przeróbki, żeby znaleźć sens w czymś, w czym nie da się go znaleźć, należą do zjawisk codziennych w rodzinach osób uzależnionych. Zaprzeczamy temu, że nasi ukochani mają poważne problemy nie dlatego, że jesteśmy naiwni, ale dlatego że nie możemy tego wiedzieć. Nawet w odniesieniu do osób, które w odróżnieniu ode mnie nigdy nie zażywały narkotyków, pozostaje niepodważalnym faktem, że wiele z nich – ponad połowa naszych dzieci – ich spróbuje. W przypadku części z nich narkotyki nie będą miały większego wpływu na ich życie. W przypadku innych ostateczny rezultat będzie jednak katastrofalny. My, rodzice, dopiero po fakcie wiemy na pewno, że zrobiliśmy za mało albo w czym postąpiliśmy źle. Uzależnieni zaprzeczają oczywistym faktom, a ich rodziny postępują podobnie, ponieważ często prawda jest zbyt niewyobrażalna, zbyt bolesna i zbyt przerażająca. Żałuję jednak, że w swoim czasie ktoś mną nie potrząsnął i nie powiedział: „Interweniuj, dopóki nie jest za późno". Może nie wpłynęłoby to na moje postępowanie, choć tego nie wiem. Nikt mną nie potrząsnął i nie powiedział niczego podobnego. A nawet gdyby ktoś to wtedy zrobił, nie wiem, czy potrafiłbym go usłyszeć. Może musiałem odebrać lekcję w bardziej bolesny sposób.

Jak wiele osób zmagających się z podobną udręką, uzależniłem się od uzależnienia mojego dziecka. Kiedy pochłaniało wszystkie moje myśli, nawet kosztem obowiązków wobec żony i pozostałych dzieci, czułem się usprawiedliwiony. Myślałem: „Czy rodzic mógłby nie być pochłonięty walką na śmierć i życie, jaką toczy jego dziecko?". Ale z czasem przekonałem się, że moje skupienie na losach Nica w niczym mu nie pomaga, a czasem może nawet zaszkodzić. Lub też nie miało dla niego znaczenia. Tak czy inaczej, na pewno wyrządzało szkodę reszcie mojej rodziny i mnie samemu. Jednocześnie przyswoiłem sobie jeszcze inną, wstrząsającą prawdę: nasze dzieci żyją i umierają razem z nami lub zupełnie niezależnie od nas. Nieważne, co zrobimy, jak bardzo będziemy się zadręczać, nie możemy wybrać za nasze dzieci tego, czy umrą, czy będą żyć. To świadomość nie tylko przerażająca, ale także wyzwa-

lająca. Ostatecznie postanowiłem żyć własnym życiem. Wybrałem niebezpieczną, ale konieczną ścieżkę, dzięki której mogę pogodzić się z faktem, że to Nic sam zdecyduje, w jaki sposób – i czy w ogóle – nadać kształt swojemu życiu.

Nie rozgrzeszam siebie, a jednocześnie nadal zmagam się z problemem, do jakiego stopnia mogę rozgrzeszyć Nica. Jest olśniewający, wspaniały, charyzmatyczny i kochający, kiedy nie zażywa narkotyków, ale jak wszyscy uzależnieni staje się kimś obcym, kiedy je bierze. Jest wtedy nieobecny, głupi, autodestrukcyjny, rozbity i niebezpieczny. Cały czas staram się pogodzić te dwie osoby. Niezależnie od przyczyny – czy stała za tym predyspozycja genetyczna, rozwód, moja własna historia z narkotykami, moja nadopiekuńczość, pobłażliwość, to, że nie potrafiłem go ochronić, moja oschłość, moja niedojrzałość – mimo to wydaje się, że uzależnienie Nica od początku żyło własnym życiem. Staram się pokazać, jak podstępnie uzależnienie wkrada się w życie rodziny i przejmuje nad nim kontrolę. W ciągu minionych dziesięciu lat tak wiele razy popełniałem błędy wynikające z niewiedzy, nadziei i lęku. Staram się opowiedzieć o wszystkich, opisać, jak i kiedy się pojawiły, w nadziei, że czytelnik rozpozna błędną drogę, zanim na nią wejdzie. Ale jeśli się stanie inaczej, to mimo wszystko mam nadzieję, że przynajmniej uświadomi sobie, że nie powinien obwiniać siebie, że na nią wstąpił.

Kiedy moje dziecko się urodziło, nie mieściło mi się w głowie, że mogłoby tak cierpieć, jak cierpiał Nic. Rodzice pragną dla swoich dzieci tylko tego, co dobre. Byłem typowym rodzicem, który czuł, że nic takiego nie może się przydarzyć mojej rodzinie, a na pewno nie mojemu synowi. Ale choć Nic jest wyjątkowy, jest jak każde dziecko. Mógłby być również twoim synem.

W książce zmieniłem niektóre imiona i szczegóły, aby ukryć tożsamość pewnych osób. Zaczynam od przyjścia Nica na świat. Narodziny dziecka są dla wielu rodzin, o ile nie dla każdej, wydarzeniem transformacyjnym, pełnym radości i optymizmu. Tak też było z nami.

Część I

Do późna na nogach

Mam córkę, która mi przypomina, aż za bardzo, jaki sam kiedyś byłem – jest pełna radości i miłości, całuje wszystkich ludzi, których spotyka, ponieważ każdy jest dobry i nikt nie zrobi jej nic złego. To mnie przeraża do tego stopnia, że ledwo mogę funkcjonować.

Kurt Cobain w swoim liście pożegnalnym

Rozdział 1

Moja żona Vicki i ja mieszkamy w Berkeley, w drewnianym bungalowie o białych ścianach, zbudowanym w latach dwudziestych XX wieku, osłoniętym od ulicy ścianą czarnych bambusów. Jest lato 1982 roku, czas oczekiwania. Praca, aktywność towarzyska schodzą na dalszy plan. W lipcu ma się urodzić nasze dziecko.

Ultrasonograf informuje nas, że ono jest nim. Przygotowujemy się na jego przyjście. Malujemy i ozdabiamy pokój dziecinny, wstawiamy białą kołyskę, jasnoniebieską komodę i półki na książki, zapełnione dziełami Maurice'a Sendaka i doktora Seussa, u wejścia pojawiają się siedzący po obu stronach drzwi wartownicy: para ogromnych pluszowych misiów panda, podarunek dla naszego niemowlęcia od jednego z przyjaciół. Inny przyjaciel wypożycza nam rodzinną pamiątkę: maślanożółtą kołyskę w kształcie księżyca w nowiu. Zawisa na łańcuchu w rogu salonu, wydaje się, jakby się unosiła nad San Francisco, które połyskuje w oddali.

Skurcze Vicki zaczynają się po północy dwudziestego lipca. Jak nas nauczono na kursach, mierzymy przerwy między skurczami. Już czas. Jedziemy do szpitala.

Nic przychodzi na świat o świcie – nasz piękny syn. Jesteśmy oczarowani naszym dzieckiem. Podekscytowani, prawie nie śpimy. Uciszamy jego płacz. Śpiewamy mu kołysanki. Popadamy w jakiś półsenny odmienny stan świadomości, rozmarzone zadowolenie, które w nas samych wzbudziłoby przerażenie, gdybyśmy zobaczyli coś takiego u naszych przyjaciół. (I rzeczywiście, wielu przyjaciół nie kryje przerażenia). Naszemu życiu towarzyszy ścieżka dźwiękowa w wykonaniu Pete'a Seegera, Limelighters oraz Raffiego – ich piosenki odtwarzane raz po raz i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze mogłyby skłonić nawet najbardziej zatwardziałego przestępcę do wyznania swoich win, gdyby inne formy tortur zawiodły. Czasem po prostu gapimy się na malutkie, chwytne rączki i w świetliste oczy pełne życia.

Należymy do pierwszego pokolenia świadomych rodziców. Wcześniej ludzie po prostu mieli dzieci. My szukamy dla naszych dzieci najlepszych rozwiązań: najlepszego wózka, najlepszego fotelika do samochodu, polecanego przez „Consumer Reports", i gorączkowo omawiamy każdą decyzję dotyczącą zabawek, pieluch, ubranek, posiłków, leków, gryzaków, szczepień, po pro-

stu wszystkiego.

Wkrótce miejsce kołyski zajmuje łóżeczko z prześcieradłami w zebrę. Chodzimy na spacery z wózkiem i nosidełkiem, bawimy się w parku w Berkeley i na placach zabaw z przyrządami dla dzieci, jeździmy do zoo w San Francisco. Powiększa się także biblioteczka Nica. *Goodnight Moon, Pat the Bunny, Where the Wild Things Are, A Hole Is to Dig*. Czytam je tak często, że znam na pamięć.

– Mleczko, mleczko, mleczko do porannego ciasteczka.

– Odtąd dotąd i odtąd tu, wszędzie są śmieszne rzeczy.

– Psy są po to, żeby całować ludzi. Śnieg jest do toczenia kul. Guziki po to, żeby ludziom było ciepło. Gliglu, gliglu, gliglu.

W wieku trzech lat Nic spędza kilka poranków w tygodniu w pastelowo pomalowanym przedszkolu, położonym niedaleko domu. Ma też zajęcia w grupie; zabawy jak „kaczuszka, kaczuszka, gąska", malowanie i lepienie z gliny, a także piosenki „Wyciągamy chwasty, zbieramy kamienie". Nic śpiewa też „Jesteśmy zrobieni z kości i z marzeń". Spędza czas na dworze, na drabinkach do wspinania się i na huśtawkach. Podejmuje wyprawę na swoją pierwszą zabawkową randkę, dawniej nazywaną po prostu odwiedzinami w domu innego dziecka. Czasami spotykamy rodziny w parku z betonową zjeżdżalnią wiodącą w dół zbocza, pod baldachimem dębów. Nic kręci się jak szalony na karuzeli.

Jest z natury budowniczym i architektem, konstruuje rozległe osiedla z klocków Lego. Uwielbia misia Teddy'ego Ruxpina, serial animowany *Psia paczka* i swoje pandy. Pędzi po domu na trzykołowym rowerku z dużymi kołami i po patio, wyłożonym czerwoną cegłą, w błękitnym plastikowym kabriolecie. To prezent od moich rodziców – który napędza, niczym auto Flinstonów, pedałując zawzięcie nóżkami w trampkach za kostki.

Odwiedzamy Train Town w pobliskiej Sonomie, gdzie Nic kieruje lokomotywą parową po torze wijącym się wśród miniaturowych stodół i wiatraków. Jeździmy do Parku Narodowego Yosemite – na wiosnę, gdy zakwitają polne kwiaty, chodzimy na wędrówki do wodospadów; zimą bawimy się w śniegu w dolinie, u podnóża Half Dome – oraz do aquaparku w Monterey, gdzie Nic jak zahipnotyzowany patrzy na fluoroscencyjne meduzy i krążące rekiny.

Nic ogląda przedstawienia teatrów lalkowych, gra w gry planszowe i śpie-

wa do wtóru rytmu wybijanego na tamburynie. Ubrany w kimono i flanelowe spodnie od piżamy, trzymając plastikową gitarę, śpiewa ile sił w płucach:

Tingalayo, biegnij osiołku mój, kopytkiem stuk

Tingalayo, biegnij osiołku mój, kopytkiem stuk!

Osiołek mój kroczy, osiołek mój gada

Osiołek mój nożem i widelcem jada

Osiołek mój kroczy, osiołek mój gada

Osiołek mój nożem i widelcem jada

A potem ściąga kimono i zostaje w górze od piżamy klowna w czarne, żółtozielone, jasnobłękitne i wiśniowe grochy. Do kompletu ma kalosze opalizujące na zielono-niebiesko-różowo.

Idziemy ulicą, Nic szoruje nieco za dużymi kaloszami po chodniku, jego mała rączka kryje się w mojej wielkiej dłoni, plastikowa gitara wisi mu na ramieniu. Wdeptuje w każdą kałużę. Ma zamyślone spojrzenie; brązowa barwa jego oczu czasami połyskuje zielenią, żywą jak morze. Idąc chodnikiem, kręci się w zabawnym tańcu, unosząc nad głową żółtą parasolkę:

„Kapu-kap, wygląda na deszcz".

Ta oczywista idylla odwraca naszą uwagę od nadciągającej katastrofy. Razem z Vicki spędziliśmy trzy pierwsze lata życia Nica w błogim, choć niepozbawionym zmęczenia półśnie świeżego rodzicielstwa, po czym nagle zbudziliśmy się w ostrym świetle i dotkliwym chłodzie rozpadającego się małżeństwa. Jeśli chodzi o mnie, znalazłem rozwiązanie naszych nieporozumień, zakochując się, jakże dojrzale, w przyjaciółce rodziny. Jej syn i Nic często bawili się razem.

Oboje z Vicki jesteśmy w równym stopniu oddani naszemu dziecku, ale nie jestem przygotowany na to, żeby radzić sobie z narastającymi trudnościami. Podczas wizyty u terapeuty zajmującego się problemami w związkach ogłaszam, że jest już za późno. To koniec mojego małżeństwa. Vicki jest kompletnie zaskoczona. To nie pierwszy związek, który zerwałem, ale teraz

jest dziecko.

Nic.

Kiedy jego matka i ja się kłócimy, on znajduje schronienie w objęciach wielkich misiów panda. Żadne dziecko nie może wyjść obronną ręką z takiego zaciekłego, pełnego goryczy rozwodu jak nasz. Podobnie jak w przypadku eksplozji brudnej bomby, niezamierzone szkody są rozległe i trwałe. Nic mocno obrywa.

Dzielimy między sobą porcelanę, dzieła sztuki i naszego małego synka. Wydaje się oczywiste, że wspólna opieka rodzicielska jest najlepszym rozwiązaniem. Każde z nas chce mieć go przy sobie i żadne z nas nie ma powodu, by wątpić w powszechną mądrość, że dla dziecka najlepsza jest opieka obojga rodziców. Wkrótce Nic ma dwa domy. Kiedy odwożę go do domu jego matki, przytulam go na pożegnanie pod białą ogrodową furtką, a potem patrzę, jak wchodzi do środka.

Vicki przenosi się do Los Angeles i ponownie wychodzi za mąż. Oboje nadal chcemy mieć Nica przy sobie, ale teraz dzieli nas pięćset mil i nieformalna umowa o opiece na zmianę, przypominającej ruchy jo-jo, okazuje się na dłuższą metę nie do utrzymania. Każde z nas wierzy, szczerze i mściwie, że w najlepszym interesie Nica będzie pozostanie z nim, a nie z tym drugim rodzicem, wynajmujemy więc prawników, specjalistów od rozwodów.

Niektórzy adwokaci potrafią skutecznie wynegocjować porozumienie stron, ale wiele sporów o opiekę rodzicielską kończy się w sądzie. To zwykle są doświadczenia traumatyczne i kosztowne. Nasi prawnicy liczą sobie ponad dwieście dolarów za godzinę i domagają się od pięciu do dziecięciu tysięcy dolarów zaliczki. Kiedy dowiadujemy się, że sędziowie często postępują zgodnie z zaleceniami zaangażowanego przez sąd psychologa dziecięcego, sformułowanymi po wnikliwej ocenie sytuacji, górę bierze w nas rozsądek i widok pustego konta w banku. Nic od czasu naszej separacji jest pod opieką terapeutki, więc teraz wynajmujemy ją, aby przeprowadziła swoją ocenę. Umawiamy się, że postąpimy zgodnie z jej decyzją.

Pani doktor zaczyna trzymiesięczną obserwację, która dla nas jest jak proces inkwizycyjny. Przeprowadza wywiady z nami, z naszymi przyjaciółmi i rodzinami, odwiedza nasze domy w Los Angeles i San Francisco, spędza długie sesje psychoterapeutyczne w swoim gabinecie z Nikiem, grając z nim w warcaby, w karty i bawiąc się klockami. Nic nazywa ją swoją panią doktor

od smutków. Pewnego dnia, bawiąc się w jej gabinecie domkiem dla lalek, pokazuje jej po jednej stronie pokój mamy i po drugiej pokój taty. Kiedy lekarka pyta go o pokój małego chłopca, odpowiada: „On nie wie, gdzie będzie spał".

Spotkamy się w jej gabinecie, wśród zabawek, nowoczesnych mebli i oprawionych reprodukcji obrazów Gottlieba i Rothko, aby usłyszeć werdykt. Oboje z Vicki siedzimy w identycznych skórzanych fotelach naprzeciw pani doktor, imponującej kobiety w kwiecistej sukience, z kruczoczarnymi lokami i przenikliwym spojrzeniem zza soczewek grubości denka od butelki. Składa ręce na podołku i mówi: „Oboje jesteście kochającymi rodzicami, którzy pragną dla swojego dziecka jak najlepiej. Oto kilka rzeczy, jakich dowiedziałam się o Nicu w trakcie moich obserwacji. Nie muszę wam mówić, że jest dzieckiem wyjątkowym. Jest pomysłowy, wrażliwy, ekspresyjny i niezwykle inteligentny. Myślę, że wiecie także o tym, że cierpi z powodu rozwodu i niepewności związanej ze swoim dalszym losem. Podejmując bardzo trudną decyzję, starałam się zważyć każdy czynnik i znaleźć takie rozwiązanie, które będzie najlepsze dla Nica – najlepsze w sytuacji, w której nie ma idealnego wyboru. Musimy zminimalizować stres w jego życiu i zadbać o to, żeby zachować w nim jak najwięcej spójności".

Patrzy kolejno na każde z nas, a potem szpera w stosie papierów. Wzdycha ciężko i mówi, że Nic będzie odtąd spędzał rok szkolny ze mną w San Francisco, a święta i wakacje z Vicki, w południowej Kalifornii. Usiłuję zrozumieć, co dokładnie powiedziała. Wygrałem. Nie, przegrałem. Tak samo Vicki. Będę go miał przy sobie na co dzień w czasie roku szkolnego, ale mam spędzać Gwiazdkę bez niego? Święto Dziękczynienia? Wakacje? Pani doktor wręcza każdemu z nas kopię dokumentu, w którym uzasadnia swoją decyzję. Podpisujemy papiery leżące na jej biurku. W jakiś niepojęty sposób, w jednej chwili, której towarzyszy skrobanie pióra po szorstkim papierze, godzę się z tym, że rezygnuję z połowy dzieciństwa mojego syna.

Żeby nie wiem jak niedobre było to rozwiązanie dla mnie i dla Vicki, jest jeszcze gorsze dla Nica. Przygotowując się do przenosin do mamy, pakuje swoje zabawki i ubrania do walizki z podobizną Hello Kitty, udawanym zamkiem i kluczykiem. Zawożę go na lotnisko. Mówi, że czuje dziurę w brzuchu, nie dlatego, że nie chce zobaczyć mamy i ojczyma – chce – ale nie chce wyjeżdżać.

Początkowo jedno z nas zawsze z nim lata, ale jako pięciolatek zaczyna podróżować sam. Od maleńkiej walizeczki przechodzi do plecaka z grubego płótna, wypełnionego zmieniającym się arsenałem podstawowego wyposażenia (książki i magazyny, mikromaszyny ze „Star Trek", plastikowe zęby wampira, discman i płyty CD, pluszowy krab). Stewardesy i stewardzi wprowadzają go na pokład samolotu. Mówimy sobie nawzajem „Wszystko". To nasz sposób, żeby powiedzieć: kocham cię, tak bardzo będę za sobą tęsknić, tak mi przykro – mieszanina uczuć towarzyszących jego wyjazdom i powrotom.

Loty między San Francisco a Los Angeles to jedyny moment w jego życiu, gdy żadne z rodziców go nie pilnuje, zamawia więc coca-colę, która w domu jest zakazana. Stewardesy nie przejmują się ewentualną próchnicą. Ale to jest niczym wobec lęku, jaki odczuwa na myśl o katastrofie samolotu.

W wieku pięciu lat Nic idzie do przedszkola przy szkole z edukacją progresywistyczną w San Francisco, w stuletnim budynku krytym gontem z sekwoi, gdzie można zajrzeć w porze lunchu i niektórzy rodzice razem z dziećmi grillują *quesadillas*. Do szkoły prowadzą kamienne schody i drzwi w stylu starej stodoły, które otwierają się na plac zabaw z gumową nawierzchnią. Jest tu słupek z przywiązaną do niego piłką, jest konstrukcja wspinaczkowa z sekwoi, boisko do koszykówki. Nauczyciele są oddani idei kompleksowego rozwoju dziecka. Nauka pisania, czytania i liczenia jest więc zintegrowana z imponującym programem muzycznym; sztukami, które dzieci same piszą (podczas swojego pierwszego przedstawienia rewiowego Nic obsadzony w roli komara zasnął na scenie), zajęciami sportowymi, w których nie chodzi o rywalizację, oraz niekonwencjonalnym podejściem do nauki ortografii. W szkole obchodzi się różne święta religijne i świeckie, w tym Boże Narodzenie, Chanukę, chiński Nowy Rok, Kwanzaę. Takie podejście wydaje się idealnym rozwiązaniem dla Nica, który w przedszkolu rozwija twórczą stronę swojej osobowości, bawiąc się gliną, malowaniem palcami i wymyślając oryginalne kostiumy. Jego ulubiony zestaw składa się z wielkiego, zmiętoszonego, kowbojskiego kapelusza, ściągniętego tak nisko, że widać tylko jego sowie oczy, T-shirtu zaprojektowanego przez Keitha Haringa, który wkłada pod kamizelkę z frędzlami, niebieskich rajstop, spodenek i tenisówek z rzepami w kształcie uszu słonia. Kiedy inne dzieci się z nim drażnią „Tylko dziewczynki noszą rajstopy", odpowiada „Akurat, Superman nosi rajstopy".

Jestem dumny z jego indywidualności i pewności siebie.

Nic ma teraz eklektyczną grupę przyjaciół. Regularnie bawi się w parku Golden Gate z chłopcem, który pragnie zostać tajnym agentem. Razem bezszelestnie podkradają się, pełznąc na brzuchach, do nic niepodejrzewających rodziców plotkujących na ławeczkach. Bawią się też w berka w labiryncie zbudowanym do zabaw, z odnogami połączonych przejść w środku kopuł geodezyjnych. Z innym kolegą, z grzebieniem ciemnych włosów i szmaragdowymi, przenikliwymi oczami, budują miasto z klocków Lego, układają drewniane tory, po których ścigają się metalowymi samochodzikami.

Nic uwielbia filmy. Jeden z naszych przyjaciół, dziennikarz lokalnego pisma, będąc pod wrażeniem jego filmowych upodobań, prosi go o napisanie tekstu pod tytułem „Nic wybiera filmy". Nic dyktuje swój komentarz: „Czasami dzieciaki muszą wybrać wideo i nie wiedzą, który film wziąć, ale muszą szybko się zdecydować, bo dorośli za dziesięć minut powinni być u fryzjera", zaczął. Recenzuje *Damę i trampa* Chaplina i *Kubusia Puchatka*. „*Dumbo* jest wielki" – twierdzi. – „Świetne piosenki, świetnie zaśpiewane". O *Niekończącej się historii* mówi: „Ta historia naprawdę się kończy".

Na moje szóste urodziny mama upiekła tort kokosowy w kształcie żyrafy, polany lukrem; razem z kolegami graliśmy w „przypnij ogon osiłkowi". Nic chodzi na przyjęcia urodzinowe organizowane w stajniach albo w parku rozrywki Great America, parku wodnym Raging Waters albo w Exploratorium, interaktywnym muzeum nauki. Serwuje się na nich kanapeczki, sushi, niefiltrowany sok jabłkowy i ciasteczka bezglutenowe.

Pewnego popołudnia oświadcza, że chce się przyłączyć do prowadzonej w jego szkole akcji Toys for Tots. Przeczesuje swoją sypialnię, wygarniając z niej większość pluszowych zwierzaków, trolli, gier typu „Candyland" oraz „Węże i drabiny" i niemodne już figurki. Z półek znika wiele ilustrowanych książek, a ich miejsce zajmują *Opowieści z Narnii,* seria Redwall oraz książki E.B. White'a. Choć Nic bardzo się stara wydorośleć, to jednak zatrzymuje dwie wielkie pandy i Sebastiana, kraba z *Małej syrenki*.

Ma jakąś antenę, za pomocą której wykrywa, zanim zrobią to rówieśnicy, nadchodzące trendy w kulturze popularnej, od *My Little Pony* po *Masters of the Universe*. Filmy wytwórni Disneya – *101 dalmatyńczyków* i *Mary Poppins* – ustępują *Gwiezdnym wojnom*. Nic i jego przyjaciele odkrywają konsole do gier Nintendo i zaczynają używać niezrozumiałego dla dorosłych języka minibossów,

teleportacji, ukrytych poziomów oraz dyni, które dają przewagę. Podczas Halloween jednego roku jest wojowniczym żółwiem ninja (Michelangelo, jego kolega to Donatello), kolejnego Indianą Jonesem.

Czasami sprawia nieduże kłopoty. Pewnego wieczoru, gdy spędza noc u kolegi, robią psikusy przez telefon, których nauczyli się z serialu *Simpsonowie*. Dzwonią na przykład do jakiegoś baru, którego numer znaleźli książce telefonicznej.

– Halo, czy jest tam może pan Koholik, o imieniu Al?

– Jasne, dzieciaku. – I do gości: – Czy jest tam jakiś Al Koholik?

Rozłączają się, pękając ze śmiechu, i wyłączają telefon.

Innym razem dzwonią na przypadkowo wybrany numer z książki telefonicznej.

– Czy zastałem może Kibelka? – I po chwili: – Nie ma? To gdzie chodzisz się wysikać?

Ale najczęściej Nic zachowuje się jak należy. Jedna z nauczycielek w sprawozdaniu o jego wynikach w nauce, w rubryce „uwagi" napisała, że czasami wydaje się trochę przygnębiony. Powiedziałem o tym nowej terapeutce, z którą Nic spotyka się raz w tygodniu. „Potrafi jednak wyrwać się z tego stanu – pisała dalej nauczycielka – i ma dużo pozytywnej energii, jest zabawny, zaangażowany, to prawdziwy przywódca klasy". Inni nauczyciele również nie szczędzą mu pochwał, zachwycając się jego kreatywnością, poczuciem humoru, empatią, zaangażowaniem w życie klasy i doskonałymi wynikami.

Mam pudełko, w którym przechowuję jego prace plastyczne i wypracowania, jak wtedy, gdy miał za zadanie odpowiedzieć na pytanie, czy zawsze trzeba się starać robić wszystko jak najlepiej. „Nie sądzę, żeby zawsze trzeba było się starać robić wszystko jak najlepiej, bo gdy na przykład jakiś narkoman prosi cię o narkotyki, to nie należy się starać, żeby je dla niego zdobyć", napisał. Schowałem w pudełku również elokwentny list, jaki do mnie napisał, kiedy poproszono uczniów o przedstawienie argumentów za lub przeciw tezie, którą sami wybiorą. List kończy się słowami: „Podsumowując, uważam, że powinno mi się pozwolić jeść więcej przekąsek".

Czasami Nic miewa koszmary. W jednym z nich śni mu się, że przychodzi do szkoły i razem z kolegami z klasy muszą poddać się badaniu, czy nie dole-

ga im wampiryzm. Przypominało to kontrolę, jakiej musieli się poddać podczas plagi wszy. Nauczyciele w rękawiczkach chirurgicznych czesali wtedy, niczym szympansica, włosy wszystkim uczniom, sprawdzając dokładnie każdy mieszek. Gdy znaleziono gnidę, odsyłano dziecko do domu na kurację specjalnym płynem o nazwie Kwell i staranne czesanie włosów specjalnym grzebieniem o gęstych zębach. Jeśli sądzić na podstawie rozlegających się wrzasków, było to bolesne i mogło skłonić czujnych, pełnych dobrej woli sąsiadów do wezwania opieki społecznej.

W swoim śnie Nic musi stać w kolejce i czekać na poranną inspekcję. Nauczyciele w rękawiczkach unoszą dzieciom wargi i sprawdzają, czy nie rosną im wampirze kły. Dzieci, które okazują się wampirami, są natychmiast zabijane – wbija się im kołek w serce. Opowiadając mi ten sen pewnego ranka w samochodzie, zauważa, że to niesprawiedliwe wobec wampirów, bo one nie mogą nic poradzić na to, kim są.

Nie wiem, czy to nasza stała czujność, czy fotografie zaginionych dzieci na kartonach z mlekiem, czy straszne historie, które chłopcy przypadkiem usłyszeli, ale Nic i jego przyjaciele wydają się nadmiernie przestraszeni. Za naszym domem jest mały ogródek, ale dzieci nie chcą się tam bawić, o ile nie siedzę razem z nimi. Słyszę, jak inni rodzice martwią się, że ich dzieci boją się ciemności, płaczą w nocy, nie chcą same spać albo boją się zostać na noc w domu kolegi. Po lekturze na dobranoc, Nic prosi mnie, żebym do niego zaglądał co kwadrans.

Śpiewam mu wtedy.

Zamknij oczy

I nie bój się

Potwór już znikł

I musi biec,

A twój tata tu jest

Rozdział 2

Wstaaawać!

Budźcie się! Budźcie! Wstawajcie!

Podnoście się! Wstawajcie!

Tu mówi Mister, Señor, Kochany Tatuś

Wasz ulubiony głos. Jedyny na świecie

Siłacz, przez dwanaście godzin na okrągło.

Właśnie tu, w Radio KOCHAMY, 108 FM.

Ostatni na skali, ale pierwszy w waszych sercach!

Nieprawdaż!

Rześki, jesienny poranek zaczyna się wraz z monologiem Nica z filmu *Rób co należy*, jednego z jego ulubionych. Ubieramy się i idziemy na spacer po parku Golden Gate.

– Patrz na te pomarańcze – mówi Nic, gdy przechodzimy obok oranżerii pełnej kwiatów. – Och, och, te zielonkawe i czerwonawe i złotawe! To jakby w ostatnią noc świat został pomalowany palcami gigantów!

Po powrocie do domu Nic pomaga mi przygotować ciasto na naleśniki. Robi wszystko, poza rozbijaniem jajek – nie chce mieć czegoś „glutowatego" na rękach. Mówi, że naleśniki powinny mieć takie rozmiary, jak w filmie o Wujaszku Bucku. Tam naleśniki są tak wielkie, że Wujaszek musi je przewracać łopatą do odgarniania śniegu.

Nasze mieszkanie jest krainą dziecka, niezależnie od tego, jak bardzo starałbym się ograniczyć wpływy Nica do jego pokoju. Nawet jeśli wczoraj wszystko posprzątałem, to dziś dziecięce ubrania są wszędzie. Do tego dochodzą gry planszowe (wczoraj pobił mnie w „Stratego"), gry wideo (jesteśmy na przedostatnim poziomie w „Legend of Zelda") i morze wielobarwnych klocków Lego pośrodku salonu. Prawdę mówiąc, klocki Lego są wszędzie – w szufladzie ze sztućcami, pod poduszkami kanapy, w doniczkach. Kiedy pewnego razu drukarka odmówiła posłuszeństwa, w serwisie okazało się, że to klocek Lego zablokował rozetkę drukującą.

Czekając na naleśniki pod galerią swoich rysunków przyklejonych taśmą do ściany, Nic siedzi przy stole i grubym czerwonym ołówkiem pisze na kartce w jedną linię.

– Wczoraj w szkole musieliśmy zrobić własną pizzę – opowiada. – Mogliśmy wybrać ser cheddar albo mozzarellę. Czy wiesz jak przeliterować słowo *uuu*? Powiedzieli, że kiedy Jake pocałował Elenę, wszystkie dzieciaki powiedziały: uuuuuuuuu. Czy wiesz, że sowa może obracać głową wokół szyi?

Kładę przed nim naleśnik o rozczarowująco przeciętnym rozmiarze. Nic polewa go syropem klonowym, wydając przy tym efekty dźwiękowe.

– Eja! Leci gorąca lawa!

Tymczasem ja przygotowuję mu torebkę z lunchem: kanapkę z masłem orzechowym i galaretką, pałeczki marchewkowe, jabłko, ciastko i kartonik z sokiem.

Nic ubiera się do szkoły. Zawiązując buty, nuci coś o małym pajączku. Zrobiło się późno, więc go poganiam. Siedzi już na tylnym siedzeniu samochodu, plując na swojego misia.

– Co ty wyrabiasz?

– On jest w jamie ze szlamem. Czy możesz mnie połaskotać w kolano?

Sięgam do tyłu i łaskoczę bok jego kolana, co wywołuje dziki śmiech i atak głupawki.

– Okej, okej, już przestań, chciałem tylko przypomnieć sobie, jakie to uczucie, kiedy masz łaskotki.

Potem zmienia temat i pyta, czy mógłby się uczyć klingońskiego zamiast hiszpańskiego.

– A dlaczego klingońskiego?

– Bo wtedy nie musiałbym czytać napisów w *Star Treku*.

Kiedy parkuję przed szkołą, ciągle jeszcze mamy kilka minut w zapasie, zanim rozlegnie się krowi dzwonek oznaczający początek lekcji. Każdy dzień to mój największy sukces, jeśli uda mi się dostarczyć Nica do szkoły na czas, ale dzisiaj coś jest nie tak. Gdzie są inne samochody, tłumek szybko idących dzieciaków i nauczycielka, która je wita? I wtedy mnie oświeciło. Jest sobota.

Nie jestem zwolennikiem pojęcia karmy, ale zacząłem wierzyć, że istnieje coś takiego, jak „instant karma", karma natychmiastowa, opisana przez Johna Lennona w piosence o tym samym tytule. Pokrótce znaczy to tyle, że jeszcze w tym życiu zbieramy owoce tego, co posialiśmy, na przykład, że dostałem za swoje, kiedy narzeczona postępuje ze mną dokładnie tak samo, jak ja kiedyś ze swoją żoną. (Choć prawdę mówiąc, to nie jest nawet aż tak godne potępienia; kiedy nagle mnie rzuciła, uciekła do Ameryki Południowej z jakimś prawie nieznajomym). Oczywiście, jestem załamany i Nic musi jakoś sobie poradzić nie tylko z moją rozpaczą, ale także kiedy już po wielu żałosnych miesiącach doszedłem do siebie, z całą serią moich nowych dziewczyn. Można o nich powiedzieć wiele dobrego, ale nie to, że mają talent do bycia matką zastępczą. Sytuacja przypomina trochę film *Tata w zalotach*, tyle że Eddie nigdy nie zastał w porze śniadania w kuchni jakiejś damy ubranej w kimono, która zajada jego płatki śniadaniowe Lucky Charms.

– Kim jesteś? – pyta, gdy rozespany wchodzi do kuchni, ostro oświetlonego pomieszczenia z linoleum w czarno-białą szachownicę. Ma na sobie piżamę i kapcie z wizerunkiem Oskara Zrzędy. Pytanie kieruje pod adresem kobiety z dredami na głowie. To artystka i na swojej ostatniej wystawie pokazała między innymi ręcznie robione, barwione fotokopie intymnych części swojego ciała.

– To ty jesteś Nic. Wiele o tobie słyszałam – przedstawia się.

– A ja o tobie w ogóle nie słyszałem – odpowiada Nic.

Kiedy indziej jemy z Nikiem obiad we włoskiej restauracji przy Chesnut Street w towarzystwie kobiety z jasnymi lokami i oczami zielonymi jak szkło butelki. Nasze randki obejmowały dotychczas zabawę z frisbee z Nikiem w parku koło przystani oraz niedzielny mecz San Francisco Giants, na którym Nic złapał piłkę wybitą na aut. Po obiedzie oglądamy we trójkę u nas w domu *The 5000 Fingers of Dr. T.*, po czym ona przegląda pisma w salonie, a ja czytam Nicowi w jego sypialni książkę na dobranoc.

Zwykle staram się pamiętać o zamknięciu drzwi do mojej sypialni, ale tym razem zapominam. Rano Nic wpełza do mojego łóżka. Kiedy zauważa kobietę, która właśnie się budzi i spotyka jego spojrzenie, pyta:

– A co ty tu robisz?

– Spędziłam tu noc – odpowiada błyskotliwie.

– Och! – Nic na to.

– To jak zostać u kogoś na noc.

– Och!

Posyłam Nica do jego pokoju, żeby się ubrał. Później próbuję mu to wytłumaczyć, ale wiem, że popełniłem straszny błąd.

Nie trzeba wiele czasu, żebym w końcu uświadomił sobie, że mój kawalerski styl życia nie jest dobry dla Nica, robię więc przerwę w randkach. Nie chcę powtarzać bolesnych, żenujących błędów, które doprowadziły do mojego rozwodu, a także innych nieudanych związków, wchodzę w okres życia w samotności, terapii i refleksji nad sobą.

Nasze życie staje się spokojniejsze. W weekendy chodzimy na spacery po Embarcadero i w górę Telegraph Hill, do Coit Tower. Jedziemy tramwajem linowym do Chinatown, żeby zjeść pierożki dim sum i kupić petardy. Z naszymi sąsiadami, nieoficjalnymi ojcami chrzestnymi Nica, chodzimy na filmy do Castro Theatre, gdzie przed seansami organista gra na pozłacanym elektrycznym pianinie Wurlitzera *Whistle While You Work* oraz *San Francisco*. Jeździmy kolejką BART do Berkeley i spacerujemy po Telegraph Avenue, poszukując wzrokiem jej stałych bywalców, takich jak pewna kobieta, która chodzi z przypiętymi do ubrania dziesiątkami tostów, albo wrażliwy nagi człowiek, który nonszalancko przechadza się w pobliżu ulicy.

W weekendowe wieczory, kiedy Nic odrobi już lekcje, gramy w gry. Często razem gotujemy. I czytamy. Nic uwielbia książki, *A Wrinkle in Time*, powieści Roalda Dahla, *The Outsiders* i *Hobbita*. Pewnego wieczoru, z okazji jednego z wielu nieurodzinowych przyjęć Nica – nabraliśmy na nie ochoty, kiedy przeczytaliśmy *Alicję w Krainie Czarów* i *Co Alicja zobaczyła po drugiej stronie lustra* – nakrywamy odświętnie do stołu, przy każdym nakryciu sadzamy pluszowe zwierzaki. Jemy w towarzystwie maskotek, siedzących jak sułtani na wielu poduszkach.

Pewnego letniego wieczoru w 1989 roku, na urodzinowej kolacji u przyjaciela, siedzę naprzeciwko jakiejś kobiety z Manhattanu, która przyjechała

w odwiedziny do rodziców mieszkających w Marin County. Nazywa się Karen, ma ciemnobrązowe włosy, nosi prostą, czarną sukienkę. Jest malarką, pisze i ilustruje książki dla dzieci. Kiedy mówi, że jutro wraca do Nowego Jorku, wspominam, że wybieram się tam w przyszłym tygodniu, by przeprowadzić wywiad. Zapada niezręczne milczenie. Mój przyjaciel, który siedzi obok, podaje mi kawałek papieru i długopis, szepcząc mi do ucha:

– Weź od niej numer telefonu.

I tak robię.

Następnego dnia dzwonię do domu jej rodziców. Słyszę, jak mówi do swojej matki, że jej nie ma, ale matka to ignoruje i przekazuje słuchawkę.

Karen mówi, że spotka się ze mną, kiedy przyjadę do Nowego Jorku.

Na naszej pierwszej, ostrożnej randce spotykamy się na przyjęciu u mojego przyjaciela z Upper East Side. Z głośników płynie muzyka zespołu Fine Young Cannibals, kelnerzy roznoszą tace z kanapeczkami i szampanem, a potem, choć noc jest nieznośnie parna, odprowadzam Karen przez całą długość Manhattanu do jej loftu w centrum miasta. Zajmuje nam to kilka godzin i w tym czasie nie przestajemy rozmawiać. Ilekroć natykamy się na nocny sklep, kupujemy lizaki lodowe. Już świta, gdy pod jej frontowymi drzwiami mówimy sobie dobranoc.

Piszemy do siebie i rozmawiamy przez telefon. Widujemy się, kiedy ona przyjeżdża odwiedzić rodziców albo ja służbowo jadę do Nowego Jorku. Po mniej więcej pół roku, w czasie jednej z jej wypraw do San Francisco, przedstawiam Karen Nicowi. Karen pokazuje mu swoje książki o sztuce i oboje godzinami rysują komiksy. Przez wiele dni na długich paskach szarego papieru do pakowania tworzą jakąś rozbudowaną scenę, rozgrywającą się w parku, w którym pojawiają się pan Zrzęda, okrągły gość, siedzący na ławce i jedzący kanapkę z tuńczykiem, chudy pan Kluska i jego kluskowe dziecko, pan Podrabiany Włos oraz pani i pan Bezcieleśni.

Spędziwszy sześć lat na piątym piętrze w domu bez windy, obok World Trade Center, Karen przenosi się do nas, do San Francisco. Może Nic jedynie próbuje zaskarbić sobie przychylność tej nowej siły, która pojawiła się w jego życiu, skoro jak widać niezbicie, tak szybko nie zniknie, ale pisze o niej w jednej ze swoich prac domowych i wyjaśnia: „Mieszkała w dużym lofcie nad restauracją pod nazwą Szynkowe Niebo. Jej loft był całkiem w porządku i moż-

na było odpalać zimne ognie z dachu... Ale postanowiła wrócić do San Francisco, żeby zamieszkać ze swoją nową rodziną, która składa się z mojego taty, ze mnie i z niej".

Wkrótce wynajmujemy dom za mostem, w Sausalito, dzięki czemu mamy własne podwórko. Nasz nowy dom należy do najstarszych w mieście. W tym rozklekotanym, przeciekającym wiktoriańskim budynku jest tylko trochę cieplej niż na zewnątrz. Staramy się temu zaradzić, paląc ogień na kominku i przykrywając się na noc ciężkimi, ciepłymi kołdrami. Opatuleni w kurtki puchowe chodzimy na spacery brzegiem morza w porze odpływu, pływamy promem przez zatokę do San Francisco, mijając po drodze wyspę Alcatraz. Podwozimy, na zmianę z inną rodziną, Nica i pozostałe dzieci do szkoły w mieście. Chodzi teraz do czwartej klasy i gra w lokalnej drużynie w rozgrywkach Little League. Razem z Karen dopingujemy go zawzięcie. W zielonym swetrze i bejsbolowej czapce gra na drugiej bazie. Jest skupiony i pewny siebie. Inni chłopcy dokazują, ale Nic traktuje zawody z powagą. Trener mówi nam, że jest przywódcą grupy, inne dzieci słuchają go.

Rodzice często opowiadają o swoich dzieciach z zachwytem, ale wystarczy spytać o zdanie kogoś, kto zna Nica, a będzie opowiadać o jego poczuciu humoru, kreatywności i zaraźliwej radości życia. Nic często mimowolnie staje się centrum uwagi czy to podczas szkolnych zabaw, czy przyjęć. Pewnego dnia w jego szkole pojawia się specjalistka od castingów. Obserwuje dzieci bawiące się na boisku, a potem rozmawia z kilkorgiem. Wieczorem dzwoni do naszego domu i pyta, czy nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mój syn wystąpił w reklamie telewizyjnej. Rozmawiam o tym z Nikiem, który mówi, że to może być zabawne, więc się zgadzam. Ze swojego kilkusetdolarowego honorarium dostaje dziesięć dolarów na drobne wydatki, a resztę traktujemy jako zaczątek funduszu na opłacenie w przyszłości jego nauki w college'u.

Reklama nakręcona dla jakiejś firmy samochodowej zaczyna się sceną, w której grupa dzieci siedzi w półkolu na podłodze. Ich nauczycielka, zajmująca dziecinne krzesełko, coś im czyta, a potem zamyka książkę i kładzie sobie na kolanach.

– A więc co dla was znaczy historia Dicka i Jane? – pyta.

Dziewczynka z włosami splecionymi w warkocze i dużymi niebieskimi oczyma mówi:

– Dom to matka.

Po serii podobnych komentarzy poważny chłopiec z ciemnymi włosami pyta:

– Ale co ze Spotem?

Nic podnosi rękę i nauczycielka wskazuje na niego:

– Nicolas?

– Spot to id, zwierzęca siła, która pragnie się uwolnić.

Dziewczynka z dużymi brązowymi oczami i końskim ogonem wywraca oczami i wzrusza ramionami.

– No i Nicolas znowu musi wspominać o Freudzie – mówi zrzędliwie i opiera podbródek na dłoni.

Scena finałowa pokazuje dzieci pod koniec zajęć w szkole. Wybiegają z budynku w stronę samochodów rodziców, które rzędem stoją pod szkołą. Nic wsiada na tylne siedzenie hondy. Jego matka pyta:

– Co robiłeś dziś w szkole, Nicolasie?

– Och, to samo co zawsze.

Po jakimś miesiącu od wyemitowania tej reklamy, wybieramy się do kina. Jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce nabijanej ćwiekami i w czarnych, motocyklowych butach rozpoznaje Nica.

– O mój Boże, to Nicolas! – piszczy.

W maju bierzemy z Karen ślub pod różami i bugenwillą na tarasie domu jej rodziców. Dziewięcioletni Nic, z chudymi ramionami i szyją sterczącą nad koszulką z krótkimi rękawami, denerwuje się, choć staramy się go uspokoić. Następnego ranka wygląda jednak, jakby mu ogromnie ulżyło.

– Wszystko jest tak samo. – Patrzy raz na mnie, raz na Karen, a potem rozgląda się po domu i znowu patrzy na mnie. – To takie dziwne.

„Ta panna Amy to wstrętne stare, babsko. Macochy zawsze są takie”[2], tak Truman Capote podsumował popularny sposób postrzegania macochy. Odczucie nie jest nowe. Już Eurypides pisał: „Macocha dla dzieci z pierwszego łoża wróg gorszy od żmiji”[3]. Mimo to Karen i Nic są coraz bardziej zżyci. A może tylko widzę to, co chcę widzieć? Mam nadzieję, że nie, myślę, że nie.

Ciągle bawią się we „wspólne rysowanie": jedno coś rysuje, drugie coś dodaje, i tak na zmianę. Oglądają albumy i rozmawiają o artystach. Karen zabiera go do muzeów, a tam Nic siada na podłodze ze swoim szkicownikiem na kolanach. Gorączkowo notuje i szkicuje, inspirując się twórczością Picassa, Elmera Bischoffa i Sigmara Polkego.

Poza tym Karen uczy go francuskiego – odpytuje ze słówek, kiedy jadą samochodem – i są bardzo zabawni, gdy rozmawiają o swoich ulubionych książkach, dzieciakach z jego klasy, o filmach, zwłaszcza o tych, w których grają Peter Sellers i Leslie Nielsen, filmach z inspektorem Clouseau, *Czy leci z nami pilot?*, serii *Naga broń*. Z jakiegoś powodu przez cztery kolejne wieczory oglądają *Pollyannę*, próbując dotrwać do końca, ale ogarnia ich senność i wyłączają odtwarzacz. Piątego wieczoru jednak udaje im się obejrzeć film w całości, po czym zaczynają ze sobą rozmawiać językiem dialogów z tego filmu. „Karen, masz taki mały, zapchany nosek", mówi Nic, naśladując Agnes Moorehead.

Nic próbuje wciągnąć mnie w grę wideo „Street Fighter II", ale szybko męczy mnie to grzmocenie, okładanie się po głowach i gryzienie. Tymczasem Karen nie tylko wyraźnie się to podoba, ale jeszcze cieszy się, kiedy uda jej się pokonać Nica. Poza tym lubi jego muzykę i w odróżnieniu ode mnie nigdy nie prosi go, żeby ją ściszył.

Oboje ciągle się drażnią ze sobą. Niezmordowanie. Czasami Karen przesadza i wtedy Nic się wścieka. Kiedy wychodzimy z domu coś zjeść, oboje zamawiają koktajle mleczne. Nic sączy swój napój powoli, a Karen bardzo szybko wypija zawartość swojej szklanki i stara się podkraść koktajl Nicowi.

Grają w słówka i śmieją się niepohamowanie.

– Dave ma – mówi Karen.

– małpi – dodaje Nic.

– tyłek – mówi Karen.

– Bardzo zabawne. – Patrzę znad czasopisma.

– Przepraszam. Był – mówi Nic.

– człowiek – mówi Karen.

– który – uzupełnia Nic.

– mówił, że – dodaje Karen.

– Dave – mówi Nic.

– ma – dopowiada Karen.

– małpi – mówi Nic.

– tyłek – kończy Karen.

Grają w tę grę w różnych wariantach, bez przerwy. A mnie pozostaje tylko wywracanie oczami.

Karen ma dużo pracy i nie chce podejmować obowiązków rodzicielskich, ale któregoś razu zawozi Nica i dzieci przyjaciół do szkoły. Pewnego wieczoru robi na obiad klopsa. Jest okropny i Nic nie chce go jeść. Karen zaczyna instruować Nica, żeby kładł sobie na kolana serwetę, kiedy je, i Nic się wkurza. Wciąga go też do pomocy w pracach domowych i wokół domu. Wynajmuje go do wykańczania ślimaków w ogrodzie za dziesięć centów od sztuki. Nic zbiera je na łopatę i przez płot wyrzuca do lasu.

Karen, którą Nic nazywa Mama, Mamacita lub KB (ona mówi na niego Sputnik), przyznaje, że nie jest to dla niej relacja łatwa i oczywista. Pewnego razu, gdy jedziemy samochodem z Karen i Nancy, mamą Karen, Nic, zmęczony i sfrustrowany, bez szczególnego powodu zaczyna płakać. Zdumiona Karen pyta Nancy:

– Co się z nim dzieje?

Na co Nancy odpowiada:

– Jest małym chłopcem. Mali chłopcy płaczą.

Innego wieczoru, gdy są razem u jej rodziców i oglądają telewizję, Karen zauważa, że Nancy przyciąga Nica do siebie i gładzi go po plecach. Wydaje się, że Nic jest zachwycony. Karen opowiada mi o tej scenie, jak o objawieniu. Mówi, że na początku Nic był dla niej nieznanym bytem. Nie miała do czynienia z dziećmi od czasu, gdy sama była dzieckiem.

– Nie spodziewałam się czegoś takiego. Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam, co tracę.

Nie zawsze tak się czuje. Czasami Nic bywa gburowaty – wobec mnie

zresztą też – ale to szerszy problem, wpisany w bycie rodzicem „przyrodnim", ojczymem i macochą. Czasami Karen mówi, że chciałaby być prawdziwą matką Nica, ale trzeźwo zdaje sobie sprawę z tego, że nią nie jest. Nic ma matkę, którą uwielbia i z którą jest mocno związany. Karen często musi godzić się z przypomnieniem, że macocha to nie matka. Ponosi znaczną część odpowiedzialności rodzicielskiej, ale nie ma autorytetu rodzica. Czasami nie odzywam się, gdy Karen zaczyna na niego narzekać, że Nic ciągle kładzie łokcie na stole. Chociaż zawsze ją zachęcam, żeby otwarcie mówiła, co myśli, często ruszam Nicowi na pomoc.

– Jego maniery są bez zarzutu – mówię, nie widząc, że tym samym znowu podważam jej autorytet.

Dla Nica najgorsze w tej sytuacji jest zapewne to, że czuje się winy wobec mamy, ponieważ nawiązuje bliską więź emocjonalną z kimś, kto nie jest jego matką. Zgodnie z poradnikami typu „Jak być dobrą macochą/ojczymem", które Karen trzyma na szafce nocnej stojącej przy łóżku, to typowa sytuacja.

Czasami wszyscy dotkliwie odczuwamy nieobecność Vicki. Kiedy Nic bardzo za nią tęskni, pomaga rozmowa telefoniczna, choć zdarza się, że gdy usłyszy jej głos, staje się jeszcze smutniejszy. Zachęcamy go, żeby ilekroć to możliwe, jeździł do niej i dzwonił, kiedy tylko ma na to ochotę. Staramy się z nim o tym rozmawiać, ale to wszystko, co możemy zrobić.

Czuję, że Nic przechodzi jakąś wewnętrzną przemianę, jakby dokonywało się w nim przeciąganie liny. Nadal trzyma u siebie w pokoju pluszowego kraba i dwie pandy, ale na ścianie przykleił plakat Nirvany. Chociaż często się buntuje przeciwko konwencjonalnym nawykom i gustom, to jednak coraz bardziej ulega naciskowi swojej grupy rówieśniczej. Zaczyna niezdarnie zachowywać się jak naburmuszony nastolatek, nosi paskudne flanelowe koszule i szura po domu ciężkimi martensami. Długie włosy, które farbuje henną, spadają mu na oczy à la Cobain. Pozwalam mu na to, ale nie bezrefleksyjnie, i od czasu do czasu zmuszam go do obcięcia włosów, choć jest wtedy na mnie wściekły. Wybierając wojny, które jak sądzę, warto toczyć, staram się uwzględniać istotne czynniki. Nic czasami miewa humory, ale nie częściej niż inne znane nam dzieci. Zdarzają mu się drobne reprymendy – na przykład za napisanie w notatniku „Sophia jest do bani" (Sophia jest bardzo inteligentną dziewczynką z jego klasy). Innym razem musiał napisać list z prze-

prosinami za przeszkadzanie na lekcji hiszpańskiego. Najczęściej jednak dobrze sobie radzi w szkole. W podsumowaniu na koniec roku szkolnego jego wychowawczyni wspomina o rozwijającym się „poczuciu życzliwości i chęci dzielenia się z innymi", po czym konkluduje: „Zastanawiam się, jakie dary przyniesie światu".

Rozdział 3

Okolice miasteczka Inverness leżącego na półwyspie Point Reyes, godzinę jazdy na północ od mostu Golden Gate, kilka milionów lat temu znajdowały się w południowej Kalifornii. Ten lądowy cypel, kształtem przypominający strzałę, nieustannie przesuwa się na północ, w niespiesznym tempie dwóch i pół centymetra w ciągu roku. Okolice Inverness, podobnie jak sąsiednie grzbiety górskie, wzgórza i doliny oraz hektary otaczających je pól i pastwisk, wraz z całą tutejszą linią brzegową, za jakiś kolejny milion lat staną się wyspą u wybrzeży stanu Waszyngton.

Inverness jest oddzielone od reszty lądu zatoką Tomales, długą na dwanaście mil, która przecina postrzępioną linię brzegową oceanu dokładnie nad uskokiem San Andreas. Być może nieuchwytna obecność skrytej wśród wód oceanu granicy dwu płyt tektonicznych wyjaśnia unoszące się nad okolicą poczucie przemijania i kruchości życia, a także jego ulotnej gracji.

Miasteczko Point Reyes Station leży po stronie stałego lądu. Znajdują się w nim sklep spożywczy i zakład naprawy samochodów. Są dwie księgarnie i restauracje, które specjalizują się w lokalnym jedzeniu – organicznie produkowanej żywności, naturalnej hodowli i tradycyjnym wypasie bydła na łąkach. W Cowgirl Creamery robi się kręgi serów, produkowane z mleka z pobliskiej mleczarni rodziny Straussów. W Toby's Feed Barn można dostać typowe produkty lokalne: siano, lawendowe sole do kąpieli, świeżo tłoczoną oliwę z oliwek, suszone świńskie uszy, *crème fraîche* (francuską, lekko ukwaszoną śmietanę) od Straussów i lek odrobaczający dla szczeniaków. Dalej jest zakład fryzjerski, delikatesy, biuro handlu nieruchomościami, sklep żelazny i poczta.

Okolicę zamieszkuje dość różnorodne towarzystwo. Jest tu wiele rodzin imigrantów, w pierwszym i drugim pokoleniu, z Ameryki Łacińskiej i Meksyku, obok nich uciekinierzy z Hollywood, a także świetni rzemieślnicy, cieśle budujący domy, stolarze i murarze, rybacy i hodowcy ostryg, podstarzali hipisi (miasteczko wspiera sklep z farbami do farbowania tkanin techniką zawiązywania węzłów na materiale). Są tu byli menedżerowie z branży informatycznej, nauczyciele, artyści, właściciele farm i pracownicy rolni, ludzie spędzający tu lato lub weekendy, masażystki i miłośnicy jeździectwa, terapeuci wszelkich orientacji, specjaliści od środowiska. Jest także klinika me-

dyczna dla absolutnie wszystkich. Jest kilku starych zrzędów i nowa generacja starych zrzędów. Prawdę mówiąc, niektórzy mieszkańcy są otwarci, ale będą cię unikać, jeśli na składkowym barbecue tutejszej społeczności pojawisz się z hot dogiem zamiast tofu. Mieszkają tu osoby głęboko zaangażowane w sprawy społeczne – na przykład kobiety, które walczą o pokój na świecie, rozbierając się. Jeśli natomiast staniesz na ścieżce wśród krzaków jeżyn, które ktoś uważa za swoją własność, możesz zostać wyzwany od ostatnich. Niemniej Point Reyes raczej jest miejscem, gdzie panuje szczodrość i wspaniałomyślność.

Karen ma w Inverness niewielki dom z ogrodem, niedaleko miasteczka. W tym okresie zaglądamy do niego tak często, jak tylko się da. Im dłużej tam siedzimy, tym bardziej zaczynamy doceniać to staroświeckie małomiasteczkowe poczucie wspólnoty oraz niezwykłą urodę okolicy. Regularnie wyciągamy nasz stary kajak i spuszczamy go na wody strumienia Papermill Creek, wijącego się w sielankowym krajobrazie niczym srebrna wstążka. Wiosłując, mijamy wydry i w porze przypływu bierzemy kurs na ustronne zakola w górze zatoki. Tu wychodzimy na brzeg, żeby urządzić sobie piknik. Czasami na skalistej plaży znajdujemy groty strzał zrobione niegdyś przez lud Miwoków. Wędrujemy szlakami, które przecinają tereny nadmorskiego parku narodowego i stanowego parku krajobrazowego, gdzie wiosną kwitną miliony dzikich kwiatów. W połowie lata tutejsze pola przybierają barwę spłowiałego złota, dojrzewają jeżyny i kwitną olśniewająco piękne, niebieskie irysy. Zimą, przemoknięci, ubieramy się ciepło i wędrujemy po parku stanowym albo wzdłuż północnej i południowej plaży, w miejscu, gdzie fale Pacyfiku sięgają ponad sześć metrów, i patrzymy na migrujące pływacze szare.

Półwysep jest otoczony z trzech stron wspaniałą dziką przyrodą, jedną z najbardziej dziewiczych na świecie. Do niedawna Nic rzadko wybierał się na plażę – nie lubił piachu na skórze – ale szybko zaczął spędzać każdą chwilę w wodzie lub tuż obok niej. Jeździmy na plażę McClure, mijając falujące hektary żółtych kwiatów gorczycy, żeby dotrzeć na miejsce w porze odpływu. Idziemy wzdłuż brzegu w stronę skał, łapiąc równowagę na śliskich kamieniach. Patrzymy na rozbijające się fale, w basenach odpływowych szukamy małży, rozgwiazd, anemonów i ośmiornic. Nic obserwuje Karen, która zanurza się w zimnym oceanie w środku grudnia na plaży Limantour. Sam też wskakuje do wody. Chłoszczą się nawzajem długimi biczami z wodorostów. Po wyjściu z wody Nic długo trzęsie się z zimna. Zatoka Tomales jest cieplej-

sza. Pływając w niej, bawią się w ten sposób, że Karen stara się strącić Nica ze swoich pleców. Na piaszczystych plażach Drakes, Stinson i Bolinas Nic próbuje najpierw skimboardingu, na krótkiej desce. Potem przechodzi do bodyboardingu i wreszcie zaczyna surfować. Na desce wygląda naturalnie i elegancko. Im lepiej surfuje, tym bardziej mu się to podoba. Spędzamy wspólnie w oceanie najwspanialsze godziny. Sprawdzamy informacje o stanie morza, śledzimy prognozy pogody i jedziemy na plażę, kiedy pojawiają się fale odpowiedniej wielkości i wieje wiatr od lądu. Nic woskuje swoją deskę na plaży. Jest szczupły i silny, brązowy od słońca. Na szyi nosi pomarańczowe koraliki. Ma długie, gibkie kończyny, brązowe dłonie z brudnymi paznokciami i brązowe wąskie stopy. Jego świetliste oczy z gęstymi ciemnymi rzęsami są lekko skośne. Kiedy wciąga kombinezon z pianki do nurkowania, skórę ma jak foka.

Zauroczeni West Marin budujemy dom i studio malarskie w ogrodzie na wzgórzach Inverness i przenosimy się przed nastaniem jesieni, gdy Nic – pełen obaw – zaczyna szóstą klasę w nowej szkole.

Pierwszego dnia po jego powrocie ze szkoły siadamy na krzesłach z wysokimi oparciami przy fioletowym kwadratowym stole. Nic mówi, że chyba jednak polubi szkołę.

– Nauczycielka spytała, ilu z nas nienawidzi matematyki. Prawie wszyscy podnieśli ręce. Ja też. Na co ona powiedziała, że i ona nie znosiła matematyki. Potem się uśmiechnęła i obiecała, że gdy z nami skończy lekcje, żadne z nas już nie będzie nienawidziło matematyki.

Opowiada, że w szkole jest wiele sympatycznych dzieci. Mówi, że kiedy go podrzuciliśmy na lekcje i szedł korytarzem, jakiś chłopiec zawołał do niego po imieniu!

Obejrzał się.

– Ucieszyłem się, ale potem pomyślałem, że wołał do kogoś innego, a ja machałem do niego jak kompletny idiota. Ale nie, chodziło o mnie. Pamiętał mnie, bo byłem przedtem z wizytą w tej szkole.

Po drugim dniu Nic opowiada, że inny chłopiec nazwał go swoim przyjacielem.

– Ten rudy chłopiec wręczył mi kij hokejowy na zajęciach wychowania fi-

zycznego. Kiedy jakiś dzieciak zwrócił uwagę, że to on pierwszy miał ten kij, rudy chłopiec powiedział, że to dla jego przyjaciela, Nica.

Świetnie wygląda w spodniach, które zsuwają mu się luźno z bioder, w koszulce z Primusem albo Nirvaną, nastoletni, nieco przygarbiony, z włosami ufarbowanymi na pomarańczowoczerwono. A jednak zasadniczo zależy mu tylko na jednym: żeby po powrocie do domu móc powiedzieć: „Tato, zawarłem dziś dwie nowe przyjaźnie".

W jakiś piątek kilkoro dzieci przychodzi do nas na małe przyjęcie. Jedziemy na plażę do Stinson, gdzie bawią się w berka na piasku, grają w plażową piłkę nożną, Nic uczy ich pływania na desce. Mają już w ciele pewną wczesnonastoletnią niezdarność, która jednak znika, gdy zaczynają bawić się jak znacznie młodsze dzieci, koziołkując po piasku, siłując się i śmiejąc nieprzytomnie. Przed nadejściem zmroku jedziemy do domu, gdzie grają w „Twistera" i w „Prawdę czy wyzwanie", podczas której padają ryzykowne pytania, jak choćby „Czy myślisz, że Skye jest ładna?" (Nic tak myśli. Skye ma brązowe włosy, duże oczy. Kiedy ktoś przy nim wymieni jej imię, Nic oblewa się rumieńcem. Wieczorami długo rozmawia z nią przez telefon, czasami ponad godzinę). Inne pytanie brzmi: „Kto powinien wygrać w śmiertelnej walce między Batmanem a Hulkiem?". Wyzwania w tej grze polegają na ugryzieniu papryczki jalapeño i pocałowaniu lalki Barbie. Jedzą pizzę i popcorn, o dwudziestej drugiej odbierają ich rodzice.

Razem z Karen chodzimy na przedstawienia szkolne i wystawy prac uczniów. Nic gra Violę w *Wieczorze trzech króli* Szekspira oraz George'a Gibbsa w *Naszym mieście*. Rodzice zostają także zaproszeni do wysłuchania wystąpień dzieci poświęconych różnym krajom. Nic dostaje Boliwię. Najpierw pokazuje kraj na mapie własnej roboty o rozmiarach plakatu, potem opowiada o jego historii, topografii, rolnictwie, produkcie całkowitym brutto, a na koniec śpiewa skomponowaną przez siebie piosenkę. „Olivia, och, Olivia", śpiewa, „Tam w La Paz, w Boliwii, nie ma mojej Olivii". Akompaniuje sobie na gitarze.

Nic rysuje serię obrazków przedstawiających postać nazwaną Superkrowa Mścicielka. Krowa udziela porad na temat odżywiania. W ramach pracy domowej z przyrody Nic obstawia naszą wannę i kabinę prysznicową wiadrami i miarkami, mierząc ilość wody, jaką w nich zużywamy (prysznice są o wiele bardziej eko). Przy okazji innych zajęć z nauk przyrodniczych testuje na pió-

rach pokrytych olejem używane w domu środki czystości i rozpuszczalniki, żeby zobaczyć, jaki środek pomoże najskuteczniej oczyścić pióra dzikich ptaków, kiedy ropa naftowa wyleje się do morza. Zwycięża płyn do mycia naczyń Dove. Piecze jabłko w piecyku i obserwuje przez szybkę jego dezintegrację, po czym pisze relację, opowiadając z perspektywy jabłka: „Zaczyna się odwodnienie. Wzdycham. Halo, jest tam ktoś? Czy ktoś mnie słyszy? Tutaj robi się coraz goręcej…".

Każdego ranka i po południu, na trasie pomiędzy Point Reyes Station a szkołą, któreś z rodziców zabiera Nica i jego kolegów. Kiedy wypada moja kolej, czasami dokształcam Nica i jego przyjaciół w materii utworów van Morrisona oraz The Kinks, a także objaśniam gitarowe solówki Jormy Kaukonena, Jimmiego Page'a, Jeffa Becka, Robina Trowera, Duanne Allmana i Roniego van Zanta. (Zalecam im granie na wirtualnej gitarze). Nic i jego przyjaciele często bawią się w narzekanie, wynalazek Karen. Nic, naśladując *Newlywed Game* Boba Eubanksa, jest konferansjerem i objaśnia zasady. Uczestnicy dostają punkty w skali od jednego do dziesięciu, za ulżenie sobie. Dzieciaki zazwyczaj narzekają na swoje denerwujące rodzeństwo, na palantów w szkole, na niesympatycznych nauczycieli, ogrowatych rodziców. Prozaiczne narzekania dostają średnią liczbę punktów. Jeśli ktoś się przyzna, że ma koszmary senne, od kiedy obejrzał horror, w którym zadźgano kilka nastolatek i ktoś został pogrzebany żywcem, dostaje osiem punktów. Pewna dziewczynka dostała dziesięć punktów i oklaski za opowieść o tym, jak została porwana przez swojego ojca. Chłopiec, który z wściekłością opowiada, jak matka zawlokła go do kolejnych ośmiu miast z czterema kolejnymi mężami, też dostaje dziesiątkę. Po miesiącach wysłuchiwania takich historii pewna dziewczynka, kiedy przychodzi jej kolejka, skarży się: „Jestem za normalna. Moi rodzice się nie rozwiedli i mieszkam ciągle w tym samym domu". Inne dzieci współczująco także przyznają jej dziesięć punktów.

Szukając szczeniaka w Humane Society, Karen zakochuje się w niezbyt pięknie pachnącym, zagłodzonym psie o smutnych oczach, który siedzi ze skrzyżowanymi łapami na cementowej podłodze schroniska. Zabiera Moondoga do domu, a oprócz niego przynosi jeszcze kłębek czekoladowego futra, szczeniaczka labradora, którego nazwaliśmy Brutus. Moondog, który nigdy nie był w mieszkaniu, sika na podłogę i obgryza drewniane meble. Pędzi po domu, ujadając, ilekroć słyszy odgłos przejeżdżającego samochodu albo kiedy ktoś podchodzi do drzwi frontowych. Wyje na dźwięk odkurzacza. Brutus

podskakuje w trawie jak królik.

W każdą środę zabieramy psy i jedziemy na obiad do domu rodziców Karen. Nancy i Don mieszkają w dużym drewnianym domu, kształtem przypominającym stodołę, przyklejonym do zbocza zalesionego kanionu, pół godziny jazdy od Inverness. Pokój główny jest ogromny i przestronny, ma wielkie przesuwane, szklane drzwi wykonane z jednej tafli, o wysokości ośmiu metrów. Na półkach od podłogi do sufitu, zajmujących dwie ściany salonu, stoją książki poświęcone muszlom, skałom, drzewom i ptakom. Są tu także portrety trójki ich dzieci (Karen, w wieku około pięciu lat, ma szerokie, brązowe brwi i ciemne włosy spięte do tyłu), jeżowce, cynowo-ołowiane talerze i obraz przedstawiający świstaka.

Don jest emerytowanym lekarzem. (Karen dorastała, czekając w samochodzie, aż skończy wizyty domowe). Hoduje pomidory i kabaczki na tarasowatym ogrodzie, ale większość czasu spędza w swoim gabinecie na piętrze, zajmując się bieżącą pracą: ocenia badania dotyczące skuteczności nowych leków.

Nancy, jego żona od ponad pięćdziesięciu lat, codziennie pracuje w ogrodzie. Ma szare oczy i srebrne włosy przycięte na pazia. Jest pełna życia, ładna, subtelna, imponująca.

Żadne z dzieci Dona i Nancy nie mieszka dalej niż w San Francisco, więc o każdej porze można zastać jedno z nich przy kubku gorącej kawy i ciastkach, w czasie rozmowy z matką.

Cotygodniowe środowe obiady to hałaśliwe i pamiętne wieczory z Nancy i Donem, trójką ich dzieci, z ich rodzinami, okazjonalnymi gośćmi oraz kłębiącą się bandą naszych niesfornych psów, które okupują najlepsze miejsca na kanapach i nieupilnowane kradną jedzenie ze stołu.

Podczas tych obiadów Nancy relacjonuje nam wiadomości z gazet i telewizji o trujących materacach, molestowanych dzieciach, samobójstwach nastolatków, otruciach, wózkach w supermarketach zainfekowanych bakteriami, atakach rekinów, zderzeniach samochodów, śmiertelnych porażeniach prądem. Przy czym najczęściej są to opowieści o strasznej śmierci dzieci. Opowiada o pływaczce, która utonęła, ponieważ zbyt długo wstrzymywała oddech, że ktoś zginął w Mill Valley, kiedy drzewo upadło na jego samochód i całkowicie go zmiażdżyło. Relacjonuje wiadomości o tym, że wśród dzieci rekordy biją depresja, zaburzenia odżywiania i zażywanie narkotyków.

– Pewna dziewczynka utopiła się, kiedy włosy wkręciły się w odpływ jacuzzi – mówi pewnego dnia. – Chcę, żebyście o tym wiedzieli i byli ostrożni.

Te ostrzeżenia mają wzbudzić naszą czujność, ale nie można się przecież przygotować na każde możliwe nieszczęście. Dbałość o bezpieczeństwo to jedno, ale panika prowadzi donikąd, a nadmiar ostrożności może działać paraliżująco. Nieważne. Złe wieści leją się równolegle z sosem rozmarynowym.

Podczas jednego ze środowych obiadów w październiku 1993 roku siedzimy z Karen, wtedy w siódmym miesiącu ciąży, wokół kuchennego stołu razem z jej rodzicami, bratem i siostrą. Nic bawi się na dworze z Brutusem, gdy Nancy dzieli się z nami najnowszą, straszną wiadomością. Rzecz dzieje się w Petaluma, pół godziny jazdy na wschód od Inverness. Dwunastoletnia dziewczynka została uprowadzona ze swojej sypialni. Kilka koleżanek zostało u niej tego wieczora na noc. Jej matka była w domu w chwili porwania.

W ciągu kilku dni zdjęcia Polly Klaas, dziewczynki z długimi ciemnoblond włosami i delikatnym spojrzeniem, pojawiają się w każdym oknie sklepowym i na każdej budce telefonicznej. Wkrótce psychopata zostaje schwytany. Prowadzi policjantów na miejsce, gdzie ukrył zwłoki. Wszyscy znajomi rodzice opłakują śmierć Polly i wszyscy jeszcze bardziej pilnujemy teraz naszych dzieci.

Dzieci, które odwozimy razem z Nikiem do szkoły, obsesyjnie krążą myślami wokół morderstwa. Jedna z dziewczynek mówi, że na miejscu Polly zaczęłaby wrzeszczeć i uciekać. Inna odpowiada, że nie miałaby na to szans.

– Ten facet to był gigant, miał ponad dwa metry wzrostu.

Nic chwilę milczy, po czym mówi:

– Ale i tak trzeba krzyczeć i uciekać. Zawsze trzeba próbować.

Inny chłopiec dodaje, że sprawca miał wspólnika.

– Facet, który ją uprowadził, zrobił to dla gangu od prostytucji dziecięcej.

Zapada cisza. W końcu Nic przerywa milczenie pytaniem, czy facet naprawdę miał ponad dwa metry wzrostu.

– Miał dwa metry piętnaście centymetrów – precyzuje dziewczynka.

W gronie rodziców rozmawiamy o niespokojnym śnie i koszmarach sennych naszych dzieci. Dzieci reagują żartami, które zasłyszały w szkole, choć

dowcipy padające w samochodzie nie zawsze dotyczą Polly Klaas.

– Matka Jeffreya Dahmera mówi: „Jeffrey, naprawdę nie lubię twoich przyjaciół". Na co on odpowiada, „W porządku. Po prostu zjedz same warzywa".

Nic nie czyta gazet ani nie ogląda telewizji, ale nie może się całkiem odgrodzić od tych niepokojących wiadomości, ponieważ dzieciaki – w naszym samochodzie, na boisku – i tak obsesyjnie o nich rozmawiają.

Jasper przychodzi na świat na początku grudnia.

Don i Nancy przywożą Nica do szpitala, żeby zobaczył dziecko, kiedy ma ono zaledwie kilka godzin. Jasper ma zapuchnięte oczy, ponieważ lekarze coś mu do nich wkropili. Nic siedzi na różowym, wyścielanym fotelu obok Karen, która leży na szpitalnym łóżku i trzyma dziecko owinięte w kocyk, jak burrito. Przygląda mu się długo.

Można łatwo zapomnieć, jakie kruche i delikatne są dzieci tuż po urodzeniu. W domu w Inverness, kiedy Jasper śpi, zaglądamy do łóżeczka, żeby się upewnić, czy oddycha. Wydaje się, że jest z nami jakby na próbę i martwimy się, że może się nam wyśliznąć.

Robimy, co w naszej mocy, żeby ta zmiana była jak najłatwiejsza dla Nica, który lubi się bawić z Jasperem, i wydaje się, że braciszek go oczarował. Czyżbym starał się lukrować? Może. Ale wiem, że to dla niego skomplikowane. Nawet w najlepszych okolicznościach druga rodzina musi być dla dziecka z poprzedniego małżeństwa nieco przerażająca. Uspokajamy Nica, ale z pewnością zastanawia się, jakie miejsce w naszym życiu zajmie nowo narodzone dziecko.

Oboje z Karen jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Jasper nie chce spać, ale zawsze zasypia w samochodzie, więc zabieramy go na dłuższe wycieczki, krążąc po okolicy, żeby usnął. Poza tym niewiele się zmieniło. Nic i ja, często z jego przyjaciółmi, surfujemy, kiedy mamy wolną chwilę. Razem gramy na gitarach i słuchamy muzyki. Zdobywam bilety na koncert Nirvany w Oakland Coliseum na dzień przed sylwestrem 1993 roku, i umawiam się z matką Nica, żeby mógł przylecieć z Los Angeles. To niezapomniany wieczór. Kurt Cobain na scenie jest zachwycający, błyskotliwy, poruszający. Śpiewa:

Nie jestem jak oni

Ale mogę udawać

Słońce zaszło

Ale mam światło

Dzień się skończył

Ale bawię się dobrze

Moje serce pękło

Ale mam tu klej

Pomóż mi wziąć oddech

Sobą napraw je

Będziemy dryfować

I bujać się wśród chmur

Potem zejdziemy na ziemię

I będę miał kaca

Trzy miesiące później Nic, Karen i ja siedzimy w pokoju dziennym, wśród błękitnych paneli ściennych w ramach z olejowanej sekwoi. Salon jest oszczędnie umeblowany, stoją w nim bliźniacze kanapy przykryte pasami czerwonej jedwabnej tkaniny z Chin, którą Karen kupiła w niedrogim sklepie, i niedobranymi poduszkami. Patrzymy na Jaspera, który leży na podłodze, na kocyku. Przewraca się na plecy i próbuje pełzać, ale mu się nie udaje. Wreszcie Jasper staje we właściwej pozycji, na czworakach, sapie, dyszy i kołysze się do przodu, w końcu zaczyna płakać. Kiedy udaje mu się pełzać, porusza się bokiem, jak krab.

Rano Nic jak zwykle idzie do szkoły. Ale kiedy wraca, widzę po wyrazie jego twarzy, że jest przygnębiony. Spuszcza plecak na podłogę, patrzy na nas i mówi, że Kurt Cobain strzelił sobie w głowę. Z jego pokoju słyszę głos Cobaina.

Widzę, że to trudne, trudno to dostrzec,

Ale co tam, nie ma o czym gadać.

Na jesieni Nic idzie do siódmej klasy. Anne Lamott w swojej książce *Operating Instructions* napisała „Siódma i ósma klasa była dla mnie, i dla każdej dobrej i ciekawej osoby, jaką kiedykolwiek znałam, tym, co mieli na myśli ci, którzy spisali Biblię, kiedy używali słów *piekło* i *otchłań*. (…) Nadszedł kres wszelkiego, choćby najdrobniejszego poczucia, że jest się w porządku. Nie było się. Nagle stawało się postacią ze zdjęć Diane Arbus. To była wiosna dla Hitlera i Niemiec". Obecnie rodzice mają poważniejsze powody do zmartwień, niż nastoletnia niezgrabność i okrucieństwo. Znajoma kierowniczka szkoły średniej niższego stopnia powiedziała mi, że nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, ale dla uczniów ten okres jest teraz gorszy niż dawniej. „Nie mogę uwierzyć w to, co oni robią sobie samym i sobie nawzajem", opowiada. W ankiecie przeprowadzonej w 1940 roku wśród nauczycieli szkół publicznych do najważniejszych problemów dyscyplinarnych zaliczono zabieranie głosu poza kolejnością, żucie gumy, bieganie po korytarzach, naruszanie zasad dotyczących stroju i śmiecenie. Ponad pięćdziesiąt lat później głównymi problemami były narkotyki i alkohol, ciąże małoletnich, samobójstwa, gwałty, kradzieże i napaści.

Kiedy Nic zaczyna naukę w siódmej klasie, wydaje się, że nadal lubi bawić się z Jasperem, którego pierwsze słowo brzmi „kaczka", a po nim „banan", „piesio" i „Nicky". Nic w tym czasie odkrywa nieoczekiwane korzyści z tego, że w rodzinie jest małe dziecko. Dziewczęta z jego klasy koniecznie chcą zobaczyć Jaspera. Podchodzą do nas, żeby się z nim pobawić – noszą go na rękach, kołyszą i przebierają. Nic jest zachwycony swoim rosnącym haremem.

Ale jest także coraz mniej zainteresowany towarzystwem dzieci, z którymi podwozimy go do szkoły. Coraz więcej czasu spędza z chłopcami z nastroszonymi włosami, którzy jeżdżą na deskorolkach i gadają o dziewczynach, choć poza tym się nimi nie interesują, i słuchają muzyki Gun's and Roses, Metalliki, Primusa, Jimmiego Hendrixa. Jak zawsze, Nic jest eklektyczny – i kapryśny – w swoich upodobaniach. Wydaje się, że nigdy nie traci sympatii do części ze swoich odkryć – Björk, Tom Waits, Bowie – ale poza tym najchętniej idzie za nowościami, które szybko porzuca znudzony. Zanim jakiś zespół, czy to będzie Weezer, czy Blind Melon, Offspring czy Green Day, zdąży nagrać płytę, która staje się przebojem, Nic porzuca ją na rzecz muzyki retro, mało znanej albo po prostu dziwacznej. Na tej liście jest zarówno Coltraine,

jak i kolekcja polek, ścieżka dźwiękowa *Parasolek z Cherbourga*, John Zorn, M.C. Solar, Jacques Brel, czy w pewnym okresie samba, w rytm której przepływa po salonie krokiem cha-cha. Odkrywa także Pearl Jam i piosenkę *Jeremy*, o nastoletnim chłopcu z Teksasu, który zastrzelił się na oczach swoich kolegów na lekcji angielskiego. Nauczycielka poprosiła go, żeby poszedł do sekretariatu po zaświadczenie o spóźnieniu. Wrócił i powiedział do niej „Proszę pani, tak naprawdę poszedłem po to" i skierował ku sobie przyniesioną broń. Ale najczęściej Nic słucha Nirvany. Muzyka dudni z jego pokoju jak ogień zaporowy.

Czuję się głupi i zaraźliwy

Oto jesteśmy, teraz nas zabawcie

Na początku maja pewnego dnia odbieram Nica po szkole, żeby go zawieźć na obiad do Nancy i Dona. Kiedy wsiada do samochodu, czuję zapach papierosów. Początkowo wszystkiego się wypiera. Mówi, że spędzał czas z chłopcami, którzy palili, ale sam nie palił. Kiedy go przyciskam, przyznaje jednak, że parę razy pociągnął, w grupie chłopców, którzy palili za budynkiem sali gimnastycznej. Robię mu wykład, a on obiecuje, że więcej tak nie postąpi.

W następny piątek po lekcjach Nic gra w piłkę w naszym ogrodzie w Inverness z kolegą, u którego ma spędzić noc. Pakuję dla niego rzeczy do torby i szukam jakiegoś swetra w jego plecaku. Nie znajduję swetra, ale odkrywam paczuszkę marihuany.

Rozdział 4

Kiedy byłem dzieckiem, moja rodzina mieszkała niedaleko Walden Pond, w Lexington, w stanie Massachusetts. Obok naszego domu znajdowała się farma, na której rosły jabłonie, uprawiano zboże, kukurydzę, pomidory, stał rząd ustawionych obok siebie uli. Mój ojciec był inżynierem chemikiem. Kiedyś obejrzał w telewizji jakąś reklamę, która namawiała, żeby „zawieźć swoje zatoki do Arizony". Ojciec cierpiał na katar sienny, więc posłuchał wezwania. Udało mu się znaleźć pracę w fabryce półprzewodników w Phoenix. I tak pewnego dnia ruszyliśmy jasnozielonym studebakerem na zachód, po drodze nocując w motelach i żywiąc się w barach Denny's i Sambo's.

Osiedliliśmy się w Scottsdale i przez pewien czas mieszkaliśmy w motelu, czekając, aż skończy się budowa naszego domu. Nowa praca mojego ojca, w fabryce Motoroli, polegała na wytwarzaniu, krojeniu i pokrywaniu ścieżkami silikonowych płytek, na których instalowano tranzystory i mikroprocesory. Moja matka pisała felietony dla pisma „Scottsdale Daily Progress" poświęcone naszej szkole i okolicy – zwycięzcom konkursów popularnonaukowych i rozgrywkom Little League.

Razem z przyjaciółmi często wspominamy nasze dzieciństwo, czasy, gdy wszystko wyglądało inaczej. Tamten świat był o wiele bardziej niewinny i bezpieczniejszy. Razem z siostrą, bratem i resztą dzieciaków z naszej okolicy bawiliśmy się na ulicach aż do zmierzchu, kiedy to matki wołały nas do domu na kolację. Bawiliśmy się w berka, w chowanego, chłopcy biegali za dziewczętami. Mając przed nosem telewizyjne kolacje na plastikowych tacach – pieczony kurczak, purée ziemniaczane z odrobiną masła, mus jabłkowy, wszystko w osobnych przegródkach – oglądaliśmy *Bonanzę*, *Cudowny* świat Walta Disneya, oraz *The Man from U.N.C.L.E.* Należeliśmy do drużyn skautów. Urządzaliśmy barbecue, budowaliśmy gokarty, piekliśmy ciasto w piecyku-zabawce mojej siostry, pływaliśmy w nadmuchanych dętkach samochodowych po rzekach Salt i Verde.

Jednak wcale nie jestem pewien, czy te sentymentalne wspomnienia oddają prawdę tamtych czasów. Nasze matki przekazywały sobie najświeższe wiadomości podczas rozmów, prowadzonych ściszonymi głosami, na chodnikach, podczas przyjęć, na których kupowały naczynia Tupperware albo grały w madżonga, i w salonach piękności, gdzie moja matka robiła sobie fry-

zurę. Najchętniej mówiły o pięćdziesięcioprocentowych przecenach i najmodniejszych dietach, ale w tych rozmowach pojawiała się także postać Charlesa Mansona. Szeptały, gdy powiesiło się dziesięcioletnie dziecko mieszkające na sąsiedniej ulicy. A potem o dziewczynce, mieszkającej dwa domy dalej, która zginęła w wypadku samochodowym. Kierowca, chłopak tylko trochę od niej starszy, był pod wpływem narkotyków.

Mieszkaliśmy niedaleko Meksyku, więc narkotyków nie brakowało i były tanie. Jednak, jak sądzę, położenie geograficzne nie miało znaczenia. W połowie lat sześćdziesiątych strumień poprzednio nieznanych albo niedostępnych narkotyków zalewał zarówno naszą szkołę, sąsiedztwo, jak i całą Amerykę. W mojej szkole średniej najpopularniejsza była marihuana. Dzieciaki kręciły się po lekcjach obok stojaka na rowery, sprzedając pojedyncze skręty po pięćdziesiąt centów albo jednouncjowe torebki po dziesięć dolarów. Można było zaciągnąć się jointem od kolegi w szkolnej toalecie albo w drodze do szkoły i z powrotem. Jeden z moich przyjaciół postanowił spróbować, jak to smakuje, po czym podzielił się z nami wrażeniami. Powiedział, że poprosił o skręta chłopaka, o którym wszyscy wiedzieliśmy, że ciągle chodzi upalony, i wypalił tego jointa w ogródku za domem rodziców. Bardzo kaszlał, nic nie poczuł, a potem wrócił do domu i zjadł pudełko ciasteczek Chips Ahoy. Wkrótce palił trawkę niemal codziennie.

Mniej więcej rok później, w 1968, jeden z chłopców z sąsiedztwa spytał mnie, czy mam ochotę na jointa. Byłem w pierwszej klasie szkoły średniej. Marihuana nie zrobiła na mnie większego wrażenia, ale też nie miałem po niej halucynacji i nie próbowałem odlecieć z dachu naszego domu, jak przypuszczalnie działo się z córką Arta Linklettera, gdy sięgnęła po LSD. Rzecz wydawała się niewinna, więc bez namysłu postanowiłem spróbować jeszcze raz, gdy w domu innego kolegi jego starszy brat podał mi żarzącego się skręta przytrzymywanego przez spinacz do bielizny.

Nie mówiło się tego na głos, ale palenie, z towarzyszącą mu aurą nielegalności, stanowiło przepustkę do jakiegoś mgliście określonego lepszego kręgu towarzyskiego. Uczucie, że do niego należę, przyniosło mi pewną ulgę po okresie samotności, która dręczyła mnie w młodszych klasach szkoły średniej. Śmiałem się teraz częściej i czułem się dowcipniejszy, kiedy zabawiałem moją upaloną – to znaczy mniej wymagającą – publiczność. Znalazłem doraźne remedium na moją niepewność siebie. Zacząłem wszystko przeżywać – muzykę, przyrodę – o wiele bardziej intensywnie, wyraziście, no i nie byłem

już taki nieśmiały w towarzystwie dziewcząt. Korzyść, której nie sposób przecenić w przypadku czternasto-, piętnastoletniego chłopca. Świat wydawał mi się jednocześnie bardziej tajemniczy i bardziej sugestywny. Prawdopodobnie jednak to nie dlatego paliłem. Niezależnie od nieustającej presji ze strony rówieśników, niezależnie od ekscytacji i poczucia buntu, kiedy zapalało się jointa, niezależnie od poczucia wspólnoty i od tego, że palenie pomagało mi złagodzić skrępowanie i niepewność siebie… Niezależnie od tego wszystkiego marihuana pozwalała mi coś poczuć wtedy, gdy prawie nic nie czułem. Pomagała też blokować przeżywane uczucia, kiedy czułem za wiele. Dokładnie w taki sam sposób, w jaki pod wpływem palenia wszystko stawało się bardziej zamazane, a jednocześnie bardziej intensywne, dzięki marihuanie czułem więcej i czułem mniej.

Ludzie w moim wieku często powtarzają, że wtedy narkotyki były inne: trawka nie tak mocna, a środki psychodeliczne – czystsze. To prawda. Testy marihuany wykazały, że obecnie w przeciętnym joincie albo w fajce jest dwa razy więcej THC, czynnika aktywnego, niż w trawce sprzed dziesięciu lat, która i tak była już mocniejsza od tej z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Często spotyka się doniesienia, że środki psychodeliczne i pigułki ecstasy są dziś wzbogacane o metamfetaminę i inne narkotyki albo substancje, które je zanieczyszczają – czy wręcz przez nie zastępowane. Choć i w czasach mojej młodości słyszało się o dzieciakach wciągających drano (środek czyszczący, używany do wyrobu metylokatynonu) zamiast kokainy. Ale jedna rzecz na pewno się zmieniła. Liczne badania jednoznacznie wykazały, że narkotyki, w tym marihuana, niosą za sobą groźne fizyczne i psychiczne konsekwencje. My natomiast uważaliśmy, że są bezpieczne. Nie były. Wiem, że niektórzy z tęsknotą spoglądają na stare dobre czasy „nieszkodliwych" narkotyków. Oni wyszli z tego cało, ale wielu innym się to nie udało. Zdarzały się różne wypadki, samobójstwa, przedawkowanie. Nadal widuję mnóstwo osób – ofiar narkotyków z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – które, często bezdomne, snują się po ulicach. Niektóre z nich gorączkowo rozprawiają o spiskach. Najwyraźniej to cecha wspólna uzależnionych od narkotyków i alkoholików. „Jak wódka zaczynała robić w nim swoje, wymyślał najczęściej na rząd", wspominał swojego pijanego ojca Huck Finn, bohater *Przygód Tomka Sawyera*.

I tak przez całe dzieciństwo Nica, odkąd skończył siedem czy osiem lat,

rozmawiałem z nim o narkotykach. Rozmawiałem z nim o nich „wcześnie i często", w sposób zalecany przez Partnerstwo na rzecz Ameryki Wolnej od Narkotyków. Opowiadałem mu o ludziach, którzy zostali przez nie okaleczeni albo zabici. Powiedziałem też o moich własnych błędach. Starałem się wychwycić wczesne sygnały ostrzegawcze nastoletniego alkoholizmu albo nadużywania narkotyków. (Numer piętnaście na liście jednej z organizacji: „Czy twoje dziecko nagle na ochotnika zgłasza się, żeby posprzątać po przyjęciu, ale zapomina o innych domowych obowiązkach?").

Kiedy byłem dzieckiem, rodzice prosili mnie, żebym trzymał się z dala od narkotyków. Podchodziłem do tego lekceważąco, ponieważ nie mieli pojęcia, o czym mówią. Byli wtedy – i są nadal – abstynentami, a ja znałem narkotyki z pierwszej ręki. Kiedy sam ostrzegałem Nica, sądziłem, że moje słowa są wiarygodne.

Wielu specjalistów od problemów narkotykowych mówi rodzicom z mojego pokolenia, żeby w rozmowach z własnymi dziećmi kłamali na temat swojej narkotykowej przeszłości. Z tego samego powodu, z jakiego może to przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, gdy sławni sportowcy, którzy pokazują się w szkołach albo w telewizji, mówią dzieciakom: „Człowieku, nie bierz tego gówna, sam prawie umarłem", a jednocześnie stają przed nimi obwieszeni diamentami, złotem, w blasku milionowych zarobków, otoczeni sławą postaci z reklam na pudełkach z owsianką. Mówią: „Cudem przeżyłem". Ale dzieciaki słyszą przesłanie: „Przeżyłem. Udało mi się. Wam też się może udać". Młodzi ludzie widzą, że ich rodzice, mimo zażywania narkotyków, poradzili sobie całkiem dobrze. Może więc powinienem był kłamać i ukrywać przed Nikiem, że sam zażywałem narkotyki, ja jednak powiedziałem i znał prawdę. Na razie byliśmy ze sobą tak blisko związani, że nie miałem wątpliwości – na pewno się zorientuję, jeśli Nicowi zacznie coś zagrażać. Naiwnie wierzyłem, że jeśli poczuje pokusę, żeby po nie sięgnąć, o wszystkim mi powie. Myliłem się.

Nadal jesteśmy bliżej końca zimy niż początku wiosny, w to chłodne, zamglone, majowe popołudnie, gdy w powietrzu unosi się zapach palonego drewna – wspomnienie popołudniowego ogniska. O tej porze roku słońce kryje się wcześniej za wzgórzami i rzędem topoli, więc choć jest dopiero czwarta po południu, podwórko jest spowite cieniem. Mgła wiruje chłopcom wokół stóp, kiedy podają sobie piłkę tam i z powrotem. Ale w ich grze nie ma

energii. Wydaje się, że bardziej są zainteresowani rozmową, może o dziewczętach, zespołach rockowych albo o farmerze, który zastrzelił wczoraj wściekłego psa w Point Reyes Station.

Chłopiec, z którym Nic gra w piłkę, jest muskularny. Widać, że ćwiczy w siłowni, popisuje się swoimi bicepsami i umięśnioną klatką piersiową, opiętą obcisłym T-shirtem. Nic ma na sobie za duży, szary rozpinany sweter – mój. Patrząc na jego posklejane włosy, znużenie malujące się na twarzy i powolność ruchów, każdy domyśliłby się, że zaczął palić trawkę, jeśli nie gorzej. A jednak mimo jego stroju, mimo jego zmiennych humorów – narastającego znudzenia i chmurnego zamknięcia się w sobie – a także nowych kolegów, wśród których teraz się obraca, w tym kilku szkolnych twardzieli o flegmatycznym spojrzeniu, kiedy patrzę na Nica, widzę młodzieńczą witalność, radość i niewinność. Dziecko. Dlatego jestem zdumiony na widok starannie zapakowanych, zielonych pączków marihuany, które trzymam w dłoni.

Karen siedzi w salonie na kanapie, pochylona nad swoim dziennikiem, rysuje coś tuszem. Jasper śpi obok niej na kanapie, leżąc na plecach z zaciśniętymi małymi piąstkami.

Kiedy do niej podchodzę, Karen podnosi wzrok.

Pokazuję jej marihuanę.

– Co to jest? Skąd to…? – A potem: – Co? U Nica? – Ale to nie brzmi jak pytanie. Wie.

Jak zwykle staram się opanować narastającą we mnie panikę, próbując rozbroić jej lęk.

– To się musiało kiedyś wydarzyć. Poradzimy sobie z tym.

Stojąc na ganku, wołam chłopców. Przychodzą. Nic trzyma w dłoni piłkę, oddycha ciężko.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Patrzą na moją wyciągniętą dłoń, na której leży marihuana.

– O – mówi.

Sztywnieje na moment, czeka potulnie. Podbiega Moondog i nosem trąca go w nogę. Nic nie należy do osób, które będą się zapierać w obliczu twardych dowodów. Rzuca mi niepewne spojrzenie. W jego dużych oczach widzę

niepokój, stara się wyczuć, jak wielkie będą kłopoty.

– Chodź do środka.

Razem z Karen stajemy naprzeciw chłopców. Spoglądam na nią, szukając jakiejś wskazówki, ale jest równie niepewna jak ja. Jestem wstrząśnięty nie tylko odkryciem, że Nic pali trawkę, ale także jeszcze bardziej niepokojącym faktem, że nie miałem o tym pojęcia.

– Od jak dawna palicie to świństwo?

Chłopcy przyparci do muru spoglądają na siebie.

– To pierwszy raz, jak kupiliśmy – mówi Nic. – Próbowaliśmy jeszcze tylko raz.

Zastanawiam się, czy mu uwierzyć. Ta myśl także wprawia mnie w pomieszanie, to coś, co nigdy nie przyszło mi do głowy. Oczywiście, że mu wierzę. Nie okłamałby mnie. Na pewno? Znam rodziców dzieci, które nieustannie mają kłopoty w szkole i w domu. Najbardziej przygnębiającym elementem tych historii jest kłamstwo.

– Powiedzcie mi dokładnie, jak to było.

Spoglądam na jego przyjaciela, który dotychczas się nie odezwał. Utkwił wzrok w podłodze. Nic odpowiada za nich obu:

– Wszyscy to robią.

– Wszyscy?

– No prawie wszyscy.

Nic wpatruje się w swoje długie palce chłopięcych dłoni, które trzyma płasko na stole. Zaciska pięści, wsuwa do kieszeni.

– Skąd to macie?

– Od jakiegoś chłopaka.

– Kto to jest?

– To nieważne.

– Nie, to ważne.

Podają nazwisko chłopca.

– Chcieliśmy tylko zobaczyć, jak to jest – mówi Nic.

– I co?

– Nic wielkiego.

Przyjaciel Nica pyta, czy zamierzam zadzwonić do jego rodziców. Kiedy mówię, że tak, zaczyna błagać, żebym tego nie robił.

– Bardzo mi przykro, ale oni muszą o tym wiedzieć. Zamierzam zadzwonić do nich, a potem zabiorę cię do domu.

– A mieliśmy spać razem – przypomina Nic.

Patrzę na niego groźnie.

– Zabierzemy go do domu, a potem porozmawiam z tobą.

Wciąż patrzy w podłogę.

Ojciec chłopca dziękuje mi, że mu o wszystkim powiedziałem. Mówi, że jest zaniepokojony, ale nie jest całkiem zaskoczony.

– Przechodziliśmy przez to przy okazji naszych starszych dzieci – opowiada. – Myślę, że oni wszyscy przez to przechodzą. Porozmawiamy z nim. – Po czym zrezygnowanym głosem dodaje. – Jesteśmy ciągle zajęci. Nie mamy czasu go przypilnować.

Kiedy dzwonię do matki chłopca, który sprzedał im trawkę, jest wściekła, zdecydowanie zaprzecza, jakoby jej syn miał z tym coś wspólnego. Odbija piłeczkę i mówi, że Nic i jego kolega próbują ściągnąć kłopoty na jej syna.

Kiedy zostaję sam na sam z Nikiem, jest skruszony, potulnie kiwa głową, gdy mówię mu, że razem z Karen postanowiliśmy go uziemić.

– Tak, rozumiem.

Nasze rozumowanie wygląda następująco. Nie chcieliśmy zareagować przesadnie, ale jeszcze bardziej nie chcieliśmy zareagować za słabo. Nałożyliśmy na niego karę, by mu pokazać, jak poważnie traktujemy złamanie zasad obowiązujących w naszym domu i w naszych relacjach. Zachowania mają swoje konsekwencje i mamy nadzieję, że te konsekwencje będą dla niego wystarczająco dotkliwe. W dodatku niepokoi mnie jego nowy krąg szkolnych znajomych. Rozumiem, że nie mogę wybierać Nicowi przyjaciół i zakazywać mu zadawania się z tymi chłopcami, ponieważ wtedy staliby się jeszcze bardziej atrakcyjni, ale przynajmniej mogę zminimalizować czas, jaki z nimi

spędza. Poza tym chcę mieć na niego oko. Spróbować się zorientować, co się dzieje.

– Na jak długo jestem uziemiony?

– Zobaczymy, jak sprawy się potoczą w następnych dwóch tygodniach.

Siadamy na kanapach naprzeciwko siebie. Wydaje się, że Nic jest autentycznie skruszony.

– Dlaczego chciałeś spróbować trawki? – pytam. – Jeszcze nie tak dawno krzywiłeś się na samą myśl, żeby cokolwiek zapalić, nawet papierosa, nie wspominając o marihuanie. Razem z Thomasem – wspominam jednego z jego przyjaciół z miasta – mieliście kłopoty, kiedy wyrzucaliście papierosy jego matce.

– Nie wiem.

Sięga po czerwony pisak, który leży na stoliku do kawy, i zaczyna kreślić na gazecie przecinające się linie.

– Myślę, że byłem ciekawy – dodaje po chwili. – I tak mi się nie podobało. Poczułem się tak jakoś. Nie wiem. Dziwnie. – A potem dorzuca: – Nie musisz się martwić. Nigdy więcej tego nie spróbuję.

– A próbowałeś innych narkotyków?

Jego spojrzenie, pełne niedowierzania, przekonuje mnie, że mówi prawdę.

– Wiem, że to było głupie – mówi. – Ale nie jestem aż taki głupi.

– A piłeś?

Czeka chwilę, po czym odpowiada:

– Upiliśmy się. Raz. Ja i Philip. To było na wypadzie na narty.

– Na wypadzie na narty? Nad jezioro Tahoe?

Potakuje.

Przypominam sobie długi weekend w środku zimy, zanim Jasper przyszedł na świat, gdy wynajęliśmy domek w Alpine Meadows. Pozwoliliśmy wtedy Nicowi zabrać ze sobą Philipa, jednego z przyjaciół, którego lubiliśmy, chłopca o miłym usposobieniu, mówiącego cichym głosem. Jest nieduży, nosi grzywkę. Przyjaźnimy się z jego rodzicami.

Przyjechaliśmy w góry wieczorem, tuż przed śnieżycą, która zasypała drogi. Rankiem sosny były pokryte bielą. Nic jeździł wcześniej na nartach, ale tym razem postanowili z Philipem spróbować snowboardingu. Jako surfer Nic sądził, że będzie mu łatwo się przestawić.

– Ślizgasz się po powierzchni śniegu zamiast wody – powiedział. – I tu, i tam chodzi o równowagę i grawitację.

Może, ale większość pobytu koziołkował w dół zbocza, zanim w końcu udało mu się złapać, o co chodzi.

Pytam go teraz:

– Kiedy mieliście okazję się napić? I skąd wzięliście alkohol?

Kołysze się w tył i w przód na kanapie.

– Pewnego wieczoru ty i Karen poszliście wcześnie spać. Siedzieliśmy przy kominku i oglądaliśmy telewizję. Nudziliśmy się i chcieliśmy zagrać w karty, ale nie mogłem znaleźć żadnej talii. Zacząłem się rozglądać i wtedy natknąłem się na barek z alkoholem. Wzięliśmy szklaneczki i nalaliśmy sobie po trochu wszystkiego – tylko odrobinę, tak, żeby nikt się nie zorientował. Rumu, burbona, ginu, sake, tequili, wermutu, szkockiej, jakiegoś zielonego świństwa, krem de coś tam – przerywa, po czym kontynuuje: – Wypiliśmy wszystko. To było paskudne, ale chcieliśmy zobaczyć, jak to jest się upić i poczuć dobrze.

Pamiętam ten wieczór. Obudziły nas wtedy z Karen odgłosy chłopców, którzy wymiotowali. Jednocześnie, w dwóch łazienkach na dole. Poszliśmy sprawdzić, co się dzieje. Chorowali przez całą noc. Myśleliśmy wtedy, że złapali grypę.

Rankiem zadzwoniliśmy do matki Philipa.

– Tak, grypa krąży – przyznała.

Następnego dnia chłopcy źle się czuli podczas długiej jazdy do domu. W pewnym momencie, gdy nie zdążyliśmy zjechać na pobocze, Philip zwymiotował przez okno samochodu.

– To było tylko raz. Od tamtej pory niczego nie dotknąłem. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym.

Jego rozsądek jest rozbrajający, ale dla mnie ta informacja jest jak cios

w brzuch. Wścieka mnie nie tylko pijaństwo, ale także oszustwo. Mimo to doceniam szczerość Nica. Myślę, że przynajmniej ma czyste sumienie.

A potem mówi.

– Jeśli to cię jakoś pocieszy, nienawidzę tego wszystkiego. Nie chcę się tłumaczyć, ale… – i po chwili – to trudne.

– Co jest trudne?

– To trudne. Nie wiem. Wszyscy piją. Wszyscy palą.

Przypomina mi się jego ukochany Salinger, i słowa Franny: „Brzydzę się sobą, że nie mam odwagi być po prostu nikim”[4].

W poniedziałek dzwonię do jego nauczyciela i mówię, co się stało. Umawiamy się we trójkę, razem z Karen, po lekcjach. Zastajemy go w pustej klasie. Siadamy przy uczniowskich stolikach.

Nauczyciel podaje mi jeden ze szkolnych skoroszytów Nica – matematyka, geografia, literatura. Nic pokrył całą stronę rysunkami zrobionymi pisakiem: dziewczynka z dużym biustem i ogromnymi oczami, ludzie z pustym wzrokiem, inicjały wypisane dużymi literami. Pod względem stylu i treści te rysunki ostro kontrastują z muralem narysowanym kredą, przedstawiającym scenę z czasów średniowiecza, starannie wycieniowaną, która pokrywa całą zieloną tablicę z przodu klasy. Na innej ścianie wiszą przypięte wyraziste autoportrety uczniów. Bez trudu dostrzegam rysunek Nica: pospiesznie naszkicowany, bardziej jak karykatura, przedstawia chłopca z dzikim uśmiechem i ogromnymi, szeroko otwartymi oczami.

Nauczyciel jest zbudowany jak Ichabod Crane (postać z opowiadania *Legenda o Sennej Kotlinie* Washingtona Irwinga), ma przerzedzone, faliste, kasztanowe włosy, haczykowaty nos. Pochylając się do przodu na niewielkim krześle, kartkuje leżący przed nim folder z pracami Nica.

– W szkole radzi sobie dobrze – mówi. – Całkiem dobrze. Jestem pewien, że wiecie o tym. Jest przywódcą klasy. Potrafi wciągnąć inne dzieciaki, nawet takie, które niekoniecznie mają ochotę się angażować, w dyskusje, aż zaczynają się ekscytować.

– A co z marihuaną? – pyta Karen.

Nauczyciel, o wiele za duży jak na uczniowskie krzesło, w które się wcisnął, niespokojnie pochyla się na łokciach.

– Zauważyłem, że Nic jest zainteresowany chłopcami, którzy imponują innym dzieciakom. Takimi, którzy przemycają do szkoły papierosy i – ale tylko się domyślam – przypuszczalnie palą trawkę. To możliwe. Ale nie sadzę, aby mieli państwo powód do niepokoju. To normalne. Większość dzieciaków tego próbuje.

– Ale Nic ma tylko dwanaście lat – mówię.

– Tak. – Nauczyciel wzdycha. – Właśnie w tym wieku próbują. To silniejsze od nich. Muszą tego spróbować wcześniej czy później. Zwykle wcześniej.

Pytamy go o radę.

– Porozmawiajcie z nim o tym. Ja także z nim porozmawiam. Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, poruszymy ten temat w klasie. Nie będziemy wymieniać żadnych nazwisk – obiecuje.

– Zabroniłby mu pan bawić się z… – wymieniam nazwiska chłopców. – Wydaje się, że mają na niego nie najlepszy wpływ.

Liście na drzewach za oknem połyskują w popołudniowym słońcu, gdy nauczyciel przetrawia pytanie.

– Tak, zachęcałbym go do zdrowszych przyjaźni – mówi. – Ale nie jestem pewien, ile się uda państwu osiągnąć za pomocą zakazów. Z tego, co widziałem, mogę powiedzieć, że kiedy się dzieciom czegoś zakazuje, zwykle osiągają po kryjomu to, czego chcą. Lepsze skutki daje kierowanie nimi niż zakazy.

Poleca nam jakąś książkę o nastolatkach i obiecuje, że będziemy w kontakcie.

Na dworze jest wietrznie. Na boisku szkolnym nie ma nikogo oprócz czekającego na nas Nica. Siedzi na niewielkiej huśtawce w ogródku należącym do przedszkola, z podkulonymi długimi nogami.

Kiedy jesteśmy sami w sypialni, rozmawiamy z Karen, starając się poradzić sobie z naszym zdumieniem, opanować niepokój. Czego się obawiam? Wiem, że palenie marihuany może wejść mu w nawyk, a wtedy Nic może stracić zainteresowanie nauką. Martwię się też tym, co będzie, jeśli spróbuje pójść dalej i sięgnie po inne narkotyki. Ostrzegam Nica przed trawką.

– Naprawdę może prowadzić, często tak się dzieje, do zażywania twardych narkotyków – mówię.

Przypuszczalnie mi nie wierzy. Tak jak ja nie wierzyłem dorosłym, którzy mówili to samo, gdy byłem młody. Ale mimo mitu podtrzymywanego przez moje pokolenie, pierwsze, które masowo sięgało po narkotyki, marihuana rzeczywiście jest wstępem do innych. Niemal wszyscy moi znajomi, którzy w szkole średniej palili trawkę, próbowali innych narkotyków. A zarazem nie spotkałem nikogo, kto brał twarde narkotyki i nie zaczynał od marihuany.

Zaczynam krytycznie przyglądać się swoim wcześniejszym decyzjom, włącznie z przeprowadzką na wieś. Nigdy nie miałem złudzeń, że jakiekolwiek amerykańskie przedmieście czy osiedle za miastem albo nieduże miasteczko wśród pól, niezależnie od tego, jak bardzo leżałoby na uboczu, znajduje się wystarczająco daleko od świata, żeby uchronić nas przed niebezpieczeństwami kojarzonymi najczęściej z życiem w centrum wielkich miast. Ale sądziłem, że takie miasteczko jak Inverness musi być bezpieczniejsze niż Tenderloin. Teraz nie jestem tego pewny. Zastanawiam się, czy powinniśmy w ogóle wyprowadzać się z San Francisco. Ale przypuszczalnie nasza przeprowadzka nie ma żadnego znaczenia, to mogło wydarzyć się wszędzie, gdziekolwiek byśmy mieszkali.

Zaczynam wyrzucać sobie własną hipokryzję. Jak mogę mu mówić, żeby nie sięgał po narkotyki, skoro wie, że ja sam ich używałem? „Rób tak, jak ci mówię, a nie tak, jak ja robiłem". Mówię mu, że żałuję, że sięgałem po narkotyki. Opowiadam mu o przyjaciołach, którzy przez nie zrujnowali sobie życie. A jednocześnie w myślach, jak zawsze, obwiniam rozwód. Powtarzam sobie, że wiele dzieci całkiem dobrze sobie radzi mimo rozwodu, a wiele dzieci z rodzin nierozwiedzionych sobie nie radzi. Mimo to nie da się w żaden sposób odkręcić tego, co jak wiem, stało się najbardziej traumatycznym wydarzeniem w życiu Nica.

Przez następne kilka dni nadal rozmawiam z Nikiem o narkotykach, o presji ze strony rówieśników i o tym, co naprawdę powinno mu imponować.

– To może dziś tak nie wyglądać, ale o wiele bardziej godne podziwu jest posiadanie jakiejś pasji, nauka, zdobywanie wykształcenia. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że najbardziej godne podziwu były dzieciaki, które trzymały się z dala od narkotyków. – Wiem, jak żałośnie brzmią moje słowa, i jak sam bym na nie zareagował w wieku Nica. „Tak, oczywiście". Mimo to

próbuję go przekonać, że wiem, o czym mówię, że rozumiem wszechobecność narkotyków, ciągłą presję, aby po nie sięgać, ich uwodzicielską moc.

Wydaje mi się, że Nic słucha z uwagą, choć nie jestem pewien, na ile to do niego dociera i czy w ogóle. Prawdę mówiąc, wyczuwam, że mój bliski związek z Nikiem się zmienił. Teraz to ja staję się od czasu do czasu obiektem jego irytacji. Czasami kłócimy się o niechlujnie odrobione lekcje albo niedokończone prace domowe. Ale jestem skonsternowany, ponieważ to wszystko mieści się w zakresie akceptowalnego nastoletniego buntu. Można się tego spodziewać.

Trzy tygodnie później wiozę Nica na umówioną wizytę lekarską. Ściszam muzykę z odtwarzacza kasetowego i jeszcze raz zaczynam. Wiem, że nie ma sensu nękać go w ten sposób, ponieważ zamknie się w sobie, ale nie chcę pominąć żadnej ważnej kwestii. Podczas rozmów, które ciągną się już od kilku tygodni, mój ton ciągle się zmienia, od ostrzeżeń po prośby. Dzisiaj jest mniej napięty. Mówię mu o naszej decyzji: razem z Karen uznaliśmy, że może już wychodzić z domu.

– Dzięki. – Kiwa głową.

Obserwuję go w ciągu następnych kilku tygodni. Mam wrażenie, że jego chmurny nastrój nieco minął. Dochodzę do wniosku, że incydent z marihuaną to była aberracja, może nawet pożyteczna, ponieważ nauczyła go czegoś ważnego.

Myślę, że tak właśnie było. Nic jest teraz w ósmej klasie, wszystko wygląda znacznie lepiej.

Rzadko zadaje się teraz z chłopcem, który miał (jestem o tym przekonany) na niego najgorszy wpływ – tym, który według Nica sprzedał mu skręta. (W tej sprawie wierzę Nicowi, a nie matce chłopca). Mnóstwo czasu spędza na surfowaniu razem ze swoimi przyjaciółmi z West Marin. Surfujemy także razem. Jeździmy wzdłuż wybrzeża, na północ, na południe, ścigając fale od Santa Cruz po Point Arena. Podczas tych wycieczek mamy mnóstwo czasu na rozmowy i Nic wydaje mi się otwarty, pełen optymizmu. W szkole także nie brakuje mu motywacji. Zależy mu na dobrych stopniach po części dlatego, że chce zwiększyć swoje szanse na przyjęcie do jednej z miejscowych prywatnych szkół średnich.

Nadal pochłania książki. Czyta wielokrotnie *Franny i Zooey* oraz *Buszującego w zbożu*. Po lekturze *Zabić drozda* jako pracę domową przygotowuje nagrania na taśmie z automatycznej sekretarki Atticusa Fincha z wiadomościami dla Scouta i Jem od Dill, a także anonimowych telefonów z pogróżkami pod adresem Atticusa za to, że podjął się obrony Toma Robinsona. Czyta *Tramwaj zwany pożądaniem*, a potem nagrywa radiowy wywiad z Blanche DuBois. Jako pracę domową po lekturze *Śmierci komiwojażera* rysuje karykaturę opłakującą rodzinne wartości Lomanów. Następnie przychodzi kolej na projekt biograficzny. Nic, ubrany w białą perukę i biały garnitur, wchodzi z białymi wąsami na scenę i recytuje z gardłowym, południowym akcentem dzieje życia Samuela Clemensa: „Mój pseudonim literacki to Mark Twain. Rozsiądźcie się wygodnie i posłuchajcie mojej opowieści". Nie pojawiły się żadne wskazówki świadczące o tym, że pali cokolwiek – marihuanę czy papierosy. Prawdę mówiąc, wydaje się teraz szczęśliwszy i jest coraz bardziej podekscytowany, choć stara się tego nie pokazywać, zbliżającym się końcem ósmej klasy.

Jest ciepły, bezwietrzny weekend. Nic ma trzynaście lat. Po spokojnym dniu spędzonym wokół domu przypinamy deski surfingowe do bagażnika na dachu naszego kombi i licząc na dobre kołysanie od południa, jedziemy krętą drogą na plażę położoną na południe od Point Reyes. Po godzinnym marszu trawiastą ścieżką wśród wydm docieramy do miejsca, gdzie załamują się fale.

Taszcząc deski pod pachą, dochodzimy z Nikiem do ujścia estuarium, znanego jako miejsce, gdzie rozmnażają się wielkie białe rekiny. Wokół nas śmigają króliki, w górze przelatuje klucz pelikanów. Słońce chyli się ku zachodowi. Wydaje się, że jego promienie są namalowane na tle nieba rozwodnioną farbą o barwie moreli. W miarę jak zbliża się zmierzch, wśród okolicznych pagórków i pól pojawia się mgła, rozlewając się nad zatoką. Nigdy nie próbowaliśmy tu surfować. W naszą stronę toczą się dwu-, trzymetrowe fale, załamując się w długich, jedwabiście połyskliwych, równych liniach. Szybko przebieramy się w pianki i pędzimy w stronę wody, wskakując na nasze deski. Niknące słońce zalewa horyzont zdumiewającą paletą rubinowych odcieni. Po drugiej stronie, tuż nad horyzontem wisi księżyc, okrągły i żółty. W wodzie jest jeszcze dwóch surferów, ale wkrótce znikają i razem z Nikiem mamy całą plażę dla siebie. To ekscytujące surfowanie, najlepsze, jakie można sobie wymarzyć.

Kiedy wiosłujemy w stronę morza, nie słychać innych dźwięków poza szumem desek surfingowych przecinających wodę, a potem hukiem fal załamujących się w regularnych odstępach. Płyniemy na jednej z nich, potem wiosłujemy z powrotem, płyniemy na kolejnej. W pewnym momencie unoszę wzrok i patrzę na Nica, który nisko pochylony na desce sunie w głębi tunelu załamującej się fali.

Robi się ciemniej. Mgła przesłania księżyc i napływa w naszą stronę. Uświadamiam sobie, że znajdujemy się teraz w nurcie dwu różnych prądów, które unoszą nas ku przeciwnym stronom kanału. Dzieli nas sto metrów. Wpadam w panikę, ponieważ w gęstniejącej mgle i zapadającej ciemności nie widzimy się zbyt dobrze.

Zaczynam wiosłować na ślepo w stronę Nica, gorączkowo wypatrując jego sylwetki, dopóki starcza mi sił w ramionach, zmęczonych walką z prądem. Wreszcie, chyba po półgodzinie nieprzerwanego wiosłowania, powiew rozprasza na moment mgłę i wtedy go widzę. Wysoki i wspaniały, stoi na szczycie swojej deski o barwie kości słoniowej i sunie w górę i w dół oszałamiającej, połyskliwej ściany wody, biała piana iskrzy na krawędzi jego deski. Nic uśmiecha się promiennie i macha, kiedy mnie zauważa.

Wyczerpani, wygłodniali, przewiani wiatrem i nasączeni wodą, po długim surfowaniu ściągamy pianki, pakujemy plecaki i wracamy do samochodu.

W drodze do domu zatrzymujemy się w meksykańskiej knajpie. Jemy burritos wielkości prosiaków i popijamy napój z limonki. Nic zastanawia się nad przyszłością – opowiada o szkole średniej.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć, że się dostanę – mówi.

Nie przypominam sobie, czy kiedykolwiek widziałem, żeby był tak podekscytowany, jak po dniu spędzonym na odwiedzinach w szkole średniej.

– Wszyscy wydali mi się tacy…– urywa, aby znaleźć właściwe słowo. – Namiętni. We wszystkim. Sztuka, muzyka, historia, pisanie, dziennikarstwo, polityka. A nauczyciele… – przerywa ponownie, żeby złapać oddech. – Nauczyciele są wspaniali. Siedziałem na lekcji poświęconej poezji. Nie chciało mi się stamtąd wyjść. – A potem dodaje ciszej: – Nigdy się tam nie dostanę. – Rywalizacja o wolne miejsca w tej szkole jest zażarta.

Ale dostał się, a teraz w chwili uniesienia mówi:

– Wszystko wydaje się naprawdę wspaniałe.

Uroczystość zakończenia nauki w ósmej klasie została zaplanowana na popołudnie na początku czerwca. Zarezerwowano salę w kościele i rodzice zostali poproszeni o ustawienie krzeseł, mównicy, dekoracji i stołów z napojami i przekąskami. Przychodzę trochę wcześniej, aby pomóc w przygotowaniach.

Kilka godzin później pojawiają się nauczyciele, rodziny uczniów i zasiadają w rzędach składanych krzeseł. Przychodzą absolwenci. Czują się skrępowani w swoich eleganckich ubraniach. Wiele dziewcząt ma na sobie nowe albo pożyczone sukienki. Większość z nich z trudem porusza się na wysokich obcasach. Kołyszą się, jakby były lekko wstawione. Chłopcy, z poważnymi minami, w koszulach zapiętych pod szyją, nerwowo manipulują przy swoich muszkach i co chwila posępnie wygładzają koszule, które ciągle wysuwają się im ze spodni.

Ale nawet jeśli ubrania stają się dla nich źródłem udręki, nastrój mają adekwatny do uroczystości. W jakiś sposób udaje im się zachować jak należy. Uczniowie po kolei są wywoływani przez dyrektora szkoły, idą po niewielkich schodkach, jedni pewniejszym krokiem, inni mniej, a potem przechodzą po niedużej scenie odebrać swój dyplom. Ich koledzy z klasy wznoszą radosne okrzyki. Tylko tego dnia z niepowstrzymanym i szczerym entuzjazmem cieszą się nawzajem ze swoich osiągnięć. W przypadku każdej dziewczyny i każdego chłopca z równym zapałem buczą i wykrzykują. Równie gorąco oklaskują kujonów i pozostałe odmiany szkolnej menażerii, włącznie z wyrzutkami.

Nie spodziewałem się, że uroczystość zakończenia nauki w ósmej klasie może być tak poruszająca, ale czuję wzruszenie. Zdążyliśmy poznać te wszystkie dzieciaki po trzech latach podwożenia ich samochodem przy różnych okazjach i podczas szkolnych wycieczek. Gościliśmy je w domu na przyjęciach, wysłuchiwaliśmy ich szkolnych przemówień, oglądaliśmy sztuki teatralne, występy muzyczne i rozgrywki sportowe. Dowiadywaliśmy się od ich rodziców, a głównie od Nica, o ich sukcesach, kryzysach, miłosnych fascynacjach i zranionych uczuciach. Chłopcy i dziewczęta, choć nadal są dziećmi, idą naprzód i powoli zaczynają wkraczać w dorosłość. Chłopiec, którego matka zaprzeczyła, że sprzedał Nicowi marihuanę. Chłopiec, z którym się upił.

Przyjaciel od surfowania. Upaleni deskorolkarze. Dziewczyna, z którą Nic niegdyś godzinami wieczorem rozmawiał przez telefon, dopóki nie kazałem mu odłożyć słuchawki. Dzieci, które podwoziliśmy samochodem. Wszystkie dzieciaki, niezgrabne, wymachując dyplomami, schodzą niepewnym krokiem z podwyższenia. Teraz są absolwentami szkoły średniej niższego stopnia i zmierzają w stronę siedliska węży, jakim jest szkoła średnia.

W weekend po zakończeniu roku szkolnego część rodzin zebrała się na plaży Heart's Desire. Morze w zatoce jest spokojne. Jemy naprędce obiad z chipsów i salsy, pieczonego łososia, do tego grillowane hamburgery, napoje gazowane. Woda w zatoce, połyskująca w słońcu, jest ciepła. Dzieciaki pływają, wiosłują w kajakach i canoe, co chwila któreś wywraca się do góry nogami. Na brzegu, w bluzach, z mokrymi włosami, przyjaciele Nica rozmawiają podekscytowani o swoich planach na lato – plaża, obozy – ale on nie włącza się w rozmowy. Nie jest łatwo, kiedy przygotowuje się do odjazdu.

Pojawia się mgła i przyjęcie się kończy. Po powrocie do domu siedzimy przy kominku. Nic odczytuje nam wpisy przyjaciół w klasowym roczniku. „Będziesz miał milion dziewczyn w szkole średniej", „Dobrego surfowania", „Za rok nie będę już tutaj mieszkał, więc przypuszczalnie zobaczymy się za jakieś dziesięć lat. Pozostańmy w kontakcie", „Kocham cię, ty zabawny dzieciaku. Kocham cię, odkąd cię znam", „Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć nowe dziecko, jakkolwiek będzie się nazywać. Mam nadzieję, że Jasper ją polubi", „Powodzenia w szkole średniej i z nową panną", „Nie zdążyłem cię dobrze poznać, ale baw się dobrze", „Dobrej zabawy tego lata, ty głupi idioto. Żartowałem", „Zadedykuj mi kiedyś jakąś swoją książkę. A ja ci podziękuję, jak będę odbierał Oscara. Czołem". Jego nauczyciel napisał: „Gdziekolwiek będziesz i cokolwiek się zdarzy, poszukuj prawdy, dąż do piękna, osiągaj dobro".

Zaczęło się kolejne lato pod znakiem słodko-gorzkich nastrojów, skoro, jak wiemy, Nic jedzie teraz do Los Angeles, choć umówił się z Vicki, że będzie mógł zaczekać, dopóki nie urodzi się dziecko.

Rankiem siódmego czerwca Karen, Nic, Jasper i ja wsiadamy do samochodu. Dziecko jest ułożone pośladkowo, więc przyjdzie na świat za pomocą cesarskiego cięcia. Karen wybrała na operację dzień urodzin swojej matki. Jest

umówiona na szóstą. Siostra Karen podrzuciła nam jakąś relaksacyjną muzykę Enyi, ale Karen poprosiła o Nirvanę. Włącza *Nevermind* na cały regulator.

Muszę znaleźć sposób

Lepszy sposób

Lepiej zaczekam

Lepiej zaczekam

Jadę przez las, a potem zatrzymuję się u Nancy i Dona, podrzucam Nica i Jaspera, którzy czekają u dziadków na telefon ze szpitala.

Nasza córeczka urodziła się o siódmej rano. Ma czarne, kręcone włosy, jej oczy lśnią. Nadaliśmy jej imię Marguerite, ale mówimy na nią Daisy.

Nancy przywozi do szpitala Jaspera i Nica, po czym wszyscy wchodzą do sali o przyciemnionych światłach, w której leży Karen i trzyma na rękach Daisy. Pielęgniarka pyta Nancy i Nica, czy mieliby ochotę wziąć udział w pierwszej kąpieli. Jasper zostaje z Karen, podczas gdy Nancy i Nic, pod kierunkiem pielęgniarki, zawożą Daisy w wózeczku do sali noworodków, gdzie pomagają ją zważyć, wykąpać i przebrać w miękką, białą koszulkę, z niewielkimi różowymi słoniami, i buciki jak dla lalki. Waży trzy kilogramy sześćset gramów i ma pięćdziesiąt trzy centymetry długości. Wpatrując się w dziecko, Nic mówi Nancy:

– Nigdy nie myślałem, że będę miał taką rodzinę jak ta.

Kiedy następnego dnia jedziemy do domu, na tylnym siedzeniu są teraz dwa dziecięce foteliki.

Następnego ranka budzę się wcześniej i zastaję chłopców, jak obaj we flanelowych piżamach siedzą na kanapie z kubkami gorącej czekolady. Nic czyta *Frog and Toad Are Friends*. Jasper przytula się do niego. Na kominku płonie niewielki ogień. Nic zamyka książkę i wstaje, żeby zrobić dla wszystkich śniadanie. Kiedy stoi przy kuchni, śpiewa swoim najlepszym tonem Toma Waitsa: „Taaak, jajka gonią za bekonem po patelni".

Jemy, a potem idę z chłopcami na spacer po sąsiedniej plaży. W drodze powrotnej zatrzymujemy się, by nazbierać jagód do ciasta. Trwa to dłużej niż

powinno, ponieważ Nic i Jasper, z sinobłękitnymi palcami i błękitnymi ustami, wkładają do koszyka co dziesiątą jagodę, pozostałe zjadając.

Po powrocie do domu i wczesnym obiedzie z ciastem Nic i Jasper bawią się na trawie. Jasper niczym małe lwiątko wspina się Nicowi na głowę, a potem obaj przewracają się na wielkiej czerwonej piłce. Karen trzyma na rękach Daisy, która rozgląda się wokół szeroko otwartymi oczami. Brutus, snujący się wokół jak rozespany brunatny niedźwiedź, wyciąga się na trawie obok dzieciaków. Nic obraca się, podczas gdy Jasper trzyma go za szyję, chwyta psa za szczękę i wpatrując mu się w oczy, śpiewa: „Pocałuj mnie, żebym miał o czym marzyć". Z rozmachem całuje Brutusa w nos. Brutus ziewa. Nic dla zabawy podrzuca Jaspera w powietrze. Daisy zapada w lekki sen.

Spoglądam na całą trójkę i przypominam sobie zdumienie, jakie po raz pierwszy ogarnęło mnie, gdy Nic przyszedł na świat. Wraz z narodzinami każdego dziecka, obok radości z rodzicielstwa, pojawia się bolesna świadomość, jak bardzo ta istota jest krucha. To uczucie zarazem wzniosłe i przerażające.

Kilka dni temu przeczytałem w gazecie wiadomość o eksplozji autobusu wiozącego dzieci szkolne w Izraelu. Czytałem także o rodzinach dzieci, które zginęły równo rok temu podczas zamachu bombowego w Oklahoma City, o przypadkowych kulach trafiających dzieci w obozie dla uchodźców w Bośni. Pamiętam także relację z Chin, gdzie przestępca skazany za napad z bronią w ręku, w drodze na szubienicę krzyczał do brata: „Zaopiekuj się moim synem". To nowy rodzaj udręki. Może rodzice czują coś takiego w przypadku każdego dziecka. Może czujemy więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy. Kiedy patrzę na trójkę swoich dzieci w tym rozproszonym, złotym świetle, niepewnie przebijającym się przez liście topoli, czuję, jak przepełnia mnie świadomość, że w tym momencie są bezpieczne i szczęśliwe. Ostatecznie tego właśnie pragniemy, my, wszyscy rodzice. I gdyby mogło tak zostać na zawsze – mieć w pobliżu dzieci, które dobrze sobie radzą, są szczęśliwe i bezpieczne.

Rozdział 5

– Twój oszalały mąż torturuje mojego małego braciszka.

Nic, mówiąc to do Karen, która właśnie weszła do pokoju, stoi obok mnie z rękami na biodrach. Jest deszczowy poranek w dniu jego odlotu do Los Angeles. Staram się rozczesać skłębioną wełnę na głowie Jaspera, który wrzeszczy wniebogłosy, jak gdybym obcążkami zrywał mu paznokcie. Nic, który wziął już prysznic i jest teraz owinięty w niebieski ręcznik, wkłada pomarańczową kurtkę, duże zielone kalosze, stojące koło drzwi, i chwyta parę motocyklowych gogli używanych przez dzieciaki w ich przebierankach. Wymachuje drewnianą łyżką.

– Puść go łotrze – mówi do mnie. A do Jaspera: – Och, nieszczęsny, nieszczęsny, jakże smutny jest twój los, mój ukochany bracie. Och, ta niesprawiedliwość. To okrucieństwo.

Po czym śpiewa do łyżki: „Moja wspaniała załogo! Dzień dobry", na melodię z operetki *H.M.S. Pinafore,* co jeszcze bardziej przykuwa uwagę Jaspera, dzięki czemu mogę wreszcie uczesać go do końca.

Nic, który już zdążył się spakować, żegna się z nami. Ściska dłoń Jaspera w ich sekretnym, skomplikowanym rytuale: zaczyna się od zwykłego uścisku, po czym ich dłonie muskają się i łączą, jak w oklaskach, potem Nic dotyka wierzchu dłoni Jaspera, a następnie spodu, kolejne klaśnięcie, po czym ich dłonie odsuwają się od siebie. Wszystko kończy się dotykiem palców wskazujących, podczas gdy obaj jednocześnie wykrzykują:

– Ty!

Jasper płacze.

– Nie, Nicky, nie chcę, żebyś jechał.

Obejmują się, Nic całuje małą Daisy w czoło, po czym ściskają się z Karen.

– Sputnik, stary łobuzie, baw się dobrze. Życzę ci wspaniałych wakacji – mówi.

– Będę za tobą tęsknił, KB.

– Napisz do mnie.

– Odpisz mi.

W drodze na lotnisko wybieram malowniczą trasę wiodącą wzdłuż Ocean Beach, a nie przez środek miasta. Nic wpatruje się w niespokojne morze. Przy terminalu linii United parkuję samochód w garażu, a potem podchodzimy z Nikiem do kontuaru, gdzie oddaje swoją walizkę na bagaż. Żegnamy się przy bramce.

– Wszystko – mówi Nic.

– Wszystko – odpowiadam.

Pożegnania na lotnisku za każdym razem wyrywają mi kawałek serca, ale nadrabiam miną, ponieważ nie chcę, żeby zrobiło mu się jeszcze smutniej.

Kiedy Nic znalazł się już na pokładzie samolotu, przez ogromną szklaną ścianę obserwuję, jak potężna metalowa skorupa, która kryje go w swoim wnętrzu, powoli oddala się od terminalu, a potem odrywa od ziemi.

Chociaż to przypuszczalnie najlepsze, co możemy zrobić, nienawidzę wspólnej opieki rodzicielskiej. To rozwiązanie zakłada, że dzieci mogą sobie równie dobrze poradzić w życiu, gdy są rozdarte między dwoma domami, przy czym o tym, jak wygląda każdy z nich, decyduje inny rodzic, inny partner rodzica, czasami także przyrodnie rodzeństwo. Do tego dochodzi masa splątanych oczekiwań, rygorów i wartości, które często wykluczają się nawzajem. „Dom to święta rzecz", powiedziała kiedyś Emily Dickinson. Ale domy, to sprzeczność sama w sobie. Ilu dorosłych potrafi sobie wyobrazić, że ma w dzieciństwie dwa domy? Tymczasem dla dzieci dom jest czymś jeszcze ważniejszym, jako psychologiczna i fizyczna kołyska rozwoju, murowany fundament, będący ucieleśnieniem wszystkiego, co reprezentują ich rodzice: stabilizacja, bezpieczeństwo i rządzące życiem zasady.

Trzy tygodnie po odjeździe Nica przeprowadzam wywiad ze znaną psycholożką, zajmującą się rozwojem dzieci. Judith Wallerstein założyła w Marin County, niedaleko Inverness, Judith Wallerstein Center for the Family In Transition (Ośrodek Judith Wallerstein dla Rodzin w Fazie Przejściowej). Pretekstem do rozmowy jest artykuł, który piszę do jakiegoś czasopisma. Doktor Wallerstein zdobyła pewien międzynarodowy rozgłos, gdy sformułowała kilka otrzeźwiających myśli pod adresem Ameryki zachwyconej rozwodami, w spadku po rewolucji obyczajowej z lat sześćdziesiątych. Wcześniej rozwód był czymś trudnym, stygmatyzującym i zdarzał się rzadko, jednak za

sprawą zmieniających się obyczajów i praktyki rozwodów bez orzekania o winie stał się zjawiskiem łatwym i powszechnym. Dla wielu dorosłych to było wyzwolenie – konwencje społeczne nie skazywały już ludzi na tkwienie w toksycznym małżeństwie. Ogólne założenie, oparte głównie na pewnej dawce życzeniowego myślenia, sprowadzało się do tego, że dzieci będą szczęśliwsze, jeśli ich rodzice będą szczęśliwsi. Ale Wallerstein odkryła, że dzieci w wielu przypadkach przeżywają dramat.

Zaczęła prowadzić rozmowy z dziećmi, od dwóch do siedemnastu lat, których rodzice rozwiedli się na początku lat siedemdziesiątych. Przekonała się, że dzieci często przeżywają trudne chwile, kiedy próbują uporać się z następstwami rozstania rodziców, ale przyjmowała, że te napięcia powinny być krótkotrwałe. Kiedy ponownie rozmawiała z tymi samymi dziećmi ponad rok później, okazało się, że było jeszcze gorzej.

Wallerstein przez następnych dwadzieścia pięć lat śledziła ich losy, spotykając się z nimi co kilka lat. W kolejnych książkach opisała swoje odkrycia – okazało się, że ponad jedna trzecia badanych przez nią dzieci cierpiała na umiarkowaną lub nawet poważną depresję. Bardzo wiele z nich przeżywało problemy emocjonalne i osiągało gorsze wyniki w nauce, wiele miało kłopoty z nawiązywaniem i utrzymywaniem związków emocjonalnych.

Nikt nie miał ochoty wysłuchiwać takiego przesłania, więc zaczęto atakować posłańca. Feministki oświadczyły, że Wallerstein jest mocno osadzona w nurcie ostrej reakcji przeciwko kobietom, mówiąc im, że powinny wrócić do domu, tkwić w małżeństwie i zajmować się dziećmi. Na prace Wallerstein zaczęły się powoływać różne grupy interesów, w tym konserwatywna nowa prawica, która znalazła w nich „dowód" potwierdzający własne argumenty na rzecz tradycyjnych wartości rodzinnych, i zaczęła je wykorzystywać do atakowania rodziców samotnie wychowujących dzieci oraz rodzin nietradycyjnych. Grupy walczące o prawa mężczyzn wychwalały ją za podkreślanie roli ojców w życiu dzieci i atakowały, gdy oświadczyła, że niektóre formy wspólnej opieki nad dzieckiem są szkodliwe. Tak czy inaczej wyniki jej badań odbiły się szerokim echem w całym kraju i wpłynęły na poczynania sądów, prawodawców, rodziców i terapeutów. Książki Wallerstein cieszyły się ogromnym powodzeniem i przez wielu sędziów oraz terapeutów nadal są traktowane jak biblia. Część sędziów zaleca lekturę niektórych jej prac rodzicom, którzy zamierzają się rozwieść.

Odwiedzam doktor Wallerstein w jej nadmorskim domu z drewnianymi ścianami, w Belvedere, w rejonie Tiburon, z widokiem na zatokę i Sam's Grill. Jest drobną, nienagannie ubraną kobietą o srebrnych włosach i delikatnych, kryształowobłękitnych oczach. Kiedy pytam ją o wspólne sprawowanie opieki rodzicielskiej, zwłaszcza gdy rodzice mieszkają daleko od siebie, jak w sytuacji Nica, mówi, że widziała, jak mali chłopcy i dziewczęta, po powrocie z jednego rodzicielskiego domu do drugiego, chodzą od jednego przedmiotu do drugiego – od stołu do łóżka, od łóżka do kanapy – i ich dotykają, aby upewnić się, że nadal tam stoją. Nieobecny rodzic może w tym momencie wydawać im się bardziej nieuchwytny niż meble. Kiedy dzieci dorastają, choć nie potrzebują już takich namacalnych dowodów, nabierają czasem przekonania, że oba ich domy są czymś nietrwałym, iluzorycznym. Dlatego, o ile mniejsze dzieci cierpią, kiedy wspólna opieka rodzicielska oddziela je zbyt długo od jednego z rodziców, dla starszych dzieci mogą okazać się szkodliwe częste podróże między domami, zwłaszcza gdy rodzice mieszkają daleko od siebie. Doktor Wallerstein wyjaśnia: „Takie kursowanie tam i z powrotem powodowało, że dzieci nie mogły czerpać radości z działań, w które angażowały się w towarzystwie innych dzieci… Nastolatki gorzko uskarżały się na konieczność spędzania wakacji z rodzicami zamiast ze swoimi przyjaciółmi". Po czym podsumowała: „Wolelibyśmy sobie wyobrażać, że te dzieciaki po prostu potrafią zintegrować swoje życie, rozpięte pomiędzy dwoma domami, dwoma zbiorami rówieśników, i łatwo przystosować się do przebywania w towarzystwie każdego z rodziców, ale większość dzieci nie wykazuje takiej elastyczności. Zaczynają się czuć, jak gdyby miały jakąś skazę charakteru, gdy tymczasem dla większości z nas takie prowadzenie podwójnego życia jest po prostu niemożliwe".

Dla większości rodzin wakacje to okres wytchnienia od stresu związanego z nauką i mają wtedy więcej czasu dla siebie nawzajem. Ale ja pragnę, żeby minęły jak najszybciej. Regularnie rozmawiam z Nikiem przez telefon. Opowiada mi o obejrzanych filmach, rozgrywkach, w których bierze udział, o jakimś łobuzie na placu zabaw, o nowym przyjacielu, o przeczytanych książkach. W domu jest spokojniej, kiedy Nic jest w Los Angeles, ale nawet nasza radość z narodzin dziecka jest nieco stonowana pod wpływem lekkiej melancholii. Nigdy nie przyzwyczailiśmy się do tego, że Nica nie ma w domu.

Staramy się jak najlepiej wykorzystać chwile, które możemy spędzić

wspólnie. Nic przyjeżdża do nas na dwa tygodnie, staramy się więc upchnąć w tym czasie jak najwięcej surfowania, pływania, kajakowania oraz innych zabaw. Jeździmy do San Francisco na spotkania z przyjaciółmi. Wieczorami Nic bawi się z rodzeństwem albo rozmawiamy. Jego wcielanie się w postaci z filmów od dawna stało się naszą wieczorną rozrywką. Nic z precyzją naśladuje kinowych bohaterów. De Niro: „Mówisz do mnie?". Nie tylko ta kwestia, ale cała scena z *Taksówkarza*. A potem Tom Cruise – „Pokaż mi pieniądze" – a potem Mr. T. – „Szkoda mi durnia...". Odgrywa Jacka Nicolsona z *Lśnienia,* „Aaaaa! Tu jest Johnny". A także nienagannie Dustina Hoffmana z *Rain Mana* i Schwarzeneggera: *„Hasta la vista,* dziecinko", „Rozluźnij się sztywniaku". „Wrócę tu". „Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć". Przypuszczalnie jego najlepsza rola to wcielenie się w Clinta Eastwooda: „Musisz zadać sobie jedno pytanie: Czy mam dziś szczęście? I jak, śmieciu ?".

Odwiedzamy Nica w Los Angeles podczas naszych zaplanowanych weekendów; odbieramy go i jedziemy na północ, do Santa Barbara, albo na południe, do San Diego. Pewnego razu wynajęliśmy rowery na wyspie Coronado, a potem poszliśmy szeroką plażą w świetle pomarańczowego księżyca w pełni, ze zdumieniem patrząc na leżące na piasku dziesiątki tysięcy połyskliwych księżycówek wyrzuconych przez fale na brzeg, gdzie odbywają swój fascynujący rytuał godowy. Samica wkręca się w piasek i składa jaja. Samce owijają wokół nich swoje węgorzowate ciała i zapładniają je. Jakieś pół godziny później fale zabierają ryby z powrotem do morza. Wydaje się, jakby nigdy ich tu nie było, a my je sobie wyobraziliśmy.

Później podrzucamy go z powrotem do domu jego matki i ojczyma, w Pacific Palisades. Obejmujemy go na pożegnanie, a on po chwili znika.

Lato się kończy. Wreszcie. Karen, Daisy, Jasper i ja jedziemy na lotnisko. Mija nas długi szereg samotnych pasażerów i całych rodzin, a potem pojawiają się nieletni pasażerowie lecący bez opieki dorosłych – noszą przypięte różowe, papierowe rozetki ze swoim imieniem wypisanym „magicznym markerem". Mniejsze dzieci mają także do klap kurtek przypięte skrzydła pilota. Wreszcie zjawia się Nic. Ma teraz krótko ostrzyżone włosy i nowy, jasnoniebieski, rozpinany sweter, który nosi na T-shircie. Ściskamy się wszyscy po kolei. „Wszystko", mówi. A potem odbieramy jego walizkę pełną letnich rzeczy.

Podczas drogi powrotnej do domu w Inverness Nic opowiada o kobiecie, która siedziała obok niego w samolocie:

– Wtedy wyciąga te słuchawki, ogromne, czerwone. – Skupiła na nim całą swoją uwagę, kiedy się zorientowała, że leci sam. – A potem włącza walkmana i zaczyna się kołysać, i poruszać głową z zamkniętymi oczami, powtarzając słowa piosenki, i śpiewa świergotliwym głosem: Ooooo, dziecino, koooocham cię, moja gwiazdo, mój zbawicielu… Ooooo, dziecino, to ty, mój Panie, zesłałeś to dla mnie, to ty.

Nic mierzy wzrokiem swoją publiczność, czyli nas.

– I kiedy ona dochodzi do tego miejsca na taśmie, którego szuka, ściąga słuchawki i wciska mi je na głowę – opowiada. – »Posłuchaj«, mówi do mnie. »Musisz tego posłuchać«. Po prostu wciska mi je na głowę i podkręca głośność na maksa. Nie pyta, czy chcę tego słuchać, w ogóle o nic nie pyta. Tekst idzie jakoś tak: „Gram dla Jezusa. Taaak. Jezus mnie kołysze. Taak. Jezu, tracę dla ciebie głowę". Muzyka ryczy tak głośno, że prawie rozsadza mi głowę, ale dalej uśmiecham się uprzejmie i ściągam słuchawki, oddaję jej i mówię, że to bardzo dobra piosenka, na co ona, ale już jakoś bardziej wojowniczo: »Nie nie, następna jest najlepsza«. I znowu wciska mi te słuchawki, więc słucham… To jest jakiś rap. „Och, diabeł pragnie skusić mnie, tak, ale ja nie słucham go, nie", a ja dalej się uśmiecham i kiwam. Wreszcie ściągam słuchawki i oddaję tej kobiecie. Na co ona mówi: »Ta taśma jest dla ciebie, synu« i wyciąga ją z odtwarzacza. »Nie, dziękuję, to bardzo miłe z pani strony«. Teraz patrzy na mnie naprawdę groźnie, więc mówię: »No dobrze, jeśli jest pani pewna, że pani jej nie potrzebuje, bardzo chętnie ją wezmę, dziękuję pani«.

Nic wyjmuje kasetę z kieszeni spodni.

– Chcecie posłuchać?

Odtwarzamy ją podczas jazdy. Nic trzyma dłonie Jaspera w swoich i porusza nimi w rytm piosenek, śpiewając chórki „uuuu, aaaa".

Poziom hałasu w naszym domu zdecydowanie wzrósł. Przy trójce dzieci i odwiedzających nas przyjaciołach Nica, różnych instrumentach podłączonych do wzmacniacza, nie licząc dwóch psów na dokładkę, w naszym domu rozlega się kakofonia dźwięków. Słychać śpiewy, zawodzenia, szczekanie, śmiechy, okrzyki, imitacje Raffiego, dudnienia, wizgoty, coś à la Axl Rose, ło-

motanie, walenie i wycie. Moja agentka w rozmowie z jednym z naszych przyjaciół oświadczyła: „Nie wiem, czy on mieszka w domu dziennej opieki, czy w psiarni".

Potrzebujemy nowego samochodu. Przy takiej hordzie dzieciaków i zwierząt oczywistym wyborem jest minivan. Odwiedzamy dilerów samochodowych i bierzemy niektóre auta na jazdę testową. Porównuję minivany, sprawdzając ich wyposażenie pod względem bezpieczeństwa. Nie zwodzi nas reklama Hondy Odyssey głosząca, że to minivan dla ludzi, którzy nienawidzą minivanów, ale kupujemy właśnie ten model. W charakterze słabego gestu niezgody dodajemy na dachu bagażnik na deski surfingowe.

Z pewnością są piękniejsze i mniej zadeptane plaże wzdłuż tego wybrzeża niż Bolinas, która przez całe lato jest odwiedzana przez psy i nastolatki. Jednak w przeddzień rozpoczęcia zajęć wprowadzających w życie nowej szkoły Nica, oślepiająco jasnym popołudniem jedziemy właśnie tam. Karen z Jasperem i Daisy siedzą na piasku, Jasper oplątuje Daisy w morskie wodorosty, dzieciaki wspólnie zbierają muszle, jedzą piasek i nurzają się w falach na skraju laguny. Brutus i Moondog biegają jak oszalałe razem z wielobarwną gromadą miejscowych psów. W pewnym momencie Brutus porywa bagietkę z czyjegoś pikniku.

Razem z Nikiem wiosłujemy na miejsce zbiórki surferów, siadamy na deskach i czekamy na nadejście fal. Nic opowiada mi o swoim lecie, o bejsbolu i filmach, dodając najświeższe wiadomości o łobuzie, który straszył go w miejscowym parku, a potem gonił do domu na rowerze. Kiedy zaczynamy rozmawiać o czekającej go jutro uroczystości, przyznaje, że denerwuje się na myśl o szkole średniej, ale jednocześnie dodaje, że jest podekscytowany.

Nadchodzą wreszcie najlepsze fale tego popołudnia i każdy z nas łapie jeszcze jedną. Surfujemy aż na plażę, gdzie Nic dołącza do Jaspera budującego coś z piasku i patyków. To Shire hobbitów ozdobione muszlami i wodorostami.

Kiedy wspólnie pracują, Jasper pyta Nica:

– Jakie jest Los Angeles?

– To duże miasto, ale mieszkam w ładnej dzielnicy na skraju – opowiada. – Tam są parki i plaże. Trochę jak tutaj, ale nie ma tam ciebie. Tęsknię za tobą, kiedy tam jestem.

– Ja także za tobą tęsknię – mówi Jasper, a potem pyta: – Dlaczego twoja mama nie przeprowadzi się tutaj i nie możemy wszyscy zamieszkać w tym samym domu? Wtedy nigdy nie musiałbyś odjeżdżać.

– Fajny pomysł – przyznaje Nic. – Ale jakoś tego nie widzę.

W drodze do domu z Bolinas rozmawiamy jeszcze raz o ciągłym krążeniu Nica, tam i z powrotem, między Inverness a Los Angeles. Mówi, że to trudne. Nie chciałby nigdy wybierać jednego z rodziców, ale sam nigdy nie wybrałby wspólnej opieki. W każdym razie dochodzę do takiego wniosku: tak, to rozwiązanie wpłynęło na jego charakter. Nic jest dzieckiem niezwykłym. Jest bardziej odpowiedzialny, wrażliwy, obyty w świecie, skłonny do autorefleksji i mądrzejszy, niż byłby w innym wypadku. Jednak ta sytuacja obciąża go tak bardzo, że zważywszy na geograficzne i emocjonalne przepaści, jakie powstały między mną a jego matką w następstwie rozwodu, powinniśmy przynajmniej oszczędzić Nicowi tego podróżowania. To my powinniśmy byli podróżować. Chociaż takie wizyty byłyby znacznie bardziej niewygodne, jestem przekonany, że dzieciństwo byłoby wtedy dla Nica łatwiejsze. Zamiast tego na pocieszenie zostaje mu słaba nagroda za kursowanie między rodzicami, że ma na liczniku znacznie więcej wylatanych mil niż większość dorosłych.

Rozdział 6

– Mark, czy w ósmej klasie jest lepiej niż w siódmej? – pyta Dawn swojego starszego brata w filmie Todda Solondza *Witaj w domku dla lalek*.

– Nie bardzo.

– A w dziewiątej?

– Cała wczesna średnia to lipa. W liceum jest lepiej. Bliżej college'u. Też cię wyzywają, ale rzadko w twarz.

Nienawidziłem swojej szkoły średniej, darwinowskiego laboratorium przetrwania wśród różnych koterii oraz przypadkowych aktów okrucieństwa i przemocy. Moje stopnie dość nieoczekiwanie były na tyle przyzwoite, że nie miałem żadnych kłopotów, ale poza jednym kursem pisania szkoła była dla mnie stratą czasu. Niczego się nie nauczyłem i nikt tego nie zauważył. Jednak szkoła średnia Nica przypomina bardziej niewielki uniwersytet. Oferuje bogaty program w zakresie humanistyki, nauk ścisłych, matematyki, angielskiego, języków obcych, dziennikarstwa, a do tego zajęcia poświęcone wymiarowi sprawiedliwości w Ameryce, Langstonowi Hughesowi oraz religii i polityce. Wszystkie zajęcia prowadzą nauczyciele poświęcający się swojej pracy. Koszty nauki są wysokie i razem z Vicki musimy się nieźle napocić, żeby je opłacić. Tłumaczymy sobie, że nic nie jest ważniejsze od edukacji naszego dziecka. Mimo to czasami zastanawiam się, jakie rzeczywiście będzie miała znaczenie. Wiele dzieciaków w moim rodzinnym mieście chodziło do szkół prywatnych. Ale z opowieści, które do mnie docierały, wcale nie wynikało, że radziły sobie lepiej albo gorzej niż my w szkole publicznej. Może zwodzimy siebie samych, że można za pieniądze kupić lepsze, a przynajmniej łatwiejsze życie dla naszych dzieci.

Szkoła, do której chodzi Nic, liczy sto piętnaście lat i znajduje się w starym kampusie byłej akademii wojskowej. Klasy są przestronne, przewiewne. Na zewnątrz budynku szkolnego jest basen, obok niego są porośnięte trawą boiska sportowe. W szkole znajdują się imponujące laboratoria nauk ścisłych, teatr i pracownie artystyczne. W ciągu pierwszego miesiąca nauki okazuje się, że Nic gra w drużynie koszykówki pierwszego rocznika i dostał rolę w jakiejś sztuce. W kampusie oraz podczas piątkowych wieczornych spotkań w naszym domu poznajemy jego nowych kolegów. Sprawiają wrażenie dobrych dzieci, które sumiennie się uczą, angażują w działalność rady uczniow-

skiej, interesują lokalną polityką, sportem, malowaniem, aktorstwem, pisaniem sztuk teatralnych, a także graniem jazzu i muzyki klasycznej. Nic uwielbia swoich nauczycieli. To dobrze wróży na początek.

Nic nadal łapczywie pochłania filmy, obsesja, która nie odstępuje go, odkąd pierwszy raz nacisnął przycisk „play" na magnetowidzie. Jako małe dziecko spytał mnie, czy FBI oznacza wytwórnię Disneya, ponieważ skojarzył ostrzeżenia antypirackie pojawiające się na początku każdego filmu wideo z obietnicą przygody i romansu, dramatu i komedii. Obok *Różowej Pantery*, *W pogoni za cieniem* i filmów Monty Pythona za sprawą Karen namiętnie ogląda teraz Godarda, Bergmana i Kurosawę.

Po szkole i przed oglądaniem filmów, a także między zajęciami sportowymi, przedstawieniami w teatrze i przesiadywaniem z kolegami Nic znajduje czas dla Daisy i Jaspera. Daisy właśnie zasmakowała w pierwszych słowach języka angielskiego, ale z jakiegoś powodu szybko przeszła na języki zwierząt – chrumka, beczy i miauczy. Razem z Jasperem, którego nazywamy Boppy, od komety Hale'a-Boppa, która przelatuje w okolicach Ziemi – kłębowisko brązowych włosów powyżej łagodnych, mądrych oczu – są zakochani w swoim wielkim, starszym bracie i wydaje się, że Nic odwzajemnia to uczucie.

Rok szkolny mija gładko. Nic odrabia lekcje szybko i sumiennie. Karen przepytuje go co tydzień z nowych słówek z francuskiego. Ja pomagam mu robić korektę prac z angielskiego. Uwagi nauczycieli na temat postępów Nica w nauce są pełne zachwytów.

A potem, pewnego majowego popołudnia, gdy Nic, Jasper i Daisy razem z Karen bawią się na podwórku, dzwoni telefon. To wychowawca uczniów pierwszej klasy, który mówi mi, że musimy przyjść razem z Karen na rozmowę w sprawie zawieszenia Nica w prawach ucznia za kupowanie marihuany na terenie kampusu.

– Kupowanie czego?

– Chce pan powiedzieć, że nic pan nie wie?

Nic nam nie powiedział. Mimo historii z marihuaną, którą znalazłem u niego dwa lata temu, jestem zdumiony.

– Przepraszam, ale to musi być jakaś pomyłka.

Ale to nie jest pomyłka.

Natychmiast zaczynam racjonalizować. Znowu eksperymentuje, mówię sobie. Wiele dzieciaków eksperymentuje. Ale Nic jest typowym użytkownikiem narkotyków, na pewno nie takim, jak ci chłopcy, którzy samopas snują się po głównej ulicy, palą papierosy, włóczą się bez celu, albo jak nastoletni syn znajomego ze Wschodniego Wybrzeża, którego znaleziono w rozbitym samochodzie – był na haju, pod wpływem heroiny. Niedawno słyszałem o dziewczynie w wieku Nica, która wylądowała w szpitalu psychiatrycznym, kiedy przecięła sobie nadgarstki. Także zażywała heroinę. Nic nie przypomina tych dzieci. Jest szczery, kochający i pracowity.

Moi rodzice nigdy nie dowiedzieli się, że brałem narkotyki. Nawet dziś są gotowi przysiąc, że wszystko zmyśliłem, a przynajmniej, że przesadzam. Nie przesadzam. W szkole średniej odkładałem pieniądze na trawkę z niewielkiego kieszonkowego, zarabiałem na nią roznoszeniem gazet. Nie różniłem się od wielu dzieciaków, dorastających pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych, które zetknęły się nie tylko z ogromnymi ilościami marihuany, ale także całym szeregiem narkotyków nieznanych poprzednim pokoleniom. Wcześniej młodzi ludzie po kryjomu pili alkohol, ale narkomani to były postacie egzotyczne, palacze opium w chińskich spelunach albo muzycy jazzowi uzależnieni od heroiny. W naszej okolicy, na Środkowym Zachodzie, gdzie były tylko trzy kanały telewizyjne i telefony miały ciągle okrągłe tarcze do wybierania numerów, jeden z sąsiadów hodował na swoim poddaszu marihuanę, a inny sprzedawał LSD. Wydawało się, że ludzie należący do różnych szkolnych grup, nie tylko ci, którzy ćpali, ale także zapaleni sportowcy czy dziewczyny zatopione w książkach, w tym także jedna, której najbardziej pragnąłem przez większość szkoły średniej, zawsze mają pod ręką trawkę albo pigułki.

Wieczorami, razem z przyjaciółmi, zjednoczeni przez marihuanę i rocka, zaprawialiśmy się czymś i włóczyliśmy po ulicach albo szliśmy do czyjegoś domu. Zwykle staraliśmy się zakraść po cichu, ale czasami nas przyłapywano i musieliśmy wtedy zjeść kolację z rodzicami. Pewnego razu moja matka powiedziała: „Macie obaj jakiś strasznie dobry humor dziś wieczorem, co to?".

Po obiedzie szliśmy do mojej sypialni, zatopionej w czarnym świetle i ozdobionej wiszącym na ścianie plakatem zespołu Jefferson Airplane i słuchaliśmy muzyki na moim stereo. Beatlesów, Lennona solo, Kinksów, Dyla-

na. „Chociaż władcy tego świata stanowią reguły, dla mędrców i dla głupców, nie mam, mamo, nic dlaczego warto żyć".

Brian Jones, Janis Joplin, Jimi Hendrix, Jim Morrison, Keith Moon – gwiazdy rocka, które podziwialiśmy – nie żyli. Jednak te tragedie w niczym nie osłabiły naszego pragnienia, żeby sięgać po narkotyki. Wydawało się, że ich śmierć nie ma z nami nic wspólnego, może dlatego, że ich śmierć, podobnie jak ich życie, stanowiła manifestację nadmiaru. W pewnym sensie po prostu żyli zgodnie z przesłaniem swojej muzyki. „Jestem wykończony", śpiewał zespół The Who, „Mam nadzieję, że umrę, nim się zestarzeję" albo „Czemu wszyscy po prostu nie zgaśniecie?".

Odrzucaliśmy, jako przejaw histerii, ostrzeżenia w rodzaju „speedy zabijają", podobnie jak wiele innych antynarkotykowych haseł propagowanych przez różne służby publiczne. „Oni" – władze, rodzice – próbują nas przestraszyć. Dlaczego? Kiedy byliśmy pod wpływem narkotyków, potrafiliśmy bez trudu przejrzeć ich na wylot i przestawaliśmy się ich bać. Ale oni nie mogli nas kontrolować.

Moi rodzice byli w porządku. Słuchali Herba Alperta i orkiestry Tijuana Brass. Od czasu do czasu w sobotnie wieczory spotykali się z przyjaciółmi i przy tej okazji w naszym domu zjawiała się grupa muzyków amatorów, którzy zbierali się w naszym salonie na serowe fondue i jam sessions. Mój ojciec grał jak Al Hirt, na sfatygowanej trąbce, a moja matka, która nosiła minispódniczki i przez krótki okres, pod koniec lat sześćdziesiątych, pomarańczowo-fioletowe, wzorzyste „papierowe" sukienki z celulozy, zmagała się ze świszczącym akordeonem, grając *Dziewczynę z Ipanemy* albo główny motyw z *Kobiety i mężczyzny*. Jednak te wypady moich rodziców w stronę najświeższej mody nigdy nie obejmowały narkotyków. Prawdę mówiąc, na ich przyjęciach nie było nawet alkoholu.

Latem w Arizonie było tak gorąco, że pewien reporter zyskał sławę, usmażywszy jajko na masce swojego samochodu. Ilekroć otwieraliśmy frontowe drzwi, mój ojciec wrzeszczał: „Wchodzisz czy wychodzisz, wchodzisz czy wychodzisz. Co ty wyprawiasz? Chcesz zrobić klimatyzację na pustyni?".

Wieczorami jeździliśmy na rowerach z przyjacielem, opalonym chłopakiem, ostrzyżonym jak należy. Minąwszy szereg sąsiednich domów, takich jak nasz, próbowałem się wyrwać z tej klaustrofobicznej sieci ulic, pędząc w stronę indiańskich rezerwatów i na niekończącą się pustynię.

Pewnej dusznej letniej nocy pojechaliśmy jak zawsze do rezerwatu i zignorowawszy tabliczki z napisem „Nie wchodzić" oraz „Uwaga niebezpieczeństwo", wspięliśmy się na krawędź jednego z cementowych kanałów, które przecinały płaszczyznę pustyni. Kiedy opierając się na łokciach, patrzyliśmy w gwiazdy, mój przyjaciel wyciągnął niewielki pakunek zawinięty w folię aluminiową. Rozpakował go i wręczył mi malutki kwadracik papieru z pieczątką przedstawiającą głowę lwa.

– To jest LSD – powiedział.

Nerwowo umieściłem lwa na swoim języku i poczułem, jak się rozpuszcza. Początkowo zrobiło mi się niedobrze i nie mogłem się poruszyć, ale wkrótce przez moje ciało zaczęły przepływać przyjemne, pulsujące fale. Pod wpływem nagłego przypływu energii wstałem. Noc wydawała się jaśniejsza. Przez pustynię przepłynęła biała chmura, zalewając wszystko jasnym światłem. Byłem zdumiony, że mimo ciemności widzę tak dobrze. Chodziło oczywiście o księżyc, prawie w pełni, ale uznałem, że to dzięki narkotykom. Przebiegający obok zając zatrzymał się na moment, żeby popatrzeć. Moje nieopuszczające mnie ani na moment uczucie wyobcowania i niepokoju nagle gdzieś zniknęło. Ogarnęło mnie niemal wszechobejmujące poczucie błogostanu, wrażenie, że wszystko będzie – że już jest – po prostu doskonałe.

Miałem wrócić do domu o dziesiątej, więc pojechałem z powrotem, pedałując bez wysiłku. Odstawiłem rower w garażu i wszedłem do domu tak cicho, jak to tylko możliwe.

Chciałem pójść prosto do swojej sypialni, ale po drodze zatrzymał mnie głos rodziców. Poszedłem więc do kuchni. „I jak się grało?", spytali. Nie mieli pojęcia, że kiedy przez resztę wieczoru siedziałem z nimi, oglądając Bonda, *Żyje się tylko dwa razy*, film tygodnia, przeżywałem dalej swoją szaloną narkotykową podróż.

W słoneczne majowe popołudnie razem z Karen w milczeniu jedziemy do szkoły Nica. Uczniowie snujący się obok masztu u wejścia do kampusu pokazują nam drogę do właściwego pokoju na dolnym piętrze budynku nauk ścisłych. Spotykamy się z wychowawcą pierwszego rocznika, który nosi T-shirt, szorty khaki i buty sportowe. Prosi nas, żebyśmy usiedli, wskazując na plastikowe krzesła stojące przed biurkiem zasłanym czasopismami popularnonaukowymi. Dołącza do nas inny mężczyzna o chłopięcym wyglądzie

i ciemnych, rozwichrzonych włosach. Nosi koszulę bez kołnierzyka. Okazuje się, że to szkolny pedagog.

Za oknem chłopcy, w tym część kolegów Nica, okładają się kijami do lacrosse'a na zielonym boisku lekkoatletycznym. Wychowawca i psycholog pytają nas o samopoczucie.

– Bywało lepiej – odpowiadam.

Zgodnie kiwają głowami. Nie próbują bagatelizować przewinienia Nica, niemniej starają się nas uspokoić, wyjaśniając, że choć w wielu szkołach wprowadzono politykę zero tolerancji, w ich szkole obowiązuje bardziej postępowe, i jak sądzą, sensowne podejście, uwzględniające realia życia młodzieży w naszych czasach.

– Nic będzie miał drugą szansę – mówi wychowawca, pochylając się do przodu na biurku. – Będzie miał okres próbny i jeśli ponownie złamie zasady, wyleci. Wymagamy także od niego, aby uczestniczył w popołudniowych spotkaniach z psychologiem poświęconych narkotykom i alkoholowi.

– Co się stało? – pytam.

– Po lunchu, przed szkolnym bufetem jeden z nauczycieli przyłapał go na kupowaniu marihuany. Zgodnie z polityką obowiązującą w naszej szkole ten, kto sprzedaje narkotyki, wylatuje. Chłopak, który sprzedał Nicowi trawkę, został już wydalony.

Psycholog z rękami złożonymi na kolanach mówi:

– Uważamy, że Nic dokonał niewłaściwego wyboru. Chcemy mu pomóc w dokonywaniu lepszych w przyszłości. Postrzegamy to jako błąd, a także pewną szansę.

Jego słowa brzmią rozsądnie i dają nadzieję. Razem z Karen czujemy się wdzięczni, nie tylko dlatego, że Nic ma jeszcze jedną szansę, ale także dlatego, że nie jesteśmy sami, gdy próbujemy jakoś sobie z tym poradzić. Wychowawca, psycholog i inni nauczyciele przez cały czas zmagają się z tego rodzaju problemami.

Podczas godzinnej rozmowy wspominam o swoich obawach, że Nic, który uwielbia surfować, może spotkać się z narkotykami na plaży. To dla mnie dziwny paradoks, że niektórym dzieciakom nie wystarcza ekscytacja, jaką daje jazda na potężnych falach Pacyfiku. Widziałem na brzegu surferów,

w piankach, jak przekazywali sobie jointy, a potem szli w stronę wody.

Obaj spoglądają na siebie.

– Mamy idealnego doradcę dla Nica – mówi wychowawca.

Opowiada nam o jednym z nauczycieli przedmiotów przyrodniczych, który także lubi surfować.

– Zadzwonimy do Dona.

– Jest niesamowity. Może mu się uda przemówić Nicowi do rozumu.

Następnie podają nam telefon do ośrodka, który oferuje pomoc psychologiczną w sprawach narkotyków i alkoholu.

Po powrocie natychmiast dzwonimy i umawiamy się na rozmowę. Następnego dnia najpierw cała nasza trójka spotyka się z psychologiem, po czym Karen i ja zostawiamy Nica w jego towarzystwie na dwugodzinną sesję, która obejmuje wywiad oraz porady dotyczące narkotyków. Kiedy go odbieramy, mówi, że to była strata czasu.

Don, nauczyciel przedmiotów ścisłych, to krępy mężczyzna o piaskowobrązowych włosach i niebieskich oczach. Ma twarz miękką i równocześnie pobrużdżoną. Słyszeliśmy, że jest dość oszczędny w słowach, ale kieruje dzieciakami cierpliwie i zdecydowanie, a do tego potrafi zarażać innych swoim entuzjazmem nie tylko do przedmiotów, których uczy. To jeden z tych nauczycieli, którzy po cichu zmieniają ludzkie życie. Oprócz nauczania przedmiotów ścisłych jest również trenerem szkolnej drużyny pływackiej i waterpolo. Ma także pod opieką grupę uczniów. Nic zostaje jego podopiecznym, o czym dowiadujemy się kilka dni po spotkaniu, gdy Nic wraca do szkoły po okresie zawieszenia.

– Co za facet! – woła Nic, wbiegając do domu, rzucając plecak i idąc w stronę lodówki. – Ten nauczyciel… – Wsypuje owsiankę do miski i zaczyna kroić banana na plasterki. – Usiadł ze mną podczas lunchu. Jest fantastyczny. – Nalewa sobie mleka. – Naprawdę dobrze surfuje. Surfował przez całe życie. – Chwyta kromkę chleba. – Poszedłem do jego gabinetu. Ma na ścianach fotografie największych fal na świecie. – Rozsmarowuje na chlebie masło orzechowe, a potem chwyta z lodówki dżem i dodaje trochę na wierzch. – Spytał mnie, czy nie chciałbym kiedyś z nim surfować.

Po kilku tygodniach rzeczywiście idą razem surfować. Po powrocie Nic jest w siódmym niebie. Don regularnie sprawdza, jak Nic radzi sobie w szkole i telefonuje do domu. Pod koniec roku szkolnego zaczyna namawiać go na wstąpienie do drużyny pływackiej, która ponownie zacznie treningi jesienią. Ale Nic jest uparty. Nic z tego. Don spokojnie ignoruje jego protesty. Przez całe lato często dzwoni do Los Angeles, sprawdzając, jak Nic sobie radzi. Nadal namawia go do zapisania się do drużyny pływackiej. Po sesji surfingowej na północy Kalifornii, pod koniec lata, proponuje mu układ. Najbliższej jesieni, jeśli Nic przyjdzie na jeden trening pływacki, Don przestanie dręczyć go pytaniami o to, czy się zapisze.

Nic akceptuje umowę.

Nic ma piętnaście lat, chodzi teraz do drugiej klasy i jak obiecał, pokazuje się na pierwszym treningu pływackim, a potem na drugim i jeszcze na następnym. Już jest dobrym pływakiem. Ma szczupłe, wysportowane ciało i muskularne ramiona od zmagania się z dużymi falami na desce surfingowej, więc pod okiem Dona szybko robi postępy. Podoba mu się duch panujący w zespole, co najczęściej jest zasługą Dona, jego inspiracji.

– Chcę po prostu zrobić mu przyjemność – wyjaśnia Nic w rozmowie z Karen pewnego dnia po treningu.

Treningi pływackie kończą się przed przerwą bożonarodzeniową. Do tego czasu Don zdołał wciągnąć Nica także do drużyny waterpolo. Razem z drugim chłopakiem zostali kapitanami. Ja, Karen, Jasper i Daisy jesteśmy częstymi gośćmi na zawodach – my siedzimy na widowni z innymi rodzicami, podczas gdy Jasper i Daisy biegają w górę i w dół metalowych trybun, wrzeszcząc w różnych przypadkowych momentach. „Brawo, Nic!”

Nic okazuje się także obiecującym aktorem. Pewnego wieczoru, razem z Karen, grupą naszych krewnych i przyjaciół jesteśmy zdumieni wystawioną przez uczniów inscenizacją *Przebudzenia wiosny*, sztuki Franka Wedekinda z 1891 roku, często zakazywanej, a przynajmniej okrawanej przez cenzorów (ale nie podczas tego przedstawienia). To historia opowiadająca otwarcie o seksualnym przebudzeniu grupy nastolatków, którzy nie potrafią zwrócić się o pomoc do dorosłych. Jedna z dziewczyn umiera po zażyciu środka poronnego, ktoś inny popełnia samobójstwo.

Don pobudza zainteresowania Nica biologią morza. Pod koniec nauki w drugiej klasie opowiada mu o letnim programie na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, poświęconym tym zagadnieniom. Pewnego dnia Nic przychodzi do domu, wymachując broszurą i formularzem zgłoszeniowym, wydrukowanym ze strony internetowej tego programu. Pyta, czy może pojechać na kurs. Po konsultacjach z jego matką wyrażamy zgodę.

Pewnego ranka, pod koniec czerwca, podziwiamy wspaniały widok rozpościerający się z okna odrzutowca. Całe niebo jest różowe i w miejscu, gdzie morze nagle styka się z linią brzegową, Pacyfik połyskuje sennym błękitem – to południowa Kalifornia od swojej najlepszej, optymistycznej strony. Lądujemy w San Diego, odbieramy bagaże i wynajmujemy samochód. Jedziemy na północ, po czym skręcamy w stronę niewielkiego nadbrzeżnego miasteczka La Jolla. Po zjeździe z autostrady kierujemy się do kampusu Uniwersytetu Kalifornijskiego i pomagamy Nicowi w rejestracji. Jest trochę zdenerwowany, ale inne dzieciaki wydają się sympatyczne. Podobnie jak on, niektórzy przywieźli ze sobą deski surfingowe. To pocieszający znak.

Żegnamy się. Daisy drobnymi rączkami obejmuje Nica za szyję.

– W porządku, głuptasie – mówi. – Niedługo się zobaczymy.

Nic często dzwoni do domu. W pewnym momencie ma objawienie. „Może zostanę biologiem morza", oświadcza. Opowiada nam o innych dzieciakach biorących udział w programie i o tym, jak razem z innymi surferami wstaje wcześnie przed zajęciami, żeby zejść stromą ścieżką na Black Beach. Mówi, że postanowił przejść organizowany przez obóz kurs nurkowania. Pewnego wieczoru, podczas nurkowania w pobliżu wyspy Catalina, pływa ze stadem delfinów.

Po zakończeniu programu Vicki odbiera go z kampusu i resztę lata Nic spędza w Los Angeles. Czas mija szybciej niż zwykle i wkrótce znów jest w domu, przygotowując się do trzeciego roku nauki w szkole średniej.

To najlepszy rok w jego szkolnej karierze. Ma teraz kilku bliskich przyjaciół, z którymi, jak się wydaje, jest zżyty, i namiętnie rozprawia z nimi o polityce, ochronie środowiska i kwestiach społecznych. Wspólnie protestują przeciwko jakiejś egzekucji przed więzieniem w San Quentin. Jeden z naszych przyjaciół, który także tam się znalazł, zauważa Nica siedzącego na chodniku w gronie protestujących. Łzy płyną mu po policzkach. Nic uwielbia swoje zajęcia. Jego najmocniejszym punktem pozostaje pisanie. Po-

kazuje własną twórczość nauczycielowi angielskiego, który zachęca go do pisania opowiadań i wierszy. Jednocześnie przyłącza się do zespołu szkolnej gazetki jako redaktor i felietonista. Pisze poruszające felietony o charakterze osobistym i polityczne teksty na temat akcji afirmatywnej, masakry w szkole w Littleton w stanie Kolorado, innych strzelanin oraz wojny w Kosowie. Bierze udział w spotkaniach redakcji i zostaje w szkole do późna, żeby pomóc w korekcie gazety. W swoich felietonach pozwala sobie na coraz więcej. W jednym z tekstów opisuje moment, gdy rozstał się ze swoimi ideałami. Pisze o dwójce naszych najbliższych przyjaciół, którzy zostali jego nieformalnymi rodzicami chrzestnymi. Jeden z nich jest zarażony wirusem HIV. Nic dostał od niego bransoletkę kampanii na temat świadomości AIDS, „z taką samą wstążką AIDS, jaką można zobaczyć u tych wszystkich idiotycznych celebrytów; wstążką, którą rozdają im u wejścia do sali podczas gali rozdania Oscarów", napisał Nic. „Dla wielu z nich ta wstążka przypuszczalnie jest tylko modnym akcentem, ale na bransoletce, którą dostałem od przyjaciela, symbolizowała nadzieję. Usłyszałem, że pieniądze za nią przeznaczono na badania nad lekarstwem przeciwko tej chorobie".

Nic napisał, że nosił tę bransoletkę każdego dnia, „A potem dorosłem. Chociaż uczucia, jakimi obdarzam swoich rodziców chrzestnych nigdy się nie zmieniły, zacząłem się martwić, co pomyślą inni. Zaczęły do mnie docierać różne straszne rzeczy, jakie ludzie w mojej średniej szkole opowiadają o gejach (...) i poczułem się niezręcznie, nosząc tę bransoletkę. (...) W końcu zdjąłem ją". A potem, pisał dalej, gdzieś mu przepadła. „Przykro mi, że zgubiłem tę bransoletkę", kończy swój tekst, „ale może jej nieobecność symbolizuje coś więcej, niż oznaczałaby jej obecność. Symbolizuje to, że zabrakło mi siły woli, aby wytrwać w poparciu dla przyjaciela".

Pod wpływem zachęt swojego nauczyciela dziennikarstwa Nic przesyła ten tekst oraz inne felietony na adres dorocznej nagrody literackiej im. Ernesta Hemingwaya przeznaczonej dla dziennikarzy ze szkół średnich. Zdobywa pierwsze miejsce. Następnie przesyła tekst do działu „Moja Kolej" w „Newsweeku". Jego felieton ukazuje się w lutowym numerze czasopisma w 1999 roku. To swego rodzaju akt oskarżenia wobec umów dotyczących wspólnego sprawowania opieki rodzicielskiej w sytuacji, gdy rodzice mieszkają daleko od siebie. „Może należałoby dodać parę słów do przysięgi małżeńskiej", podpowiada Nic. „Czy obiecujesz kochać i szanować, na dobre i złe, w chorobie i w zdrowiu, dopóki śmierć was nie rozłączy? A jeśli kiedykolwiek będziecie

mieli dzieci i przydarzy wam się rozwód, czy obiecujesz pozostawać w tym samym regionie geograficznym, co twoje dzieci? Prawdę mówiąc, skoro ludzie często łamią tę przysięgę, może powinna stać się prawem. Jeśli masz dzieci, musisz mieszkać w pobliżu. Albo bardziej zdroworozsądkowo, jeśli wyprowadzisz się i zamieszkasz z dala od swoich dzieci, musisz do nich przyjeżdżać, żeby się z nimi widywać". Nic w poruszający sposób opisuje następstwa własnych wieloletnich doświadczeń ze wspólną opieką rodzicielską: „Zawsze za kimś tęsknię".

W tym okresie zaczęły ewoluować jego upodobania literackie i muzyczne. Ulubionych niegdyś, J.D. Salingera, Harper Lee, Johna Steinbecka i Marka Twaina zastępuje teraz grono mizantropów, narkomanów, pijaków, ludzi cierpiących na depresję i samobójców: Rimbaud, Burroughs, Kerouac, Kafka, Capote, Miller, Nietzsche, Hemingway i Fitzgerald. Jeden z jego ulubionych pisarzy, Charles Bukowski, może poszczycić się tym, że jego książki są najczęściej kradzione z księgarń uniwersyteckich. Pewnego razu Bukowski podsumował swoich czytelników jako ludzi „pokonanych, otępiałych i przeklętych". Nastolatki bywają czasem po trosze wszystkim naraz, a przynajmniej tak się czują, ale niepokoi mnie, że ci pisarze, zwłaszcza gdy wychwalają narkotyki i pijaństwo, dorabiając im piękną legendę, są dla Nica tak nieodparcie pociągający.

Podczas wiosennej przerwy ruszamy we dwójkę na objazd uniwersytetów na Środkowym Zachodzie i na Wschodnim Wybrzeżu. Lecimy do Chicago, gdzie zastaje nas mglisty poranek. Mamy wolne popołudnie, więc odwiedzamy Art Institute i muzea, wieczorem idziemy do teatru. Nic przesiaduje na zajęciach i spędza noc w domu studenckim Uniwersytetu Chicagowskiego. Rankiem lecimy do Bostonu i wynajmujemy samochód. Po dwóch dniach zwiedzania tamtejszych college'ów jedziemy do Amherst, gdzie docieramy już po zmroku. Zatrzymujemy się w centrum miasta, żeby zjeść kolację w hinduskiej restauracji. Potem pytamy o drogę do naszego hotelu. Człowiek, któremu zadaliśmy pytanie, natychmiast wykrzykuje odpowiedź.

– Jedźcie prosto! – wrzeszczy. – Będą dwa światła!

Patrzy nam surowo w oczy.

– Skręćcie w prawą! Musicie skręcić w prawą, nigdy w lewą!

Posłusznie wykonujemy jego polecenie. Nic jako pilot wyrzuca z siebie tym samym tonem i z tą samą siłą głosu słowa wykrzykiwane przez mężczyznę.

– Zatrzymaj się! – wrzeszczy. – W prawo! W prawo! W prawo! Musisz skręcić w prawą, nigdy w lewą!

Ostatni etap naszej podróży to Manhattan, gdzie Nic ogląda Uniwersytet Nowojorski i Columbię.

W domu wypełnia podania na uniwersytety i wspólnie planujemy jego wakacje. Z pomocą Karen nadal ćwiczy francuski. Nic ma talent do języków, łatwo zapamiętuje słowa i ma doskonałe ucho. Kiedy brakuje mu słówek, wymyśla nowe wyrazy, wymawiając je z płynnym paryskim akcentem albo z pomocą Karen sięga do arsenału francuskiego slangu. Prawdę mówiąc, pod koniec roku szkolnego nauczyciel języka francuskiego zachęca Nica, żeby zapisał się na letni kurs językowy w Paryżu na tamtejszym Amerykańskim Uniwersytecie. Po namyśle postanawiamy z Vicki wysłać go do Francji.

Większość czerwca Nic spędza w Los Angeles, a potem jedzie do Paryża na trzytygodniowy kurs. Kiedy do nas dzwoni, opowiada, że bawi się doskonale. Mówi coraz lepiej po francusku i ma świetnych przyjaciół. Dostał nawet rolę w jakimś studenckim filmie. „Uwielbiam to miejsce, ale tęsknię za wami wszystkimi" – mówi w pewnym momencie, zanim się rozłącza. – „Powiedzcie maluchom, że ich kocham".

Kiedy kurs dobiega końca, Nic wraca do domu. Odbieram go na lotnisku. Czekając u bramki, dostrzegam, jak wysiada z odrzutowca. Wygląda strasznie. Urósł, ale nie to przykuwa moją uwagę. Ma zmierzwione, zaniedbane włosy. Czarne kręgi pod oczami. Jest w ogóle bardziej szary. Jego zachowanie natychmiast wywołuje mój niepokój. Wyczuwam tlące się przygnębienie. Pytam w końcu, co się dzieje.

– Nic. Wszystko w porządku – odpowiada.

– Coś się stało w Paryżu?

– Nie! – odpowiada z wyraźną złością.

Przyglądam mu się podejrzliwie.

– Jesteś chory?

– Nic mi nie jest.

Jednak po kilku dniach uskarża się na ból żołądka, umawiam go więc na wizytę do lekarza rodzinnego. Badania trwają godzinę. W końcu Nic wychodzi i mówi, że powinienem wejść razem z nim. Lekarz, z rękami złożonymi na piersiach, patrzy na Nica z wyraźną troską. Wyczuwam, że dzieje się coś więcej, niż ma ochotę powiedzieć, ale doktor oświadcza, że Nic ma wrzód żołądka. Jakie siedemnastoletnie dziecko ma wrzód żołądka?

Rozdział 7

Po skończeniu szkoły średniej zapisałem się na Uniwersytet Stanu Arizona w Tucson, jeszcze bliżej granicy amerykańsko-meksykańskiej. Mój współlokator pochodził z Manhattanu. Charles miał pieniądze dzięki funduszowi powierniczemu. Jego rodzice nie żyli. Nigdy nie dowiedziałem się prawdy o tym, w jakich okolicznościach zmarli, ale miało to coś wspólnego z narkotykami i alkoholem. Może chodziło o samobójstwo. „Utratę jednego rodzica, panie Worthing, można uznać za nieszczęście" – mawiał Charles, przyswajając sobie sławną frazę ze sztuki Oscara Wilde'a *Bądźmy poważni na serio*. – „Utrata obojga to niedbalstwo".

Charles był onieśmielająco przystojny. Miał mocny, prosty nos, brązowe, kręcone włosy i kawowe oczy. Emanował uwodzicielską, niespożytą energią. Robił ogromne wrażenie na mnie i na innych, którzy go spotkali, światowym obyciem, opowieściami o świętach u jakichś krewnych z rodziny Kennedych w Hyannis Port albo w „Winnicy", letnich wakacjach w Monako i na Lazurowym Wybrzeżu. Kiedy zabierał mnie i innych przyjaciół na kolację we francuskiej restauracji, zamawiał – po francusku – escargot, foie gras i szampana Dom Perignon. Słuchacze śmiali się do łez z jego opowieści o szalonych balangach w ekskluzywnej szkole średniej z internatem, które równie dobrze mogły (i niewykluczone że tak było) pochodzić ze stron powieści Fitzgeralda, albo seksualnych eskapadach, które mogły (i zapewne tak było) pochodzić ze stron powieści Henry'ego Millera. Jeśli wspomniałeś, że potrzebujesz nowej koszuli, polecał ci krawca z Hongkongu, który przez lata szył garnitury dla jego ojca. Twierdził, że zna najlepszego zegarmistrza przy nowojorskiej Madison Avenue, najlepszego barmana w hotelu Carlyle i masażystkę w Pierre. Kiedy wspomniałeś, że chciałbyś się napić dobrego wina z Kalifornii, opowiadał ci o Château Margaux, które pił z jakimś pociotkiem Rothschilda. Wszystko, co robił, miało wzbudzać nabożny podziw. I dotyczyło to także sposobu, w jaki pił alkohol i zażywał narkotyki. W obu przypadkach wykazywał imponującą, jak mi się wtedy wydawało, determinację.

Wkrótce odkryłem, że w Tucson istnieją obok siebie dwa uniwersytety. Jeden, na który uczęszczali studenci traktujący naukę w college'u, przynajmniej do pewnego stopnia, poważnie. Oraz ten drugi – mój – który został uznany przez „Playboya" za jedną z najbardziej rozrywkowych szkół wyższych w kraju.

Niemniej byłem amatorem w porównaniu z Charlesem, który nigdy nie pozwoliłby sobie na to, żeby szkoła, czy cokolwiek innego, mogło mu przeszkodzić w jego szaleństwach. To prawda, że od czasu do czasu, po kolejnym kacu, w nagłym przypływie poczucia winy, postanawiał, że będzie odtąd sprawował się lepiej i wznosił szampanem albo margaritą toast na cześć swojej nowo narodzonej wstrzemięźliwości.

Charles miał grono przyjaciół, także pochodzących z Nowego Jorku, którzy zajmowali różowy dom z glinianej cegły przy Speedway Boulevard, na drugim końcu Tucson, daleko od uniwersytetu. Wprawdzie nie mogli liczyć na pieniądze z funduszu powierniczego, ale zawsze starczało im na balangi i kolacje w drogich restauracjach dzięki sprzedawaniu mrożonych magicznych grzybków, szmuglowanych z Jukatanu.

W tym czasie *Nauki Don Juana* Carlosa Castanedy i kolejne tomy tego cyklu, stanowiły popularną lekturę na wielu kampusach. Antropolog Castaneda opisał w nich swoje poszukiwania mądrości u pewnego szamana z indiańskiego plemienia Yaqui, który wprowadzał go w tajniki quasi-religijnej filozofii, przypominającej nauki rozmaitych mistycznych tradycji Wschodu i Zachodu. Nieodzownym elementem duchowych poszukiwań Don Juana było spożywanie substancji psychotropowych, w tym pejotlu, datury (*datura innoxia* – bieluń indiański) oraz grzybków psylocybinowych. To wzbudziło naszą ciekawość, razem z gronem przyjaciół zacząłem po lekturze książek Castanedy postrzegać nasze narkotykowe podróże, pod wpływem grzybów i innych środków psychodelicznych, nie jako sposób na dogadzanie sobie, ale jako drogę poszukiwań intelektualnych. Na tej samej zasadzie usprawiedliwialiśmy także marihuanę, quaaludes (metakwalon), Jacka Danielsa, Jose Cuervo, kokainę i całą przygarść rozmaitych środków podwyższających albo obniżających nastrój.

Pamiętam bardzo wyraźnie jedną z takich narkotykowych sesji na pustyni, wśród czerwonych skał pod Tucson, gdy obserwowałem z uwagą, jak hiszpańska stokrotka przekształca się w ludzką twarz. Wkrótce zarówno ta twarz, jak i inne stokrotki wokół przeobraziły się w oblicza tysięcy aniołów, a potem całe to zgromadzenie zaczęło szeptem przekazywać mi odpowiedź na ostateczne pytanie o sens życia. Podszedłem bliżej, by usłyszeć, co mają do powiedzenia, ale szemrzące głosy zamieniły się w stłumiony śmiech i całe to zgromadzenie poważnych twarzy przekształciło się w pole roześmianych angielskich muffinek.

Wieczorem, gdy nad horyzontem pojawił się ogromny, biały księżyc w pełni, uznałem, że jeśli postaci z książek Italo Calvino, które czytaliśmy na zajęciach z literatury, mogą za pomocą drabin wspinać się na księżyc, mogę i ja, ale zarzuciłem ten pomysł, kiedy Charles obwieścił, że powinniśmy pojechać do jakiegoś klubu i się zabawić.

Charles kupował narkotyki, żeby studiować, i pomagały przez jakieś pół godziny albo coś koło tego. Potem byliśmy już za bardzo na haju, żeby skupić się na czymś innym niż decyzja, do którego baru pójść. Pokaźne ilości narkotyków i alkoholu nigdy nie zniechęcały Charlesa do siadania za kierownicą i szybko rozbił dwa peugeoty. Na szczęście cudem nie zrobił nikomu krzywdy. Siadałem wtedy z przodu, na miejscu obok kierowcy, co, jak teraz wiem, było formą gry w rosyjską ruletkę.

Puszczał na cały regulator Rolling Stonesów. I w kółko odtwarzał zwłaszcza ulubioną piosenkę *Shine a Light,* głośno śpiewając razem z Mickiem Jaggerem:

I kiedy pijany leżysz na ulicy

W podartych ciuchach

A twoi kumple z ostatniej nocy

Zostawiają cię w chłodnym świcie

Widzę na tobie za dużo much

I nie mogę ich odegnać

Pod wpływem narkotykowego kaprysu pewnego wieczoru postanowiliśmy pojechać z Charlesem do Kalifornii, żeby zobaczyć wschód słońca. Wyposażywszy się w arsenał narkotyków pognaliśmy na zachód do San Diego. Było jeszcze ciemno, kiedy przyjechaliśmy na plażę. Siedząc na piasku, z kocami na ramionach, wpatrywaliśmy się w horyzont, czekając na wschód słońca. Paliliśmy jointy i gadaliśmy. W pewnej chwili jeden z nas zauważył, że zrobiło się całkiem jasno. Odwróciliśmy się. Była już chyba dziesiąta. Słońce wzeszło wiele godzin wcześniej.

– O – powiedział Charles, tonem prawdziwego odkrywcy. – Słońce wschodzi na wschodzie.

Innym razem, kiedy wracaliśmy do Tucson po wizycie u moich rodziców w Scottsdale, postanowiliśmy zabrać po drodze autostopowiczkę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, gdzie chciała wysiąść – okazało się, że to klub spadochronowy, pośrodku pustyni, w miasteczku Casa Grande – namówiła nas, żebyśmy spróbowali jej ulubionego sportu. Krótkie przeszkolenie odbyło się naprzeciw ściany, na której ktoś wypisał dużymi literami: „Wszystko, co robicie na ziemi, nie ma znaczenia". Nasz instruktor obwieścił:

– Wasze najważniejsze zadanie polega na tym, żeby się dobrze bawić. – I kiedy dotarł do końca swojej przemowy, zachichotał i skwitował: – Pieprzyć to, lecimy.

Mój spadochron się nie otworzył. Uratował mnie, prawdopodobnie w ostatniej sekundzie, spadochron zapasowy, który trochę spowolnił lot. Walnąłem mocno w ziemię, ale nic mi się nie stało. Charles podbiegł do mnie, wołając:

– Ale zajebiste!

Opowieści narkotykowe brzmią złowrogo. Podobnie jak w niektórych historiach wojennych uwaga narratora skupia się na przygodzie i ucieczce. W długiej tradycji sławnych albo okrytych złą sławą, nieposkromionych zwolenników dobrej zabawy oraz ich kronikarzy nawet bolesny kac i bliskie spotkania ze śmiercią albo wizyty na szpitalnych oddziałach ratunkowych mogą zyskać fascynujący blask. Zwykle jednak narrator pomija powolną degenerację bohatera, psychiczne cierpienia i na koniec nieuchronną śmierć.

Pewnej nocy zaniepokoiłem się, gdy Charles po powrocie z dwudniowej pijackiej eskapady nazbyt długo siedział w łazience. Kiedy nie odpowiadał na moje wołania, wyłamałem zamek i popchnąłem drzwi. Okazało się, że zemdlał i rozbił sobie głowę o podłogę z terakoty. Wezwałem karetkę. W szpitalu lekarz ostrzegł go, że powinien przystopować z piciem. Charles obiecał, że tak zrobi, ale oczywiście było inaczej.

Kilka miesięcy później kolejna z naszych samochodowych wędrówek, zainspirowana dziełami Huntera Thompsona, zawiodła nas do San Francisco, gdzie przybyliśmy wczesnym wieczorem. Nigdy wcześniej nie byłem w tym mieście. Zatrzymaliśmy samochód na najwyższym wzgórzu miasta. Wiał ożywczy wiaterek. Po dzieciństwie spędzonym w Arizonie poczułem się, jakbym pierwszy raz w życiu zdołał wziąć głębszy oddech.

Poprosiłem o przeniesienie na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. Nie zdążyłem jeszcze popsuć swoich ocen, więc zostałem przyjęty; zapisałem się na jesienny semestr. W tych czasach nie było czymś niezwykłym, że student na uniwersytecie układał sobie indywidualny plan nauki w zakresie nauk społecznych. W swoim programie skoncentrowałem się na problematyce śmierci i ludzkiej świadomości.

Zanurzyłem się w swoje studia, ale w Berkeley także pełno było narkotyków. Większość weekendów spędzaliśmy pod wpływem kokainy i trawki. Ojciec jednego z przyjaciół, lekarz, przepisywał nam całe opakowania quaaludesu, ponieważ nie chciał, żeby jego syn zażywał specyfiki kupowane na ulicach. Próbowałem wtedy wielu narkotyków, ale nie więcej niż większość moich kolegów. W jakiś sposób tak się stało, że studia na uniwersytecie, w przypadku wielu studentów, są nierozerwalnie splecione z pijaństwem i zażywaniem narkotyków.

Zachowałem kontakt z Charlesem, który pił i ćpał coraz więcej w sposób, który po latach powoduje, że zaczynam niepokoić się o Nica. Sam używałem narkotyków intensywnie, ale pod tym względem nigdy nie próbowałem naśladować Charlesa. O pierwszej albo drugiej w nocy mówiłem sobie, że na dzisiaj wystarczy, ponieważ rano musiałem wstać na zajęcia. Charles spoglądał wtedy na mnie jak na obłąkanego. On dopiero zaczynał.

Po wakacjach we Francji Nic wrócił do szkoły. Chociaż wrzód się zagoił, mam wrażenie, że w zachowaniu Nica zaszła jakaś zmiana, jest teraz mniej zainteresowany nauką. Nadal dość dobrze radzi sobie na zajęciach i utrzymuje wysoką średnią ocen. Jego upadek stawał się dzięki temu bardziej tragiczny, niż gdyby po prostu wszystko spieprzył. Niemniej rezygnuje z pływania i gry w zespole waterpolo, a w końcu także z gazety. Zaczyna opuszczać zajęcia, twierdząc uparcie, że wie dokładnie, co może, a co nie może ujść mu na sucho. Wraca do domu późno, przeciągając granice umówionej godziny. Jesteśmy coraz bardziej zaniepokojeni, w końcu razem z Karen idziemy na spotkanie ze szkolnym psychologiem.

– Szczerość Nica, niezwykła, zwłaszcza u chłopców, to dobry znak. Proszę z nim o tym rozmawiać, wtedy jakoś z tego wybrnie – poradził.

Spróbuję.

Mam wrażenie, jak gdyby Nic był nieustannie rozrywany przez dwie sprzeczne siły. Jego nauczyciele i szkolni psychologowie, a także rodzice starają się utrzymać go na powierzchni i uchronić przed poddaniem się tej drugiej sile, która kryje się w jego wnętrzu.

Po dwudziestu pięciu latach pracy w szkole Don przyjmuje posadę gdzie indziej. Nikt poza nim nie ma takiego wpływu na Nica, co nie znaczy, że Don – czy ktokolwiek inny – mógł w jakikolwiek sposób zmienić bieg życia Nica w tym momencie. Niektórzy nauczyciele nadal są pod wrażeniem przenikliwości mojego syna, jego talentów pisarskich i malarskich, włączając w to dzieło przygotowane na szkolną wystawę prac artystycznych, gwasz przedstawiający na tle planszy do gry „Clue Jr." postać wrzeszczącego chłopca z twarzą pokrytą napisami. Ale inni są zaniepokojeni. Jego poprzedni nauczyciel historii, uwielbiany przez Nica, dzwoni do nas z wiadomością, że „Nic po prostu przestał się interesować tym, co się dzieje". Chociaż uczniowie ostatniej klasy dość często uznają, że już nie muszą chodzić do szkoły, jego wychowawca pewnego dnia informuje mnie, że Nic pobił szkolny rekord opuszczonych zajęć wśród uczniów ostatniego rocznika – a jednocześnie zaczynają napływać odpowiedzi z college'ów, do których Nic złożył swoje podanie. Został przyjęty przez większość z nich.

Spędza teraz dużo czasu poza domem. Zadaje się z grupą miejscowych chłopców, którzy ewidentnie coś ćpają. Rozmawiam o tym ostro, ale Nic zaprzecza, że bierze cokolwiek. Jest na tyle inteligentny, że potrafi usprawiedliwić niektóre swoje skandaliczne wyczyny za pomocą przekonujących kłamstw i coraz skuteczniej zaciera ślady. Kiedy odkrywam jego nieuczciwość, jestem zmieszany, ponieważ nadal wydaje mi się, że jesteśmy ze sobą blisko związani – bliżej niż większość ojców i synów. W końcu Nic przyznaje, że sięga po narkotyki, „jak wszyscy", ale to „tylko trawka" i tylko „od czasu do czasu". Obiecuje, że nigdy nie wsiądzie do samochodu z kimś, kto jest na haju. Moje rady, błagania, mój gniew trafiają jednak w próżnię – odbijają się jak od ściany otumanionej narkotykami. Nadal mnie zapewnia:

– To nic wielkiego. Nic szkodliwego. Nie martw się.

– To nie zawsze jest nieszkodliwe – odpowiadam, powtarzając jak zdartą płytę. – Z tego może się zrobić problem. Znam ludzi, którzy zaczęli trochę popalać, a potem już nie mogli przestać i…

Nic przewraca oczami.

– To prawda – kontynuuję. – Wszystkie ambicje wyparowały im z głowy z powodu dziesięcioleci palenia marihuany. – Opowiadam mu o moim byłym przyjacielu, który nie potrafił utrzymać się w żadnej pracy i każdy jego związek nie trwał dłużej niż miesiąc albo dwa. „Kiedyś mi powiedział: Odkąd skończyłem trzynaście lat, żyłem w chmurze dymu i telewizyjnych obrazów, więc może to nic dziwnego, że w moim życiu sprawy nie potoczyły się lepiej".

– Sam wypaliłeś tony trawy – odpowiada Nic. – Też mi autorytet.

– Żałuję, że tak było – mówię.

– Za bardzo się martwisz – zbywa mnie.

Podczas wizyty u moich rodziców, z okazji jakiegoś święta rodzinnego w Arizonie, idę z Nikiem na spacer po sąsiednich ulicach. Od czasu kiedy tu mieszkałem w dzieciństwie, drzewa palmowe zrobiły się cienkie i absurdalnie wysokie, niczym żyrafy z niedorzecznie długimi szyjami. W kilku domach dobudowano drugą kondygnację. Poza tym, jak się wydaje, nasza ulica wygląda tak samo. Pamiętam, jak szedłem tą samą trasą z małym Nikiem, kiedy miał dwa albo trzy lata. Wiozłem go wtedy w niewielkim plastikowym samochodzie, w którym siedział za kierownicą. Dotarliśmy do Chaparral Park, gdzie Nic nacisnął na wyimaginowany hamulec, otworzył drzwi, ostrożnie je zamknął, po czym pobiegł w stronę brzegu sztucznego jeziora. Nad wodą rzucał kaczkom i gęsiom kawałki ciemnego chleba. Jakaś wojownicza, stara gęś ugryzła go w palec i się rozpłakał.

Wiem, że tracę kontakt z Nikiem, ale nadal staram się racjonalizować: to typowe dla nastolatków, że oddalają się od domu, od swoich rodziców – stają się naburmuszeni i niedostępni. „Powinniśmy się zastanowić, jaki był Jezus, kiedy miał siedemnaście lat", napisała Anne Lamott. „Nawet o tym nie wspominają w Biblii, najwyraźniej był okropny". Mimo to nadal próbuję się przebić do Nica, zmusić go do rozmowy, jednak nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

Wreszcie odwraca się do mnie i rzeczowo pyta, czy chciałbym zapalić skręta. Przyglądam mu się uważnie. Testuje mnie? Obwieszcza swoją niezależność czy próbuje wyciągnąć rękę – nawiązać kontakt? Może wszystko naraz.

Wyciąga jointa, zapala i podaje mi. Przez chwilę patrzę na skręta. Nadal czasem palę, ale rzadko. Zdarza się, że idę na przyjęcie, albo odwiedzam

przyjaciela, gdzie pali się trawkę z równą naturalnością, niezobowiązująco, jak pije się wino do obiadu. Przy takich okazjach zaciągam się raz albo dwa.

Ale tym razem jest inaczej. Mimo to biorę od niego jointa, racjonalizując, że nie ma w tym nic niezwykłego. To trochę tak, jakby w poprzednim pokoleniu ojciec napił się piwa ze swoim siedemnastoletnim synem, to nieszkodliwy moment sprzyjający powstawaniu więzi. Zaciągam się, palę razem z Nikiem, kiedy przechadzamy się po mojej starej dzielnicy. Rozmawiamy i śmiejemy się, napięcie między nami znika.

Ale potem wraca. Wieczorem lądujemy w tym samym punkcie. Nic dalej jest wojowniczym, zirytowanym nastolatkiem, wściekłym, że zaciągnęliśmy go do Arizony. Jestem przepracowanym, nękanym zmartwieniami i pod wieloma względami nieumiejętnym rodzicem. Czy powinienem był z nim palić? Oczywiście, że nie. A jednak, tak rozpaczliwie pragnę – na pewno zbyt rozpaczliwie – jakoś się z nim skontaktować. To nie jest najlepsza wymówka.

Nic zgadza się na spotkanie z nowym terapeutą, o którym ktoś nam powiedział, że jest geniuszem, jeśli chodzi o pracę z dorastającymi chłopcami. Już przed spotkaniem jest niespokojny, lekko zniesmaczony myślą, że będzie musiał rozmawiać z kolejnym psychiatrą. Terapeuta jest wysoki, mocno zbudowany i nieco przygarbiony, ma intensywnie błękitne oczy. Wita się z Nikiem uściśnięciem dłoni, a potem obaj znikają w gabinecie.

Godzinę później Nic wyłania się z uśmiechem, ma zaróżowione policzki i po raz pierwszy od dłuższego czasu energiczny krok.

– To było niesamowite – mówi. – On jest zupełnie inny niż pozostali.

Zaczyna cotygodniowe sesje po zajęciach szkolnych, choć czasem je opuszcza. Razem z Karen także spotykamy się z tym terapeutą. Podczas jednego ze spotkań twierdzi, że college pomoże Nicowi stanąć na nogach. To niedorzeczny pomysł – od kiedy to pierwszy rok studiów pomógł komukolwiek stanąć na nogi? A jednak mogę tylko mieć nadzieję, że ma rację.

Pewnego słonecznego popołudnia późną wiosną pojawia się Vicki i razem z Karen, Daisy i Jasperem bierzemy udział w uroczystości zakończenia przez Nica nauki w szkole średniej. Ceremonia odbywa się na boisku lekkoatletycznym. Nic jest niezadowolony, odkąd jego klasa postanowiła, że będą nosić tradycyjne czapki i peleryny. Razem z Karen bylibyśmy rozczarowani, ale nie

zaskoczeni, gdyby się nie pokazał. Niemniej przychodzi. Ze świeżo umytą głową i w przepisowym stroju maszeruje naprzód i odbiera swój dyplom z rąk dyrektorki szkoły, cmokając ją w policzek. Wydaje się pełen radości. Chwytam się każdej, choćby najmniejszej oznaki tego, że może jednak w końcu wszystko będzie dobrze. Po uroczystości zapraszamy jego przyjaciół na barbecue. Ustawiamy długi stół pod krzewem derenia, obsypanym czerwonymi kwiatami. W środku obiadu, podczas rozdawania talerzy z jedzeniem, Nic i jego przyjaciele to pojawiają się, to znikają, to są w środku domu, to na zewnątrz. A potem się żegnają i jadą na „bezpieczną i trzeźwą" wielką balangę z okazji zakończenia nauki, która odbywa się w lokalnym ośrodku rekreacyjnym. Przyjaciele podrzucają go do domu tego wieczora dość późno, a ja myślę: Nic, mój absolwent szkoły średniej. Kiedy pytam go, jak się bawił, mija mnie bez słowa i w drodze do swojej sypialni mamrocze:

– Jestem wykończony. Dobranoc.

Latem Nic przestaje udawać, że się stara zachować jakiś umiar. Z jego chaotycznych zachowań wynika niezbicie, podobnie jak z jego zmiennych nastrojów, że często jest na haju i uzupełnił marihuanę o inne narkotyki. Moje groźby, kary i groźby jeszcze surowszych kar są bezcelowe. Nic od czasu do czasu pokazuje, że mu zależy, że żałuje, ale najczęściej patrzy na mnie ze wstrętem. Zaczynam się zachowywać niekonsekwentnie. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić poza wygłaszaniem ostrzeżeń, próbami negocjacji i zmuszaniem go do przestrzegania umówionej godziny powrotu do domu, zabranianiem korzystania z samochodu i ciąganiem do psychoterapeuty, mimo że staje się coraz bardziej skryty, coraz bardziej pyskaty i bezczelny.

Nadal chodzimy do Nancy i Dona na kolacje w każdą środę. Dorośli zbierają się w kuchni, podczas gdy wnuki bawią się w piwnicy, zagraconej przez meble i podwieszane kajaki. Grają na dole w ping-ponga albo bujają się w salonie na huśtawce. To jedyny znany mi dom, który ma huśtawkę w środku. Z grubej belki u sufitu zwisają grube liny podtrzymujące płócienne siedzenie. Czasami dzieciaki używają jej jako katapulty podczas gry w kręgle. Najpierw ustawiają skomplikowane wieże z wielobarwnych, tekturowych cegieł. A potem biorą na cel Daisy, która trzymając się lin, siedzi na huśtawce, i puszczają ją w powietrze.

Główną cechą kuchennej części domu Nancy jest wielka drewniana wyspa

z sześciopalnikową kuchenką. Zwykle coś stoi na ogniu i całe pomieszczenie wypełniają rozkoszne, egzotyczne zapachy, czasami z lekkim dodatkiem spalenizny, w zależności od tego, jaki przepis Nancy znalazła w gazecie, najnowszej książce kucharskiej Peggy Knicerbocker albo w „Gourmet". Jednego wieczoru to może być żółte curry z kurczakiem, podane z ryżem jaśminowym oraz raitą zrobioną z jogurtu i ogórków, do tego chutney o smaku mango i płaskie indyjskie placki pachnące kardamonem. Kiedy indziej menu obejmuje bulgoczącą, meksykańską potrawkę z zielonym chilli i serem albo pieczeń wieprzową w sosie cytrynowo-śliwkowym, do tego opiekane ziemniaki i przysmażana brukselka. Kiedy przychodzi pora obiadu, dzieciaki wybierają swoje ulubione ceramiczne talerze, każdy z wizerunkiem innego zwierzęcia. Jasper zawsze wybiera wieloryba. Daisy i jej kuzynka zawzięcie walczą o talerzyk z pieskiem, w końcu Daisy ustępuje i zadowala się małpką.

Wydaje się, że Nic nadal cieszy się na te uroczyste wieczory. Jednak tym razem zachowuje się dziwnie. Stoi w kuchni i wyrzuca z siebie serię chaotycznych zdań: „Dlaczego ludzie nie mieliby uprawiać seksu z kimkolwiek zechcą, kiedy mają na to ochotę? Monogamia to archaiczna konwencja", peroruje Nancy, która spokojnie słucha, mieszając jakąś potrawę wrzącą na palniku. „Doktor Seuss to geniusz". Przez chwilę rozprawia na temat swoich najnowszych, gorączkowych i niespójnych koncepcji filozoficznych, jakie przypuszczalnie wyrzuca z siebie późnym wieczorem w gronie przyjaciół.

Jednak później dociera do mnie, że Nic na pewno był pod wpływem czegoś. Rankiem pytam go, co to było. Zaprzecza. Jeszcze raz próbuję gróźb, ale nie mają znaczenia. Zakazuję mu sięgania po narkotyki, ale i to jest bez sensu. Kiedy razem z Karen rozmawiamy z jego psychoterapeutą, doradza mi, żebym nie zabraniał Nicowi przynoszenia narkotyków do domu: „Jeśli mu pan ich zakaże, będzie je przemycał. W swoim sięganiu po narkotyki zejdzie pod ziemię, a wtedy straci go pan. Bezpieczniej będzie zatrzymać go w domu".

Przyjaciele i przyjaciele przyjaciół podrzucają mi rozmaite, sprzeczne rady: Wywal go z domu, nie pozwól, aby zniknął ci z oczu. Myślę: Wyrzucić go? Jakie będzie miał szanse wtedy? Mam nie pozwolić na to, aby zniknął mi z oczu? Sami spróbujcie zatrzymać w domu siedemnastolatka, który ćpa.

To spokojny wieczór w środku lata, tuż przed jego osiemnastymi urodzi-

nami. Przyjeżdżam do domu i od razu wyczuwam, że czegoś brakuje. Powoli uświadamiam sobie, że Nic gdzieś zniknął, a na odchodnym obrabował dom z gotówki, jedzenia i skrzynki wina. Ale nie brał, jak popadło. Wybrał tylko te najlepsze. Wpadam w panikę. Dzwonię do jego psychoterapeuty, który wbrew temu, co się stało, nadal mnie zapewnia, że z Nikiem wszystko będzie dobrze i jedynie w sposób właściwy dla swojego wieku „próbuje swojej niezależności". Jeśli jego bunt przybrał taką skrajną postać, to dlatego że sam tak wszystko zorganizowałem, że Nic nie bardzo ma się przeciw czemu zbuntować.

Wreszcie ktoś wypowiedział te słowa: a więc to moja wina, że Nic robił się coraz bardziej ponury i niedostępny, zaczął brać narkotyki, a teraz kłamie i kradnie. Byłem zbyt pobłażliwy. Jestem gotowy pogodzić się z takim osądem, przyjąć do wiadomości, że spieprzyłem sprawę, choć zastanawiam się nad losem dzieci, które mają kłopoty, mimo że ich rodzice wykazywali się przesadną surowością, a także dzieci, które najwyraźniej mają się świetnie, choć ich rodzice byli o wiele bardziej pobłażliwi ode mnie.

Nic odzywa się dopiero po dwóch dniach. Najwyraźniej wybrał się ze swoimi przyjaciółmi do Doliny Śmierci, na wyprawę w stylu Kerouaca, podsycaną narkotykami i alkoholem. Domagam się od niego powrotu do domu. Wraca, a wtedy zabraniam mu wychodzić. Zawieramy porozumienie: będzie pracował, żeby spłacić wartość skradzionych przedmiotów. (Nie bałem się tego powiedzieć).

– Zawsze próbujesz mnie kontrolować! – krzyczy Nic pewnego wieczoru, kiedy mówię, że nie może wyjść na miasto, skoro jest uziemiony. Ma na sobie workowate, zielone spodnie, spięte płóciennym, wojskowym pasem i białą koszulę ze zrolowanymi rękawami.

– Dałem ci mnóstwo swobody. Nadużyłeś jej.

– Pieprz się – powtarza wściekły. – Pieprz się.

Wybiega do swojej sypialni, trzaskając drzwiami.

Razem z Karen mamy kolejną sesję z psychoterapeutą Nica. Jesteśmy wszyscy w jego gabinecie, niewielkim, zacisznym pomieszczeniu wyposażonym w parę wygodnych foteli. Nic siedzi posępnie naprzeciw nas, rozwalony na kozetce. Psychoterapeuta stara się, jak może, aby nadać naszej rozmowie cywilizowaną formę, ale Nic jest nastawiony buntowniczo i obronnie, depre-

cjonuje moją troskę, jako wyraz głupoty i nadopiekuńczości. Jeszcze raz krzyczy, że próbujemy go kontrolować.

Dopiero potem dochodzę do wniosku, że Nic z pewnością musiał być na haju. Kiedy dzwonię do terapeuty zapytać go o zdanie, odpowiada: „To możliwe, ale u nastolatka wrogość jest czymś normalnym. Dobrze, że wolno mu ją przy was uzewnętrzniać. To zdrowe".

Zgadzamy się na następną sesję, która przebiega spokojniej. Nic przeprasza i mówi, że był zły. Posuwa się nawet do zapewnień, że jego balangi – przyznaje się do „umiarkowanych" imprez – to jedynie chwila wytchnienia przed czekającą go ciężką pracą w college'u.

– Wydaje mi się, że sobie na to zasłużyłem – mówi. – Ciężko pracowałem w szkole średniej.

– Nigdy nie pracowałeś aż tak ciężko.

– No dobrze, będę pracował ciężko, kiedy zacznę studia. Rozumiem, że to dla mnie wielka szansa. Nie zamierzam tego spieprzyć.

Oczywiście nadal pragnę mu wierzyć. Nie sądzę, aby chodziło jedynie o to, że jestem łatwowierny, ale nie potrafię wyczuć implikacji jego zachowań. Kiedy zmiana następuje stopniowo, trudno zrozumieć jej znaczenie. A ja nadal wierzę, że wszystko będzie dobrze.

Dwa tygodnie później, w niedzielne popołudnie, Karen wybiera się z trójką naszych dzieci na plażę. Muszę szybko dokończyć tekst, więc zostaję w domu.

Mgła się rozwiała i stoję razem z nimi na podjeździe, pomagając w pakowaniu samochodu. Nasi przyjaciele, którzy jadą razem z nimi, podjeżdżają swoim autem. A potem koło naszego domu zatrzymują się dwa wozy z policjantami z biura szeryfa. Kiedy podchodzi do nas dwójka umundurowanych funkcjonariuszy, rozumiem, że chcą zapytać o drogę, ale mijają mnie bez słowa i podchodzą do Nica. Skuwają mu ręce kajdankami za plecami, wpychają na tylne siedzenie jednego z samochodów i odjeżdżają.

Jasper, który ma sześć lat, jako jedyny z nas reaguje tak jak należy. Rozpaczliwie zawodzi przez godzinę.

Rozdział 8

Aresztowanie jest następstwem tego, że Nic nie stawił się w sądzie, kiedy oskarżono go o posiadanie marihuany. To wykroczenie, o którym jakoś zapomniał mi powiedzieć. Mimo to płacę kaucję.

– Ten jeden raz – mówię. Jestem pewien, że aresztowanie czegoś go nauczyło.

Nic ma ciągle zmienne nastroje, ale trzyma się swojej pracy baristy, nalewając klientom espresso i parujące mleko w sklepie z kawą w Mill Valley. Czasami tam zajeżdżamy – Karen, Jasper, Daisy i ja. Nic stojąc za kontuarem, wita nas szerokim uśmiechem. Przedstawia swoje rodzeństwo reszcie załogi, a potem wyczarowuje dla nich wysokie kubki gorącej czekolady z ogromnymi czapami bitej śmietany.

Zasypuje nas historyjkami z pracy. Zdążył już poznać wielu stałych gości, których dzieli na kilka kategorii. „Spryciarze" zamawiają małą kawę w dużych kubkach. To klienci, którzy wiedzą, że barmani napełniają duże kubki do pełna, więc dostają dodatkową kawę za friko i oszczędzają parę centów. „A co mi tam" chcą dostać cappuccino z bezkofeinowego espresso i mleka bez tłuszczu. „Quady" to maniacy, którzy zamawiają poczwórne espresso. Nieuprzejmi klienci gorzko płacą za swoje chamstwo. Nic i jego współpracownicy mszczą się, celowo mieszając zamówienia: jakiś wyjątkowo nieprzyjemny gość, który zamawia bezkofeinową, dostaje podwójnie wzmocnione espresso, a inny gbur, który zamówił mocną czarną, dostaje bezkofeinową.

Nic, jak zawsze, rozpieszcza Jaspera i Daisy. Pewnego ranka, kiedy jest w wyjątkowo dobrym humorze, odgrywa dla nich swoje wcielenie Agnes Moorehead – to z *Pollyanny* – ale tym razem jego publicznością jest Daisy.

– Masz taki zapchany mały nosek, panienko!

Ileż razy wściekaliśmy się na Nica, a potem rozbrajała nas jego dobroć i poczucie humoru? Jak to możliwe, że te dwa wcielenia Nica, ten kochający, troskliwy i chętnie dzielący się z innymi, oraz ten drugi, autodestrukcyjny i skupiony na sobie, to jedna i ta sama osoba?

Daisy, która schowała się w afrykańskim koszu, jest wściekła.

– Nic, jak mnie znalazłeś? To nie fair – denerwuje się.

Jak zwykle, podczas zabawy w chowanego jej kryjówka zostaje odkryta jako pierwsza. Nic znalazł ją, gdy siedziała skulona w koszu stojącym obok półki z książkami w salonie.

– Dość tego miauczenia – odzywa się Nic nowym głosem, tym razem to jakiś pirat. – A ile wiklinowych koszy śpiewa piosenki? Następnym razem nie śpiewaj tak głośno.

Wybiega na zewnątrz w poszukiwaniu Jaspera i kuzynów, którzy nadal siedzą w swoich kryjówkach. Jest koniec lata i liście klonów zrobiły się fioletowe, krzaki róż i hortensji są obsypane intensywnie białymi albo żółtymi kwiatami. Powietrze jest rześkie i dzieciaki, zganiane podczas swojej zabawy, wydychają obłoczki pary.

Nic, naśladując tym razem Karla Maldena, jako płomiennego kaznodzieję – znów z *Pollyanny* – ryczy do Jaspera:

– Znajdziemy cię, a kiedy już cię znajdziemy, powiesimy cię głową w dół za twoje patykowate paluchy.

– Tak! – dodaje Daisy. – I wylejemy ci czekoladowy syrop na twoją brudną głowę.

Nic bawi się z dziećmi i mam wrażenie, jak gdyby wszystko w naszym domu toczyło się normalnie. Niemniej po niedawnym aresztowaniu ten paradoks zbija mnie z tropu.

Nic postanowił, że będzie studiował w Berkeley. Pewnego ciepłego, sierpniowego popołudnia wpychamy się wszyscy do samochodu i razem z Karen, Jasperem i Daisy na dokładkę, zawozimy Nica na miejsce, żeby mu pomóc się zainstalować. Po drodze zatrzymujemy się na pizzę, a potem wjeżdżamy na rozległy kampus, szukając Bowles Hall, starożytnego akademika o architekturze w stylu Tudorów.

– To prawdziwy zamek! – woła Jasper. Widać, że budowla zrobiła na nim wrażenie i jest zazdrosny. – Będziesz mieszkał w zamku!

Parkujemy przed frontem budynku i pomagamy Nicowi zanieść bagaże przez kamienne wejście o łukowatym sklepieniu, a potem wspinamy się po kamiennych schodach dwa piętra i znajdujemy jego pokój. Zastajemy w nim współlokatorów, którzy właśnie rozpakowują swoje rzeczy. Sprawiają wraże-

nie chłopców poważnych i pracowitych, a jeden wygląda wręcz jak komputerowy mózgowiec. Wszyscy wydają się niezwykle mili. Jeden z nowych kolegów Nica, z zaniedbanymi, rudymi włosami i w jasnoniebieskim golfie, ustawia jakiś skomplikowany system komputerowy domowej roboty. Inny, w owalnych okularach w rogowej ramce i T-shircie w paski, trzyma na niewielkim odtwarzaczu CD stertę płyt George'a Michaela, Céline Dion, Barbry Streisand i Eltona Johna, wybór, który zważywszy na bezkompromisowe muzyczne gusty Nica, nie zapowiada, że łatwo uda się osiągnąć harmonię w tym niewielkim pomieszczeniu.

Nic odprowadza nas do samochodu.

– Wszystko będzie dobrze – mówi nerwowo. – To wspaniały, stary budynek.

Obejmuje nas po kolei.

Wspominam o George'u Michaelu i Nic wybucha śmiechem.

– Nauczę ich, zobaczysz. Zaraz będą słuchać Marca Ribota.

Ribot śpiewa jedną z ulubionych piosenek Nica, „Tak! Zabiłem waszego Boga".

Kiedy Nic dzwoni do domu kilka dni później, wydaje się pochłonięty studiami, zwłaszcza kursem malowania. Jednak w następnych rozmowach przyznaje, że nie potrafi zrobić porządnej ramy dla swoich płócien.

– Nieważne jak to robię, zawsze wychodzi krzywo – oświadcza. – A do tego muszę je wlec ze sobą przez cały kampus. Czuję się jak Jezus dźwigający swój krzyż.

W kolejnych rozmowach zaczyna się skarżyć na pozostałe zajęcia.

– Uczą nas tu jacyś asystenci, a nie prawdziwi profesorowie. To dupki – podsumowuje.

Podczas kilku następnych rozmów mam wrażenie, że Nic jest rozproszony, a potem w ogóle przestaje oddzwaniać na moje telefony. Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale jego milczenie mówi mi, że sprawy nie idą w dobrym kierunku. Kiedy wreszcie się odzywa – „Byłem trochę u przyjaciół", „Szkoła jest w porządku, ale tak naprawdę pociąga mnie tutejsza undergroundowa scena muzyczna" – zachęcam go, żeby skorzystał z okazji, jaką daje mu uniwersytet, żeby przetrwać początkowy okres.

– Zobaczysz potem, że było warto – mówię. – Na początku zawsze jest trudno, ale poradzisz sobie.

Podsuwam mu pomysł, żeby spotkał się z psychologami w uniwersyteckim centrum medycznym i jeśli chce, umówił się ze swoim terapeutą, który powiedział, że Nic zawsze może się z nim skontaktować, ilekroć – rzadko albo często – będzie miał na to ochotę. „Mnóstwo studentów na pierwszym roku ma kłopoty" – mówię. – „To normalne. Może psychologowie jakoś pomogą".

Nic odpowiada, że to nie najlepszy pomysł. Jakaś część mnie ciągle wierzy, że jednak posłucha tej rady i poszuka pomocy, ale te nadzieje są płonne. Tydzień później dzwoni do mnie jeden z kolegów Nica z pokoju. Mówi, że się niepokoją, ponieważ Nic od kilku dni nie pokazał się w akademiku. Jestem zrozpaczony.

Dwa dni później, jesiennym popołudniem, Nic wreszcie się odzywa, przyznając w końcu, że nie odnalazł się w college'u. Zakładając, że jego problem ma związek z narkotykami, odpowiadam, że musimy porozmawiać o ośrodku terapeutycznym. Twierdzi, że prawie nic nie bierze.

– Nie byłem jeszcze gotowy na studia – mówi. – Potrzebuję po prostu trochę czasu. Muszę najpierw zająć się samym sobą. Ciągle przeżywam trudne chwile, czuję się dość depresyjnie.

Brzmi rozsądnie i mam wrażenie, że w słowach Nica jest sens. Wiele dowodów wskazuje na to, że dzieci często sięgają po narkotyki, żeby wyleczyć się z depresji, nie wspominając już o całej gamie innych zaburzeń zdrowia psychicznego. Zażywane przez nie narkotyki mogą następnie stać się źródłem problemów, które skupiają na sobie uwagę dzieci i ich rodziców, ale mogą jednocześnie maskować głębsze problemy psychiczne. Skąd rodzic może o tym wiedzieć? Razem z Karen zasięgamy porad u kolejnych specjalistów, ale i oni nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Stawianie diagnozy nie jest nauką ścisłą, to skomplikowany proces zwłaszcza w przypadku nastolatków i młodych osób dorosłych, u których często występuje huśtawka nastrojów obejmująca także depresję. Wiele symptomów takich zaburzeń pokrywa się, jak się wydaje, z niektórymi objawami zażywania narkotyków. A kiedy specjaliści wreszcie stwierdzą, że jeśli u pacjenta występuje jakiś problem, uzależnienie od narkotyku może nasilić chorobę albo wręcz się z nią stopić. W pewnym momencie nie sposób powiedzieć, w którym miejscu kończy się jedno i zaczyna drugie.

„Zważywszy na poziom dojrzałości u młodych osób dorosłych, dostępność narkotyków oraz wiek, w jakim młodzież po raz pierwszy po nie sięga, trudno się dziwić, że u znacznej liczby młodych ludzi pojawia się poważny problem z narkotykami", pisze Robert Schwebel, lekarz medycyny, w książce *Saying No Is Not Enough* (Nie wystarczy powiedzieć nie). „Następstwa takiego stanu rzeczy mogą być skrajnie szkodliwe. Narkotyki izolują dzieci od zmagania się z rzeczywistością oraz opanowywania umiejętności, które będą miały decydujący wpływ na ich przyszłe życie. Zażywanie narkotyków tłumi rozwój tych samych umiejętności, które wcześniej nie zdążyły się odpowiednio u tych dzieci wykształcić, co sprawiło, że stały się one podatne na uzależnienie od narkotyków. U takich dzieci będziemy obserwować problemy z osiągnięciem własnego poczucia tożsamości oraz z przyswajaniem sobie umiejętności intelektualnych i z nauką panowania nad sobą. W okresie nastoletnim młody człowiek powinien dokonać przejścia z okresu dzieciństwa do fazy życia dorosłego. Nastolatki, które mają problemy z narkotykami, nie będą przygotowane do roli osób dorosłych. (...) Metrykalnie będą dojrzałe, ale emocjonalnie pozostaną nastolatkami".

Pewna specjalistka od psychologii rozwojowej powiedziała mi w wywiadzie, że mózg dziecka jest najbardziej plastyczny – to znaczy, że zachodzą w nim największe zmiany – w pierwszej fazie życia, czyli przed ukończeniem drugiego roku życia, a potem ponownie w okresie nastoletnim. „To najgorszy czas na majstrowanie przy mózgu takiej osoby, kiedy jest nastolatkiem", mówi. „Narkotyki radykalnie zmieniają procesy rozwojowe mózgu u nastolatków". Jak wyjaśnia, w tym okresie pod wpływem doświadczeń i zachowań kształtuje się pewien cykl reakcji, który może pogłębić problemy emocjonalne. Biologiczne podłoże powstałego problemu może przybrać ostrzejszą postać i stać się bardziej odporne na leczenie. Prowadzi do pojawienia się problemów psychicznych, a potem je wzmacnia. Problemy psychiczne stają się głębiej zakorzenione. Przy takim rozwoju wydarzeń leczenie osób, które zaczęły zażywać narkotyki w okresie nastoletnim, staje się bardziej skomplikowane, ponieważ rozmontowywanie albo przekierowywanie ustalonych ścieżek połączeń mózgowych ma podłoże zarówno biologiczne, jak i emocjonalne i behawioralne.

Kiedy Nic porusza ten temat, zaczynam wierzyć, że powodem jego cierpień jest przypuszczalnie depresja. Czyżby psychiatrzy o imponujących refe-

rencjach, którzy z nim rozmawiali, przeoczyli tak oczywistą diagnozę? Ale niewykluczone, że jeśli psychoterapeuci przeoczyli jego depresję, to dlatego, że Nic potrafi zręcznie ją ukrywać, podobnie jak potrafił sprawnie ukrywać, że zażywa narkotyki. Depresja to wyjaśnienie, które wydaje się prawdopodobne i łatwiej ją przyjąć do wiadomości niż problemy z narkotykami. Nie chodzi o to, że depresja nie jest czymś poważnym, ale w odróżnieniu od narkotyków człowiek nie ściąga jej sam na siebie. Znajduję pewne pocieszenie w myśli, że narkotyki są symptomem, a nie przyczyną kłopotów Nica.

Nic twierdzi także, że pomysł ze studiami w Berkeley był błędem i że poradziłby sobie lepiej w jakimś mniejszym college'u. Rozwija teorię, że padł ofiarą bezosobowej biurokracji uniwersytetu. „Próbowałem zobaczyć się z psychologiem – opowiada – tak jak proponowałeś. Ale musiałem godzinę czekać w kolejce, żeby się zapisać. Kiedy wreszcie znalazłem się na początku tej kolejki, powiedzieli mi, że pierwszy wolny termin mają tydzień później. Chcę jeszcze raz ubiegać się o przyjęcie do innych college'ów" – mówi. – „Na razie myślę, że powinienem na rok dać sobie spokój ze szkołą, znaleźć jakąś pracę i wrócić na studia w lepszej formie fizycznej i psychicznej".

Znowu wprowadza się do domu. Obiecuje, że będzie przestrzegał ustanowionych przez nas reguł – chodził na terapię, pilnował godzin powrotu do domu, pomagał przy pracach domowych, pracował i składał papiery na inne uniwersytety. Spotyka się ze swoim psychoterapeutą, który potem mówi mi, że popiera taki plan. Rzeczywiście wydaje się, że Nic czuje się nieco lepiej, mamy więc powody do przypuszczeń, że sytuacja się poprawia. Składa dokumenty do kilku niewielkich szkół artystycznych na Wschodnim Wybrzeżu. Wybiera Hampshire College w zachodnim Massachusetts. Kiedy zwiedzaliśmy tę uczelnię, był pod wrażeniem panującej w niej ożywionej atmosfery i sielskiego otoczenia. Zajrzał wtedy na wykłady z angielskiego i nauk politycznych, zwiedził studio muzyczne oraz szkołę teatralną. Ja także czułem, że ten college został stworzony z myślą o Nicu. Najwyraźniej jego wyniki w nauce są wciąż wystarczająco mocne, ponieważ kilka miesięcy później otrzymuje list, że został przyjęty. Zaczynam oddychać spokojniej. Nic znowu wrócił na właściwą ścieżkę, która nieuchronnie zawiedzie go z powrotem na studia. Przeżyliśmy trudny okres, ale Nic wkrótce ruszy z miejsca. Niemniej, choć czasami się pokazuje, żeby bawić się z Daisy i Jasperem, albo zjawia się na posiłku, kiedy nie pracuje, większość czasu spędza w swoim pokoju.

Pewnego wieczoru, gdy Nic jest w pracy, zasypiam wcześniej, ale nagle budzę się po północy. Wyczuwam, że coś jest nie tak. Może to jakiś rodzicielski szósty zmysł, a może coś we mnie wychwyciło wczesne sygnały ostrzegawcze nadciągających kłopotów. Kiedy wstaję, łóżko delikatnie skrzypi, wystarczy, aby obudzić Karen.

– Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko okej – szepczę. – Śpij.

Podłoga jest zimna, w pokoju jest chłodno, ale nie szukam kapci ani szlafroka, ponieważ nie chcę hałasować. W korytarzu jest ciemno, ale światło księżyca, wpadające przez okna salonu, rzuca fioletową poświatę. Włączam światła w kuchni i idę do sypialni Nica. Pukam w drzwi. Bez odpowiedzi. Otwieram i zaglądam do środka. Nieposłane łóżko jest puste.

Zaczynam się już przyzwyczajać do przygniatającej, wszechogarniającej mieszaniny gniewu i niepokoju, przy czym każde z tych uczuć pogłębia i zniekształca to drugie. Ogarnia mnie ponure poczucie beznadziei. Nawet jeśli dobrze je znam, nie znaczy to wcale, że łatwiej je znieść.

Nic nie wrócił do domu o wyznaczonej porze. W każdym razie na taką myśl sobie pozwalam. Nie stać mnie na to, żeby martwić się, że to coś gorszego. W każdej chwili spodziewam się jego powrotu i ćwiczę w myślach reakcję. Muszę być wobec niego zdecydowany, choć każda taka konfrontacja boleśnie mi przypomina, jak bardzo nie potrafię zmieniać jego zachowań.

Po cichu wracam do sypialni i próbuję zasnąć, ale daremnie. Leżę z otwartymi oczami. Zaczyna zżerać mnie niepokój.

Mieszkamy na grzbiecie niewielkiego wzniesienia, w miejscu, gdzie droga zaczyna się wspinać, więc samochody przejeżdżające przed naszym domem muszą zwolnić niemal do zera, zanim ruszą dalej. Jakiś samochód podjeżdża na nasze wzgórze i prawie staje, potem drugi. Za każdym razem serce mi zamiera. To Nic. Ale słyszę, jak silnik nabiera mocy i popycha auto dalej pod górę.

O trzeciej przestaję udawać, że mam jeszcze szansę na sen. Wstaję. Karen też się podnosi.

– Co się dzieje?

Mówię jej, że Nic nie wrócił do domu. Idziemy do kuchni.

– Prawdopodobnie jest u przyjaciół. Zrobiło się za późno na powrót, więc przenocował u kogoś – mówi Karen.

– Wtedy by zadzwonił.

– Może nie chciał nas budzić.

Patrzę na nią i widzę w jej oczach bezradność i niepokój. Ona także w to nie wierzy. Słyszymy upływające minuty. Pijemy herbatę, próbujemy czymś się zająć.

Około siódmej zaczynam obdzwaniać jego przyjaciół i przy okazji wyrywam niektórych ze snu. Ale nikt go nie widział. Dzwonię do jego psychoterapeuty, który nawet w tym momencie stara się mnie wesprzeć – może tak właśnie postrzega swoją pracę, jako pocieszanie – i zapewnia mnie, że „Nic stara się wszystko sobie poukładać, na pewno sobie poradzi". Mój lęk narasta. Za każdym razem, gdy słyszę dzwonek telefonu, czuję skurcz w żołądku. Gdzie on może być? Nie potrafię sobie wyobrazić czy też, dokładniej, wolę sobie nie wyobrażać. Odsuwam na bok najciemniejsze myśli. Wreszcie dzwonię na policję i do szpitalnych oddziałów ratunkowych. Pytam, czy jest w więzieniu albo czy nie uczestniczył w jakimś wypadku. Przy każdym telefonie przygotowuję się na najgorsze. Ćwiczę w myślach tę rozmowę – spokojny, bezosobowy głos, a potem słowa „On nie żyje". Przygotowuję się na to. Gdy docieram do tej myśli, obchodzę ją naokoło. On nie żyje.

Czekanie jest upiorne, ale co innego możemy zrobić?

Później Jasper, boso i w piżamie, wpada do kuchni, patrzy na nas czystymi oczami. Wspina się Karen na kolana, zjada kawałek tostu. Potem, ziewając, wkracza Daisy, z włosami w dzikim nieładzie.

Nie mówimy ani słowa o Nicu. Nie chcemy ich martwić. I tak będziemy musieli im wkrótce powiedzieć. Wyczuwają, że coś się stało. Wiedzą, że nie ma go w domu. W końcu Jasper pyta:

– Gdzie jest Nic?

Odpowiadam tonem bardziej emocjonalnym, niż zamierzałem.

– Nie mamy pojęcia.

Jasper zaczyna płakać.

– Nic mu się nie stało?

– Nie wiemy – mówię niepewnym głosem. – Mamy nadzieję, że nie.

Ten horror trwa cztery dni.

A potem dzwoni pewnego wieczoru. Jego głos drży, ale mimo to czuję falę ulgi.

– Tato…

– Nic.

Jego głos dobiega, jakby z mrocznego tunelu.

– Ja – zaczyna słabym głosem. – Spieprzyłem to. – Jakieś gardłowe westchnięcie. – Mam kłopoty.

– Gdzie jesteś?

Opowiada mi i odwieszam słuchawkę.

Jadę na spotkanie z Nikiem w jakieś bocznej uliczce za księgarnią w San Rafael. Zatrzymuję samochód i wysiadam obok rzędu pojemników na śmieci i kontenerów, wokół pełno pustych butelek, rozbite szkło, podarta tektura, cuchnące koce.

– Tato…

Stłumiony, piskliwy głos dobiega zza jednego z blaszanych koszy. Podchodzę, odsuwam na bok rozrzucone pudła, skręcam za róg i widzę, jak Nic niepewnym krokiem idzie w moją stronę.

Mój syn, zwinny, muskularny pływak, gracz w piłkę wodną, miłośnik surfowania jest cały posiniaczony, pożółkły, wychudzony, skóra i kości. Jego oczy to puste, czarne dziury. Kiedy do niego dochodzę, niemal mdleje mi w ramionach. Prawie zanoszę go do samochodu, idzie, powłócząc nogami.

Zanim stracił przytomność, mówię mu, że musi zacząć się leczyć.

– To koniec. Nie ma innego wyboru.

– Wiem, tato.

W milczeniu jedziemy do domu. Nic na moment się budzi, mamrocze coś bezbarwnym, monotonnym głosem, że jest winien jakimś ludziom pienią-

dze, że musi kogoś spłacić albo go zabiją, a potem znowu traci przytomność. Od czasu do czasu przytomnieje i coś mamrocze, ale nie rozumiem jego słów.

Chory, półomdlały, od czasu do czasu nadal mówiąc coś bez składu, przez następne trzy dni zwinięty w łóżku trzęsie się, jak w gorączce. Jęczy i płacze. Chociaż jestem przerażony, czepiam się myśli, że sam powiedział, że pójdzie na terapię. Dzwonię do agencji, którą odwiedziliśmy, gdy chodził jeszcze do pierwszej klasy szkoły średniej, i umawiam się na spotkanie. Ale rankiem w dniu wizyty, kiedy przypominam mu, że zaraz mamy jechać, patrzy na mnie zbuntowany.

– Nigdzie nie jadę, do kurwy nędzy!

– Musisz jechać. Obiecałeś mi.

– Nie potrzebuję terapii.

– Obiecałeś, prawie umarłeś.

– Spieprzyłem sprawę. To wszystko. Nie martw się. Przerobiłem swoją lekcję.

– Nic, nie.

– Słuchaj, nic mi nie będzie. Nigdy więcej nie wezmę tego gówna. Przekonałem się, jak niebezpieczna jest meta. To popieprzone świństwo. Nie jestem głupkiem. Nigdy nie będę się do tego mieszał.

Drętwieję. Czy słyszałem dokładnie?

– Krystaliczna meta?

Potwierdza skinieniem.

Powoli do mnie dociera. Boże, nie. Jestem przerażony tym, że Nic sięgnął po metę. Sam kiedyś doświadczyłem, czym jest ten narkotyk.

Część druga

Jego ulubiony narkotyk

O Boże, że też ludzie sami wkładają sobie wroga w usta,

by mógł im wykraść rozum;

że też umiemy z radością, weselem, uciechą i poklaskiem

przemieniać się w bydlęta![5]

William Szekspir, *Otello*

Rozdział 9

Podczas mojego pierwszego lata w Berkeley Charles postanowił przenieść się z Tucson do Kalifornii, zapisał się na letnie zajęcia na uniwersytecie i wspólnie wynajęliśmy mieszkanie. Pewnego wieczoru po powrocie do domu ściągnął ze ściany lustro, które kupiliśmy w sklepie ze starzyzną, i położył je na stoliku do kawy. Rozwinął paczuszkę przypominającą origami i wysypał jej zawartość na powierzchnię lustra: kopczyk niewielkich kryształków, jak proszek. Z portfela wyciągnął żyletkę o jednym ostrzu i zaczął metodycznie rozkruszać kryształki, stalowe ostrze rytmicznie uderzało w szklaną powierzchnię. Układając proszek w cztery równoległe rzędy, wyjaśnił, że Michaelowi – Michael-Mechanik, diler narkotyków – skończyła się kokaina. Zamiast niej Charles kupił więc krystaliczną metę.

Wciągnąłem obie kreski przez zwinięty banknot. Substancja chemiczna paliła wnętrze nosa, łzy napłynęły mi do oczu. Niezależnie od tego, czy narkotyk się wciąga, pali, czy podaje dożylnie, ciało szybko wchłania metamfetaminę. Kiedy znajdzie się w krwiobiegu, niemal natychmiast dociera do ośrodkowego układu nerwowego. Gdy dotarła do mojego, usłyszałem kakofoniczną muzykę, niczym organy parowe, i poczułem się, jakby w mojej czaszce rozpalono fajerwerki. Meta pobudza w mózgu dziesięć do dwudziestu razy więcej neuroprzekaźników, niż to się dzieje normalnie, głównie dopaminę, ale także serotoninę i norepinefrynę, które rozbiegają się we wszystkie strony niczym kule z karabinu maszynowego gangstera. Poczułem się cudownie – niezwykle pewnie, euforycznie.

Metamfetamina po uruchomieniu procesu wyzwalania neuroprzekaźników blokuje ich ponowny powrót do pęcherzyków synaptycznych, podobnie jak kokaina i inne środki pobudzające. W odróżnieniu od kokainy, która jest całkowicie metabolizowana w organizmie (połowiczny czas jej rozpadu wynosi czterdzieści pięć minut), meta pozostaje stosunkowo niezmieniona i aktywna przez dziesięć do dwunastu godzin. Kiedy świt zaczął przesączać się przez popękane okiennice, czułem się wyprany, jałowy i pobudzony. Poszedłem do łóżka i spałem przez cały dzień, omijając zajęcia.

Nigdy więcej nie tknąłem mety, ale Charles raz po raz wracał do Michaela-Mechanika. Brał metę nieprzerwanie przez dwa tygodnie.

Charles potrafił być uroczy, wrażliwy i uwodzicielsko zabawny, ale kiedy brał metę, o drugiej albo trzeciej nad ranem zachowywał się paskudnie i żałośnie. Później, kiedy natknął się na jakiegoś nieznajomego albo przyjaciela, przepraszał wylewnie i przekonująco, więc najczęściej ludzie mu wybaczali. Ja także, i to aż nazbyt długo, ale w końcu przeniósł się z Berkeley z powrotem do Tucson i nasze drogi się rozeszły. W końcu straciłem z nim kontakt. Później dowiedziałem się, że po skończeniu college'u jego życie upływało pod znakiem nadużywania metamfetaminy, kokainy i innych narkotyków. Czasem zgłaszał się na terapię dobrowolnie albo po wyroku sądowym. Miał wypadki samochodowe, jego dom kiedyś stanął w płomieniach, gdy zasnął z żarzącym się papierosem w ustach, co jakiś czas lądował na ostrym dyżurze po przedawkowaniu i różnych wypadkach, zamykano go w szpitalu i siedział w więzieniu.

A potem umarł, nie dożywszy czterdziestych urodzin.

Alkohol i heroina są metabolizowane w wątrobie, meta – w nerkach. Koło czterdziestki Charles wreszcie poddał się chorobie.

Oby Bóg obdarzył cię swoim światłem, Charles, ciepłym jak wieczorne słońce.

Ilekroć słyszę Stonesów, myślę o nim. A także kiedy słyszę o metamfetaminie. Dlatego robi mi się niedobrze, gdy Nic mówi, że po nią sięgnął.

Integralnym składnikiem mojej pracy pisarskiej jest kompulsywne poszukiwanie informacji. Teraz, kiedy wiem, że Nic zażywa metę, próbuję dowiedzieć się jak najwięcej o tym narkotyku. Chodzi o coś więcej niż próbę zrozumienia. Wyczuwam, że w znajomości przeciwnika kryje się moc. A jednak im więcej się dowiaduję, tym bardziej tracę wiarę. Wygląda na to, że metamfetamina jest najbardziej złowrogim ze wszystkich narkotyków.

Niemiecki chemik, który jako pierwszy zsyntetyzował amfetaminę, poprzedniczkę metamfetaminy, pisał w 1887 roku: „Odkryłem cudowny lek. Pobudza wyobraźnię i dodaje energii temu, kto go zażywa". Amfetamina pobudza część układu nerwowego, która zarządza odruchami mimowolnymi – akcją serca i gruczołów, oddychaniem i procesami trawiennymi, odruchami bezwarunkowymi. Jednym z następstw zażycia tej substancji jest rozszerzenie się oskrzeli, co doprowadziło w 1932 roku do pierwszych zastosowań me-

dycznych – jako aerozolu podawanego wziewnie do nosa w leczeniu astmy. Późniejsze badania wykazały, że pomaga także w leczeniu narkolepsji, uspokaja nadaktywne dzieci i tłumi apetyt. W dodatku umożliwia długotrwałe funkcjonowanie bez snu.

Wprowadzając proste zmiany do molekularnej struktury amfetaminy, pewien japoński farmakolog w 1919 roku jako pierwszy zsyntetyzował metamfetaminę. Okazała się ona znacznie silniejsza niż amfetamina i łatwiej było ją uzyskać, a do tego krystaliczny proszek rozpuszczał się wodzie, a więc można było ją podawać w zastrzykach. Metedryna, produkowana w latach trzydziestych, stanowiła pierwszą handlową metamfetaminę. W postaci inhalatora sprzedawano ją jako środek rozszerzający oskrzela; w formie pigułki jako środek pobudzający i obniżający apetyt. Reklamowano ją hasłem: „Nigdy więcej nie poczujesz się przygnębiony i nie ogarnie cię smutek".

Metę stosowano na szeroką skalę podczas II wojny światowej w armiach japońskiej, niemieckiej i amerykańskiej, aby podnieść wytrzymałość oraz zdolność bojową żołnierzy. Począwszy od 1941 roku stosunkowo łagodne postaci metamfetaminy sprzedawano bez recepty jako philopon i sedrin. Typowa ulotka reklamowa głosiła: „Zwalcza senność i wzmacnia witalność". W 1948 roku w Japonii tych lekarstw zażywało około pięciu procent mieszkańców w wieku od szesnastu do dwudziestu pięciu lat. Około pięćdziesięciu pięciu tysięcy osób wykazywało symptomy po raz pierwszy opisywane przez lekarzy jako psychoza wywołana przez metamfetaminę. Miotali się i wykrzykiwali zdania bez sensu. Mieli halucynacje. Niektórzy zachowywali się gwałtownie. Matki pod wpływem mety przestawały zajmować się swoimi dziećmi, a w niektórych przypadkach je maltretowały.

W 1951 roku Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) zaliczyła metamfetaminę do substancji kontrolowanych. Aby ją kupić, trzeba było mieć receptę. Według raportu opublikowanego w tym samym roku w piśmie „Pharmacology and Therapeutics" metamfetamina wykazywała skuteczność w leczeniu „narkolepsji, parkinsonizmu (w następstwie zapalenia mózgu), alkoholizmu, pewnych stanów depresyjnych i otyłości".

Szaleństwo na punkcie nielegalnych speedów, w tym także pierwszej postaci metamfetaminy, występującej jako bladożółty proszek, wciągany przez nos, oraz krystalicznej mety, czystszej postaci narkotyku, którą jako pierwszą można było zażywać dożylnie, a także wciągać, przypadło na początek lat

sześćdziesiątych. Speedy po raz pierwszy zalały Haight-Ashbury w 1962 roku, gdy w San Francisco pojawiły się pierwsze nielegalne laboratoria wytwarzające metę, zapowiadając ogólnokrajową epidemię, trwającą w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Kiedy podczas moich poszukiwań dotarłem w San Francisco do Davida Smitha, lekarza, który założył Haight Ashbury Free Clinic, doktor Smith tak wspomina moment, gdy narkotyk pojawił się w okolicy: „Przed metą zdarzały się czasem odjazdy na kwasie, ale zwykle miały łagodny charakter, podczas gdy meta dosłownie zdewastowała okolicę. Dzieciaki lądowały na pogotowiu, niektóre w kostnicy. Meta zakończyła lato miłości".

Zanim założył swoją klinikę, Smith był studentem Wydziału Medycyny na Uniwersytecie Kalifornijskim, leżącego nieco powyżej rejonu Haight. Kiedy w szpitalnej izbie przyjęć zaczęły pojawiać się ostre przypadki przedawkowania nowego narkotyku, rozpoczął pierwsze kliniczne badania nad jego działaniem. Smith podawał niewielkie dawki mety szczurom i każdy z nich umierał w potwornych konwulsjach. Okazało się, że szczury trzymane w klatce kończyły swój żywot nawet wtedy, gdy podawał im mniejsze dawki narkotyku – jego działanie było szybsze i zmieniła się przyczyna śmierci. Szczury interpretowały normalne zachowania higieniczne jako atak i – jak wspomina Smith – „rozszarpywały się nawzajem".

W 1967 roku Smith zjechał więc z Parnassus Hill, żeby pracować w okolicy. (Z czasem został przewodniczącym Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycyny Uzależnień i obecnie jest dyrektorem medycznym kliniki leczenia uzależnień w Santa Monica). Jak opowiada, kiedy przybył do Haight, zastał tam „ogromną klatkę ze szczurami – ludzie pompowali w siebie speedy, miotali się jak nakręceni przez całą noc, wpadali w paranoję, totalny obłęd, byli gwałtowni, niebezpieczni". Smith jako pierwszy sformułował w 1968 roku hasło „speedy zabijają" podczas sesji wspólnego zażywania mety w barze Crystal Palace. Krąg stałych użytkowników podawał sobie strzykawkę. „Dostawałem wezwania o siódmej rano, kiedy facet, który był najszybszy, zachowywał się kompletnie psychotycznie", wspomina Smith. Używanie wspólnych igieł prowadziło do epidemii żółtaczki typu C. „Kiedy ostrzegałem uzależnionych od mety, że mogą mieć żółtaczkę, mówili: Nie martw się. To dlatego żółty gość dostaje ostatni".

Użycie metamfetaminy w Stanach Zjednoczonych od czasu początkowego szaleństwa na punkcie tego narkotyku słabło, a potem przybierało na sile i znowu słabło. Obecnie wielu ekspertów twierdzi, że meta jest silniejsza

i bardziej wszechobecna niż kiedykolwiek. Podczas gdy kilka lat temu występowała głównie w miastach na zachodzie USA, obecnie rozpełzła się po całym kraju, w tym także na terenach Środkowego Zachodu, na Południu i na Wschodnim Wybrzeżu. W wielu stanach zażywanie metamfetaminy przybrało rozmiary epidemii, ale w Waszyngtonie dopiero niedawno dostrzeżono ogrom problemu, głównie ze względu na czas, jaki musiał upłynąć, zanim kolejna fala uzależnionych zalała w całym kraju szpitale, kliniki odwykowe i więzienia. Poprzedni szef DEA (Drug Enforcement Administration) Asa Hutchinson nazwał metamfetaminę „narkotykowym problemem numer jeden w Ameryce". Problemy z nią związane przygniatają obecnie amerykański system wymiaru sprawiedliwości, polityki społecznej i opieki zdrowotnej.

W 2006 roku administracja prezydenta Busha sprowokowała polityczną burzę, gdy urzędnicy z Krajowego Biura Polityki Narkotykowej (Office of National Drug Control Policy) zignorowali rezultaty badań Krajowego Stowarzyszenia Hrabstw (National Association of Counties), w którym pięć tysięcy lokalnych przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości w całym kraju nazwało metę problemem numer jeden. Kokaina, wymieniana znacznie rzadziej, znalazła się na drugim miejscu, marihuana na trzecim. Później, w tym samym roku, Krajowe Centrum Wywiadu Narkotykowego (National Drug Intelligence Center) opublikowało rezultaty badań przeprowadzonych na losowej próbie trzydziestu czterech tysięcy oddziałów agencji zwalczania narkotyków w całym kraju. Po raz pierwszy od czasu, gdy organizacja zaczęła prowadzić tego rodzaju badania, znaczna część respondentów (czterdzieści procent) uznała metamfetaminę za najbardziej znaczący problem związany z narkotykami.

Wśród osób uzależnionych od mety są kobiety i mężczyźni ze wszystkich klas, ras i warstw społecznych. Chociaż początków obecnej epidemii można doszukiwać się w środowisku gangów motocyklowych oraz na terenach wiejskich i podmiejskich osiedli zamieszkanych przez klasy niższe, meta, jak donosił „Newsweek" w 2005 roku, w tytułowym artykule, „maszeruje przez cały kraj, wspinając się w górę drabiny społeczno-ekonomicznej". Obecnie, według Franka Vocci, dyrektora Oddziału Farmakoterapii i Medycznych Konsekwencji Używania Narkotyków w Narodowym Instytucie Problemów Narkotykowych (NIDA), „metamfetaminę zażywają zarówno ludzie, po których najbardziej można by się tego spodziewać, jak i tacy, po których spodziewalibyśmy się tego najmniej".

W skali międzynarodowej Światowa Organizacja Zdrowia ocenia, że na całym świecie metamfetaminę zażywa trzydzieści pięć milionów osób. Dla porównania kokainę zażywa piętnaście milionów, a heroinę siedem milionów. Różne postaci tego narkotyku występują pod rozmaitymi nazwami takimi jak: crank, tweak, crystal, lith, Tina, gak, L.A., P. oraz speed. Szczególnie dewastująca postać mety, „ice" (lód), którą pali się podobnie jak crack, była do niedawna rzadko widywana w miastach amerykańskich poza Honolulu, jednak obecnie pojawia się również na kontynencie. Inna odmiana zwana „ya ba" – „szalony lek" w języku Thai – jest produkowana w setkach milionów tabletek w Myanmarze, szmuglowana do Tajlandii, a stamtąd na Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych, gdzie sprzedaje się ją w klubach i na ulicach, czasami w postaci słodkich, kolorowych pigułek, które można połknąć albo po rozgnieceniu zapalić.

Najbardziej rozpowszechniona postać tego narkotyku w USA to meta krystaliczna, często wytwarzana przy użyciu takich substancji, jak środki udrażniające przewody nosowe oraz środki do czyszczenia hamulców w domowych laboratoriach – jak to nazwała DEA – spod znaku „Beavisa i Buttheada", w garażach i mieszkaniach prywatnych. Takie mobilne, albo „walizkowe" laboratoria, działające w vanach, motelach i przyczepach kempingowych, odkrywano we wszystkich stanach USA. W 2006 roku Bill Maher zażartował nawet, że „jeśli Amerykanie jeszcze bardziej zidiocieją w sprawach nauk ścisłych, nie będą umieli nawet zrobić sobie własnej krystalicznej mety". Na razie jednak wystarczy odwiedzić internet, gdzie za trzydzieści dolarów, plus koszty przesyłki, kupiłem gruby samouczek pod tytułem *Secrets of Methamphetamine Manufacture* (Sekrety produkcji metamfetaminy), wydanie szóste – przejrzane i poszerzone – tego „klasycznego tekstu na temat nielegalnej chemii" opatrzono na stronie tytułowej zastrzeżeniem: „sprzedawane jedynie w celach informacyjnych". W ramach tej informacji czytelnik otrzymuje szczegółowe instrukcje, jak krok po kroku wyprodukować różne postaci i ilości mety, uzupełnione o porady, jak uniknąć konfliktu z wymiarem sprawiedliwości.

Domorośli chemicy, wytwarzający metę, uzyskują podstawowy składnik narkotyku – pseudoefedrynę – z pigułek na przeziębienie sprzedawanych bez recepty, co skłania wiele stanów do wprowadzenia ograniczeń, w tym limitów liczby paczek contacu, sudafedu i drixoralu, które można kupić za jednym razem. W rezultacie producenci tych leków starają się tak zmienić ich

skład, aby nie można ich było wykorzystywać do produkcji metamfetaminy. A na razie sieci handlowe Wal-Mart, Target oraz inne sklepy przestały sprzedawać je na ogólnodostępnych stoiskach.

Ograniczenie dostępności pigułek przeciwko przeziębieniu oraz innych źródeł efedryny i pseudoefedryny wywarło pewien wpływ na podaż domorosłej mety i wiele STL-ów – małych, toksycznych laboratoriów – przestało działać. Niemniej sukcesy w walce z produkcją mety na arenie krajowej spowodowały, że biznes przejęły meksykańskie kartele narkotykowe oraz kartele w innych krajach, szmuglujące obecnie metę tymi samymi kanałami, którymi przemycają kokainę, heroinę, marihuanę i inne narkotyki. Chociaż narkotyk nadal jest produkowany w garażach, piwnicach i kuchennych laboratoriach, większość metamfetaminy pochodzi teraz z superlaboratoriów prowadzonych przez kartele narkotykowe. W gazecie „The Oregonian" ukazał się materiał reportera Steve'a Suo, z którego wynika, że rząd amerykański mógł powstrzymać (i nadal może) epidemię mety. Zaledwie dziewięć fabryk farmaceutycznych produkuje większość efedryny i pseudoefedryny, jakie znajdują się na rynku, w skali świata, ale koncerny farmaceutyczne – z pomocą znajdujących się pod ich wpływem legislatorów – powstrzymały wszystkie przedsięwzięcia, które mogłyby doprowadzić do wprowadzenia skutecznej kontroli nad dystrybucją substancji chemicznych, dzięki czemu nie można byłoby ich wykorzystywać w superlaboratoriach produkujących metę. Raport Suo wskazuje, że dopóki rząd amerykański nie zajmie się koncernami farmaceutycznymi, dopóty wojna z metamfetaminą pozostanie swego rodzaju ponurym żartem. Dowód? Jeśli ktoś pragnie zażyć metę, może ją dostać dosłownie wszędzie.

Administracja USA utrzymuje, że ogólne spożycie narkotyków w Stanach Zjednoczonych zmalało, ale statystyka zależy od tego, gdzie się patrzy. W wielu społecznościach jest dziś więcej alkoholików i osób uzależnionych od narkotyków niż kiedykolwiek przedtem. Według „Los Angeles Times" w Kalifornii przypadki przedawkowania oraz inne zgony związane z narkotykami mogą wkrótce zająć miejsce wypadków samochodowych jako główna przyczyna nienaturalnych zgonów. Liczne dane wskazują na gwałtowny wzrost spożycia mety. W wielu miastach metamfetamina kryje się za rosnącą liczbą osób uzależnionych, które wymagają leczenia, pojawiają się na pogotowiu i popełniają przestępstwa. W latach 1993–2005 liczba osób przyjętych do ośrodków zajmujących się leczeniem z uzależnienia od metamfetaminy

wzrosła ponad cztery razy, od dwudziestu ośmiu tysięcy rocznie do około stu pięćdziesięciu tysięcy. Według doktora Jamesa Collivera z Narodowego Instytutu Problemów Narkotykowych (National Institute on Drug Abuse), w raporcie z 2006 roku Urząd do spraw Nadużywania Substancji Chemicznych i Zdrowia Psychicznego (Substance Abuse and Mental Health Services Administration) poinformował o „wyraźnym wzroście" liczby osób przyjętych na leczenie z powodu nadużywania mety. Liczba przestępstw wzrasta dramatycznie w dzielnicach zalanych przez ten narkotyk. W niektórych miastach od osiemdziesięciu do stu procent przestępstw ma związek z metamfetaminą. W niektórych stanach przedstawiciele organów wymiaru sprawiedliwości wiążą wzrost liczby morderstw z tym właśnie narkotykiem. W miastach, gdzie meta jest dominującym problemem narkotykowym, występuje wysoki odsetek towarzyszących temu przypadków przemocy domowej i przemocy wobec dzieci – prawdę mówiąc, tragiczne opowieści o przemocy wobec dzieci są zjawiskiem powszechnym.

Co najmniej połowa spośród wszystkich zażywających metę oraz duży odsetek osób, które sięgają po jej postać krystaliczną (*ice*) przeżywają stan określany terminem *tweak*, nakręcenie. W pewnym momencie przeżywają odmianę psychozy, jaką po raz pierwszy opisano w Japonii pod koniec lat czterdziestych XX wieku. Cechuje ją występowanie halucynacji słuchowych i wzrokowych, intensywna paranoja, omamy oraz wiele innych objawów, przy czym części z nich nie sposób odróżnić od symptomów typowych dla schizofrenii. Napady niezwykle silnego niepokoju, towarzyszące nakręceniu (*tweak*), mogą prowadzić do zachowań agresywnych i aktów przemocy, co odzwierciedlają następujące zalecenia z policyjnego raportu poświęconego sposobom obchodzenia się z osobami uzależnionymi od mety: „Najbardziej niebezpieczny stan, w jakim znajdują się osoby nadużywające metamfetaminy, jest przez samych użytkowników, personel medyczny oraz przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości często określany terminem „nakręcenie" (*tweaking*). Nakręcone osoby nadużywające narkotyku, które przypuszczalnie nie spały od trzech do piętnastu dni, są niezwykle pobudliwe i zachowują się paranoicznie. Często zachowują się albo reagują gwałtownie. (…) Nie zaleca się zatrzymywać takiej osoby w pojedynkę. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości w takiej sytuacji powinni wezwać wsparcie".

W raporcie wymieniono „sześć zasad bezpieczeństwa podczas zbliżania się do osoby nakręconej", między innymi: „Zachowaj odległość dwóch

do trzech metrów. Podejście bliżej może być postrzegane jako zagrażające. Nie świeć w stronę takiej osoby jasnym światłem. Już zachowuje się paranoicznie i jeśli zostanie oślepiona, przypuszczalnie zacznie uciekać albo zachowywać się gwałtownie. Mów powoli i obniż ton głosu. Osoba nakręcona już słyszy dźwięki w szybszym tempie i o wyższym tonie. Poruszaj się powoli. To zmniejszy prawdopodobieństwo, że nakręcony błędnie zinterpretuje twoje ruchy. Staraj się, aby twoje dłonie pozostały widoczne. Inaczej może poczuć się zagrożony albo zacząć zachowywać się gwałtownie. Cały czas staraj się rozmawiać. Nakręcony, który milczy, może być wyjątkowo niebezpieczny. Milczenie często oznacza, że przeżywa paranoiczne myśli, przesłaniające rzeczywistość, i każdy, kto znajdzie się w pobliżu, może stać się składnikiem paranoicznych omamów osoby nakręconej".

Niezależnie od tego, czy uzależnieni od mety popadną w stan nakręcenia, będą, z większym prawdopodobieństwem niż inne osoby zażywające narkotyki (przypuszczalnie z wyjątkiem uzależnionych od cracku), zachowywać się w sposób aspołeczny. Pewien odnoszący sukcesy biznesmen sięgnął po ten narkotyk, żeby móc dłużej pracować, uzależnił się i zamordował człowieka, który był mu winien narkotyki i pieniądze. Inny uzależniony zastrzelił żonę, jeszcze inny śmiertelnie pobił swoją ofiarę, kolejny zamordował dwoje ludzi, żeby zdobyć ich samochód i siedemdziesiąt dolarów. Pewna para, oboje byli uzależnieni od mety, biła, głodziła, a następnie oblała wrzątkiem czteroletnią bratanicę, która zmarła w wannie. W Pontoon Beach, w Illinois, pewien człowiek, znajdując się pod wpływem mety, zamordował swoją żonę, a następnie popełnił samobójstwo. W Portland pewna kobieta została aresztowana za zabójstwo popełnione na swoim osiemnastomiesięcznym dziecku, które udusiła szalikiem, znajdując się pod wpływem mety. W Teksasie mężczyzna, znajdując się w metamfetaminowej euforii, po sprzeczce z przyjacielem zaczął go ścigać i w końcu zamordował, strzelając mu sześć razy w głowę. W hrabstwie Ventura, w Kalifornii, mężczyzna będący pod wpływem mety zgwałcił, a potem udusił kobietę. Także w Kalifornii kobieta uzależniona od mety została skazana za przetrzymywanie dwójki swoich małych dzieci w zimnym garażu, w którym roiło się od karaluchów. Pewien człowiek z Omaha został skazany na czterdzieści lat więzienia za zamordowanie dziecka swojej przyjaciółki, które popełnił po wstrzyknięciu sobie dawki mety. Dziecko zostało dotkliwie pobite i miało liczne złamania kości. W Phoenix, Denver, Chicago, hrabstwie Riverside, w Kalifornii odbyły się procesy, w których przed sądem

stawały matki oskarżone o zabójstwo swoich dzieci, ponieważ opiekowały się nimi, znajdując się pod wpływem metamfetaminy. Matka z Riverside podczas procesu powiedziała: „Obudziłam się obok trupa".

Metamfetamina staje się także przyczyną rozległych zniszczeń środowiska w miejscach, gdzie jest wytwarzana. Wyprodukowanie pół kilograma tego narkotyku prowadzi do powstania pięciu i pół kilograma szkodliwych odpadów: żrących płynów, kwaśnych wyziewów, metali ciężkich, rozpuszczalników oraz innych substancji trujących. W następstwie wdychania albo kontaktu ze skórą te chemikalia mogą wywoływać choroby, powodować zniekształcenia ciała albo prowadzić do śmierci. Osoby prowadzące nielegalne laboratoria niemal zawsze porzucają odpady, zamiast je utylizować. Pociąga to za sobą istotne konsekwencje dla Doliny Kalifornijskiej, która jest źródłem pokaźnej części hodowanych w Ameryce owoców i warzyw, a także znacznej części mety. Na początku XXI stulecia w tamtejszych szpitalach leczono wiele dzieci imigrantów niedysponujących żadnymi dokumentami, które cierpiały na różne schorzenia związane z działaniem produktów ubocznych wytwarzania mety. Jak powiedział mi jeden z tamtejszych agentów FBI, „miliony kilogramów toksycznych chemikaliów lądują w Stanach Zjednoczonych w koszykach z owocami. Chemikalia pojawiają się także w niepokojących ilościach w próbkach wód gruntowych".

Zażywanie mety ma katastrofalny wpływ na zdrowie. Więcej osób trafia do szpitalnych oddziałów ratunkowych z powodu tego narkotyku niż zażywania jakiegokolwiek innego narkotyku klubowego, w tym także ecstasy, ketaminy i GHB razem wziętych. (Podczas testów laboratoryjnych przeprowadzonych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles osiem z dziesięciu tabletek sprzedawanych jako ecstasy w klubach w tym mieście zawierało metę). Niemniej, nawet jeśli ktoś nie przedawkuje tego narkotyku, może mimo to umrzeć z jego powodu. Meta jest bezpośrednią przyczyną wielu śmiertelnych wypadków oraz samobójstw albo się do nich przyczynia. W następstwie badań tendencji samobójczych wśród osób zażywających narkotyki psychiatra Tom Newton z UCLA doszedł do wniosku, że „metamfetamina jest wyjątkowo silnym narkotykiem, wywołującym tak głęboką depresję, że osoby, które go zażywają, mają ochotę popełnić samobójstwo".

Długotrwałe nadużywanie metamfetaminy wiąże się z wieloma innymi zagrożeniami zdrowia. Pewien lekarz pracujący w oddziale ratunkowym jed-

nego ze szpitali w San Francisco opowiadał mi o wielu uzależnionych od metamfetaminy, którzy zjawiają się na pogotowiu z „przepalonymi" – dosłownie pękniętymi – aortami. Zdarza się, że uzależnieni, kaszląc, wypluwają kawałki tkanki wyścielającej płuca. Wielu traci zęby. Długotrwałe zażywanie mety może prowadzić do upośledzeń poznawczych, przypominających chorobę Parkinsona, w tym osłabienia pamięci i zdolności percepcyjnych, oraz upośledzeń fizycznych (także paraliżu) – w następstwie udarów spowodowanych przez metamfetaminę. Nawet jednorazowe zażycie narkotyku może zakończyć się zgonem. Pod wpływem mety może dojść do tak gwałtownego wzrostu temperatury ciała, że następują śmiertelne konwulsje, śmierć z przegrzania, „nagła śmierć z powodu arytmii" – serce nie jest w stanie funkcjonalnie się skurczać – albo śmiertelnych wylewów. Przypadki śmiertelne i poważne dolegliwości występują najczęściej podczas okresów długotrwałej, nieprzerwanej aktywności, charakterystycznej dla osób zażywających narkotyk. Osoby sięgające po metę często przez wiele dni nie śpią albo nic nie jedzą. Jak wielokrotnie pokazywały badania, połączenie działania narkotyku i zmęczenia przyczynia się do pojawiania się agresji i zachowań paranoicznych. Ten cykl reakcji najczęściej obejmuje jednocześnie problemy fizyczne, psychologiczne i społeczne, przy czym do ich pogłębienia mogą się przyczyniać występujące wcześniej problemy ze zdrowiem psychicznym, powszechne wśród osób sięgających po narkotyk.

Nic zażywał metę. Mimo jego protestów i obietnic coraz częściej ponawiam błagania, żeby zaczął się leczyć, ale nie zamierza ustąpić. Przekonuję się, że skoro skończył osiemnaście lat, nie mogę go do tego zmusić. Gdyby zachował się w sposób zagrażający sobie albo innym, można by uruchomić skomplikowany proces i ostatecznie zmusić go do oceny stanu zdrowia w szpitalu psychiatrycznym. Ale rodzic zaniepokojony zażywaniem narkotyków przez dziecko nie może skorzystać z takiego środka. Gdybym wiedział, że to się tak potoczy, mógłbym zmusić Nica do leczenia, kiedy jeszcze miałem prawo podjąć za niego taką decyzję. Nie wiadomo, czyby mu to pomogło, niewykluczone że nie byłby gotowy na przyjęcie przesłania terapii, ale przynajmniej by zwolnił.

Przez następne trzy dni Nic śpi dwadzieścia godzin na dobę. Jest przygnębiony i zamknięty w sobie. A potem pewnego chłodnego, wiosennego popołudnia ponownie znika bez zapowiedzi.

Rozdział 10

Kiedy Nic znika, a wraz z nim nasz stary samochód, jeszcze raz obdzwaniam szpitalne oddziały ratunkowe. Znów kontaktuję się z policją, by sprawdzić, czy nie został aresztowany. Kiedy wyjaśniam, że mój syn zaginął, dyżurny policjant, zanim przekazał mi numery telefonów do więzień, mówi, że powinienem go wysłać na obóz w stylu wojskowym, gdzie uczy się dzieciaki posłuchu, uciekając się do przemocy. Na przykład budzi się je w środku nocy i skuwa kajdankami. Czytałem o jednym z takich miejsc – obozie dla rekrutów w Arizonie, niedaleko moich rodziców. Pewien chłopiec umarł tam podczas gorącego lata. To nie przypadek, że zainteresowała mnie ta historia. Na takich obozach dzieci były bite, kopane, głodzone, skuwane łańcuchami i pozbawiane wody w panującej na pustyni temperaturze czterdzieści pięć stopni Celsjusza.

Rozmawiam z innymi rodzicami, którzy mieli do czynienia z różnymi wersjami takich obozów. Zasypali mnie radami na ogół dobrze znanymi i najczęściej sprzecznymi. Jeszcze raz słyszę, że jeśli Nic się pojawi, powinienem go wyrzucić z domu. Nie widzę w tym żadnego sensu, ponieważ wiem, że pojechałby wtedy do domu któregoś z przyjaciół, żyjących bez niczyjej kontroli, albo zaszyłby się w jakiejś obskurnej, niebezpiecznej norze, należącej do dilerów narkotykowych. A to byłby koniec. Wtedy straciłbym wszelką nadzieję. Jedna z matek doradza mi zamkniętą szkołę, do której wysłała swoją córkę na dwa lata.

Nica nie ma już sześć dni i moja rozpacz przybrała gorączkową postać. Nigdy nie przeżywałem takiego bólu. Spędzam chaotyczne godziny, czytając w internecie poruszające, dręczące opowieści o dzieciach zażywających narkotyki. Dzwonię do rodziców, którzy znają innych rodziców, którzy znają jeszcze innych rodziców, którzy przeszli przez to samo. W kółko próbuję zrozumieć, co znaczą narkotyki dla Nica. Przypominam sobie jego słowa: „Każdy pisarz i artysta, których uwielbiam, był pijakiem albo był uzależniony od narkotyków". Wiem, że Nic zażywa narkotyki, ponieważ po nich czuje się bystrzejszy, mniej zamknięty w sobie i niepewny, ale jednocześnie hołubi niebezpieczne – i błędne – przekonanie, że rozpusta jest drogą wiodącą do największej sztuki, czy będzie to Hemingway, Hendrix, czy Basquiat.

W swoim liście pożegnalnym Kurt Cobain napisał: „Lepiej spłonąć, niż tlić

się powoli". Cytował piosenkę Neila Younga o Johnnym Rottenie z Sex Pistols. Kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, przeprowadziłem wywiad z Johnem Lennonem. Spytałem go o takie nastroje, szeroko rozpowszechnione w świecie rock and rolla. Ze wzburzeniem zaprotestował: „Lepiej się wypalić jak stary żołnierz niż spłonąć" – powiedział. – „Wielbię tych, którzy przetrwali. Jestem po stronie żywych i zdrowych".

Żywych i zdrowych.

Nie wiem, czy mój syn może być jednym z nich.

Jakoś udaje mi się nie załamywać w obecności Jaspera i Daisy. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie chcę, żeby smucili się jeszcze bardziej. W rozmowach z dziećmi przyznajemy, że martwimy się o Nica i staramy się w ten sposób zachować delikatną równowagę. Nie chcemy ich straszyć, ale jednocześnie nie chcemy udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy wiedzą doskonale, że wcale tak nie jest. Jestem przekonany, że gdybyśmy nie potrafili się przyznać do przeżywanych trudności, to byłoby dla nich o wiele bardziej dewastujące i dezorientujące niż prawda.

Jednak kiedy jestem sam, płaczę tak mocno, jak nie płakałem od czasu wczesnego dzieciństwa. Nic zawsze drażnił się ze mną, że nie potrafię płakać. Podczas rzadkich momentów, gdy w moich oczach pojawiały się łzy, żartował z moich „zasuszonych łez". Teraz łzy płyną mi z oczu w najbardziej niespodziewanych momentach i to bez żadnej wyraźnej przyczyny, po prostu nie potrafię ich powstrzymać. Jestem tym przerażony. Boję się jak diabli, że jestem tak bardzo zagubiony i bezradny, że nie potrafię zapanować nad sytuacją.

Dzwonię do Vicki. Pod wpływem wspólnego niepokoju o Nica odłożyliśmy na bok naszą wrogość, utrzymującą się od czasu rozwodu. Czuję ulgę, gdy mogę spojrzeć na nią nie przez pryzmat tego, co nas rozdzieliło, ale tego, co nas łączy. Oboje kochamy Nica, jak tylko rodzice potrafią kochać swoje dzieci. Nie chodzi o to, że Karen i ojczym Nica nie martwią się o niego, ale w trakcie długich rozmów telefonicznych, w których jesteśmy tylko we dwoje, jego matka i ja przeżywamy szczególną odmianę niepokoju – ten niepokój jest dotkliwy, niemal zwierzęcy.

Jednocześnie razem z Karen nieustannie zamieniamy się rolami. Kiedy ja

się załamuję, ona mnie pociesza:

– Nic mu nie będzie.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Wiem po prostu. To bystry chłopak. Ma dobre serce.

Po czym Karen traci tę pewność, a wtedy ja ją pocieszam.

– Wszystko będzie dobrze – mówię. – Jest trochę zagubiony. Jakoś sobie z tym poradzimy. On wróci.

I rzeczywiście wraca.

Pewnego spokojnego, chłodnego, szarego popołudnia, tydzień później, po prostu zjawia się w domu. Podobnie jak wtedy, gdy znalazłem go na bocznej ulicy w San Rafael, jest bardzo słaby i chory, mówi bez składu – ledwo rozpoznawalny cień samego siebie.

Patrzę na niego, stojąc w drzwiach.

– Och, Nic – mówię.

Patrzę na niego, a potem biorę za rękę, prowadzę do jego pokoju, gdzie w ubraniu kładzie się na łóżku i zawija w kołdrę. Cieszę się, że poza nami nikogo nie ma w domu, więc na razie nie muszę niczego wyjaśniać.

Patrzę na niego.

Jeśli ta cała psychoterapia mu nie pomogła, co teraz? Ośrodek leczenia uzależnień. Nic innego nie pozostaje.

– Nic, musisz pójść do ośrodka i poddać się leczeniu. Musisz.

Coś mamrocze i zasypia.

Wiem, że muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby zapisać go na program leczenia uzależnień narkotykowych. Dzwonię do psychologów i innych specjalistów, pytając o rady. Jego psychoterapeuta przyznaje teraz, że Nic potrzebuje programu leczenia, obdzwania więc swoich kolegów, którzy specjalizują się w terapii uzależnień od narkotyków i alkoholu. Moi przyjaciele dzwonią do swoich przyjaciół, którzy sami przez to przeszli.

Nic śpi.

Dzwonię do ośrodków, które mi polecono w naszej okolicy, pytając o współczynniki skuteczności w leczeniu osób zażywających metamfetaminę. Te rozmowy dają mi jakąś wstępną orientację w dziedzinie, która przypuszczalnie jest najbardziej chaotycznym i działającym po omacku segmentem systemu opieki zdrowotnej w Ameryce. Padają liczby od dwudziestu pięciu do osiemdziesięciu procent, ale pewien psycholog zajmujący się uzależnieniami od narkotyków i alkoholu, który dobrze zna wiele tych programów, twierdzi, że te dane są niewiarygodne. „Nawet przy ostrożnych szacunkach wydają się nadmiernie optymistyczne" – wyjaśnia. – „Po roku jakieś siedemnaście procent osób, które przeszły przez te programy, nadal zachowuje trzeźwość". Pewna pielęgniarka z izby przyjęć, ze szpitala w północnej Kalifornii, prawdopodobnie jest najbliższa prawdy, kiedy opowiada mi o skuteczności leczenia w przypadku uzależnionych od mety: „Właściwa wielkość jest jednocyfrowa. Każdy, kto obiecuje więcej, kłamie".

Im więcej dowiaduję się o przemyśle leczenia uzależnień, tym bardziej widzę panujący w nim chaos. Niektóre szumnie reklamowane, kosztowne programy leczenia i rehabilitacji są po prostu nieskuteczne. Wiele ośrodków stosuje jeden uniwersalny program w odniesieniu do wszystkich uzależnionych. Zarówno prywatne, jak i publiczne ośrodki są często bezradne w przypadku leczenia osób uzależnionych od mety. Richard Rawson, koordynator zintegrowanych programów leczenia uzależnień od szkodliwych substancji na Uniwersytecie Kalifornijskim, tak o nich mówi: „Są jak Earl Scheib[6] leczenia odwykowego. Farba szybko z nich schodzi".

Doktor Rawson nie przeczy, że wiele programów zawiera pewne użyteczne elementy. Zwykle odwołują się one do zasad ruchu Anonimowych Alkoholików, które odgrywają chyba największą rolę w utrzymywaniu trzeźwości przez większość, jeśli nie wszystkich, alkoholików i osób uzależnionych od narkotyków niezależnie od ich rodzaju. Poza tym jednak oferują skleconą naprędce, chaotyczną mieszaninę elementów terapii behawioralnej, psychologicznej i poznawczej. Wiele z tych programów obejmuje wykłady, indywidualne konsultacje z psychologiem, obowiązkowe prace fizyczne, z czym wiążą się surowe konsekwencje dla osób, które się od nich uchylają. Są tam także grupowe spotkania terapeutyczne, skupione wokół wyznań i konfrontacji. Pacjentów, którzy kwestionują traktowanie zasad terapii jak prawdy objawionej, przywołuje się do porządku. (Według psychologów zajmujących się

uzależnieniami, którzy kierują tymi programami, opór oznacza wyparcie, a wyparcie prowadzi do nawrotów). Niektóre programy oferują także naukę umiejętności praktycznych, umożliwiających powrót do normalnego życia, takich jak pisanie CV przy staraniu się o pracę, ćwiczenia fizyczne, grupowe oraz indywidualne sesje terapeutyczne z udziałem członków rodziny uzależnionego, a także konsultacje lekarzy i psychiatrów, którzy mogą przepisywać leki. Niektóre ośrodki proponują także masaże i porady specjalistów od żywienia. Część programów prowadzonych ambulatoryjnie dodaje stosunkowo nową technikę, zwaną *contingency management*, czyli system nagradzania abstynencji. W sytuacji, gdy nie istnieją żadne standardy oparte na sprawdzonych protokołach postępowania, pacjentów często poddaje się działaniu rozmaitych filozofii wyznawanych przez kierowników takich ośrodków, którzy nie posiadają żadnych innych kwalifikacji do ich prowadzenia poza tym, że sami byli niegdyś uzależnieni. „Z tego, że masz sześcioro dzieci nie wynika, że jesteś dobrym ginekologiem położnikiem", mówi Walter Ling, neurolog kierujący programem terapeutycznym na UCLA. Nawet ośrodki prowadzone przez odpowiednio wykształconych lekarzy i klinicystów stosują wiele różnych rodzajów terapii, często o niezweryfikowanej skuteczności. Co najważniejsze, wiele programów nie bierze pod uwagę specyficznych okoliczności związanych z zażywaniem metamfetaminy, czyli według części ekspertów – uzależnienia, z którego najtrudniej kogoś wyleczyć. Ale co jeszcze mogę zrobić?

Wybieram cieszący się renomą ośrodek Thunder Road, w Oakland, i umawiam się na spotkanie. Przygotowuję się na najtrudniejszą rzecz: będę musiał odwołać się do resztek mojego topniejącego autorytetu – groźby, że wywalę go z domu i przestanę w ogóle wspierać, aby go zmusić, żeby pojechał razem ze mną. Fakt, że naprawdę zamierzam tak zrobić – ponieważ jestem przekonany, że to nasza jedyna nadzieja – wcale nie ułatwia sprawy.

Następnego ranka, gdy Daisy i Jasper są już w szkole, idę do pokoju Nica, który nadal mocno śpi. Na jego zrelaksowanej twarzy maluje się głęboki spokój. Śpiące dziecko. Jednak kiedy na niego patrzę, na jego twarzy pojawia się grymas i przebiega przez nią skurcz. Nic zaciska zęby. Budzę go i mówię mu, gdzie teraz pojedziemy.

– Nie ma, kurwa, mowy! – woła z wściekłością.

– Jedźmy, Nic. Musimy mieć to za sobą, proszę.

Wstaje, odgarnia włosy drżącą ręką. Chwyta się klamki, żeby złapać równowagę.

– Powiedziałem, kurwa, nie ma mowy! – Mówi bełkotliwie, jąka się.

– To koniec. – Mój głos drży. – Jedziemy. Nie ma wyboru.

– Nie możesz mnie zmusić, do cholery! Co to ma być?

– Jeśli chcesz mieszkać tutaj, jeśli chcesz mi pomóc, żebym mógł ci pomóc, jeśli chcesz, żebym płacił za twój college, jeśli chcesz się z nami widywać… – Patrzę na niego i mówię: – Nic, naprawdę chcesz umrzeć? Naprawdę? O to ci chodzi?

Kopie w ścianę, wali pięściami w stolik i płacze.

– Jedziemy – mówię ze smutkiem w głosie.

Wścieka się dalej, ale idzie za mną do samochodu.

Część III

Jak chcesz

– Jesteś bezpieczna. – Pamiętam, że szeptałam tak do Quintany, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ją na OIOM-ie w UCLA. – Jestem tutaj. Wszystko będzie z tobą okej. Połowę głowy ogolono jej przed operacją. Widziałam długie cięcie i metalowe klipsy zamykające ranę. Znowu oddychała jedynie przez rurkę intubacyjną. – *Jestem tutaj. Wszystko w porządku*. (…) Zaopiekuję się nią. Wszystko będzie z nią okej. Pomyślałam też, że to obietnica, której w żaden sposób nie zdołam dotrzymać. Nie zawsze będę mogła się nią opiekować. Nie zawsze będę mogła być przy niej. Nie jest już dzieckiem. Jest dorosła. W życiu zdarzają się rzeczy, którym matka nie jest w stanie zapobiec ani których nie zdoła naprawić. [7]

Joan Didion

Rok magicznego myślenia

Rozdział 11

Jedziemy starym volvo, jego błękit wyblakł i pordzewiał od słonego powietrza na wybrzeżu. Karoseria jest pogięta po przygodach Nica. Auto pachnie jego papierosami. To samochód, który zabrał ostatnio. Nic podskakuje na nierównościach drogi jak szmaciana lalka, wciskając się możliwie jak najbliżej drzwi, możliwie jak najdalej ode mnie.

Żaden z nas się nie odzywa.

Na tylnym siedzeniu leży jego gitara elektryczna, o jasnożółtej barwie mleczu, z czarnym gryfem. Obok niej kolejna pamiątka po jego eskapadach: bongo ozdobione zawiłą rzeźbą, zrobione ze szklanego dzbanka i ustnika z morskiej pianki. I jeszcze inne pamiątki: latarka, egzemplarz Rimbauda bez okładki, brudne dżinsy, na pół opróżniona butelka Gatorade, „Bay Guardian", skórzana kurtka lotnicza, puste butelki po piwie, kasety, jakaś wyschnięta kanapka.

Nic kilka razy próbuje mnie odwieść od mojego zamiaru.

– To głupie – jęczy słabym głosem. – Wiem, że spieprzyłem sprawę. Ale wyciągnąłem wnioski.

Nie odpowiadam.

– Nie mogę tego zrobić – mówi. – Nie chcę.

Robi się czerwony. Patrzy na mnie ze złością.

– Po prostu ucieknę – zapowiada.

Jest wyniosły i wzgardliwy, niemal dziki.

– Myślisz, kurwa, że mnie znasz? Nic o mnie nie wiesz. Zawsze próbowałeś mnie kontrolować! – wrzeszczy, aż niemal traci głos.

W środku tego potoku słów, kiedy zauważam, że zaczyna bełkotać, uświadamiam sobie, że jest na haju. Znowu. Jeszcze raz.

– Co brałeś dzisiaj, Nic? – W moim głosie jest ton niedowierzania.

– Pieprz się – rzuca wściekłym szeptem.

Spoglądam na niego, starając się przeniknąć jego beznamiętną twarz. Odziedziczył wiele z urody swojej matki. Podobnie jak ona jest wysoki

i szczupły, ma po niej subtelny rysunek nosa i warg. Miał także jej jasne włosy, zanim mu nie pociemniały w okresie dorastania. Mimo to czasami, kiedy patrzyłem na jego twarz, miałem wrażenie, jakbym spoglądał w lustro. Chodziło nie tylko o podobieństwo fizyczne. Dostrzegałem w nim samego siebie, ukrytego w jego oczach, w wyrazie twarzy. Wzdrygałem się wtedy zaskoczony. Może wszystkie dzieci, kiedy dorastają, przejmują cechy i zachowania swoich rodziców i zaczynają ich przypominać. Teraz widzę w sobie swojego ojca, w sposób, w jaki nigdy tego nie dostrzegałem w młodości. Kiedy teraz patrzę na Nica, widzę kogoś obcego. Niemniej to nieznajomy, którego pod każdym względem dobrze znam. Przypominam sobie jego łagodne spojrzenie, kiedy był czymś zachwycony, a także kiedy malowało się w nich rozczarowanie. Jego twarz bladą podczas choroby albo gdy opalił się na czerwono, jego usta, a nawet każdy ząb z wizyt u dentystów i ortodontów. Jego kolana z czasów, gdy zdzierał sobie skórę, a ja przyklejałem mu plastry, jego ramiona, które smarowałem kremem z blokerem przeciwsłonecznym, jego stopy, z których wyciągałem drzazgi – każdą część jego ciała. Znam każdą cząstkę jego osoby, po prostu dlatego, że na niego patrzę i jestem z nim blisko związany, a jednak, kiedy jedziemy do Oakland i widzę jego gniew i obrażoną minę, puste spojrzenie, panujący w nim zamęt i jego wycofanie, zastanawiam się, kim jest.

Parkuję przed frontem kliniki terapeutycznej w Oakland i przez szklane drzwi wchodzimy do surowo urządzonej poczekalni. Kiedy mówię recepcjonistce, że jesteśmy umówieni na spotkanie, Nic staje koło mnie w wojowniczej pozie i kołysze się na piętach z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Kobieta informuje nas, że mamy zaczekać.

Pojawia się pani psycholog o czarnych oczach i ciemnych włosach, związanych w koński ogon i przedstawia się najpierw Nicowi, potem mnie. Odpowiada jej jakimś niewyraźnym chrząknięciem. Zgodnie z poleceniem idzie za nią do sąsiedniego pokoju. Jest przygarbiony. Powłóczy nogami.

Przeglądam stary egzemplarz magazynu „People", a potem, prawie po godzinie, pani psycholog zjawia się ponownie i mówi, że chciałaby porozmawiać ze mną na osobności. Nic w wyczuwalny sposób pełen złości zajmuje moje miejsce w poczekalni. Idę za nią do gabinetu, w którym stoi metalowe biurko i dwa krzesła, obok jakiegoś akwarium z mętną wodą.

– Pański syn ma poważny problem – mówi kobieta. – Potrzebuje leczenia. Może łatwo umrzeć od tych wszystkich narkotyków, które zażywa.

– Co mogę…

– Teraz ma osiemnaście lat i zażywa, mieszając ze sobą więcej narkotyków niż wiele osób znacznie starszych. Przejawia niebezpieczną postawę, nie rozumie, że ma poważne kłopoty. Myśli z dumą o tym, że jest takim twardzielem, nosi to jak odznakę. Ten program nie jest przeznaczony dla niego. Pański syn jest już za dorosły, żeby wziąć w nim udział, a do tego stawia opór leczeniu. Mamy z tym do czynienia cały czas. Pański syn wszystko wypiera. To typowe dla uzależnionych, którzy twierdzą i wierzą w to, że wszystko z nimi w porządku, że w każdej chwili mogą przestać, jeśli tylko będą chcieli, to wszyscy inni mają jakiś problem, nie oni, z nimi wszystko jest w porządku, nawet jeśli w końcu wszystko tracą, nawet jeśli lądują na ulicy, nawet jeśli trafiają do więzienia albo do szpitala.

– A zatem, co…?

– Musi od razu podjąć jakieś leczenie, wszystko jedno jakie. Ale nie tutaj. W innym miejscu.

Poleca mi inne programy. Z rzeczowego tonu jej głosu i wyrazu twarzy domyślam się, że nie ma co do Nica wielkiej nadziei.

W drodze powrotnej napięcie w samochodzie rośnie, a potem następuje wybuch.

– To wszystko gówno! – krzyczy Nic.

Przychodzi mi na myśl, że mógłby spróbować wyskoczyć z samochodu, kiedy pędzę autostradą.

– To wszystko to JEST gówno – odwarkuję. – Jeśli chcesz się zabić, powinienem po prostu pozwolić ci to zrobić.

– To moje życie! – wrzeszczy chrapliwym głosem. Płacze histerycznie, w niekontrolowany sposób. Cały się trzęsie, wali pięściami w dach samochodu, kopie.

Podjeżdżamy przed dom, ale teraz Daisy i Jasper wrócili już ze szkoły, nie wchodzę więc z Nikiem do środka. Siedzę z nim w samochodzie przez kolejne pół godziny, czekając, aż się zmęczy. Jest gdzieś daleko – otępiały od narkotyków i złości, a potem wreszcie zapada w głęboki sen. Zostawiam go w sa-

mochodzie, ale co jakiś czas sprawdzam, co się z nim dzieje. *Będziesz mnie sprawdzał, co piętnaście minut?* Po chwili przychodzi senny do domu i idzie prosto do swojej sypialni. Jasper i Daisy w milczeniu przyglądają się jak bezwolne ciało ich brata przepływa przez salon.

Muszę znaleźć jakiś program, gdzie przyjmą go od razu, zanim go stracę.

Nic śpi w swoim pokoju, a ja siadam razem z dziećmi. Wyjaśniam im najlepiej, jak potrafię, że Nic znowu bierze narkotyki i jest chory. Mówię, że próbuję znaleźć dla niego jakiś szpital albo program leczenia z narkotyków, gdzie będą mogli mu pomóc. Mówię, że dzieci, które mają brata albo siostrę, albo rodzica, który ma problem z narkotykami, czasami myślą, że to ich wina.

– Ale to nie wasza wina.

Patrzą na mnie smutno. Nic nie rozumieją.

– Nic ma poważny problem, ale spróbujemy znaleźć mu pomoc, której potrzebuje. Jeśli ją dostanie, wszystko będzie dobrze.

Nic kipi i szaleje, budzi się i zapada w półsen pełen udręki, a ja obdzwaniam kolejne programy leczenia uzależnień. W jednym z nich, w Ohlhoff Recovery House, w San Francisco, mają wolne łóżko. To ceniony program, zalecany przez wielu ekspertów w rejonie Zatoki. Przyjaciółka któregoś z naszych przyjaciół powiedziała mi, że ten program całkowicie odmienił życie jej syna uzależnionego od heroiny. „Teraz mieszka na Florydzie. Ma swoją rodzinę, pracę, którą kocha, a dodatkowo, jako wolontariusz, pomaga dzieciakom, które mają problemy z narkotykami".

Rodzice uzależnionych żyją dzięki takim historiom dającym nadzieję.

Kiedy Nic się budzi, mówię mu, że znalazłem program w mieście, a on, całkiem trzeźwo, godzi się pojechać na kolejną rozmowę z psychologiem. W ponurym nastroju idzie za mną do samochodu.

Ośrodek Ohlhoff Recovery znajduje się w trzypiętrowym budynku pokaźnej, ale starej wiktoriańskiej posiadłości zwieńczonej kopułą. W eleganckim lobby, wykładanym drewnem, czekam na Nica, który idzie na rozmowę, tym razem z panią dyrektor czterotygodniowego programu podstawowego – jak w szkole podstawowej. To pierwszy krok na drodze terapii wiodący do odzy-

skania zdrowia.

Po rozmowie z Nikiem pani dyrektor wzywa mnie do swojego surowego gabinetu. Zajmuję wolne krzesło, obok Nica, naprzeciwko kobiety, która siedzi za drewnianym biurkiem. Z gestów pani dyrektor i znużenia, jakie dostrzegam w jej oczach, domyślam się, że zachowywał się wobec niej równie wojowniczo, jak podczas rozmowy z psycholożką w Thunder Road, ale dyrektorka wydaje się mniej zakłopotana. Zaczyna:

– Nic nie godzi się z opinią, że jest uzależniony.

– Bo nie jestem.

Nie zwracając na niego uwagi, kobieta mówi dalej:

– I twierdzi, że podda się leczeniu tylko dlatego, że pan go do tego zmusza.

– Wiem o tym – odpowiadam.

– Ale to żaden problem. Wiele osób nie zjawia się tutaj z własnego wyboru. Mają taką samą szansę na dojście do trzeźwości i utrzymanie jej, jak ktoś, kto przypełza tu ostatkiem sił, błagając o pomoc.

– W porządku – zgadzam się.

Nic rzuca mi wściekłe spojrzenie.

– Rano zbadamy go pod kątem naszego czterotygodniowego programu.

W porze obiadu chowa się w swoim pokoju. Mówimy Daisy i Jasperowi, że Nic rano pojedzie do szpitala poddać się leczeniu, ale że jest przerażony.

Siedzę z nimi po bajce, którą Karen przeczytała im na dobranoc.

– Tak mi przykro, że musicie przez to wszystko przechodzić ze względu na Nica – powtarzam po raz setny. Jak jeszcze mogę im pomóc? – To smutne, mieć taki problem w rodzinie. Mam nadzieję, że porozmawiacie o tym ze swoimi nauczycielami i przyjaciółmi w szkole, przynajmniej jeśli będziecie mieli na to ochotę. Jeśli macie jakieś pytania albo coś was martwi, możecie zawsze zapytać mnie albo mamę.

Jasper z powagą kiwa głową. Daisy siedzi nieruchomo. Zaczyna czytać tanie wydanie książki o Garfieldzie, którą Jasper próbuje jej zabrać. Drapie go, a on ją odpycha. Oboje płaczą.

Rankiem, podczas jazdy do miasta, Nic patrzy na mnie spode łba, ale jest

wyczerpany, prawie się nie odzywa. Zachowuje się jak skazany więzień, zrezygnowany i skamieniały. Stara się powstrzymać łzy.

Parkuję przed frontem starej posiadłości i wchodzę do środka razem z Nikiem, który niesie płócienną torbę z ubraniami. Drży, kuląc się w swojej podartej bluzie i za dużych dżinsach, idzie ze zwieszoną głową. Wchodzimy na górę, mijając po drodze grupę uzależnionych, którzy palą papierosy – przynajmniej tak mi się wydaje, że to uzależnieni mieszkający w ośrodku, uczestnicy programu – zgromadzonych na frontowych schodach. Ja także się trzęsę. Kilku mężczyzn, dostrzegając torbę Nica i jego niespokojne, ukradkowe spojrzenia, odzywa się:

– Hej.

– Cze.

– Witaj w domu wariatów.

Nic rozmawia krótko z dyrektorką programu, w tym samym gabinecie wykładanym drewnem, i otrzymuje do podpisania kartkę:

„Ja niżej podpisany, niniejszym zwracam się z prośbą o przyjęcie do programu leczenia uzależnień od alkoholu i substancji chemicznych". Itp.

Podpisuje.

Na korytarzu dyrektorka, stojąc obok Nica, zwraca się do mnie:

– Teraz musi się pan pożegnać, w pierwszym tygodniu rozmowy telefoniczne są zabronione.

Odwracam się w stronę Nica.

Ściskamy się niezręcznie i wychodzę.

Na zewnątrz na moment ogarnia mnie niemal zapomniane uczucie radości, gdy opływa mnie powiew chłodnego powietrza. Jednak już jadąc do domu, czuję, że zaraz się rozsypię od nadmiaru emocji, z którymi nie potrafię sobie poradzić. W jakiś niedorzeczny sposób mam wrażenie, jakbym zdradził Nica, porzucił go, wydał, choć pewne pocieszenie przynosi mi fakt, że przynajmniej wiem, gdzie jest. Po raz pierwszy od wielu tygodni śpię przez całą noc.

Następnego ranka wchodzę do jego sypialni i unoszę rolety, otwieram szeroko okno wychodzące na ogród. W posępnym pokoju o czerwonej barwie leżą rozrzucone książki, zaczęte i niedokończone płótna, jakieś ciemne i smutne ubrania, ogromne głośniki, na łóżku – żółta gitara. Na ścianach widzę rysunki Nica zrobione markerami Sharpie, przedstawiające kobiety i mężczyzn o wydłużonych sylwetkach i groteskowo zniekształconych ciałach. W pokoju czuję jego zapach – ale to nie jest słodki zapach dzieciństwa jak kiedyś, tylko duszący odór kadzideł i marihuany, papierosów i wody po goleniu, przypuszczalnie jakiś ślad amoniaku albo formaldehydu, resztki zapachu powstającego przy spalaniu mety. Zapachowa aura nastolatka.

Karen przygląda mi się, gdy przeszukuję jego szafkę na ubrania, szuflady w biurku, garderobę i zbieram ukryty arsenał – szklany bong, ręcznie robioną fajkę do palenia mety, bibułki do papierosów, połamane odłamki lustra, żyletki, wypalone zapalniczki Bic, puste butelki – wkładam to wszystko do plastikowej torby na śmieci, wynoszę na zewnątrz i wrzucam do kosza.

Przez następne kilka dni zalewa mnie potok dobrych rad od przyjaciół i przyjaciół przyjaciół. Znajomy Karen na wieść, że Nic jest w ośrodku pyta:

– Jak długo?

Karen wyjaśnia, że to czterotygodniowy program.

Przyjaciel kręci głową.

– To za mało.

– Co masz na myśli?

Opowiada jej historię swojego syna, który przeszedł kilka czterotygodniowych programów, zanim wysłali go na roczny. Nadal jednocześnie uczestniczy w terapii i chodzi do szkoły średniej. Ma siedemnaście lat, więc mogli zmusić go do wyjazdu do ośrodka.

– Nawet po roku nie wiadomo, czy to wystarczy – mówi przyjaciel Karen.

Inny opowiada nam, że ośrodek terapeutyczny to zły pomysł, że Nic potrzebuje Outward Bound. Niektórzy wierzą w terapię, inni są przekonani, że to strata czasu. Jeśli chodzi o mnie, wydaje mi się, że psychologowie i psychiatrzy, którzy w ciągu minionych kilku lat rozmawiali z Nikiem, udzielili mi pożytecznych porad i wsparcia, i przypuszczalnie jemu także pomogli. Jednak mimo nienagannych referencji i ewidentnego poświęcenia w pracy

niemal każdy specjalista, którego się radziliśmy, nie miał doświadczenia w leczeniu uzależnienia od narkotyków i nie potrafił go zdiagnozować. Znajomi mają dla nas jakąś opinię. Ich dobre rady, płynące z najlepszych intencji, nie mają końca. Chociaż większość z nich puszczamy z Karen mimo uszu, jesteśmy wdzięczni innym za ich troskę.

Matka jednego z dzieci ze szkoły Jaspera i Daisy dzwoni do nas, żeby polecić nam miejscowego specjalistę od uzależnień narkotykowych. Twierdzi, że pomógł jej przyjacielowi bardziej niż pozostali. Z jakiegoś powodu ta rekomendacja trafia nam do przekonania i umawiamy się z nim na rozmowę.

Gabinet terapeuty jest na piętrze, powyżej sklepu z materiałami malarskimi w San Anselmo. Urządzono go skromnie, mniej formalnie niż gabinety psychologów, które widzieliśmy do tej pory. Nasz doktor dzieli go z psychologiem udzielającym porad w sprawach małżeńskich. Mamy wrażenie, że rozmawialiśmy już z każdym specjalistą, psychologiem i psychiatrą zajmującym się narkotykami i alkoholem w rejonie Zatoki San Francisco, gdzie, jak się wydaje, co trzeci człowiek jest jakiegoś rodzaju terapeutą. Co to wszystko o nas mówi? Scott Peck powiedział kiedyś, że do psychoterapeutów chodzą ludzie najzdrowsi i najbardziej chorzy. Do której grupy należymy?

Doktor ma łagodny uśmiech i pomarszczoną twarz. Łysieje. Nosi koszule bez kołnierzyka i wełnianą marynarkę. Wydaje się solidny, delikatny i pełen empatii. Z jego wyglądu, sposobu bycia oraz łagodnego głosu i spojrzenia domyślamy się, że rozumie naszą rozpacz, ponieważ sam jej doświadczył.

Opowiadamy mu o Nicu. Wyjaśniamy, że jest w programie terapeutycznym w Ohlhoff Recovery. Mówimy, że nie jesteśmy pewni, czy postąpiliśmy słusznie. Że niepokoimy się o Jaspera i Daisy, że nie mamy pojęcia, co zrobić, kiedy program dobiegnie końca.

Jesteśmy zaskoczeni, gdy okazuje się, że doktor nie ma dla nas zbyt wielu rad, jeśli chodzi o pomoc Nicowi, choć popiera naszą decyzję o umieszczeniu go w ośrodku. Swoją uwagę skupia głównie na nas.

– Musicie się o siebie troszczyć – mówi. – Zwracać uwagę na wasze małżeństwo. Związki czasem się rozpadają, gdy dziecko jest uzależnione od narkotyków.

Mówi, że nie możemy i nie powinniśmy próbować podejmować decyzji o tym, co zrobimy, kiedy program się skończy – w tym czasie wiele się jeszcze

wydarzy.

– Nie róbcie wszystkiego naraz. Postępujcie krok po kroku. – Stwierdza, że to banał, ale takie podejście się sprawdza.

Pod koniec sesji pochyla się i oświadcza z naciskiem, któremu trudno się oprzeć:

– Powinniście pójść razem na randkę.

– Chodzimy – odpowiada Karen sucho. – To właśnie jest nasza randka.

Spoglądamy na siebie, rozumiejąc zawartą w tym ironię. To prawda, że od wieków nigdzie nie wychodziliśmy razem. Jesteśmy udręczeni i wolimy się trzymać blisko domu, a poza tym niepokoi nas myśl o pozostawieniu dzieci. Tego wieczoru w końcu zostawiliśmy dzieciaki pod opieką Nancy i Dona.

Terapeuta pyta, czy próbowaliśmy Al-Anonu.

Mówię, że nie.

– Myślałem że Al-Anon jest dla... – Mój głos się załamuje.

– Myślę, że warto spróbować – odpowiada.

Może rozmowy telefoniczne w ośrodku są zabronione, ale trzeciego dnia pobytu w Ohlhoff Nic zdołał jakoś zadzwonić z błaganiem, żeby go zabrać do domu. Kiedy odmawiam, rzuca słuchawką. Zaniepokojony dzwonię do psychologa, który ma się nim opiekować. Kobieta opowiada, że Nic jest naburmuszony, ma depresję, jest wojowniczy, grozi, że ucieknie.

– Ale oni prawie zawsze zaczynają w ten sposób – mówi.

– A co, jeśli ucieknie?

– Nie możemy go zatrzymać. Jest dorosły.

Razem z Karen mamy serię spotkań z naszym doktorem od spraw narkotyków i alkoholu. Ten człowiek umie słuchać i być może tego w tej chwili potrzebujemy najbardziej, ale chodzi nie tylko o to. Pomaga nam zrozumieć, co możemy i czego nie możemy zrobić dla Nica. Mówi, że jedną z najtrudniejszych rzeczy, kiedy się ma dziecko uzależnione od narkotyków, jest poczucie, że nie mamy nad tym żadnej kontroli. Nie możemy uratować Nica.

– Możecie wspierać jego dochodzenie do zdrowia, ale nie możecie tego

zrobić za niego – podkreśla. – Próbujemy ich uratować. Rodzice próbują. To właśnie zawsze robią.

Opowiada nam o trzech zasadach Al-Anonu:

– Nie spowodowaliście tego, nie możecie nad tym zapanować, nie możecie tego wyleczyć.

Za każdym razem, kiedy wychodzimy z jego gabinetu, przypomina:

– Bądźcie dla siebie sojusznikami. Pamiętajcie, musicie dbać o siebie. Nikomu nie pomożecie – ani sobie nawzajem, ani waszym dzieciom – jeśli zapomnicie o tym.

Teraz, kiedy wiem, że Nic jest bezpieczny – przynajmniej na chwilę – mogę zająć się pracą. Przeprowadzam wywiad z mężczyzną uzależnionym od narkotyków, który dochodzi do zdrowia, a jednocześnie jest rodzicem takiej osoby. Mówię mu, że właśnie wysłałem syna do ośrodka na leczenie. Na co on odpowiada:

– Niech Bóg cię błogosławi. Byłem tam. To piekło. Ale twój syn jest w rękach Boga.

Zdumiewają mnie te słowa. Wspominam, że nasza rodzina nigdy nie wierzyła w Boga.

– Szkoda, że tak jest – mówię. – Chciałbym powierzyć to wszystko opiece kogoś innego. Kogoś potężnego i pełnego dobroci. Ale sam w to nie wierzę.

– Uwierzysz w Boga, zanim to wszystko się skończy – odpowiada.

Dzwonię do terapeutki Nica w Ohlhoff. Wyczuwam, że kobieta próbuje mi przedstawić sytuację z najlepszej strony, ale w jej głosie nie słyszę optymizmu.

– Metamfetamina jest szczególnie podstępna. Prawdziwie diabelski narkotyk. To przerażające, co ona z nimi robi. – Zawiesza na chwilę głos. – Ale to dopiero początek.

Nie pierwszy raz słyszę, że meta jest gorsza od większości pozostałych narkotyków. Chcę się dowiedzieć dlaczego, i kontynuuję swoje poszukiwania, jeżdżąc na spotkania z innymi osobami, które prowadzą badania nad metamfetaminą. Dowiaduję się, że osoby zażywające narkotyki często wcho-

dzą w ciąg i podnoszą dawki, próbując odzyskać pierwotną euforię, ale w przypadku uzależnionych od mety, kiedy pod wpływem tego narkotyku ulega zniszczeniu do dziewięćdziesięciu procent znajdującej się w mózgu dopaminy, to już nie jest możliwe. Niedobór dopaminy powoduje depresję i wywołuje lęk, jednak w przypadku mety te reakcje są często znacznie silniejsze. A to zmusza uzależnionego do zażywania więcej narkotyku, co powoduje kolejne zniszczenia w układzie nerwowym, co z kolei potęguje przymus dalszego zażywania. Powstaje cykl, który prowadzi zarówno do uzależnienia, jak i jego nawrotów. Zdaniem wielu badaczy wyjątkowa neurotoksyczność tego narkotyku oznacza, że uzależnieni od mety, w odróżnieniu od osób zażywających większość pozostałych narkotyków, mogą nigdy całkowicie nie wrócić do zdrowia. Dla mnie to przerażający wniosek, który sprawia, że tym intensywniej prowadzę swoje poszukiwania.

Administracja prezydenta Billa Clintona przeznaczyła miliony dolarów na badania nad metodami leczenia uzależnienia od metamfetaminy w momencie, gdy epidemia zaczęła dopiero się rozszerzać i wśród uzależnionych od mety obserwowano wyjątkowo wysoki współczynnik nawrotów oraz niski współczynnik kontynuacji uczestnictwa w programach terapeutycznych. Jednym z celów tych badań było ustalenie, czy mózg uzależnionych uległ zniszczeniu w sposób nieodwracalny. Gdyby tak się działo, chorym, podobnie jak w chorobie Parkinsona, można co najwyżej zaoferować leczenie objawowe i być może spowalnianie procesu degeneracji. Pełny powrót do zdrowia byłby niemożliwy.

W 1987 roku Partnerstwo na rzecz Ameryki Wolnej od Narkotyków zainicjowało kampanię antynarkotykową po hasłem: „To jest twój mózg pod wpływem narkotyków". Ale ludzki mózg pod wpływem mety nie wygląda jak smażone jajka. Wygląda bardziej jak nocne niebo nad Bagdadem w pierwszych tygodniach wojny. A przynajmniej tak to widać na monitorze komputera, stojącego na biurku Edythe London, z wykształcenia farmakolog, która jest profesorem psychiatrii i nauk behawioralnych w David Geffen School of Medicine na uniwersytecie UCLA.

Doktor London jako studentka poddała się testowi, który pokazał jej, że posiada wyjątkowe zdolności do sporządzania ilustracji medycznych. Sięgając do arsenału metod funkcjonalnego obrazowania pracy mózgu, zajmuje się dziś właśnie czymś takim. W 2000 roku stworzyła obrazy mózgów szesnastu osób nadużywających metamfetaminy. Podobnie jak dzieje się w przy-

padku większości zażywających metę, osoby uczestniczące w tym badaniu po odstawieniu narkotyku przespały pierwsze dwa dni po przyjęciu do szpitala. Kilka dni później London z pomocą tomografii komputerowej (PET) zobrazowała pracę ich mózgu. Obrazy uzyskane za pomocą tomografii komputerowej rejestrują aktywność mózgu, mierząc przepływ krwi oraz zachodzące w nim reakcje biochemiczne dzięki obserwacji ruchów i koncentracji znaczników radioaktywnych. W rezultacie powstają obrazy funkcjonowania ludzkiego mózgu, a jednocześnie aktywność mierzona w ten sposób może zostać powiązana z emocjami. W zależności od rodzaju markerów wykorzystanych w badaniu można uzyskać mapę ogólnej aktywności mózgu albo aktywności konkretnych neurotransmiterów. Skanując mózgi osób uzależnionych od metamfetaminy, London chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat stanu, w jakim znajduje się mózg osoby zażywającej narkotyki w początkowym okresie głodu narkotykowego. To znaczy, w jakiej formie się znajdują w chwili, gdy zaczynają pobyt w ośrodku leczenia uzależnień.

Doktor London ma długie, czarne włosy do ramion, zebrane w kucyki. Mówi łagodnym głosem. Kiedy siadam naprzeciw niej, w jej małym gabinecie w centrum medycznym, w taki sposób obraca płaski monitor swojego komputera, żebym mógł zobaczyć obraz funkcjonującego (lub też, ściśle mówiąc, nieprawidłowo funkcjonującego) mózgu osoby uzależnionej. Wyjaśnia, że to wypadkowa obrazu wszystkich szesnastu mózgów osób uzależnionych. Powstały one dzięki zastosowaniu tomografii pozytronowej (PET), rejestrującej aktywność mózgu, w połączeniu z obrazowaniem za pomocą rezonansu komputerowego (MRI), które daje dokładny obraz struktury tła. Te obrazy zostały następnie nałożone na obraz mózgu członków grupy kontrolnej. London przypisała do nich kolory. Wynik widzę przed sobą: mapę pokazującą jaskrawą różnicę między normalnym mózgiem a mózgiem osoby uzależnionej. To przekrój podłużny mózgowia, na którym materia szara – struktura uzyskana dzięki rezonansowi – ma barwę szarą. Niebieskie pasma oznaczają miejsca, gdzie aktywność mózgu osoby zażywającej metę jest znacząco niższa niż w mózgach grupy kontrolnej. Obszary oznaczone barwą żółtą do czerwonej to „gorące" miejsca wskazujące, że w tych rejonach mózgu poziom aktywności u osób uzależnionych jest znacznie wyższy.

London przez chwilę z uwagą wpatruje się w ekran, po czym wzdycha.

– To piękne, ale smutne.

Moje myśli wędrują do Nica. Przyjmując, że jest przeciętnym użytkownikiem metamfetaminy, największy obszar, oznaczony najcieplejszymi barwami, o wielkości i kształcie niewielkiej myszki bez ogona, jest umiejscowiony w rejonie zakrętu obręczy. Wskazując na to pasmo, żółte w środku, z promieniami na zewnątrz, tworzącymi okręg halloweenowego oranżu, London wyjaśnia:

– To, co się tutaj aktywizuje, to jest dokładnie to miejsce, które aktywizuje się, kiedy człowiek odczuwa ból. – Akcent pada na słowo „kiedy". Mówi dalej: – Kiedy ktoś przestaje zażywać metamfetaminę, właśnie to go czeka.

Klinicyści, którzy pracują z uzależnionymi od metamfetaminy wiedzą już, że takie osoby często przeżywają depresję, niepokój, dużo mówią i nie mają ochoty poddać się leczeniu – dokładnie tak jak Nic – ale obrazy wykreowane przez doktor London świadczą o tym, że te stany umysłu mają podstawę biologiczną. W dodatku wskazują na znacznie poważniejszy charakter tych zjawisk, niż wcześniej przypuszczano. Doktor London wysuwa stąd wniosek, że osoby uzależnione od mety mogą być po prostu niezdolne – albo nie mieć na to ochoty – do uczestniczenia w wielu zwykłych programach terapeutycznych, przynajmniej we wczesnych stadiach głodu narkotykowego. Porzucenie leczenia i powrót do narkotyku może więc stanowić następstwo nie tyle słabości natury moralnej czy braku silnej woli, ile zniszczeń powstałych w mózgu chorego.

Doktor London wyjaśnia, że poważne upośledzenia poznawcze występujące u osób uzależnionych mogą powodować, że pacjenci nie są w stanie uczestniczyć w zajęciach terapeutycznych wymagających skupienia uwagi, logicznego myślenia i zapamiętywania. W dodatku pacjenci cierpiący na głęboką depresję i wysoki poziom lęku, przeżywający swego rodzaju „chroniczną agonię", jak opisuje to London, znajdują się w wyjątkowo niekorzystnym położeniu, gdy uczestniczą w terapiach behawioralnych albo poznawczych. Nic dziwnego więc, że Nic w pierwszych tygodniach procesu dochodzenia do zdrowia chce uciec z ośrodka. Prawdę mówiąc, badania doktor London budzą mój głęboki niepokój, ponieważ w połączeniu z wynikami innych badań pokazują, że mózg potrzebuje bardzo dużo czasu na powrót do normalnego stanu, o ile w ogóle mu się to uda.

Po miesiącu abstynencji objawy depresji i bólu, towarzyszące odstawieniu narkotyków, u części uzależnionych od mety stają się mniej dotkliwe, ale

u wielu innych utrzymują się na niemal niezmienionym poziomie. Nic dziwnego, że programy dostępne w większości ośrodków leczenia uzależnień najczęściej okazują się zawodne. W niektórych miejscach, do których dzwoniłem, oferują jedynie kilkudniowe albo tygodniowe odtruwanie. Wiele programów, jak w ośrodku Ohlhoff, trwa cztery tygodnie, jednak niewiele miast finansuje długoterminowe programy ze środków publicznych i jedynie nieliczne prywatne ubezpieczenia zdrowotne zapewniają refundację intensywnego, długotrwałego leczenia. Dłuższe programy, zwłaszcza w ośrodkach zamkniętych, są dla większości osób niewyobrażalnie drogie. Tymczasem, choć uzależniony od metamfetaminy może w ciągu czterech tygodni dojść do zdrowia przynajmniej na tyle, aby zrozumieć potrzebę stałego poddawania się opiece specjalistów, może nie odzyskać zdrowia na tyle, by następnie poddać się terapii. Obrazy prezentowane przez doktor London pokazują, dlaczego programy terapeutyczne, które mają największe szanse powodzenia, muszą trwać wiele miesięcy. Przypuszczalnie potrzeba przynajmniej kilku miesięcy, aby pacjent na tyle doszedł do siebie, by w sensowny sposób mógł uczestniczyć w terapii.

Co więc należałoby zrobić dla pacjentów, kiedy zaczynają uczestniczyć w programach terapeutycznych? Byłoby czymś niedorzecznym próbować leczyć uzależnionych od heroiny w ciągu kilku dni po ostatniej zażytej przez nich dawce narkotyku za pomocą terapii poznawczych czy behawioralnych. Uzależnieni od heroiny przeżywają dobrze opisany okres objawów związanych z odstawieniem narkotyku, obejmujących drgawki, konwulsje itp. W przypadku metamfetaminy fizyczne następstwa głodu narkotykowego występują jednak w postaci symptomów, które zwykle wiążemy ze sferą psychiki i emocji, choć – o czym świadczą błękitno-pomarańczowe plamy na monitorze doktor London – mają także podstawę organiczną.

W mózgu uzależnionych od mety występuje wiele „gorących" punktów aktywności, skorelowanych o wiele częściej niż w grupie kontrolnej z lękiem – zarówno jako stanem (lęk sytuacyjny), jak i cechą (lęk utrzymujący się). Jak wyjaśnia doktor London, to obraz charakterystyczny wyłącznie dla tego narkotyku. „Obrazy mózgu osób nadużywających heroiny, kokainy albo alkoholu nie wykazują zmian tego rodzaju".

Obrazy wygenerowane przez doktor London wskazują także na upośledzenia poznawcze. Szczególnie niepokoi ją błękitne pasmo w korze przedczołowej, ponieważ aktywność w tym obszarze jest związana ze zdolnością do po-

dejmowania decyzji. Na jej obrazie to miejsce ma barwę zdecydowanie błękitną, z nieco jaśniejszym środkiem. Jednocześnie rejon zakrętu obręczy, związany z bólem i emocjami, u członków grupy kontrolnej nie jest pobudzony, ale wyraźnie rozjaśnia się u zażywających metę. To logiczne, że trudniej człowiekowi myśleć, gdy w jego mózgu są pobudzone rejony związane z przeżywaniem negatywnych emocji.

– U zażywających metę, przynajmniej w ciągu pierwszych tygodni, strategie poznawcze stosowane przez mózg nie mają normalnego charakteru – twierdzi London. To oznacza, że obok biologicznie uwarunkowanego wysokiego poziomu lęku i depresji po odstawieniu mety uzależnieni cierpią na poważne ograniczenie zdolności poznawczych.

Szukam dalej i trafiam na pewne studium, trzy lata wcześniejsze niż badania doktor London, Stephena Kisha, lekarza z Uniwersytetu w Toronto, który prowadził autopsję mózgów osób zażywających metę. (Te osoby zmarły z przedawkowania metamfetaminy albo miały wysokie stężenie narkotyku w organizmie w chwili, gdy zginęły od kuli z broni palnej albo zmarły w wypadku). Na slajdach wyświetlanych pokoleniom uczniów szkół średnich podczas zajęć poświęconych zdrowiu pokazywano skurczone, odwodnione, zniszczone mózgi alkoholików i porównywano je z kremowobiałymi i gąbczastymi mózgami osób zdrowych. W odróżnieniu od mózgów alkoholików mózgi osób uzależnionych od metamfetaminy nie wykazują zniszczeń widocznych gołym okiem. Na poziomie mikroskopowym metafora smażonego jajka – „tak-wygląda-twój-mózg-pod-wpływem-narkotyków" – nadal zachowuje znaczenie. Badacze zaobserwowali, że niektóre zakończenia neuronów są spalone.

Więcej mówią biopsje komórek mózgowych. Aby poddać je analizie, Kish wykorzystywał biochemiczne sondy oraz pobierał dwudziestomiligramowe kawałki mózgu. Mierzył ilość poszczególnych neuroprzekaźników oraz porównywał je z ilością znajdującą się w mózgach ludzi zdrowych.

Jego badania wykazały umiarkowanie obniżony poziom serotoniny i innych neuroprzekaźników, ale „zdecydowanie niższy" – od dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu pięciu procent – poziom dopaminy. Kish analizował także obecność transporterów dopaminy, z których ta substancja chemiczna jest uwalniana. Okazało się, że one także występowały w mniejszej ilości. Inni badacze odkryli podobne ubytki w mózgach uzależnionych od mety

małpek, pawianów, myszy i szczurów, co przywiodło ich do wniosku, że metamfetamina jest substancją neurotoksyczną, fizycznie zmieniającą mózg o wiele bardziej niż kokaina i większość pozostałych narkotyków. Pojawia się więc zasadnicze pytanie, jeśli Nic przestanie brać, czy jego mózg odzyska zdrowie?

Ustalono, że pod wpływem mety dramatycznie spada poziom dopaminy, ale nie wiadomo, czy towarzyszy temu fizyczna utrata dopaminowych terminali. Według doktora Kisha, jeśli narkotyk trwale zniszczy te końcówki, szanse na odzyskanie zdrowia są niewielkie. A zatem w swoich próbkach mózgów Kish poszukiwał markera znanego jako pęcherzykowy transporter monoaminowy albo V–MAT2. U osób cierpiących na chorobę Parkinsona, kiedy to następuje trwała utrata neuronów dopaminowych, poziomy V-MAT2 są wyjątkowo niskie. Gdyby okazało się, że ilość tego markera jest znikoma w mózgach uzależnionych od mety, wskazywałoby to prawdopodobnie na utratę zakończeń nerwowych, a tym samym oznaczało, że uszkodzenia, do jakich doszło w mózgu, są nieodwracalne. Kiedy jednak Kish sprawdzał poziom V-MAT2 w swoich próbkach, okazało się, że poziom tego transportera jest normalny. Odkrycie było zaskakujące, ale przynosiło nadzieję. Wraz z kolejnymi badaniami wskazywało, że „usmażone" końcówki komórek nerwowych przypuszczalnie odrastają, choć może to potrwać nawet dwa lata. Dwa lata. To oznacza, że uzależnieni od mety mogą jednak odzyskać zdrowie.

To dobra wiadomość dla rodzica osoby uzależnionej. Oczywiście chcę, żeby Nic przeżył, ale nie mogę uwolnić się od myśli, że pragnę dla niego czegoś więcej. Chcę, żeby znowu był zdrowy. Chociaż wyniki badań naukowców są nieostateczne, wskazują, że Nic ma pewną szansę, jeśli zachowa trzeźwość. *Jeśli* nie wróci do narkotyku.

Jemy razem z Karen kolację na Haight Street, a potem wleczemy się na wzgórze, do miejsca, które zaczęliśmy nazywać „Domem Hrabiego Ohlhoffa" – Hrabia Olaf to złowroga postać w cyklu książek *Seria niefortunnych zdarzeń* Lemony'ego Snicketa, które czytamy Jasperowi i Daisy. Minąwszy grupę palaczy stojących przed wejściem, przechodzimy przez bramę z kutego żelaza. Wydaje się, że po dziesięcioleciach wchłaniania dymu papierosowego i uzależnień ogród na dziedzińcu nie potrafi już wykrzesać z siebie życia.

Mamy spotkać się z Nikiem na sesji grupowej terapii rodzinnej. Spotkania przebiegają we wspólnym pomieszczeniu. Siedzimy razem z innymi rodzicami albo partnerami rodziców i z naszymi uzależnionymi dziećmi na zdartych kanapach i składanych krzesłach. Jakaś starsza kobieta o głosie przeżartym alkoholem (choć jest trzeźwa od dwudziestu lat) kieruje rozmową.

– Powiedz swoim rodzicom, jakie to ma dla ciebie znaczenie, że są tutaj razem z tobą, Nic – mówi, kiedy przychodzi nasza kolej.

– Bo ja wiem? W porządku.

To zapadające w pamięć, bolesne spotkania. Poznajemy historie innych uzależnionych oraz ich rodzin. Jedną z uzależnionych od mety jest dziewiętnastoletnia dziewczyna o twarzy niewiniątka. Skłębione włosy nosi związane w dwa mysie ogonki o barwie kawy, jest wyraźnie przybita. Straciła prawo do opieki nad swoim dzieckiem – dzieckiem, które urodziło się z uzależnieniem od mety. Sama wygląda na dziecko, jeśli nie liczyć licznych śladów po ukłuciach. Są pacjenci uzależnieni od heroiny, marihuany, a także jakiś pokryty plamami starożytny alkoholik rodem z filmu *Dni wina i róż*. Wysłuchujemy ich opowieści. Alkoholik raz po raz porzuca swoje dzieci i ich matkę bez słowa pożegnania. A potem wraca do domu i przeprasza. „Po pierwszych czterech albo pięciu razach te przeprosiny przestały dla nich cokolwiek znaczyć" – mówi. Zapisał się do ośrodka, kiedy rodzina go porzuciła. Jakiś chłopiec, nieco starszy od Nica, o bezbarwnych oczach i włosach, jest z Nowego Jorku, przyjechał do San Francisco studiować architekturę, ale jak opowiada, „metamfetamina zmieniła moje plany".

Nie zaskakuje fakt, że w programach działających w San Francisco prawie połowa pacjentów to geje, ponieważ w tym środowisku Tina, jak nazywają metamfetaminę, stała się szczególnie modna. Speedy to katastrofa w wielu wielkomiejskich społecznościach gejów. Według Stevena Shoptawa, psychologa z wydziału medycyny rodzinnej na UCLA, „spychają ich z powrotem do lat siedemdziesiątych, z czasów sprzed AIDS". Specjaliści od problemów zdrowotnych oceniają, że około czterdzieści pięć procent gejów w San Francisco, Nowym Jorku i Los Angeles próbowało krystalicznej mety. Trzydzieści procent zarażonych HIV to osoby zażywające kryształ. Geje z Kalifornii, którzy biorą speedy, są dwukrotnie bardziej narażeni na HIV niż osoby, które nie sięgają po narkotyk. Zarówno geje i lesbijki, jak i osoby heteroseksualne

zażywają metę podczas maratonów seksualnych. „Seks na speedzie" może trwać długo i dawać intensywne przeżycia. Prawdę mówiąc, we wczesnej fazie narkotyk sprawia, że osoba, która go zażywa, czuje się „pełna energii, otwarta, pewna siebie i seksowna", mówi Gantt Galloway, badacz z Laboratorium Badania Farmakologii Uzależnień w California Pacific Medical Center Research Institute. „Ale wkrótce trudno im uzyskać pobudzenie. W tym momencie osoba sięgająca po narkotyk najczęściej zdążyła już angażować się w zachowania seksualne, w jakie nie wdawałaby się bez użycia narkotyków – rodzaj zachowań, które sprzyjają rozprzestrzenianiu się wirusa".

Pewien mężczyzna zarażony HIV, uczestniczący w tym samym programie co Nic i uzależniony od mety, którą zażywa od siedmiu lat, mówi drżącym szeptem, odsłaniając dwa samotne zęby przedtrzonowe: „Straciłem większość zębów". „Mam dziury w płucach". Trzęsącymi się rękami podnosi swój T-shirt i odsłania pokryty wrzodami, zapadnięty brzuch. „To gówno się nie goi. Pluję krwią. Wypluwam kawałki żołądka. Boli mnie przez cały czas".

Podczas trzeciej sesji cotygodniowej grupowej terapii rodzinnej Nic, zachęcany przez swoją psycholog, mówi do Karen i do mnie, że nie zamierza studiować w college'u. „Zrobiłem to dla was. Chcę iść do pracy. Chcę na razie sam się utrzymywać. Muszę być niezależny".

Kiedy razem z Karen opuszczamy posiadłość Ohlhoffa, wita nas ostry, przenikliwy wiatr. Zapinamy szczelnie kurtki i idziemy na długi spacer wzdłuż Fillmore Street, a potem do Civic Center. Karen jest tak samo jak ja wstrząśnięta decyzją Nica, że nie chce studiować. Właściwie, kiedy mówię, że on jest uzależniony od narkotyków, to są tylko słowa. Nie patrzę na Nica w taki sam sposób, w jaki patrzę na innych uzależnionych w sali. Nic to bystry chłopak, który trochę wymknął się spod kontroli. Ignorując ostrzeżenia naszego przyjaciela, głęboko wierzyłem w to, że terapia w ciągu tych czterech tygodni doprowadzi go do trzeźwości, przestraszy go na tyle, że zrozumie, że znalazł się na krawędzi upadku, że mógł zniszczyć sobie życie. Ale to wszystko. Wróci do college'u, skończy studia i będzie miał normalne życie.

Pod wpływem mojej fantazji, godnej Don Kichota, miałem za złe psychologom z ośrodka, że jasno stawiali sprawę. Dla nich liczy się tylko terapia, wszystko inne musi pójść na bok.

Pod koniec spaceru przychodzi mi do głowy nowa interpretacja. Nic jedy-

nie odkłada studia. To wszystko. To ma sens. Adaptuję się do tego nowego scenariusza. Nic ma tylko osiemnaście lat. Wiele osób odłożyło na jakiś czas studia i świetnie sobie poradziło.

Podczas sesji terapii rodzinnej w czwartym tygodniu Nic znowu nas zaskakuje. Tym razem mówi, że dotarło do niego, że potrzebuje więcej czasu na pobyt w ośrodku i pyta, czy możemy go przenieść do prowadzonego przez ośrodek programu półotwartego, jak powiedział Walter Ling z UCLA: „Czas spędzony bez narkotyku jest najlepszą zapowiedzią dłuższego czasu bez narkotyku". Chociaż jestem tym przerażony, chcę, żeby to wszystko już się skończyło, chcę, żeby go wyleczyli – plan wydaje mi się sensowny. Poza tym muszę przyznać, boję się tego, co będzie, gdy Nic wróci do domu.

Zgadzamy się więc, żeby przeniósł się do programu półotwartego w Ohlhoff. Nic grzecznie się przenosi, po czym trzy dni później, kiedy dzwonię sprawdzić, co się z nim dzieje, dowiaduję się, że zniknął.

Rozdział 12

W pewnym momencie zdarza się, że rodzice przestają zwracać uwagę na autodestrukcyjne zachowania dziecka, ale to nie jest mój przypadek. Niemniej wiem, jak to działa, znam schemat. Dzwonię na policję i do szpitalnych oddziałów ratunkowych. Nic. Przez cały dzień nie mam od niego żadnej wiadomości, potem następny, potem jeszcze jeden. Po raz kolejny wyjaśniam, co się dzieje, Jasperowi i Daisy, najlepiej jak potrafię. Potrafią jedynie zrozumieć, że Nic ma kłopoty i ich rodzice szaleją z niepokoju. Przypominając sobie incydent z policjantami w Inverness, Jasper pyta:

– Czy Nic jest w więzieniu?

– Dzwoniłem do więzień. Nie ma go tam.

– A gdzie on śpi?

– Nie mam pojęcia.

– Może ma jakiegoś przyjaciela i śpi u niego?

– Mam nadzieję.

Próbuję cały czas zrozumieć, co się stało – nie tylko z Nikiem, ale z naszym życiem, które kręci się teraz wokół niego. Kiedy dzieci są w pobliżu, zawsze pamiętam, żeby trzymać nerwy na wodzy, ale wściekam się na Karen. Ona najczęściej toleruje moje wybuchy frustracji i gniewu, ale czasami ma tego dość, podobnie jak mojego obsesyjnego skupienia na Nicu. Nie chodzi o to, że nie rozumie, ale czasami uważa, że przekraczam granicę i że to się nigdy nie kończy. Prawie nie śpię. Karen budzi się w środku nocy i zastaje mnie w salonie, gdy siedzę na kanapie i wpatruję się w blade płomienie na kominku. Wyznaję jej, że nie mogę spać, ponieważ nie potrafię wyrzucić z pamięci obrazów Nica błąkającego się po ulicach San Francisco. Wyobrażam sobie, że ktoś go skrzywdził, że ma kłopoty. Wyobrażam sobie, że umiera.

– Wiem – mówi Karen. – Ja też.

Po raz pierwszy płaczemy razem.

Moja rozpacz narasta. Chcę, muszę, dowiedzieć się jakoś, że wszystko z nim w porządku, więc pewnego chłodnego, mglistego poranka ruszam przed siebie z beznadziejną misją. Jadę przez most Golden Gate, z zamiarem przeczesania rejonu Haight i Mission, okolic, gdzie – jak przypuszczam – Nic

może się kręcić. Jeżdżę bez celu po Mission, a potem przejeżdżam miasto, parkuję na Ashbury i idę pieszo Haight Street. Zaglądam do Amoeby, jego ulubionego sklepu z płytami, zerkam do kawiarni, sklepów z książkami.

Mimo oznak gentryfikacji okolice Haight zachowały coś z szalonej aury lat sześćdziesiątych, w powietrzu czuć gęstą woń palonej marihuany. Uciekinierzy – z farbowanymi włosami, wytatuowani, w ubraniach farbowanych w węzeł, ze śladami po strzykawkach, naćpani – przesiadują przed drzwiami domów. „Dzieciaki z ulicy nadal trzymają się fantazji o Haight-Ashbury, ale od dawna nie chodzi tu o pokój i miłość" – powiedział kiedyś Nic. – „Chodzi o muzykę punkową, ogólne lenistwo i narkotyki". (Chodzi także o „te wszystkie straszne hipisowskie nastolatki z Marin, błagające o drobniaki", jak dodaje Dave Eggers w *A Heartbreaking Work of Staggering Genius*). Słyszałem kiedyś opowieść od dochodzącej do zdrowia kobiety uzależnionej od narkotyków, która w taki sposób opisywała swojego ekschłopaka, że przypominają mi się te dzieciaki: „Miał czarne paznokcie i jeździł karawanem. Wszystko w nim krzyczało: Patrzcie na mnie, patrzcie na mnie, ale kiedy się na niego patrzyło, warczał: I na co się tak gapisz?". Jeśli zgodzisz się z poglądem, że uzależnienie jest chorobą, ze zdumieniem zauważasz, jak wiele jest tych dzieciaków – dręczonych przez lęk, paranoje, posiniaczonych, drżących, bladych, czasami w stanie psychozy. To osoby poważnie chore, umierające powoli. Nigdy nie pozwalalibyśmy na takie sceny, gdyby te dzieciaki chorowały na coś innego. Wtedy leżałyby w szpitalu, nie na ulicach.

Niedorzecznie pytam niektórych, czy znają mojego syna. Ignorują mnie albo patrzą wrogo. Przechodzę ponad nimi albo obok i zaglądając każdemu w twarz, zastanawiam się, co się z nimi dzieje, co się dzieje z ich rodzicami?

Mijam ulicę Stanyan i wchodzę do parku Golden Gate. Przechodzę obok niewielkiego zagajnika, unikając szaleńców na deskorolkach i rowerzystów na chodnikach. W pobliżu karuzeli zatrzymuję jakiegoś policjanta i wyjaśniam, że szukam syna uzależnionego od mety.

– Nakręconych trudno przegapić – odpowiada. Mówi, że wie, gdzie czasem bywają, i prowadzi mnie jakąś ścieżką. – Niech pan spróbuje tam. – Wskazuje na porośnięty trawą pagórek pod drzewem magnolii, gdzie siedzi kilkanaście osób.

Podchodzę do jakiejś dziewczyny na ławce, z dala od grupy. Jest blada i wychudzona, owinięta w brudny marynarski sweter w niebieskie paski. Kie-

dy podchodzę bliżej, dostrzegam dobrze znane oznaki zażywania mety: napięte szczęki, pulsujące ciało. Przedstawiam się. Dziewczyna się odsuwa.

– Jesteś gliniarzem?

Mówię, że nie, ale wyjaśniam, że jakiś gliniarz pokazał mi drogę tutaj. – Wskazuję na policjanta, który przechadza się w oddali. Mam wrażenie, że się rozluźniła.

– On jest w porządku – mówi. – Zaczepia cię tylko, jeśli robisz kłopoty albo zażywasz narkotyki w pobliżu małych dzieci na placu zabaw. – Pokazuje w tamtą stronę. Znam ten plac zabaw. Nic odgrywał kiedyś na nim tajnego agenta.

Po chwili niezobowiązującej rozmowy opowiadam jej o Nicu i pytam, czy go zna. Dziewczyna prosi, żebym go opisał. Opisuję, jak wygląda Nic, na co ona kręci głową.

– Tak wygląda co drugi facet, którego znam – mówi. – Nie znajdziesz go, jeśli on nie będzie tego chciał.

– Jesteś głodna? Nie mam na razie nic do roboty, pomyślałem, że mógłbym coś zjeść.

– Jasne. – Kiwa twierdząco głową.

Idziemy do McDonalda, gdzie pochłania cheeseburgera.

– Byłam na diecie kryształowej – wyjaśnia.

Pytam, jak się tu znalazła. Opowiada cichym, przerywanym głosem.

– Nie sprawiałam kłopotów – mówi w pewnym momencie. – Byłam słodkim, kochanym dzieckiem.

Opowiada, że bawiła się lalkami, była królową Twistera, maszerowała w orkiestrze swojej szkoły średniej, lubiła uczyć się historii i była dobra z francuskiego. *Comment-allez vous? Ou est la biblioteque, si'l vous plait*? Mówi, że mnóstwo czytała. I wymienia swoich ulubionych autorów, wyliczając ich na wychudzonych palcach. To równie dobrze mogłaby być lista Nica, przynajmniej kiedy był młodszy. Harper Lee, Tolkien, Dickens, E.B. White, Hemingway, Kafka, Lewis Carroll, Dostojewski.

– Fiodor był moim Bogiem. *Bracia Karamazow*, to była moja biblia. Ale teraz nie mam do tego głowy, to wszystko gówno. – Spogląda w górę. – Wiesz, by-

łam cheerleaderką. Nie ściemniam. Ale nie udało mi się dotrwać do końcowego balu.

Chichocze zakłopotana i zasłania usta, a potem trzęsącą się dłonią odsuwa posklejane włosy.

– Żadna wróżka mi nie pomogła.

Jakiś chłopak podsunął jej metę, kiedy miała czternaście lat. To było pięć lat temu. Siorbie, popijając napój z bąbelkami, a potem kiwa się tam i z powrotem na krześle.

– Meta… Ale nawet teraz, chociaż wiem, jak bardzo to wszystko jest popieprzone, gdybym miała szansę zacząć wszystko od początku, zrobiłabym to jeszcze raz. Nie potrafię żyć bez mety, nie chcę. Nie masz pojęcia, jak człowiek się czuje, gdy wszystko jest dobrze, i ja tego potrzebuję – dodaje.

Wyciąga kilka kawałków lodu ze swojego kubka coca-coli i układa je na stoliku, przesuwa je palcami i patrzy, jak ślizgają się po plastikowej powierzchni. Mówi, że jej ojciec jest bankierem, matka agentką na rynku nieruchomości. Mieszkają w Ohio, w domu, w którym się wychowała.

– Jest biały, krzaki róż, niskie płotki, amerykańskie życie – mówi. Jej rodzice wynajęli prywatnego detektywa, żeby ją odnalazł, kiedy za pierwszym razem uciekła z domu. Razem z przyjaciółką zabrała się wtedy do San Francisco. Detektyw wytropił ją w schronisku dla bezdomnych i namówił, żeby wróciła z nim do domu. Kiedy wróciła, rodzice zabrali ją do szpitala na odtrucie z krystalicznej mety. – To było piekło. Chciałam umrzeć.

Ukradła słoik valium i w dniu, w którym ją wypuścili, przedawkowała. Kiedy doszła do siebie, rodzice zapisali ją do Hazelden, dobrze znanego ośrodka leczenia uzależnień, na Środkowym Zachodzie. Ale stamtąd też uciekła. Rodzice znowu ją znaleźli i wysłali do innego ośrodka na leczenie.

– To wszystko gówno, jakaś sekta. To całe gówno na temat Boga – mówi o tych programach.

Znowu uciekła, zdobyła trochę cracku od dawnego chłopaka i wróciła autostopem do San Francisco, większość drogi przejeżdżając w towarzystwie palącego metę kierowcy ciężarówki. Wysiadła w Haight, gdzie zaczęła dilować i „walić” – to znaczy wstrzykiwać sobie – krystaliczną metę. Mówi, że mieszka w garażu, gdzie jest tylko jakaś dmuchawa do ogrzewania i nie

ma bieżącej wody, śpi na starym materacu.

Zażywa krystaliczną metę prawie codziennie. Pali ją albo wstrzykuje sobie, nie śpi po trzy doby, a kiedy już uda jej się zasnąć, śpi całymi dniami i ma „przerażające" koszmary. Trzy razy była już na szpitalnym oddziale ratunkowym, za każdym razem z powodu zapalenia płuc, „miałam też coś z żołądkiem, plułam krwią". A także dlatego, że „odleciała". Żebraniem zarabia tyle, żeby wystarczyło jej na kawę i papierosy. Raz dźgnęła nożem jakiegoś faceta, „ale tylko w nogę". Za metę płaci, dilując. „Kiedy nie mam czym zapłacić, robię laskę albo coś w tym rodzaju". Mówi to, a potem wydaje się zakłopotana, jakby wspomnienie jakiejś odległej, zakrzepłej emocji zadawało jej ból. Odwraca głowę w bok i patrzy w dół. Z profilu, z niemytymi zwisającymi włosami wygląda, jakby była o połowę młodsza.

– Jestem suką, kiedy nie mam czego wziąć – mówi. – Na mecie jestem w porządku.

– A co z twoimi rodzicami?

– Co z nimi?

– Nie tęsknisz za nimi?

– Nie bardzo. Tak. Może tak.

– Powinnaś się do nich odezwać.

– Dlaczego?

– Jestem pewny, że tęsknią za tobą. Martwią się. Mogliby ci pomóc.

– Powiedzieliby mi, że powinnam wrócić na terapię.

– Może to nie taki zły pomysł?

– Byłam tam, robiłam to.

– Przynajmniej do nich zadzwoń. Powiedz im, że żyjesz.

Nie odpowiada.

– Zadzwoń do nich. Wiem, że chcieliby się dowiedzieć, czy żyjesz.

Wracam do domu. Bez Nica. Myślę o rodzicach tej dziewczyny. Jeśli są tacy, jak ich sobie wyobrażam – to znaczy tacy jak ja – to czymkolwiek się zajmują w tym momencie, robią to, angażując jedynie część swojej świadomo-

ści. Nigdy nie potrafią się uwolnić od niepokoju o córkę. Zastanawiają się, co poszło nie tak. Czy ona żyje, czy to ich wina.

Zadręczam się tymi samymi pytaniami, na które nie ma odpowiedzi:

Czy go rozpieściłem?

Czy byłem zbyt pobłażliwy?

Czy zwracałem na niego za mało uwagi?

Za dużo?

Gdybyśmy nie wynieśli się na wieś.

Gdybym sam nigdy nie zażywał narkotyków.

Gdybym nie rozstał się z jego matką.

Gdyby tylko, gdyby, gdyby…

Poczucie winy i obwinianie samych siebie to typowe reakcje rodziców osób uzależnionych. W niezwykle przydatnej książce *Addict in the Family* Beverly Conyers pisze: „Większość rodziców, kiedy z perspektywy czasu zastanawiają się nad tym, jak wychowywali swoje dzieci, żałuje przynajmniej niektórych spraw. Czasem żałują, że nie byli bardziej surowi albo mniej surowi. Żałują, że nie oczekiwali więcej albo mniej od swoich dzieci, że nie spędzali z nimi więcej czasu albo że byli nadopiekuńczy. Czasami zastanawiają się nad trudnymi momentami, takimi jak rozwód albo śmierć w rodzinie, i widzą w nich punkty zwrotne w rozwoju problemów ze zdrowiem psychicznym u swojego dziecka. Niektórzy z nich czują ciężar wstydu z powodu problemów, jakie zdarzały się w przeszłości, takich jak niewierność, która zniszczyła rodzinę i podważyła wzajemne zaufanie. Niezależnie jednak od rodzaju wychowawczych niepowodzeń rodziców osoby uzależnione niemal zawsze dostrzegają u swoich rodziców te słabe punkty i je wykorzystują”.

„Osoby uzależnione mogą mieć powody do narzekań, obejmujące, duże i mniejsze, pretensje z przeszłości. Niektóre z tych oskarżeń mogą rzeczywiście kryć prawdę. Zdarza się, że rodzina stała się dla osoby uzależnionej źródłem cierpień. Zdarza się też, że zawiodła pod jakimś ważnym względem. (W końcu, czy są jakieś idealne związki między ludźmi?) Jednak osoby uzależnione nie wyciągają tych problemów dlatego, że chcą oczyścić atmosferę albo z nadzieją, że uda się zaleczyć jakieś stare rany. Wyciągają je wyłącznie po to, aby wzbudzić u innych poczucie winy, używając go jako narzędzia, za

pomocą którego mogą manipulować ludźmi, żeby móc kontynuować swoje uzależnienie".

Ale jednak: gdyby, gdyby, gdyby.

Zamartwianie się, poczucie winy, poczucie żalu mogą mieć pewną funkcję – jako turbodoładowanie świadomości – ale w nadmiarze są bezwartościowe i obezwładniają. Mimo to nie potrafię ich uciszyć.

Po wielu dniach, gdy nie mieliśmy żadnej wiadomości od Nica, dzwoni z domu swojej byłej dziewczyny. Mówi szybko i ewidentnie kłamie. Twierdzi, że wyszedł z ośrodka na własną odpowiedzialność i że jest trzeźwy od pięciu dni. Mówię mu, że jeśli chodzi o mnie, ma do wyboru dwie opcje: albo jeszcze raz spróbuje podjąć leczenie, albo ląduje na ulicy. Staram się być twardy, ale w moich słowach słychać pragnienie, aby pobiec do niego i wziąć go w ramiona.

Nic twierdzi, że nie potrzebuje terapii – przestanie brać, kiedy będzie chciał – ale odpowiadam, że to nie podlega negocjacji. Z pewnym ociąganiem godzi się spróbować jeszcze raz, dodając na koniec:

– Jak chcesz.

Jadę do domu tej dziewczyny i czekam w jakiejś ślepej uliczce, siedząc w samochodzie, silnik pracuje na wolnych obrotach. Nic posłusznie wsiada do auta. Dostrzegam ciemny siniak na jego policzku i rozcięcie na czole. Pytam, co się stało. Patrzy w niebo, a potem zamyka oczy.

– Nic takiego – mówi. – Jakiś dupek pobił mnie i obrabował.

– Jak to, nic takiego? – denerwuję się.

Wydaje się zmęczony i pusty. Nie ma ze sobą walizki ani plecaka, niczego.

– Co się stało z twoimi rzeczami?

– Skradzione, wszystko.

Kim jest ten chłopak, który siedzi obok mnie w samochodzie? To nie jest Nic. Ten ktoś nic nie wie o dziecku, które pamiętam. Jakby potwierdzając moje spostrzeżenia, odzywa się wreszcie:

– Co, do kurwy, tutaj robię? To wszystko gówno. Nie potrzebuję terapii. To gówno. Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz? Gdzie?

– Do Paryża.

– Ach, do Paryża.

– Zabieram się z tego pieprzonego kraju. Tego potrzebuję.

– A co będziesz robił w Paryżu?

– Razem z Tomem i Davidem będziemy grać muzykę w metrze, usiądziemy sobie z małą małpką, jak starzy kataryniarze.

W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin nastroje Nica wahają się od nadmiernego pobudzenia do stuporu. Obok małpki jego plany obejmują także wędrówkę z plecakiem do Meksyku, wstąpienie do Korpusu Pokoju oraz pracę na roli w Ameryce Południowej, jednak za każdym razem ostatecznie przyznaje zrezygnowany, że jednak wróci na terapię. A potem znowu twierdzi, że wcale mu nie jest potrzebna, że jest trzeźwy i pieprz się, a potem mówi, że potrzebuje narkotyków i że nie może bez nich żyć.

– Życie jest do dupy, dlatego muszę być na haju.

Nie jestem pewien, czy kolejne cztery tygodnie terapii mają sens, ale wiem, że warto spróbować. Tym razem udaje mi się zapisać go do szpitala Świętej Heleny, który znajduje się, kto by się spodziewał, w dolinie Napa, w krainie wina.

Wiele rodzin stara się jakoś wycisnąć ostatni grosz – biorą kredyty hipoteczne na dom albo stawiają w stan bankructwa fundusze przeznaczone na naukę w college'u oraz swoje programy emerytalne – próbując kolejnych programów leczenia uzależnienia od narkotyków, a także obozów w stylu obozów treningowych dla rekrutów i szkół przetrwania, oraz pomocy wszelkiego rodzaju terapeutów i psychologów. Polisa ubezpieczeniowa jego matki i moja pokrywają większość kosztów takich programów. Gdyby nie ta refundacja, nie jestem pewien, co byśmy zrobili. Za dwadzieścia osiem dni liczą sobie prawie dwadzieścia tysięcy dolarów.

Następnego ranka Nic, Karen i ja jedziemy wśród niekończących się żółtych albo zielonych pól – kwiaty gorczycy, geometryczne linie winnic – w drodze do szpitala.

W górze doliny Napa, w bok od Silverado Trail skręcam w Sanatorium Road, która prowadzi do szpitala. Nic patrzy na znak, kręci głową i kwaśno

rzuca:

– Wspaniale. Obóz terapeutyczny. A więc tym razem to.

Parkuję samochód i zerkam na Nica. Widzę, jak patrzy przez ramię. Zastanawia się, czy nie zwiać.

– Ani się waż.

– Boję się, rozumiesz? Jezus! – mówi. – To będzie koszmar.

– W porównaniu z tym, że ktoś cię pobił i prawie zabił?

– Tak.

Wchodzimy do głównego budynku i kierujemy się do ośrodka leczenia uzależnień. Jedziemy windą na drugie piętro, a potem idziemy korytarzem. W odróżnieniu od Ohlhoff Recovery to szpital, wszystko tu jest sterylne – szara wykładzina, fluorescencyjne światła, niezliczone korytarze, pielęgniarki w bieli, pracownicy fizyczni na niebiesko. Siedzimy na fotelach w pobliżu ruchliwego stanowiska pielęgniarek, w milczeniu wypełniamy formularze.

Potem jakaś pielęgniarka z fryzurą Harpo Marxa i w dużych, różowych okularach przychodzi po Nica. Wyjaśnia, że zanim zostanie przyjęty, musi pójść na rozmowę z lekarzem i przejść ogólne badania medyczne.

– To zajmie jakąś godzinę. Spotkacie się tutaj – informuje mnie.

Razem z Karen schodzimy na dół, w stronę szpitalnego sklepiku i ze skromnej oferty wybieramy kilka przyborów toaletowych. Kiedy wracamy, Nic mówi, że musi już iść do swojego pokoju. Odprowadzamy go kawałek korytarzem. Opiera się na moim ramieniu. Wydaje się nieomal nieważki, jak gdyby mógł unieść się w powietrze.

Ściskamy się niezręcznie na pożegnanie.

– Powodzenia – mówię. – Dbaj o siebie.

– Dzięki tato. Dzięki, KB.

– Kocham cię – mówi Karen.

– Też cię kocham.

Patrzy na mnie.

– Wszystko.

Płaczemy.

Program w szpitalu Świętej Heleny jest podobny do oferowanego w Ohlhoff Recovery, choć obejmuje więcej ćwiczeń fizycznych, a także jogę i pływanie w szpitalnym basenie w kształcie nerki, plus konsultacje u szpitalnych specjalistów i psychiatry. Nacisk kładzie się tu na edukację: są wykłady i filmy o chemii mózgu uzależnionego od narkotyków, codzienne mityngi AA i NA, do tego rozszerzony program rodzinny, dwa dni w tygodniu. W tym momencie nie jestem podekscytowany ideą terapii, ale pozwalam sobie na odrobinę nadziei, jak w piosence Bruce'a Springsteena: „Na koniec każdego ciężkiego dnia ludzie znajdują jakiś powód, aby wierzyć". Mój to mieszanina tej nadziei oraz, jeszcze raz, nieśmiałej ulgi, ponieważ wiem, co się z nim dzieje.

W domu śpię, choć niespokojnie. W moich koszmarach Nic zażywa narkotyki. Wściekam się na niego. Błagam. Płaczę przez niego. A on, na haju, nie zwraca uwagi. Na haju patrzy na mnie zimno, pustymi oczami.

Inni ludzie odwiedzają krainę win ze względu na tamtejszy cabernet i pinot noir, kąpiele błotne i dobre jedzenie. Razem z Karen pielgrzymujemy na rodzinne weekendy w szpitalu. Przed naszą pierwszą sesją pani psycholog mówi mi, że prognozy dla osoby uzależnionej są znacznie lepsze, gdy jej rodzina bierze udział w programie.

– Martwimy się najbardziej o tych, którzy nie mają rodziny – wyjaśnia. – Nic należy do szczęściarzy.

– Zauważą państwo wielką zmianę u Nicolasa – rzuca, gdy idziemy białym korytarzem. – Ale czuje się trochę przygnębiony. Zawsze tak się czują podczas odtruwania, a meta jest najgorsza.

Sesje rodzinne w szpitalu są zorganizowane inaczej niż w Ohlhoff. Najpierw zbieramy się w dużej sali, gdzie czekają na nas rzędy krzeseł zwróconych w stronę mównicy i monitorów telewizyjnych. Szpital oferuje cztery fora edukacyjne, w co drugą niedzielę. Nasze pierwsze forum jest poświęcone modelowi uzależnienia jako choroby. To dla mnie coś nowego. Jaka inna choroba obejmuje, jako symptom, dobrowolne uczestnictwo ofiary? Za każdym razem, gdy Nic zażywa speeda, dokonuje wyboru. (Ale czy naprawdę?) Palacze mogą ściągnąć na siebie raka płuc, ale inni chorzy na raka nie są odpowiedzialni za swoją chorobę. Uzależnieni od narkotyków są. (Ale czy na-

prawdę?)

Wykładowczyni wyjaśnia, że uzależnienie ma podłoże genetyczne, przynajmniej w postaci predyspozycji do uzależnienia. To znaczy, po części winne są geny Nica, potężna mieszanka odziedziczona po przodkach: moich przodkach o ciemnej karnacji, rosyjskich Żydach, przemieszanych z jasnowłosymi metodystami, po stronie jego matki. Ojciec Vicki zmarł z powodu alkoholizmu, więc nie musimy szukać daleko w rodzinnym drzewie genealogicznym, choć nikt nie wie tak dokładnie, w jaki sposób przekazywane są takie predyspozycje. Ma je około dziesięciu procent ludzi, mówi wykładowczyni. I jeśli osoba z tej grupy zażywa narkotyki albo pije alkohol, te substancje „aktywują" chorobę. Zostaje włączony przycisk start, opowiada kobieta. A kiedy zostanie aktywowany, nie można go dezaktywować. Nie można zamknąć puszki Pandory.

Jakiś mężczyzna jej przerywa.

– Zdejmuje pani z ludzi odpowiedzialność – mówi. – Nikt nie zmusił mojego syna, żeby chodził do swojego dilera narkotyków po kolejną działkę, żeby grzał metę, wstrzykiwał sobie heroinę, ograbiał nas, napadał na sklep z alkoholem i na własnych dziadków.

– Nie – odpowiada kobieta. – Nikt tego nie zrobił. On sam to zrobił. Ale tak czy inaczej cierpi na pewną chorobę. To podstępna choroba. Tak, ludzie mają wybór, co mogą z nią zrobić. Podobnie jest w przypadku takich chorób jak cukrzyca. Chory na cukrzycę może kontrolować u siebie poziom insuliny i brać leki. Uzależniony także ma wybór i może poddać się leczeniu za pomocą procesu terapeutycznego. W obu przypadkach, jeśli chorzy nie będą się leczyć, ich stan się pogorszy i w końcu mogą umrzeć.

– Ale – wtrąca się ten sam człowiek. – Cukrzyk nie kradnie, nie oszukuje, nie kłamie. Cukrzyk nie postanawia, że zażyje heroinę.

– Są dowody na to, że ludzie, którzy się uzależnili, odkąd zaczęli zażywać narkotyki, cierpią na rodzaj kompulsji, nie można tego tak łatwo zahamować ani opanować – mówi wykładowczyni. – To niemal jak z oddychaniem. Tu nie chodzi o siłę woli. Oni nie mogą tak po prostu z własnej woli przestać, inaczej już by to zrobili. Nikt nie chce być uzależniony. Narkotyk przejmuje władzę nad osobą, która go zażywa. To narkotyk, a nie racjonalny umysł człowieka, sprawuje kontrolę. Uczymy uzależnionych, jak sobie poradzić ze swoją chorobą poprzez nieustanny proces odzyskiwania zdrowia. To jedyna droga. Lu-

dzie, którzy mówią, że potrafią nad tym zapanować, nie rozumieją natury tej choroby, ponieważ to choroba sprawuje nad nimi władzę.

Nie, myślę.

To Nic sprawuje władzę.

Nie, Nic nie sprawuje władzy.

Po prezentacji przychodzi pora na pytania i odpowiedzi. A potem spotykamy się w innej sali. Siadamy na krzesłach ustawionych w kręgu. Kolejny krąg. Zaczynamy przyzwyczajać się do tych surrealnych spotkań w kręgu rodziców i dzieci oraz innych osób ważnych dla uzależnionych. Po kolei przedstawiamy się, opowiadając skrócone wersje naszych historii. Każda jest inna – różne narkotyki, różne kłamstwa, różne zdrady – a jednocześnie są takie same, przerażające i rozdzierające, wszystkie przesycone głęboką troską i smutkiem, a także łatwo wyczuwalną rozpaczą.

Mamy przerwę na lunch i możemy coś zjeść w towarzystwie członka naszej rodziny uczestniczącego w programie. Nic idzie korytarzem, niepewnym krokiem, w naszą stronę. Jest blady, porusza się powoli, jak gdyby z każdym krokiem odczuwał przeszywający ból. Wydaje się, że naprawdę ucieszył się na nasz widok. Ściska nas gorąco, długo przytulając się do każdego z nas. Czuję na policzkach dotyk jego policzka.

Wybieramy kanapki w plastikowym opakowaniu, nalewamy kawę do plastikowych kubków i zanosimy to wszystko na tacach w stronę pustej ławki stojącej na balkonie. Nic zjada kęs kanapki, a potem ją odsuwa. Wyjaśnia powody swojej senności. Dostał środki uspokajające, które mają wspomagać proces oczyszczania organizmu. Mówi, że lek dwa razy dziennie podaje mu siostra Ratched – wciela się w Louise Fletcher z *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

– Jeśli pan McMurphy nie chce zażyć swojego lekarstwa doustnie, jestem pewna, że możemy dopilnować, aby otrzymał je w jakiś inny sposób – mówi z gardłowym akcentem, czemu towarzyszy złowrogie spojrzenie.

Chichocze, ale jego występ jest słaby. Jest zbyt otumaniony, żeby zdobyć się na większą siłę wyrazu.

Po lunchu pokazuje nam swój pokój, dwa pojedyncze łóżka, szafki nocne, niewielki okrągły stolik z dwoma krzesłami. Wydaje się wygodny, jak skromny pokój hotelowy. Wskazując na łóżko przy ścianie, opowiada nam o swoim

współlokatorze.

– Świetny facet – mówi. – Był szefem kuchni. Pijak. Ożenił się z taką laską, popatrzcie…

Unosi zdjęcie w bambusowej ramce, leżące na szafce przy łóżku. Na fotografii widać małą dziewczynkę, jak anioł, może dwuletnią; jej matka to prawdziwa piękność z kaskadą żółtych loków i tajemniczym uśmiechem.

– Powiedziała mu, że to jego ostatnia szansa – opowiada Nic. – Jeśli nie utrzyma trzeźwości, odejdzie od niego.

Na szafce przy łóżku Nica leży *Wielka Księga* ruchu Anonimowych Alkoholików oraz sterta publikacji poświęconych dochodzeniu do zdrowia. W pokoju jest jeszcze nieduża szafa i komoda, do której wepchnął kilka ubrań, które przywieźliśmy ze sobą. Prowadzi nas na balkon z widokiem na winnice.

– Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego – wybucha nagle.

Patrzę na Karen.

Oboje nie wiemy, co powiedzieć.

Rozdział 13

Kolejny weekend w krainie win. Poranny wykład jest poświęcony „uzależnionej rodzinie" – to my.

– Zapewne nie muszę wam mówić, że to jest choroba, która dotyka także rodziny – zaczyna prelegent, psycholog zajmujący się tym programem. – Rodziny nie śpią, nie jedzą, chorują. Obwiniają same siebie. Czują gniew, przytłaczający niepokój, wstyd. Wiele osób zachowuje cierpienie dla siebie. Jeśli twoje dziecko ma raka, możesz liczyć na ogromne wsparcie przyjaciół i członków rodziny. Ale w przypadku uzależnienia, z powodu ciążącego na nim piętna, ludzie często wolą zachować milczenie. Zdarza się, że przyjaciele i członkowie rodziny oferują wsparcie, ale zdarza się też, że przy tej okazji pozwalają sobie na subtelne albo nie takie subtelne osądy.

Najwyraźniej wewnętrzna dynamika rodziny jest czymś przewidywalnym. Opisuje ją mobil zwisający z sufitu po jednej stronie sali. Wskazując na połączone ze sobą figurki, prelegent z niepokojącą precyzją objaśnia wszystkie odgrywane przez nas role.

W centrum układu wisi papierowa figurka lalki reprezentująca osobę uzależnioną. Wokół niej bujają się w powietrzu mniejsze laleczki. Figurki wiszące wyraźnie na boku przedstawiają dzieciaki i Karen: na peryferiach, bezradne, ale nierozerwalnie związane z nastrojami i kaprysami centralnej postaci, z jej narkotykowym uzależnieniem. Inna figurka wisi, dość niepewnie, pomiędzy nimi – to ja. Mam pewien wpływ, mogę sprawić, że Nic uniesie się, znajduję dla niego usprawiedliwienia. Nachylam się nad nim, aby się nim opiekować, próbuję chronić przed nim Karen, Jaspera i Daisy, a jednocześnie utrzymać łączące ich wszystkich związki.

– To nie wasza wina – mówi prelegent. – I to jest pierwsza rzecz, jaką musicie zrozumieć. Są uzależnieni, którzy byli źle traktowani w dzieciństwie, oraz uzależnieni, którzy, sądząc ze wszystkich pozorów, mieli idealne dzieciństwo. A jednak mimo to wielu członków ich rodzin obwinia siebie samych. Kolejną rzeczą, jakiej próbują, to starają się rozwiązać problem. Chowają butelki z alkoholem albo leki oraz przeszukują ubrania i sypialnię ukochanej osoby w poszukiwaniu narkotyków. Zawożą uzależnionego na spotkania AA albo NA. Próbują zachować kontrolę nad tym, gdzie uzależniony chodzi, co robi, z kim się zadaje. To zrozumiałe, ale daremne. Nie można kontrolo-

wać osoby uzależnionej.

Osoba uzależniona może zawłaszczyć rodzinę dla siebie: skupić na sobie całą uwagę rodziców, nawet kosztem pozostałych dzieci, kosztem współmałżonka. Nastroje pozostałych członków rodziny zaczynają zależeć od tego, jak sobie radzi uzależniony. Stają się obsesyjni. To zrozumiałe, ale szkodliwe. Zaczynają sprawować kontrolę w taki sposób, w jaki nie robili tego nigdy wcześniej, ponieważ tak bardzo się boją. Ludzie gubią swoją tożsamość, ponieważ wszystko inne, poza uzależnionym małżonkiem albo dzieckiem, albo rodzicem, ktokolwiek to jest, traci znaczenie. Z ich życia znika wszelka radość.

Kiedy spotykamy się z Nikiem na lunchu, na jego policzki wrócił kolor i w jego oczach pojawiła się odrobina życia. Porusza się bardziej swobodnie, nie jest już skulony z bólu, mimo to siedzi przygarbiony i wydaje się przybity.

Rozmawiamy chwilę, siedząc w fotelach na balkonie jego pokoju.

– Nie sądzę, żeby to działało na mnie lepiej niż poprzednim razem – mówi. – Ta cała gadka o Bogu… – przerywa. – Ta cała gadanina o Bogu. Nie mogę tego strawić.

– Mówią „siła wyższa", nie Bóg. Jest różnica – odpowiadam.

– „Siła wyższa" to tylko inny sposób mówienia o Bogu. Musisz uwierzyć, a ja nie mogę. Nie możesz sobie z tym poradzić, o ile nie uwierzysz.

Nic wyjaśnia swoje pogubienie.

– Nie mam żadnego problemu z pierwszym krokiem z dwunastu – mówi. – No tak, czasami mam, ale domyślam się, że to oczywiste, że nie mam władzy nad narkotykami i alkoholem, a moje życie wymknęło się spod kontroli. Ale cała reszta to bzdury.

Odczytuje kroki drugi i trzeci ze swojej zakładki.

– Drugi: Musisz uwierzyć, że siła wyższa bardziej niż my sami może przywrócić nas do zdrowia. Trzeci: Musisz podjąć decyzję, aby powierzyć naszą wolę i nasze życie trosce Boga tak, jak Go rozumiemy.

– Wyrażenie „jak Go rozumiemy" jest bardzo szerokie – zauważam.

– W ogóle nie rozumiem Go w jakikolwiek sposób.

Dla niektórych ludzi to jego ateizm, podarunek od rodziców, przynajmniej

ode mnie, wystarcza, aby wyjaśnić problemy Nica. Nie wierzę, żeby jakikolwiek pojedynczy czynnik mógł zmienić jego los, ale kto wie? Tyle że jeśli wiara w Boga albo wychowanie religijne chroniłyby od uzależnienia, to jak wyjaśnić, że tyle osób wychowanych religijnie i wierzących w Boga popada w uzależnienie? Dewoci wcale nie są bezpieczni.

Nie próbując zachować się nieszczerze czy z nadmierną troską, staram się zaproponować mu jakiś sposób rozumienia „siły wyższej". Choć wychowałem go bez religii, jego wychowanie nie było pozbawione zbioru określonych wartości moralnych. Próbowałem zaszczepić mu ideę, że moralność ma wartość dla siebie samej. Dalajlama w tekście dla „New York Timesa" wyjaśnił to w sposób odzwierciedlający moje przekonania: „Podstawowe zasady etyczne, jakie wszyscy podzielamy jako istoty ludzkie, takie jak współczucie, tolerancja, troskliwość, uwzględnianie potrzeb innych oraz odpowiedzialne posługiwanie się wiedzą i władzą – te zasady, które przekraczają granice dzielące osoby wierzące i niewierzące oraz wyznawców różnych religii". Dla mnie te zasady to właśnie siła wyższa, dostępna dla każdego z nas. Mój ojciec tak kiedyś wyjaśnił swoje rozumienie Boga: „spokojny, cichy głos" rozbrzmiewający w naszym wnętrzu – nasze sumienie. Nie nazywam go Bogiem, ale także wierzę w nasze sumienie. Kiedy słuchamy tego głosu, postępujemy słusznie. Kiedy go nie słuchamy, schodzimy z tej drogi. W swoim życiu nie zwracałem na ten głos wystarczającej uwagi – nie wiem dlaczego – ale teraz próbuję. Kiedy słucham go i postępuję zgodnie z nim, jestem osobą bardziej współczującą, mniej skupioną na sobie, bardziej kochającą. To, mówię Nicowi, jest moja siła wyższa.

Nie zrobiłem na nim większego wrażenia.

– Racjonalizacje – mówi. – Kolejne bzdury. To jedno wielkie kłamstwo.

Psychologowie w Ohlhoff, ludzie, których spotykał podczas mityngów, a teraz personel w tym szpitalu próbowali przekonać go, że nasza siła wyższa może być czymkolwiek, czymś, co sobie wyobrazimy – źródłem wskazującym drogę, które przychodzi z zewnątrz nas samych, gdy poleganie na pokrętnych wskazówkach, dobiegających z naszego własnego, uzależnionego mózgu jest niebezpieczne. „U niektórych to wymaga aktu wiary" – powiedział Nicowi pewien psycholog. – „Musisz uwierzyć, że jest coś gdzieś poza nami – coś, co może pokazać nam drogę, która uratuje nasze życie. Pierwszy krok to szczerość: moje życie wymknęło się spod kontroli. A więc, jakie są twoje wy-

bory? Możesz żyć dalej, jak dotąd albo podporządkować się sile wyższej. Musisz podjąć ryzyko – znaleźć w sobie dość odwagi, aby zdecydować się na skok wiary i zaufać, że jest coś większego od nas samych, co może nam pomóc".

Jeszcze raz jemy na tarasie przed szpitalnym bufetem, gdzie Nic przedstawia nam dwóch znajomych ze szpitala. Mamy wrażenie, jak byśmy już ich znali, ponieważ mamy za sobą grupowe sesje terapeutyczne z udziałem ich żon. James to przyjazny biznesman, przystojny, rudowłosy, piegowaty, o spokojnym sposobie bycia jednej z prawych postaci odgrywanych przez Jimmy'ego Stewarta. Jest uzależniony od vicodinu. Zaczęto mu przepisywać ten środek po operacji kręgosłupa. Zanim zapisał się do programu w Świętej Helenie, połykał do czterdziestu pigułek dziennie. Drugi, współlokator Nica z pokoju, szef kuchni, Stephen, praktykował w kilku z najbardziej renomowanych restauracjach w rejonie Zatoki. Według Nica ten atletycznie zbudowany mężczyzna o piaskowych włosach, nieco sennych niebieskich oczach, nadużywał najróżniejszych narkotyków, ale jest przede wszystkim uzależniony od alkoholu, który prawie zniszczył jego małżeństwo i co najmniej dwukrotnie omal nie zabił jego samego. Choć jest tuż po trzydziestce, zdążył przejść operację wątroby i woreczka żółciowego w następstwie zatrucia alkoholem. Ze zdumieniem dowiadujemy się, ile ma lat. Wygląda, jakby był po pięćdziesiątce.

Siedzimy przy długich stołach razem z nimi i ich żonami. Obie sprawiają wrażenie kobiet dobrych, kochających i skrajnie zmęczonych. Nica, Jamesa i Stephena łączy podobne poczucie humoru oraz pewien rodzaj zażyłości i sympatii dla siebie nawzajem, jakie zwykle pojawiają się po miesiącach albo latach znajomości. W ośrodku rehabilitacyjnym wszystko dzieje się szybciej. Ludzie odsłaniają swoje dusze. Prawdę mówiąc, później Nic opowiada nam, jak wiele to dla niego znaczy, że nawiązał z nimi więź.

– Późnym wieczorem, kiedy wszyscy już śpią, zakradamy się do szpitalnej kuchni – zdradza.

– Czy to dozwolone? – pyta Karen.

– Nikt się nie przejmuje – odpowiada Nic cichym głosem. – Poprzedniej nocy Stephen zrobił zupę z porów i suflet z karczochów. Wczoraj w nocy jedliśmy kurczaka w błękitnym sosie. Byłem pomocnikiem szefa.

Rozmawiamy o wykładach porannych i z ubiegłego tygodnia. Pytam go,

czy zgadza się z tym, że uzależnienie to choroba i że na nią cierpi. Wzrusza ramionami.

– Czasem tak, czasem nie.

– Jeśli w jakimś momencie ten przełącznik został włączony, kiedy to było? – pytam. – W Berkeley?

– O, nie – mówi. – Wcześniej. Znacznie wcześniej.

– Jak bardzo wcześniej? Kiedy upiłeś się nad jeziorem Tahoe? Kiedy pierwszy raz zapaliłeś trawkę?

Po minucie namysłu mówi:

– Może w Paryżu.

Kiwam głową na wspomnienie wrzodu i pytam, co się stało w Paryżu.

Przyznaje, że zajęcia językowe na uniwersytecie nie mogły rywalizować z innymi atrakcjami miasta, w tym ogromnymi ilościami łatwo dostępnego alkoholu. Francuscy kelnerzy nie mieli problemu z podawaniem wina szesnastolatkowi. W rezultacie Nic spędził większość czasu, naśladując swoich wiecznie pijanych bohaterów, tyle że zapomniał o drugiej części ich życia: pisaniu i malowaniu.

– Pewnej nocy byłem tak pijany, że wpełzłem do jakiejś łodzi przywiązanej u nabrzeża Sekwany i straciłem przytomność. Przespałem tam noc i obudziłem się następnego dnia.

– Ktoś mógł cię zamordować.

Mierzy mnie wzrokiem.

– Wiem – mówi posępnie. – Kiedy uciekłem z domu, przemyciłem kilka butelek wina w mojej walizce, ale przetrwały tylko kilka dni. Byłem popieprzony. W Paryżu co wieczór chodziłem do barów i klubów i upijałem się na umór, ale kiedy wróciłem do domu, nadal byłem szesnastoletnim uczniem szkoły średniej, który mieszka z wami. – Patrzy w dół. – To było zbyt dziwaczne. Nie radziłem sobie z alkoholem, więc zacząłem codziennie palić trawkę. To nie było to samo, ale łatwiej było ją dostać.

– A co z twardymi narkotykami? – pytam, niepewny, czy chcę usłyszeć odpowiedź. – Kiedy zacząłeś?

– Pamiętasz, kiedy razem z (tu wymienia imiona chłopców i swojej dziewczyny) wyszedłem z domu tego wieczoru, gdy skończyłem szkołę średnią? – Siedzi, opierając łokcie na stole. – Na imprezie, na którą poszliśmy, było ecstasy. Wziąłem trochę. Odleciałem. Czułem się tak blisko związany z nimi wszystkimi, podczas tych długich, pełnych znaczenia pożegnań. Potem brałem wszystko, cokolwiek udało mi się znaleźć – ecstasy, LSD, grzybki, a potem… – Spogląda w górę. – A potem kryształ. Kiedy go spróbowałem, poczułem się… poczułem się lepiej, niż kiedykolwiek wcześniej w całym życiu.

Jeszcze raz zbieramy się w dużej sali konferencyjnej, pacjenci i członkowie rodzin, na popołudniowej sesji terapii grupowej. Z magazynku wynoszone są kolejne krzesła, aby pomieścić około pięćdziesięciu osób. Krąg się rozszerza w długi, kręty owal dotykający ścian. Sesję prowadzi psycholożka i jak zwykle zaczyna się od przedstawienia się wszystkich obecnych w sali pełnej resentymentu, smutku i gniewu.

– Nie potrafię myśleć o czymkolwiek innym niż o mojej córce. Nie potrafię tego odpuścić. Śnię o tym. Co mogę zrobić? To zawładnęło całym moim życiem. Ludzie mi mówią, żebym sobie dała spokój, ale jak można odpuścić własną córkę? – Kobieta zaczyna płakać. Nie przestaje. Jej córka siedzi obok z kamienną twarzą.

Kiedy przychodzi kolej na nas, Nic mówi:

– Jestem Nic, jestem alkoholikiem i jestem uzależniony od narkotyków.

Słyszałem już wcześniej, jak wypowiada te słowa, podczas innych sesji, tutaj, i w San Francisco, na kilku mityngach AA, na które pojechałem razem z nim, a mimo to nadal przeszywa mnie ból. Mój syn uzależniony od narkotyków, alkoholik. Czuję pewną dumę, gdy słyszę, jak przyznaje się do czegoś, co musi być dla niego niezwykle trudne. Ale czy naprawdę w to wierzy? Ja nie. Nie całkiem.

W porównaniu do ludzi, którzy zbierali się w starym, wiktoriańskim domu w San Francisco, tłum w Świętej Helenie jest lepiej ubrany, choć pewna wiekowa kobieta wygląda, jak gdyby kilka godzin temu leżała nieprzytomna na ulicy. Terapia grupowa zaczyna się od opowiadania własnych historii przez pacjentów i ich rodziny, czasami uzupełnianych przez komentarze na temat postępów innego pacjenta. Wiekowa kobieta mnie szokuje.

– Mam skończone studia. Jestem nauczycielką. Dobrą, jak sądzę – wyjaśnia poważnym głosem. Przerywa i przez chwilę patrzy przed siebie pustym wzrokiem. – Byłam, dobrą. Zanim przyszły speedy.

Podobnie jak ja, krewni uzależnionych wyglądają, jakby jednocześnie mieli nadzieję i kompletnie ją stracili.

Czasami trudno znieść wyczuwalną udrękę przenikającą tę salę. Bez chwili wytchnienia słuchamy, patrzymy na nie, a przede wszystkim czujemy, z przeszywającym serce ukłuciem bólu, opowieści o posępnych kolejach życia osób, których najbliżsi uzależnili się od mety, choć rodzaj „ulubionego narkotyku" rzadko ma tu znaczenie. Metamfetamina, heroina, morfina, klonopin, kokaina, crack, valium, vicodin, alkohol, a także w większości przypadków kombinacje tych wszystkich substancji. Ludzie zgromadzeni w kręgu są różni, a mimo to wszyscy jesteśmy tacy sami. Wszyscy mamy otwarte rany.

Odzywa się Stephen, przyjaciel Nica. Opisuje swój trwający całe życie „taniec" z alkoholem – miał dziesięć lat, kiedy upił się po raz pierwszy. Jego żona płacze.

– Kochamy cię tak bardzo – mówi do Stephena, kiedy przychodzi kolej na nią – ale słyszałam już wcześniej twoje wyrzuty sumienia. Słyszałam twoje obietnice. Nie mogę dalej żyć w ten sposób.

Żona Jamesa opowiada, jak „z osoby, którą szanowałam najbardziej na świecie, mojej bratniej duszy", zamienił się w człowieka owładniętego przez pigułki kosztem całej reszty. „Z kogoś, kto był najczulszy, najlepszy…"

Psycholożka spokojnym, cichy głosem przerywa jej.

– Spróbuj zwrócić się do niego bezpośrednio – mówi. – Rozmawiaj ze swoim mężem.

Patrząc Jamesowi w oczy, jego żona, drżąc, mówi dalej.

– Z człowieka, który był najczulszą, najdelikatniejszą osobą, jaką znałam, stałeś się kimś obcym, wrzeszczącym na mnie, otępiałym, pogrążonym w depresji, nieczułym i niezdolnym do jakiejkolwiek otwartości czy intymności. Ciągle zadaję sobie pytanie…

Zaczyna płakać.

A potem kolejna osoba i jeszcze jedna. Opowiadają swoje historie, zwracają się do swoich ukochanych, przepraszają, krzyczą na nich, płaczą. Nasze

podobieństwa są głębokie. Spędziliśmy całe lata, godząc się, racjonalizując takie zachowania, jakich nigdy nie tolerowalibyśmy u kogoś innego. Ochranialiśmy ich i ukrywaliśmy ich uzależnienie. Mieliśmy do nich żal i odczuwaliśmy z tego powodu poczucie winy. Byliśmy na nich wściekli i z tego powodu też ogarniało nas poczucie winy. Przysięgaliśmy sobie, że nie będziemy dłużej znosić ich okrucieństwa, podstępów, egoizmu i nieodpowiedzialności, a potem wybaczaliśmy im. Obwinialiśmy siebie samych. Zamartwialiśmy się – zamartwialiśmy się bez końca – że oni się zabiją.

W opowieści każdej osoby uzależnionej pojawiają się podobne tematy – wyrzuty sumienia, nieopanowana wściekłość skierowana najczęściej przeciw sobie samemu – oraz poczucie bezradności.

– Myślisz, że ja naprawdę chcę być taki? – wrzeszczy jakiś mężczyzna w twarz swojej roztrzęsionej żonie – Naprawdę? Naprawdę? NIENAWIDZĘ SAMEGO SIEBIE.

Oboje płaczą.

– Jestem taka dumna, że on tutaj jest – mówi jakaś kobieta o swoim mężu uzależnionym od heroiny. – Ale co będzie potem? Jestem przerażona.

Starsza pani, której siostra, prawniczka, jest uzależniona od mety, mówi:

– Już jej nie daję pieniędzy, ale kupuję jedzenie, zawożę do lekarza i płacę za jej leki. Ona nie potrafi przejść na drugą stronę mieszkania do lodówki.

Terapeutka delikatnie ją zachęca.

– Potrafi zdobyć narkotyki, ale nie potrafi dojść do lodówki?

Przerywa jej kolejny rodzic.

– Czułem to samo w stosunku do mojego syna, dopóki nie uświadomiłem sobie, że choć nie jest w stanie pójść do szkoły, do pracy albo na umówione spotkanie z terapeutą, to jednak potrafi dotrzeć do lombardów, znaleźć swoich dilerów, zdobyć każdy narkotyk i alkohol, włamywać się do cudzych domów, zdobywać igły – wszystko, czego mu potrzeba. To jest dość skomplikowany proces przygotować sobie działkę metamfetaminy, ale tak bardzo było mi go żal. Myślałem: ma depresję. Jest taki kruchy. Nie ma siły. Oczywiście, powinienem zapłacić za niego rachunek, kiedy wyląduje w szpitalu. Oczywiście, powinienem płacić za niego czynsz, bo inaczej znajdzie się na ulicy. Więc przez rok płaciłem, żeby miał wygodne miejsce, w którym będzie mógł

się naćpać.

Przystojna kobieta o kasztanowych, krótko obciętych włosach, ubrana w jedwabną bluzkę, rozpinany sweter i wełniane spodnie mówi, że jest lekarką. Smutnym głosem przyznaje, że przez ponad rok przeprowadzała operacje, będąc na haju, pod wpływem mety. Pierwszy raz spróbowała jej na jakimś przyjęciu.

– Poczułam się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu – opowiada. – Poczułam się, jak gdyby nie było dla mnie rzeczy niemożliwych. Za nic nie chciałam stracić tego uczucia. – Kręci głową. – Resztę historii znacie. Wciągałam, żeby móc pracować przez całą noc. Wciągałam, kiedy nie pracowałam. Wiedziałam, że mam problem, ale znalazłam się tutaj jedynie dlatego, że jeden z moich kolegów zagroził, że opowie o wszystkim, jeśli nie spróbuję czegoś zrobić z moim uzależnieniem.

Jakiś pacjent wścieka się na nią.

– Przeprowadzałaś operacje, kiedy byłaś na haju! Powinno się na ciebie donieść. Mogłaś kogoś zabić!

Psycholożka odwraca się do tego pacjenta i nie podnosząc głosu, mówi:

– Czy nie opowiadałeś nam tutaj, że zostałeś zatrzymany za prowadzenie pod wpływem i zasnąłeś za kierownicą? Ty także mogłeś kogoś zabić.

Nie potrafię pojąć niektórych historii. Niewysoka, roztrzęsiona kobieta, która niemal niknie w głębi swojego ogromnego swetra i spodni od dresów, wspomina ostatnie urodziny swojego synka.

– Byłam na cracku. Wyszłam z domu, zostawiłam swojego synka, zostawiłam go z moim mężem. Potrzebowałam cracku. On ma trzy lata.

Inna kobieta o bladej cerze, rzadkich włosach blond i zamglonych złotych oczach opowiada całej grupie, że sędzia wysłał jej męża na ten program jako alternatywę dla pobytu w więzieniu. Jej mąż, zawodowy żołnierz, z krótko ostrzyżonymi włosami, w koszulce z krótkimi rękawami, zapiętej na guziki aż po szyję, siedzi sztywno po jej prawej stronie. Pustym wzrokiem patrzy przed siebie. Kobieta opowiada, że naćpawszy się mety, rzucił się na nią i uderzył jej głową o podłogę. Udało jej się wykręcić 911, zanim straciła przytomność. Później, kiedy przychodzi jego kolej, wojskowy dziękuje Bogu, że sąd pozwolił mu spróbować terapii zamiast więzienia.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że zaatakowałem swoją żonę, którą kocham bardziej niż własne życie – mówi. – Ale teraz rozumiem mój problem. Kończę program w następnym tygodniu i z nadzieją czekam na powrót do domu i początek nowego życia.

Jego żona nadal nie potrafi spojrzeć mu w oczy. Jest przerażona.

A potem zaczyna się przerwa na kawę.

Siedząc w barze, Nic, wskazując wzrokiem na męża tej kobiety, mówi do Karen i do mnie, że jego żona byłaby bezpieczniejsza, gdyby go zamknęli.

– To przerażający skurwysyn – mówi.

Wracamy do sali. Kolejne rozdzierające historie, łzy.

Na zakończenie każdej sesji prowadzący psycholog pyta, czy ktoś ma jeszcze coś do dodania, zanim grupa się rozejdzie. Członkowie rodzin często mówią wtedy, że są bardzo dumni ze swoich ukochanych, i o tym, że widzą wyraźną poprawę. Pacjenci czasami wznoszą okrzyki aprobaty, słysząc niektóre opowieści. Tego dnia w obecności co najmniej pięćdziesięciu osób stłoczonych na krzesłach w krętym owalu ciągnącym się wokół sali Nic podnosi rękę. Zwraca się do żołnierza, który zaatakował swoją żonę:

– Przykro mi, ale muszę ci coś powiedzieć, Kevin, ponieważ, jak powiedziałeś, masz stąd wyjść w następnym tygodniu. – Nic patrzy na niego przez całą salę. – Odkąd się tu znalazłem, uczestniczyłem razem z tobą w sesjach grupowych i wydawało mi się, że wszyscy pozostali są szczerzy i otwarci, autentycznie próbują się czegoś dowiedzieć o swoim uzależnieniu, ale nie widziałem żadnych oznak, że załapałeś, o co w tym wszystkim chodzi. Ten program wymaga pokory, a ty jesteś arogancki. Nie wydaje mi się, żebyś naprawdę zrozumiał i potrafił się do tego przyznać, że jesteś bezradny wobec swojego uzależnienia. Nieustannie przerywasz innym ludziom. Mówisz dużo, ale nie słuchasz.

A potem Nic odwraca się do żony tego mężczyzny. Z jej szeroko otwartych oczu płyną łzy. Cała się trzęsie jak przerażone zwierzę. Nic zwraca się do niej.

– Mówię to ze względu na ciebie, ponieważ boję się, że Kevin potrzebuje więcej czasu, zanim będzie mógł wrócić do domu. Nie chcę, żeby coś ci się stało – wyznaje.

Wszyscy milczą, nawet psycholożka. Wojskowy wygląda, jakby miał ochotę rzucić się na Nica. A potem wszyscy spoglądamy na jego żonę. Z trudem łapie powietrze, wśród łkań, które wstrząsają jej całym ciałem. W końcu, przez łzy, zaczyna mówić, zbierając się w sobie, siada prosto i zwraca się do Nica.

– Dziękuje ci – mówi. – Wiem, nie ufam mu.

Jakaś kobieta siedząca obok niej obejmuje ją ramieniem.

Kobieta zwraca się do swojego męża i ostrym, dzikim głosem rzuca mu w twarz:

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek dotkniesz mnie albo dzieci… – Nie potrafi dokończyć zdania. Jej krzyk przechodzi w łkanie.

Wojskowy patrzy na swoją żonę. Na jego twarzy nie widać poczucia winy, miłości ani smutku. Wydaje się, że czuje się zraniony, jest zakłopotany i wściekły. Siedzi wyprostowany, rzucając szybkie spojrzenia po całej sali.

Wreszcie odzywa się psycholożka, zamykając sesję. Dziękuje wszystkim, którzy podzielili się swoimi opowieściami, i zwalnia nas do domu. Żona Kevina nagle podrywa się i biegnie przez całą salę. Nadal łkając, obejmuje Nica, żeby mu podziękować.

Jej mąż, siedzący bez ruchu na swoim krześle, patrzy groźnie z drugiej strony sali.

Kiedy wychodzimy, Karen szepce do Nica:

– Uważaj na siebie.

Rozdział 14

Pacjenci uczestniczący w programie prowadzą dzienniki i Nic pokazuje nam swoje wpisy: „Jak, do diabła, się tu znalazłem? Wydaje się, że jeszcze tak niedawno byłem w tej cholernej drużynie waterpolo. Byłem redaktorem szkolnej gazetki, grałem w wiosennym przedstawieniu teatralnym, obsesyjnie myślałem o dziewczynach, które mi się podobały, rozmawiałem z kolegami o Marksie i Dostojewskim. Dzieciaki z mojej klasy są teraz w college'u. To jest nie tyle smutne, ile dezorientujące. Wtedy to wszystko wydawało się takie pozytywne i niegroźne".

To trzeci weekend Nica w szpitalu i jestem tu z powodu kolejnej wizyty rodzinnej. Po swojej porannej sesji terapii grupowej Nic wychodzi na dzienną przepustkę. Zabieram go do zajazdu, gdzie tym razem się zatrzymaliśmy.

Nic jest otwarty i ożywiony, mówi nawet o swojej wdzięczności, że ma kolejną szansę i może przejść przez ten program. Mam wrażenie, że mówi szczerze. Po czym porusza nowy temat. Chce się dowiedzieć, czy studia w college'u nadal wchodzą w grę. Wie, że popełnił straszne błędy, ale zrobi wszystko, co w jego mocy, aby mimo to pojechać do Hampshire. Jest podekscytowany myślą o uniwersytecie. Ponieważ rozumie, że ma problem z narkotykami, obiecuje, że będzie chodził regularnie na spotkania AA i pracował ze swoim sponsorem. Dowiedział się, że wiele college'ów ma akademiki, w których nie wolno niczego zażywać, więc poprosi o miejsce w jednym z nich. Rozumie, że powrót do brania będzie oznaczał, że zrealizuję swoją groźbę i wycofam finansowe wsparcie, a wtedy wyleci z college'u i będzie musiał sam się utrzymywać.

W samochodzie, w drodze do zajazdu na spotkanie z Karen, Jasperem i Daisy, wyjaśnia, jak się stało, że zmienił zdanie. Na sesjach terapeutycznych inni członkowie jego grupy słyszeli, że rodzice chcą wysłać go do college'u, i mocno na niego naparli. Ogólny nastrój podsumował pewien mężczyzna, który z powodu picia i zażywania narkotyków stracił kontakt z rodzicami i rodzeństwem.

– Czy ty, kurwa, rozstałeś się z rozumem? – wrzeszczał na Nica. – Masz rodziców? Oni cię kochają! Nadal chcą cię wysłać na uniwersytet? Idź na studia. Nie bądź pieprzonym idiotą. Ja zrobiłbym teraz wszystko za szansę studiowania w college'u.

Zastanawiam się nad pytaniem Nica.

– Karen i ja porozmawiamy o tym – mówię. – Porozmawiam z twoją mamą. Będziemy musieli zawrzeć jasną umowę. Myślę, że to może wypalić, jeśli naprawdę tego chcesz, i myślę, że może ci się to udać. – Nadal fantazjuję, że wszystko będzie dobrze. Nic zachowa trzeźwość. Rozumie swój problem. Dzięki Bogu nie zaszkodził sobie bardziej – swojemu ciału, mózgowi – nie zniszczył swoich szans na przyszłość. Nadal może pójść do college'u, zrobić dyplom, dostać dobrą pracę, mieć bliskie związki z innymi… Wszystko będzie dobrze.

Podjeżdżam pod zajazd, jakąś zaniedbaną budowlę, porośniętą dzikim winem, z popękanym basenem, kortem tenisowym, po terenie snują się jakieś stare konie. Nic zaczyna się denerwować, gdy przejeżdżamy przez bramę. To będzie jego pierwsze spotkanie z Jasperem i Daisy, odkąd znalazł się w Ohlhoff, prawie trzy miesiące temu.

Jest wyraźnie zachwycony na widok Jaspera i Daisy, a dzieciaki, mimo swojej początkowej nieufności – kiedy ostatni raz go widziały, właśnie przestał brać, miał zjazd, a do tego był przygnębiony i wściekły, że musi jechać do Ohlhoff – także cieszą się z tego spotkania. Nic bawi się z nimi w lodowato zimnej wodzie, potem odbijają, tam i z powrotem, piłki tenisowe. Siedzę na piknikowej ławeczce w altanie pod zwisającą winoroślą i przyglądam się, jak dołącza do nich Karen i we czwórkę grają w krokieta. Kiedy odbijają piłki, Nic pyta dzieciaki o szkołę, o ich przyjaciół, opowiada historyjki o kocie, który mieszka na terenie szpitala. Kiedy muszę odwieźć go z powrotem do szpitala, Jasper i Daisy wydają się zakłopotani. Nadal staramy się im wyjaśniać, najlepiej jak możemy, co się dzieje z Nikiem, ale z ich punktu widzenia wygląda świetnie. Nie rozumieją, dlaczego nie może po prostu wrócić razem z nami do domu.

W drodze powrotnej do szpitala Nic opowiada mi o dwu innych, ważnych wydarzeniach z tego tygodnia. Pierwsze jest przygnębiające. Stephen porzucił program – po prostu pewnego dnia, koło południa, bezceremonialnie wyszedł ze szpitala i poszedł długą drogą biegnącą do Calistoga. Później dowiedzieli się, że natychmiast popłynął w jakimś barze. Nic opowiada o tym ze smutkiem, ale nie jest zaskoczony.

– Na pierwszy rzut oka wydawało się, że naprawdę mu zależy na zachowaniu trzeźwości – mówi. – Wiedział, że ryzykuje utratę żony i tego wspaniałe-

go dziecka. Ale nigdy nie potraktował tego poważnie. O swoje problemy obwiniał żonę i rodziców. Obwiniał wszystkich, oprócz siebie samego. Nigdy nie pojął, o co tu chodzi.

Jeszcze trudniej uwierzyć w jego drugą wiadomość. Kiedy ktoś dociera do końca dwudziestoośmiodniowego programu, odbywa się ceremonia pożegnalna w gronie pacjentów. Absolwent prosi wtedy jakiegoś innego pacjenta, aby „wstał" i powiedział parę słów na pożegnanie, wysyłając go albo ją w świat. Te uroczystości mają wesprzeć osobę kończącą program, dodać jej sił i natchnąć świeżo przybyłych.

Tego ranka, gdy Kevin, zawodowy żołnierz, miał kończyć swój program, podszedł do Nica.

– Jesteś odważnym sukinsynem – powiedział. – Muszę ci to przyznać. – A potem, kompletnie zaskakując Nica, poprosił, aby pożegnał go podczas jego uroczystości pożegnalnej. – Szanuję cię. Obserwowałem cię i wiem, że z nas wszystkich tobie się uda. Jesteś dość młody, nie spieprzyłeś jeszcze swojego życia za bardzo. Masz kochającą rodzinę. Jesteś cholernie bystry. Chcę, żeby mi się udało, bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zamierzam udowodnić, że się mylisz. Pokażę, że mi się uda.

Nic zgodził się.

– Więc wstałem i powiedziałem do niego kilka słów na pożegnanie. Powiedziałem, że mam nadzieję i modlę się o to, żeby mu się udało, że będzie pracował zgodnie ze swoim programem. Powiedziałem, że mam nadzieję, że tak będzie, dla niego i dla jego żony i dzieci. Później patrzyłem, jak odchodzą: on i jego żona. Oboje uściskali mnie na pożegnanie. Kiedy odchodzili, trzymali się za ręce.

Tydzień później jestem cały w nerwach, gdy odbieram Nica po jego własnej ceremonii pożegnalnej. Jedziemy z opuszczonymi szybami, powietrze jest ciepłe. Nic z radością mówi o przyszłości. Jego optymizm nie tylko słychać w trzeźwym głosie, ale także widać w mowie ciała i w oczach, w których znowu jest światło. Jest pewny siebie i silny. Mówi, że zdecydowanie pragnie trzymać się z daleka od narkotyków. Podzielam jego nadzieję, ale wiem, że o wiele łatwiej zachować trzeźwość w bezpiecznym, uporządkowanym świecie terapii odwykowej, więc moja nadzieja jest nieco ostrożniejsza. Po-

trzebuję wiary, że wszystko potoczy się dobrze, a jednocześnie nie jestem w stanie uwierzyć, że tak właśnie będzie.

W domu jest teraz łatwiej, choć od czasu do czasu pojawiają się napięcia. Martwię się, gdy Nic wyjeżdża na spotkania AA. Martwię się, gdy wydaje się rozkojarzony albo przygnębiony. Martwię się, gdy w sierpniu nadchodzi pora odjazdu do college'u, tym razem położonego trzy tysiące mil stąd.

Hampshire College leży na terenie dawnego sadu jabłoni, dzięki czemu zachowuje nastrój farmy. College oferuje imponujący program pobudzających intelektualnie zajęć z przedmiotów humanistycznych oraz setki kursów głównych i pobocznych. Jakby tego było mało, Hampshire wchodzi w skład konsorcjum pięciu college'ów, obejmującego poza tym Uniwersytet Massachusetts, Amherst College, Smith oraz Mount Holyoke. Może więc wybierać kursy oferowane na pozostałych kampusach. Dojazd zapewnia krążący między nimi autobus.

Razem z Karen lecimy z Nikiem na wschód, żeby pomóc mu zainstalować się w nowym miejscu i przygotować na początek zajęć. Jemy w hinduskiej restauracji, którą odkryliśmy ponad rok temu, podczas naszego objazdu uniwersytetów.

– Na światłach skręćcie w prawą! – wrzeszczy Nic. – W prawo, w prawo, w prawo!

Rankiem jedziemy na kampus. Jest ciepło i słonecznie. Rodziny wysadzają swoje dzieci przed różnymi akademikami, podjeżdżają vany, kombi, w jednym przypadku limuzyna wyładowana walizkami, kuframi, do tego dochodzi system stereo, zestaw perkusyjny i kilka komputerów.

Pokój Nica w akademiku dla zachowujących trzeźwość jest niewielki, ale wygodny. Po wstawieniu jego walizek idziemy szlakiem wyznaczonym przez strzałki w stronę centrum kampusu na powitalne barbecue. Razem z Karen przyglądamy się nadchodzącym studentom pierwszego roku, wypatrując potencjalnych dilerów narkotykowych.

Pod koniec posiłku dziekani wydziałów przemawiają do zgromadzonych rodzin. Potem wyszukuję opiekunkę studentów i pytam ją o sprawę narkotyków w kampusie. Wyjaśniam, że mój syn niedawno przeszedł dwa turnusy terapii odwykowej. Przyznaje, że marihuana jest obecna wszędzie, ale zwraca moją uwagę na to, co oczywiste. „Narkotyki są wszechobecne w każdym

kampusie uniwersyteckim w Ameryce, w każdym mieście, więc młody człowiek musi nauczyć się żyć wśród nich".

Opiekunka studentów kieruje mnie w stronę innej kobiety, która jest szefem służb medycznych college'u. Podaje mi swoje imię i numer telefonu i mówi, że pomoże Nicowi, jak tylko będzie mogła. Zaprowadzi go na spotkania programu dwunastu kroków i przedstawi innym studentom wychodzącym z podobnych problemów. „On nie jest jedyny" – mówi. – „Oferujemy tu mnóstwo wsparcia dla osób, które tego pragną".

– Hej, tato – słyszę głos Nica w telefonie po powrocie do Kalifornii. – To ja.

Dzwoni ze swojego akademika. Kiedy mówi, wyobrażam sobie, że ma na sobie jakiś znoszony T-shirt, obwisłe, brudne spodnie oraz czarny pas z metalowymi ćwiekami, przytrzymujący je na biodrach, a także sportowe buty. Wyobrażam sobie jego długie, kręcone włosy odsunięte z czoła. Nic wydaje się podekscytowany swoją nową szkołą. Tym razem jestem pełen nadziei, tak samo jak poprzednio, i już po skończonej rozmowie dalej snuję swoją akademicką fantazję. Widzę go, jak idzie na zajęcia z plecakiem przewieszonym przez ramię. Słyszę jego głos, kiedy uczestniczy w dyskusjach o dialektycznym imperializmie, Nietzschem, Kancie, Prouście.

Miesiąc później brzmi w porządku, ale wyczuwam w jego oddechu nerwowość. Zanim odkłada słuchawkę, słyszę westchnienie. Wiem, że mu niełatwo. Nic jeszcze raz próbuje, czy mu wyjdzie z college'em.

Oprócz zajęć ma regularne sesje z psychologiem zajmującym się problemami z narkotykami i alkoholem, zaleconym przez uniwersytet. Tak jak się umówiliśmy, chodzi na spotkania AA i znajduje sponsora, studenta robiącego dyplom na Uniwersytecie Massachusetts, który w sobotni poranek przyjmuje w swoim domu grupę studentów na ciasteczka, kawę i rozmowy.

Nic regularnie opowiada o sobie i ciężar leżący mi na piersi nieco słabnie. W miarę, jak wszystko wydaje się wracać do normy, opowiada mi nieco więcej o swoich nauczycielach, o nowych przyjaciołach. Mówi o mityngach AA i NA, na które chodzi w tygodniu.

Miesiąc później nagle przestaje oddzwaniać. Rozumiem, że znowu zaczął brać. Mimo swoich zapewnień, a także (choć nie jestem tego pewien) dobrych intencji i mimo że miał pokój w akademiku wolnym od substancji odu-

rzających, który jak twierdził Nic, poirytowany, wcale taki nie był. Nic mówił, że w piątkowe i sobotnie wieczory z innych pokojów dobiegały odgłosy zataczania się, potykania się, przewracania i wymiotowania. Nie miał więc większych szans.

To było ryzykowne posunięcie, wysłanie go na studia zaraz po zakończeniu terapii odwykowej. Ale wszyscy, w tym jego psychologowie ze szpitala Świętej Heleny, odnosili się do tego planu z entuzjazmem, ponieważ Nic tak przekonująco opowiadał, jak bardzo mu na tym zależy.

Proszę swojego przyjaciela, który ma odwiedzić Amherst, żeby sprawdził, co się z nim dzieje. Okazuje się, że Nic, który zaszył się w swoim pokoju, jest ewidentnie na haju.

Przygotowuję się do realizacji swojej groźby wycofania mojego poparcia, ale najpierw dzwonię do Hampshire, żeby porozmawiać z doradczynią do spraw zdrowotnych. Wyobrażam sobie, jak siedzi przy swoim biurku, w gabinecie słychać odgłosy kaloryfera, za oknem wirują płatki śniegu.

Mówię jej, że Nic znowu zaczął brać, ale kiedy wypowiadam te słowa, kobieta mnie zaskakuje. Doradza cierpliwość, twierdzi, że często „nawrót jest elementem dochodzenia do zdrowia".

To myśl sprzeczna z intuicją. Zupełnie jakby powiedzieć, że katastrofa lotnicza jest dobrym elementem treningu pilota. W Ohlhoff i w Świętej Helenie słyszałem, że uzależnionym może być trudniej wrócić do trzeźwości po kolejnych nawrotach, ze względu na postępującą naturę choroby. Niemniej chory może potrzebować, i zwykle tak się dzieje, dużo czasu i wielu błędów, zanim zrozumie złowrogą siłę uzależnienia, a w dodatku pojmie, jak łatwo znowu zacząć brać. Ale nawet jeśli o tym słyszałem, jeszcze nie przetrawiłem straszliwej natury tej choroby, w tym także jej chroniczności. A jednocześnie nie do końca jeszcze zrozumiałem, że niepowodzenie, a nawet seria niepowodzeń, może prowadzić do sukcesu.

„O ile jest prawdą, że wśród osób ciężko uzależnionych zdarzają się tacy, którzy po jednym programie terapeutycznym nieprzerwanie zachowują trzeźwość, większość wielokrotnie wraca do narkotyku, podobnie jak niektórzy palacze potrzebują wielu prób, aby rzucić papierosy, a niektóre osoby na diecie wielokrotnie próbują schudnąć", powiedział doktor Rawson. „Leczenie stara się za tobą nadążyć", mówi Douglas Anglin, dyrektor Ośrodka Badań nad Zażywaniem Narkotyków w UCLA, w wywiadzie przeprowadzo-

nym przez Peggy Ornstein przy okazji artykułu o terapii dla „New York Times Magazine". „W przypadku osób zażywających heroinę, o pięcioletnim stażu narkotykowym, potrzeba czasem od dziesięciu do piętnastu lat, zanim uda się im pomóc wyjść z uzależnienia, ale jeśli zaczniemy, kiedy mają dwadzieścia pięć lat, gdy dochodzą do czterdziestki, mogą być już mniej więcej wyleczeni. Jeśli tego nie zrobimy, większość z nich wypali się przed czterdziestką".

To nie brzmi pocieszająco. Ale jeśli leczenie uzależnienia pojmuje się raczej jako proces ciągły niż terapię jednostkową, wyłania się inne, bardziej optymistyczne – i znacznie bardziej realistyczne – rozumienie sukcesu. Według Narodowego Studium Oceny Terapii (National Treatment Improvement Evaluation Study), chociaż zdarza się, że uzależnieni wracają do narkotyków w ciągu pierwszego roku po skończeniu terapii odwykowej, spożycie narkotyków spada u nich o pięćdziesiąt procent, a podejmowanie działań niezgodnych z prawem o osiemdziesiąt procent. Ze znacznie mniejszym prawdopodobieństwem niż poprzednio angażują się także w obdarzone wysokim ryzykiem zachowania seksualne albo wymagają pomocy w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Inne studia pokazały, że rzadziej są na zasiłku dla bezrobotnych i poprawia się ogólny poziom ich zdrowia psychicznego.

Jednak każdy powrót do brania narkotyków jest potencjalnie zabójczy. To mało pocieszający – i przerażający – fakt, że uzależniony rzeczywiście może nawet po nawrocie zachować trzeźwość, o ile nie umrze.

Pod wpływem zachęt mojego przyjaciela Nic dzwoni. Przyznaje, że „spieprzył sprawę" i obiecuje, że przestanie brać.

– Nic… – Słyszę ton swojego głosu, ten poważny, karcący, rozczarowany, ojcowski ton, i czuję, jak on natychmiast przybiera postawę obronną.

– Nie mów, wiem – przerywa. – Musiałem przez to przejść, nauczyć się czegoś.

Czekanie jest trudne, zwłaszcza gdy on jest na drugim wybrzeżu, ale wiem, że to będzie znaczący krok, jeśli zdoła wyciągnąć się z nawrotu bez mojej pomocy i ciągania go na kolejną terapię.

Często nawrót jest elementem dochodzenia do zdrowia. Powtarzam to sobie raz po raz, obracam w głowie i czekam.

Nic pozostaje w kontakcie i przyjeżdża do domu na przerwę zimową. Wizyta przebiega bez zgrzytów. Wydaje się, że radzi sobie znacznie lepiej. Po prostu noga mu się powinęła, to wszystko. Często nawrót jest elementem dochodzenia do zdrowia. Wybiela teraz włosy cloroxem i przy okazji poparzył sobie skórę, ale wydaje się, że poza tym jest w porządku.

Wraca do Hampshire na semestr wiosenny i pewnego wieczoru podczas rozmowy telefonicznej opowiada mi, że jest strasznie podekscytowany zajęciami z pisania, prowadzonymi przez znanego autora i nauczyciela uwielbianego przez studentów.

– To praktycznie niemożliwe, żeby student pierwszego albo drugiego roku dostał się na jego zajęcia, ale zamierzam spróbować – opowiada. – Napisałem opowiadanie – siedziałem nad nim przez całą noc – i zaniosłem. Profesor ma wywiesić w piątek na drzwiach swojego gabinetu listę studentów, których przyjął na zajęcia.

Późnym piątkowym popołudniem Nic dzwoni wniebowzięty: jego imię znalazło się na liście, sporządzonej na maszynie, choć przy jego nazwisku znalazła się gwiazdka odsyłająca do przypisu umieszczonego u doły strony. Przypis brzmiał: „Proszę przyjść do mnie na spotkanie".

Natychmiast poszedł do gabinetu profesora. Był cały w nerwach – „miałem tremę" – kiedy usiadł przy biurku naprzeciw nauczyciela, który bez zbędnych wstępów spytał, czy jest uzależniony. Profesor podejrzewał, że tak jest ze względu na temat tekstu przedstawionego przez Nica, który opisał w nim, zmienione na potrzeby fikcji literackiej, niektóre z najbardziej pamiętnych postaci, jakie spotkał w Ohlhoff Recovery oraz w Świętej Helenie.

Nic przyznał, że jest osobą uzależnioną w procesie dochodzenia do zdrowia.

– A zatem, to jest tak – powiedział profesor. – Jeśli zachowasz trzeźwość, będę z tobą pracował i pomogę ci pisać. Jeśli nie, wylecisz. Wszystko zależy od ciebie.

W poniedziałek Nic pokazuje się na zajęciach i ściska dłoń swojego nowego nauczyciela.

Na podstawie jego telefonicznych opowieści odnoszę wrażenie, że jest całkowicie pochłonięty przez te i pozostałe zajęcia. Wydaje się, że jest stabilny,

chodzi regularnie na mityngi programu dwunastu kroków i pracuje ze swoim sponsorem. Wygląda, jak gdyby nadal świetnie sobie radził na zajęciach, a do tego jest zakochany w pewnej dziewczynie, która podwozi go na mityngi.

Pod koniec zimy jadę do Bostonu. Nic oraz Julia, jego dziewczyna, przyjeżdżają z Amherst zjeść ze mną kolację. Pada śnieg, gdy wieczorem podjeżdżają do mojego hotelu w Cambridge, zakutani w grube kurtki i szaliki.

Przechodzimy przez Harvard Square, szukając baru sushi. Oboje idą równym krokiem, spleceni ze sobą, mocno trzymając się za ręce. Jemy kolacje we trójkę, a potem idziemy na spacer. Opowiadają o książkach – Heglu, Marksie, Tomaszu Mannie – polityce i filmach. Nic pokonuje nas w grze w „Sześć stopni od Kevina Bacona", choć Julia prawie go załatwia, wybierając, kto by pomyślał, Hulka Hogana. Mimo to udało mu się w pięciu albo sześciu ruchach.

– Dobra – mówi podekscytowany wyzwaniem. – A więc w *Rocky IV* grał z Sylvestrem Stallone, który w *Copland* grał z Rayem Liottą, który w *Na tropie zła* grał z Jasonem Patrickiem, który w *Straconych chłopcach* grał z Kieferem Sutherlandem. – Nic uśmiecha się szeroko zadowolony. – A Kiefer Sutherland grał w *Linii życia* z Kevinem Baconem.

Pojechałem do Bostonu w towarzystwie bliskiego przyjaciela naszej rodziny, jednego z bohaterów książki, którą właśnie piszę, mieszkającego i pracującego w Szanghaju. Cała nasza trójka spotyka się z nim na kawie. Nic i Julia robią wrażenie na moim przyjacielu i przed odjazdem dwójki studentów do Amherst pyta, czy interesowałoby ich lato spędzone w Chinach. Może im pomóc w znalezieniu pracy nauczycieli angielskiego, mogą też pracować jako wolontariusze, prawdopodobnie w przedszkolu. Ma nawet miejsce, gdzie mogliby się zatrzymać. Oboje przyjmują pomysł z entuzjazmem. Są wdzięczni. Ja także w drodze powrotnej do domu czuję uniesienie. Nic naprawdę zaczyna nowe życie. Zostawił swój narkotykowy problem za sobą.

Rok akademicki dobiega końca i zaczyna się planowanie wyprawy do Chin. Po przepracowaniu sześciu tygodni w Szanghaju oboje mają pojechać do prowincji Yunnan i do Tybetu. Wcześniej, pod koniec maja, on przyjedzie do domu i poszuka jakiejś pracy, żeby zarobić trochę pieniędzy na wyprawę. Potem dojedzie Julia i wspólnie polecą do Chin. Nic wydaje się za-

chwycony całym pomysłem i powrotem do domu – przede wszystkim tym, że zobaczy Jaspera i Daisy. Oni także nie mogą się doczekać. Z powrotem Nica do domu wiąże się pewien niepokój, ale także obietnica, dlatego jesteśmy zdruzgotani, gdy wyznaje prawdę: brał narkotyki przez cały semestr i zażywa je, odkąd wrócił do domu.

Wyjeżdża, trzaskając drzwiami na pożegnanie. Jestem jak ogłuszony. Nie, myślę. Nie, nie, nie! Kiedy po lekcjach Jasper i Daisy wpadają do domu i nie mogą nigdzie znaleźć brata, pytają:

– Gdzie jest Nic?

– Nie wiem – odpowiadam. Nie potrafię powstrzymać łez.

Po odjeździe Nica zapadam się w dobrze znany, aż do mdłości, stan udręki i rozbicia, przerywany atakami paraliżującej paniki – czuję każdą minutę jego nieobecności.

Rankiem przecinające się belki poniżej świetlika rzucają podłużne cienie na blaty w kuchni. Siedzę w salonie przy oknie, czytając w kółko pierwszy akapit jakiegoś artykułu, gdy do salonu wchodzi Jasper, prosto z łóżka, ze zmierzwionymi włosami, trzymając w ręku atłasowe pudełko, w którym przechowuje swoje oszczędności, w wysokości ośmiu dolarów. Wydaje się zdezorientowany.

– Chyba Nic zabrał moje pieniądze – mówi.

Patrzę na Jaspera, na jego coraz silniejsze ciało, i widzę oczy, w których maluje się niezrozumienie. Wyciągam ramiona, żeby mógł usiąść mi na kolanach. Jak mam wyjaśnić ośmiolatkowi, że jego ukochany starszy brat go okradł?

Część IV

Gdyby tylko

Pijaństwo – ta zajadła pasja do zażywania powolnej, ale pewnej trucizny, która nie baczy na żadne względy: odsuwa na bok żonę, dzieci, przyjaciół, szczęście i pozycję. W szale popędza swoje ofiary ku degradacji i śmierci.

Charles Dickens, *Sketches by Boz*

teraz już lepiej, śmierć jest bliżej,
nie muszę już na nią czekać,
nie muszę już jej się opierać,
kusić jej, bawić się z nią,
już jest tutaj, obok mnie,
jak domowy kot
albo kalendarz na ścianie

Charles Bukowski *thoughts on being 71*

Rozdział 15

Pod koniec maja, w środowy wieczór, razem z Karen zatrudniamy opiekunkę do dzieci. Wychodzimy. Kolejna randka poświęcona nałogowi Nica.

Z ociąganiem jedziemy do Novato, rolniczego miasteczka na północnym skraju Marin, na spotkanie Al-Anonu. Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę się kiedyś na którymś z tych wieczornych spotkań. Podobnie jak mityngi AA, odbywają się w piwnicach kościołów, bibliotekach i ośrodkach życia społecznego w całym kraju. Jestem raczej osobny niż grupowy. I jeśli mogę, unikam spotkań, na których zachęca się uczestników do publicznego opowiadania o swoich uczuciach. A jednak tu jestem.

Przez dłuższy czas trzymałem nasz rodzinny problem w sekrecie. Nie dlatego, żebym się wstydził. Chciałem ochronić Nica – ocalić dobre wyobrażenie, jakie mieli o nim nasi przyjaciele i znajomi. A jednak z czasem przekonałem się o prawdziwości jednej z maksym ruchu AA: jesteś tak samo chory, jak twoje sekrety. Przekonałem się, jak bardzo mi pomaga opowiadanie o uzależnieniu mojego syna i zastanawianie się nad jego historią, a także wysłuchiwanie i czytanie opowieści innych osób. Większość psychologów na sesjach, na które chodziliśmy z Karen, doradzała nam udział w spotkaniach Al-Anonu. Musiało jednak upłynąć trochę czasu, zanim tu trafiliśmy.

Spotkanie odbywa się w jakimś obskurnym pomieszczeniu, kilkanaście osób siedzi na plastikowych krzesełkach ustawionych w kręgu. Kolejny krąg. Dostajemy kawę marki Folgers i pączki z cukrem pudrem. Nad naszymi głowami migają i syczą jarzeniowe światła, w rogu brzęczy chwiejnie poruszający się wentylator. Zaczyna się spotkanie, zgodnie z ustalonym porządkiem. Leją się banały, jedne bardziej denerwujące, inne mniej. Wygląda na to, że ruch Al-Anon, podobnie jak AA, opiera się na tych zdartych formułach. Mówią: „Odpuść sobie i wpuść Boga". Albo te trzy zasady, które mają mi pomóc, nawet jeśli nie potrafię w nie uwierzyć. „Nie spowodowałeś tego, nie możesz nad tym zapanować i nie możesz tego uleczyć". Ale cokolwiek by mówili, jakaś część mojej osoby uważa, że to moja wina. Mnie było łatwo skończyć z narkotykami, ale Nic tego nie potrafi. Może sam go zachęciłem, skoro z jednej strony, jak hipokryta, ostrzegałem go przed narkotykami, a z drugiej – dawałem mu na nie milczące przyzwolenie? Ze zgrozą patrzę teraz na te chwile, kiedy paliłem razem z nim. Osoby uzależnione chcą kogoś winić i za-

wsze znajdą wokół siebie wielu chętnych, żeby przyjąć winę na siebie. Cokolwiek zrobiłem, wynikało to z mojej naiwności i głupoty, a także z mojej niedojrzałości, ale to nie ma znaczenia. Inni ludzie mogą mnie potępiać. Mogą mnie krytykować. Mogą mnie winić. Nic może mnie winić. Ale cokolwiek inni zrobią albo powiedzą w tej sprawie, nie będzie to gorsze od tego, w jaki sposób sam o sobie myślę każdego dnia. „Nie ty to spowodowałeś". Nie wierzę.

Na spotkaniu początkowo ogarnia mnie protekcjonalne poczucie wyższości. Rozglądam się wokół z uczuciem odrębności, niemal graniczącym z odrazą, i myślę, co ja tu robię. Wśród tych kobiet z farbowanymi włosami, ubranymi w spodniumy, i otyłych facetów w zapiętych pod szyję koszulach z krótkimi rękawami i w drelichowych spodniach? Ale kiedy wychodzę z tej sali, czuję już swoje pokrewieństwo z nimi wszystkimi – rodzicami i dziećmi, żonami, mężami, kochankami, braćmi i siostrami osób uzależnionych od narkotyków. Serce pęka mi z żalu nad nimi.

Sam jestem jednym z nich.

Nie mam zamiaru się odzywać, ale w końcu zaczynam mówić.

– Mój syn zniknął – opowiadam. – Nie wiem, gdzie jest.

Łzy. Nie potrafię wykrztusić z sobie kolejnego słowa. Jestem strasznie zawstydzony tym publicznym występem, ale jednocześnie odczuwam ogromną ulgę.

Pod koniec spotkania powtarzają modlitwę o pogodę ducha: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego".

Błagam, błagam, błagam, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.

Powtarzam w duchu te słowa.

Na zakończenie skandują „Wracajcie tu".

I wracam. Tym razem spotkanie jest w bardziej eleganckiej okolicy. Kawa jest lepsza. Od Peeta. Jest też, nareszcie, zabawna historia. Jakiś człowiek w brzoskwiniowej wiatrówce opowiada, że aby trzymać swoje lekarstwa – sil-

ne antydepresanty, betablokery, pigułki na wysokie ciśnienie, pigułki nasenne, viagrę – z dala od rąk syna, zebrał je wszystkie w jednej, dobrze ukrytej butelce. Zebrani w sali kiwają ze zrozumieniem głowami: wiemy, co to znaczy chować leki (i alkohol) przed naszymi bliskimi.

Pewnego dnia, opowiada dalej mężczyzna, wybiegał z domu w pośpiechu, bo miał prezentację, i wyjął betabloker z butelki. To znaczy, chciał wyjąć. Ale zamiast tego połknął viagrę. Zaczęła działać, kiedy właśnie stanął przed grupą ludzi. Nie było tam żadnej mównicy, za którą mógłby się schować.

Radość się ulatnia, kiedy jakaś bardzo nieśmiała kobieta, która wspomina coś o swojej „praktyce", więc może jest adwokatką albo lekarką, opowiada nam łamiącym się głosem, że kilka dni temu chciała się zabić. Jest blada, prawie zielona, nie ma makijażu, suche nieuczesane włosy, oczy znękane brakiem snu. Opowiada, że pojechała w okolice Golden Gate i zaparkowała. A potem wyszła z samochodu na most.

– Uderzył mnie wiatr, łzy ciekły mi po twarzy – opowiada – i spojrzałam w dół, na wodę. Powinnam się wdrapać na ogrodzenie, a za nim była siatka. Siatkę także musiałabym jakoś sforsować. Uznałam wtedy, że łatwiej będzie z bronią. Mój ojciec ma broń. Trzyma ją zamkniętą w komódce koło swojego łóżka, w domu moich rodziców. Mam klucz. I do domu, i do komódki. Rewolwerem będzie szybciej. I nie tak zimno.

Zawróciła z powrotem do miejsca, gdzie postawiła samochód, ale nie mogła go znaleźć. Pomyślała, że zapomniała, gdzie go zaparkowała. Rozglądała się dookoła wiele razy, ale jej samochód zniknął. I wtedy dostrzegła znak drogowy. Zaparkowała w miejscu, gdzie nie wolno parkować. Samochód odholowano.

– To było takie chore, że zaczęłam się śmiać – powiedziała. – Śmiałam się i płakałam jednocześnie. I wtedy do mnie dotarło, że przecież nie mogę odebrać sobie życia, jeśli wciąż jeszcze potrafię się śmiać.

Łzy płyną jej po policzkach i my płaczemy razem z nią.

Znowu jestem w Novato, na kolejnym spotkaniu w kościele. Rozpoznaję już wiele osób. Ściskamy się na powitanie. W innych miejscach ludzie pytają, jak się czuję. Tutaj wiedzą.

Jakaś kobieta, kiwając się leciutko w swoim krześle, zaczyna mówić. Sie-

dzę zgarbiony na szarym, metalowym krzesełku, z rękami na udach; wpatruję się podłogę wyłożoną białymi kafelkami. Kobieta w prostym biurowym kostiumie małymi łykami popija kawę z papierowego kubka. Ma długie włosy, zaplecione w warkocz, na twarzy lekki ślad brzoskwiniowego pudru i czarne kreseczki tuszu wzdłuż powiek. Trzęsącym się głosem opowiada, że jej córka jest w więzieniu, została skazana na dwa lata w związku z handlem narkotykami. Kobieta kuli się w swoim krześle, robi się mniejsza. Wybucha płaczem.

Wszędzie, gdzie się teraz obrócę, leją się łzy.

Wszędzie łzy.

Kobieta opowiada:

– Jestem szczęśliwa. Teraz wiem, gdzie ona jest. Wiem, że żyje. W zeszłym roku byliśmy tacy podekscytowani, że została przyjęta na studia, na Harvardzie. A teraz czuję ulgę, że ona siedzi w więzieniu.

Przerywa jej inna kobieta, z siwymi włosami, żeby powiedzieć, że wie, jak ona się czuje.

– Każdego dnia dziękuję Bogu za to, że moja córka jest w więzieniu – mówi. – Wyrażam Bogu wdzięczność. Sześć miesięcy temu skazano ją za używanie, handel narkotykami i za prostytucję. – Łapie oddech, a potem mówi do siebie i do grupy: – Tam jest bezpieczniejsza.

„A więc, do tego doszliśmy. Nie wszyscy z nas, oczywiście. Ale niektórzy z nas doszli do punktu, w którym dobra wiadomość polega na tym, że nasze dziecko znalazło się w więzieniu" – myślę.

Nie mogę nad tym zapanować i nie mogę tego wyleczyć, ale nadal myślę, że musi być coś, co mogę zrobić. „To błyśnie kropla nadziei, to wzburzy się morze rozpaczy; i wciąż boli, wciąż boli, wciąż męka i wciąż to samo"[8] – napisał Tołstoj.

Nie mam wiadomości od Nica i każda godzina, każdy dzień, każdy tydzień jest cichą męczarnią, jak ból fizyczny. Przez większość czasu czuję się, jakbym palił się w ogniu. Może to prawda, że cierpienie wzmacnia charakter, ale na pewno także niszczy ludzi. Ci, których spotykam na mityngach Al-Anonu, są zniszczeni, niektórzy w widoczny sposób, ale psychicznie – wszyscy. Jednocześnie należą do osób najbardziej otwartych, najbardziej żywych i goto-

wych dzielić się z innymi, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Jak radzą w Al-Anonie, próbuję się „odłączyć" – odpuścić i wpuścić Boga. Ale jak rodzic może sobie odpuścić? Ja nie mogę. Nie potrafię. Nie wiem jak.

Jak mogłem nie zauważyć, że Nic zażywał narkotyki przez ostatnie miesiące, nawet kiedy był u nas w domu? Jestem tak straumatyzowany przez jego uzależnienie, że to, co surrealne, i to, co realne, staje się jednym i tym samym. Nie potrafię już odróżnić tego, co normalne, od tego, co horrendalne. Tak świetnie racjonalizuję i przeczę faktom, że sam nie wiem, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie. A może jest tylko tak, że uzależnieni, dzięki praktyce, stają się niezwykle utalentowanymi kłamcami, co jednocześnie zbiega się z rosnącą podatnością ich rodziców na te kłamstwa. Wierzyłem Nicowi, ponieważ rozpaczliwie pragnąłem mu uwierzyć.

Co się stało z moim synem? Gdzie popełniłem błąd? Według Al-Anonu to nie moja wina. Ale czuję się całkowicie odpowiedzialny. Powtarzam sobie litanię: gdybym tylko postawił mu surowsze granice, gdybym tylko był bardziej konsekwentny, gdybym bardziej go chronił przed moim własnym dorosłym życiem, gdybym sam nie używał narkotyków, gdybym nie rozstał się z jego matką, gdybyśmy tylko po rozwodzie mieszkali w tym samym mieście.

Wiem teraz, że rozwód i konsekwencje decyzji o sprawowaniu wspólnej opieki rodzicielskiej były najtrudniejszą częścią dzieciństwa mojego syna. Dzieci z rozwiedzionych rodzin używają alkoholu i narkotyków przed czternastym rokiem życia znacznie częściej niż dzieci z nierozwiedzionych związków w tym samym wieku. W pewnych badaniach stwierdzono, że osiemdziesiąt pięć procent dzieci z rozwiedzionych związków zażywało twarde narkotyki w szkole średniej, w porównaniu z dwudziestoma czterema procentami dzieci z nierozwiedzionych związków. Dziewczęta z rozwiedzionych związków wcześniej podejmowały doświadczenia seksualne niż te z nierozwiedzionych, a dzieci obu płci częściej cierpiały na depresję. Ponieważ ponad połowa pierwszych małżeństw i prawie sześćdziesiąt pięć procent drugich kończą się rozwodem, niewielu z nas ma ochotę dostrzec fakt, że dla dzieci rozwód często jest katastrofą i może prowadzić do nadużywania narkotyków i do innych poważnych problemów. Ale może to są tylko żałosne spekulacje, skoro wiele dzieci, które przeszły przez rozwód rodziców – czasem bardziej burzliwy niż mój – nie sięga po narkotyki. A jednocześnie wielu uzależnionych, których spotkałem, pochodzi z nierozwiedzionych rodzin. Nie można

więc rozstrzygnąć tego jednoznacznie. Czy byliśmy bardziej szaleni niż inne rodziny? Na dłuższą metę – nie. Może.

Co jeszcze? Czasem myślę, że dzieci z uprzywilejowanych środowisk są pierwszymi kandydatami do uzależnienia, z wielu oczywistych powodów. A co wobec tego z tym legionem dzieci, które wyrosły w strasznej biedzie? Wygodnie byłoby winić ich ubóstwo, gdyby nie to, że w ośrodkach leczenia uzależnień i na spotkaniach AA widuje się dzieci ze wszystkich klas społeczno-ekonomicznych. Mógłbym obwiniać szkoły prywatne, gdyby dzieci ze szkół publicznych rzadziej miały problem z narkotykami. Tymczasem badania potwierdzają to, co widziałem na własne oczy. Jeśli chodzi o uzależnienie od narkotyków, jesteśmy równi – to nieszczęście dotykające absolutnie wszystkich, bez względu na sytuację ekonomiczną, wykształcenie, rasę, pochodzenie geograficzne, IQ czy inne okoliczności. Prawdopodobnie zbieżność czynników – silne, ale nieznane jeszcze, połączenie własnej biologii i wychowania – może, ale nie musi, prowadzić do uzależnienia.

Czasami wiem, że nie można winić niczego i nikogo. A potem się potykam i znów czuję się całkowicie odpowiedzialny. A czasami wiem, że jedyną rzeczą pewną, jest to, że Nic jest chory na straszliwą chorobę.

Nadal bardzo trudno mi się z tym pogodzić. Powtarzam w myślach argumenty za i przeciw. Ludzie cierpiący na raka, rozedmę płuc czy chorobę serca nie kradną i nie kłamią. Ktoś, kto umiera na jedną z tych chorób, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby żyć. Ale w przypadku uzależnienia jest inaczej. Ze swojej natury sprawia, że ludzie nim dotknięci nie są w stanie zrobić tego, co widziane z zewnątrz wydaje się najprostszym rozwiązaniem – nie pić. Nie zażywać narkotyków. W zamian za to jedno małe poświęcenie otrzymujesz dar, za który inni śmiertelnie chorzy ludzie oddaliby wszystko – życie.

Ale, jak mówi doktor Rawson: „Objawem tej choroby jest zażywanie. Objawem jest utrata kontroli nad własnym życiem. Objawem jest pragnienie zaspokojenia narkotykowego głodu". To siła tak potężna, że jeden z uzależnionych podczas mityngu porównał ją do „pragnienia, jakie czuje wygłodzone niemowlę, żeby ssać pierś matki. Zażywając narkotyki miałem tyle samo wyboru, ani więcej, ani mniej niż ono".

Jest też praktyczny powód, który pomaga zrozumieć, że uzależnienie jest chorobą – firmy ubezpieczeniowe obejmują ubezpieczeniem wiele chorób

i pokrywają koszty ich leczenia. I dobrze, że tak jest, ponieważ gdybyśmy czekali, aż choroba się rozwinie, musielibyśmy płacić następnie za przeszczepy wątroby, serca czy nerek, pominąwszy choroby umysłowe uzależnionych, którzy obsuwają się w psychozę albo demencję. Pominąwszy koszty kompletnie rozbitych rodzin, które przestają funkcjonować, i społeczne koszty, jakie pociąga za sobą przestępczość związana z uzależnieniami.

Ale niektórzy ludzie pozostają nieprzekonani. Dla nich uzależnienie jest upadkiem moralnym. Osoby, które zażywają narkotyki, chcą być na haju, po prostu. Nikt ich nie zmusza. „Nie dyskutuję z faktem, że pewne obszary mózgu zapalają się, kiedy osoba uzależniona myśli o kokainie lub ją zażywa", powiedziała Sally Satel, psychiatra z kliniki leczenia nałogów Oasis Drug Treatment Clinic w Waszyngtonie, członek American Enterprise Institute. „Ale to wskazuje, że uzależnienie jest tak samo biologicznym zjawiskiem, jak stwardnienie rozsiane. Prawdziwe choroby mózgu nie mają komponentów wolicjonalnych". Mimo to napominam siebie: Nic nie jest Nikiem, kiedy bierze. Podczas tej gehenny staram się zrozumieć, czym jest siła, która zawładnęła mózgiem mojego syna, i czasami zastanawiam się, czy jego powroty do narkotyku nie są jednak upadkiem moralnym albo skazą charakteru. Czasami winię także programy leczenia. A potem obwiniam samego siebie. Miotam się tam i z powrotem. Ale zawsze wracam do tych kilku zdań:

Gdyby Nic nie był chory, to nie kłamałby.

Gdyby Nic nie był chory, nie kradłby.

Gdyby Nic nie był chory, nie terroryzowałby swojej rodziny.

Nie opuściłby swoich przyjaciół, swojej matki, Karen, Jaspera i Daisy i nie opuściłby mnie. Nie zrobiłby tego. Jest chory, a uzależnienie jest najbardziej niepojętą ze wszystkich chorób, wyjątkową ze względu na towarzyszące jej poczucie winy, wstydu i upokorzenia.

To nie wina Nica, że jest chory, ale to jego wina, że wraca do narkotyków, ponieważ jest jedyną osobą, która może wykonać niezbędną pracę, aby zapobiec nawrotom. Niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie, musimy uważać go za osobę odpowiedzialną. Kiedy w mojej głowie zmagają się ze sobą te dręczące głosy, zaczynam rozumieć, dlaczego wtedy w Świętej Helenie Nic przyznał, że czasami wolałby mieć inną chorobę, ponieważ wtedy nikt nie uważałby, że jest sam sobie winny. Pacjenci chorzy na raka byliby oburzeni takim rozumowaniem. I mieliby rację. Wszystko, co mają do zrobienia uza-

leżnieni od narkotyków czy alkoholu, to przestać brać lub pić! W przypadku raka nie ma takiej możliwości.

Rodzice uzależnionych mają ten sam problem, co ich dzieci: musimy się jakoś pogodzić z irracjonalnością tej choroby. Nikt, kto się z nią nie zetknął, nie zrozumie do głębi związanych z nią paradoksów. Ponieważ większość ludzi nie potrafi tego pojąć, trudno liczyć na prawdziwe zrozumienie z ich strony. Jest tylko litość, która, bywa, idzie w parze z lekko zawoalowanym poczuciem wyższości. Poza spotkaniami Al-Anonu albo gdy nie mam kontaktu z rodzicami innych uzależnionych, którzy wiedzą, przez co przechodzimy, i dzwonią, aby nas wesprzeć, czuję się osamotniony i wtedy niemal nie potrafię powstrzymać się od nieustannego podejmowania prób zrozumienia. Van Morrison śpiewa: „Nie ma dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlaczego. Nie ma dlaczego, dlaczego, dlaczego. To po prostu tak jest".

Po prostu tak jest.

A jednak przekonanie, że uzależnienie jest chorobą, pomaga. Doktor Nora Volkow, dyrektorka National Institute of Drug Abuse, mówi: „Zajmowałam się alkoholem, kokainą, metamfetaminą, heroiną, marihuaną i ostatnio otyłością. Istnieje pewien wzorzec zachowań przymusowych. Nigdy nie spotkałam ani jednej osoby uzależnionej, która by chciała być uzależniona. Coś się stało z ich mózgami, co doprowadziło do procesu uzależnienia".

Pewnego razu przyjechał do nas z wizytą dziadek Nica – wiele lat temu, gdy razem z Vicki mieszkaliśmy przez rok w Los Angeles. Po drodze z lotniska do naszego mieszkania poprosił, żebyśmy się zatrzymali przy sklepie, żeby mógł kupić papierosy. Próbował to ukryć, ale widzieliśmy, że ma także w papierowej torebce butelkę burbona. Pod koniec obiadu butelka była pusta. Dwa lata później nie żył. Był miłym, kochającym, ciężko pracującym ojcem rodziny, farmerem, którego życie tragicznie się obsunęło. Ale ponieważ chodziło o alkohol, a nie speedy czy heroinę, trwało to latami. Miał ponad sześćdziesiąt lat, kiedy umarł. „Alkohol wyrządza te same szkody w dużo dłuższym czasie", powiedział ktoś podczas jednego ze spotkań Al-Anonu. „Narkotyki robią to szybko. I to jest jedyna różnica".

Poza siłą działania i poziomem toksyczności zażywanej substancji ostatecznie różnice pomiędzy uzależnionymi od narkotyków a alkoholikami są nikłe. Kończą w tym samym miejscu, podobnie zniszczeni, otępiali, podob-

nie samotni – podobnie martwi.

Czytam *Powrót do Brideshead* i zdumiewa mnie to, że ponad sześćdziesiąt lat temu Waugh pisał: „Z Sebastianem inna sprawa". Mówi Julia o swoim bracie. „Rozpije się jeżeli ktoś mu w tym nie przeszkodzi. (…) to się ma we krwi (…) Widzę to w sposobie, w jaki pije Sebastian"[9].

Brideshead: „Nie można nikogo powstrzymać, jeśli chce się pić. Mojej matce nie udało się powstrzymać mojego ojca".

Wystarczy zamienić kilka słów i wyjdzie rozmowa o moim synu: „Z Nikiem jest inaczej. Będzie uzależniony, jeśli ktoś go nie powstrzyma. (…) To się ma we krwi. (…) Widzę to po sposobie, w jaki zażywa".

„Nie można nikogo powstrzymać, jeśli ten ktoś chce być na haju".

Jeśli spędzisz trochę czasu w programach leczenia uzależnień, nigdy już nie spojrzysz w dawny sposób na pijaka albo kogoś, kto nałogowo pali marihuanę, czy to na przyjęciu, czy w filmach albo w książkach. Powieści Huntera Thompsona o jego obżarstwie, ćpaniu i piciu nie są już dla mnie zabawne. Są żałosne. Nie ma dla mnie niczego zabawnego w postaci Nica Charlesa wychylającego kolejne kieliszki martini – wlewa je w siebie przy śniadaniu, obiedzie i kolacji; przed, po i pomiędzy posiłkami – w serii filmowej *Thin Man*. („Chodź, kochanie, zjedzmy coś, bo jestem spragniony", mówi Nic). W jednym z tych filmów Nora żartuje, że jej mąż cierpi na dipsomanię. Rzeczywiście tak jest. Wielu widzów było oczarowanych filmem z 2005 roku, *Sideways*, o miłośniku wina, ale dla mnie był odrażający. Dla mnie to była historia o nieszczęsnym alkoholiku.

Są nieźle funkcjonujący alkoholicy, podobnie jak są nieźle funkcjonujący uzależnieni od narkotyków, przynajmniej do czasu, gdy przestają dawać sobie radę. Może jedyna różnica między nimi a pijaczkami czy naćpanymi menelami na ulicach polega na pieniądzach – wystarcza im na opłacenie czynszu, innych rachunków, starcza im na posiłek, na następny kieliszek.

Niektórzy utrzymują, że traktowanie uzależnienia raczej jako choroby mózgu niż zaburzenia zachowania daje uzależnionym, niezależnie od tego, czy używają alkoholu, cracku, heroiny, metamfetaminy, czy leków na receptę, wymówkę, aby ponownie po nie sięgnąć. Alan I. Leshner, były dyrektor NIDA, który obecnie jest dyrektorem w American Association for the Advancement of Science, podziela pogląd, że nie należy zdejmować odpowiedzial-

ności z uzależnionych. „Niebezpieczeństwo związane z nazwaniem uzależnienia chorobą mózgu polega na tym, że ludzie zaczynają wtedy uważać się za nieszczęśliwe ofiary," napisał w 2001 roku, w czasopiśmie „Issues in Science and Technology". „Ale tak nie jest. Z jednego powodu: ponieważ cały proces zaczyna się od zachowań podejmowanych z własnej woli, człowiek, w efekcie, sam to na siebie ściąga".

Doktor Volkow nie zgadza się z takim rozumowaniem: „Czy mówiąc, że ktoś jest chory na serce, zwalniamy taką osobę z odpowiedzialności za siebie? Nie. Chcemy, żeby zaczęła ćwiczyć. Chcemy, żeby mniej jadła i przestała palić. Fakt, że ludzie są chorzy, oznacza, że w ich organizmie zaszły pewne zmiany, w tym wypadku w mózgu. Jak w każdej innej chorobie, trzeba uczestniczyć we własnym leczeniu i zdrowieniu. A co powiemy o ludziach, którzy mają wysoki poziom cholesterolu i mimo to jedzą frytki? Czy powiemy, że ich choroba nie ma podstawy biologicznej, ponieważ sami swoim zachowaniem przyczynili się do jej wystąpienia? Nikt nie zaczyna zażywania narkotyków z nadzieją, że się uzależni; ludzie po prostu lubią narkotyki. Nikt nie żyje z nadzieją, że będzie miał atak serca; ludzie po prostu lubią smażonego kurczaka. Ile jeszcze energii będziemy niepotrzebnie marnować, wściekając się i oburzając, że ludzie sami są sobie winni? To może być choroba mózgu i może sam ją na siebie ściągnąłeś, musisz sam coś zrobić, żeby ją wyleczyć".

Próbuję nie winić Nica.

Nie robię tego.

A czasami robię.

Rozdział 16

W ten słoneczny, czerwcowy poranek Nic, choć im obiecał, że przyjdzie, nie pojawił się na promocji Jaspera i Daisy.

Dyrektor szkoły, w sportowej marynarce koloru wielbłądziej wełny, z kolorową apaszką na szyi, ma ciepły uśmiech, oczy, które zdradzają jego ogromne oddanie dla podopiecznych, i kojący głos. Uśmiecha się promiennie do dzieci i ich rodziców. Stojąc przy mikrofonie, prowadzi uroczystość, wywołując dzieci, klasa po klasie. Zgodnie z jego instrukcją wstają z miejsc w rzędzie, w którym siedziały, i przechodzą wszystkie razem do następnego rzędu. Jasper, w białej koszuli z kołnierzykiem, ma brązowe włosy zaczesane na czoło, promienieje radością wśród swoich kolegów i koleżanek. Teraz będzie w trzeciej klasie.

– Proszę, żeby wstała tegoroczna pierwsza klasa – prosi dyrektor.

Dzieci wstają.

– Proszę, żeby ci, którzy w przyszłym roku będą w drugiej klasie, przeszli o szczebel wyżej – mówi dyrektor.

Teraz kolej na rocznik Daisy.

– Proszę, żeby wstali ci, którzy w tym roku byli w przedszkolu.

Daisy w miękkiej, marszczonej niebieskiej sukience – należała do Nancy, kiedy jeszcze była dziewczynką – wstaje razem ze wszystkimi.

– Proszę, żeby ci, którzy w przyszłym roku będą pierwszą klasą, przeszli szczebel wyżej.

Rozlegają się grzmiące oklaski, słychać odgłos kroków wielu nóg. Taka jest tradycja szkoły. Daisy i inne przedszkolaki, kiedy zajmują miejsce pierwszoklasistów, zostają nagrodzeni grzmiącymi oklaskami i okrzykami. To wzruszająca chwila, gdy dolny rząd już opustoszał, i zostali tylko wychowawcy i nauczyciele z przedszkola. Stoją teraz sami, czekając na nową grupę pięciolatków, które pojawią się w szkole jesienią.

Czuję w sobie palącą pustkę. Sprzeczność między niewinnością tych dzieci a moim nieobecnym synem jest niemal nieznośna, jak gdyby nie dało się jej pomieścić w jednej chwili, w jednym mózgu.

Po ceremonii „wstępowania na wyższy stopień" następują przemówienia i rozdanie dyplomów ośmioklasistom, którzy na jesieni pójdą do szkoły wyższego stopnia. Nie jestem jedynym rodzicem, który ma łzy w oczach, ale nie mogę się powstrzymać od myśli, że moje łzy są jedyne w swoim rodzaju. Patrzę na wystrojonych Jaspera i Daisy – Jasper w białej koszuli z uwierającym go kołnierzykiem, Daisy w sukience babci, białych skarpetkach i czarnych czółenkach z paskiem – jak stoją z kolegami i koleżankami, nieskazitelni, nerwowi, podnieceni, i pamiętam jak Nic, promieniejąc, także stał w tym miejscu, wyprostowany, mając przed sobą całe życie. Gdzie on teraz jest?

Niebo pojaśniało i odsłaniają się pasma błękitu, ale ten znak, że burza minęła – i nadciąga lato – nie poprawia mojego nastroju. Jestem w kuchni i gotuję wodę na herbatę. Dzwoni telefon. Można łatwo dostrzec mój niepokój. Kto inny mógłby dzwonić tak wcześnie rano? To musi być Nic. A jednak sięgając po słuchawkę, mówię sobie: „Nie, to nie on", tak jakbym chciał się z góry osłonić przed goryczą rozczarowania, gdyby się okazało, że to nie on.

To nie on.

– Tu Sylvia Robertson – mówi jakaś kobieta radosnym głosem. – Jestem matką Jonathana. Jestem jedną z mam opiekunek zespołu Groźnych Tuńczyków.

Jedna z matek dzieci należących do zespołu pływackiego Jaspera pyta, czy możemy popracować w barze z przekąskami w czasie spotkania w przyszły weekend.

– Oczywiście. Będzie nam bardzo miło.

Zaczynam odkładać słuchawkę.

– Do boju Groźne Tuńczyki – mówi wesoło.

– Do boju Groźne Tuńczyki.

W kuchni zapada cisza.

Na otwartych półkach nad zlewem, obok porcelany, kubków na herbatę i szklanych naczyń, przyciąga wzrok jedna fotografia. Na tym zdjęciu jesteśmy gdzieś nad jeziorem, na łodzi. Mój ojciec w okularach przeciwsłonecznych i w kapeluszu rybackim macha i uśmiecha się. Daisy, na kolanach Karen, jest jeszcze niemowlęciem. Jej twarz jest skryta w cieniu chroniącego od

słońca kapelusza z dużym rondem. Chłopcy są z tyłu, uśmiechają się do obiektywu. Jasper, który niedawno był u fryzjera i brązowe loki okalają jego żywą twarz, i Nic, krótko ostrzyżony. Jego aparat ortodontyczny połyskuje w słońcu. Moi chłopcy. Z tyłu na fotografii jest stempel: 10.12.1996, co oznacza, że Nic miał wtedy czternaście lat.

Gdzie on teraz jest?

A tymczasem po drugiej stronie wzgórza, w domu rodziców Karen przycupniętym na zboczu kanionu, Don wynurzył się właśnie ze swojej kryjówki i sadowi w ulubionym, słonecznym kącie salonu. Ma na sobie stare buty rybackie, wytarty T-shirt i szorty, siedzi w ratanowym fotelu i czyta o lordzie admirale Nelsonie. Nancy robi coś na dole, przy krętej ścieżce w ogrodzie, gdy przychodzi jej na myśl, że pewnie pranie się skończyło. Z sekatorem wetkniętym do skórzanego etui przy pasie powoli wspina się w stronę domu.

Zdejmując ogrodowe rękawice, wchodzi przez dolne drzwi prowadzące do zagraconej piwnicy, gdzie panuje charakterystyczny zapach pleśni i proszku prania. Za pomieszczeniem na pralkę i suszarkę jest pokój do szycia i mała sypialnia, należąca niegdyś do jej syna, kiedy był nastolatkiem. Na ścianie wiszą łuki, które są prezentem od przyjaciół – członków plemienia Czarnych Stóp – dla jej rodziców. Pokój jest teraz przeznaczony dla gości, śpią tu jej wnuki, kiedy zostają na noc.

Zanim włoży do suszarki ładunek czystych prześcieradeł i poszewek na poduszki, musi wyładować porcję uprzednio wysuszonej bielizny. Układa rzeczy na łóżku, z myślą, żeby je potem poskładać.

I nagle aż podskakuje zaskoczona. Pod stertą wełnianych koców leży jakieś ciało. Nancy zbiera się na odwagę i przygląda się bliżej – to Nic, trzęsący się szkielet, śpi głęboko, nie słyszał jej okrzyku.

– Nic! – woła głośno. – Co ty…

Na pół senny, z mocno podkrążonymi oczami, ubrany w dżinsy i koszulkę z długimi rękawami Nic patrzy na nią. Siada.

– Co? Bab…

Oboje są zdumieni.

– Co ty robisz?

– Nancy – zaczyna – Ja…

– Dobrze się czujesz?

Nic wstaje, bierze swoją torbę, zaczyna się jąkać, przeprasza.

– Nic, nie – mówi Nancy. – Wszystko w porządku. To tylko dlatego, że mnie okropnie przestraszyłeś.

– Ja… Ja przepraszam.

– Czy ty bierzesz?

Milczy.

– Możesz tu zostać, ile tylko chcesz. Nie mam nic przeciwko temu. Tylko mi powiedz. Nie zakradaj się. Ze strachu o mało nie dostałam ataku serca.

Nic wychodzi z pokoju i idzie po schodach na górę.

Nancy podążą za nim.

– Jadłeś coś? Mogę ci coś przygotować?

– Nie dzięki. Może banana. Jeśli można.

– Nic… Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? – Nancy ma łzy w oczach. Mruga. – Powiedz mi tylko, co mogę zrobić.

Nic mamrocze coś niezbornie, jakieś usprawiedliwienie, i bierze banana z koszyka w kuchni. Potem dziękuje, mamrocze, że mu przykro, przeprasza, szybko wychodzi frontowymi drzwiami i idzie podjazdem.

– Nic!

Nancy biegnie za nim, woła, ale on się nie zatrzymuje. Zanim zdążyła dojść do ulicy, jego już nie ma. Nancy dzwoni do mnie powiedzieć, co się stało. Don jest gdzieś w pobliżu, słucha tych nowin. Nancy ma prawo się wściekać, ale przeprasza mnie.

– Tak mi przykro – mówi. – Nie wiedziałam, co robić.

Zapewniam ją, że nie mogła nic zrobić.

– Przykro mi, że cię przestraszył. Tak mi przykro, że go widziałaś w takim stanie – powtarzam.

Nancy nie słucha.

– Usiłowałam go zatrzymać – mówi. – Wyglądał… – A potem urywa i słowa więzną jej w gardle: – Jestem taka cholernie wściekła!

W słoneczne popołudnie, kilka dni po ceremonii przejścia do następnej klasy, jestem w parku, gdzie rocznik Daisy ma zabawę z okazji końca roku szkolnego. Jeden z moich przyjaciół – nauczyciel i ojciec przyjaciółki Daisy – prowadzi dziecięcą grę, którą sam wymyślił, zainspirowany powieściami J.K. Rowling. W jego wersji gry w quidditch występują cztery kule różnej wielkości, reprezentujące kafle i tłuczki, oraz frisbee, zamiast złotego znicza.

Jestem obecny, ale mnie nie ma. Zgodnie ze starym powiedzeniem rodzice mogą być tylko tak szczęśliwi, jak ich najbardziej nieszczęśliwe dziecko. Boję się, że to prawda.

Zziajana Daisy wpada na mnie.

– Jesteś potrzebny w naszym zespole – mówi. – Chodź! – Łapie mnie za rękę i wciąga do zabawy.

Przez kolejny tydzień nie ma żadnej wiadomości, po czym Nic dzwoni do swojego ojca chrzestnego, który zaprasza go do swojego domu, w pobliżu Twin Peaks[10]. Przerażony wyglądem chłopaka – „wyglądał tak, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł go zmieść" – robi dla niego jakąś pieczeń, którą ten pochłania. Błaga Nica, żeby szukał pomocy.

– Nic mi nie będzie, już nie biorę – kłamie Nic. – Muszę po prostu jeszcze jakiś czas pobyć sam.

Po jego wyjściu przyjaciel dzwoni do mnie. Opowiada mi o wizycie, a potem w słuchawce zapada cisza.

– Przynajmniej udało mi się go namówić, żeby coś zjadł – dodaje.

Przez jakieś dwa tygodnie nie ma żadnej wiadomości, nic, tylko nieustający lęk.

Znowu obdzwaniam więzienia, żeby sprawdzić, czy Nic nie został aresztowany. Jeszcze raz dzwonię na szpitalne oddziały ratunkowe. A potem brat Karen mówi, że go widział, albo tak mu się wydawało, na Haight Street, jak siedzi skulony w jakimś kącie ulicy, roztrzęsiony, niespokojny, wyglądający podejrzanie.

Wychodzę z siebie – nic nie rozumiem, jestem przerażony. Moje wcze-

śniejsze życie nie przygotowało mnie na to obezwładniające poczucie niepokoju, które mnie ogarnia, kiedy nie wiem, gdzie on jest. Wyobrażam sobie Nica na ulicach San Francisco, miotającego się jak ranne zwierzę. Niczym jakiś pogrążony w szaleństwie anestezjolog, który nadzoruje operację na własnym otwartym mózgu. Nic próbuje tak pokierować strumieniem narkotyków, żeby zachować uczucie euforii, co jednak szybko i nieuchronnie staje się pragnieniem uniknięcia piekła narkotykowego głodu.

W szufladzie jego starego biurka znajduję jakiś naskrobany wpis z dziennika, prowadzonego w zeszycie z marmurkową okładką, podający typowe menu:

1½ grama speedu

3,5 grama grzybów

2 klonopiny

3 codeiny

2 valium

2 porcje e

Po powrocie do swojego gabinetu próbuję pisać, ale nie mogę, popadam w katatonię. Wchodzi Karen i wzdycha na mój widok. Siedzę i patrzę przed siebie pustym wzorkiem. Trzyma w ręku jakiś kawałek papieru.

– Patrz – mówi, pokazując mi odrzucony czek. Został wystawiony na nazwisko Nica. Niezręczny podpis to oczywiste fałszerstwo.

– Ale on nie mógłby… – Już wypowiadając te słowa, wiem, że się mylę. Karen szczerze kocha mojego syna, ale teraz jest zdumiona i zraniona, wściekła.

– Biedny Nic – mówię. – Nie zrobiłby tego, gdyby był przy zdrowych zmysłach.

– Biedny Nic?

Ze złością odwraca się i wychodzi.

– Ale to nie on! – wołam za nią.

Patrzy na mnie i kręci głową. Nie chce już tego słuchać. Nie mogę dłużej go przed nią tłumaczyć.

Spędzam kolejnych kilka nocy w przerażeniu i udręce.

A potem, pewnego wieczoru, gdy dzieci już śpią, Karen leży w łóżku z gazetą – wcześniej czytała im *Opowieści z 1001 nocy* – a ja pracuję w gabinecie, dobiega mnie jakiś dźwięk.

Drzwi frontowe?

Z bijącym sercem idę sprawdzić, co to i w korytarzu natykam się na Nica.

Niechętnie rzuca jakieś niewyraźne „hej", po czym spokojnie mija mnie, idąc do swojej sypialni, choć staje na moment, gdy zdecydowanym tonem pytam, gdzie był.

Udaje zaskoczonego.

– O co ci chodzi? – warczy.

– Zadałem ci pytanie. Gdzie byłeś?

Usiłuje wykrzesać z siebie jakieś nieprzekonujące oburzenie, a potem zerka na mnie przez ramię i mamrocze: „Nigdzie", i znowu rusza w stronę swojego pokoju.

– Nic! – Idę za nim i wchodzę do jego czerwonej jaskini, spowitej półmrokiem, gdzie z hukiem otwiera i zamyka szuflady komody. Omiata spojrzeniem półki w garderobie. Ma na sobie T-shirt, czerwone, spłowiałe i podarte dżinsy, czerwone, niezasznurowane trampki. Nie ma skarpetek. Porusza się chaotycznie, gorączkowo. Najwyraźniej czegoś szuka, przypuszczam, że pieniędzy albo narkotyków.

– Co robisz?

Patrzy na mnie z wściekłością.

– Nie martw się – mówi. – Jestem czysty od pięciu dni.

Chwytam jego torbę, którą postawił na łóżku, odsuwam zamek, przeszukuję kieszenie dżinsów, rozwijam zwinięte pary skarpetek, wytrząsam koce, rozkręcam latarkę. (Są w niej tylko baterie). W tym czasie Nic, oparty o framugę drzwi, patrzy przed siebie pustym wzrokiem, z rękami skrzyżowanymi

na piersi. Wreszcie, z prawie niezauważalnym, kwaśnym uśmieszkiem mówi:

– Możesz już przestać, dobra?

Zbiera stertę ubrań i wsadza je z powrotem do płóciennej torby.

– Wychodzę.

Proszę, żeby usiadł i porozmawiał ze mną.

– Jeśli chodzi o ośrodek, nie mamy o czym gadać.

– Nic…

– Nie mamy o czym gadać.

– Musisz spróbować jeszcze raz. Popatrz na mnie.

Odwraca wzrok.

– Wszystko odrzucasz.

– To moje życie.

– Nie odrzucaj go.

– Nie ma tu nic do odrzucania.

– Nic!

Mija mnie i nie patrząc mi w oczy, mówi: „Przepraszam". A potem szybko idzie korytarzem.

Mijając Karen, mówi: „Cześć, mamo", a ona patrzy na niego, nic nie rozumiejąc.

Stoimy razem z Karen, która nadal trzyma w ręce gazetę, i patrząc przez okno obserwujemy, jak znika na pustej ulicy.

Pomijając to, że mógłbym go związać, co jeszcze mogę zrobić?

I chociaż pragnę go zatrzymać i z przerażeniem myślę o pustce i otępiającym niepokoju, jaki mnie ogarnia, kiedy go nie ma, nie robię nic.

Budzę się o czwartej nad ranem, podobnie jak inni rodzice dzieci uzależnionych od narkotyków, dzieci, które są… Nie wiemy, gdzie one są.

To kolejna, długa noc podczas pełni księżyca. Nagle uświadamiam sobie,

że dzisiaj mój syn kończy dwadzieścia lat.

Walczę z palącą pokusą, żeby jeszcze raz zakwestionować sensowność swoich wcześniejszych decyzji. Musi być coś, czego powinienem był spróbować. Nie powinienem był pozwolić mu odejść. Powinienem spróbować go znaleźć.

Słyszeliśmy już setki razy, że uzależnienie od narkotyków jest chorobą postępującą, ale ciągle jeszcze nie całkiem dociera do mnie, co to znaczy. Aż do chwili, gdy następnego ranka dzwoni telefon. To Julia, dziewczyna Nica, którą poznałem zeszłej zimy w Bostonie. Teraz, kiedy on zniknął i plany ich wspólnej podróży do Chin się rozwiały, Julia dzwoni ze swojego rodzinnego domu w Wirginii. Mówi łamiącym się głosem. Słyszę, że płakała.

– Nic ukradł igły do zastrzyków podskórnych z domu mojej mamy, kiedy przyjechaliśmy tutaj w zeszłym miesiącu – opowiada.

– Igły?

– Ona ich potrzebuje, bo bierze lekarstwo na raka. Ukradł też jej morfinę. – Szlocha.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Ja też nie. – Po chwili kontynuuje: – Chciałam ci powiedzieć jedną rzecz. Nie pomagaj mu. Nie dawaj mu żadnych pieniędzy. Będzie próbował na wszystkie sposoby cię namówić, żebyś mu pomagał. A potem swoją mamę. Jeśli mu pomożesz, to go tylko szybciej zabije. To jedna z niewielu lekcji, jakich nauczyło nas życie w związku z uzależnieniem mojej siostry.

– Jestem idiotą. Myślałem, że już sobie lepiej radzi. Myślałem, że ten rok w szkole był trzeźwy.

– Chciałeś mu wierzyć, tak samo jak ja.

Słyszę, że chce już kończyć.

– Na podstawie doświadczeń naszej rodziny z moją siostrą najlepsza rada, jaką mogę ci dać, to żebyś zadbał o siebie.

– Ty także.

Mimo tego, przez co przeszliśmy do tej pory, jestem ogłuszony. Nic wstrzykuje sobie narkotyki – robi sobie zastrzyki w ramię, w to samo ramię,

które jeszcze niedawno rzucało piłkę bejsbolową i budowało zamki z klocków Lego, to samo, którym obejmował mnie za szyję, kiedy wieczorem wynosiłem go śpiącego z samochodu.

Następnego dnia, zgodnie z obietnicą, zabieramy dzieciaki do oceanarium w Monterey. Nieprzystawalność obu tych światów nadal zdumiewa mnie i przytłacza. Czasami wydaje mi się, że ich współistnienie jest czymś niemożliwym.

Nie ma sensu siedzieć w domu i czekać na telefon, który nie dzwoni. Staramy się żyć dalej zwyczajnym życiem.

Po drodze do Monterey zatrzymujemy się w Santa Cruz, gdzie schodzimy z nadmorskiego klifu po stopniach wykutych w skale, w dół, aż do jaskini położonej ponad pieniącym się, wzburzonym Pacyfikiem. Niżej położone skały są śliskie od wody. Potem dzieci pływają na sąsiedniej Cowles Beach. Moje dzieci – cała trójka – czują się w wodzie równie swobodnie, jak na lądzie. Są jak delfiny.

W oceanarium oglądamy film przedstawiający spokojną zatokę i setki żerujących w niej kormoranów. Wydaje się, że ptaki pluskają się w falach, ślizgają po wodzie. A potem nagle, nie wiadomo skąd, następuje eksplozja jakiejś złowrogiej, szarej siły, pojawia się paszcza pełna zębów i wielki rekin połyka kormorana w całości. Przez chwilę ogon rekina bije jeszcze fale, jak bicz, a potem znika.

Czuję się jak ten kormoran. Jakiś rekin wyłonił się z odmętów. Patrzę na niego bezradnie, widzę, jak się zbliża – a razem z nim życie Nica zawisa na włosku – widzę, jak jest o krok od śmierci. I choć czuję się wręcz fizycznie chory od tego obrazu, nie potrafię się od niego uwolnić.

Po wizycie w oceanarium jedziemy na południe, autostradą numer 1, do Carmel, gdzie dzieci bawią się na plaży, a potem w parku wspinają się na bardzo stare drzewo chruściny, którego kora schodzi cienkimi płatami, jak naskórek po oparzeniu słonecznym. Kiedy na nie patrzę, na chwilę się odprężam, ale niepokój już na stałe zagościł we mnie.

Jedziemy do domu. Nie rozmawiamy o Nicu. Co nie znaczy, że o nim nie myślimy. Jego uzależnienie i jego bliźniaczy cień, widmo śmierci, przenika powietrze, którym oddychamy. Razem z Karen staramy się uzbroić na wypa-

dek, gdyby następny telefon miał przynieść nam najgorszą z możliwych wiadomości.

Nica nadal nie ma. Życie płynie dalej.

Karen jest zajęta do późna w swojej pracowni, więc biorę Jaspera i Daisy do miasteczka, na obiad w restauracji Pine Cone Diner. Potem idziemy na zakupy do sklepu spożywczego. W Palace Market jest prawie pusto. Prowadzę wózek wzdłuż alejek, podczas gdy Jasper i Daisy co chwila wrzucają do środka ciasteczka i chrupki, a ja je wyciągam, aż wreszcie mówię im ostro, żeby przestali. Posyłam ich w różnych kierunkach po rzeczy, których naprawdę potrzebujemy: mleko, masło, chleb. Stoję w jakiejś alejce, bez przekonania omiatając wzorkiem ścianę makaronów, gdy z głośników sklepowego systemu Muzak rozlega się piosenka Erica Claptona o śmierci jego synka.

„Czy będziesz wiedział, jak mam na imię, kiedy się spotkamy w niebie?"

Tego już dla mnie za wiele. Załamuję się na środku supermarketu. Jasper i Daisy obładowani produktami z listy, oboje w tym samym czasie wybiegają z sąsiednich alejek i dostrzegają moje łzy. Są przestraszeni i zaniepokojeni.

Uwaga dla rodziców uzależnionych dzieci: wybierajcie swoją muzykę starannie. Unikajcie Louisa Armstronga *What a Wonderful World*, z reklam Polaroida albo Codaca czy jakichkolwiek innych; podobnie jak piosenek *Turn Around* i *Sunrise, Sunset* – są tysiące innych. Unikajcie Cyndi Lauper, *Time After Time*, podobnie jak piosenki Erica Claptona o jego synku. Pewnego razu usłyszałem *Hallelujah* Leonarda Cohena i okazało sie, że jestem zupełnie na nią nieprzygotowany. Ale muzyka nie musi być sentymentalna. Springsteen też może być niebezpieczny. John i Yoko. Björk, Dylan. Czuję się przygnieciony, gdy słyszę Nirvanę. Chcę wrzeszczeć, jak Kurt Cobain. Chcę wrzeszczeć NA niego. I nie chodzi tylko o muzykę. Są miliony zdradliwych momentów. Jadąc autostradą numer 1, widzę załamującą się falę. Albo docieram do skrzyżowania, na którym spotykają się dwie drogi, niedaleko Rancho Nicosio, gdzie skręcaliśmy w lewo, kiedy zawoziliśmy na zmianę dzieciaki do szkoły. Spadająca gwiazda w spokojną noc na grzbiecie Olema Hill. Jestem w towarzystwie przyjaciół i słyszę dobry żart – na pewno podobałby się Nicowi. Dzieciaki robią coś zabawnego albo rozczulającego. Jakaś historia. Znoszony sweter. Film. W czasie jazdy rowerem – czuję wiatr na ciele, spoglądam w górę. Miliony sytuacji.

Przez następne dwa tygodnie nie mamy żadnej wiadomości od Nica, po czym przysyła mi mejl. W pierwszej chwili czuję ulgę – on żyje i porusza się, przynajmniej na tyle, żeby pójść do biblioteki i skorzystać z komputera. Prosi o pomoc, trochę pieniędzy, żeby nie musiał mieszkać na ulicy. Odpisuję, że pomogę mu wrócić do leczenia, ale to wszystko. Nie naśladuję żadnego skryptu z Al-Anonu w rodzaju miłości-bez-pobłażania, ale nie jestem też bezduszny. Zostałem pokonany przez metamfetaminę i poddałem się. Okazało się, że płacenie za niego kaucji w sądzie, spłacanie jego długów, ciąganie go do psychiatrów, psychologów i zabieranie go z ulicy – to wszystko jest daremne, metamfetamina jest niepokonana. Zawsze zakładałem, że moja czujność i miłość okażą się wystarczającą gwarancją, że moje dzieci będą miały przyzwoite życie, ale przekonałem się, że to nie wystarczy.

Nic odrzuca moja propozycję.

Jeden z profesorów Nica z Hampshire, ten, który go przyjął na swoje zajęcia z pisania, na wiadomość, że wrócił do narkotyków, pisze do mnie: „Nic, kiedy jest trzeźwy, błyszczy. W ciągu minionych lat pochowałem tak wielu ludzi, że czuję się chory, słysząc tę wiadomość".

Mija kolejnym tydzień pełen udręki. W końcu Nic dzwoni, na mój koszt.

– Cześć, tato, to ja.

– Nic.

– Jak się miewasz?

– To nie jest właściwe pytanie. Co z tobą?

– W porządku.

– Gdzie jesteś?

– W mieście.

– Masz gdzie mieszkać? Gdzie się zatrzymałeś?

– Daję sobie radę.

– Słuchaj, Nic, nie chciałbyś się spotkać?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Tylko się spotkać. Nie będę ci robił żadnych wymówek. Tylko na lunch.

– Bo ja wiem.

– Proszę.

– No dobrze.

Dlaczego chcę się z nim spotkać? Nawet jeśli to całkiem nierealne, to zachowałem iskierkę nadziei, że uda mi się jakoś do niego dotrzeć. Choć, prawdę mówiąc, to nie tak. Wiem, że się do niego nie przebiję, ale przynajmniej będę mógł dotknąć jego policzka.

Na nasze spotkanie wybiera Steps of Rome, kawiarnię na Columbus Avenue w North Beach, w okolicy, gdzie go wychowałem. Nic bawił się na Washington Square, naprzeciwko kościoła świętych Piotra i Pawła. Często zaglądaliśmy do księgarni City Lights i wracaliśmy do siebie po prawie pionowych uliczkach wychodzących na nabrzeże, gdzie siadaliśmy na krawężniku i słuchaliśmy, jak człowiek orkiestra gra na trąbce. Potem jedliśmy deser bananowy w Ghiradelli Chocolate Factory. Po drugiej stronie Broadwayu, w Chinatown, kupowaliśmy kapustę chińską i melony i po drodze do domu zatrzymywaliśmy się w Caffe Trieste na kawę i gorącą czekoladę. Czasami jedliśmy wcześniejszy obiad w barze sushi, gdzie Nic wybierał tempurę na zamówienie i jadł ją tylko z pomarańczowymi jarzynami (marchewka i yam). Albo szliśmy do Vanessiego, do włoskiej restauracji, gdzie kelnerzy w burgundowych kamizelkach i czarnych spodniach zaprasowanych w kant, podnosili Nica – który miał wtedy jasną czuprynę i przerwę między zębami – i sadzali go na stołku przy kontuarze wyłożonym książkami telefonicznymi. Szeroko otwartymi oczami patrzył na efekty pirotechniczne towarzyszące pracy kilku kucharzy, gdy wlewali brandy do garnków z sosem. Alkohol się zapalał i Nic siedział zahipnotyzowany. Kucharze znali na pamięć jego zamówienie: sałatka cezar, porcja dla dzieci, trójkątne ravioli i deser zabaglione ubity w starej miedzianej misce. Idąc do domu, mijaliśmy dziewczyny, które przed rozbieranymi klubami na ulicy Broadway wysiadywały w swoich kostiumach: Wonder Woman, Kobieta Kot, She-Ra itd. Był przekonany, że są superbohaterkami, które patrolują ulice North Beach. Kiedy się robił śpiący, zanosiłem go do domu, a on obejmował mnie chudymi ramionami za szyję.

W Steps of Rome siedzę przy narożnym stoliku, nerwowo czekając, aż się pojawi. Skoro rozum i miłość, dwie siły, na których mogłem dotąd w życiu polegać, mnie zawiodły, znalazłem się na nieznanym gruncie. W kawiarni nie ma nikogo, oprócz dwóch kelnerów składających serwety przy barze. Za-

mawiam kawę, starając się znaleźć w moim mózgu tę jedną rzecz, o której dotychczas nie pomyślałem, a która mogłaby przemówić mu do rozsądku.

Czekam, choć minęło już pół godziny po umówionym czasie. Znów zalewa mnie dobrze znany, dławiący niepokój, przechodzący w rozgoryczenie i wściekłość.

Po czterdziestu pięciu minutach dochodzę do wniosku, że Nic nie przyjdzie – a czego się spodziewałem? – i wychodzę. Jednak nie mam ochoty się poddać, więc chodzę po okolicy, wracam, zaglądam do kawiarni, a potem znowu robię obchód sąsiednimi ulicami. Po upływie kolejnych dwóch kwadransów, gdy jestem już gotowy, być może, wrócić do domu, widzę go. Idzie w moją stronę, ale patrzy w ziemię, ramiona zwisają mu bezwładnie wzdłuż ciała, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypomina jakąś upiorną zjawę z autoportretów Egona Schiellego, zmarnowany i naćpany.

Dostrzega mnie i się zatrzymuje, a potem ostrożnie podchodzi. Ściskamy się niepewnie, obejmuję ramionami jego niemal ulotne ciało i całuję go w policzek. Jest blady jak kreda. Chwilę obejmujemy się w ten sposób, a potem siadamy przy stoliku koło okna. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Nie próbuje wytłumaczyć spóźnienia. Rozpakowuje i zapakowuje słomkę do picia, kiwając się niespokojnie w swoim krześle. Palce mu drżą, szczęka się wykrzywia, zaciska zęby. Składamy zamówienie. Aby uprzedzić wszelkie pytania, mówi:

– Świetnie mi leci. Robię to, co powinienem robić, i odpowiadam sam za siebie, pierwszy raz w życiu.

– Tak bardzo się o ciebie martwię.

Milczenie.

– Co słychać u Karen i dzieciaków? – pyta.

– W porządku, ale wszyscy martwimy się o ciebie.

– Tak, aha.

– Nic, czy jesteś gotowy, żeby przestać? Wrócić do życia?

– Nie zaczynaj.

– Jasper i Daisy tęsknią za tobą. Oni nie…

– Ja tak nie mogę. Nie wciskaj mi poczucia winy – przerywa mi.

Bokiem widelca wymiata wszystko ze swojego talerza, wypija kawę do dna. Kiedy odsuwa palcami włosy z czoła, dostrzegam jakiś obrzęk, ale o nic nie pytam.

Żegnamy się, potem patrzę, jak wstaje i odchodzi. Cały się trzęsie i trzyma za brzuch. Uzależnienie Nica nauczyło mnie, że rodzice mogą znieść niemal wszystko. Za każdym razem, kiedy czujemy, że już nie zniesiemy niczego więcej, okazuje się, że właśnie znosimy. Jestem zaskoczony swoją zdolnością do racjonalizowania i tolerowania rzeczy niegdyś nie do pomyślenia. Racjonalizowanie sięga coraz dalej. On tylko eksperymentuje. Przechodzi taki etap. To tylko marihuana. Jest na haju tylko w weekendy. Przynajmniej nie zażywa twardych narkotyków. Przynajmniej to nie jest heroina. Na pewno nie sięgnie po igły. Przynajmniej żyje. Nauczyłem się też (boleśnie, ponieważ najwyraźniej nie ma innego sposobu, żeby przyswoić sobie takie lekcje), że rodzice są bardziej elastyczni, jeśli chodzi o ich nadzieje i marzenia związane z dziećmi, niż potrafimy sobie wyobrazić. Kiedy Nic dorastał, sądziłem, że będę zadowolony ze wszystkich wyborów, jakich dokona w życiu. Ale prawda była taka, że miałem ogromną nadzieję, że pójdzie na studia. Oczywiście, że pójdzie, nigdy nie było co do tego wątpliwości. Wyobrażałem sobie, że będzie miał pracę, która da mu satysfakcję, dobrą relację uczuciową i może w końcu swoje dzieci. Ale wraz z pogłębianiem się jego nałogu zacząłem rewidować swoje nadzieje i oczekiwania. Kiedy studia zaczęły się wydawać coraz mniej prawdopodobne, nauczyłem się żyć z myślą, że ominie college i od razu zacznie pracować. W końcu wiele dzieciaków musi pójść okrężną drogą, żeby się odnaleźć. Ale kiedy i to zaczęło wyglądać nierealistycznie, pomyślałem, że będę zadowolony, jeśli odnajdzie wewnętrzny spokój. Teraz żyję ze świadomością, że niezależnie od nawet najskromniejszych definicji zwykłego czy zdrowego życia, mój syn może po prostu nie dożyć swoich dwudziestych pierwszych urodzin.

Lato się kończy.

Za każdym razem, kiedy słyszę dzwonek telefonu, czuję skurcz w żołądku. Kiedy euforia, jaką daje metamfetamina, okazuje się już niedostępna – Tennessee Williams opisał alkoholowy ekwiwalent tego zjawiska w *Kotce na gorącym blaszanym dachu*: „Już nigdy nie udało mi się poczuć tego kopa" – osoby uzależnione są podekscytowane i pogubione, większość przestaje jeść i spać. Ich rodzice też nie śpią.

Rozdział 17

W niektórych miasteczkach w południe rozlegają się kościelne dzwony albo z wieży ratusza rozbrzmiewa jakaś melodyjka. W Point Reyes południe obwieszcza pianie koguta, po czym słychać harmonijne odgłosy muczenia krów, dobiegające z publicznego systemu nagłaśniającego umieszczonego na szczycie Western Saloon.

Pianie i muczenie zatrzymuje nas na chwilę.

Jestem z Daisy i Jasperem na jarmarku rolniczym w Toby's Feed Barn, który przypomina scenerię z musicalu *Oklahoma!*. Nasi sąsiedzi i przyjaciele kupują pomidory, ogórki, zieloną sałatę i sery z mleczarni Cowgirl Creamery.

Spotykamy mojego brata i bratową z dziećmi. Stoją obok koszyków z pomidorami Early Girls, bazylią oraz innymi ziołami gotowymi do posadzenia. Ustawiono je wzdłuż muralu przedstawiającego jakąś scenę z życia miejscowej ludności, w tym Toby'ego w czapce zrobionej na drutach, oraz moją bratanicę, kiedy była małym dzieckiem.

Wszyscy znajomi z miasteczka słyszeli już o Nicu, więc ludzie pytają o niego, nie kryjąc przy tym zdenerwowania. Laurel, która także przez to wszystko przechodzi – jej córka, uzależniona od heroiny, omal nie zginęła w wypadku samochodowym – obejmuje mnie na powitanie i zaczyna płakać. Cieszę się, że Jasper i Daisy bawią się w tym momencie ze swoimi kuzynami, słuchając muzyki bluegrass, granej przez zespół złożony ze skrzypiec i basów. Rozlega się dźwięk mojej komórki. Wiem, że to Nic. Szukam jakiegoś spokojnego miejsca z dala od tłumu i w końcu chowam się koło klatek ze smętnymi kurczakami wewnątrz stodoły Toby'ego.

Odbieram, ale nikt się nie odzywa.

Sprawdzam nagrane wiadomości. Jest jedna, od Nica. Mówi wojowniczym tonem, niewyraźnie.

„Okej, okej… Przepraszam. To naprawdę trudne. Przepraszam. Kończę z tym. Choć zasypiam na stojąco czy coś w tym rodzaju, staram się skupić na pracy… Musiałem dużo spać, ponieważ moje ciało nie jest ze mnie zadowolone. Przespałem cały piątek… Obudziłem się w sobotę, nie uświadamiając sobie, że straciłem cały dzień. Więc jeśli chodzi o resztę, to nie wiem. Jestem pogubiony".

A potem cisza.

Przybiega Jasper, w T-shircie i spodenkach khaki.

– Możemy kupić trochę ciasteczek imbirowych?

Zauważa, że coś się dzieje i przerywa.

– Tak?

Patrzy na telefon, który trzymam w dłoni, widzi zmartwienie i niepokój w moich oczach, pyta:

– To Nic?

Jakiś tydzień później Nic odzywa się do swojej matki, prosi o pomoc. „Szczerze mówiąc, byłabyś całkiem przerażona moim stylem życia, mnóstwo jakiegoś gówna zwala mi teraz się na głowę" – pisze w mejlu. „Mam kłopoty. To było szalonych kilka miesięcy, skończyło się na tym, że zostałem wykopany z domu. Nie mam pieniędzy, nic… Mam szlaban, dopóki nie wrócę na terapię. Ale to nie wchodzi w grę. Przerabiałem już tę lekcję… z AA, a siła wyższa jakoś na mnie nie działa. Jestem po tym wszystkim równie przerażony i pusty, jak poprzednio…"

I tu się urywa, kończy.

Kolejny mejl do Vicki: „Jestem dość spieprzony fizycznie i umysłowo, więc wybacz mi, że nie jestem taki wymowny jak zwykle. Zamierzałem zadzwonić do ciebie, zanim nie będzie za późno, ale chciałem napisać kilka rzeczy, żeby to zostało powiedziane". Wyjaśnia, że ukradł czeki matce przyjaciela.

„Mogę mieć na głowie nakaz, więc muszę ich spłacić albo po prostu będę musiał dalej się ukrywać".

Nie możemy się porozumieć z Vicki co do tego, jak najlepiej postępować. Rozumiem jej przerażenie, ale nie podoba mi się, kiedy pomaga mu spłacić dług. To naturalny odruch, nawet godny pochwały, ale obawiam się, że jej wsparcie w chwili, gdy on znowu bierze, jedynie odwlecze nieuchronny bieg wypadków i Nic po prostu będzie mógł dalej podążać niebezpiecznym kursem, którym zmierza. W końcu Vicki zgadza się, że spłacanie jego długu to co innego, ale że nie da mu gotówki. Wręczenie gotówki uzależnionemu to jak wciskanie naładowanej broni do ręki komuś, kto myśli o samobójstwie.

Kiedy opowiadam Karen o mejlach i o tym jak bardzo nie potrafię tego po-

jąć, że Nic mógłby zrobić coś tak odrażającego – tak autodestrukcyjnego – wybucha gniewem.

– Mam tego wszystkiego dość.

– A co ja mam zrobić?

– Po prostu mam tego wszystkiego dość. – Wychodzi z pokoju.

Nic znowu znika z horyzontu, po czym pojawia się ponownie, od czasu do czasu odzywa się do matki, ale nie do mnie.

Kiedy okazuje się, że dawni nowojorscy znajomi naszej rodziny zamierzają odwiedzić San Francisco, Vicki umawia ich z Nikiem. Błaga go, żeby poszedł spotkać się z nimi w hotelu.

W końcu się zgadza. Jest brudny, niechlujnie ubrany, ewidentnie na haju, więc początkowo nie wpuszczają go do hotelowego lobby, ale w końcu udaje mu się przekonać ochroniarza, że przyszedł z wizytą do przyjaciół.

Kiedy wychudzony jak szkielet i blady jak popiół, trzęsąc się i mówiąc coś niezbornie, chwiejnym krokiem wchodzi do ich pokoju, są przerażeni zarówno jego stanem fizycznym, jak i widocznymi śladami po ukłuciach strzykawki na ramionach. Błagają go, żeby pojechał z nimi do Nowego Jorku, gdzie będzie mógł się u nich zatrzymać i odtruć.

Może jego romans z ulicami San Francisco dobiegł końca, może jest zmęczony i przerażony, a może po prostu zainteresowała go możliwość zmiany miejsca i wciągnął Nowy Jork. Tak czy inaczej, zgodził się z nimi pojechać, ale najpierw ucieka jeszcze raz, żeby coś wziąć. Jego diler daje mu na pożegnanie w prezencie jakąś odstręczającą stertę metamfetaminy i Nic wciąga to wszystko przed wejściem na pokład samolotu.

W Nowym Jorku naszym przyjaciołom udaje się namówić go na wizytę u psychiatry, który specjalizuje się w problemach uzależnień. Lekarz przepisuje mu środki nasenne i Nic przesypia większość następnego tygodnia. Jakoś udaje mu się przetrwać fizyczne objawy odstawienia, towarzyszące udręce psychicznej – „wyrzuty sumienia, wstyd, niedowierzanie, pragnienie, żeby znowu coś zażyć, pragnienie śmierci", tak to opisuje w rozmowie telefonicznej.

Nie wiem, co mogę mu jeszcze powiedzieć poza tym, że go kocham i przy-

kro mi, że to jest takie trudne.

Tydzień później odbieram telefon. Dzwoni do mnie przedstawiciel banku, w którym miałem niegdyś rachunek. Ktoś wypisał czek na pięć tysięcy dolarów, opiewający na to zamknięte konto.

Wraz z każdym nowym aktem zdrady odżywają wszystkie gwałtowne emocje i wiele z nich zderza się wewnątrz mojej czaszki. W końcu świadomość, że ktoś cię obrabował, to bardzo bolesne, traumatyczne przeżycie. I to mój syn… Najpierw Karen, teraz ja.

Po jakimś miesiącu Nic dzwoni znowu, tym razem brzmi trochę lepiej. Vicki pomaga mu przenieść się do jakiegoś mieszkania na Brooklynie i Nic znajduje pracę. Uznawszy w jakimś momencie, że studia na uniwersytecie to głupota, teraz dochodzi do wniosku, że praca fizyczna za minimalną stawkę jest jeszcze głupsza, oświadcza więc, że zamierza wrócić na studia.

– Tym razem zrobię to na własny rachunek – mówi. – Spieprzyłem swoje wcześniejsze szanse, ale nie spieprzę następnej.

Opowiada, że nie może już nigdy więcej sięgnąć po kryształ, wie o tym, ale twierdzi, że według jego lekarza nic mu się nie stanie, jeśli czasem zapali trawkę albo wypije kieliszek wina; to pomoże mu „utrzymać równowagę". A więc jeszcze raz zbieram się w sobie. Mam powody do obaw. Badania przeprowadzone w UCLA pokazały, że u osoby uzależnionej występuje dwanaście razy większe ryzyko powrotu do metamfetaminy, jeśli pali trawkę albo pije alkohol.

Mimo to nie jestem przygotowany na telefon w niedzielę o piątej nad ranem. Podrywam się z łóżka, serce mi wali. Karen unosi głowę i patrzy na mnie.

– Co się dzieje?

Chwytam telefon i słabym głosem mówię „Halo".

To ojczym Nica. Ojczym Nica? W ciągu minionych dwudziestu lat rozmawiałem z nim może parę razy. O tej porze? Mówi mi, że jakiś lekarz właśnie dzwonił z Brooklynu. Nic jest w szpitalu, na oddziale ratunkowym, po przedawkowaniu.

– Jest w krytycznym stanie, podłączony do aparatury podtrzymującej ży-

cie.

Spodziewałem się wcześniej czy później takiego telefonu, ale wcale nie jest mi łatwiej, choć już tyle razy obracałem tę scenę w głowie.

Odkładam słuchawkę i mówię Karen, co się dzieje.

– Wyjdzie z tego?

– Nie wiem.

Zaczynam się modlić, błagać jakiegoś Boga, w którego nigdy nie wierzyłem.

– Boże, nie pozwól mu umrzeć. Błagam, nie pozwól mu umrzeć.

Dzwonię do tego lekarza, który wyjaśnia, że ktoś – jeden z dzieciaków, z którymi zadawał się minionego wieczoru, kiedy to się stało – zadzwonił na pogotowie, ponieważ Nic stracił przytomność. Wysłano karetkę do mieszkania. Właściciel mieszkania, kiedy ją zobaczył, zadzwonił do Vicki, która je dla Nica wynajmuje.

Lekarz powiedział mi, że gdyby ratownicy medyczni nie zareagowali natychmiast, Nic już by nie żył. Teraz ma przynajmniej szansę.

Nauczyłem się żyć z dręczącymi sprzecznościami, takimi jak świadomość, że osoba uzależniona może nie być odpowiedzialna za swój stan, a jednak zarazem to ona jest odpowiedzialna. Pogodziłem się także z tym, że mam problem, na który nie ma lekarstwa, i może nigdy nie być rozwiązania. Wiem, że muszę nakreślić jakąś linię na piasku – oddzielającą to, co mogę na siebie przyjąć, co jestem gotów zrobić, od tego, czego już nie mogę znieść i czego nie mogę już dłużej robić. Jednocześnie powinienem zachować elastyczność, przynajmniej na tyle, żeby móc tę linię zmazać i narysować ponownie. A teraz, kiedy Nic leży w szpitalu, uświadamiam sobie, że kocham go bardziej i z większym współczuciem niż kiedykolwiek.

Załatwiam sobie lot do Nowego Jorku i wrzucam kilka rzeczy do walizki.

Telefon dzwoni ponownie. To ten sam lekarz. Ma poważny, ale empatyczny głos. Mówi, że Nic powinien z tego wyjść. Jego parametry wracają do normy.

– Ten chłopak ma ogromne, naprawdę ogromne szczęście – dodaje na koniec. – Będzie miał jeszcze jedną szansę.

Mój syn będzie miał kolejną szansę. Po raz pierwszy od chwili, gdy rano zadzwonił telefon, mogę oddychać.

Jasper i Daisy już wstali. Wchodzą do pokoju i widzą, w jakim jestem stanie. Wyjaśniamy im wszystko razem z Karen. Mówimy, że po prostu mamy nadzieję, że Nic jakoś z tego wyjdzie.

Dzwonię do szpitala i pytam, czy mogę z nim rozmawiać. Lekarz odpowiada, że Nic teraz śpi, powinienem spróbować za kilka godzin. Chodzę tam i z powrotem. Chodzę po ogrodzie. Kilka razy rozmawiam z Vicki, pocieszamy się nawzajem. Nasze dziecko omal nie zmarło. Jasper i Daisy jeszcze raz pytają, czy z Nikiem wszystko będzie dobrze.

Jakąś godzinę później dzwonię do szpitala, łączą mnie z telefonem stojącym obok łóżka syna. Ledwie może mówić w jakiś bardziej spójny sposób, ale brzmi, jakby był zrozpaczony. Pyta, czy może zapisać się na kolejny program terapeutyczny, mówi, że to jego jedyna nadzieja. Opowiadam mu, że lecę do Nowego Jorku.

Godzinę później wyjeżdżam na lotnisko. W drodze dzwonię do szpitala, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać.

Pielęgniarka, która ma dyżur, mówi mi, że Nic się wypisał.

– Co pani ma na myśli, mówiąc, że się wypisał?

– Wypisał się, wbrew poleceniom naszych lekarzy. Wyciągnął sobie kroplówkę, cewnik i wyszedł.

Odkładam słuchawkę i zjeżdżam z autostrady. Wiem, że jeśli to przedawkowanie go nie powstrzyma, nic go nie powstrzyma.

Roztrzęsiony wracam do domu.

Wieczorem leżę w łóżku, wdycham zapach jaśminu rosnącego za oknem, wpatruję się w ciemność.

– Nie śpisz, Karen?

– A ty? – pyta.

Żadne z nas nie ma szansy na sen.

Nie potrafię pojąć, jak to się mogło stać, ale najbardziej prawdopodobny scenariusz polega na tym, że Nic nie potrafił znieść objawów odstawienia

narkotyku albo myśli, że mógłby wrócić do zdrowia, albo bólu, i po prostu wyszedł, żeby znowu coś wziąć. Pojawia się inna, dobrze znana, przerażająca myśl. Przygnieciony przez to wszystko, co się właśnie stało, czując się pokonany, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, poszedł się zabić.

Jego telefon milczy. Nie odzywa się.

Dzwoni rano. Brzmi sennie, mocno przygnębiony.

– Nic…

– Tak, wiem.

– Gdzie jesteś?

Mówi, że w swoim mieszkaniu.

– Ale co się stało? Dlaczego wyszedłeś ze szpitala?

– Byłem przerażony. Nie wiem. Musiałem się stamtąd wyrwać.

Wyobrażam sobie Nica w jakimś mieszkaniu w piwnicy ponurej kamienicy na Brooklynie, gdzie ostatnim razem go odwiedziłem – bez żadnych ozdób ani mebli, poza materacem na podłodze i szafką, którą Nic znalazł na ulicy, z zasłoniętymi żaluzjami, żeby odizolować się od światła. Wyobraziłem sobie, że po powrocie jedynie ściągnął buty, które wyjął ze swojej szafki w szpitalu, ale nawet nie próbował się rozebrać. Nadal ma na ramionach kawałki plastrów, którymi przyklejono mu kroplówkę. Dotarł jakoś do swojego mieszkania i wszedł do środka, a potem padł twarzą w dół na materac, jak gdyby rzucał się głową naprzód do własnego grobu.

Pyta mnie, czy planuję przyjechać. Czy przyjadę?

– Co zamierzasz zrobić?

Tym razem już bez przymusu postanawia wrócić na terapię. Błaga.

Czy to oznacza, że osiągnął dno? Wszyscy eksperci mówią, że osoba uzależniona osiąga dno, a potem w nowy sposób angażuje się w proces dochodzenia do zdrowia.

Lecę do Nowego Jorku, żeby mu pomóc w zapisaniu się do ośrodka Hazelden na Manhattanie. W deszczu biorę taksówkę, niebo jest barwy przymglonej lawendy. Jadąc w stronę miasta, usiłuję sobie wyobrazić, co będę czuł, kiedy go zobaczę. Ogromną radość, że on żyje. Wściekłość na myśl o tym, jak

niewiele brakowało, żeby ostatecznie zmarnować sobie życie.

Czekam na niego w lobby mojego hotelu, gdzie postanowiliśmy się spotkać.

Nagle staje przede mną.

– Hej, tato!

To zawsze dramatyczny moment, kiedy Nic się zjawia.

Mimo że stara się nadrabiać miną, wygląda jak ktoś, kto omal nie umarł z głodu. Jest blady, blady jak kreda, jak duch. Ma zdartą sportową kurtkę włożoną na T-shirt, wytarte dżinsy, zmaltretowane buty sportowe. Nasz uścisk jest sztywny. Moje uczucia zderzają się z lękiem o niego.

Zatrzymuje się na noc w moim hotelu. Dla zabicia czasu idziemy do kina na *Lewy sercowy*, a potem jemy makaron w jakiejś kafejce. Próbuje mi wyjaśnić, co się stało, ale staramy się jedynie przetrwać czas do rana, kiedy pojedziemy do ośrodka, gdzie ma się zgłosić. Ponownie.

Po kolacji oglądamy telewizję. W jednym z programów młodzi mężczyźni filmują się nawzajem podczas rozmaitych, niedorzecznych, upokarzających scenek. Wynajęto zawodowych bejsbolistów, żeby rzucali piłki, z szybkością sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, prosto w krocze chłopców o brudnych włosach. Kiedy piłka ich trafia, chłopcy zwijają się z bólu. Czemu ktoś puszcza coś takiego w telewizji? Dlaczego my to oglądamy?

Mamy dwa podwójne łóżka z grubymi, białymi kołdrami, nasze głowy spoczywają na miękkich, poduszkach. Oglądamy show Lettermana. W środku programu Nic nagle oświadcza, że ma coś do załatwienia, zanim będzie mógł się zapisać do Hazelden. Patrzę na niego, jakby postradał zmysły. Co właśnie się dzieje.

– Do załatwienia? Co masz do załatwienia?

– Nic wielkiego – odpowiada. – Wyjdę na chwilę i zaraz wrócę.

– Nie – mówię. – Cokolwiek masz do załatwienia w tym momencie, to oznacza kłopoty.

– Ale ja muszę – powtarza. – Muszę się zatroszczyć o kilka spraw.

Wkłada buty.

Nie potrafię go powstrzymać, więc mówię:

– Pójdę z tobą.

Wkładam buty, wychodzimy z hotelu, jest chłodna noc. Jedziemy metrem do East Village, zatrzymujemy się przy jakichś odrapanych blokach, naciskamy dzwonki domofonów, które na szczęście nie odpowiadają. Razem z Hinduską, która niesie zakupy, wchodzimy do jakiegoś budynku i wspinamy się na piąte piętro. Staję koło Nica, podczas gdy on wali w drzwi. Mówi, że musi odzyskać trochę pieniędzy.

Wreszcie daje za wygraną. Oddycham z ulgą, gdy prawie o drugiej w nocy taksówka wyrzuca nas wreszcie z powrotem pod hotelem. Jadąc windą, patrzymy w górę na malutki ekran telewizora, na którym leci kreskówka *Tweety and Sylvester*.

Rano kręcimy się w kółko, dopóki nie nadchodzi godzina przyjęcia Nica do ośrodka Hazelden, w rozległej kamiennej budowli przy parku Stuyvesant Square. Podczas gdy on rozmawia z lekarzami, czekam w parku, siedząc na ławce. Obserwuję grupę chłopców stłoczonych w rogu, niedaleko metalowej bramy. Dobijają jakiegoś narkotykowego targu.

Hazelden to przypuszczalnie najlepiej znany w całym kraju ośrodek leczenia uzależnień od alkoholu i narkotyków. Jego główna siedziba znajduje się w Minnesocie, ale prowadzą także programy w Nowym Jorku, Oregonie i Chicago. To nie jest program wstępny. Nic próbował już dwóch takich programów. Tym razem program potrwa sześć miesięcy, a może nawet dłużej, w zależności od tego, jak będzie sobie radził. Zamiast przyspieszonego kursu terapeutycznego, wciśniętego w cztery tygodnie, pacjenci muszą jednocześnie pracować albo chodzić do szkoły. Rzecz w tym, żeby nauczyli się włączać w proces dochodzenia do zdrowia w swoje codzienne życie. Odbywają się regularne spotkania z terapeutami pracującymi w ośrodku. Jest terapia grupowa i obowiązkowe mityngi AA. Pacjenci wykonują także prace fizyczne. Obowiązuje długa lista zasad, ale w przeciwieństwie do innych programów pacjenci mogą wychodzić z ośrodka i wracać, kiedy im się podoba, pod warunkiem że będą obecni na kolacji oraz podczas obowiązkowych spotkań i wizyt lekarskich, a także będą wracać na noc przed wyznaczoną godziną.

Nic macha z otwartych drzwi budynku. Pora na mnie. Wchodzę na górę i siadamy w dużym holu obstawionym półkami na książki, o barwie wiśniowego drewna. Nie mamy sobie wiele do powiedzenia, ale siedzimy przez

chwilę na skórzanych kanapach. Kiedy pracownik ośrodka wzywa Nica – mówi, że przyszedł czas, żeby się pożegnał i poszedł na badania – wstajemy i przez chwilę patrzymy na siebie. Obejmujemy się. Jego ciało wydaje się tak kruche, jakby miało rozpaść się na kawałki.

Rozdział 18

Z oddali obserwuję tygodnie, a potem miesiące jego dochodzenia do zdrowia. Starając się jakoś wykorzystać ten czas, nadal prowadzę poszukiwania związane z metamfetaminą. Tym razem przeprowadzam rozmowy z najwybitniejszymi specjalistami w kraju w tej dziedzinie. Zadaję im wszystkim jedno pytanie, dla mnie najważniejsze, co byś zrobił czy zrobiła, gdyby ktoś z twoich najbliższych uzależnił się od tego narkotyku.

Zgodnie powtarzają, że pierwszy krok powinien polegać na ocenie sytuacji. Jeśli osoba uzależniona przeżywa metamfetaminową psychozę, należy podać jej środki uspokajające i inne leki („Czasami odbija im tak mocno jak wariatom, i trzeba się z tym jakoś uporać", powiedział mi doktor Ling z UCLA). Chociaż w przypadku osób uzależnionych od mety występuje trzy do czterech razy większe prawdopodobieństwo, niż u innych uzależnionych, że będą także cierpieli na inne choroby o charakterze psychiatrycznym, symptomy dolegliwości jednego i drugiego rodzaju trudno czasami odróżnić od objawów towarzyszących odstawieniu narkotyku. Niektórzy lekarze rutynowo leczą uzależnionych z depresji. To jest kosztowna propozycja i część badaczy uważa, że pacjenci powinni przynajmniej przez miesiąc być wolni od mety, zanim przeprowadzi się u nich diagnozę i rozpocznie leczenie innych dolegliwości.

Eksperci nie są zgodni co do tego, czy skuteczniejsze są programy terapii w ośrodkach zamkniętych, czy prowadzone ambulatoryjnie. Te pierwsze są kosztowne, ale zapewniają bezpieczne i kontrolowane warunki, w których można ściśle monitorować zachowanie pacjenta. Jednak przy tej wersji leczenia przejście od terapii do zwykłego życia może okazać się trudne i pacjenci po zwolnieniu z ośrodka czy szpitala często wracają do narkotyku. Pacjenci pozostający w programach otwartych uczą się włączać wysiłek dochodzenia do zdrowia w swoje normalne życie, ale w tym przypadku są narażeni na liczne okazje do zejścia z drogi trzeźwości. Większość ekspertów powiedziała mi, że w idealnych okolicznościach wybrałaby możliwie najdłuższy program zamknięty, po czym powinien nastąpić okres stopniowego przechodzenia do rozbudowanego programu otwartego, który trwałby rok albo dłużej. Na początku tego okresu pacjent powinien uczestniczyć w czterech albo pięciu dziennych lub wieczornych sesjach terapeutycznych tygodniowo, po czym częstotliwość tych sesji można by zmniejszyć, dochodząc z czasem

do jednego spotkania w tygodniu.

Eksperci zgadzają się, że niezależnie od tego, czy program jest otwarty, czy zamknięty, nie ma wielkiego sensu rozpoczynanie terapii behawioralnej i poznawczej w początkowym okresie odstawienia narkotyku. Takie środki wspomagające jak masaż, akupunktura i programy ćwiczeń fizycznych, w połączeniu ze starannie monitorowanym podawaniem środków uspokajających mogą najskuteczniej pomóc pacjentowi przetrwać najgorsze etapy okresu odstawienia od narkotyku. Wydaje się, że osoby uzależnione uczestniczące w programach prowadzonych ambulatoryjnie korzystają z nich najwięcej, gdy otrzymują w ośrodku pomoc w układaniu planu życia, zgodnie z którym następnie postępują aż do kolejnego spotkania z terapeutą. Podstawową rolę w tym procesie odgrywają, zdaniem ekspertów, testy narkotykowe, w połączeniu z surowymi karami za powrót do narkotyków. Terapię behawioralną i poznawczą należy wprowadzać powoli. Kiedy już się je rozpocznie, trzeba ściśle monitorować rezultaty, aby ich przebieg odzwierciedlał możliwości uczestniczenia w terapii osoby uzależnionej. Niektórzy lekarze zalecają psychoterapię, ale większość jest przeciwnego zdania. „Przypuszczalnie niewiele daje" – mówi doktor Rawson z UCLA. – „Sama rozmowa nie dociera wystarczająco głęboko do problemów w mózgu". Doktor Ling dodaje: „Zrozumienie problemu nie zmieni życia osoby uzależnionej. Natomiast nauka nowych zachowań – tak". Lekarze rzeczywiście przepisują choremu psychoterapię oraz leczenie farmakologiczne, jeśli nie ulega wątpliwości, że oprócz uzależnienia pacjent cierpi także na depresję, chorobę dwubiegunową, przeżywa silne stany lękowe albo ma inne dolegliwości.

Pierwszym celem leczenia jest utrzymanie osoby uzależnionej w procesie terapeutycznym na tyle długo, by mogła uczestniczyć w terapii poznawczej, behawioralnej, podczas której pacjenci uczą się, albo na nowo się uczą, różnych zachowań. W ośrodkach terapii uzależnienia narkotykowego Matrix, założonej przez Rawsona i jego kolegów z UCLA, stosuje się wiele różnych terapii tego rodzaju. Program Matrix, opracowany z myślą o uzależnionych od kokainy, został zaadaptowany na potrzeby uzależnionych od metamfetaminy. Obejmuje terapie, które uczą uzależnionych unikania, o ile to możliwe, albo „reinterpretowania", jeśli to się nie udaje, sytuacji, które poprzednio prowadziłyby do ponownego sięgnięcia po narkotyk. W teorii nowe zachowania z czasem stają się nawykiem. W programach opartych na idei Matrixu uzależnionych uczy się przerywania swoich normalnych reakcji na gniew,

rozczarowanie oraz inne emocje. Dowiadują się przy tej okazji o takich elementach uzależnienia jak „zasysanie" (*priming*) i „sygnalizowanie" (*cueing*), które często prowadzą do nawrotów. Zasysanie, jak w zasysaniu pompy, to mechanizm, który sprawia, że pojedyncze albo przypadkowe sięgnięcie po narkotyk przekształca się w regularny narkotykowy ciąg i powrót do brania. Ponieważ osoba uzależniona może popełnić taki błąd na różnych etapach swojego powrotu do zdrowia, program uczy reinterpretowania incydentu. Zamiast reagować na mechanizm „zasysania" i poddać się jego działaniu, osoba uzależniona może przerwać proces w „wybranym punkcie". Taki moment można postrzegać jako szansę na sięgnięcie po alternatywny rodzaj zachowań. Sygnalizowanie prowadzi do sięgnięcia po narkotyk, gdy osoba uzależniona natyka się na jakiś impuls uruchamiający cykl intensywnego pożądania określonych przeżyć, który często prowadzi do wzięcia narkotyku. Zacząłem rozumieć, w jaki sposób działa taki sygnał, gdy przypomniałem sobie o odmiennych reakcjach, moich i Nica, na film *Requiem dla snu*. Nic uwielbiał tę bezlitośnie posępną opowieść Darrena Aronofsky'ego o chłopcu i jego matce uzależnionej od narkotyków i opętanej na punkcie speedów. Dla mnie była nieznośna. Nawet znajomi, którym podobał się ten film, czuli się przygnębieni jego posępną aurą i atmosferą deprawacji, ale Nic był nim zachwycony. Powiedział mi później, że sceny zażywania narkotyków, którym towarzyszyła pulsująca muzyka Kronos Quartet, dla większości widzów niemal nieznośne, działające jak sygnał ostrzegawczy, na niego wpływały zupełnie inaczej – pragnął znaleźć się na haju.

Badania wykazały, że takie sygnały gwałtownie zmieniają reakcje organizmu osoby uzależnionej. I wcale nie muszą być czymś tak oczywistym, jak widok igły. Wskazówką może być cokolwiek, od zapachu substancji chemicznej przypominającej odór palenia się metamfetaminy w lufce po „osoby, miejsca i rzeczy" kojarzące się z narkotykami. Dla niektórych uzależnionych to będzie dzień wypłaty, róg ulicy, piosenka albo jakiś dźwięk – subtelny, niezwracający uwagi pozostałych. Wiele osób uzależnionych od mety kojarzy ten narkotyk z seksem. Jak ujął to licealny casanova w pilocie serialu *Sześć stóp pod ziemią*, meta „po prostu sprawia, że wszystko pali się o wiele jaśniej, a seks staje się absolutnie pierwotny". Choć większość osób stale zażywających ten narkotyk w końcu nie jest w stanie uprawiać seksu, pobudzenie erotyczne – wszystko, od pornografii po sytuacje o charakterze seksualnym – może pozostać potężnym mechanizmem wyzwalającym chęć sięgnięcia po

narkotyk. Jak powiedział doktor Rawson: „Próbę przerwania na tym etapie procesu zażywania narkotyku można porównać do próby zatrzymania gołymi rękami rozpędzonego pociągu". Jednak doktor Shoptaw, z UCLA, opracował szereg konkretnych technik terapeutycznych, stworzonych z myślą o gejach uzależnionych od narkotyków, którzy kojarzą metę z seksem, pomyślanych w taki sposób, aby pomóc im w zmodyfikowaniu swoich reakcji na pobudzenie seksualne. Koncepcja opiera się na przekonaniu, że każde zachowanie, w tym także zachowania, które wydają się automatyczne albo odruchowe, wynikające z kompulsji, można przekształcić w zachowania świadome, a następnie je przerwać. Można nauczyć osobę sięgającą po narkotyki, aby zatrzymała poruszający się pociąg, i zadzwoniła do sponsora z AA albo doradcy narkotykowego, wzięła udział w spotkaniu terapeutycznym, poszła ćwiczyć do siłowni albo wybrała jakieś inne, konstruktywne zachowanie. I w tym przypadku, aby doszło do jakiejś zdecydowanej zmiany zachowań, zwykle potrzeba dłuższego okresu spędzonego na terapii – mierzonego miesiącami, jeśli nie latami. W trakcie takiego procesu mózg osoby uzależnionej przypuszczalnie regeneruje się i poziomy dopaminy – być może – wracają do normy. Cykl abstynencji zastępuje cykl uzależnienia.

Niedawne próby kliniczne pokazały, że uzależnieni od mety pozytywnie reagują na nagradzanie, w stylu skinnerowskim, próbek czystego (to znaczy wolnego od narkotyków) moczu niewielkimi sumami w gotówce albo voucherami na najróżniejsze rzeczy, od szczepień dla dziecka po wejściówkę na lodowisko albo jakiś talon, który można zamienić na naprawę zepsutej kosiarki. W badaniu UCLA okazało się, że takie strategie zarządzania zachowywaniem czystości, traktowane jako uzupełnienie programu terapii poznawczej i behawioralnej, prowadzą u osób badanych do dwu- albo trzykrotnego wzrostu poziomu abstynencji w porównaniu z osobami uczestniczącymi jedynie w programach terapii poznawczej i behawioralnej.

Pomocne mogą okazać się także leki. Osoby uzależnione od metamfetaminy nie mogą w tym momencie liczyć na żaden odpowiednik metadonu. Nie ma także leków pozwalających zneutralizować metę w przypadku przedawkowania, przeciwdziałających pojawieniu się większości objawów, pomagających w leczeniu następstw jej neurotoksyczności albo pozwalających przerwać stan narkotykowego oszołomienia. Ta sytuacja po części wynika z tego, że nie prowadzono dotychczas aż tak wielu badań nad metamfetaminą jak nad heroiną i kokainą, które od dawna nękały Wschodnie Wybrzeże USA,

zwłaszcza tereny od Nowego Jorku po Waszyngton. Metamfetamina nie przykuwała uwagi polityków ani osób decydujących o rozdziale pieniędzy na badania, choć ta sytuacja zmienia się w miarę jak meta coraz intensywniej dociera na wschód. Innym czynnikiem może być prostsza molekularna struktura heroiny w porównaniu z metamfetaminą. „Metamfetamina jest brudniejsza", jak wyjaśnił mi jeden z badaczy. Tak czy inaczej, ze względu na niezwykły poziom szkodliwości tego narkotyku, nawet w porównaniu z heroiną i kokainą, oraz przygnębiająco znikome efekty stosowanych obecnie terapii, lekarze rozpaczliwie czekają na jakieś leki, które pomogłyby zwiększyć szansę uzależnionych na wyjście z nałogu. Oczekiwaliby na zastąpienie dopaminy inną substancją, zwiększenie zakresu regeneracji uszkodzonych połączeń nerwowych albo leczenie lub choćby osłabianie szkodliwości objawów. Jednak najważniejsi specjaliści działający w tej dziedzinie przyznają, że w najbliższym czasie ich wysiłki nie zapowiadają większych sukcesów. Jeden z lekarzy uczestniczących we wstępnej fazie prób klinicznych leku, który mógłby pomagać w łagodzeniu objawów odstawienia narkotyku, przyznał: „Sukces, dla mnie? Skromne efekty u mniejszej części pacjentów. Moje oczekiwania sięgają od zera do kilku procent, więc będę naprawdę szczęśliwy, jeśli to będzie kilka procent". A uczestniczył w badaniach nad jednym z najbardziej obiecujących lekarstw.

Ponieważ depresja odgrywa najważniejszą rolę w początkowych fazach odstawienia narkotyku, niektórzy badacze twierdzą, że mogłyby pomóc środki antydepresyjne. Jednak wstępne badania skuteczności prozacu, zoloftu i innych selektywnych inhibitorów zwrotnego wychwytu serotoniny (SSRI) wskazują, że są one niezbyt skuteczne. Uczeni badają obecnie skuteczność innych antydepresantów, w tym bupropionu (wellbutrin), który wchodzi w interakcję ze specyficznymi podsystemami przekaźników i receptorów serotoniny i dopaminy oraz leku o nazwie ondansetron. Planuje się wiele innych prób klinicznych. Badacze w całej Ameryce Północnej mówili mi o dziesiątkach leków, które mogłyby okazać się pomocne. Jednym z nich jest lewodopa (L-Dopa), którą wykorzystuje się w zapobieganiu procesom degeneracyjnym u osób cierpiących na chorobę Parkinsona. Lek zasadniczo zastępuje brakującą dopaminę, choć wydaje się, że jego skuteczność z czasem maleje. Kiedy podawano go uzależnionym od kokainy, nie wpływał na ich stan. Jednak według badaczy, którzy prowadzili tę próbę kliniczną, lek może mieć silniejsze działanie u uzależnionych od metamfetaminy, ponieważ poziom

dopaminy u nich jest prawie zerowy w porównaniu z niewielkim obniżeniem jej poziomu u osób zażywających kokainę.

Nawet jeśli okaże się, że pewne leki wspomagają proces odstawiania mety albo są pomocne w innych stadiach dochodzenia do zdrowia, zdaniem badacza Gantta Gallowaya, nie będą mogły odegrać roli istotniejszej niż peryferyjna. „Nigdy nie będzie lekarstwa, które sprawi, że najpierw sprawdzisz przez wizjer, kto do ciebie dzwoni, a jeśli to jest twój diler, to nie otworzysz drzwi" – mówi Galloway. „I nawet jeśli przeprowadzisz idealne odtrucie i przejdziesz wspaniałą farmakoterapię, jeśli uda się doprowadzić twój mózg dokładnie do takiego stanu, w jakim się znajdował, zanim zacząłeś brać metę, zegar zacznie odmierzać czas od początku. To jak w filmie *Dzień świstaka*. Trzeba w tym momencie przerwać cały proces z pomocą terapii behawioralnej i poznawczej, nauczyć ludzi alternatywnego sposobu przeżywania swojego życia".

Nic odzywa się do mnie od czasu do czasu. Razem z całą grupą pacjentów z Hazelden każdego wieczoru bierze udział w spotkaniach AA. Z typowym dla siebie poczuciem humoru opisuje wspólne wyjście na miasto. „To niezły widok, kiedy tak idziemy przez miasto – opowiada – banda wdzięcznych nieudaczników".

Wracam na swoje mityngi. Te spotkania Al-Anonu nie są lekarstwem na wszystko, ale jeszcze raz podnoszą mnie na duchu, kiedy słucham opowieści innych, chociaż zawsze są takie smutne. Po jednym spotkaniu tuż po południu, na którym krótko zabieram głos – niepewnie zaczynam: „Mój syn znowu jest w ośrodku terapeutycznym" – podchodzi do mnie jakaś kobieta i nieśmiało wręcza mi ulotkę zatytułowaną „3 poglądy Al-Anonu". „To mi pomaga", mówi.

W domu czytam ulotkę. To „List od uzależnionego". „Nie dawaj wiary moim obietnicom. Obiecam ci wszystko, żeby poczuć ulgę. Ale natura mojej choroby powoduje, że nie mogę dotrzymywać swoich obietnic, nawet jeśli składałem je szczerze… Nie wierz we wszystko, co ci mówię: to może być kłamstwo. Zaprzeczanie rzeczywistości jest jednym z objawów mojej choroby. W dodatku zwykle tracę szacunek dla osób, które mogę zbyt łatwo wywieść w pole. Nie pozwól mi na to, żebym ciebie wykorzystywał czy nadużywał w jakikolwiek inny sposób. Na dłuższą metę nie można mówić o miłości,

jeśli nie ma w niej pewnej miary sprawiedliwości".

Skoro Nic ponownie się leczy, razem z Karen wypożyczamy z biblioteki książki dla dzieci poświęcone uzależnieniom, a potem czytamy je Daisy i Jasperowi. Robimy, co w naszej mocy, żeby zachęcić dzieciaki do rozmowy o tym, co czują, żeby mogły się otworzyć. Spotykamy się z ich nauczycielami i wypytujemy, jak sobie radzą. Jak na razie, słyszymy, wygląda na to, że radzą sobie dobrze.

W grudniu kończy się nowojorski program zamknięty w ośrodku Hazelden. Organizacja, która nadal prowadzi na Manhattanie program ambulatoryjny, tłumaczy swoją decyzję względami ekonomicznymi – nie wystarcza pacjentów, którzy sami za siebie płacą, aby wypełnić kilkadziesiąt łóżek w ośrodku. Nic obawia się powrotu w rejon zatoki San Francisco, który kojarzy mu się z metą, i postanawia, wspierany w tej decyzji przez swojego psychologa, przenieść się do Los Angeles i zamieszkać bliżej Vicki.

Herbert House w Culver City, ośrodek dla osób zachowujących abstynencję, to w rzeczywistości kilka radosnych, pomalowanych na biało bungalowów, porośniętych różami; na niedużych gankach stoją bujane ławeczki i fotele na biegunach. Wszystkie domki są zwrócone w kierunku znajdującego się pośrodku ceglanego dziedzińca, na którym rosną palmy, stoją piknikowe stoliki i inne meble ogrodowe – swego rodzaju Melrose Place dla uzależnionych.

Nic lubi to miejsce i dobrze się w nim czuje. Zaprzyjaźnia się z innymi pacjentami i nawiązuje szczególnie bliską więź z dyrektorem tutejszego programu, empatycznym mężczyzną o imieniu Jace, który poświęcił swoje życie pomaganiu uzależnionym od narkotyków i alkoholu. W Herbert House obowiązują ścisłe zasady – rezydenci są zobowiązani do wykonywania prac fizycznych i wszyscy muszą co wieczór uczestniczyć w zebraniach mieszkańców. Nic bierze udział także w ambulatoryjnym programie terapeutycznym w okolicy, spotyka się z nowym psychiatrą i pracuje ze swoim sponsorem z AA, mężczyzną o imieniu Randy, do którego jeździ na rowerze długą trasą wzdłuż nadbrzeżnej autostrady. Randy ma intensywnie błękitne oczy, zachowuje trzeźwość od ponad piętnastu lat. Nic opowiada, że Randy jest dla niego źródłem inspiracji, „Pokazuje mi, jak może wyglądać dobre życie".

Przez telefon słyszę znowu głos dawnego Nica, który myśli, jak należy. Niemal nie sposób pogodzić go z osobą, jaką się staje, kiedy bierze narkotyki.

Dochodzę do wniosku, że metodą prób i błędów, dzięki swojej wytrwałości i miesiącom spędzonym w Hazelden, wsparciu ludzi z Herbert House, sesjom programu otwartego, mityngom AA oraz rozmowom z Randym i wsparciu innych przyjaciół wychodzących z nałogu, Nic stworzył sobie rozległy program dochodzenia do zdrowia. I jeśli sądzić na podstawie tego, czego dowiedziałem się od specjalistów, odzwierciedla on wymarzoną sytuację, w jakiej powinni znaleźć się wszyscy uzależnieni od metamfetaminy.

Przyjaciele z AA pomagają Nicowi znaleźć pracę technika w Promises, kolejnym znanym programie leczenia osób uzależnionych od narkotyków i alkoholu, tym razem w Malibu. Wozi pacjentów na spotkania i umówione wizyty z lekarzami, rozdziela lekarstwa i asystuje doradcom w wielu rozmaitych obowiązkach. To praca dająca satysfakcję. Ma coś do zaoferowania światu – może pomóc innym, a jednocześnie pomaga sobie samemu.

W lipcu Nic kończy dwadzieścia jeden lat. Aby uczcić jego urodziny, odwiedzam go w Los Angeles. W ciepłe letnie popołudnie odbieram go sprzed Herbert House. Wskakuje do samochodu. Ściskamy się. Mam wrażenie, że znowu jest sobą. Dwudzieste pierwsze urodziny to kamień milowy w życiu każdego człowieka, ale to także kamień milowy dla rodziców. Dla mnie to kolejny cud.

Musiało upłynąć trochę czasu, zanim Karen uznała, że jest gotowa na spotkanie z Nikiem. Na razie jednak nie godzimy się na kontakt z Jasperem i Daisy. Nie chcemy, żeby znowu poczuli się zranieni. Wszyscy jesteśmy ciągle rozdarci przez toczącą się w nas wojnę naszych obaw i naszej miłości. Chcemy chronić Daisy i Jaspera, a jednocześnie wiemy, że oni go kochają, a on kocha ich. Po raz setny zadajemy sobie pytanie, skąd mamy wiedzieć, kiedy możemy znowu mu zaufać.

Wreszcie, pod koniec lata, Karen i dzieciaki przyjeżdżają razem ze mną na spotkanie z Nikiem do Los Angeles. Spotykamy się wszyscy na plaży, gdzie Nic buduje z Jasperem i Daisy zamki z piasku i bawi się wśród fal. Potem odwiedzamy go przez kilka następnych weekendów. Zaglądamy także do niego do pracy i Nic przedstawia nas swoim kolegom, którzy najwyraźniej go uwielbiają – jak się wydaje, z wzajemnością. Zabiera nas na inną, ukrytą plażę w okolicach Malibu, na którą można się dostać po długim marszu stromą ścieżką w dół. Innym razem wędrujemy przez jakiś kanion z jego matką i psami jego ojczyma, Paysonem i Andrew. (Nic czasami zajmuje się psami,

kiedy Vicki nie ma w domu). Wspinamy się jakimś szlakiem, aż wreszcie docieramy do miejsca, skąd rozciąga się rozległy widok na całą okolicę, od Hollywood po ocean. Wypożyczamy rowery, Nic przyjeżdża na spotkanie na swojej kolarce, a potem jedziemy wszyscy razem wzdłuż nadmorskiej promenady w Venice, zatrzymując się po drodze, żeby oglądać artystów graffiti i ludzi ćwiczących ze sztangami. Jak zawsze, jeździmy do muzeów i galerii – w MOCA oglądamy kolekcję prac Royal Art Lodge, a w Angles Gallery, w Santa Monica, wystawę tysięcy fotografii Nica Taggarta, jakie przez trzynaście lat każdego ranka robił, dosłownie tuż po przebudzeniu, swojej żonie i współpracowniczce Laurze Cooper. Zwykle jemy obiad w tych samych restauracjach, jakimś koreańskim barbecue albo malutkim barze sushi, gdzie gra głośna muzyka reggae. Większość czasu spędzamy na plaży, ale jak zawsze chodzimy do kina. Nic widział już *Trio z Belleville*, ale idzie z nami jeszcze raz, ponieważ chce, żeby Jasper i Daisy także zobaczyli ten film. Po seansie razem z Jasperem śpiewają z hinduskim akcentem, zupełnie tak jak w reklamie poprzedzającej film. Nic zaczyna:

– Czy ten film jest już wyprzedany, mój mężu?

– Chitra, moja królowo, użyłem Fandango.

– Moja radość jest jak złoty poemat.

– Pójdę po popcorn.

Dzwoni często. Mamy teraz bliski kontakt przez telefon. Czasami po prostu gadamy o niczym, czasami o jego dochodzeniu do zdrowia. Zawsze rozmawiamy o filmach i książkach. Zwłaszcza o filmach. Wprost nie możemy się doczekać tych rozmów, jeśli któryś z nas zobaczył jakąś nową produkcję jednego z naszych ulubionych reżyserów, czy to będzie Spike Jonze, David O. Russell, Todd Solondz, bracia Coen, P.T. Anderson, Wes Anderson, Pedro Almodóvar czy Robert Altman; poza tym uwielbiamy wszystko, co napisał Charlie Kaufman. Doradzam mu, jakie filmy wypożyczyć – *Rzeki i przypływy* – albo Nic poleca coś mnie i Karen – *Osiem kobiet* François Ozona albo swój ulubiony film w tym okresie, *Gorzkie łzy Petry von Kant* Wernera Fassbindera. „Czytałeś tekst Anthony'ego Lane'a o nowych *Wojnach gwiezdnych*?", pyta mnie pewnego dnia. A potem czyta na głos: „A zatem, kiedy już o tym mowa, [o Yodzie], o co chodzi z tą porąbaną składnią? Najgłębszy umysł w całej galaktyce, najwyraźniej, a mimo to nadal wysławia się, jak przymulony użyt-

kownik jakichś zdartych rozmówek. Mam nadzieję, rację masz. No nie, wolne żarty".

Czasami opowiada mi o swoich sukcesach, które dla kogoś innego byłyby bez znaczenia, a dla niego to herkulesowe wyczyny. Zwykłe drobiazgi: założył sobie konto w banku i dostał kartę kredytową. Odłożył trochę pieniędzy. Kupuje za czterysta dolarów jakąś mazdę z piątej ręki, a potem nowy rower. Przenosi się do nowego mieszkania: wynajmuje pokój od sponsora Randy'ego, niezwykle sympatycznego, siwowłosego mężczyzny z brodą, który chodzi o lasce. Ted od trzydziestu lat zachowuje trzeźwość i pomógł wielu młodym ludziom wyjść z nałogu.

A jednak przychodzą czasem dni, kiedy Nic jest udręczony. Słyszę to w jego głosie. Czuje się samotny. Ma Randy'ego i dobrych przyjaciół, ale chciałby, żeby w jego życiu pojawił się ktoś szczególny. Coraz bardziej przygniatają go obawy o przyszłość. Przeżywa wahania nastrojów, tęskni za narkotykami. W naszych rozmowach otwarcie opisuje swoje górki i dołki, czasem ze stoicką determinacją, kiedy indziej starając się powstrzymać łzy. „Czasami nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o braniu" – mówi. – „Czasami to jest za trudne. Wydaje mi się wtedy, że po prostu nie dam rady. Ale dzwonię do Randy'ego. To naprawdę pomaga, kiedy robisz to, co ci mówią".

We wrześniu Nic świętuje rok swojej trzeźwości. I niezależnie od tego, jak bardzo urodziny dziecka są ważne dla rodzica, jak wiele znaczyły dla mnie jego dwudzieste pierwsze urodziny, rok dochodzenia do zdrowia znaczy więcej.

Od czasu do czasu Nic opowiada nam trochę o swoim nowym romansie, z Z., a potem pewnego dnia dzwoni i prawie płacze. Dziewczyna z nim zerwała. Wcześniej zadzwoniłby do dilera czy do któregoś ze swoich zaćpanych przyjaciół albo skombinował jointa, albo poszedł na piwo. Teraz dzwoni do Randy'ego.

– Przyjedź tutaj, Nic – mówi Randy. – Pojeździmy na rowerach.

Jeżdżą przez trzy godziny – w górę kanionu Temescal. Dwa razy. Potem Nic dzwoni do mnie, podekscytowany:

– Dam sobie radę. Wszystko będzie dobrze.

Miesiąc później przestaje odpowiadać na moje telefony. Dzieje się coś niedobrego.

Podczas naszej ostatniej rozmowy przyznał, że cały czas mocno przeżywa rozstanie. Powiedział wtedy: „Nie potrafię przestać o niej myśleć".

Jest ranek trzeciego dnia od naszej ostatniej rozmowy. Po francuskich tostach Daisy i Jasper przez chwilę bawią się w swoim pokoju, a potem, chociaż siąpi, wybiegają na dwór. Zanim udaje mi się ich złapać, robi się późno. Biorą prysznic, przebierają się, przypominam im o umyciu zębów, Daisy pyta, czy może użyć akustycznej szczoteczki do zębów.

– Akustycznej szczoteczki?

– Takiej zwykłej. Nie tej elektrycznej.

Daisy bardzo poważnie podchodzi do mycia zębów, odkąd zdjęto jej aparat. Ale został jeszcze mały kawałek.

– Nie mogę się powstrzymać, żeby nie manipulować przy nim językiem – mówi.

– Spróbuj tego nie robić – odpowiadam.

– Ale to zbyt pociągające.

Dzieciaki biegają po domu, zbierają swoje zeszyty, wtykają je do plecaków. Karen zabiera się za splątane warkocze Daisy, a potem zawozi ich oboje do szkoły. Kiedy zostaję sam, mogę wreszcie rozpaść się na kawałki. Znowu.

Skąd mogę wiedzieć, że coś się stało? Nie chodzi o to, że nie odzwonił. Czy to rodzicielska intuicja? Czy były sygnały ostrzegawcze, które powoli przesączyły się do mojej świadomości? Jakieś wskazówki w jego słowach, które odczytałem na poziomie podświadomości? A może chodziło o coraz dłuższe pauzy między jego słowami?

Gdzie on jest? Nie chcę przyjąć do wiadomości najbardziej prawdopodobnej odpowiedzi: znowu wrócił do narkotyków.

Przecież radził sobie dobrze. Może nie wszystko szło idealnie, ale ma grupę przyjaciół, którzy go wspierają, i dobrą pracę. Jeździ na rowerze, pisze. Chodzi na spotkania AA, w tym na niektóre w Herbert House, gdzie widuje się z Jace'em i swoimi przyjaciółmi. Z Randym, prawdopodobnie najbliższym

przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał, z całym oddaniem pracuje nad dwunastoma krokami samooceny, wyciszenia oraz nad czymś, co sam nazywa „budową nowego charakteru". W sumie wydaje się pełen entuzjazmu dla swojego nowego życia. Wiem, że czasami czuje się samotny, ale kto się nie czuje? Czasami ma dołek, ale kto ich nie ma? Czasami czuje się przygnieciony przez życie, ale kto się nie czuje?

A jednak na pewno wrócił do brania. Jak inaczej wyjaśnić jego zniknięcie? Czy popadam w paranoję? Mam powody do zachowywania szczególnej czujności, wychwytywania wszelkich sygnałów wskazujących na to, że dzieje się coś złego, ale muszę mu pozwolić żyć własnym życiem. Może ma nową dziewczynę. A może po prostu jest przygnębiony i pragnie przez pewien czas pobyć sam ze sobą. W moim życiu też bywały okresy, gdy potrzebowałem zerwania kontaktu z rodzicami.

Dzwonię do Vicki, która zapewnia mnie, że widziała go wczoraj albo przedwczoraj i był w świetnej formie.

Mimo to proszę ją, żeby poszła do mieszkania Nica i sprawdziła.

Po godzinie dzwoni i mówi, że współlokator go nie widział. Nic nie spał tej nocy w swoim łóżku. Dzwonimy do Promises i jeden z jego współpracowników mówi, że od dwóch dni nie pokazuje się w pracy. Dzwonimy do jego przyjaciół, którzy także nie mają od niego żadnych wiadomości. Wczoraj jeden z nich był umówiony z Nikiem na lunch, a potem mieli razem jeździć na rowerach, ale się nie zjawił. Dzwonię na policję, żeby się dowiedzieć, czy nie było jakiegoś wypadku. Jeszcze raz obdzwaniam szpitalne oddziały ratunkowe. Jego matka jedzie na posterunek policji w Santa Monica i składa zawiadomienie o zaginięciu.

Mężczyzna.

Rasy białej.

Lat dwadzieścia jeden.

Jego jasne loki z dzieciństwa przybrały z czasem miedzianą barwę. Ma zielono-brązowe oczy, oliwkową cerę, jest opalony na brąz. Uśmiecha się ujmująco. Ma nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jest szczupły, ma muskularne ramiona, klatkę piersiową pływaka, mocne uda i łydki kolarza. Jeśli nie ma na sobie koszulki i spodenek do jazdy na rowerze, zwykle nosi dżinsy, T-shirt, sportowe buty, na prawym ramieniu ma znamię w kształcie truskawki.

Próbuję się jakoś pozbierać, w obecności Jaspera i Daisy sprawiać wrażenie, że się trzymam. Nie chcemy mówić im o Nicu, dopóki sami nie dowiemy się więcej. Nie chcemy ich martwić jeszcze bardziej. Mają zaledwie siedem i dziewięć lat. Co mamy im powiedzieć? „Wasz brat zniknął. Znowu. Może wrócił do narkotyków. Znowu. Nie wiemy, co się z nim dzieje".

Ale wkrótce będziemy musieli im coś powiedzieć. Nie możemy długo ukrywać własnej udręki i histerii, która ponownie zaczyna rządzić w naszym domu. Potrzeba mnóstwo energii, wysiłku, żeby wykonywać te wszystkie ruchy, jakie składają się na codzienne życie, ze skurczonym żołądkiem, pospiesznie bijącym sercem, i tymi wszystkimi nieuchronnymi wideoklipami w wysokiej rozdzielczości, rodem z serialu *SCI*, które ciągle wyświetlają się w mojej głowie. Wszystkie te najbardziej ponure, przygnębiające, najgorsze rzeczy, jakie zdarzają się nocami dzieciakom na ulicach.

Cały czas wydzwaniam na komórkę Nica, ale za każdym razem odzywa się jego beznamiętna, automatyczna sekretarka: „Hej, tu Nic, zostaw wiadomość". Wielokrotnie dzwonię do jego matki, pytając o wiadomości, ale nie ma nic nowego. W jakimś momencie, pod wpływem irracjonalnego pomysłu, dzwonię na zaczynający się na 800 numer biura obsługi klienta w naszej wspólnej sieci telekomunikacyjnej, żeby spytać, czy były niedawno rozmowy z komórki Nica albo na jego numer. Operatorka mówi, że nie może mi udzielić takich informacji, ale może powiedzieć, czy jego telefon komórkowy jest aktualnie w sieci.

– To wbrew przepisom – podkreśla. – Ale sama jestem matką nastolatka.

Słyszę jak stuka w klawiaturę, a potem mówi:

– Tak, telefon jest w sieci, w zasięgu nadajnika w Sacramento.

Sacramento?

Dzwonię do jego matki, do przyjaciół. Nikt nie ma pojęcia, dlaczego miałby się znaleźć w Sacramento. Nikt nie zna żadnych jego przyjaciół w tym mieście.

Dwie godziny później operatorka odzwania.

– Sprawdziłam jeszcze raz – mówi. – Telefon nadal jest w sieci. Tym razem w Reno.

Reno?

Jakiś policyjny detektyw mówi mi, że Reno to stolica metamfetaminy, co mogłoby wyjaśnić te podróże. Ale czy musiałby jechać aż do Reno, żeby zdobyć narkotyk?

Nie, to niemożliwe, żeby Nic wrócił do ćpania. Przecież niedawno świętował swój siedemnasty miesiąc bez mety. A poza tym przecież pracuje w centrum terapeutycznym, pomaga innym uzależnionym.

Próbuję pracować, ale nie mogę. Przez cały dzień nie ma żadnych nowych wiadomości. Po szkole zawozimy z Karen Jaspera i Daisy na zajęcia pływackie, na dwóch różnych basenach. Potem wspólny obiad, odrabianie lekcji, kąpiel, opowieści przed pójściem spać.

Jeszcze raz dzwonię do tej operatorki – dała mi swój prywatny numer telefonu. Kobieta mówi, że oddzwoni rano, z pracy, więc czekam bezsennie wiele godzin, przez kolejną noc. Kobieta dzwoni i mówi, że telefon Nica nadal jest w sieci, tym razem w Billings, w stanie Montana.

Łamię sobie głowę, żeby znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie. Został porwany? Leży martwy w bagażniku samochodu jakiegoś psychopaty, który ucieka na wschód, przez cały kraj? Dzwonię na policję w Billings i do FBI.

Rozdział 19

Deszczowy dzień. Dzieci są w szkole. Siedzimy na betonowej podłodze w kuchni, razem z Moondogiem. Przyszła pani weterynarz i także siedzi na podłodze. Karen trzyma głowę psa na kolanach. Powoli głaszcze jego miękkie uszy.

Rak zawładnął całym ciałem Moondoga – ledwo może utrzymać się na nogach. Cały drży i jęczy z bólu. Nadszedł czas, żeby uwolnić go od cierpień, ale jesteśmy rozbici i nie potrafimy sobie z tym poradzić. Karen się trzęsie i płacze. Lekarka przyszła, żeby zrobić to u nas w domu. Kiedy podaje Moondogowi zastrzyk z jakimś środkiem, który sprawia, że zasypia głęboko, w moich oczach także pojawiają się łzy. Moondog oddycha ciężko. Drugi zastrzyk, oddech ustaje. Lekarka siedzi z nami przez chwilę, a potem wychodzi. Razem z Karen z trudem unosimy koc, na którym leży ciężkie ciało Moondoga, i niesiemy w stronę dziury w ziemi, którą wykopaliśmy w ogrodzie pod drzewem, gdzie zamierzamy go pochować.

Daisy i Jasper po powrocie ze szkoły razem z Karen robią w deszczu nagrobek dla Moondoga. Wszyscy płaczemy po nim i w naszym domu panuje jeszcze większy smutek. Przed snem czytamy dzieciom z książeczki obrazkowej zatytułowanej *Dog Heaven*: „A więc czasami anioł przyprowadza psa z powrotem na ziemię, na krótką wizytę, i po cichu, w niewidoczny sposób, pies chodzi, węsząc, po swoim starym podwórku, interesuje się kotem mieszkającym po sąsiedzku, idzie za dzieckiem do szkoły…”.

Gdzie jest Nic? Jest późny ranek czwartego dnia, odkąd zniknął. Nadal próbuję dodzwonić się do niego na komórkę. Wreszcie ktoś odpowiada. Męski głos. Ale to nie on.

– Ha-lo?

– Nic? Czy to Nic?

– Nie ma tu Nica.

– A kto mówi?

– A kim ty jesteś?

– Ojcem Nica. Gdzie on jest?

– Dał mi swój telefon.

– Dał go? Gdzie jest?

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

– Gdzie dał ci swój telefon?

– Nawet go nie znam. Stał na dworcu autobusowym w centrum Los Angeles. Dał mi telefon i więcej go nie widziałem.

– Jak to dał swój telefon? Dlaczego miałby oddać swój telefon?

Milczenie. Mężczyzna przerywa rozmowę.

Dzwonię do operatorki sieci telefonicznej i proszę ją o odłączenie tego numeru, mówię jej, że najwyraźniej został skradziony, dziękuję jej za pomoc i współczucie.

Znowu zaczynamy z Vicki miotać się gorączkowo. Jeszcze raz. Dzwonimy do różnych ludzi, mając nadzieję, że ktoś coś wie – cokolwiek. Wreszcie Vicki próbuje wypytać Z. i okazuje się, że dziewczyna rzeczywiście niedawno z nim rozmawiała. Nic do niej zadzwonił z San Francisco. A więc wszystko zaczyna się na nowo. Dziewczyna mówi, że był na haju. Oczywiście.

Chcę, żeby to już się skończyło. Chciałbym jakoś wyrzucić Nica ze swoich myśli, ze swojego mózgu. Zaczynam tęsknić za procedurą z filmu według scenariusza Charliego Kaufmana *Zakochany bez pamięci*. Pewien lekarz oferuje usługę ludziom, którzy cierpią z powodu traumatycznych związków. Dosłownie wymazuje z ich pamięci wszelkie ślady po tej drugiej osobie. Fantazjuję, że mógłbym się poddać takiej procedurze, mógłbym wymazać Nica ze swoich myśli. Czasami mam wrażenie, że tylko lobotomia mogłaby mi pomóc. Gdzie jest Nic? Nie mogę tego dłużej znieść. A jednak za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już więcej nie mogę, okazuje się, że mogę.

Poczucie kompletnej bezradności przechodzi w gwałtowne pragnienie, żeby coś zrobić, cokolwiek. Wiem, że to daremne, ale rozpaczliwie pragnę go znaleźć. Kiedy mówię o tym Karen, kręci głową.

– Nie ma sensu go szukać, jeśli on nie chce, żeby go znaleźć – mówi. Patrzy na mnie z troską, a także, co to jest?, wyczerpaniem, smutkiem.

– Znowu tylko spotka cię rozczarowanie.

– Wiem – przyznaję jej.

I to wszystko, nie mówię więcej ani słowa, choć w moim mózgu toczy się gorączka myśli: nie ma sensu go znajdować, jeśli on nie chce być znaleziony, to mu nie pomoże, ale on może umrzeć i wtedy będzie za późno. Czekanie jest upiorne. Karen, wyczuwając moją udrękę, w końcu ulega.

– No to jedź – mówi. – Poszukaj go. To nie zaszkodzi.

Widzę, że z całych sił stara się nie oceniać ani mnie, ani Nica, ale jest coraz bardziej zła i sfrustrowana tym, że to się nigdy nie kończy. Poza tym nie podoba jej się wpływ, jaki ta sytuacja ma na Jaspera i Daisy. Na nas. Na mnie. Ma mi za złe, że się od niej oddalam, ciągle się zamartwiając.

– No jedź – powtarza. – Może będzie ci lepiej, kiedy sobie pomyślisz, że próbowałeś.

A więc znowu jestem w mieście, jadę wzdłuż Mission Street, zaglądam w otwarte drzwi sklepów, taquerii, barów. Przyglądam się każdej twarzy, nieustannie wypatrując Nica. Każda spotkana postać wydaje mi się do niego podobna. A potem parkuję w Ashbury i powoli idę wzdłuż Haight Street, zygzakiem, tam i z powrotem przez ulicę, sprawdzam sklepy, księgarnie, pizzerie, kawiarnie i Amoebę.

Wracam do parku Golden Gate, idę na polanę, gdzie kiedyś spotkałem uzależnioną od mety dziewczynę z Ohio. Ale oprócz dwóch kobiet z małymi dziećmi, opalających się na kocu, nie ma nikogo.

Po powrocie do domu dzwonię do Randy'ego. Cierpliwie wysłuchuje mojej opowieści, pełnej udręki, a potem mnie zapewnia:

– Nic nie będzie się długo włóczył. To już go nie bawi.

Mam nadzieję, że się nie myli, ale to nie uśmierza mojego niepokoju, że może przedawkować albo w jakiś inny sposób nieodwracalnie sobie zaszkodzić.

Mija tydzień. Dalej nie mam wiadomości. Potem drugi. Niekończące się dni i noce. Staram się czymś zająć, próbuję pracować. Układamy plany z przyjaciółmi – tymi samymi, z którymi mieliśmy jechać na plażę razem z Karen i dzieciakami, kiedy Nic został aresztowany. W piękny sobotni poranek spotykamy się z nimi na parkingu, niedaleko Bear Valley; z rowerami na bagażnikach na tylnych drzwiach samochodów. W sumie nasze dwie ro-

dziny mają osiem rowerów, od skomplikowanych czternastobiegowych maszyn po malutkiego, roztrzęsionego schwinna najmłodszej dziewczynki.

Dolina Niedźwiedzi jest złota i zielona, niebo przeświecające przez liście drzew jest błękitno-białe. Jedziemy wytrwale polną drogą na jakąś łąkę, a stamtąd kamienistym szlakiem w stronę Arch Rock. Aby się tam dostać, musimy zostawić rowery i wędrować pieszo przynajmniej milę.

Na skraju szlaku biegnącego przez las, wzdłuż strumienia, rosną jodły, sosny, gdzieniegdzie widać niewysokie, poskręcane dęby. W końcu wspinamy się na strome, skaliste zbocze, skąd rozpościera się oszałamiający widok na morze. Widać foki, które wystawiają głowy z wody obok jakiejś postrzępionej skały, wyłaniającej się z oceanu niczym lodowiec.

Idziemy dalej innym szlakiem, tym razem wśród kwiatów, rosną tu mirty, irysy. Granitowe głazy porasta rdzawy mech. Jasper mówi, że te krajobrazy przypominają mu *Władcę Pierścieni* i wyprawę Frodo. Na brzegu morza, w Arch Rock, czekając na moment, w którym będziemy mogli przebiec obok skały, w chwili, gdy potężna fala cofa się w stronę oceanu, pokonujemy skalisty przylądek i schodzimy w dół na wąziutką, półokrągłą plażę. Jej dno jest pokryte wygładzonym przez wodę kwarcem i porośnięte gąbczastymi wodorostami.

Ścieżka doprowadza nas z powrotem do początku szlaku. Razem z Jasperem jesteśmy pierwsi na miejscu. Wsiadamy na rowery i ruszamy przed siebie. Zgodnie z planem mamy wszyscy ponownie spotkać się na łące.

Kiedy już tam jesteśmy, opieramy rowery o drzewo i odpoczywamy na pniu zwalonego drzewa, pod jakimś dębem. Jasper wskazuje łąkę:

– Popatrz!

Patrzymy na zdumiewającą plamę szokująco różowych kwiatów, jakąś egzotyczną pozostałość po dawno zapomnianym ogrodzie.

Siedzimy w milczeniu, słuchając, jak wiatr porusza liśćmi wśród śpiewu ptaków. Nagle ogarnia mnie déjà vu. Już tu kiedyś byłem. Siedziałem na tym samym pniu. Tyle że z Nikiem. Ponad dekadę temu. Serce zaczyna mi walić, łzy napływają do oczu. Nic wspiął się wtedy właśnie na to drzewo. Kiedy na nie właził, wołał do mnie:

– Tato, popatrz na mnie! Zobacz, gdzie jestem!

Śpiewał jakąś niedorzeczną piosenkę.

Wspinał się coraz wyżej i wyżej, a potem przesunął się na grubą gałąź, która zwieszała się ponad łąką.

– Popatrz na mnie tato! Popatrz!

– Widzę cię.

– Jestem na niebie.

– Wspaniale.

– Jestem wyżej niż chmury.

Przesunął się kawałek dalej wzdłuż poskręcanej gałęzi. Śpiewał kolejną wesołą piosenkę.

– Wyciągamy chwasty. Zbieramy kamienie. Nasze ciało to kości, kości i marzenie.

Jakiś nagły powiew wiatru wstrząsnął drzewem, liście zadrżały, gałęzie się zakołysały.

– Chcę zejść na dół – powiedział nagle Nic.

– W porządku. Zaraz zejdziesz. Tylko powoli.

– Nie mogę – zawołał. – Utknąłem.

– Możesz – powiedziałem. – Dasz radę.

– Nie mogę zejść na dół. – Zaczął płakać.

– Powoli. Poczekaj. Znajdź jakieś podparcie na nogi, a potem posuwaj się dalej.

– Nie mogę.

– Dasz radę.

Owinął się wokół gałęzi chudymi rękami i nogami. Przywarł mocniej.

– Spadnę.

– Nie spadniesz.

– Spadnę.

Stanąłem bezpośrednio pod nim i zawołałem:

– Nic ci nie będzie, tylko schodź powoli. – Pomyślałem wtedy: złapię cię, jeśli spadniesz.

A teraz siedzę tu z Jasperem i wspominam. Kilka łez popłynęło mi z oczu. Jasper natychmiast to zauważył.

– Myślisz o Nicu – mówi.

Skinąłem.

– Przepraszam. Po prostu sobie go przypomniałem. Przypomniałem sobie, że byliśmy tutaj, kiedy był w twoim wieku.

– Ja także dużo o nim myślę. – Jasper kiwa głową.

Siedzimy pod tym starym drzewem w milczeniu aż do chwili, gdy Karen, Daisy i przyjaciele zaczynają nas nawoływać.

Któregoś dnia w następnym tygodniu Karen zauważa rano jakiś zaskakujący nieład. Niby nic, po prostu kilka rzeczy leży nie na swoim miejscu. Szczotka do włosów na podłodze. Jakieś książki i czasopisma rozrzucone na kanapie. Brakuje swetra.

Pracuję w swoim gabinecie, ale przychodzę do niej, do salonu.

– O czym ty mówisz? – pytam.

Natychmiast staram się ją uspokoić. Odruchowo myślę, że Karen reaguje przesadnie, popada w paranoję – zawsze gotowa obwiniać Nica.

– Nie, ktoś… – urywa. – Chodź, popatrz.

Idę za nią i szybko porzucam postawę obronną, przechodzę do akceptacji faktów. Nic był tutaj. Włamał się. Wspólnie sprawdzamy cały dom i znajdujemy w naszej sypialni wyłamaną zasuwkę w przeszklonych drzwiach do ogrodu. Kawałek ozdobnej listwy z drewna sekwoi jest odłupany tak mocno, że nie da się go naprawić. Dopiero w tym momencie zauważam, że ktoś przetrząsnął szuflady w moim biurku.

Za każdym razem, kiedy odkrywamy razem z Karen albo któreś z nas z osobna kolejne pogwałcenie przez Nica naszego zaufania, musimy na nowo zmierzyć się z mieszaniną wściekłości i smutku. Jak on mógł nam to zrobić? Kiedy sfałszował nasze podpisy na czekach, zlikwidowaliśmy konta w banku, kiedy ukradł karty kredytowe, musieliśmy je zablokować. Teraz trzeba będzie to zrobić jeszcze raz. Dzwonię do ślusarza i do firmy sprzeda-

jącej alarmy antywłamaniowe.

Dzwonię także do szeryfa złożyć zawiadomienie o włamaniu. Gdyby wcześniej, zanim zetknąłem się z nałogiem narkotykowym, ktoś mi powiedział, że zadzwonię na policję donieść na własnego syna, pomyślałbym, że ten człowiek sam jest naćpany. Nie chcę, żeby aresztowali Nica. Robi mi się niedobrze na myśl, że mógłby znaleźć się w więzieniu. Zresztą, co by to dało? Nagle zaczynam rozumieć uczucia rodziców, spotkanych na mityngach Al-Anonu, którzy mówili o swoich dzieciach siedzących w więzieniu: „Przynajmniej wiem, gdzie ona jest" albo: „Tak jest bezpieczniej". Smutna ironia polega na tym, że mimo całej przemocy zdarzającej się w więzieniach, mimo ponurej, beznadziejnej aury więziennego życia, prawdopodobnie Nic byłby tam bezpieczniejszy niż na ulicach.

Ślusarz jest krępym mężczyzną w roboczej koszuli i w dżinsach. Pokazuję mu zamki w oknach i drzwiach, które chcemy wymienić. To kosztowne i upokarzające doświadczenie, ponieważ nie kryję prawdy, kiedy pyta:

– Tak na wszelki wypadek, czy miał pan jakieś problemy?

Głos mi się rwie, kiedy odpowiadam:

– Mój syn.

Następnego dnia dostajemy wiadomość od przyjaciół, którzy mieszkają w Inverness, obok Manca's, dawnego domku myśliwskiego, gdzie obecnie znajduje się znana restauracja. Jeden z pracowników przyszedł rano na spotkanie ze swoimi ludźmi i zobaczył, jak z domu naszych przyjaciół przez okno wymyka się dwóch chłopców. Uciekli i odjechali w starej, spłowiałej od słońca, czerwonej maździe. Biegli szybko, ale ten człowiek, którego znamy, rozpoznał Nica. Jadę tam. Zastajemy ślady po nocy spędzonej przez Nica w mieszkaniu: chłopcy spali na podłodze w salonie. Wydaje się, że nic nie zginęło, ale zostały bawełniane waciki, torebki ze srebrnej folii i inne akcesoria wskazujące na palenie i wstrzykiwanie metamfetaminy.

Gdzie jeszcze Nic mógł się włamać? Nigdy nie wiadomo do końca, jakimi motywami kieruje się osoba uzależniona od narkotyków, ale jestem zaskoczony, że wraca do miejsc, które kochał – do naszego domu, domu przyjaciół, domu swoich dziadków. Zapewne tak jest mu po prostu wygodniej, gdy nie ma pojęcia, dokąd pójść, ale czy to nie oznacza także podświadomego pragnienia powrotu do bezpieczeństwa, jakie daje dom? Tak czy inaczej, nieza-

leżnie od jego motywów, kiedy jego szaleństwo zwraca się przeciwko nam, jeszcze trudniej o współczucie. Zaczynamy się go obawiać.

Następnego ranka Karen pracuje przed domem, gdy nagle, niczym w jakiejś surrealistycznej wizji, widzi Nica, jak przejeżdża obok w swojej maździe, wyrzucając kłęby dymu z rury wydechowej. Ich spojrzenia spotykają się. Nic mocniej naciska na gaz. Samochód ryczy, wspina się szybko na wzgórze obok naszego domu.

Karen, zdumiona, przeciera oczy. Tak, to Nic – woła do mnie.

Wskakuję do samochodu i jadę za nim. Co mam zrobić? Chyba po prostu mu powiem, jak bardzo nas zabolało to, co nam zrobił. Ostrzegę go, że policja o wszystkim wie. Lepiej żeby przestał, poszukał pomocy, zadzwonił do Randy'ego.

Jadę krętymi uliczkami na zboczu wzgórza ponad naszym domem. Dziesięć lat temu szalał tu pożar lasu. Spłonęło czterdzieści pięć domów, ponad dwanaście tysięcy akrów ziemi. Drzewa wróciły, dęby, sosny i niewielkie jodły są teraz wielkości niedużej, świątecznej choinki. Jadę ulicami, które wiją się przez kaniony i wzdłuż szczytów wzgórz, ale nie mogę go znaleźć.

Wracam na dół i skręcam na nasz podjazd, wtedy zauważam, że drugi samochód zniknął. Wpadam do środka. Jasper i Daisy mówią mi, że Karen widziała, jak Nic jechał w dół wzgórza – jakoś udało mi się go przegapić – i sama wskoczyła do drugiego samochodu. Ściga teraz jego wiekową mazdę naszym muzealnym autem, poobijanym, zjedzonym przez rdzę volvo kombi, które ledwo wyciąga czterdzieści mil na godzinę.

Próbuję złapać Karen przez komórkę, ale słyszę wibracje i dzwonek w sypialni, kilka kroków ode mnie. Dzieci wydają się zaniepokojone, więc je uspokajam. W tym momencie już wiedzą, że Nic wrócił do narkotyków, ale jak mają zrozumieć, co to znaczy, że ich mama wskoczyła do samochodu, zostawiła je same w domu i rzuciła się w pościg za ich bratem.

Karen nie wraca do domu przez następną godzinę. Szaleję z niepokoju, ale dla dobra dzieci udaję, że to wszystko normalne i jeszcze raz staram się je uspokoić. Czekamy w salonie. Kiedy Karen wjeżdża na podjazd, wszyscy wybiegamy na zewnątrz. Mówi, że jechała za Nikiem autostradą numer 1, a potem górzystą Stinson Beach Road. W końcu jednak uświadomiła sobie, że to niedorzeczne – co właściwie miałaby zrobić, gdyby go dopadła? – więc stanę-

ła.

– A co byś zrobiła, gdybyś go jednak złapała? – pyta Jasper.

– Nie jestem pewna – mówi. Wydaje się pokonana, widać, że płakała.

Później, kiedy zostajemy sami, przyznaje:

– Chciałam mu powiedzieć, żeby poszukał pomocy, ale przede wszystkim chciałam go przepędzić – odpędzić od naszego domu – od Jaspera i Daisy.

Ten absurdalny poranek przypomina nam, jak bardzo nasze życie wymknęło się spod kontroli. Pragnienie, żeby go dogonić, było niedorzeczne, ale ulegamy irracjonalnym odruchom, w które wciąga nas jego uzależnienie.

Trzy dni później, w niedzielny ranek, dzwoni telefon, ale nikt się nie odzywa. A potem jeszcze raz. Na wyświetlaczu numer, którego nie znam.

Wykorzystując funkcję wyszukiwania w anywho.com, dowiaduję się, że telefon został zarejestrowany na jedno ze znanych mi nazwisk. Po chwili uświadamiam sobie, że wiem, o kogo chodzi. To rodzice jednej z koleżanek Nica ze szkoły średniej. Dzwonię, ale odzywa się automatyczna sekretarka. Zostawiam wiadomość: „Próbuję skontaktować się ze swoim synem. Nazywa się Nic Sheff. Dzwonił z tego numeru".

Oddzwania nowa żona ojca dziewczyny. Jestem zdumiony jej słowami.

– Pan jest ojcem Nica? Bardzo mi miło – mówi. – Ma pan wspaniałego syna. To taki sympatyczny, młody człowiek. Bardzo martwiliśmy się o April, ale on ma na nią taki dobry wpływ.

– Dobry wpływ na nią?

Wzdycham, a potem opowiadam o powrocie Nica do narkotyków i o jego zniknięciu. Zatkało ją. Wyjaśnia, że pasierbica już kilka razy podejmowała terapię, a potem z niej rezygnowała. Nic, jak się wydawało, bardzo wspierał jej powrót do zdrowia.

Po południu dzwoni Nic. Opowiada wszystko szczerze – znowu zaczął brać, zażywa metę i heroinę. Przećwiczyłem wcześniej swoją reakcję. Niepewnym głosem mówię, że nie mogę nic dla niego zrobić. Wszystko zależy od niego. Mówię mu, że szuka go policja, że jego matka zgłosiła jego zaginięcie na policji w Santa Monica, że policjanci z Marin sprawdzają nasz dom

i dom naszych przyjaciół, do którego się włamał.

– Chcesz wylądować w więzieniu? Właśnie tam zmierzasz – mówię.

– Pomóż mi, proszę. Co mam zrobić? – pyta.

– Wszystko, co ci mogę powiedzieć, już wiesz. Co ci powtarzali w twoim programie? Zadzwoń do swojego sponsora. Zadzwoń do Randy'ego. Nie wiem, co jeszcze mam powiedzieć.

Nic płacze. Ja milczę. Nie tak chciałbym zareagować. Chciałbym pojechać do miasta, znaleźć go, ale odpowiadam:

– Zadzwoń do Randy'ego.

Mówię mu, że go kocham i mam nadzieję, że jakoś się pozbiera. Nawet jeśli w moim głosie słychać zdecydowanie albo rezygnację, nie czuję ani jednego, ani drugiego.

Odkładam słuchawkę, czuję pulsowanie w skroniach. Chcę zadzwonić jeszcze raz. Chcę mu powiedzieć, że jadę do niego. Ale tego nie robię.

Jakieś pół godziny później dzwoni Randy. Mówi, że Nic się do niego odezwał, a on zachęcał go do powrotu do Los Angeles.

– Powiedziałem mu, że za nim tęsknię – mówi Randy. – Rzeczywiście tak jest. Powiedziałem mu, żeby zebrał dupę w troki i żeby tu przyjechał, czekam. Mam wrażenie, że jest gotowy na powrót.

Oddycham spokojniej. Kiedy dziękuję Randy'emu, odpowiada:

– Nie musisz mi dziękować. Dzięki temu żyję. – Dodaje: – Naprawdę tęsknię za tym idiotą.

Rozmawiam z Vicki. Oboje oddychamy z ulgą na wiadomość, że Nic zgodził się wrócić do Los Angeles, do Randy'ego – do programu. A jednak oboje jesteśmy ogłuszeni, nie potrafimy, a może nie chcemy przyjąć do wiadomości, że wszystko znowu może być w porządku. To zbyt niepewne.

Wieczorem dzwoni Vicki. Nic, któremu zostało dość pieniędzy na taksówkę na lotnisko i bilet na samolot, zdołał dotrzeć do Los Angeles. Odebrała go z lotniska i odwiozła do jego mieszkania, gdzie współlokator powitał go klepnięciem po plecach.

Nic natychmiast poszedł do swojej sypialni i zapadł w sen. Kiedy dzwonię

do nich, Ted mówi, że Nic musi to odespać.

– Detoks to nic zabawnego, ale on musi przez to przejść – wyjaśnia. – Nie da się zrobić nic więcej. Możesz tylko się pomodlić.

Nic dzwoni rano. Mówi szorstkim głosem, kiedy pytam, jak się czuje, odpowiada zdawkowo:

– A jak myślisz?

Opowiada o swoim wyjeździe z San Francisco.

– Zrobiłem tak, jak kazał mi Randy. Modliłem się. Po prostu powtarzałem w kółko: „Proszę, pomóż mi". Powtarzałem to raz po raz. Kiedy poczułem, że jestem gotowy do odjazdu, April odprowadziła mnie, a potem jej odbiło. Chwyciła mnie za nogę, zaczęła płakać, wrzeszczeć, że nie mogę odejść. Ale gdybym został, oboje byśmy umarli. Powiedziałem jej o tym, ale to nie na wiele się zdało. – Płacze. – Strasznie to spieprzyłem.

Przez kilka następnych dni staram się zachować optymizm, ale jestem w stanie jakiegoś gorączkowego pomieszania. Kiedy Daisy i Jasper są w pobliżu, nadal zachowuję się, jak gdyby wszystko było ze mną w porządku, ale przy Karen się rozpadam.

Jadę na mityng Al-Anonu w kościelnej sali w Corte Madera. Cały się trzęsę, nie potrafię się opanować, i gdy przychodzi moja kolej, chaotycznie opowiadam o minionych kilku tygodniach. I kiedy tak wyrzucam z siebie słowa, w panice i połykając łzy, myślę sobie: To mówi ktoś inny. To nie moje życie. Wreszcie wyczerpany stwierdzam:

– Nie wiem, jak wy wszyscy, w tej sali, potraficie to znieść. – A potem płaczę.

Inni też płaczą.

Po spotkaniu, gdy pomagam składać i ustawiać na boku metalowe krzesełka, podchodzi do mnie jakaś kobieta, którą widzę pierwszy raz w życiu, i mnie obejmuje, a ja zaczynam płakać. To przerażające, ale zaczynam płakać w jej ramionach.

– Przychodź tu częściej – mówi.

Czasami nie mogę uwierzyć, że życie toczy się dalej, ale ono się toczy, nie-

ubłaganie. Jasper przychodzi do mojego gabinetu. Ma na sobie krótką, flanelową piżamę, kapcie z jakimś futerkiem. Wchodzi Daisy ze zmierzwionymi włosami, prosto z łóżka, ma na sobie T-shirt i spodenki w tęczowe kolory, przyciska do siebie Uni, swojego pluszowego jednorożca. A potem z Karen i dzieciakami robimy wafle. Po śniadaniu Jasper i Daisy bawią się w chowanego. Jasper ma szukać, Daisy znika w korytarzu. Woła: „Gotowa czy nie?". A potem zaczyna się za nią rozglądać i znajduje ją, jak siedzi skulona niczym kot, w środku tego samego kosza, w którym zawsze się chowa. Jasper przewraca kosz i wysypuje ją na betonową podłogę, a potem potyka się o jej rozciągnięte ciało i przewraca na nią. Oboje śmieją się dziko. Daisy wyplątuje się i szybko wstaje. Zaczyna uciekać, Jasper ją goni. Pędzą koło nas i wpadają do pustej sypialni Nica, swojej ulubionej bazy, mimo złych wspomnień, które na wieczność wsiąkły w jej ściany.

Potem się ubierają, wychodzą na zewnątrz i rzucają do siebie piłką do lacrosse'a. Po kilku minutach, jak zawsze, gubią piłkę. Ogród ma jakąś czarodziejską moc przyciągania i wsysania piłek: do lacrosse'a, tenisa, do futbolu, bejsbolu – nie tylko piłek, ale także papierowych latawców, modeli rakiet, frisbee. Przez chwilę szukają pod krzakami i za żywopłotem, ale piłka przepadła na dobre w czarnej dziurze ogrodu. Dają za wygraną i siadają na żwirze. Słyszymy ich wyliczankę przerywaną klaśnięciami dłoni.

– Lemoniada, kruchy lód. Zimna woda, słodki miód.

A potem słyszymy, jak Jasper mówi:

– Nie sądzisz, że Nic wygląda jak Bob Dylan?

Poprzedniego wieczoru oglądaliśmy jakieś wideo, na którym zarejestrowano występ Dylana w Greenwich Village, kiedy miał dwadzieścia lat albo coś koło tego.

Daisy nie odpowiada wprost, ale pyta:

– A wiesz dlaczego ten facet bierze narkotyki?

– Wydaje mu się, że dzięki nim czuje się lepiej – odpowiada Jasper.

– Wcale nie. Czuje się jeszcze bardziej smutny, czuje się źle.

Na co Jasper:

– Myślę, że on nie chce ich brać, ale nie może nic na to poradzić. To jak w kreskówkach, gdzie jakaś postać ma na jednym ramieniu diabła, a na dru-

gim anioła. Diabeł szepcze Nicowi do ucha i czasami mówi tak głośno, że on musi go posłuchać. Anioł także tam jest – opowiada dalej Jasper. – Ale mówi ciszej i Nic nie może go usłyszeć.

Wieczorem dzwoni Nic i mówi, że Randy musiał niemal siłą wyciągnąć go z łóżka na rower.

– Czułem się tak, jakbym miał zaraz umrzeć – opowiada – ale Randy nie słucha żadnych wymówek. Powiedział, że zaraz po mnie przyjedzie, więc zacząłem się szykować. Zjawił się i wsiadłem na rower, ale czułem się jak gówno, myślałem, że nie dojadę do rogu ulicy, nie mówiąc już o wybrzeżu, ale wtedy poczułem wiatr, ciało przejęło kontrolę i pojeździliśmy chwilę.

W jego głosie znowu słyszę iskierkę życia i w mojej głowie pojawia się obraz nadziei: Nic na rowerze, w słońcu południowej Kalifornii, jedzie wzdłuż plaży.

Kiedy dzwoni w weekend, ma większą ochotę na rozmowę, opowiada, że jest zdumiony swoim powrotem do ćpania.

– Byłem trzeźwy przez osiemnaście miesięcy – mówi. – Nabrałem pewności siebie. To stara sztuczka uzależnienia. Myślisz sobie: to nieprawda, że nie potrafię sobie poradzić z życiem, idzie mi świetnie. Tracisz pokorę. Wydaje ci się, że jesteś wystarczająco bystry, żeby sobie z tym poradzić.

Przyznaje, że jest zawstydzony tym nawrotem – zadręcza się nim – ale twierdzi, że teraz będzie się starał w dwójnasób.

– Chodziłem na dwa mityngi dziennie – mówi. – Będę musiał zacząć wszystkie kroki od początku.

Oczywiście oddycham z ulgą (jeszcze raz) i z nadzieją (jeszcze raz). Zawsze się zastanawiam, na czym polega różnica, co jest tym razem inaczej, czy jest inaczej. Rzeczywiście, Nic robi postępy, takie, które się mierzy z dnia na dzień. Randy pomaga mu znaleźć nową pracę. Wspólnie od początku zaczynają przechodzić dwanaście kroków. Każdego dnia przed pracą albo po niej wybierają się na długie przejażdżki rowerem.

W domu, w Inverness, razem z Karen także pracujemy nad analogicznym procesem powrotu do zdrowia. Dzięki spotkaniom Al-Anonu oraz sesjom

z psychoterapeutą, z którym widujemy się od czasu do czasu, zaczyna do nas docierać, jak bardzo nasze życie także wymknęło się spod kontroli. Moje na pewno. Moje dobre samopoczucie stało się zależne od samopoczucia Nica. Kiedy on bierze, wpadam w czarną dziurę, kiedy nie bierze, czuję się w porządku, ale w tej uldze jest zawsze niepewność. Terapeuta mówi, że rodzice dzieci, które biorą narkotyki, często przeżywają pewną postać syndromu stresu pourazowego, który się pogłębia ze względu na nawracający charakter uzależnienia. W przypadku żołnierzy, którzy wrócili z linii frontu, snajperski ostrzał i wybuchy bomb rozlegają się w ich głowach. W przypadku rodziców osoby uzależnionej w każdej chwili może rozpocząć się nowa kanonada. Próbujemy się na nią przygotować. Udajemy, że wszystko jest w porządku. Ale żyjemy na bombie z tykającym zapalnikiem. To otępiające uczucie być uzależnionym od nastrojów, decyzji i działań innej osoby. Kulę się w sobie na dźwięk słowa „współuzależniony", ponieważ to taka zdarta klisza z podręczników samopomocowych, ale stałem się współuzależniony – moje dobre samopoczucie zależy od dobrego samopoczucia Nica. Jak może rodzic nie być współuzależniony od zdrowia swojego dziecka? Albo jego choroby? Ale musi być jakaś alternatywa, ponieważ nie da się żyć w ten sposób. Dociera do mnie, że moje zamartwianie się o Nica w niczym mu nie pomaga, natomiast szkodzi Jasperowi, Daisy, Karen i mnie samemu.

Mija miesiąc. Dwa. W czerwcu jadę do Los Angeles przeprowadzić z kimś wywiad. Pytam Nica, czy chciałby spotkać się ze mną na obiedzie.

Odbieram go sprzed jego mieszkania. Ściskamy się na powitanie. Robię krok do tyłu i staram się mu przyjrzeć, zobaczyć, gdzie jesteśmy. Wiem już wystarczająco dużo, by mieć świadomość, że w jakimś momencie uzależnieni, zwłaszcza uzależnieni od metamfetaminy, już nie wracają do zdrowia – w każdym razie nie wracają przez dłuższy czas, bywa, że bardzo długo. Czasem nigdy. Fizyczne uszkodzenia, nie wspominając o psychicznych, mogą okazać się nieusuwalne. Ale w brązowych oczach Nica widzę światło, jego ciało znowu wydaje mi się silne. Jest dość młody, aby odbić się od dna, przynajmniej tak mi się wydaje. Mam wrażenie, że jego śmiech jest niewymuszony i szczery. Ale już wcześniej oglądałem takie jego przemiany.

Idziemy na spacer i rozmawiamy trochę o tym i owym – o zbliżających się wyborach, podobnych sprawach. Filmy to zawsze bezpieczny temat. „Chciałbym cię przeprosić", mówi, ale głos mu się załamuje, milczy. Przez chwilę

wydaje się, że to dla niego za trudne. Może jest za wiele rzeczy, za które chciałby przeprosić.

Spotykamy się ponownie następnego wieczoru. Idę razem z nim na spotkanie AA. Popijając letnią kawę z papierowych kubków, przedstawiamy się po kolei.

– Jestem Nic, uzależniony od narkotyków i alkoholu – mówi.

Kiedy przychodzi moja kolej, mówię:

– Jestem David, ojciec chłopaka uzależnionego od narkotyków i alkoholu. Jestem tutaj, aby wspierać mojego syna.

Prowadzący spotkanie mówi, że od roku wraca do zdrowia. Rozlegają się okrzyki, oklaski. Opowiada o różnych zdarzeniach, które wpłynęły na jego życie. W minionym tygodniu, mówi, znalazł się sam na sam z narzeczoną przyjaciela, która od lat bardzo mu się podoba. Dziewczyna zaczęła go uwodzić. W innym momencie swojego życia byłby zachwycony i nawet by się nie zastanawiał, czy pójść z nią do łóżka, ale zaczął ją całować, a potem się powstrzymał. Powiedział: „Nie mogę tego zrobić" i wyszedł. Przed domem tej dziewczyny, idąc do siebie, zaczął płakać w niekontrolowany sposób.

– Uświadomiłem sobie, że znowu mam swoje zasady moralne – mówi.

Wymieniamy spojrzenia z Nikiem. W naszych oczach widać… co? Jakieś niepewne oczekiwanie. A także, po raz pierwszy od bardzo dawna, czułość.

Życie ciągle mi przypomina, że nic nie jest łatwe dla Nica. Jestem całym sercem po jego stronie. Pragnę coś zrobić, żeby mu pomóc, a jednak nic nie mogę zrobić. Pragnę, aby przyznał się do swojej traumatycznej przeszłości i obiecał, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Ale on nie może tego zrobić. Kiedy rozmawiamy, prawdę mówiąc, uświadamiam sobie, że Nic odkrywa najbardziej gorzką ironię początków trzeźwości. W nagrodę za swoją ciężką pracę, prowadzącą do odzyskiwania zdrowia, zderzasz się z bólem, od którego pragnąłeś uciec za pomocą narkotyków. Nic mówi, że czasami czuje się dobrze, pełen optymizmu, ale kiedy indziej jest przygnębiony, czuje się rozbity. „Czasami wydaje mi się, że nie dam rady", mówi. Czuję się przygnieciony tym, że wrócił do narkotyków. „Jak mogłem wszystko spieprzyć tak okropnie?" – pyta sam siebie. – „Wręcz nie mogę w to uwierzyć, że to zrobiłem. Niemal wszystko straciłem. Wydaje mi się, że nie dam rady zacząć wszyst-

kiego od początku".

Przyznaje, że czasami ma fantazje o powrocie do narkotyków. Śni o tym. Znowu. Zawsze. Jego sny są bardzo żywe, upiorne. Czuje jednocześnie odrazę do narkotyków oraz ich uwodzicielską moc. Czuje ich smak. Czuje smak kryształu, jego zapach; czuje jak igła przebija jego skórę i jak narkotyk w niego wnika, a potem sen zamienia się w koszmar, ponieważ nie może przestać. Budzi się, dysząc ciężko, zlany potem.

Wiem, że zachowanie trzeźwości jest dla Nica trudniejsze, niż potrafię sobie to wyobrazić. Czuję współczucie i jestem dumny z jego ciężkiej pracy. Kiedy ogarnia mnie wściekłość z powodu przeszłości – kłamstw, włamań, strat – staram się powstrzymać od mówienia czegokolwiek czy nawet jakichkolwiek reakcji. Nie będzie z tego nic dobrego. Myślę, że to było w Nowym Jorku, kiedy oglądaliśmy razem z Nikiem film *Genialny klan*. Nico – słychać ból w jej głosie – śpiewa tam *These Days* Jacksona Browna. Słyszę ten przeszywający tekst: „Nie mów mi o moich klęskach. Nie zapomniałam o nich". Muszę sobie ciągle przypominać, że nawet jeśli powroty Nica do narkotyków są dla mnie przerażające, dla niego są o wiele gorsze. Ja cierpię, Vicki cierpi, Karen cierpi, Jasper i Daisy cierpią, moi rodzice cierpią, rodzice Karen cierpią, wszyscy, którzy kochają Nica, cierpią, ale on cierpi jeszcze bardziej. „Nie mów mi o moich klęskach. Nie zapomniałem o nich".

Dzisiaj jest wyjątkowo ciężko, mówi przez telefon. Słyszę, że jest rozbity. Zepsuł mu się samochód, kiedy jechał na spotkanie w sprawie pracy, która bardzo go kręci. W rezultacie spóźnił się na rozmowę. Zawsze martwię się, czy te normalne, codzienne niepowodzenia nie okażą się dla niego za trudne, ale wybrali się razem z Randym na rowery. Jeździli wiele godzin i rozmawiali o programie, o AA, o dwunastu krokach, o tym, jakie to trudne otworzyć się na świat, ale jak wiele można zyskać, kiedy już się to zrobi. Trzeźwość to jedynie początek i to jest jedyny początek.

Chociaż już rozmawiali z Nikiem przez telefon, Karen, Jasper i Daisy nie widzieli go, odkąd ostatni raz wrócił do brania. Cały czas staramy się wyjaśniać Jasperowi i Daisy, co się dzieje. Powiedzenie „Nic jest chory" niewiele im pomaga, nie pociesza. Takie wyjaśnienie jest niewystarczające i tylko ich dezorientuje. Z perspektywy dzieciaków objawem choroby jest coś takiego, jak kaszel, gorączka albo bolące gardło. To, co się dzieje z Nikiem, mogą naj-

lepiej zrozumieć, kiedy sięgają do odmalowanego przez Jaspera obrazu z diabłem i aniołem, którzy rywalizują o duszę Nica. Tak czy inaczej Daisy i Jasper bardzo za nim tęsknią. Jednak z Karen czujemy opór przed pozwoleniem Nicowi na odwiedziny u nas, w Inverness. Potrzebujemy więcej czasu. Wydaje się, że to rozumie. Nie jesteśmy jeszcze gotowi na to, żeby ponownie wpuścić go do domu – nie po tym, co zdarzyło się ostatnio. Nie po kradzieży czeków, pościgu samochodowym, traumatycznych włamaniach do naszego domu i domów naszych przyjaciół, po kradzieżach, braku wiadomości, wyobrażaniu sobie, że leży w bagażniku jakiegoś samochodu, który jeździ po całym kraju, Sacramento, Reno, Billings, Montana. Ale pod koniec lata jedziemy na wakacje do Molokai na Hawajach, gdzie mieszkamy w namiotach nad plażą i Karen mówi, że moglibyśmy wykorzystać trochę premiowych mil, zebranych podczas częstych lotów, i zaprosić Nica, żeby do nas przyleciał. Karen wreszcie jest gotowa na to spotkanie. Oboje czujemy się bezpieczniejsi, kiedy spotkamy się z nim na neutralnym gruncie, a wakacje to dobry moment na to, żeby spróbować powrotu do bardziej normalnych, rodzinnych kontaktów.

W dniu przyjazdu Nica cała nasza czwórka jedzie na lotnisko Molokai, złożone z jednego pasa startowego, żeby go odebrać. Jak zawsze, podczas takich ponownych spotkań całej rodziny, nerwowość miesza się z podekscytowaniem.

– Daisy, masz taki okrągły, mały nosek, dzieciaku! – woła Nic na powitanie, podrywa Daisy w wielki uścisk i obraca się razem z nią dookoła. – Tak się cieszę, że cię widzę, ty mała rozrabiaro!

– I ciebie, szanowny panie – mówi, kucając przed Jasperem, aby spojrzeć mu prosto w oczy. – Stęskniłem się za tobą bardziej niż słońce za księżycem w nocy. – Ściska go także.

Podczas długiej jazdy do obozu namiotowego czuć w samochodzie skrępowanie i rezerwę, ale potem Jasper prosi o kolejny odcinek opowieści o PJ i jesteśmy na bezpiecznym gruncie.

– PJ Fumblebumble, największy londyński detektyw, obudził się – zaczyna Nic z brytyjskim akcentem, zapożyczonym z głosu narratora kreskówki *Rocky, łoś Superktoś i przyjaciel*. – Jak wszyscy wiedzą, PJ Fumblebumble jest największym detektywem w całym Londynie. Jednak dla tych z was, którzy spę-

dzili życie w jaskini albo w jakiejś chacie przysypanej śniegiem, powiem tylko, że jeśli kiedykolwiek, cokolwiek będzie w waszym życiu nie tak – zaginie papuga, włamywacz wedrze się do sypialni albo zabraknie wam syropu do naleśników – jest tylko jeden człowiek, którego warto wezwać. Ten człowiek, jak już się prawdopodobnie domyślacie, to jeden jedyny, wyjątkowy, inspektor PJ Fumblebumble. Dzieci marzą o tym, żeby być jak on, dorośli mężczyźni darzą go gorącą zawiścią, a kobiety mdleją na sam dźwięk jego imienia.

Nic opowiada kolejne odcinki historii o PJ oraz o lady Penelopie od wielu lat. Dzieciaki je uwielbiają.

– Ten człowiek jest wysoki i chudy – mówi dalej Nic. – Szczupły i cienki, jak patyk od lizaka, który chodzi na dwóch nogach, a do tego ma starannie przycięty wąsik, podkręcony. Poza tym ma ogromny zakrzywiony nos. Potrafi tym nosem wyczuć zapach i pójść za nim nie gorzej od zwykłego psa gończego. Ma także równie wyczulone uszy, przesadnej wielkości. Włosy zaczynają mu siwieć i rzednąć na czubku głowy, a jego oczy potrzebują pomocy okrągłych okularów w metalowej oprawce. Śmiały i odważny, starzeje się z godnością. Ma ogromne dłonie z palcami, jak lina powiązana na supeł. Jego jabłko Adama jest okrągłe i cudownie wystające.

PJ zajmuje większość czasu jazdy na nadbrzeżny kemping. Kiedy opowieść dobiega końca – PJ aresztuje złowrogiego profesora Juliana „Rozklapane Buty" Pipsqueaka – dzieciaki zasypują Nica najświeższymi wiadomościami o szkole i przyjaciołach.

– Tasha zrobiła się okropna i ciągle mnie naśladuje – mówi Daisy. – Ignoruje Richarda, który za nią chodzi. W końcu zaczyna płakać.

– Mała zarozumiała snobka – odpowiada Nic, nie porzucając swojego brytyjskiego akcentu z opowieści o PJ.

Jedziemy wzdłuż nadbrzeża i podziwiamy krajobrazy czerwonej ziemi. W pewnym momencie Jasper pyta cicho:

– Nic, czy będziesz jeszcze brał narkotyki?

– Nie ma mowy – odpowiada Nic. – Wiem, że się martwisz, ale wszystko będzie dobrze.

Zapada cisza. Patrzymy na czerwoną glinę i wypatrujemy pierwszego bły-

sku załamujących się fal.

Na kempingu przy plaży cała nasza piątka jeździ na wynajętych rowerach, bawimy się w piasku i wspólnie pływamy wśród fal. Karen czyta na głos *Wyspę skarbów* w cieniu palmowych drzew.

Pewnego popołudnia jedziemy do miasteczka na lody i siadamy w jakimś sklepie, na krzesłach z powykręcanymi metalowymi nogami i oparciami. Wybór smaków jest nieodparcie hawajski: słodki ziemniak, zielona herbata, orzechowa makadamia.

Ze zdumieniem łapię się na tym, jak nasze równoległe rzeczywistości ponownie się rozmazują. To przypuszczalnie jakiś pierwotny odruch samozachowawczy. W tym momencie zamiast przypominać sobie przygnębiające obrazy nieszczęść i zła, zanurzam się całym sobą w upojnym widoku trójki moich dzieci, które wspólnie bawią się na plaży, i naturalnego piękna okolicy. Mam wrażenie, jak gdybyśmy zostali wszyscy obmyci do czysta przez ocean i ciepłą tropikalną bryzę. Myśląc z nadzieją o przyszłości Nica, potrafię odepchnąć od siebie mroki jego uzależnienia – nie żebym zapomniał, ale potrafię odłożyć to na bok – i na razie cieszyć pięknem. Zachód słońca, czysta, zielona woda, poezja w muzyce, której słuchamy z CD w samochodzie – Lennon śpiewa *Julię*. Van Morisson *Astral Weeks*. Na chwilę udaje się przepędzić zło.

Wieczór rozbrzmiewa odgłosami świerszczy i myszy szorujących po drewnianej podłodze. Słyszymy dobiegający z sąsiedniego namiotu, z trzema pojedynczymi łóżkami, głos Nica, który czyta przed snem Jasperowi i Daisy. Wybrał *Wiedźmy* i zaczyna w miejscu, gdzie przerwał ponad dwa lata temu.

Żegnamy się na lotnisku, a potem wsiadamy do różnych odrzutowców, Nic leci do Los Angeles, my do San Francisco.

Tydzień później jestem z Jasperem w Point Reyes Station, gdzie odbieramy pocztę. Jakaś sterta rachunków, listy ze szkoły dzieciaków w sprawie planu zajęć po wakacjach oraz list do Jaspera od Nica. Jasper ostrożnie otwiera kopertę, rozwija list i trzyma w dłoniach, czytając na głos. Zgrabnym pismem na kartce wydartej z notatnika Nic pisze: „Szukam jakiegoś sposobu, żeby powiedzieć, że mi przykro bardziej, niż mogą to wyrazić te dwa słowa bez znaczenia. Wiem także, że te pieniądze nigdy nie zastąpią tego wszystkiego,

z czego cię okradłem, w sensie lęku, zmartwienia, i szaleństwa, jakie wprowadziłem w twoje młode życie. Prawda jest taka, że nie wiem, jak powiedzieć, że mi przykro, że przepraszam. Kocham cię, ale to się nigdy nie zmieniło. Zależy mi na tobie, ale zawsze mi zależało. Jestem z ciebie dumny, ale to także się nie zmienia i nie ułatwia mojego zadania. Myślę, że mogę zaproponować ci coś takiego: odtąd ilekroć będziesz mnie potrzebował – żeby porozmawiać czy tak po prostu – będę zawsze miał dla ciebie czas. To jest coś, czego wcześniej nigdy nie mogłem ci obiecać. Zawsze będziesz mógł na mnie liczyć. Będę żył, zbuduję sobie jakieś życie i stanę się kimś, na kim będziesz mógł polegać. Mam nadzieję, że to znaczy więcej niż ten głupi list i te osiem dolarów".

Część V

Nigdy nie wiadomo

JOEL

Jak dokładnie to będzie wyglądało dziś wieczorem?

(Kiedy Mierzwiak mówi, kolory w pokoju zaczynają blaknąć, ton głosu Mierzwiaka także się zmienia; staje się suchy i monotonny.)

MIERZWIAK

Zaczniemy od pańskich najświeższych wspomnień i będziemy posuwali się wstecz – Istnieje emocjonalny rdzeń związany z każdym naszym wspomnieniem – Kiedy usuniemy ten rdzeń, rozpocznie się proces rozpadu wspomnienia – Zanim się pan rano obudzi, wszystkie wspomnienia, które wzięliśmy na cel, zblakną i znikną. Jak sen po przebudzeniu.

JOEL

Czy istnieje ryzyko uszkodzenia mózgu?

MIERZWIAK

Cóż, technicznie rzecz biorąc, sama procedura polega na wywoływaniu zniszczeń w mózgu, ale porównywalnych ze skutkami wieczornego pijaństwa. Nic, co by pan zauważył.

Rozdział 20

Artykuł *My Addcited Son* (Mój uzależniony syn) ukazuje się w „New York Times Magazine" w lutym. Docierają do nas obu liczne reakcje przyjaciół i nieznajomych. Traktujemy to jako zachętę, ponieważ wygląda na to, że nasza rodzinna historia poruszyła wiele osób, a także, według części z nich, okazała się pomocna. Zwłaszcza dla tych, którzy przeżywają to samo, przez co teraz przechodzimy.

Jeden z wydawców pyta Nica, czy nie spisałby swoich wspomnień, a on z entuzjazmem podchwytuje pomysł. Ta reakcja staje się dla mnie zachętą, żeby napisać trochę więcej, wejść w naszą historię głębiej. Wkrótce mam już umówiony termin oddania książki, choć i tak pisałbym dalej, mimo że sama czynność jest dla mnie niesłychanie trudna, a opisywanie tej historii momentami nieznośnie bolesne. Ponownie przeżywam piekło. Ale wracam także pamięcią do chwil nadziei i cudów, jakie zdarzały się po drodze, i do miłości.

Pod koniec lutego zamierzamy spędzić narciarski weekend nad jeziorem Tahoe. Nic bierze w pracy kilka dni wolnego, żeby mógł się do nas przyłączyć. Dzieciaki jeżdżą razem na nartach. Wieczorami Nic opowiada im przy kominku dalsze odcinki historii o PJ.

Kiedy o tym rozmawiamy, mam wrażenie, że z głębokim zaangażowaniem podchodzi do swojej trzeźwości. Nauczyłem się już powściągać optymizm, ale wciąż się cieszę, kiedy słyszę, jak opowiada o swoim życiu, które odbudowuje w Los Angeles. Oprócz książki pisze także opowiadania i recenzje filmowe dla czasopisma ukazującego się online. Pisanie recenzji wydaje się idealnie do niego pasować, skoro filmy odgrywają tak wielką rolę w jego życiu. Kiedy jest w Los Angeles, każdego dnia jeździ na rowerze, pływa albo biega. Razem z Randym urządzają wyprawy wzdłuż wybrzeża, na północ i na południe od Santa Monica. Jeżdżą po mieście, kanionach i wzdłuż plaży, wspinają się na wzgórza.

Kiedy odwożę go na lotnisko, po jego wizycie w górach, mówi mi, że kocha swoje życie. Użył właśnie tych słów: „Kocham swoje życie".

Opowiada, że jeżdżenie z Randym go pobudza, dodaje sił.

– Ta euforia jest o wiele lepsza niż wszystko, co mogą dać narkotyki –

mówi. – To euforia życia pełnią życia. Kiedy jeżdżę, czuję to wszystko.

Tak, jestem optymistą. Ale czy przestałem się martwić? Nie.

Jest drugi czerwca. Kilka dni przed tegorocznym uroczystym zakończeniem roku szkolnego u Jaspera i Daisy – ona przechodzi do czwartej klasy, Jasper do szóstej. Jesteśmy razem z Karen w domu w Inverness. Nagle czuję się, jakby moja głowa miała za chwilę wybuchnąć.

Ludzie używają takiej metafory. Ale to nie to. Naprawdę czuję, że głowa mi pęka, dosłownie.

– Karen, zadzwoń na pogotowie.

Patrzy na mnie przez chwilę, nie rozumie, co do niej mówię.

– Czy ty… – A potem dzwoni.

Jakieś dziesięć, piętnaście minut później zjawia się trzech ludzi, którzy przynoszą ze sobą różne pudełka, urządzenia i nosze. Stawiają to wszystko koło mnie w salonie. Zadają mi pytania i przeprowadzają wstępne badanie, jednocześnie zakładają mi monitor ciśnienia i akcji serca. Pytają, do którego szpitala chcę jechać.

Jestem w ambulansie. Leżę w karetce, a nade mną pochyla się dwóch mężczyzn. Coś do mnie mówią. Nic nie rozumiem. Kręci mi się w głowie. Co chwila wymiotuję do plastikowej torebki i przepraszam.

Kiedy karetka przyjeżdża do szpitala, Karen, razem ze swoim ojcem, czeka już w sali przyjęć oddziału ratunkowego. Osoba, która mnie przyjmuje, lekarz albo pielęgniarka, omawia różne opcje, kiedy nagle słyszę spokojny głos Dona.

– Czy rozważaliście krwotok podpajęczynówkowy? Może trzeba zrobić tomografię.

Lekarz albo pielęgniarka spogląda na niego z pewnym niedowierzaniem, ale mówi:

– Tak. Zrobimy zaraz tomografię.

Wiozą mnie na szpitalnym wózku korytarzem do jakiejś windy. Nie panikuję i nie boję się, że umrę, ponieważ jestem zbyt zdezorientowany, żeby myśleć tak prosto. Czuję dziwny spokój.

Przenoszą mnie z wózka na długą plastikową deskę, a stamtąd na inny wózek, który porusza się jak przenośnik taśmowy, po czym moja głowa ląduje wewnątrz jakiegoś małego tunelu. Słyszę, że mam się nie ruszać. Białe światło, jakiś nękający dźwięk, niebieskie światło.

Odwożą mnie z powrotem do sali przyjęć. Nic już nie wiem. Nie wiem.

Mój stan się pogarsza. Dobiegają do mnie słowa „krwotok mózgowy". Wiem tylko, że słyszałem o czymś takim i potrafię mgliście pojąć słowa „mózgowy", coś z mózgiem, „krwotok", a więc krwawienie.

Późnym wieczorem Karen jedzie do swoich rodziców, gdzie Jasper i Daisy zostają na noc. Wczesnym rankiem dzwoni telefon. Karen, która niewiele spała, sięga po słuchawkę. Dzwoni moja pielęgniarka:

– Powinnam panią ostrzec. On nie może mówić.

W szpitalu jakiś neurochirurg bierze Karen na bok i wyjaśnia, że chciałby wywiercić dziurę w mojej głowie i umieścić w niej sztuczną przetokę.

– To zmniejszy ciśnienie.

Karen wyraża zgodę.

Siostra Karen jest pielęgniarką w Centrum Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego i jej bliski przyjaciel pracuje tam jako neuroonkolog. Lekarz odwiedza mnie w szpitalu i po konsultacji z chirurgiem umawiają się, że zostanę przeniesiony na oddział intensywnej opieki neurologicznej Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco. Kolejna jazda ambulansem, tym razem przez most Golden Gate, do miasta.

Oddział intensywnej opieki neurologicznej.

Nie czuję się dobrze we własnej skórze – jest mi za gorąco, nie jestem w stanie leżeć spokojnie, podają mi leki, które mają osłabiać działanie innych leków – przeciwwymiotne, przeciw opuchliźnie, antykoagulacyjne, przeciwbólowe. Ciśnienie mi skacze pod wpływem niepokoju, a to wymaga kolejnych lekarstw, które pogłębiają niepokój. Jestem oklejony taśmami, naszpikowany igłami, poprzypinali do mnie różne urządzenia. Z mojego ciała: ramion, penisa i z czubka głowy – jak u Neo w *Matriksie* – wystają rurki. W pewnym momencie golą mi włosy łonowe, żeby zrobić angiografię. Swędzi mnie od morfiny. Oślepiają mnie ostre światła i słyszę, czuję bezlitosne pulsowanie, ostre dźwięki tych wszystkich urządzeń.

Nic.

Gdzie jest Nic? Gdzie jest Nic? Gdzie jest Nic? Gdzie jest Nic? Muszę zadzwonić do Nica.

Nie pamiętam jego numeru telefonu.

Trzy, jeden, zero.

A co dalej?

Na kostce zegarka leżącego na stoliku obok łóżka widzę połyskujące cyfry: ich radioaktywna, niebieskawa zieleń zmienia kształt w taki sposób, że dwójka przechodzi w trójkę, a piątka i dziewiątka rozpuszczają się i na ich miejsce pojawia się para kanciastych zer. Trzecia nad ranem.

Trzy, jeden, zero. To kierunkowy.

Gdybym tylko mógł jakoś uciszyć to nieubłagane piszczenie, jak dźwięk sonaru. Gdybym tylko mógł przyciemnić oślepiająco białe, pomrukujące światła. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć numer telefonu Nica.

Pielęgniarka krzyczy na mnie, że manipuluję przy rurce wystającej z czubka głowy.

Zapomniałem. Przepraszam.

Kiedy znika, sięgam wolną ręką do góry i staram się wymacać plastikową rurkę w miejscu, gdzie wystaje niczym ogonek od gruszki, z wygolonego placka na czubku mojej głowy.

Cienka rurka wznosi się pętlą ku górze w stronę haczyka w kształcie litery S, zawieszonego na metalowym stojaku. Stamtąd rurka wdzięcznym łukiem opada, w stronę zapieczętowanej, plastikowej torebki.

Poruszam głową w prawo. Odrobinę. Kiedy wreszcie mi się to udaje, dostrzegam rurkę, niczym jakąś błędną arterię przenoszącą krople przejrzystego płynu, lekko zabarwionego na czerwono. Ta ciecz, skapująca powoli do torebki, to odsączający się płyn rdzeniowo-mózgowy. Czerwień to krew pochodząca z krwotoku. Pielęgniarka wyjaśnia mi jeszcze raz: mam krwawienie wewnątrz mózgu, w obszarze podpajęczynówkowym. Kiedy coś takiego się dzieje, niemal zawsze jest spowodowane przez tętniaka, osłabione miejsce na jakiejś arterii, z którego wycieka krew. Domyślam się, że takie krwawienie często jest zabójcze, może także wywołać czasowe albo trwałe uszkodzenie

mózgu.

Nowa pielęgniarka. Naciska guziki na urządzeniach monitorujących.

– Proszę, czy pomoże mi pani zadzwonić do syna? Nie pamiętam jego numeru telefonu. Muszę do niego zadzwonić.

– Pańska żona będzie tutaj rano – mówi pielęgniarka. – Na pewno zna numer.

Ale ja potrzebuję tego numeru teraz.

– Proszę się trochę przespać. Tak czy inaczej jest za późno, żeby do niego dzwonić.

Ze stanowiska pielęgniarek dobiegają odgłosy rozmów.

Trzy, jeden, zero.

Numer jego telefonu zaczyna się od trójki, potem jest jedynka i zero, to kod obszaru położonego blisko plaży w Los Angeles.

Plaża.

Biały piasek.

Nic biegnie. Skręca na pasmo przeciwpożarowe, wiodące przez zarośla, powyżej kanionu, niedaleko bezludnej zatoki powyżej Malibu. Ma szczupłe, smukłe ciało i mocne nogi, biegnie.

Ma opaskę na włosach.

Wielkie buty sportowe, spodenki do biegania i T-shirt mocno opinający jego muskularną pierś.

Oczy barwy herbaty, czyste.

Staram się zaufać jego głosowi w telefonie, żeby uciszyć swój dręczący niepokój, chociaż wiem, że jego głos potrafi być mistrzowsko zwodniczy. Nie wiem już, co jest prawdą, a jednak chętnie mu zaufam, uspokoję się, jeśli tylko usłyszę jego głos.

Hej tato, to ja. Co się dzieje? Wszystko u ciebie w porządku?

Jestem pewien, że u niego wszystko w porządku. Nigdy nie jestem pewien, czy u niego wszystko jest w porządku.

Trzy, jeden, zero i…

Czasami, gdy u Nica nie wszystko było w porządku, czułem się tak źle, że chciałem wymazać, wykasować, wytrzeć każdy ślad jego istnienia z mojej głowy, z mojego mózgu, żebym już więcej nie musiał się o niego martwić i narażać się na kolejne rozczarowania i żebym nie czuł się zraniony. Nie musiałbym wtedy obwiniać samego siebie i nie musiałbym obwiniać jego, i nie musiałbym dłużej oglądać tego bezlitosnego, przerażającego pokazu slajdów, które wyświetlają się w mojej głowie, kiedy widzę mojego wspaniałego syna, jak leży znarkotyzowany, w najbardziej przerażających, przygnębiających okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić. Przeżywałem udrękę i pragnąłem ulgi.

Chciałem, żeby ktoś wyskrobał z mojego mózgu wszelkie, nawet najdrobniejsze ślady po Nicu, i całą świadomość tego, co przepadło, i mój niepokój. Nie tylko moją, ale i jego udrękę i palący wewnątrz ogień. Tak jak mógłbym wyskrobać nasiona i soczysty miąższ z przejrzałego melona, nie pozostawiając żadnego śladu zgniłego ciała.

Miałem wrażenie, że nic prócz lobotomii nie mogłoby uśmierzyć tego niesłabnącego bólu.

Dociera do mnie: leżę na oddziale intensywnej opieki neurologicznej po krwotoku do mózgu; to nie lobotomia, ale blisko.

Leżę w białej sali w Centrum Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco, udręczony przez odgłosy monitorujących urządzeń, niczym sonar, i przez przyjazne pielęgniarki, które pytają mnie, czy pamiętam, jak się nazywam (nie pamiętam), i który jest rok (2015?).

W pewnym sensie mój mózg został wyskrobany, nieomal śmiertelnie, i nie potrafię sobie przypomnieć, jak się nazywam ani który jest rok, a mimo to nie oszczędzono mi niepokoju, jaki jedynie rodzice dzieci zażywających narkotyki – zapewne rodzice wszystkich dzieci w śmiertelnym niebezpieczeństwie – mogą zrozumieć.

Czy Nic znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Jego mózg jest zatruty, opętany przez metamfetaminę. Chciałem usunąć Nica, wymazać go, wytrzeć z mojego mózgu, ale on tam jest, nawet po tym krwotoku. Jesteśmy związani z naszymi dziećmi, niezależnie od okoliczności. One są splecione z każdą komórką naszego ciała, z każdym neuronem. Nie można ich oddzielić. Zamieszkują naszą świadomość, mieszkają w każdej przestrzeni, każdej jamie, szczelinie naszego ciała, w naszych najbardziej pierwotnych instynk-

tach, głębiej nawet niż nasza tożsamość. Głębiej niż nasze ja.

Mój syn. Jedynie moja śmierć mogłaby go wymazać. A może nie starczyłoby nawet śmierci.

Jaki jest jego numer telefonu?

Nic.

Odgłosy jakiegoś urządzenia pulsują w mojej czaszce jak młot pneumatyczny.

– Niech pan spróbuje trochę.

– Co?

– Pospać.

Pielęgniarka. Budzi mnie.

– Nic?

– Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Trochę ciśnienie panu skoczyło.

Kolejne pigułki. Papierowy kubek z wodą do popicia.

– Nic.

– Proszę się przespać, to panu bardziej pomoże niż cokolwiek innego.

– Mój syn?

– Proszę się przespać.

– Czy może mi pani pomóc zadzwonić…?

– Proszę się trochę przespać.

Jestem podekscytowany – i najwyraźniej – wyciągam sobie rurkę z głowy. Pielęgniarka patrzy na mnie ze znużeniem, niepewnością, przybiegła przed chwilą. Mówi, że zrobi mi kolejny zastrzyk ze środkiem przeciwbólowym.

Lekarstwa nie uśmierzają mojego przerażenia. Chcę do niego zadzwonić, żeby się upewnić, że wszystko w porządku. Muszę do niego zadzwonić. Nie potrafię sobie przypomnieć, jaki jest jego numer. Zaczyna się od trzy, jeden, och.

– Kochany, proszę spróbować zasnąć.

Rankiem Karen jest w szpitalu. Wchodzi jakiś lekarz.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa?

Jeszcze raz ze smutkiem kręcę głową.

– Wie pan, gdzie pan jest?

Zastanawiam się dłuższą chwilę, a potem pytam:

– Czy to pytanie metafizyczne?

Lekarz nie odpowiada od razu. A kiedy wreszcie się odzywa, mówi, że nie, wystarczy najprostsza odpowiedź.

Karen płacze.

– Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Patrzę w pustkę przed sobą.

– Może pan powiedzieć mojemu redaktorowi o walizce? Jest zepsuta. Proszę mu powiedzieć, że zamki nie działają – mówię.

– Walizka?

– Tak. Zamki nie działają. Walizka jest zepsuta.

– Dobrze, powiem mu.

Zepsuta walizka, mój mózg. Jest w niej wszystko, czym jestem. Nie pamiętam, jak się nazywam, nie wiem, gdzie jestem, i nie potrafię przypomnieć sobie jego numeru telefonu, cyfry wysypały się z walizki, wśród hałasu i zamętu, jaki, towarzyszył przewracaniu się plastikowego wiadra, w którym trzymał klocki Lego; a może to była jego kolekcja morskich muszli z China Beach? Wszystko się wysypało, ponieważ zamek się zepsuł.

Mój syn jest w niebezpieczeństwie. Nie potrafię o tym zapomnieć, nawet teraz, kiedy mój mózg jest zalany toksyczną krwią.

Nic.

– Jak pan się nazywa?

To znowu pielęgniarka.

– Czy może pani zadzwonić do mojego syna?

– A jaki jest jego numer telefonu?

– Trzy, jeden.

– Tak?

– Nie wiem.

Pielęgniarka robi mi kolejny zastrzyk ze środka uspokajającego i przeciwbólowego i jakieś gęste ciepło oblewa moje palce u nóg, a potem nogi i wlewa się do moich kończyn i bombluje we mnie jak dymiąca smoła. Wypełnia mi żołądek, klatkę piersiową, aż do ramion, a potem ręce, aż do podstawy mojej szyi, a potem rozlewa się w górę mojej szyi, aż do popsutej głowy, przynosi ukojenie. Sen, niczym śmierć, bierze mnie w posiadanie, niczym opadanie na dno martwego człowieka ze stopami zatopionymi w betonie, którego wrzucono do jeziora bez dna, i tak samo spadam, w dół, w dół, w dół, ale nawet w tym momencie łamię sobie mój popsuty mózg. Co tam jest dalej po trójce, jedynce, zerze?

Mam swój pokój, ale nie ma w nim prywatności. Drzwi są otwarte. Zawsze pali się światło. Raz czy drugi proszę Karen albo pielęgniarkę o otwarcie okna, żeby wpuścić trochę powietrza, ale zaraz robi mi się strasznie zimno. Siostra Karen zagląda do mnie, jeśli ma kilka minut przerwy między zajęciami na innych oddziałach. Czuję się lepiej, kiedy ona tu jest.

Ale najczęściej czuję się lepiej, kiedy przy mnie jest Karen. Leży ze mną w łóżku, pod neonowymi świetlówkami, zatopionymi w plastiku, pod sufitem z białych kwadratowych paneli, pokrytych konstelacją niewielkich dziurek. Leży ze mną i coś mi czyta, póki nie zasnę. Poza tym ma na głowie dom, dzieci, całe nasze życie, ale ja chcę, żeby była tutaj, razem ze mną, potrzebuję jej tutaj. Kiedy tu jest, cała reszta gdzieś odpływa – zmartwienie, lęk – kiedy ona leży ze mną, trzyma mnie za rękę i oboje oglądamy jedyny kanał telewizyjny, który potrafię wytrzymać – z jedyną fabułą, za jaką nadążam – transmisję przedstawiającą niezmieniający się obraz jakiejś góry.

Nie poszedłem na zakończenie roku w szkole. Nie było mnie na urodzinach Daisy.

Kolejni lekarze zadają mi te same pytania. Jak się pan nazywa? Który dzi-

siaj jest dzień? Kim pan jest? Kto jest prezydentem? Każą mi wyciągać ręce przed siebie, dłońmi do góry. Ile palców pan widzi? Proszę poruszać palcami u nóg. Proszę nacisnąć na moją rękę. A teraz to samo stopą.

Kolejne badania. Pokazują, że nie mam tętniaka. Dziesięć procent osób, które trafiają do szpitala z wylewem podpajęczynówkowym, nie ma tętniaka.

Kolejne testy.

Dzisiaj potrafię już odpowiedzieć na pytania lekarzy.

David Sheff.

Jedenasty lipca 2005.

Centrum Medyczne w San Francisco.

Całkowicie się przestawiam z poczucia, że mam jakiegoś straszliwego pecha – jak to możliwe, że się tutaj znalazłem? – na poczucie, że jestem niebywałym szczęściarzem. Gdybym potrzebował dalszych potwierdzeń, dowiaduję się, że mogę już zacząć trochę się poruszać. Próbuję chodzić. Niepewnie stawiam kroki. Z pomocą pielęgniarki wyciągam się jakoś z pokoju i drepcę kawałek ponurym, żółtym korytarzem, oświetlonym neonowymi lampami, mijając hasło: TWOJE BEZPIECZEŃSTWO JEST NASZYM CELEM. Zaglądam w otwarte drzwi do pokojów innych pacjentów. Jakiś człowiek leży nieprzytomny na łóżku, na jego wygolonej głowie widzę blizny przypominające szycie na piłce futbolowej. Inny mężczyzna siedzi na łóżku i mówi coś nieskładnie. Nieprzytomna kobieta, a potem jakiś mężczyzna i zaraz następny z podbitymi oczami, zupełnie jak gdyby ktoś chciał im wyciągnąć gałki oczne.

Podczas moich spacerów widzę chorych i okaleczonych, przerażonych i słabych, walczących o życie. Obok oddziału intensywnej opieki medycznej znajduje się okno z widokiem na San Francisco – można dostrzec nowy, połyskujący miedzianym blaskiem budynek Muzeum De Young w parku Golden Gate, rzędy wiktoriańskich domów i bloki mieszkalne. Patrzę na nie, a potem z powrotem na twarze, które mijają mnie w korytarzu – jakiś drżący, skulony duch o żółtych włosach, z porażeniem, ściskający mocno metalowy chodzik swoimi białymi szponami i jakaś kobieta z przerażeniem w oczach na wózku popychanym przez salową.

Przychodzą Jasper i Daisy. Ich światło wypełnia pokój. Uspokajam ich, mó-

wię, że wszystko będzie dobrze. Wdrapują się na moje łóżko. Nie jestem w stanie normalnie reagować i martwię się, że to może ich wystraszyć, ale mogę jedynie im powiedzieć, że ich kocham. Wydawało mi się, że poczują się lepiej, jeśli mnie zobaczą, przekonają się, że nic mi się nie stało, ale być może osąd nie jest w tej chwili moją najmocniejszą stroną.

Nic dzwoni.

Nic dzwoni.

Nic.

To dobrze.

Nic codziennie rozmawiał z Karen, odkąd przywieziono mnie do szpitala. Żartuje, że mam dziurę w głowie. Mówi, że zamierza mnie odwiedzić.

U Nica wszystko w porządku.

Po dwóch tygodniach Karen przywozi mnie do domu. Z łóżka, przez szklane drzwi pokoju, widzę ogród. Zdumiewają mnie kolory, zieleń każdego liścia, gałązek roślin, igieł cyprysów. I miękka biel. Hortensje. Słoneczna żółć. Róże. Lawenda. Fiołki rosnące w szczelinach na stopniach tarasu. Obserwuję małego ptaszka z purpurowymi piórkami, który oporządza się i trzepocze skrzydłami podczas ptasiej toalety.

Jem dojrzałe brzoskwinie. Tylko nimi chciałbym się teraz odżywiać.

Większość czasu przesypiam, ale też gram z Jasperem w karty, w Crazy Eights, oraz w Nickles, Daisy czyta coś dla mnie. Każdego dnia. Rozmawiam z Nikiem przez telefon. Leżymy z Karen obok siebie w łóżku; czyta mi „Timesa", a ja próbuję czasem rozszyfrować jakieś zdanie w gazecie. Wreszcie przebrnąłem przez krótką recenzję w „New Yorkerze". Kiedy udaje mi się przeczytać cały tekst w rubryce „Talk of the Town", czuję się, jakbym zrobił doktorat.

Trzymamy się z Karen za ręce. Ogarnia mnie nieuchwytne, czyste, niezwykle cenne uczucie, które przychodzi do mnie, gdy tak leżymy w łóżku.

Spacerujemy po ogrodzie.

– Nic dzwonił. Wkrótce przyjedzie. Co o tym myślisz?

– Nie mogę się doczekać.

Nic zagląda przez frontowe drzwi, wita się ze szczekającym Brutusem, a chwilę potem wpadają na niego Daisy i Jasper. Słyszę ich głosy z mojego pokoju.

– Hej, Nicky.

– Nic.

– Hej pannico!

– Nicky!

– Daisy!

– Hej.

– Ach.

– Nicky.

Szczekanie.

A potem Karen.

– Hej, Mamacita!

– Sputnik.

– KB.

– Tak się cieszę.

– Ja też.

– Że cię widzę.

– I jak się jechało?

– Szybko, świetnie.

– To dobrze.

– Ale jazda.

– Ty też.

– Mam piłkę.

– Pałkę?

– Chcesz rysować?

– Ale.

– Piłka?

– Do grania?

– Tak, ale.

– Mam kredę.

– Kredę?

– Opowiesz nam o PJ?

– Tak, tak. Ale.

– Ale czy…

– A gdzie jest staruszek?

Razem z dzieciakami, które biegną za nim, i z Karen, Nic wchodzi do mojej sypialni. Chcę się z nim porządnie przywitać. Niepewnie staję na nogach i ściskamy się.

– A więc tak.

– Tak.

– Hej, tato.

– Hej, Nic.

– Cieszę się, że cię widzę.

– Ja też.

Przesypiam większą część każdego dnia, ale Nic siedzi ze mną i trzyma mnie za rękę. Kiedy śpię, wychodzi przejechać się na rowerze. Przywiózł ze sobą rower, wrzucił go na tył samochodu, który niedawno kupił od przyjaciela z AA. Widzę, jak stoi w spodenkach do jazdy na rowerze, z wyścielanym dołem, i w koszulce z logo Motoroli, w skarpetkach opinających łydkę i w specjalnych butach, które przypina się do pedałów. Jedzie z naszego domu drogą w dół, a potem na zachód, wzdłuż zatoki Tomales. Wyobrażam sobie, jak jedzie wzdłuż zatoki, gdzie bawił się i dorastał, pływał kajakiem i wpław, a także zażywał narkotyki z przyjaciółmi na plażach wzdłuż całego półwyspu, wzdłuż długiej zatoki, obok gospodarstw rolnych i Estero, gdzie chodziliśmy surfować.

Po powrocie z przejażdżki sprawdza, co u mnie. Zagląda przez drzwi, a potem siedzi ze mną.

– Bałem się, że możemy cię stracić – mówi.

Przypatruję mu się uważnie.

– A to pewna odmiana.

Robię się senny i Nic idzie do pokoju dzieciaków pobawić się z Jasperem i Daisy. A potem, następnego dnia, za szybko dla nas wszystkich, musi wracać do pracy. Wyjeżdża wieczorem z powrotem do Los Angeles.

Wydaje mi się, że każdego dnia czuję się nieco lepiej, przez nieco dłuższy czas. „Wielu pacjentów, którzy mają krwawienie podpajęczynówkowe, umiera, zanim trafią do szpitala", przeczytałem w jakiejś medycznej witrynie, którą znalazłem w internecie. „Z tych, którym udaje się dotrzeć do szpitala, pięćdziesiąt procent umiera w trakcie pierwszego miesiąca leczenia".

Rano, a potem o zmierzchu Karen zachęca mnie do wspólnych spacerów po ogrodzie. Narzekam, ale udaje mi się dojść aż do jej pracowni, a potem wyczerpany wracam do łóżka.

Próbuję jakoś zrozumieć, co się stało i co może się stać. Nawet nie wiem, czego bym chciał w przyszłości. W jakimś sensie pragnę powrotu do normalnego życia, a jednocześnie wcale go nie chcę. Nie chcę, żeby wszystko dokładnie wróciło do normy. To znaczy nie chcę wrócić do swoich normalnych zmartwień i niepokojów związanych z Nikiem.

Czasami wpadam w panikę na myśl o przyszłości, czuję się słaby i udręczony na myśl o przeszłości. Ale dzisiaj Jasper i Daisy miewają się świetnie. Jasper wyjechał na tygodniowy obóz. Daisy rano pływa, a potem wraca do domu. Czyta mi fragment z książki *Love* Ruby Lavender. Nic znowu się przeprowadził. Tym razem do jakiegoś mieszkania w Hollywood. Jest podekscytowany na myśl, że będzie mieszkał z przyjaciółmi. Zadzwonił dziś rano w drodze na spotkanie z Randym, zamierzali pojechać na rowerach wzdłuż wybrzeża.

Nieustannie obracam w moim dochodzącym do zdrowia umyśle czas spędzony w szpitalu. Jakoś nie mogę zapomnieć o tym, że nie potrafiłem przypomnieć sobie numeru telefonu Nica i jeszcze raz jestem zdumiony,

że krwotok do mózgu – nawet coś takiego – nie zdołał uwolnić mnie od dręczącego niepokoju o niego. Przypominam sobie wiele innych chwil, kiedy znikał, żył na ulicach, Bóg wie gdzie, i kiedy fantazjowałem o tym, że mógłbym wymazać go ze swojego mózgu, gdybym tylko mógł poddać się lobotomii, i osiągnąć ten stan wiecznej szczęśliwości niezmąconego umysłu, i nie musiałbym się już więcej zadręczać o niego i przez niego. A teraz jestem wdzięczny, że mogę to wszystko przeżywać – nawet udrękę i ból. Jestem gotów skonfrontować się z udręką, aby móc skonfrontować się także z tym, co okazało się najważniejszym uczuciem, jakie do mnie dotarło w następstwie mojego krwotoku.

Zdarza się, że niektórzy ludzie mówią sobie: dość. Gdy ich dziecko okazuje się kimś, z kim nie potrafią się zmierzyć – dla jednych to będzie niewłaściwa religia, dla innych orientacja seksualna, dla jeszcze innych uzależnienie od narkotyków. Zamykają drzwi. Klamka zapada. Jak w filmach o mafii: „Nie mam już syna. Dla mnie jest martwy". Ja mam syna i on nigdy nie będzie dla mnie martwy.

Nie cieszę się z tego, ale przyzwyczaiłem się do ciągłego lęku i obaw, pomrukujących gdzieś w tyle głowy, na przemian z depresją, do tego wszystkiego, co przychodzi do mnie wraz z uzależnieniem Nica. Nie pamiętam, jaki byłem, zanim to się zaczęło. Jestem przyzwyczajony, że radość może być ulotna i czasami mogę wpaść w jakąś czarną otchłań. A jednak, żyjąc z tym wszystkim przez jakiś czas, mogę teraz – czy może sam sobie na to pozwalam? – wypełznąć z tej czarnej otchłani na powierzchnię, unieść zasłonę, która ją spowija i wejść w nieco inny, zmieniony świat, odrobinę jaśniejszy, bogatszy i bardziej żywy. Zbiera mi się na płacz, kiedy o tym myślę. Kiedy o tym wszystkim myślę. Z jednej strony przyszłość jest niepewna. Mogę mieć kolejny wylew. Moje dzieci mogą zginąć w jakimś wypadku samochodowym. Nic może znowu zacząć zażywać narkotyki. Miliony innych katastrof. Z drugiej – współczucie i miłość. Do moich rodziców i rodziny, przyjaciół. Do Karen. Do moich dzieci. Nawet jeśli będę czuł się bardziej kruchy i zagrożony, doświadczę wszystkiego z głębszą świadomością.

Ludzie, którzy podobnie jak ja przeszli jakieś dramatyczne, zagrażające ich życiu doświadczenie, mówią często, że wszystko stało się teraz dla nich jasne. Opowiadają, że na nowo zrozumieli, co jest ważne i co jest nieważne. Zwykle mówią, że teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej cenią swoich najbliższych i swoich przyjaciół. Osoby, które mają za sobą takie doświadcze-

nie, mówią, że nauczyły się pomijać to, co w ich życiu nieistotne i skupiać się na chwili bieżącej. Nie mam poczucia, że wszystko stało się jasne. Pod pewnymi względami jest odwrotnie. Mam teraz więcej, a nie mniej spraw, o których muszę pamiętać – ze względu na wzmożone poczucie ludzkiej śmiertelności. Tak, moja pewność, że ukochani i przyjaciele znaczą dla mnie więcej niż wszystko inne nie osłabła. Ale nigdy nie miałem z tym problemu, zawsze byli dla mnie ważni. Nie mam także wątpliwości, że powinienem cieszyć się chwilą – cenić to, co mam. Jestem także, nie mniej niż dawniej, przekonany o tym, że jestem szczęściarzem z wielu względów, a przede wszystkim dlatego, że żyję. Potrafię dostrzec w życiu to, co wspaniałe i cudowne, nawet jeśli czuję nieubłagany upływ czasu. Moje dzieci dorastają, a ja odczuwam zarówno towarzyszący temu smutek, jak i ekscytację. Nade wszystko nieuchronność tego procesu. Czuję to wszystko.

Wychodzę teraz częściej z domu. Chodzę na długie samotne spacery po tajemniczych lasach, gdzie panuje spokój i cisza. Z większą intensywnością dostrzegam barwy – jeszcze więcej zieleni, nieskończone odcienie, a także pączki, drobne listki na gałęziach, zanim się otworzą. Zauważam przebiegającego królika. Słyszę jastrzębie, wielkie, szare czaple i inne ptaki. Czy Bóg istnieje, czy nie, ten niemal niepojęty i niedający się zrozumieć system pełen piękna i złożonych zależności jest na tyle głęboki, by myśleć o nim w kategoriach cudu. Sama świadomość wydaje się cudem. Konstelacja impulsów, które nazywamy miłością, także wydaje się cudem. Te cuda nie przekreślają zła, ale godzę się z jego istnieniem, aby uczestniczyć w tym, co cudowne. Nic, czy czujesz teraz w swoim życiu działanie jakiejś siły wyższej?

Jest trzeźwy ponad rok. Znowu. Półtora roku.

Zadzwonił dziś rano w drodze na spotkanie z Randym, a potem mieli pojechać na rowerach wzdłuż wybrzeża. Jasper i Daisy bawią się przed domem ze swoimi kuzynami na plastikowej zjeżdżalni własnej roboty. Ich śmiech dobiega do mnie przez prześwietlone słońcem liście. Mam ciągle dziurę w głowie, choć mój lekarz powiedział mi, że z czasem zarośnie. A jednocześnie pozwalam sobie na pewną myśl, pełną nadziei, na temat głowy Nica. Przypominam sobie doktor London i jej komputerowe skany. Nic ma już za sobą półtora roku trzeźwości od ostatniego doświadczenia z metą czy jakimkolwiek innym narkotykiem. Przypominam sobie jeden ze skanów, które widziałem na monitorze komputera doktor London – sumaryczny obraz mózgu osób z grupy kontrolnej, o zrównoważonej chemii, normalnych przepływach neu-

roprzekaźników, w odpowiedniej proporcji do wydarzeń zachodzących w życiu. Zastanawiam się, czy to jest znowu obraz mózgu mojego syna.

Rozdział 21

Daisy siedzi koło mnie na jakimś głazie na brzegu rzeki Big Sur. Jest chłodny wieczór pod koniec lata, wewnątrz katedry wysoko wznoszących się sekwoi. Mają pobrużdżoną korę, jak mapa topograficzna, oraz gęstą, słodko pachnącą koronę gałęzi, które wznoszą się w stronę nieba niczym średniowieczne wieże kościołów. Dzień jest szary od mgły. Siedzimy przed naszym namiotem, który jakoś udało nam się rozstawić z Jasperem. Jak dla nas to całkiem spory wyczyn.

Po pobycie w szpitalu i rekonwalescencji w domu, skoro straciłem większość czerwca i lipca, próbuję teraz wykorzystać kończące się lato, aż do ostatniej kropli wsysając się w jego słabnące ciepło, jakbym się starał za wszelką cenę opóźnić jego odejście. Jestem już gotowy na pełny powrót do świata żywych. Dzieciaki za tydzień wracają do szkoły. Moja głowa, jak mówią lekarze, wróciła do normy. Zamek walizki jest naprawiony. Zacząłem więc wyprawiać się poza teren ogrodu, poza okolice Inverness. Razem z Karen, Jasperem i Daisy zdążyliśmy jeszcze zmieścić kilka dni wędrówek i zabaw na plażach wybrzeża Big Sur. W pewnej chwili, gdy tak biwakujemy w naszym miejscu na brzegu rzeki, pod wspaniałymi drzewami, Daisy obwieszcza, że „to jest przecudny dzień".

Zamierzamy wybrać się na wędrówkę, ale najpierw musimy się zatrzymać w sklepie, żeby kupić kanapki.

– To sklep spożywczy, ale niewiele tu się da spożyć – zauważa Jasper. – Jest zamknięty. – Jedziemy dalej i bawimy się w zmodyfikowaną grę w dwadzieścia pytań. W tej dziecięcej wersji można zadać siedemdziesiąt pytań albo i więcej.

Jasper jest „rzeczą", której nazwa zaczyna się na „d". Za nic nie możemy zgadnąć, co to.

Zaglądamy do następnego sklepu. Ten jest otwarty.

Jasper, siedząc z tyłu samochodu, przypomina:

– Zaczyna się na „d".

– Jesteś jadalny?

– Jesteś większy niż Brutus?

– Jesteś zrobiony przez człowieka?

– Jesteś dziurą? – pyta Daisy.

– Co?

– Dziurą.

– Jak zgadłaś,

– Zajrzałam.

– Zajrzałaś do mojego mózgu?

Z torbą wypełnioną piknikowym lunchem wyruszamy na szlak wiodący przez las cyprysowy. Za którymś zakrętem dostrzegamy na kamieniu siedzącego obok szlaku kondora kalifornijskiego. W 1982 roku zostało na wolności mniej niż dwadzieścia pięć tych wspaniałych stworzeń, ale teraz, dzięki wysiłkom grup obrońców przyrody, jest ich być może ponad dwieście. To jeden z nich: ten, który przetrwał, nadzieja swojego gatunku, wojowniczo zadziera głowę, patrzy na nas, a potem, w dramatycznym geście rozwija ogromne skrzydła i sunie z powiewem wiatru w stronę Pacyfiku.

Właśnie w chwili, gdy wracamy do samochodu, dzwoni moja komórka.

– Hej, co się dzieje?

To Nic.

Rozmawiamy przez chwilę, a potem prosi, żeby pozdrowić pozostałych. Podaję telefon. Nic opowiada jakieś historyjki o ludziach, z którymi pracuje. Dzieciaki, a potem Karen relacjonuje nasze przygody w Big Sur. Nic życzy im szczęśliwego nowego roku szkolnego.

Dzień się kończy, słońce zachodzi. Pora wracać do domu. Nasze wakacje dobiegły końca. Jedziemy dalej.

– Zaczekajcie – mówi Daisy.

Mimo naszych próśb ciągle zakłada i wyjmuje swój aparat na zęby.

– Tak sobie myślę – mówi à propos nie wiadomo czego. – Ostatniego dnia mojego życia zjadłabym tonę słodyczy, ponieważ to już nie miałoby znaczenia, czy popsują mi się zęby albo czy jedzenie mi zaszkodzi. Prawdę mówiąc, to byłoby smutne być starym, ponieważ wy wszyscy już wtedy nie będziecie żyć. – Wskazuje na Karen i na mnie. – Nawet Jasper, ponieważ jestem naj-

młodsza. Ale wiecie, myślę, że to nie będzie takie straszne umrzeć. Myślę, że to będzie tak jak dzisiaj: koniec wakacji, kiedy jesteś gotowa wrócić do domu.

We wtorek rano Jasper i Daisy są cali w nerwach z powodu pierwszego dnia szkoły. We wtorek po południu pełni entuzjazmu opowiadają nam o swoich nauczycielach i przyjaciołach. Jasper jest teraz w szóstej klasie. To pierwszy rok, kiedy będzie zmieniał sale lekcyjne na zajęciach z matematyki, angielskiego, historii, nauk przyrodniczych i innych przedmiotów. Daisy uwielbia swoją nową nauczycielkę, która poprosiła uczniów, żeby napisali do niej list o swoim życiu, ponieważ chciałaby ich lepiej poznać.

„Droga Lauro, naprawdę nie mogę się doczekać czwartej klasy. Chciałabym być lepsza z matematyki. Hiszpański nie jest moją najmocniejszą stroną, ale señor Leon jest zabawny. Lubię nauki przyrodnicze. Naprawdę lubię czytać (...). Właśnie dostałam aparat na zęby i trudno mi wymówić G. Ale się staram i jestem coraz lepsza. Tylko trudno się powstrzymać, żeby nie manipulować przy nim językiem", pisze Daisy.

Na tym list się nie kończy – Daisy opowiada o swoich ulubionych potrawach i o psach. „Jasper nazywał Moondoga Moongoggi. Moondog umarł na raka". Na koniec: „Mój brat lubił sobie zapalić, ale już przestał. Proszę się nie martwić, to nie Jasper. To Nic. Mieszka w Los Angeles. Mój tata, David, miał krwawienie mózgu, ale czuje się lepiej. Jasper wywalił się na rowerze, głową do przodu. Nie chcę opisywać za dużo złych wiadomości, ale popsuł mi się suwak w kurtce. Już jest w porządku. Wszystko jest teraz na piątkę. Serdeczności, Daisy".

Po lecie ranki są dla nas pewnym wyzwaniem, ale dzisiaj udało nam się wyprawić dzieciaki do szkoły na czas.

Znowu zabrałem się do pisania. A jeszcze nie tak dawno nie potrafiłem napisać ani słowa.

Dziś po południu Jasper ma zajęcia z piłki nożnej (na zmianę ma treningi piłkarskie, pływackie i próby zespołu), a ja idę z Daisy na spacer. Po odebraniu Jaspera jedziemy do domu Nancy i Dona na cotygodniowy obiad.

Dzieciaki bawią się na huśtawce w domu.

– Włóżcie jakieś buty – upomina je Nancy – bo wbije wam się drzazga.

Po pieczeni, puddingu z Yorkshire z groszkiem i ziemniakami w talarkach postanawiamy zostać na noc, dzięki czemu nie musimy wracać do Inverness. Dzieciaki odrabiają lekcje – Daisy ćwiczy tabliczkę mnożenia i ortografię w takich słowach jak „kormoran", a Jasper pisze wypracowanie po lekturze książki *Dawca* – a potem oboje czytają. Przed snem cała nasza czwórka zbiera się na dole, w sypialni, i Karen czyta nam na głos nowego *Harry'ego Pottera*.

Dumbledore mówi do Harry'ego, że „zagłuszanie bólu na jakiś czas sprawia, że powraca ze zdwojoną siłą "[11].

Aż wreszcie dochodzimy do tego miejsca:

Biorąc to wszystko pod uwagę, odczuwał coraz silniej pokusę ponownego łyknięcia Felix Felicis. Czyż nie był to właśnie przypadek potrzeby »nagięcia okoliczności«, jak to ujęła Hermiona?[12]

Wreszcie Harry zażywa eliksir.

– No i jak sie czujesz? – szepnęła Hermiona.

– Przez chwilę milczał. Potem, powoli, ale pewnie ogarnęło go radosne poczucie, że posiada nieograniczone możliwości; poczuł się tak, jakby mógł dokonać wszystkiego, naprawdę wszystkiego, co zechce... a wydobycie od Slughorna wspomnienia wydało mu się nagle nie tylko możliwe ale dziecinnie łatwe...

Wstał, uśmiechając się, przepełniony pewnością siebie.

– Wspaniale – rzekł. – Naprawdę wspaniale.[13]

Dzieciaki śpią.

Razem z Karen idziemy wąskimi schodami do narożnej sypialni na drugim piętrze, tej z przeciągami, skąd rozciąga się widok na kanion ponad drzewami, które trzeszczą niczym fotele na biegunach. Sprawdzam, czy coś się nagrało na moją automatyczną sekretarkę w Inverness. Słyszę głos Nica. Jest słaby, łamie się.

Nic płacze.

Nie. Dlaczego.

– Proszę, zadzwoń do mnie – mówi.

Sprawdzam czas. Dzwonił trzy godziny temu.

Odbiera za drugim razem.

Mówi niewyraźnie, przerywa, język mu się plącze.

– Chciałem ci powiedzieć, co się dzieje – mówi. – Chciałem powiedzieć ci prawdę. Trzy dni temu byliśmy na imprezie. Z. wciągnęła kreskę. Poprosiła mnie, żebym wziął trochę razem z nią. No i wziąłem. Jeśli miała gdzieś pójść, nie chciałem, żeby poszła sama.

Z. to dziewczyna, która kiedyś złamała mu serce, kiedy przez krótki czas byli razem. Zanim wrócił do narkotyków. Teraz znowu jest z nią. Przeniósł się do niej ze swojego nowego mieszkania.

– Nic, nie.

– Od tamtej pory jestem na haju. Speedball i meta. – Speedball to połączenie heroiny i kokainy.

– Teraz wziąłem pigułkę nasenną, żeby się uspokoić. Wiem, że spieprzyłem sprawę. Muszę przestać.

Mówię Nicowi jedyną rzecz, którą mogę mu powiedzieć, choć wiem, że nie jest gotowy, żeby tego wysłuchać.

– Wiesz, do kogo zadzwonić. Potrzebujesz pomocy. Wcale nie jest za późno. Ty i Z., oboje potrzebujecie pomocy. Nie możecie dalej być razem, dopóki nie jesteście trzeźwi.

Rozłącza się.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Co się stało tym razem? Prawie dwa lata. Specjaliści mówią, że potrzeba czasem dwóch lat, aby mózg osoby uzależnionej w pełni doszedł do siebie. Nic nigdy nie wytrzymał dwóch lat, odkąd to wszystko się zaczęło.

Erupcja wszystkich starych lęków, niepokoju – o to, co się teraz może z nim stać – ale potem górę bierze zmęczenie i zasypiam. Zmartwienie znajduje sobie nową niszę w moim przemodelowanym mózgu. Może to refleks

czegoś jeszcze, co zmieniło się we mnie podczas pobytu w szpitalu – jeśli nawet nie skala zamartwiania się, to jego charakter. Kiedy leżałem na oddziale intensywnej terapii neurologicznej, ze zdumieniem uświadomiłem sobie coś jeszcze: to, że Nic – nie tylko on, to dotyczy także Jaspera i Daisy – przeżyje moją śmierć. Nie chodzi o to, że moja śmierć nie zrobi na nich wrażenia, ale po prostu będą żyli dalej. Zwykle zapominamy, że dzieci kiedyś będą żyć bez nas. Ja żyłem bez moich rodziców. Ze względu na uzależnienie Nica zdążyłem już się nauczyć, że moja osoba nie ma żadnego znaczenia, jeśli chodzi o to, czy Nic przeżyje. Niemniej potrzebowałem otarcia się o śmierć, żeby zrozumieć, że jego los – a także Jaspera i Daisy – jest odrębny od mojego. Mogę chronić moje dzieci, pomagać im, wspierać, mogę je kochać, ale nie mogę ich uratować. Nic, Jasper i Daisy będą żyć i pewnego dnia umrą, niezależnie od tego, czy będę przy nich, czy nie.

Rano zastanawiam się, czy powiedzieć dzieciakom o Nicu. W swoim liście do nauczycielki Daisy napisała: „Mam brata, który lubił zapalić". Przypuszczam, że w taki sposób skrótowo opisuje narkotyki. A potem napisała: „Wszystko jest teraz na piątkę". Chciałbym, aby wszystko pozostało dla niej na piątkę, przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Tak bardzo chciałem zakończyć swoją książkę listem Nica do Jaspera. Wręcz idealnie nadawał się na zgrabne, szczęśliwe zakończenie. Chciałem, żeby to było szczęśliwe zakończenie opowieści o zmaganiach naszej rodziny z metamfetaminą. Chciałem mieć to za sobą, pójść dalej. Chciałem, żeby to była nowa faza w naszym życiu, okres po uzależnieniu Nica. Ale nie. Ciągle tak łatwo zapominam, że uzależnienie jest nieuleczalne, że to choroba trwająca całe życie, która może wejść w okres remisji, że można sobie z nią poradzić, jeśli osoba nią dotknięta pracuje naprawdę bardzo ciężko. Ale jest też nieuleczalna.

Ten najnowszy powrót Nica do narkotyków jest niebudzącym wątpliwości dowodem na to, jak jest bezlitosna. To nie jest jakiś nowy początek, to tylko inna chronologia. Wszystko w jego życiu toczyło się dobrze. Miał dziewczynę, więc nie możemy obwiniać jego samotności. Nie możemy także obwiniać nudnej pracy, ponieważ wydaje się, że lubi swoje zajęcie i uwielbia kolegów. Uważa ich za dobrych przyjaciół. Podpisał umowę na napisanie książki i ma widoki na posadę redaktora w jakimś czasopiśmie. Jego recenzje filmowe zaowocowały kilkoma rozmowami w sprawie pracy i publikacją tekstu w maga-

zynie „Wired". Być może, co najważniejsze, ma grupę bliskich przyjaciół, którzy najwyraźniej bardzo się lubią.

Ale to wszystko jest teraz bez znaczenia.

Mimo całej swojej świadomości, że uzależnienie nie poddaje się logice, uczepiłem się wyobrażenia, że te wszystkie elementy zwykłego życia – dziewczyna, praca, pieniądze, solidne przyjaźnie, pragnienie, żeby postępować jak należy w stosunku do ludzi, których kochasz – mogą sprawić, że jego życie potoczy się dobrze, ale tak się nie dzieje.

Boże, błagam, uzdrów Nica.

Kiedy byłem w szpitalu, wiele osób mówiło mi, że się modlili za mnie i jestem im niezmiernie wdzięczny. Ja nigdy się nie modliłem. Może nie potrafię się modlić, ponieważ nigdy tego nie robiłem, nie wiem, jak i nie potrafię sobie wyobrazić żadnego Boga, do którego mógłbym się modlić. Ale jak powiedział John Lennon: „Bóg jest pojęciem, za pomocą którego mierzymy nasz ból". I oto muszę się zmierzyć z faktem, że Nic znowu bierze i wiem, że nie mogę niczego zrobić, żeby mu pomóc, i nie potrafię uwierzyć w to, że znowu znaleźliśmy się w tym samym punkcie i następny telefon może być tym, którego tak bardzo bałem się przez minione kilka lat, i teraz się modlę.

Błagam, Boże, uzdrów Nica. Błagam, Boże, uzdrów Nica. Błagam, Boże, uzdrów Nica.

To moje prośby zwrócone do jakiejś siły wyższej, czymkolwiek jest, o której oni – na niezliczonych terapiach i niezliczonych mityngach – mówią, że gdzieś tam jest i słucha. Powtarzam w myślach te słowa, czasami nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że je wypowiadam: Błagam, Boże, uzdrów Nica.

Modlę się nawet wtedy, gdy wobec wiadomości z gazet moja modlitwa wydaje się zupełnie bez znaczenia pod względem skali i całkowicie egoistyczna. Wobec wiadomości o niszczycielskich huraganach i powodziach, samobójczych zamachach i katastrofach, wobec tsunami, terroryzmu, raka i wojny – niekończącej się, brutalnej wojny – wobec chorób i głodu, trzęsień ziemi, a wszędzie tam jest jakieś uzależnienie i dzisiaj niebiosa muszą być przeciążone hałasem tych wszystkich modlitw.

A tu jeszcze jedna.

Błagam, Boże, uzdrów Nica. Błagam, Boże, uzdrów Nica.

Droga w dół jest szybka. Nic przychodzi do pracy na haju i traci ją. Odłączają mu telefon, ponieważ nie płaci rachunków. Zrywa kontakty ze wszystkimi prawdziwymi przyjaciółmi. Porzucił także swojego najlepszego przyjaciela i sponsora, Randy'ego.

W jednej z nagranych wiadomości mówi, że on i jego dziewczyna sprzedali ubrania, żeby mieć na jedzenie. Nie wiem, skąd mają na czynsz. Nie wiem, skąd wezmą pieniądze na czynsz w następnym miesiącu, ale wkrótce, o ile nie znajdą jakiegoś dobroczyńcy albo nie zaczną sami sprzedawać narkotyków, wylądują na ulicy.

Dzisiaj Vicki nie mogła się powstrzymać i pojechała ze swojej zachodniej części miasta do jego mieszkania w Hollywood. Chce przekonać się na własne oczy. Chce zobaczyć, czy on jeszcze żyje.

Udaję przed sobą, że nie czekam na jej telefon.

Vicki parkuje samochód i ostrożnie wchodzi do budynku, gdzie mieszka Nic. Otwiera zewnętrzne drzwi i puka. Nie ma odpowiedzi. Rolety w oknach są opuszczone. Puka jeszcze raz. Cisza. Puka jeszcze raz. Drzwi uchylają się odrobinę, potem szerzej. W mieszkaniu jest brudno – prawdziwa ruina. Na środku podłogi stoi jakaś kałuża brązowej wody. Wszędzie śmieci. Nic, zasłaniając się rękami przed światłem dziennym, niepewnym krokiem wchodzi do pokoju. Za nim jego dziewczyna. Znam tę scenę, ale dla jego matki to coś nowego. Vicki nigdy nie widziała Nica w takim stanie: wychudzonego, bladego jak kreda, prawie żółtego, z drżącymi kończynami, z czarnymi sińcami wokół zapadniętych oczu, patrzącego pustym wzrokiem.

Nogi Z. krwawią. Kiedy orientuje się, że to widać i Vicki na nią patrzy, zaczyna się jąkać:

– Pękła żarówka na podłodze. Właśnie sprzątaliśmy.

Nic powtarza dobrze znane kłamstwa:

– Musieliśmy przez to przejść. Ale to już koniec. Teraz będziemy trzeźwi.

Prosi matkę, żeby sobie poszła i nie wracała.

Vicki dzwoni do mnie i opowiada. Znam to uczucie. Sam wielokrotnie się

tak czułem. W jej głosie słyszę wściekłość, jest udręczona i przerażona. Ale te emocje są tak silne, że jeszcze nie potrafi płakać.

Mija tydzień.

Jest niedziela i zawożę Daisy do centrum San Francisco na spotkanie z przyjaciółką i jej matką, przy Washington Square. Spotykamy się z nimi, a potem idziemy przez park i oglądamy paradę w Dniu Kolumba. Na jednej z platform widać dziesiątki dziewcząt przebranych za królową Izabelę. Nic też tu jest. Ma sześć lat. Królowe Izabele przepływają obok. To nasza dzielnica. Nic jest jednym z dzieciaków biegnących w stronę wysokich drabinek na placu zabaw. Wspinają się aż na szczyt i obserwują paradę z tego bocianiego gniazda, machają w stronę królowych.

Wiozę Daisy i jej chichoczącą przyjaciółkę przez całe miasto na przyjęcie urodzinowe, odbywające się w jakiejś pracowni ceramicznej. Dziewczynki, przypięte pasami na tylnym siedzeniu, bawią się w grę zainspirowaną przez książkę obrazkową *Fortunately* autorstwa Remy Charlip. W książce jest tak:

Na szczęście Ned został zaproszony na przyjęcie niespodziankę.

Na nieszczęście to było tysiąc mil stąd.

Na szczęście przyjaciel pożyczył Nedowi samolot.

Na nieszczęście silnik eksplodował.

Na szczęście w samolocie był spadochron.

Na nieszczęście w spadochronie była dziura.

– Na szczęście miała bardzo smaczną kanapkę – mówi przyjaciółka Daisy w ich wersji zabawy, na co Daisy odpowiada:

– Na nieszczęście upuściła ją na brudną ulicę, po której przebiegał właśnie brudny pies i ją zjadł.

– Na szczęście zwymiotował kanapkę i była zupełnie nietknięta.

Chichoczą.

– Na nieszczęście przebiegał właśnie mały, włochaty chomik, chwycił ka-

napkę i zabrał ze sobą, a potem zniknął w dziurze w ścianie i już nikt go więcej nie widział.

Moja własna wersja tej gry odtwarza się w mojej głowie.

Na szczęście mam syna, mojego pięknego syna.

Na nieszczęście jest uzależniony od narkotyków.

Na szczęście jest na terapii.

Na nieszczęście ma nawrót.

Na szczęście znowu jest w terapii.

Na nieszczęście ma nawrót.

Na szczęście znowu jest w terapii.

Na nieszczęście ma nawrót.

Na szczęście jeszcze żyje.

Rozdział 22

Kolejny tydzień.

Vicki, z którą rozmawiam teraz codziennie, mówi, że jest jak odrętwiała. Ja także. Nie chodzi o to, że się nie martwię o Nica – myślę o nim cały czas – ale na razie czuję się kompletnie bezradny.

Czy ostatecznie właśnie w tym punkcie lądują rodzice?

Mijam znowu ludzi na ulicach, tym razem w San Rafael. Przechodzę obok, potykam się o nich, o ludzi samotnych, porzuconych, i kiedy na nich patrzę, jak zawsze, wraca do mnie myśl: A gdzie są ich rodzice? Ale tym razem zastanawiam się, czy powoli staję się jednym z nich – rodzicem, który pogodził się z porażką? Moje zamartwianie się o niego w żadnej mierze nie pomogło Nicowi.

Nie udaję przed sobą samym, że to się nie dzieje. Robię wszystko, co mogę.

Czekam.

Spirala wiodąca w dół.

To choroba degeneracyjna. Wyobrażam sobie tę spiralę w dół.

Nie, nie jestem odrętwiały. Chciałbym być. Czasami czuję się nadmiernie przytłoczony przez emocje.

Staram się zebrać w sobie.

Randy cały czas wydzwania do Nica i zostawia mu wiadomości na jego wyłączonej komórce. Randy był dla Nica liną ratunkową.

Korzystając z telefonu Z., który nadal działa, Nic dzwoni i zostawia mi kolejne wiadomości.

– Chciałem tylko wam powiedzieć, że jesteśmy bezpieczni. Chodzimy na mityngi. Jestem coraz bardziej trzeźwy.

Twierdzi, że ten nawrót do brania to była sprawa jednorazowa, trzydniowy błąd, ale teraz już wszystko jest dobrze. Jednak im dłużej mówi, tym bardziej staje się oczywiste, że jego głos to głos Nica, który coś zażył.

Czekam.

To jak obserwować z daleka, może przez lornetkę o nie najlepszych so-

czewkach, pociąg w chwili poprzedzającej nieuchronną katastrofę. Wszyscy, którzy go kochamy, współczujemy mu głęboko. Karen i ja. Vicki i ja. Randy. Wszyscy wiemy. A mimo to nie możemy nic zrobić. Oddzwaniam.

– Nic, nie zapominaj, jakie to niebezpieczne, kiedy nie chodzisz na mityngi – mówię. – Nie zapominaj o tym, kiedy słuchasz swojego mózgu, który jest pod wpływem.

W okresie dochodzenia do zdrowia, gdy pracował z Randym, Nic sam mi objaśniał podstępną naturę swojej choroby. Uzależniony, który coś bierze, nie może ufać własnemu mózgowi – on kłamie, mówi: „Możesz wypić jeszcze jednego, zapalić skręta, wciągnąć kreskę, tylko jedną. Zaszedłem już dalej, sponsor mi niepotrzebny. Nie potrzebuję obsesyjnego programu dochodzenia do zdrowia i ciągłej kontroli, które były nieodzowne, kiedy wychodziłem z poprzedniego nawrotu. Jestem teraz szczęśliwszy i czuję się pełniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Jestem niezależny, żyję". I dlatego Nic powiedział, że nie może ufać własnemu mózgowi i musi polegać na Randym, mityngach, programie, modlitwie – tak, na modlitwie – aby iść naprzód.

Nic, zaszedłeś tak daleko.

Pozwól, że zacytuję TWOJE słowa: „Wszystko, co mam, przepadnie, jeśli nie zostanę w programie".

Dwa dni później, w środę, Nic dzwoni. Mówi niewyraźnie i prosi o pieniądze na czynsz. Nie. Mówi, że spodziewał się takiej odpowiedzi. Zachował to na koniec rozmowy, po słowach „Kocham cię tak bardzo. Jestem bezpieczny. Naprawdę to spieprzyliśmy, ale teraz już wszystko będzie dobrze. Po prostu wziąłem trochę czegoś, żeby się uspokoić i wyjść z mety i koki, i hery, i…".

Vicki także mówi nie.

Teraz jest piątek. W sobotę nic. W niedzielę nic. Ani słowa aż do poniedziałku, gdy przychodzi mejl.

„Hej tato, jesteśmy na pustyni. Z. robi jakąś reklamówkę niedaleko Joshua Tree… mój telefon nie ma tu zasięgu i po prostu pożyczyłem ten komputer na chwilę od jakiegoś gościa na planie… przepraszam… to pojawiło się całkiem nagle… tak czy inaczej, zadzwonię do ciebie, kiedy znajdę jakiś działający telefon… tu jest gorąco, gorąco i nudno… Z. właśnie się przebiera, a ja piszę w cieniu… nie martw się… może będę miał jakieś ekscytujące wiadomości… kocham cię… Nic"

Joshua Tree.

Park Narodowy. Chwila wytchnienia. Oaza. Może Nic sam przestanie brać, o własnych siłach. Może wszystko będzie dobrze.

Przez następne dwa dni cisza, ale Nic jest na pustyni, pisze do mnie, siedząc w cieniu. Na pustyni także są narkotyki.

Wieczorami, na zmianę, czytamy dzieciakom. Zbliżamy się już do końca *Harry'ego Pottera*. Profesor Dumbledore zmarł. Wiele znajomych dzieci płakało przez długie godziny, kiedy o tym przeczytały – Albus Dumbledore, protektor Harry'ego, z którym te dzieci dorastały, nie żyje. Zło zwycięża. A ja czuję się wyczerpany przez tę nieustanną bitwę.

W czwartek Jasper ma po lekcjach trening piłkarski, Daisy – pływanie. Dzielimy się z Karen podwożeniem.

Znalazłem jakieś spokojne miejsce w rogu sali klubowej, niedaleko basenu, żeby pisać. Spoglądając przez okno, przez szczeliny w żaluzjach, widzę jakiś ciemny zarys, który płynnym ruchem przebija powierzchnię wody, a potem parę stóp wymachujących ostro: Daisy robi kolejne okrążenie. Jej trener, pewny siebie, opalony, wysportowany, były reprezentant kraju, który uczył całą trójkę moich dzieci, przykuca na końca toru i coś podpowiada Daisy i innym pływakom. Tracę ją z oczu wśród innych ciał, w błękitnych kostiumach, dopóki nie wraca, płynąc w przeciwnym kierunku. Widzę mocne pociągnięcia jej ramion, kiedy płynie stylem dowolnym. Pamiętam jak jej duży brat, Nic, pływał w tym basenie i jego szczupłe ciało delfina przecinało powierzchnię wody.

– Hej, proszę pana, uciekamy stąd.

To Daisy ociekająca wodą spod prysznica, owinięta w plażowy ręcznik.

Nie ma żadnych wiadomości.

Mam wrażenie, że moja panika, w jakiej żyłem podczas poprzednich kryzysów, nieco zelżała. Martwię się, ale już nie jestem chory ze zmartwienia. Lepiej sobie radzę. Odpuszczam. Żyję w odstręczającym zaprzeczeniu.

Pewnie tak musi czuć się żołnierz w okopie podczas intensywnego ostrzału. Odciąłem wszystkie niepotrzebne emocje – troskę, lęk – skupiając każdy

neuron mojego nowego mózgu na chwili bieżącej po to, żeby przeżyć.

Toczę milczącą wojnę przeciwko wrogowi równie podstępnemu i wszechobecnemu jak zło. Zło? Nie wierzę w zło, podobnie jak nie wierzę w Boga. Ale jednocześnie wiem, że tylko Szatan mógł wymyślić chorobę, której jednym z objawów jest samooszukiwanie się, tak że w rezultacie jej ofiary zaprzeczają temu, że są nią dotknięte i nie szukają pomocy, tylko obwiniają wszystkich wokół siebie, którzy widzą, co się dzieje.

Po kolacji Jasper prosi mnie, żebym przepytał go z matematyki i słówek na ten tydzień. A potem czytamy wspólnie magazyn „Mad".

Leżąc w łóżku, sięgam po jedną z powieści piętrzących się niepewnie na nocnym stoliku. Nigdy nie przeczytam wszystkich książek. Wieczorem jestem tak zmęczony, że czytam jakąś stronę albo dwie i zasypiam. Karen dołącza do mnie.

Strona. Dwie strony. Śpię.

Dzwoni telefon. Nie zwracam na niego uwagi. W półświadomości postanowiłem, że to mechanik, którego prosiliśmy o wycenę pewnych napraw. Myślę, że to może poczekać do rana.

Telefon dzwoni jeszcze raz. Jutro odsłucham wiadomości.

Nie, mówi Karen, lepiej sprawdź.

Pierwszy telefon jest od ojca chrzestnego Nica. Nic właśnie do niego zadzwonił i zostawił mu wiadomość. „Jest w Oakland". W głosie przyjaciela czuję panikę.

– Mówi, że ma kłopoty i potrzebuje pomocy. Nie wiem, co mam zrobić.

Serce mi wali.

Następna wiadomość jest od Vicki. Do niej Nic także zadzwonił i zostawił podobną wiadomość. „Kłamałem na temat Joshua Tree, ponieważ nie chciałem was martwić tym, że jestem w Oakland. Jestem trzeźwy. Proszę, mamy kłopoty. Potrzebujemy powrotnych biletów lotniczych do Los Angeles". Opowiada jakąś zawikłaną historię o tym, jak się tam znaleźli, ale sens jest taki, że siedzą w domu jakiegoś gościa uzależnionego od cracka, który oszalał, i muszą się stamtąd wyrwać.

Nic jest w Oakland.

Brutus sztywnym krokiem idzie za mną na górę, szorując chwiejnymi łapami po betonie. Nalewam do czajnika wodę na herbatę i stawiam na ogniu.

Oddzwaniam do Vicki. Jest niepewna – czy zapłacić za bilet lotniczy Nica, czy nie. Rozumiem ją, ale mówię, że nie powinna tego robić. Gdyby zwrócił się do mnie, nie pomógłbym mu, o ile nie zgodziłby się wrócić na terapię. Wtedy może tak.

Odkładam słuchawkę.

Dzwonię do przyjaciela. Odzywa się spokojniejszym głosem niż wtedy, gdy zostawiał dla mnie wiadomość.

– Posłuchaj. – Odtwarza mi przez telefon wiadomość ze swojej automatycznej sekretarki. Słyszymy niewyraźny głos Nica: „Potrzebuję pomocy. Nie mogę zadzwonić do taty. Nie wiem, co zrobić. Proszę, zadzwoń do mnie". Zostawia numer komórki Z.

– To takie smutne – odzywa się mój przyjaciel.

Jakaś część mnie pragnie natychmiast pojechać do Oakland i zabrać go stamtąd, ale jakaś inna chciałaby skręcić mu kark.

A więc znowu, Nic jest tutaj i jest na haju. Z jakiegoś powodu jestem niedorzecznie spokojny, kiedy o tym myślę: Jeśli on jest tutaj, co mógłby zrobić? Czy mógłby przyjść do naszego domu? Jak się zachowam, jeśli tu przyjdzie? Czy mógłby pójść do rodziców Karen, jak wtedy, gdy Nancy znalazła go w sypialni na dole? Mógłby znowu się włamać?

Karen wychodzi z naszej sypialni.

– Myślisz, że mógłby wrócić do Nancy i Dona? – pyta.

Martwi się o to samo co ja. Przypuszczalnie Nic by tam nie poszedł, ale kto wie? Zastanawiamy się, czy powinniśmy do nich zadzwonić. Będą zmartwieni, ale gorzej będzie, jeśli ich nie ostrzeżemy, a potem pojawi się Nic. Dzwonimy.

Gdzie jeszcze mógłby pójść?

Następnego dnia Nic zostawia kolejną wiadomość dla swojego ojca chrzestnego i jedną dla swojej matki. Tym razem mówi, że pojawiła się dziewczyna tego gościa, uzależnionego od cracku, u którego się zatrzymali, i dała Nicowi oraz Z. pieniądze na powrót do domu.

Pracuję w bibliotece w Corte Madera, mam koło siebie stertę książek.

Przyniosłem swój laptop i cały czas piszę, starając się jakoś zatrzymać coś, co tak szybko (jeszcze raz), błyskawicznie wymyka się spod kontroli.

Ponieważ jestem w bibliotece, mam telefon nastawiony na wibracje. Nagle moja komórka zaczyna wściekle podskakiwać i uderzać o stolik jak opętana. Podrywam telefon ze stolika, żeby hałas nie przeszkadzał innym. Na wyświetlaczu, chorobliwie zielonymi literami pokazuje się numer dziewczyny Nica.

Nie mam ochoty wysłuchiwać kolejnych kłamstw. Wyłączam komórkę.

Później, kiedy jadę odebrać dzieciaki ze szkoły, odsłuchuję wiadomości. Nic mówi, że on i Z. wracają z Joshua Tree, i że wreszcie znaleźli się w zasięgu telefonu. Mówi, cytuję dosłownie: „Hej, tato, jedziemy z powrotem z Joshua Tree i wreszcie znowu jesteśmy w zasięgu telefonu…".

Jestem zdumiony, nie tylko samym kłamstwem, ale także jego rozbudowaną formą. Mógł przecież po prostu powiedzieć „Jestem z powrotem w Los Angeles". Mógł się pojawić w mieście, ograniczając się jedynie do zwykłego „cześć". Ale przywiązał się do pierwotnego kłamstwa, po czym zbudował na nim cały gmach, bogato ozdabiając go detalami, żebym nie zadawał więcej pytań. I pewnie bym nie pytał, gdybym wcześniej nie dowiedział się, że to kłamstwo. Słyszałem już wiele o pajęczynie takich kłamstw. „Osoby uzależnione od różnych substancji kłamią na każdy temat i zwykle są w tym imponująco dobre", napisał kiedyś Stephen King. „To choroba kłamców". Nic powiedział mi pewnego razu, cytując jakąś oczywistość z AA, „Alkoholik ukradnie ci portfel i będzie kłamał na ten temat. Osoba uzależniona od narkotyków ukradnie ci portfel, a potem pomoże ci go poszukać". Jakaś część mnie jest przekonana, że Nic naprawdę w to wierzy, że go dla mnie znajdzie.

Słucham kilkakrotnie tej wiadomości. Chcę ją zapamiętać.

Czy on zapomniał, że zadzwonił do swojej matki i ojca chrzestnego i powiedział im, że jest w Oakland i znalazł się w niebezpieczeństwie? Czy po tym wszystkim naprawdę wierzy, że przyjaciel nie zadzwoni do mnie, jeśli będzie się martwił o niego? Przecież miał znaleźć się w jakimś straszliwym niebezpieczeństwie w Oakland, w domu narkomana uzależnionego od cracku. Czy on nie wie, że w tym momencie jego matka oczywiście do mnie zadzwoni, żeby porozmawiać, czy powinniśmy coś zrobić, a jeśli tak, to co? I nie tylko o tym, co zrobić, a po prostu porozmawiać z drugą osobą, która

kocha Nica równie mocno jak ona.

Odsłuchuję reszty tej wiadomości. Tym razem Nic mówi wyraźnie. Brzmi dobrze. Mówi, że tęskni i że mnie kocha.

Rozdział 23

– Hej tato, to ja, Nic. Właśnie dowiedziałem się, że znasz prawdę o tym, co się stało.

Sprawdzam swoje wiadomości. Dzwonił. Jeszcze raz. Znowu mówił niewyraźnie. Rozmawiał z Vicki i już wie, że się dowiedziałem o jego pobycie w Oakland, i teraz próbuje jakoś zatrzeć ślady.

– Po prostu nie chciałem cię martwić – mówi. – A poza tym nie chciałem, żebyś na mnie naciskał, żeby się z tobą zobaczyć, kiedy byłem w rejonie Zatoki, i nie miałem pojęcia, że ten gość okaże się takim psychopatą. Z. także się tego nie spodziewała… Wydostaliśmy się stamtąd możliwie jak najszybciej… Teraz jestem bezpieczny… Tak czy inaczej, przepraszam, że cię okłamałem.

Jestem w salonie i siedzę na kanapie. Coś wpada mi w oko: na podłodze leży jakaś sterta gazet. Na górze „SF Weekly". Przyglądam się bliżej. „Bay Guardian" i jakaś ulotka z Amoeba Records, jego ulubionego sklepu z płytami. Patrzę na to wszystko i wreszcie do mnie dociera. Nie.

Pytam Karen, czy to jej rzeczy.

– Nie. A nie twoje?

Nic znowu się włamał. Jestem pewny.

Karen także jest pewna.

Oboje jesteśmy pewni.

Nie.

Serce mi wali, jej też. Zaczynamy rozglądać się po domu.

Wreszcie Karen zatrzymuje się i pyta, czy przypadkiem nie mógł ich zostawić pewien przyjaciel z Nowego Jorku, który zatrzymał się u nas w miniony weekend. Może to jego? Dzwonię do niego. Tak, to jego gazety.

Szalejemy i wpadamy w paranoję. Nie tylko osoba uzależniona zachowuje się paranoicznie i szaleje.

Nie oddzwoniłem do Nica, ponieważ rozmowa z nim po prostu mnie w tej chwili przerasta, nie, dopóki nie będzie trzeźwy. Wolny od wszystkich narko-

tyków. Nie chcę tego słuchać: „Biorę tylko klonopin, żeby się uwolnić od mety" albo: „Tylko łyknąłem valium, żeby się uspokoić".

Kocham go i zawsze będę go kochał. Ale nie mogę się zadawać z kimś, kto mnie okłamuje. Wiem, że Nic trzeźwy, myślący jasno, wiedzący, co robi, i uczestniczący w terapii, nigdy by mnie nie okłamał. W pewnym sensie jestem mu wdzięczny, że mnie okłamał tak bezczelnie. Uwolnił mnie w ten sposób od jednej, cieniutkiej warstwy niepewności. Normalnie tkwię w jakimś piekielnym czyśćcu, nie wiedząc, co jest prawdą, a co nie jest, czy on coś bierze, czy nie. A teraz wiem.

Nad biurkiem trzymam kilka fotografii opartych o stojące na półce książki. Jest tam niedawne zdjęcie Karen i inne, zrobione na jakiejś plaży, kiedy była zamyśloną dziewczynką o ciemnej karnacji, z krótkimi włosami, w marynarskiej bluzce w paski. Wygląda jak Daisy, a raczej Daisy z jej iskrzącym się spojrzeniem ciemnych oczu i ciemnymi włosami, wygląda jak ona. Są tu także fotografie Daisy. Na jednej z nich nosi mokasyny, niebieskie spodenki i wpatruje się z bliska w Moondoga. Jest także zdjęcie przedstawiające Jaspera jako niemowlę, trzymane przez Karen na rękach. Jasper ma na sobie czerwony, gładki wełniany płaszczyk, jedwabne, purpurowe pantalony, robioną na drutach zieloną, miękką czapkę ze złotymi wisiorkami, puchatymi pomponami, na nogach – wyszywane złotą nicią buty jakiegoś dżina, z ostrymi czubkami zawiniętymi ku górze. Są także zdjęcia grupowe Daisy i Jaspera, w pływackich okularach, wśród innych pływaków. A także zdjęcia Nica. Na jednym z nich ma około dziesięciu lat, nosi dżinsy, niebieską bluzę na suwak i niebieskie buty sportowe, ręce trzyma w kieszeniach i patrzy w obiektyw z delikatnym uśmiechem. Jest także niedawne zdjęcie Nica. Szeroki uśmiech, workowate spodnie, stoi z odsłoniętą piersią; to zdjęcie z naszych wakacji na Hawajach. Mój syn i przyjaciel, Nic, w trakcie dochodzenia do zdrowia i nic się z nim złego nie dzieje.

Nie mogę znieść, że to zdjęcie patrzy teraz na mnie. Odkładam je do szuflady w biurku.

Jasper zręcznie opanował Garage Band, program komputerowy do nagrywania i miksowania muzyki. Spreparował na nim piękny i poruszający utwór.

– To smutna piosenka – mówię, wchodząc do pokoju, w którym słyszę jego

muzykę.

– Tak – odpowiada cicho.

– Jesteś smutny?

– Tak.

– Dlaczego?

– Biegaliśmy dzisiaj w szkole na milę. Nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o Nicu.

Opowiadam Jasperowi, że możemy razem pójść w takie miejsce, gdzie spotkamy inne dzieciaki, które mają braci albo siostry, albo rodziców, którzy mają problem z alkoholem albo z narkotykami.

– I co się tam robi?

– Nie musisz nic robić. Możesz po prostu słuchać tego, co mówią inne dzieciaki. To czasem pomaga. A jeśli chcesz coś powiedzieć, to możesz.

– Aha.

– Chciałbyś spróbować?

– Chyba tak.

Przytula się do mnie mocniej i dłużej niż zwykle.

Rankiem słońce stara się przebić przez jakąś dziurę w szaroczarnym niebie. Zupełnie jakby snop światła z reflektora padał na ogród. Widać żółty okrąg otoczony zewsząd przez rozmyte pasma złota, rdzy i więdnących białych hortensji – mijające barwy jesieni. Topole są prawie nagie, zostało tylko kilka liści. Białe gałęzie drzew wyciągają się w stronę nieba, w stronę połyskliwego, szarego światła. Tylko na drzewie magnolii zostały kwiaty – trzy białe płomienie.

Przywieziono nam drewno do kominka na zimę. Moje zadanie tego ranka polega na tym, żeby wspólnie z dziećmi je poukładać. Podczas pracy myślę o Nicu. Nie czuję ani optymizmu, ani pesymizmu. Nie wiem, co się zdarzy. Wierzę głęboko w dobroć jego duszy i umysłu, a jednocześnie nie mam żadnych złudzeń co do bezwzględności jego choroby. Nie, szczerze mówiąc, w tym momencie w ogóle nie czuję cienia optymizmu.

Wszystko sprowadza się do tego, gdzie znajduje się Nic. Jestem optymistą

– nie jakimś przesadnym, ale optymistą – gdy Nic się leczy, dochodzi do zdrowia. Jestem niepocieszonym pesymistą, kiedy jest inaczej.

To dziwne, ale myśl o tym, że jestem od niego odcięty dawniej wprawiała mnie w panikę, ale teraz – przynajmniej dziś, w tym momencie – ta myśl mi się podoba. A potem przychodzi mi do głowy, że Nic mógł umrzeć. Układając drewno, myślę: Nic mógł umrzeć. Zatrzymuję się na moment.

Brakowałoby mi Nica. Brakowałoby mi jego zabawnych wiadomości przez telefon, jego poczucia humoru, opowieści, naszych rozmów, naszych spacerów, wspólnego oglądania filmów, kolacji i tego nieuchwytnego uczucia, jakie nas łączy, które jest miłością.

Brakowałoby mi tego wszystkiego.

Brakuje mi tego teraz.

I wtedy do mnie dociera: teraz też tego nie mam. I nigdy nie miałem, ilekroć zażywał narkotyki.

W tej chwili nie ma Nica. Pozostała tylko pusta skorupa po nim. Bałem się – byłem przerażony – że stracę Nica. Ale już go straciłem.

W przeszłości próbowałem sobie wyobrazić to, co wydaje się nie do wyobrażenia, że znoszę to, co jest nie do zniesienia. Wyobrażałem sobie, że tracę Nica z powodu przedawkowania albo wypadku, a teraz zrozumiałem, że już go straciłem. Dzisiaj go nie ma.

Żyłem sterroryzowany przez lęk, że mógłby umrzeć. Gdyby umarł, moja dusza pękłaby nieodwołalnie. Już nigdy w pełni nie doszedłbym do siebie. Ale wiem także, że gdyby miał umrzeć czy też, jeśli już o to chodzi, jeśli będzie dalej na haju, ja będę żył dalej – z tą pękniętą duszą. Będę w nieskończoność przeżywał żałobę. Ale przeżywam ją, odkąd narkotyki zawładnęły jego życiem – żałobę po tej części jego osoby, która przepadła. To musi być żałoba. W każdym razie czuję się dokładnie tak, jak opisuje to Joan Didion w *Roku magicznego myślenia*, „Żal po stracie (…) nadchodzi w postaci fal, paroksyzmów, nagłych napadów lęku, od których uginają się nogi, zaćmiewa się wzrok i znika powszedniość ”[14]. (Aha, więc tak to się nazywa. To ulga, dowiedzieć się).

Opłakuję, a jednocześnie nadal cieszę się tą częścią jego osoby, której nie tknęła meta ani żaden inny narkotyk. Nigdy nie pozwolę, żeby jakiś narkotyk

mi to odebrał.

„Szaleństwo to domaganie się sensu", napisał Frank Bidart w jednym wierszu. Tak, ale mój mózg domaga się sensu – przynajmniej w jakimś przybliżonym zakresie. Sens, jaki udało mi się uchwycić, powiada, że Nic pod wpływem narkotyków nie jest sobą, ale zjawą. Nic na haju to duch, widmo. A kiedy on jest na haju, mój wspaniały syn śpi, odepchnięty na bok, schowany gdzieś, pogrzebany w jakimś niedostępnym zakątku jego świadomości. Moja wiara, jeśli można tak to nazwać, polega na głębokim przekonaniu, że Nic tam jest, i że on – Nic, jego istota, jego Ja – jest nietknięty, bezpieczny i chroniony. Taki Nic, silny i czysty, i przepełniony miłością może już nigdy się nie pojawić ponownie. Narkotyk może wygrać wojnę o jego ciało. Ale ja będę żyć dalej, wiedząc, że Nic gdzieś tam jest i że narkotyk nie może go dotknąć.

Cokolwiek się stanie, będę kochał Nica. Gdzieś w tym miejscu, gdzie on jest, Nic wie o tym. I ja wiem.

Patrzę na stertę niepoukładanego drewna. Ledwie zaczęliśmy, zrobiliśmy niewielki wyłom. Dzieciaki jęczą i nie chcą dalej pracować. Mam wrażenie, że są smutne i lekko obrażone. Jasper odchyla głowę do tyłu, ma zamknięte oczy, głośno wydycha powietrze. Ze złością odrzuca drewniane polano na stertę. W głowie mi dzwoni. Słyszę, jak jakaś ciężarówka z mozołem pnie się pod górę.

W tym momencie nie ma żadnej aktywnej grupy Al-Anon dla takich małych dzieci jak Jasper i Daisy. (Alateen jest dla starszych dzieci). Dzwonię więc to tu, to tam, szukając porady na temat innych miejsc, gdzie mógłbym znaleźć pomoc. Chciałbym, żeby moje dzieci wiedziały, że nie są same, że to nie jest ich wina i chociaż narkotyki ukradły im Nica, nadal mogą kochać swojego uwielbianego i uwielbiającego je brata. Chcę, żeby Jasper spróbował zrozumieć, że Nic naprawdę szczerze napisał do niego to wszystko w swoim liście. Ale choroba Nica jest silniejsza niż jego najlepsze intencje – niż jego pragnienie, aby zachowywać się właściwie w stosunku do siebie samego i innych. Nic, który napisał ten list, przepadł, przynajmniej na razie. Musimy znaleźć jakiś sposób na to, aby pomóc małym dzieciom opłakać swojego brata.

Bibliotekarze z ich szkoły z pełnym zaangażowaniem rozsyłają prośbę do innych bibliotekarzy z sieci szkół w całym kraju. Otrzymują zdumiewają-

co wiele odpowiedzi. Wręczają mi potem listę książek poświęconych problemom dzieci zmagających się z taką sytuacją jak nasza – o poczuciu winy i odpowiedzialności oraz o pytaniach, jakie dorośli ledwo potrafią zrozumieć, nie mówiąc o dzieciach. Psycholog z ich szkoły wynajduje terapeutę, który pracuje z rodzinami i specjalizuje się w uzależnieniach. Zamierzamy z Karen spotkać się z nim, a potem jeśli uzna, że to będzie miało sens, przyprowadzić Jaspera i Daisy.

Pewnego dnia wiozę Jaspera i Daisy ze szkoły. Kiedy docieramy do szczytu Olema Hill, złotego i suchego jesienią, u wjazdu do West Marin, Daisy podnosi wzrok znad szalika, który robi na drutach, i mówi:

– Zupełnie jakby Nic był moim bratem, którego znam, i tym drugim facetem, którego nie znam.

Odkłada druty na bok. A potem opowiada, że wczoraj rozmawiali o narkotykach na spotkaniu w „Girls and Run", grupy skupiającej dziewczynki z czwartej, piątej i szóstej klasy. Biegają i rozmawiają o różnych sprawach osobistych i społecznych – o wszystkim, od obrazu ciała po dietę. Dziewczynki, podzielone na zespoły, dyskutują o tym, dlaczego dzieciaki zaczynają pić alkohol, palić albo sięgać po narkotyki.

– I jakie podawały przyczyny? – pytam.

– Dzieciaki są wściekłe na siebie – mówi Daisy. – Monika twierdzi, że to nacisk rówieśników. Janet powiedziała, że ktoś przeżywa stres, a ja myślę, że to dlatego, że chcesz uciec od siebie. Rozmawialiśmy o sposobach radzenia sobie ze stresem albo smutkiem, albo innymi takimi rzeczami i mówiliśmy, że byłoby mądrzej pomyśleć o innych sposobach na to, żeby się czuć dobrze z sobą samym i robić różne rzeczy, które sprawiają ci radość, zamiast zażywać narkotyki.

Jasper nic nie mówi, zatopiony w myślach. A potem się odzywa:

– Ja także rozmawiałem o narkotykach podczas mojej szkolnej wycieczki.

Jego klasa właśnie wróciła z wyprawy, podczas której spędzili noc na Angel Island, w lodowatym chłodzie i w gęstej mgle. Opowiada, że on i jego przyjaciel trzęśli się z zimna przez całą noc i rozmawiali.

– Spytał mnie, co słychać u Nica – mówi Jasper. – Powiedziałem, że znowu

zażywa narkotyki.

Jego przyjaciel, który czytał mój artykuł w „Timesie", powiedział: „Ale twój brat wydaje się bystry i jest takim przyjemnym chłopakiem".

– Powiedziałem mu, że wiem, że tak jest.

Powtórzył przyjacielowi historię o aniele i diable siedzących na ramionach Nica i powiedział, że zamierza porozmawiać z kimś na ten temat – z osobą, która pomaga ludziom mającym w rodzinie kogoś uzależnionego radzić sobie z tym.

W przeszłości Jasper i Nic wysyłali sobie SMS-y z mojego telefonu komórkowego – pozdrowienia online. Teraz Jasper, myśląc o swoim bracie, pyta, czy może wysłać SMS-a.

Pisze: „Nic, bądź mądry. Kocham. Jasper".

Wysyła tego SMS-a, chociaż wie, że komórka Nica została wyłączona.

– Może włączy ją z powrotem – mówi Jasper.

W tej chorobie tyle jest smutku i żałoby. Żałobę przerywa nadzieja, nadzieję przerywa żałoba. A potem naszą żałobę przerywa nowy kryzys. Leżąc w łóżku, czytam Szekspira.

Boleść zajmuje miejsce mego dziecka,

Śpi w jego łóżku, przechadza się ze mną,

Ma jego rysy i powtarza słowa,

I cały jego wdzięk mi przypomina,

Wypełnia kształtem jego puste szatki.

Mam więc przyczynę miłować mą boleść.[15]

Wściekam się i buntuję na myśl o zmaganiach Nica i jego bólu, i o tym, że uzależnienie ściągnęło tyle bólu na nasze życie – nasze i jego – a jednocześnie przepełnia mnie bezgraniczna miłość do niego, do tego cudu, jakim jest Nic, ze wszystkim, co ma, i co wniósł w nasze życie. Wściekam się przeciwko temu Bogu, w którego nie wierzę, a mimo to modlę się do niego i dziękuję mu za Nica i za nadzieję, którą mam – tak, nawet teraz. Może chodzi o to,

że mój mózg jest teraz większy niż poprzednio: potrafi pomieścić więcej niż wcześniej. Potrafi z większą łatwością znosić sprzeczności, jak choćby myśl, że nawroty mogą stanowić część procesu dochodzenia do zdrowia. Jak powiedział doktor Rawson, czasami potrzeba wielu nawrotów, zanim uzależniony osiągnie trwałą trzeźwość. O ile nie umrze po drodze albo nie spowoduje sobie zbyt wielu zniszczeń, zawsze jest szansa.

Przeglądam ponure statystyki, jakie dostałem wiele lat temu na temat współczynnika sukcesu w leczeniu osób uzależnionych od metamfetaminy – sukcesu w kategoriach jednocyfrowych. Rozumiem, że to nierealistyczne myśleć, że wielu uzależnionych zachowa trzeźwość na zawsze po jednej albo dwóch, albo trzech, czy ilu będą potrzebowali, próbach. Ale być może bardziej znaczące są dane statystyczne, jakie podał nam jeden z wykładowców w ośrodku terapeutycznym: „Ponad połowa osób, które poddają się terapii, jest trzeźwa po upływie dziesięciu lat, co nie znaczy, że w tym okresie nie mieli nawrotów, i nie wracali potem znów do trzeźwości".

To smutny, smutny czas, ale jestem wdzięczny za cud, że Nic żyje i ma szansę. Może będzie potrzebny większy cud, żeby go uratować. Kiedy wybieraliśmy dla niego imię, rozmawialiśmy z moim ojcem. Nic nazywa się Nicolas Eliot Sheff. Jego inicjały składają się na hebrajskie słowo oznaczające „cud". Modlę się o jakiś większy cud, ale na razie jestem wdzięczny za ten, jaki mamy. Nic żyje. Pisząc o swoim synu, Thomas Lynch opowiada o niespodziewanych wnioskach, do jakich dochodzą rodzice, gdy muszą zmierzyć się z czymś tak przygniatającym, jak uzależnienie dziecka: „Mógłbym być wdzięczny nawet za tę straszliwą chorobę – podstępną, obezwładniającą i potężną – która nauczyła mnie płakać i śmiać się na głos, lepiej i naprawdę. A także wdzięczny za to, że ze wszystkich śmiertelnych chorób, jakie mogły spaść na mojego syna, zachorował na taką, przy której jest ten niewielki cień nadziei, że jeśli się nie podda, będzie żył".

Rankiem Jasper, ubrany w fioletową bluzę, siedzi przy moim biurku i gra w jakąś nową grę komputerową. Wśród odgłosów, dźwięków generowanych przez komputer, ogłuszających cymbałów, francuskiego rożka i buczącego basu Jasper odzywa się do ekranu:

– Co? Eh, eh, eh. Mam cię.

Daisy zamyka książkę i przenosi się do okrągłego stołu, na którym Karen

pracuje nad jakimś kolażem. Wkrótce ona także wycina, maluje i przykleja kawałki papieru.

Nic zadzwonił wczoraj wieczorem i zostawił kolejną wiadomość. Powiedział, że on i jego dziewczyna „posunęli sprawy o wiele za daleko" i teraz zamierzają wytrzeźwieć. Wyjaśnił, że rozmawiał na ten temat z pewnym doktorem i dostał jakieś lekarstwa, które mają mu pomóc.

Oczywiście mu nie wierzę. Jego słowa, pozbawione znaczenia, są dla mnie kolejnym przygnębiającym świadectwem jego uzależnienia, same zdradzają swoją prawdziwość, kiedy jest trzeźwy.

Czekam. Czekam, aż Nic sięgnie jakiegoś dna. Dociera to do mnie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, co czytałem i słyszałem. Uzależnieni zwykle odzyskują zdrowie, gdy sięgną dna. Tracą wtedy nadzieję, są zrozpaczeni, przerażeni. Muszą być zrozpaczeni i tak przerażeni, że są gotowi zrobić wszystko, żeby ocalić życie. Ale jak to się stało, że przedawkowanie Nica w Nowym Jorku, gdy pospiesznie przewieziono go na oddział ratunkowy – nieprzytomnego, bliskiego śmierci – nie okazało się w jego przypadku sięgnięciem dna? Jak to możliwe, że jego następny, koszmarny nawrót także nie oznaczał, że sięgnął dna? Nie wiem. Wiem tylko, że Nic z powrotem snuje fantazje pod wpływem narkotyków, uparcie trzyma się swoich złudzeń, dzięki którym może zaprzeczać, przed samym sobą temu, w jak ciężkim stanie się znalazł. Wszyscy uzależnieni tak robią. Jestem przerażony, wiedząc, że będzie dalej trzymał się tych złudzeń, aż do jakiegoś następnego dramatycznego wydarzenia. Jakiego? Musimy czekać na to, co się zdarzy, wiedząc, że to się może nigdy nie zdarzyć. Wielu uzależnionych umiera, zanim osiągną swoje dno. Albo lądują w szpitalu, bliscy śmierci, sparaliżowani, ze zniszczonym mózgiem, po udarze albo czymś podobnym. To jest prawda w odniesieniu do większości narkotyków i z całą pewnością w odniesieniu do metamfetaminy, która może zamienić mózg w chaotycznie działającą breję.

Rodzice chcą samych dobrych rzeczy dla swoich dzieci. A jednak tutaj, podczas tej śmiertelnej walki z uzależnieniem, rodzic pragnie jakiejś katastrofy, która dosięgłaby jego syna. Ja pragnę jakiejś katastrofy, ale takiej, która nie zabija. Musi być na tyle bolesna, aby powaliła go na kolana, upokorzyła go, a jednocześnie na tyle łagodna, aby dzięki heroicznym wysiłkom i dobru, które jak wiem, ma w sobie, mógł odzyskać zdrowie. Tylko to i nic innego, może sprawić, że sam siebie uratuje.

Pewien przyjaciel, którego matka była alkoholiczką, opowiedział mi, że przez całą dekadę miał nadzieję na jakiś wypadek, z którego jego matka wyszłaby cudem – coś na tyle dramatycznego, aby zmusić ją do poddania się leczeniu, ale nie nazbyt dramatycznego – co trwale uszkodziłoby ją fizycznie bądź psychicznie. Taki wypadek nigdy się nie zdarzył. Jego matka zmarła dwa miesiące temu. Kiedy przyjaciel i jego siostry sprzątali w domu rodziców, znajdowali puste butelki po wódce ukryte w kredensie, za stojącą w nim porcelaną, schowane pod starannie poukładanymi swetrami w szafach. Kiedy jego matka umarła, miała w organizmie ilość alkoholu trzydzieści razy przekraczającą tę określoną prawem, po której przekroczeniu nie można prowadzić samochodu.

Pragnę, żeby Nic otarł się o włos o takie doświadczenie.

Modlę się, żeby cudem wyszedł z niego cało.

Rozdział 24

Niczego nie da się zrobić, musimy zrobić wszystko, co się da. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, musimy zrobić więcej. Razem z Vicki w kółko zadręczamy się tymi myślami.

Po tym, jak Nic ponownie dzwoni do niej na haju, prosząc o pieniądze, Vicki mówi:

– Musimy spróbować.

Zastanawiam się nad jakąś interwencją, ale myślę, że po tym wszystkim, co zrobiliśmy do tej pory, to niedorzeczne i beznadziejne.

„Nie możesz nad tym zapanować".

Ale nie mogę też odpuścić sobie Nica. Nie teraz. Wkrótce? Jeszcze nie.

Nie mogę go zostawić.

Nie zostawię Nica, dopóki nie będę do tego zmuszony. A może tak się stać.

Nie spowodowałeś tego. Nie możesz nad tym zapanować. Nie możesz tego wyleczyć.

Wiem.

Wielu rzeczy nie wiem, ale nauczyłem się kilku na temat uzależnienia. Chociaż zdarza się, że podejmujemy jakieś błędne działania, nie ma żadnego określonego z góry, właściwego sposobu postępowania. Nikt tego nie wie. A skoro nawrót jest często elementem procesu dochodzenia do zdrowia, Nic nadal może się z tego wykaraskać. Nadal może wyjść na prostą.

Przetrawiam w myślach niezliczone opowieści ludzi spotkanych w ośrodkach terapeutycznych, na sesjach grupowych, mityngach AA i Al-Anonu oraz opowieści przyjaciół przyjaciół o tym, że potrzebowali wielu prób. Niektórzy z nich sięgnęli dna – niewyobrażalnie przeraźliwych rodzajów dna – i dosłownie wywlekli samych siebie z jakichś nor, spelun, rynsztoków, kryjówek dilerów, z kałuż własnej krwi – na terapię albo na detoks, albo na mityng AA, albo na próg domu swoich rodziców. Inni poszli do ośrodka leczenia uzależnień, ponieważ żona postawiła im ultimatum, mieli nakaz sądowy, rodzice ich zmusili albo przyjaciele i rodzina, zorganizowali interwencję. Jakaś kobieta, która usłyszała o naszym losie, dzwoni do mnie i mówi: „Chcę tylko po-

wiedzieć: nie dawajcie za wygraną. Mój syn już by nie żył, gdybym się poddała. Postanowiłam to zrobić jeszcze jeden, ostatni raz. A to wszystko po siedmiu ośrodkach terapeutycznych, szpitalach, aresztach i dwóch próbach samobójczych. A teraz mój syn, który ma dwadzieścia pięć lat, jest już trzeźwy od ponad trzech lat i czuje się lepiej niż kiedykolwiek przedtem przez całe swoje życie. Ludzie mi mówili, żebym dała za wygraną, postawiła krzyżyk, ale ja tego nie zrobiłam. Jak może matka zrezygnować ze swojego syna? Gdybym tak zrobiła, już by go nie było ze mną. To pewne. Dzwonię tylko po to, żeby opowiedzieć wam tę historię. Nie poddawajcie się, nie rezygnujcie, nie traćcie nadziei, nie rezygnujcie z niego".

Gdyby to było zgodne z prawem, po prostu bym kogoś wynajął, żeby porwał Nica i siłą zaciągnął go do szpitala na odtrucie z nadzieją, że gdyby znowu był trzeźwy – przynajmniej z jakimś cieniem szansy, szczeliną światła w mroku umysłu pogrążonego w iluzjach, w rozpadzie – wtedy sam by spróbował. Słyszałem opowieści o rodzicach, którzy wynajmowali jakichś ludzi, żeby porwali ich dorosłe dzieci. Byłbym gotów zaryzykować złamanie prawa i ponieść konsekwencje, gdybym uważał, że to pomoże Nicowi, ale nie sądzę, żeby tak było. Jeśli nie byłby gotów na terapię, uciekłby. A jednak wydaje mi się, że to zbyt ryzykowne czekać, aż sięgnie dna.

Postanawiamy z Karen, że pomożemy opłacić koszty leczenia, jeśli uda nam się go na nie namówić. Jeszcze raz. Jego matka mówi, że się dorzuci. Tak, wiemy, że to mogą być pieniądze zmarnowane. Zgadzamy się, że to ostatni raz, ponieważ u niektórych uzależnionych poddawanie się leczeniu zamienia się czasem w styl życia. Następnym razem, jeśli Nic wróci do narkotyków i będzie potrzebował pomocy, będzie musiał to zrobić na własną rękę, zdając się jedynie na boleśnie ograniczone publiczne fundusze dostępne na leczenie uzależnień. Może to byłoby bardziej użyteczne, gdyby doczołgał się do jakiegoś programu pomocy, finansowanego z pieniędzy publicznych, i błagał o pomoc. Ale czy zrobiłby tak? W wielu miastach są takie programy, ale zatłoczone. Są listy oczekujących. Wydaje się, że Nic musiałby czekać od dwóch do czterech miesięcy, żeby się dostać na taki program.

Możliwe że nie mamy tyle czasu.

Zdarza się, że czuję się całkiem dobrze. Czy to jest ten stan, który nazywają odpuszczeniem sobie? Odpuściłem sobie, jeśli oznacza to, że czasami czuję

się dobrze. Każdego dnia przez pewien czas zostawiam kryzys za sobą. Cieszę się chwilami spędzanymi z Karen, Daisy, Jasperem i naszymi przyjaciółmi. Wczoraj z Daisy mieliśmy spotkanie naszej grupy czytelniczej. Ostatniego wieczoru z Jasperem pojechaliśmy na ekscytującą przejażdżkę rowerową przez mokradła Corte Madera, mijając po drodze czaple białe i kuliki. Czasami czuję się zupełnie dobrze, a czasami nie.

Rozmawiam z kolejnymi ekspertami. Po naszych wcześniejszych doświadczeniach nie jestem aż tak naiwny, by sądzić, że któryś specjalista znajdzie odpowiedź na problem dręczący naszą rodzinę. Ale nie jestem na tyle arogancki, by sądzić, że ja ją znam. Nie zamierzam ślepo iść za czyjąkolwiek radą, ale zbieram informacje i po zastanowieniu się nad nimi zamierzam zdecydować, co należy zrobić, jeśli w ogóle cokolwiek. Wiem teraz więcej niż na początku tej całej historii. Wiem, że nikt nie zna odpowiedzi na pytanie, co jest dobre dla Nica czy jakiegokolwiek innego uzależnionego. Nikt nie wie, co zadziała. Nikt nie wie, ile razy. Taka sytuacja nie zmusza kochanej osoby do działania.

W ciągu minionych kilku lat poznałem nieco lepiej i zacząłem darzyć większym szacunkiem oraz zaufaniem kilku spośród znanych ekspertów. Doktor Richard Rawson z UCLA wie być może o metamfetaminie więcej niż wszyscy pozostali. Jako naukowiec jest zainteresowany wyłącznie ustalaniem faktów, poszukiwaniem prawdy. Z poświęceniem oddaje się swojej pracy, kierując się jednym: chce pomagać uzależnionym.

Piszę do niego mejla z pytaniem, czy jego zdaniem, po tym wszystkim przez co przeszliśmy, próba jakiejś interwencji jest już tylko szaleństwem, daremnym wysiłkiem. Jestem pewien, że w odpowiedzi usłyszę konwencjonalną mądrość – Nic musi sięgnąć dna. Spodziewam się, że usłyszę od doktora, że powinienem zrobić, co w mojej mocy, aby sobie odpuścić.

Doktor Rawson ostrzega mnie tymczasem, że interwencja nie jest uniwersalnym panaceum, że jest ryzykowna. W dodatku mówi, że nie zna żadnych danych, które potwierdzałyby czy podważały jej skuteczność. „Jednak mam wrażenie, że niektórzy z nich [osoby przeprowadzające takie interwencje] są całkiem dobrzy w organizowaniu reakcji rodziny i tworzeniu pewnego procesu, który prowadzi do tego, że uzależniony, stawiający opór wobec terapii, poddaje się jej znacznie szybciej, niż gdyby czekano aż sięgnie dna. Taki rezultat nie jest bez znaczenia, ponieważ sięgnięcie dna jest pewną tautologią.

Tak nazywa się wszystkie złe doświadczenia przed osiągnięciem trzeźwości i pozostaniem w tym stanie przez dłuższy czas. Podobne okresy straszliwych przeżyć, które nie prowadzą bezpośrednio do trzeźwości, nie są z definicji uważane za sięgnięcie dna. Niektórzy ludzie umierają, zanim uda im się sięgnąć dna. Nie sądzę, aby to wyrażenie było pożyteczną konstrukcją. Uważam zatem, że interwencja może być pomocna w skłonieniu osób stawiających opór do poddania się leczeniu, jednak nie daje gwarancji pozytywnego rezultatu w ciągu roku, pięciu czy dziesięciu lat po jej przeprowadzeniu. I może być kosztowna" – napisał.

A potem mówi coś, co ma dla mnie decydujące znaczenie. Zapomnij o teorii, zapomnij o statystyce, zapomnij o badaniach skuteczności. Co sam by zrobił, gdyby Nic był jego synem?

„Gdybym miał dziecko, które jest uzależnione od metamfetaminy i zrobiłbym wcześniej wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, aby mu pomóc, i to dziecko nadal angażowałoby się w niebezpieczne, zagrażające życiu zachowania związane z zażywaniem mety (albo heroiny, kokainy bądź piciem alkoholu), poważnie rozważałbym sięgnięcie po pomoc osoby przeprowadzającej taką interwencję. Moje rozumowanie biegłoby takim samym torem, jak gdybym miał dziecko cierpiące na nawracającą, chroniczną chorobę innego rodzaju. Starałbym się zachęcać je do poddania się leczeniu tak długo, jak tylko miałbym na to środki. Skoncentrowałbym na tym wszystkie siły".

To wydaje się szalone ponownie próbować – jak można pomóc komuś, kto nie chce, żeby mu pomagać? Ale to nie ma znaczenia. Jego matka, ojczym, Karen i ja spróbujemy jeszcze raz.

Jest takie powiedzenie w AA, że próbowanie tej samej rzeczy i oczekiwanie odmiennych rezultatów jest szczytem szaleństwa. Ale powtarzające się przesłanie terapii jest właśnie tym, czego, być może, niektórzy uzależnieni potrzebują w trakcie wielu kolejnych prób, aby w końcu osiągnąć trzeźwość i ją utrzymać. Myślę o dzieciach osób, które napisały do mnie – „Moja piękna, dwudziestoletnia córka, najsubtelniejsza dusza na ziemi, przedawkowała w zeszłym roku i zmarła", pisał jakiś ojciec – i zastanawiam się, w jaki sposób i kiedy powinniśmy spróbować jeszcze jeden raz nakłonić Nica do poddania się leczeniu. „Gdybym miał dziecko uzależnione od mety", napisał do mnie doktor Rawson. A ja mam.

Pewnego ranka Nic dzwoni do mnie z informacją, że ma nowy plan. Uza-

leżnieni zawsze mają. Co chwila układają sobie cały świat na nowo tak, aby dopasować go do swojego złudzenia, że nadal panują nad sytuacją. Nic mówi mi teraz, że on i jego dziewczyna wyczerpali swój zapas mety i to jest koniec, więcej nie będą. Ale nie zamierza poddać się moim manipulacjom i zgodzić się na powrót do leczenia. Obiecuje mi, że tym razem wszystko jest inaczej – „Ona nie pozwoli mi brać, ja nie pozwolę jej brać, złożyliśmy sobie przyrzeczenie, że zadzwonimy na policję, doniesiemy na siebie nawzajem, jeśli nam się noga powinie, ona mnie zostawi, jeśli ja znowu nawalę" – mniej więcej to samo, co mówił mi już wiele razy, kiedy obiecywał, że tym razem wszystko będzie inaczej.

Odkłada słuchawkę.

Dzwonię do kilku specjalistów od interwencji polecanych przez doktora Rawsona oraz do psychologa z Hazelden, na numer zaczynający się od 800. A potem znowu odzywa się mój telefon. Tym razem to przyjaciel, który stara się mnie odwieść od tego zamiaru. Od prawie dwudziestu pięciu lat udaje mu się trzymać z dala od narkotyków i alkoholu. Mówi, że interwencja to błąd, podobnie jak nie ma sensu próbować ośrodków terapeutycznych. „Przemysł leczenia uzależnień to biznes, podobny do przemysłu naprawy samochodów" – mówi. – „Zależy im na tym, żebyś do nich wracał. I ludzie zawsze wracają. To kwitnący biznes, ponieważ nikt nie dochodzi do zdrowia. Mówią ci: Wracaj do nas" – śmieje się posępnie. – „Na tym im zależy. Ja sam musiałem naprawdę sięgnąć dna, poczuć, że nie mam wokół siebie nikogo i nie mam nic. Dopiero wtedy to działa. Musisz być sam, opuszczony, zrozpaczony, bez grosza".

Tak, możliwe że tak to działa. Tak, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ani interwencja, ani kolejna próba terapii nie pomogą. Ale mogą pomóc.

My nie będziemy wracać. Nie mamy ani emocjonalnych, ani finansowych zasobów, aby ciągle wracać. Mój mózg już raz eksplodował i czasami mam wrażenie, że mógłby eksplodować ponownie.

Więc mimo wszystkich zastrzeżeń dzwonię do kolejnych specjalistów od interwencji, podczas gdy Nic zostawia mi na sekretarce niezbyt zrozumiałe wiadomości. I po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, ciągle jestem zdezorientowany, tkwię w jakimś dobrze znanym miejscu, między sprzecznymi sygnałami, które napływają z mojego wnętrza i z zewnętrznego świata – zostaw go samemu sobie, zrób wszystko, co możesz, aby uratować mu życie.

Pierwszy specjalista od interwencji, z którym się skontaktowałem, twierdzi, że ma dziewięćdziesięcioprocentowy współczynnik skuteczności, a ja uprzejmie dziękuję mu za jego czas. Może mówił prawdę, ale mam wątpliwości. Kolejny jest skromniejszy: „Nie ma żadnych gwarancji, ale warto spróbować" – mówi. Proponuje scenariusz, w którym matka Nica i ja, wraz z Karen, jego przyjaciółmi i dziewczyną, jeśli się na to zgodzi, spotkamy się z Nikiem i jednym głosem zaproponujemy mu szansę na leczenie. Łóżko w klinice będzie na niego czekać. Zachęcimy go, żeby wsiadł do samochodu i ten samochód natychmiast odjedzie.

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby się na to zgodził – odpowiadam.

– To często się sprawdza – wyjaśnia specjalista. – Psychologia interwencji polega na tym, że osoba uzależniona czuje się emocjonalnie przytłoczona i bezbronna w obecności członków rodziny i przyjaciół. Może się zgodzić na terapię pod wpływem poczucia winy albo wstydu, albo dlatego, że osoby, które kocha, naprą na niego na tyle mocno, że zobaczy, choćby na moment, prawdę swojego położenia. Ludzie, którzy go kochają, nie chcieliby go okłamać. Kieruje nimi tylko jedno pragnienie: uratować go.

Po chwili zadaje pytanie, które zwykle pada w takich okolicznościach:

– Jaki jest jego ulubiony narkotyk?

– Używa niemal wszystkiego, co jest na ulicach, ale zawsze ciągnie go z powrotem do metamfetaminy.

Mój telefoniczny rozmówca wzdycha głęboko.

– Pracuję ze wszystkimi narkotykami, ale nie cierpię tej chwili, kiedy słyszę o mecie. Ona jest taka destrukcyjna i taka nieprzewidywalna.

Mówię mu, że porozmawiam z matką Nica i odzwonię.

Z książki *Addict in the Family* (Uzależniony w rodzinie): „Nie ma tu łatwych rozwiązań, rodziny uzależnionych podążają szlakiem nieszczęścia, który jest usiany wieloma pułapkami i złudnymi nadziejami. Błędy i ból są nieuchronne. Ale równie nieuchronnie można osiągnąć na tej drodze rozwój, mądrość i spokój ducha, jeśli rodziny będą podchodziły do uzależnienia z otwartym umysłem, gotowością do uczenia się oraz potrafią pogodzić się z tym, że dochodzenie do zdrowia, podobnie jak samo uzależnienie, jest procesem długim i złożonym. Nie powinny nigdy tracić nadziei na wyzdrowienie – ponie-

waż może ono nastąpić każdego dnia, i często tak się dzieje. Nie powinny także rezygnować z własnego życia, podczas gdy czekają na cud powrotu do zdrowia".

Kiedy to się wydarzy? I czy w ogóle?

A na razie, najwyraźniej jakimś cudem, słońce wstaje każdego dnia i zachodzi każdego wieczora. Ziemia nie przestaje obracać się wokół własnej osi i nie znikają sprawdziany z ortografii, do których trzeba się przygotować, podwożenie członków zespołu na trening pływacki, prace domowe z matematyki, kolacje, które trzeba przygotować, a potem naczynia do pozmywania. Nie znika też praca – artykuły, które trzeba napisać, zanim nadejdzie nieprzekraczalny termin.

Po tygodniu Nic zostawia kolejną wiadomość:

– To już jest jedenaście dni. Jestem trzeźwy. Jedenaście dni.

Czy to prawda? Czy wytrzyma do dwunastu dni?

Ileż razy obiecywałem sam sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobię, nigdy więcej nie będę żył w stanie paniki, czekając, aż się pojawi albo nie pojawi, odezwie się albo nie odezwie. Robienie raz po raz tej samej rzeczy i spodziewanie się różnych rezultatów to definicja szaleństwa. Nie zamierzam robić tego jeszcze raz.

I właśnie to robię.

W górę i dół. To nakręcony, to przygnębiony. Rozbity, a potem całkiem w porządku.

Trzymam pod ręką numer do specjalisty od interwencji.

Pewnej soboty, po pływaniu, Jasper jedzie na urodziny do kolegi. Ma zostać u niego na noc. Karen jest w mieście, rozwiesza swoje obrazy przed jutrzejszym wernisażem, więc w domu, w Inverness, jesteśmy tylko we dwoje, Daisy i ja. Brutus oddycha ciężko na kanapie obok kominka po swojej codziennej bieganinie, gdy ściga stado przepiórek, które na stałe zadomowiły się w naszym ogrodzie. Może wydawać się, że już nie ma sił, ale choć chodzi z trudem, nic nie powstrzyma go przed tym wyczerpującym sportem. Teraz jest zbyt zmęczony, żeby uciec przed Daisy, jest zdany na jej łaskę, a ona, używając lakieru do paznokci – nietoksycznych fioletów i różów – maluje mu pazury. Przedtem robiła z papieru składane pudełka, przypominające origa-

mi, do jakiejś zabawy w przepowiadanie przyszłości. Zrobiła też jedno dla Brutusa. Normalnie są na nich kolory i liczby oraz wróżby dla ludzi, ale Brutus dokonuje swoich wyborów za pomocą „ziewnięć", „wiercenia się" albo „dyszenia". „Chodź tutaj, ty wielka, włochata, brązowa piłko" – mówi Daisy. Jego wróżby: „Będziesz miał przyjemny dzień, pełen snu i jedzenia". „Wpadniesz na jakiegoś wielkiego doga i zostaniecie przyjaciółmi". „Ukradniesz stek i będziesz miał kłopoty". Mgła niczym para wodna i gęsta bawełna przysłoniła słońce, ale jego ciepło nadal pali lekko.

Wieczorem czytamy razem z Daisy – książkę napisała jedna z naszych ulubionych autorek książek dla dzieci, Eva Ibbotson. Daisy opiera się na moim ramieniu, wypluwa swój aparat ortodontyczny, tak że zawisa jej na wargach, a potem wciąga go z powrotem i językiem umieszcza na miejscu. A potem znowu go zdejmuje, wypycha i wciąga z powrotem.

– Przestań bawić się swoim aparatem.

– Ale to zabawne. – Znowu słyszę kliknięcie.

– Ortodonta powiedział, że to zły pomysł. Przestań.

– No dobrze. – Zapina go jeszcze raz.

Kończymy *The Star of Kazan* i całuję Daisy w czoło. Zmyka do łóżka.

Leżę w łóżku i czytam, gdy rozlega się telefon.

Nic.

Opowiada, że czuje się dobrze i wszystko idzie jak najlepiej, ale słyszę, że jest na haju.

Mówię mu o tym.

Twierdzi, że to lekarstwo, które ma pomóc mu uwolnić się od mety, koki i heroiny.

– Zażywam tylko klonopin, seboxin, stratterę, xanax.

– Tylko?

Twierdzi, że przepisał mu je jakiś lekarz. Jeśli to prawda, nie widzę różnicy między tym doktorem a innymi narkotykowymi dilerami Nica.

– Wiem, że kiedy biorę te leki, nie jestem trzeźwy w sensie AA, ale to wszystko gówno. Jestem trzeźwy – upiera się.

– Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz trzeźwy w sensie AA – odpowiadam. – Wtedy porozmawiamy.

Rano sprawdzam mejle przed wyjazdem po Jaspera do domu jego kolegi.

Dziewczyna Nica przysłała mi pilną wiadomość:

„Dziś rano zostawił mnie na targu, żeby pojechać do swojej mamy, powiedział, że będzie za piętnaście minut. Zabrał mój samochód i moją torebkę, w której mam inhalator. Nie wrócił na targowisko, czekałam cztery godziny, zanim przyjaciółka nie przysłała po mnie taksówki.

Proszę, zadzwoń do mnie na (i tutaj jej numer telefonu). To pilne".

Rozdział 25

Listopad, ale ranek jest ciepły. W świetle dnia widać chudy księżyc. Wcześniej Daisy, kiedy na niego patrzyła, mówiła, że ma uśmiech od ucha do ucha. Karen zabrała ją do miasta, a ja jadę odebrać Jaspera z domu kolegi, gdzie spędził noc. Umówiłem się, że zbiorę go przy boisku piłkarskim niedaleko młyna, w parku Golden Gate.

Kiedy mój samochód wspina się na Olema Hill, dzwonię na numer podany przez Z. Dziewczyna jest cała roztrzęsiona, z trudem łapie oddech – wściekła i zmartwiona. W tym stanie zdradza mi więcej, niż napisała w mejlu. Wyjaśnia, że Nic wysadził ją przy jakimś targowisku w Palisades za kwadrans szósta. Zabrał jej samochód, żeby pojechać do mieszkania swojej matki. Zamierzał włamać się i ukraść komputer Vicki. Dziewczyna opowiada o tym, jakby to było coś zupełnie normalnego, jakby zamierzał pożyczyć trochę cukru. Obiecał jej, że będzie z powrotem za kwadrans, ale nie ma go już ponad cztery godziny. Przypuszczając, że został aresztowany, zadzwoniła na policję, ale nic o nim nie wiedzą.

Dziewczyna łka.

– Co mogło mu się stać, kilka ulic od tego targowiska, w drodze do domu matki?

Opowiadam jej, co wiem na podstawie własnych doświadczeń z Nikiem. Za każdym razem, kiedy znikał, wyobrażałem sobie wszystkie możliwe scenariusze – że miał śmiertelny wypadek albo, co absurdalne, że został porwany, a on po prostu znowu brał.

– Czy to możliwe, że pojechał do San Francisco? – pytam.

– On nie ma pieniędzy.

– A więc zapewnie pojechał do dilera w Los Angeles.

– I tak po prostu zostawił mnie na ulicy?

– Dla narkotyków. A jaki może być inny powód?

Mówię, że zadzwonię do matki Nica, a potem oddzwonię do niej.

Mój telefon budzi Vicki. Kiedy wyjaśniam, o co chodzi, mówi, że Nic się nie pokazał.

– Nie ma żadnego śladu, żeby tu był – mówi.

Za pół godziny oddzwania.

– On tu jest. W garażu. Włamał się i próbował nas obrabować, ładował nasze rzeczy do toreb na zakupy. Coś mu się pomieszało i w jakiś sposób zamknął się w środku. Jest spanikowany i oszalały. Bredzi coś bez sensu.

– Jest nakręcony – wyjaśniam.

Kiedy dzwonię do Z., okazuje się, że miała już wiadomość od Nica, który odezwał się do niej z jakiegoś telefonu znalezionego w garażu. Rozwścieczona pakuje jego ubrania.

– Mam tego dość – mówi. – Jeśli będzie pan z nim rozmawiał, proszę mu powiedzieć, że jego ubrania będą leżały na zewnątrz, na ganku.

Vicki po rozmowie ze swoim mężem mówi Nicowi, że ma wybór. Albo zadzwonią na policję i zostanie aresztowany, albo może wrócić do leczenia.

Jadąc w ten słoneczny poranek po Jaspera, do miasta, cały aż się gotuję ze złości.

Włamał się do domu własnej matki. Zupełnie mu odbiło. Znowu meta. Znowu nakręcony. Odkąd ponownie zaczął brać, wiedziałem, że wcześniej czy później coś takiego się stanie, ale teraz tama pękła i nagle zalały mnie te wszystkie emocje.

Boże, błagam, uzdrów Nica.

Ale czy nie jest za późno?

Nawroty są elementem dochodzenia do zdrowia.

Błagam, uzdrów Nica.

Na boisku piłkarskim widzę Jaspera z kolegami. Kiedy mnie dostrzega, macha do mnie ręką, a potem biegnie w stronę samochodu. Rzuca na tylne siedzenie torbę z ubraniami i sprzętem sportowym, a potem włazi do środka.

– Nie spaliśmy aż do północy. Biliśmy się poduszkami.

– Jesteś zmęczony?

– Ani trochę.

Zasypia po kilku minutach.

Kiedy Jasper spokojnie śpi koło mnie, dzwonię do kilku osób – muszę zdecydować, gdzie posłać Nica, jeśli zgodzi się pojechać. Dzwonię do Jace'a, kierownika Herbert House, który go zna i chce pomóc. Jace pomógł już wielu uzależnionym. Zna ośrodki terapeutyczne. Mówi, że cokolwiek zrobimy, powinniśmy zabrać Nica z Los Angeles i umieścić w zamkniętym programie, trwającym minimum trzy do czterech miesięcy. A najlepiej dłużej. Dodaje: „Hazelden jest drogi, ale wart każdych pieniędzy". W Hazelden to czteromiesięczny program, więc dzwonię na numer zaczynający się na 800. Doradca przyjmujący telefony, mówi mi, że nie ma łóżka w Minnesocie, ale jest jedno w Oregonie. Łączy mnie z tamtejszym psychologiem.

Musi porozmawiać najpierw z Nikiem, ale wydaje się prawdopodobne, że jeśli tylko się zgodzi, będzie mógł tam pojechać.

Wernisaż Karen jest w centrum. Galeria Jack Hanley, w dzielnicy Mission, jest zatłoczona. Daisy w swojej czapce robionej na drutach i Jasper w krótkich spodenkach mimo chłodnego wiatru bawią się na zewnątrz wraz z innymi dzieciakami, a potem zabiera je mój brat ze swoją rodziną.

Wychodzę na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza. Idę wzdłuż ulicy. Kiedy Karen po raz pierwszy wprowadziła się do nas, mieszkaliśmy z Nikiem kilka przecznic stąd. Chodziliśmy tą ulicą i sąsiednimi na tortillę, kupować mango na meksykańskich targowiskach. W weekendy jeździliśmy do Inverness.

Przypominam sobie jakiś dzień, wolny od zajęć szkolnych, w październiku 1989, kiedy zatrzymaliśmy się przy narożnym targowisku, żeby zrobić zakupy, a potem pojechaliśmy na jeden dzień na wieś. Po południu spotkaliśmy się z przyjacielem i poszliśmy na wielokilometrowy spacer Limantour Beach. Wędrowaliśmy pod szafirowym niebem. Nagle Nic wskazał na nos foki, która bawiła się wśród spienionych fal, potem pojawiła się druga i jeszcze jedna. Wkrótce dziesięć, a może piętnaście fok patrzyło na nas czarnymi oczami, ich długie szyje wystawały z wody. A potem, jakby ktoś nagle chwycił plażę i potrząsnął nią, jak starym dywanem. Piasek zakołysał się pod naszymi stopami i przebiegły po nim fale jak w oceanie, w górę i w dół, a potem jeszcze raz i wylądowaliśmy na ziemi.

Odzyskaliśmy równowagę i próbowaliśmy się zorientować, co się stało. Trzęsienie ziemi.

Wróciliśmy do naszego domku, skąd za pomocą telefonu komórkowego (linie napowietrzne były zerwane) zadzwoniliśmy do przyjaciół i rodziny, upewnić się, że nikomu nic się nie stało i zawiadomić wszystkich, że jesteśmy cali i zdrowi. W domku był generator, który napędzał kilka żarówek, oraz stary czarno-biały telewizor, na którym oglądaliśmy zdjęcia przedstawiające zniszczenia w San Francisco, w tym kilkupiętrowe, zburzone domy w dzielnicy Marina oraz samochody zgniecione przez zawaloną rampę dojazdową do mostu Bay Bridge.

Odwołano zajęcia w szkole, zostaliśmy więc na kilka dni w Inverness. Wreszcie, kiedy wszystko wróciło do normy, pojechaliśmy z powrotem do domu. Nauczyciele opowiadali dzieciom o trzęsieniu ziemi oraz innych rzeczach, które budzą w ludziach lęk. Dzieci opisywały własne przeżycia. „Byłem na plaży", napisał Nic. „Patrzyłem w dół, na dziurę w piasku. Słyszałem, że jakiś człowiek został wyrzucony z basenu. Od trzęsienia ziemi kręciło mi się w głowie". Podczas przerwy w lekcjach jakiś chłopiec stał na boisku szkolnym i kiwał się rytmicznie. Kiedy dyrektor spytał go, czy dobrze się czuje, chłopiec skinął i powiedział:

– Poruszam się jak ziemia, więc jeśli będzie kolejne trzęsienie ziemi, to go nie poczuję.

Idąc w tłumie ludzi, którzy w sobotni wieczór wylegli na miasto, przypominam sobie tamtego małego chłopca i czuję się podobnie. Tak jak on, staram się pokonać każdy dzień, mając się na baczności i ostrożnie wypatrując następnej katastrofy. Staram się chronić siebie, najlepiej, jak mogę. Poruszam się jak ziemia na wypadek kolejnego trzęsienia. Jak choćby w tej chwili, gdy zbierając się w sobie, otwieram komórkę i dzwonię do Z., przygotowany na to, co mogę usłyszeć.

Wręcza telefon Nicowi.

– Wygląda na to, że jest łóżko w Hazelden, w Oregonie. Będziesz musiał zadzwonić do nich i porozmawiać rano z psychologiem.

– Myślałem o tym. Ale nie muszę tam iść. Mogę to zrobić samemu.

– Próbowałeś i nie zadziałało.

– Ale teraz wiem jak.

Wzdycham.

– Nic…

Słyszę głos Z. w tle.

– Musisz tam iść.

– Wiem, wiem. No dobra. Tak. Muszę tam iść. Wiem.

Po początkowym przypływie brawury wydaje się, że Nic pogodził się z losem. Wydaje się także zdumiony.

– Sądziłem, że mogę zachować trzeźwość, ponieważ chciałem być trzeźwy – mówi. – Sądziłem, że jak jestem tak bardzo zakochany jak teraz, to mi pomoże utrzymać trzeźwość, ale się nie udało. To mnie przeraża. – A potem po chwili dodaje: – Przypuszczam, że to właśnie znaczy, że ktoś jest uzależniony.

Poruszam się jak ziemia, więc nie czuję tego nowego trzęsienia ziemi – tego najnowszego nawrotu. Idę w świetle latarni, nad głową mam surowe niebo. Obok przepływają samochody. Wracam do galerii.

W poniedziałek Nic rozmawia z psychologiem w Hazelden, a potem mówi mi, że jedzie do Oregonu.

Zamawiam bilet lotniczy ze świadomością, że Nic może się nie pokazać.

A potem dzwoni do mnie i mówi, że jest spakowany, gotowy do wyjazdu.

Z. odwozi go na lotnisko. Dzwonię do Hazelden upewnić się, że ktoś go odbierze, kiedy przyleci, ale człowiek, który odpowiada na telefony, mówi, że nic mu o tym nie wiadomo, żeby Nic miał do nich przyjechać. Kiedy zaczynam protestować, przełączają mnie do jego zwierzchniczki, która wyjaśnia, że Nic nie został przyjęty do ośrodka.

– Co chce pani przez to powiedzieć, że nie został przyjęty? Przecież on już leci.

– Dlaczego leci? Nie został przyjęty.

– Nikt nam o tym nie powiedział.

– Nie wiem dlaczego, ale taka jest decyzja.

– Ale pani nie może… On już jedzie na lotnisko. Musimy umieścić go w programie, skoro w tej chwili on sam tego chce.

– Bardzo mi przykro, ale…

– Czy on może przyjechać do was dziś wieczorem i zacząć detoksykację, a my w tym czasie zastanowimy się, gdzie go umieścić?

– Bardzo mi przykro.

– To co mam zrobić?

– Jeśli on tutaj przyleci, nikt nie będzie się nim zajmował.

– To co ja mam zrobić?

– Możemy polecić inne programy. – Podaje mi adresy.

Odkładam słuchawkę i dzwonię do Jace'a. Mówi, że obdzwoni parę osób. Jace dzwoni potem do mnie i podaje mi nazwę jakiegoś szpitala w dolinie San Fernando, gdzie Nic może poddać się odtruciu.

Dzwonię do lekarza, który kieruje tym ośrodkiem, i umawiam się, że przyjmą Nica, a potem jeszcze raz dzwonię do Z., na jej telefon, i wyjaśniam, co się stało. Zamiast na lotnisko, mówię, Nic powinien pojechać do szpitala. Podaję jej adres. W szpitalu przynajmniej będzie bezpieczny. Jeśli się tam pokaże.

John Lennon śpiewał: „Nikt mi nie mówił, że będą takie dni jak ten". Nikt mi nie powiedział, że będą takie dni jak ten. Jak inni potrafią je przetrwać?

Po północy Z. przywozi Nica do szpitala. Podają mu lekarstwa, zaczyna detoksykację. Jak mi wyjaśnia pielęgniarka, przez następnych kilka dni będzie głównie spał. Alternatywą dla tych leków jest dobrze udokumentowane piekło narkotykowego głodu, którego wielu uzależnionych po prostu nie potrafi znieść. Mają ochotę wyrwać się ze swojego ciała. Przerażeni, przygnębieni, pozbawieni nadziei czują dotkliwy ból. Zrobią wtedy wszystko, aby poczuć się lepiej – znajdą jakiś narkotyk.

Regularnie sprawdzam u pielęgniarek z oddziału, co się dzieje. Zapewniają mnie, że Nic czuje się całkiem dobrze. Jedna z nich mówi:

– Zważywszy na ilość i różnorodność narkotyków obecnych w jego organizmie, to cud, że tu dotarł. Nie sądzę, żeby jego ciało potrafiło przetrwać kolejny miesiąc.

Jego matka i ja zastanawiamy się, gdzie może pojechać. Jeszcze raz proszę doktora Rawsona o radę; zasięga informacji u kilku przyjaciół i kolegów. Sprawdzam programy, które polecono mi w Hazelden. Pytamy też o opinię

lekarza, który przeprowadza detoksykację Nica. W ciągu następnych kilku dni razem z Vicki odbywamy dziesiątki rozmów telefonicznych. Konferujemy z osobami odpowiedzialnymi za przyjmowanie pacjentów, sprawdzamy witryny internetowe. Ciągle dostajemy sprzeczne rady. Niektóre programy kosztują czterdzieści tysięcy dolarów miesięcznie, ale eksperci są zgodni, że Nic będzie potrzebował tym razem wielu miesięcy leczenia. Nie stać nas na płacenie przez wiele miesięcy czterdziestu tysięcy. Niektórzy nasi rozmówcy są równie natrętni, jak sprzedawcy używanych samochodów. Jedno z miejsc poleconych nam przez Hazelden wydaje się odpowiednie i jest znacznie bardziej dostępne finansowo niż wiele innych. A potem ktoś mi mówi, że to jest drakoński program, w którym kary za naruszenie reguł obejmują między innymi strzyżenie trawnika nożyczkami. To może być skuteczna forma terapii dla niektórych osób, ale Nic oszaleje. A może się mylę? Tyle razy już się myliłem, w tylu sprawach.

Przynajmniej jest bezpieczny przez ten weekend.

Od kolejnej pielęgniarki, która się nim zajmuje, dowiaduję się, że Nic ma bardzo niskie ciśnienie, choć dzisiaj jest już lepsze. Niewiele jadł, odkąd przyjechał do szpitala.

Pyta Nica, czy ma dość siły, żeby podejść do telefonu. Udaje się do stanowiska pielęgniarek i bierze słuchawkę.

– Hej, tato.

Ledwo słyszę jego głos. Wydaje mi się absolutnie, skrajnie przygnębiony.

– I jak ci idzie?

– To piekło.

– Wiem.

– Ale cieszę się, że tu jestem. Dzięki. Myślę, że to właśnie nazywają bezwarunkową miłością.

– Po prostu przejdź przez to. Teraz jest najgorzej. Potem będzie lepiej.

– A co mam zrobić potem?

– Porozmawiamy o tym, kiedy poczujesz się lepiej. Razem z twoją mamą pracujemy nad tym.

Prawdę mówiąc Vicki i ja opadamy z sił, starając się znaleźć jakieś miejsce,

które zapewni Nicowi największe szanse. Doktor Rawson nadal prowadzi rozmowy telefoniczne z kolegami. Rozsyła w naszym imieniu mejle po całym kraju. Mówi mi, że „to doświadczenie w doradzaniu wam przekonało mnie bardziej niż cokolwiek innego, że próba dokonania wyboru z oferowanych przez system opieki zdrowotnej programów, zajmujących się problemami z nadużywaniem substancji toksycznych, przypomina wróżenie z fusów".

Nic dzwoni do mnie trzeciego ranka swojej detoksykacji. Prosi mnie, żebym zadzwonił do niego na płatny telefon w holu.

– Jest gorzej – mówi.

Słyszę, że jest słaby i nieszczęśliwy. Wyobrażam sobie, jak stoi w szpitalnym korytarzu – białym, zalanym światłem – połączony z automatem telefonicznym za pomocą metalowego kabla. Przygarbiony. Podtrzymując się ściany.

– Jestem zmęczony. Przychodzą do mnie wszystkie lęki. Jestem zdezorientowany. Co się dzieje? Dlaczego? Dlaczego to wszystko przytrafia się właśnie mnie? – Płacze. – Co jest ze mną nie tak? Czuję się, jak gdyby ktoś mi ukradł moje życie. Nie dam rady.

– Dasz radę – mówię.

Kolejne rozmowy telefoniczne. Razem z Vicki konferujemy z ludźmi odpowiedzialnymi za przyjmowanie pacjentów w ośrodkach w całym kraju, na Florydzie, w Missisipi, w Arizonie, w Nowym Meksyku, Oregonie i Massachusetts.

Wreszcie wybieramy ośrodek w Santa Fe. Nie jestem pewien. Po przedarciu się przez, jak nazywa to doktor Rawson, „niesystem, stworzony z plotek, marketingowych bzdur, domysłów i szukania łatwego zarobku" dokonaliśmy możliwie najlepszego wyboru, ale nie jestem pewien, czy to właściwe miejsce. Skąd mam to wiedzieć?

Nic dzwoni ponownie. Mówi, że powinien zostać w Los Angeles i pracować w jakimś programie otwartym.

– Wiem, i myślę, że jakaś część ciebie też wie, że musisz pojechać gdzie indziej i zostać tam, dopóki nie wykonasz całej ciężkiej pracy, która pozwoli ci zorientować się, co jest nie tak, i co możesz zrobić – sprzeciwiam się.

– Czemu cię to jeszcze obchodzi?

– Nadal mi zależy.

– Ale dlaczego nie mogę zrobić tego sam? Dlaczego muszę poddać się kolejnemu programowi?

– Żebyś miał jakąś przyszłość. W ubiegłym tygodniu, kiedy wiedziałem, że w każdej chwili możesz umrzeć, nie potrafiłem tego znieść. Żyję ze świadomością, że możesz stracić przytomność albo przedawkować, albo popaść w psychozę, albo zrobić sobie jakąś nieodwołalną szkodę, albo umrzeć. To może się zdarzyć w każdej chwili.

Odpowiada:

– Ja także żyję z tą świadomością.

Płaczemy obaj. To dla mnie zaskakujący moment. Przez wszystkie poprzednie miesiące, głęboko okopany na swoich pozycjach, powstrzymywałem łzy, ale teraz płyną ze mnie strumieniem. Nic stoi w korytarzu jakiegoś szpitala, opierając się o ścianę. A ja leżę na podłodze w kuchni i płaczę.

– Nie potrafię uwierzyć, że to jest moje życie. – A potem oddycha głęboko i mówi: – Zrobię wszystko, co trzeba.

We wtorek wczesnym rankiem Vicki odbiera go ze szpitala w dolinie i zawozi bezpośrednio na lotnisko, gdzie udaje jej się przekonać agenta ochrony, aby przepuścił ją przez punkt kontroli, dzięki czemu mogła odprowadzić Nica aż do ostatniej bramki na lot do Nowego Meksyku.

Vicki dzwoni do mnie z lotniskowej poczekalni. Nic wsiadł już na pokład samolotu i odrzutowiec toczy się na pas startowy. Widzę ją, jak stoi z komórką przytkniętą do ucha i wygląda przez okno. Widzę Nica w samolocie. Widzę go takim, jaki jest – kruchy, nieprzejrzysty, chory – mój ukochany syn, mój piękny syn.

– Wszystko – mówię do niego.

– Wszystko.

Na szczęście jest mój piękny syn.

Na nieszczęście ma straszliwą chorobę.

Na szczęście jest miłość i radość.

Na nieszczęście jest ból i udręka.

Na szczęście ta historia jeszcze się nie skończyła.

Samolot powoli oddala się od rękawa.

Odkładam słuchawkę.

Widzę niewielkie liliowe pudełko z wymalowanymi na wierzchu i po bokach tulipanami. To pozytywka. Należy do Daisy. Otwieram ją i wyskakuje z niej baletnica. Tańczy. Zaglądam do środka pudełka. Są w niej niewielkie przegródki, wszystkie puste.

Podobnie jak ogromne opakowanie cukierków See's, pudełko ma ukryte warstwy. Ostrożnie zdejmuję pierwszą z nich. Pod nią, na warstwie czarnego filcu, niczym dzieło sztuki w muzeum, leży plastikowa strzykawka. Unoszę strzykawkę, obracam w dłoniach, przyglądam się jej, a potem odkładam na bok. Wyjmuję z pudełka następną warstwę i widzę w jednej z niewielkich przegródek malutkie paczuszki wielkości drobnych kamyków, każdy zawinięty w bibułkę. Biorę jeden z nich, oglądam, rozwijam powoli. To ząb Nica. Widać krew u korzenia. Wyjmuję następny malutki pakiecik i odwijam go. Kolejny ząb.

A potem się budzę.

Idę do kuchni, gdzie Brutus leży płasko na podłodze, z tylnymi nogami szeroko rozłożonymi na boki. Nie może się poruszyć. Karen wsuwa mu ręcznik pod brzuch i powoli unosi do góry, pomagając stanąć na czterech nogach. Jego osłabione tylne nogi drżą, ale może teraz zrobić kilka kroków.

Weterynarz przepisuje nowe lekarstwo. Nie jesteśmy teraz w stanie pomyśleć o tym, żeby go uśpić. Nie Brutusa. Nie sądzę, żeby Daisy, która każdego wieczoru, zanim pójdzie spać, mocno przytula się do niego, potrafiła to znieść. Nie sądzę, żeby potrafiła to Karen, albo Jasper, który co dzień, godzinami siedział w ogrodzie na krześle i rzucał Brutusowi piłkę tenisową, a Brutus ją przynosił i wypluwał Jasperowi na kolana. Żadne z nas tego nie zniesie. Ale jeśli będziemy musieli, zrobimy to. To także.

Po szkole razem z Karen, Jasperem i Daisy idziemy do gabinetu terapeuty zajmującego się rodzinami. Jesteśmy strasznie zdenerwowani. Dzieciaki siedzą skulone na skórzanej kanapie. Wiercą się na swoich miejscach i niemal

chowają się w bluzach, niczym żółwie, które próbują skryć się w skorupie.

Terapeuta jest młodym mężczyzną, ze starannie przystrzyżoną brodą i ciemnymi oczami. Mówi łagodnym głosem, perswazyjnym tonem.

– Spotkaliśmy się z waszą mamą i tatą – zwraca się do dzieci. – Opowiedzieli mi trochę o tym, co się dzieje w waszej rodzinie. O waszym bracie Nicu i o jego uzależnieniu. Wygląda na to, że przeżywacie trudne chwile.

Jasper i Daisy patrzą na niego, słuchając z uwagą.

– To bardzo niepokojące mieć brata, który zażywa narkotyki, można się przestraszyć – kontynuuje terapeuta. – Z wielu powodów. Jeden z nich jest taki, że nie wiecie, co może się zdarzyć. Wiem, że się martwicie o niego. Czy rozumiecie, gdzie on teraz jest?

– Jest w ośrodku terapeutycznym – mówi Jasper.

– A czy wiecie, co to oznacza?

Terapeuta wyjaśnia dzieciom, a potem opowiada im o innych dzieciach, które znajdują się w takiej samej sytuacji, o tym, jakie to trudne.

– To normalne, że człowiek czuje się pogubiony, jeśli ma się ukochanego brata, którego jednocześnie można się obawiać.

Dzieci patrzą na niego w napięciu.

Lekarz pochyla się w ich stronę i opiera łokcie na kolanach. Przygląda się uważnie Jasperowi i Daisy.

– Użyję teraz pewnego słowa, którego być może nigdy przedtem nie słyszeliście – mówi. – To słowo to ambiwalencja. Ono oznacza, że można czuć naraz dwie różne rzeczy. Oznacza… Oznacza, że możecie kogoś kochać i w tym samym czasie go nienawidzić albo nienawidzić tego, co ta osoba robi waszej rodzinie i sobie samej. To oznacza, że możecie bardzo pragnąć, żeby zobaczyć się z tą osobą, a jednocześnie bardzo się jej obawiać.

Dzieciaki wydają się skrępowane, ale jakby trochę mniej. Po czym odzywa się Jasper.

– Wszyscy się martwią o Nica.

Spogląda w moją stronę.

– Patrzysz na twojego tatę – mówi terapeuta. – Czy on martwi się o Nica?

Jasper kiwa głową.

– A czy ty martwisz się o swojego tatę? Zwłaszcza po szpitalu? Rodzice o tym także mi mówili.

Jasper patrzy w podłogę i niemal niedostrzegalnie kiwa głową.

Tego zimowego wieczoru ich początkowa niepewność powoli ustępuje w gabinecie terapeuty czemuś, co odbieramy z Karen jako ostrożne uczucie ulgi. Im dłużej trwa rozmowa, tym bardziej wyprostowane siedzą na kanapie. Rozmawiamy o sprawach, które bez wątpienia są obecne w naszym życiu, a jednak nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o nich w należyty sposób.

Psychoterapeuta mówi, że nawet jeśli Nic jest teraz bezpieczny w ośrodku leczenia uzależnień, zapewne myśl o przyszłości może budzić w nas lęk. W dodatku samo to, że jest bezpieczny nie oznacza, że wszystko jest w porządku.

– Po kradzieżach Nica, ilekroć nie mogę czegoś znaleźć, wpadam w panikę na myśl, że znowu zakradł się do naszego domu – mówi Karen.

– Panika to właściwe słowo – odpowiada terapeuta. – Wracasz do stanu, w jakim znajdowałaś się w chwili, gdy czułaś się zaatakowana.

Opowiadamy o stercie gazet zostawionych przy kominku przez przyjaciela. Oboje z Karen myśleliśmy, że to Nic przyniósł je do naszego domu. Zanim zaczęliśmy o tym rozmawiać, byliśmy ciągle w stanie napiętej gotowości. Ja nie chciałem jej martwić. Ona nie chciała mnie smucić. Ale oboje myśleliśmy: Nic tu był. Czy znowu się do nas włamie? Wszystko potoczyło się dobrze, ale zapłaciliśmy swoją cenę.

Doktor wyjaśnia nam, w jaki sposób takie bodźce jak gazety, mogą wywołać w nas ponowny atak paniki. A potem pyta o inne tego rodzaju bodźce i wtedy coś sobie uświadamiam. Oczywiście.

– Myślę, że tak się dzieje zawsze, ilekroć dzwoni telefon – mówię.

– Telefon?

Dzieciaki patrzą na mnie z uwagą.

– Kiedy dzwoni telefon, wpadam w taką samą panikę. Zawsze się martwię, że to wiadomość o kolejnym kryzysie. Albo że to Nic. I nie wiem, czy okaże się, że jest zdrowy, czy na haju. Albo to nie będzie on i wtedy będę rozczaro-

wany. Czuję napięcie w całym ciele. Wiele razy podczas posiłków albo kiedy wieczorem kręcimy się po domu, nie odbieram telefonu, czekając, aż odezwie się automatyczna sekretarka, ponieważ nie chcę mierzyć się z tym, co mogę usłyszeć. Myślę, że wszyscy czujemy to napięcie. Jasper zawsze mnie pyta, dlaczego nie odbieram telefonu. Myślę, że to go niepokoi, robi się nerwowy.

Jasper potakuje w milczeniu.

– A zatem chodzi nie tylko o coś rzadkiego i przypadkowego, co niespodziewanie pojawia się w waszym domu, jak sterta gazet. Przecież telefon musi dzwonić cały czas. Z pewnością musicie wszyscy niemal nieustannie odczuwać niepokój i napięcie. To niemożliwe, żebyście się czuli z tym dobrze. – Zwraca się do dzieci: – Czy zgadzacie się z tym?

Oboje potakują zdecydowanie. Wygląda na to, że dotknęliśmy czegoś bardzo ważnego. Terapeuta zwraca się do mnie:

– Może powinien pan wyłączać dzwonek telefonu na jakiś czas. Zawsze może pan oddzwonić. Teraz, kiedy Nic jest w ośrodku, może miałoby sens, aby pan i Nic umówili się na jakąś porę – raz na tydzień albo częściej – kiedy będziecie ze sobą rozmawiać przez telefon. Wtedy wszystko będzie jasne. Ustanowienie tego rodzaju granic może pomóc wam obu. Uwolnicie się od nieustannego niepokoju, że on powinien zadzwonić albo dzwonił, albo nie zadzwonił. To może pomóc wam wszystkim. Wasza rodzina będzie wiedziała, kiedy nadeszła pora na rozmowę z Nikiem i będziecie się wtedy mogli upewnić, że wszystko z nim jest w porządku, ale to nie będzie stałe zagrożenie.

– To dobry pomysł – ale potem przyznaję. – Serce mi wali. Myśl o tym, żeby przerwać komunikację, jest przerażająca.

– Nie zrywasz jej, a jedynie dbasz, żeby była bezpieczniejsza dla wszystkich.

Po skończonej sesji schodzimy z betonowych schodów jakiegoś anonimowego budynku i wydaje się, że dzieci są jak odczarowane. Policzki im płoną, w ich oczach widać iskry.

– Jak wam się podobało? – pyta Karen.

– To było… – mówi Daisy.

– Zdumiewające – kończy Jasper.

– Tak, to prawda – zgadza się Daisy.

Zaczynam kontrolować sposób, w jaki posługuję się telefonem, wyłączam dzwonek wieczorami i w weekendy. Układam plan, że będę rozmawiać z Nikiem raz na tydzień. Drobiazgi, ale wydają się ogromne.

Upłynęły trzy tygodnie, odkąd Nic jest w ośrodku terapeutycznym. Nie brzmi najlepiej. Jak wyjaśnia, początkowe tygodnie leczenia były poświęcone ustabilizowaniu go. Tygodniowe odtrucie w dolinie nie wystarczyło, aby oczyścić jego ciało ze wszystkich narkotyków. Nawet teraz, po trzech tygodniach odczuwa dotkliwy umysłowy i fizyczny ból. Co chwila dopadają go konwulsje. Raz został nawet pospiesznie przewieziony do miejscowego szpitala. Jego ciało całe się skręca, a on jest nieszczęśliwy, nie może spać. Ból się nie kończy – kolejny dowód, jak gdybym potrzebował jeszcze dowodów, że narkotyki trzymają jego ciało w śmiertelnym uścisku.

Dzwoni w niedzielę. W jego głosie słyszę chłód, jest na mnie wściekły, obwinia mnie o to, że się znalazł w tym miejscu. Prosi o bilet do domu.

– To był błąd – mówi. – To jest katastrofa. Strata czasu.

– Musisz poczekać na efekty.

– Przyślesz mi bilet czy nie przyślesz?

– Nie przyślę.

Odkłada słuchawkę.

Dzwoni jeszcze raz, następnego dnia, żeby powiedzieć, że czuje się nieco lepiej. Minionej nocy, po raz pierwszy od przyjazdu z Los Angeles, spał porządnie. Przeprasza za wczoraj.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że wróciłem do ćpania – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że zrobiłem to, co zrobiłem.

Mówi, że czuje się bardziej winny z powodu tego wszystkiego, niż potrafi wyrazić.

– Boję się powiedzieć cokolwiek, ponieważ nie wiem, co będzie. Nie chcę robić ci nadziei, i Karen, i dzieciakom, a potem znowu sprawić wam zawód.

Opowiada mi trochę o podejściu do terapii w tutejszym programie, innym niż w pozostałych ośrodkach.

– Na pierwszym spotkaniu w grupie psycholog spytał mnie, dlaczego tutaj jestem. Spytał „Jaki masz problem?". Powiedziałem, że jestem uzależniony od narkotyków i alkoholu. Pokręcił głową. Powiedział, że nie i że w taki sposób usiłuję wyleczyć swój problem. Na czym polega mój problem i dlaczego się tu znalazłem.

Świetnie, myślę, ale nie ma we mnie nadziei. Nie mam siły na nadzieję. Nie wiem, czy Nic nie zaszedł już z tym wszystkim za daleko. Czy narkotyki nie spowodowały zbyt wielkich zniszczeń. A nawet jeśli tak nie jest, nie potrafię pozwolić sobie na nadzieję.

Kolejny tydzień. Jeszcze jeden. Święta. Nowy Rok.

Kolejny tydzień. Miesiąc. Nic jest bezpieczny w ośrodku terapeutycznym, ale ja zachowuję sceptycyzm.

Jest czwartek. Odbieram Jaspera z zajęć pozalekcyjnych. Na próbie zespołu World Beat Band siedzę w górnym rogu sali i słucham ich występu. Jasper gra na kongach w *Oye Como Va*. Jakiś chłopiec z ósmej klasy zawodzi na gitarze niczym Carlos Santana.

Zawożę Jaspera do domu, a potem żegnam się z całą trójką. Karen zabiera Jaspera i Daisy na przyjęcie z okazji jedenastych urodzin ich kuzyna. Wrzucam walizkę do samochodu i w godzinie szczytu jadę na lotnisko w Oakland, po czym przechodzę przez kontrolę i jem szybki obiad.

Wsiadam do wypełnionego samolotu lecącego na południowy zachód. Po przylocie do Albuquerque przechodzę przez bramki na miejscowym lotnisku. Wyobrażam sobie, jak Nic przyleciał tutaj osiem albo dziewięć tygodni temu, odwieziony na lotnisko w Los Angeles przez matkę, która uważnie obserwowała, jak odlatuje do Nowego Meksyku. Oglądam terminal jego oczami: sztuka południowego zachodu, indiańskie tkaniny, plakat „Witamy w krainie O'Keeffe". Wyobrażam sobie, jak zerka na sklep z pamiątkami Thunderbird Curio i knajpę Hacienda, z kuchnią Nowego Meksyku. Myślę, że Nic patrzyłby ze wzgardą na tematyczny wystrój terminalu, gdyby miał dość siły, żeby patrzeć ze wzgardą na cokolwiek.

Po wyjściu na zewnątrz wyobrażam sobie, jak dostrzega kierowcę z Life

Healing Center, czekającego na niego z tabliczką z napisem „NIC SHEFF". Ale i tak raczej nie było wątpliwości, który z pasażerów to Nic, młody człowiek z Los Angeles, który przyleciał z bladą twarzą, mętnym wzrokiem, ledwo powłócząc nogami po wielu miesiącach narkotykowych szaleństw i tygodniu dręczącego odtruwania ciała z kilkunastu narkotyków.

Wynajmuję samochód. Miał być dla osób niepalących, ale czuć w nim zapach papierosów. Jadąc szeroką autostradą, włączam radio i pierwszym utworem, jaki słyszę, jest otwierający gitarowy riff z *Gimme Shelter*.

Jadę jakąś godzinę, a potem znajduję swój motel i wynajmuję pokój. Staram się zasnąć. Czułbym się znacznie spokojniej, gdybym przyjechał tutaj na zjazd studentów sztuki dentystycznej, praktykujących na mnie swoje pierwsze leczenie kanałowe.

Może pływanie mnie wyciszy. Wychodzę z pokoju i przez jakiś czas jeżdżę po okolicy w poszukiwaniu centrum handlowego, gdzie można kupić strój kąpielowy. Po czym wracam do motelu i wtedy okazuje się, że basen jest zamknięty. Jest otoczony żółtą taśmą, zupełnie jak by to było miejsce zbrodni.

W pokoju sięgam po „New Yorkera" i czytam jakieś opowiadanie oraz Hertzberga i Anthony'ego Lane'a. Zastanawiam się, czy takie same egzemplarze „New Yorkera" są w ośrodku Nica? Wreszcie udaje mi się zasnąć na chwilę, po czym budzę się o ósmej i szykuję się do drogi.

Ostatni raz widziałem go w czerwcu, tuż po swoim pobycie w szpitalu. Słabo pamiętam tamtą wizytę, a jedynie to, co nastąpiło potem. Jego bełkotliwy głos, rozmowy telefoniczne, kłamstwa, przerażenie, wizytę jego matki w mieszkaniu, mejl nie z Joshua Tree, lecz z Oakland.

Czemu tu jestem? Jeden weekend nie może odkręcić tych lat piekła. Jeden weekend nie może odmienić życia Nica. Wszystko, czego próbowałem, nie miało żadnego znaczenia. Czemu tu jestem?

Terapeuci pracujący w jego programie doradzili mu, żeby poprosił swoją matkę i mnie o przyjazd. Jeśli spróbujemy ten ostatni raz, spróbujemy jeszcze raz dać mu szansę, zrobię to, o co mnie proszą. Wiem, że nic nie pomoże, przypuszczalnie nic nie pomoże, ale zrobię co do mnie należy. Szczerze mówiąc, jeśli mam być szczery – ale nie mówcie nikomu, nie mówcie mu – jestem tu także po to, żeby go zobaczyć. Bałem się, ale jakaś ostrożna, bardzo głęboko ukryta, dobrze strzeżona część mnie tęskni za nim jak szalona. Tęsk-

ni za moim synem.

Widok porannego, błękitnego nieba psuje jedynie kreska smugi kondensacyjnej z odrzutowca.

Jadę przez miasto zgodnie ze wskazówkami, jakie otrzymałem w mejlu z ośrodka terapeutycznego. Skręcam w polną drogę, na poboczach rosną wysokie trawy, chuderlawe sosny. Sceneria przypomina stary western. To miejsce wygląda, jakby tu kiedyś znajdowało się rancho. Baraki, kantyna i rozsypujący się główny budynek oraz przybudówki obłożone z zewnątrz surowym drewnem. Na szczycie wzgórza szereg drewnianych domków z widokiem na jałową pustynię. Miejsce jest skromne, wiejskie, nie przypomina starej wiktoriańskiej posiadłości Ohlhoffa ani surowych, nowoczesnych budynków szpitalnych w Krainie Wina, a także majestatycznej budowli, pokrytej piaskowcem przy Stuyvesant Square na Manhattanie, ani kierowanego przez Jace'a ośrodka w stylu Melrose Place w Los Angeles.

Wypełniam formularze w małym biurze, a potem czekam na zewnątrz. Zimno, ale mam gruby płaszcz.

Jest Nic.

Biorę głęboki oddech.

Stoi pod obwisłą markizą na niskim ganku zaniedbanego, drewnianego domku, Nic.

Nic w wojskowej kurtce i fioletowym szaliku w barwne wzorki.

Nic w spłowiałym T-shircie, w spodniach z drobnymi, skórzanymi łatkami, i w czarnych, skórzanych butach sportowych.

Ma długie, kręcone, złotobrązowe włosy. Odgarnia je z czoła.

Schodzi w moją stronę po chwiejnych stopniach. Jego twarz: wychudzona i koścista. W jego oczach widzę błysk?

– Hej, tato.

Gdybym przyznał się teraz, jak bardzo się cieszę, że go widzę, można by mnie oskarżyć o to, że zapomniałem o całej wściekłości i przerażeniu. Cieszę się, że go widzę. Jestem śmiertelnie przerażony.

Podchodzi do mnie. Wyciąga ramiona. Czuję zapach tytoniu, ściskamy się na powitanie.

Czekając na Vicki, rozmawiamy trochę, a potem patrzy na mnie nieśmiało i mówi:

– Dzięki, że przyjechałeś. Nie wiedziałem, czy to zrobisz.

Podchodzę z nim do położonego na zewnątrz miejsca, gdzie wolno palić, pod drewnianym dachem. Stoi tam kilka sfatygowanych krzeseł i palenisko.

Boję się i nie chcę odczuwać pragnienia, żeby się z nim zobaczyć, i nie chcę czuć się szczęśliwy z tego powodu, że go widzę.

Spotykamy kilku jego przyjaciół. Jest dziewczyna z przekłutymi uszami i wybielonymi włosami, krótkimi na jakieś dwa centymetry, chłopak ogolony na łyso. Jakiś mężczyzna, który wygląda, jakby spędził całe życie na słońcu, podchodzi do mnie i ściska mi dłoń. Ma szorstką skórę, niczym skórzane ubranie ze spękanej skóry. Mówi, że mam wspaniałego syna.

Siedzimy obok paleniska. Nic pali, mówi, że sprawy się zmieniają.

– Wiem, że słyszałeś to już wcześniej, ale tu jest inaczej.

– Problem polega na tym, że to także już wcześniej słyszałem.

– Wiem.

Wchodzimy do środka spotkać się z jego główną terapeutką, czekamy tam na jego matkę, która wkrótce do nas dołącza. Vicki ma na sobie beżową kurtkę, rozpuszczone, długie, proste włosy. Zerkam na nią. Trudno mi spojrzeć jej w oczy, nawet po tych wszystkich latach. Mam poczucie winy. Byłem dzieckiem – miałem dokładnie dwadzieścia dwa lata, a więc byłem rok młodszy, niż Nic jest teraz – kiedy się spotykaliśmy. Nawet jeśli będę próbował sobie wybaczyć, niezależnie od tego, czy ona wybaczy mi, czy nie, z pewnymi rzeczami trzeba po prostu żyć, ponieważ nie da się cofnąć czasu. Denerwowałem się na myśl, że mam się spotkać się z Nikiem, ale denerwowałem się także na myśl, że zobaczę Vicki. Nawet jeśli zbliżyliśmy się do siebie w ciągu tych kilku minionych lat, a tak się stało, to jednak, chociaż rozmawiamy przez telefon, pocieszamy i wspieramy się nawzajem, dyskutujemy o interwencjach i martwimy się o brak dobrego ubezpieczenia (Vicki stara się teraz umieścić je na powrót w swojej polisie), nie byliśmy w tym samym pomieszczeniu przez więcej niż kilka minut od czasu naszego rozwodu, dwadzieścia lat temu. Prawdę mówiąc, w ubiegłym tygodniu była rocznica naszego ślubu czy raczej mogłaby być. Po raz ostatni znaleźliśmy się razem na dłużej niż

przez pięć minut podczas uroczystości ukończenia przez Nica szkoły średniej, kiedy siedzieliśmy z Vicki obok siebie, a z drugiej strony koło mnie siedział Jasper. Potem Jasper szepnął do mnie:

– Vicki wydaje się miła.

Terapeutka mówi, że jej zdaniem Nic radzi sobie dobrze, znalazł się w punkcie, w którym powinien się znaleźć, zważywszy na wszystkie okoliczności, i prosi nas, żebyśmy się przyjrzeli, co nam przypomina jego poprzednie pobyty w ośrodkach terapeutycznych, a co wygląda inaczej. Prosi też całą naszą trójkę, żebyśmy się zastanowili, co chcielibyśmy osiągnąć podczas tego weekendu. Życzy nam powodzenia.

Nic, Vicki i ja jemy razem lunch. Jedzenia jest mnóstwo. Tamales, sałatki, owoce. Nic zjada miskę płatków.

Po lunchu prowadzi nas do sali w innym budynku, w której dwie ściany są pokryte drewnianymi panelami, a na dwu pozostałych białych ścianach znajdują się prace plastyczne zrobione przez pacjentów. Płytki na podłodze są spłowiałe, niektóre wybrzuszają się. Pachnie tu kawą, która przez cały ranek grzała się na ogniu.

Czekają na nas krzesła ustawione w krąg.

Zerkam na Vicki. Od ponad dwudziestu jest dziennikarką, ale kiedy się poznaliśmy, pracowała w przychodni dentystycznej w San Francisco. Przychodnia znajdowała się poniżej redakcji świeżo założonego pisma „New West", w którym byłem zastępcą redaktora. To moja pierwsza praca po skończeniu college'u. Wystrój przychodni był podporządkowany ideom New Age; chodziło o sztukę dentystyczną, która miała sprawiać przyjemność, nie ból. Miejsce było przestronne, o wysokim, sklepionym suficie, wspartym na odsłoniętych, z grubsza oheblowanych belkach. Z siatki przecinających się metalowych linek zwisały włoskie lampiony; do tego cała dżungla paproci zawieszonych w doniczkach. Do uszu pacjentów przez słuchawki sączyła się muzyka – Vivaldi, na płytach Windham Hill – przez maski wdychali tlenek azotu. Vicki nosiła biały kitel, na drukowanej sukience od Laury Ashley. Miała jasnobłękitne oczy i starannie uczesane włosy. Niedawno przyjechała z Memphis, gdzie miała jakiegoś wuja, który był dentystą, co w jakiś sposób pomogło jej znaleźć pracę w roli asystentki dentystycznej. Dopiero za czwartym razem udało jej się zrobić poprawnie moje zdjęcie rentgenowskie, ale pomyślałem, a co tam, ponieważ pod wpływem tego gazu byłem bardzo zadowolony, a do tego bar-

dzo mi się podobało, że tak kołysze się nade mną. Pobraliśmy się rok później. Miałem dwadzieścia trzy lata – czyli dokładnie tyle, ile teraz ma Nic. Czek wysłany do pastora ślicznego białego kościoła okazał się bez pokrycia. Oprócz nas w Half Moon Bay było tylko dwoje naszych przyjaciół. Nie widzieliśmy ich od tamtej pory. Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata, a trzy tygodnie temu skończyłem pięćdziesiątkę. Moje włosy nie są już szpakowate, tylko białe. Zupełnie jak u mojego ojca, białe jak bawełna.

Krzesła powoli się zapełniają. Rozglądam się wokół kręgu. Pacjenci i ich rodzice, w jednym przypadku brat, zaczynamy.

Zajęcia prowadzi dwóch terapeutów. Jeden ma ciemne włosy, drugi to jasny blondyn, obaj noszą szaliki, obaj mają miłe, intensywne spojrzenie. Mówią na zmianę, omawiają podstawowe zasady i oczekiwania.

Myślę, to wszystko bzdura. Przerabiałem już to, już tutaj byłem, i nic dobrego z tego nie wynikło.

Najpierw mamy wypełnić jakiś kwestionariusz. Każde z nas. Zabieram się do pracy. Po upływie pół godziny na przemian odczytujemy nasze odpowiedzi. Jedna z matek w odpowiedzi na pytanie „Jaki jest problem twojej rodziny?" stwierdza: Nie sądziłam, że mamy jakieś problemy, ale przypuszczam, że gdybyśmy ich nie mieli, nie byłoby nas tutaj. Uważałam, że mamy dobrą rodzinę". – Zaczyna płakać. Jej córka kładzie rękę na kolanie swojej mamy. – „Naprawdę mamy dobrą rodzinę".

Jeszcze raz znalazłem się w sali pełnej ludzi podobnych do mnie, zranionych przez uzależnienie i nierozumiejących, co się dzieje – pogubionych i zaplątanych w poczucie winy, pełnych gniewu, przytłoczonych i przerażonych.

A potem przychodzi pora na terapię sztuką.

Sztuka jako terapia!

Przeszedłem już za dużo, żeby teraz siedzieć na podłodze i malować palcem razem z Nikiem i moją byłą żoną. Aż się cały gotuję wewnątrz. Po co ja tu przyjechałem? Co ja tu robię?

Dostajemy wszyscy kawałek papieru, w przypadku naszej rodziny podzielonego na trzy, klinowato zakończone części. Nic, Vicki i ja siedzimy na podłodze wokół tego papieru, w trójkącie. Trójkąt.

Zgodnie z poleceniem zabieram się do rysowania. Wybieram kredę. Led-

wo zacząłem coś smarować kredą po papierze.

Ogrzewanie jest ustawione maksymalnie. Tu nie ma czym oddychać.

Vicki za pomocą akwarel maluje śliczną scenę, plażę czy coś w tym rodzaju. A ja dalej się wściekam. Maluje zachód słońca. Jasny, lekko błękitny, zamglony. Narysowała śliczny obrazek, jak gdybyśmy byli tutaj podczas jakichś rodzinnych zajęć artystycznych w przedszkolu Nica, gdzieś pod błękitnym niebem, wśród zielonych pól. Ale wtedy zerkam na trzecią część papieru, należącą do Nica. Za pomocą tuszu rysuje serce. Nie z walentynki, nie serce Kupidyna, ale mięsień, tkankę z naczyniami krwionośnymi łączącymi je z aortą, serce jako pompę bijącą wewnątrz ciała. Jego ciała. Do aorty jest przyczepiona twarz, a potem więcej twarzy, pod różnymi kątami, z malującą się na nich wściekłością, rozpaczą, przerażeniem, twarze skręcone z bólu. Rysuję coś swoją kredą. Zrobiłem grubą linię biegnącą z dołu kartki w górę, jakaś rzeka płynąca ku górze, a potem rozlewa się, płynie w stronę dwóch górnych rogów strony. Naciskam tak mocno, że kreda się kruszy, zamienia w proszek.

O co tu chodzi, to strata czasu. A teraz Vicki ma – zaczyna się – ciemną rozwodnioną czerń na swoim pędzlu, śliczne, jasnobłękitne niebo znika, pokryte wodnistymi plamami rozmazanej czerni i szerokimi gestami pędzla. Nic zaczyna coś pisać, jakieś słowo, „przepraszam", dwa słowa, „was", pisze je raz po raz, pisze je jeszcze raz, pisze je znowu. Nie może, nie potrafi, wydaje się, że nie może przestać ich pisać. To nonsens, tania próba – to nie jest nonsens, on próbuje z dręczącą desperacją, którą czuję, jak emanuje z niego, coś powiedzieć, coś, czego nie potrafi z siebie wyrzucić.

Łatwo zapomnieć, że nawet jeśli dla nas to jest niebywale trudne, dla niego jest znacznie trudniejsze.

Mój rysunek – teraz są tam jakieś krople, łzy spadające z dwóch gałęzi, odnóg tej rzeki i sześciu kręgów ponad nią. I wtedy do mnie dociera – narysowałem, jak otwiera się mój mózg i to wszystko, co w nim jest – łzy, ból, krew, wściekłość, przerażenie. Zepsuta walizka z tymi kręgami, jej zawartość – ja, poprzedni ja – to wszystko się wysypuje.

Jego matka zrobiła niewielką czerwoną plamę pośrodku i teraz z niej kapie – tam także krew.

Nic ciągle pisze „Przepraszam was", a mnie zbiera się na płacz. Nie, myślę, nie pozwól mu na to. Nie możesz wypuścić go jeszcze raz. Nie możesz wypu-

ścić go jeszcze raz.

Po kolei, rodzina po rodzinie, opisujemy to, co znajduje się na naszych kartkach i co czuliśmy, kiedy tak pracowaliśmy obok siebie. Czerwień na rysunku Vicki to nie krew, to czerwony balon, którego pragnie się chwycić, żeby zabrał ją, uniósł z dala od czarnej burzy. Nic patrzy na nią i mówi, jakie to niesłychane, że ona tu jest. Patrzę na nią i widzę, że tak, ona tu jest. Patrzę na Nica. Oto Nic razem ze swoimi rodzicami. Ogarnia mnie smutek, przygniatający smutek, że ona tak wiele przeszła, że Nic przeszedł tak wiele, a potem ja, my, i jestem udręczony, czując ten smutek, udręczony, czując… Och, Nic, tak mi przykro, ja także przepraszam, tak mi strasznie przykro.

Nic mówi, że w pracy, jaką tutaj wykonuje, nie chodzi o to, żeby znalazł usprawiedliwienie dla swojego życia na haju, dla swojego szaleństwa, i nie chodzi o to, żeby kogokolwiek obwiniać. Chodzi o leczenie się. Jego terapeuci powiedzieli mu, że musi przepracować to, co sprawia, że krzywdzi samego siebie, naraża na niebezpieczeństwo, odwraca się od przyjaciół, którzy go kochają, wścieka się na swoich rodziców i inne osoby, które go kochają, wścieka się na siebie, próbuje siebie zniszczyć. Jest uzależniony, jest narkomanem, ale dlaczego? Pomijając ślepy traf takiej, a nie innej, puli genowej, o co tu chodzi? Chcą, żeby się z tym wszystkim zmierzył, dzięki czemu będzie mógł się wyleczyć i pójść dalej.

Członkowie innych rodzin opowiadają o swoich rysunkach, o tym, co czuli, pracując nad nimi. A potem komentujemy nawzajem swoje wypowiedzi. Jedna z dziewczyn, przyjaciółka Nica, opowiada, jak bardzo różne od siebie są obrazy namalowane przez naszą rodzinę i jak intensywny jest każdy z nich. Dodaje, że serce Nica prowadzi w stronę naczyń krwionośnych, a mój strumień kredy wygląda jak pęknięta arteria.

Jakoś tak się dzieje, że zaczynam płakać. Czuję rękę Nica na swoim ramieniu.

Kiedy wychodzimy z sali tuż przed zachodem słońca, potężny księżyc unosi się nisko ponad górami. Patrzę na niego i rozumiem, że nie wiązałem nadziei z tym nowym programem, nie dlatego że nie mam nadziei, że zadziała, i nie dlatego, że on nie może zadziałać, ale dlatego, że jestem przerażony tym, że mógłbym jeszcze raz mieć nadzieję.

Wchodzę do księgarni kupić książkę Zadie Smith *Białe zęby*. Chcę znaleźć jakąś kryjówkę na dzisiejszy wieczór, chcę się ukryć w cudzej opowieści. Już w motelu pierwszą rzeczą, na jaką trafiam, jest motto zaczerpnięte z powieści E.M. Forstera *Where Angels Fear to Tread*. Odczytuję je raz po raz. „Każda błahostka wydaje się dziś, nie wiedzieć czemu, nieskończenie ważna, i kiedy mówi się o czymś, że »nic z tego nie wynika«, brzmi to jak bluźnierstwo. Nigdy nie wiadomo – może tak to ujmę – które z naszych przedsięwzięć lub które z zaniechań będzie dla nas miało nieskończone konsekwencje”[16]. Prawie się trzęsę. Myślę, jak bardzo nie zdajemy sobie sprawy z naszych błędów i jak bardzo jesteśmy za nie odpowiedzialni.

Tu chodzi o leczenie się, nie obwinianie. Ale czy można zostawić je za sobą? W pewnym momencie Vicki przyznaje, że nosiła w sobie tyle złości do mnie, że czuła się, jakby dźwigała plecak pełen cegieł.

– To wielka ulga, kiedy czujesz, że już go nie nosisz – mówi.

Jednak po którymś z jej komentarzy podczas naszej sesji grupowej pytam:

– Chyba dalej masz tam kilka cegieł?

– Tak, możliwe że jeszcze tam są – przyznaje.

Ale teraz jesteśmy razem, zjednoczeni w jednym z najbardziej pierwotnych ludzkich odruchów, usiłujemy uratować nasze dziecko.

Terapeuta mówi, że podczas tego weekendu nie chodzi o obwinianie kogokolwiek, ale o to, żeby zostawić za sobą wiecznie tlący się resentyment. Jakiś ojciec z naszej grupy mówi:

– To działa jakbyś zażył truciznę i czekał, że umrze ktoś inny.

Rankiem ponownie jadę do ośrodka leczenia uzależnień. Tym razem Nic jest w T-shircie New York Art Academy, w dżinsach z rozszerzanymi u dołu nogawkami i postrzępionymi mankietami i w jakiejś wielobarwnej kurtce. Ma nisko nasuniętą na oczy, wełnianą czapkę, zrobioną na drutach. Pijemy kawę.

Dzisiaj rodziny mają wspólną sesję terapii grupowej. To sytuacja, w której czuję się niepewnie – terapia grupowa w obecności licznej publiczności. Ale przyznaję, że wypowiedzenie tego, co myślę, przynosi ulgę. Kiedy Nic zaczyna mówić, przepływają przeze mnie rozmaite emocje – niepokój, lęk, wyczer-

panie, gniew, smutek, poczucie winy – a potem pojawiają się wybuchy dumy i niebezpieczne rozbłyski pamięci o tym, co przeżywaliśmy razem, i o miłości. Pragnę otworzyć się i wysłuchać Nica, uwierzyć mu, ale nie mam ochoty zburzyć tej kruchej tamy, jaką sobie zbudowałem, aby chronić samego siebie. Boję się, że utonę.

Jestem beznadziejny, skoro zastanawiam się nad tym, czy otworzyć się na ideę leczenia. A jednak… Nagle przypominam sobie, jak modliłem się o Nica. Po prostu sięgnąłem pamięcią wstecz i uświadomiłem sobie, że się modliłem. O co się modliłem? Nigdy nie powiedziałem: „Przestań brać narkotyki". Nigdy nie powiedziałem: „Trzymaj się z dala od metamfetaminy". Mówiłem: „Błagam, Boże, ulecz Nica". Modliłem się: Błagam, Boże, ulecz Nica. Błagam, Boże, ulecz każdą nieszczęsną osobę w tej sali, wszystkie kochane, nieszczęsne osoby na tej planecie, tych kochanych, zranionych ludzi. Rozglądam się wokół i patrzę na nich. Są dzielni. Są tutaj. Jakkolwiek się tu dostali, są tutaj. Są tutaj, a więc jest szansa.

Podczas ostatniej sesji ostatniego dnia terapeuci mówią nam, żebyśmy pomyśleli o przyszłości. Przyszłość. Jest pełna niebezpieczeństw. Staramy się ją zarysować. Dosłownie. Terapeuci rozdali wszystkim rodzinom duże płachty papieru; w lewym, dolnym rogu znajduje się rysunek przedstawiający kawałek terenu – to miejsce, gdzie się teraz znajdujemy – oraz w prawym górnym rogu kształt reprezentujący cel naszej wędrówki. Między nimi widać niewielkie okręgi, kolejne etapy wiodące do celu.

Instrukcje. Pokażcie, gdzie jesteście dziś. I dokąd chcecie dotrzeć. Pokażcie kroki – konkretne kroki – jakie możecie zrobić, aby się tam znaleźć. Pomyślcie o następnych kilku miesiącach i o reszcie waszego życia.

– Acha – mówi terapeuta – a reszta powierzchni papieru to moczary. Aby z miejsca, gdzie teraz jesteście, dotrzeć do miejsca, gdzie chcecie dojść za pomocą tych kamieni leżących na drodze, musicie uniknąć niebezpieczeństw kryjących się na moczarach. Pokażcie, jakie czyhają tam na was pułapki.

Nic nie ma problemu w opisaniu tych zagrożeń za pomocą czerwonego markera. Jest ich tak wiele – wszystkie stare błędy, nawyki, pokusa, jaką stanowią narkotyki. Rysuję igłę do zastrzyków. Na naszym papierze jest tak wiele czerwieni, że trudno znaleźć miejsce, żeby coś zapisać na niewielkich kręgach, kamykach, po których mamy zrobić kolejne kroki. Te kamienie wy-

dają się takie małe, tak niepewne w porównaniu z całą resztą. Ale to na nich Nic zapisuje plan dla naszej rodziny, i własny plan. Opisuje, jak powoli pójdziemy naprzód. Jak będziemy się nawzajem wspierać, a nie sobie przeszkadzać. Kolejne kroki opisane przez Nica obejmują AA i inne rodzaje pracy nad sobą, które jak ma nadzieję, pomogą mu naprawić relacje z innymi. Wspomina o Karen i zerka na mnie. „Naprawdę kocham Karen" – mówi. – Jesteśmy przyjaciółmi. Tęsknię za nią". Z myślą o Jasperze i Daisy: „Wiem, że to zajmie sporo czasu". Ma wiele do napisania. Kiedy mapa jest gotowa, widać wyraźnie, że zadania, jakie czekają jego matkę i mnie, nie są bez znaczenia – cofnąć się, wspierać go, ale pogodzić się z tym, że dochodzenie przez Nica do zdrowia będzie jego dochodzeniem do zdrowia, w miarę jak będziemy pracować nad zbudowaniem zdrowych, jak je opisuje, relacji, pełnych miłości i wsparcia, ale także niezależności. Większość najtrudniejszej pracy spada na barki Nica, ponieważ te wszystkie zagrożenia czyhają na niego, grożąc upadkiem. Te zagrożenia, opisane wyraźnymi, czerwonymi znakami, są zabójcze, wszechobecne i złowrogie. To moczary, i będzie potrzeba cudu, aby Nic bezpiecznie je pokonał. Zerkam na matkę Nica i patrzę na niego. Jesteśmy tutaj razem, we trójkę, i myślę „To jest cud. Czy to za wiele, mieć nadzieję, że inne też się zdarzą?".

Lecę do domu. Czuję się, jak gdyby ktoś przerżnął mi na pół klatkę piersiową i zrobił serię nacięć od obojczyka do każdej łopatki, a potem z powrotem. Przebił się na południe przez środek mojej klatki piersiowej i żołądek, tuż powyżej podbrzusza, a potem zrobił więcej horyzontalnych nacięć od czubka jednej kości miednicy do drugiej. A potem rękami w chirurgicznych rękawiczkach sięgnął w głąb tego mięsa i odciągnął je na bok, z jednej strony, a potem z drugiej, zrywając więzadła, mięśnie, skórę, w taki sposób, że teraz leżę z jelitami na wierzchu.

To uczucie nie słabnie. Jestem znowu w domu. Karen pojechała z Daisy do ortodonty, jestem więc sam z Jasperem grającym na gitarze (nazywa to „brzdąkaniem"), do jakiejś piosenki, którą nagrywa z pomocą programu Garage Band. Dodaje bębny, inne instrumenty perkusyjne i syntetyzator. Następnie nagrywa swój głos, improwizując jakieś zabawne słowa. W charakterze refrenu powtarza „pączki", jak gdyby chodziło o finał jakiejś operetki. Kiedy ta dość oszalała kompozycja jest gotowa, wypala ją na CD.

Pora zawieźć go na trening drużyny lacrosse'a. Po drodze słuchamy jego

utworu, a potem White Stripes. Kiedy docieramy na boisko, wyskakuje z samochodu, wciąga swój kostium i biegnie do kolegów.

Stoję na boku. Chłopcy, w kostiumach przypominających gladiatorów, wydychają w chłodnym powietrzu kłęby pary, niczym smoki. Biegają za niewielką, białą piłeczką, łapią ją do koszyków umieszczonych na końcach kijów, podają ją sobie po całym boisku.

Mam w kieszeni komórkę, ale jest wyłączona, sytuacja niegdyś nie do pomyślenia. Jak zauważył nasz terapeuta rodzinny, telefon łączył mnie z Nikiem i na każdy dźwięk ostrego dzwonka moje serce podskakiwało, jakby ktoś podłączył do niego defibrylator. Najwyraźniej nasze serca podrywały się w podobny sposób. Każda rozmowa karmiła moje coraz silniejsze, obsesyjne skupienie na obietnicy, że usłyszę uspokajające słowa: u Nica wszystko w porządku, albo potwierdzenie, że jest inaczej. Moje uzależnienie od jego uzależnienia nie służyło nikomu. Uzależnienie Nica stało się dla mnie czymś o wiele ważniejszym niż reszta życia. Jak mogłoby być inaczej, jeśli twoje dziecko walczy na śmierć i życie? Teraz jestem we własnym programie dochodzenia do zdrowia z mojego uzależnienia od jego uzależnienia. Ta ciężka praca odbywa się podczas psychoterapii, ale obejmuje także różne praktyczne kroki, jak choćby wyłączanie komórki.

Po zajęciach, razem z Jasperem idziemy do sklepu sportowego. Wyrósł ze swoich ochraniaczy i potrzebuje nowych. Aby za nie zapłacić, wykorzystuje kartę podarunkową, która została mu ze świąt Bożego Narodzenia. Kiedy stoi przy kasie i usiłuje wyjąć kartę ze swojego portfela, jakiś kawałek papieru wylatuje mu na ziemię.

– Co to jest? – pytam Jaspera, kiedy schyla się, żeby go podnieść.

– List, który Nic do mnie napisał.

Szybko składa go z powrotem i umieszcza w portfelu.

Teraz dzieci śpią. Leżymy z Karen w łóżku i czytamy. Brutus biegnie przez sen. Odkładam książkę, starając się zrozumieć dokładnie to, co teraz czuję. Rodzice uzależnionych uczą się przykręcać swoją nadzieję, nawet jeśli nigdy kompletnie jej nie tracą. Jednak przeraża nas optymizm, boimy się, że zostaniemy ukarani. Bezpieczniej jest pozbyć się oczekiwań. Ale ja znowu jestem otwarty, i w konsekwencji czuję ból oraz radość przeszłości, martwię się

o przyszłość i mam nadzieję. Wiem, czym jest to, co teraz czuję. Wszystko.

Epilog

Och, co teraz zrobisz, błękitnooki synu mój?

Och, co teraz zrobisz, najdroższy synu mój?

– Bob Dylan *A Hard Rain's A Gonna Fall*

Ha Jin pisze: „Niektórzy wielcy ludzie wychodzą ze swoich cierpień wzmocnieni i oczyszczeni, pragnąc nawet bardziej smutku niż szczęścia, zgodnie ze słowami van Gogha, który powiedział: Smutek jest lepszy niż radość, czy Balzaca, który twierdził: Cierpienie jest nauczycielem człowieka. Ale takie maksymy odnoszą się jedynie do dusz niezwykłych, nielicznych wybrańców. W przypadku zwykłych ludzi, jak my, nadmiar cierpień może jedynie sprawić, że staniemy się bardziej zawistni i szaleni, bardziej małostkowi i bardziej nieszczęśliwi".

Nie jestem wielkim człowiekiem, ale nie czuję się bardziej zawistny, szalony, małostkowy czy bardziej nieszczęśliwy. Zdarzały się okresy, w których tak było, ale teraz czuję się bardzo dobrze, przynajmniej na ogół.

Nic skończył trzymiesięczny program w Santa Fe i terapeuci doradzali mu, aby zdecydował się na kolejny w północnej Arizonie, gdzie mógłby kontynuować dochodzenie do zdrowia, a jednocześnie znaleźć jakieś zajęcie i udzielać się jako wolontariusz. Ale Nic powiedział: nie.

– Wiem, że będziesz się martwił, ale muszę zająć się własnym życiem – wyjaśnił mi. Próbował też mnie pocieszyć. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Nie, nie możesz tego zrobić – powiedziałem w pierwszej chwili. Potem przypomniałem sobie, że to jego życie.

Nic złapał autobus jadący na wschód. Pojechał zobaczyć się z przyjacielem, którego poznał podczas pobytu w ośrodku. Po przerwie znowu zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Teraz kontaktujemy się dość regularnie. Nic poznał kogoś nowego. To studentka, zajmuje się sztuką. Zamieszkali razem. On pracuje w jakiejś kawiarni i podaje kawę bezkofeinową (jak mówi), jeśli jakiś klient o nią prosi. I znowu pisze. Pracuje nad swoją książką. Ma teraz więcej do powiedzenia o tym, jak trudno zachować trzeźwość.

Rozmawiamy o naszym pisaniu, życiu i najświeższych wiadomościach, o przeczytanych książkach, o muzyce i filmach (*Mała miss*!).

Obliczam, że minął już – chyba rok, odkąd wyjechał z Los Angeles. O ile wiem, od roku znowu jest trzeźwy. Czy po tym wszystkim ufam mu, że zachował trzeźwość? Czy wypieram to wszystko, przez co przeszliśmy? Czy ignoruję fakt, jakie to jest i będzie trudne? Na pewno nie. Ale mam nadzieję. Nadal w niego wierzę.

Bezpośrednio po swoim pobycie w szpitalu narzekałem, że nie wykorzystałem czegoś, co, jak sobie wyobrażałem, mogło być pewną korzyścią z otarcia się o śmierć – to znaczy doświadczenia najwyższej nagrody: tego, że nadal żyję. Często słyszałem i czytałem opowieści osób, które po wyjściu cało z takiej opresji mówiły, że wyniosły ze swojej tragedii jakąś niezwykłą mądrość. Ich życie kompletnie się odmieniło, stało się prostsze, czemu towarzyszyło wyraźne poczucie, co jest w życiu ważne. Potrafili na nowo docenić wartość życia. Ale ja zawsze je ceniłem. W efekcie mój wylew krwi do mózgu sprawił, że stało się dla mnie bardziej niepokojące, budzi większy lęk. Dowiedziałem się, że tragedia może dotknąć każdego z nas – a także naszych dzieci – w każdej chwili i bez ostrzeżenia.

Jednak zbyt pospiesznie wydałem swój osąd. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Podobnie jak istnieją etapy żałoby lub umierania, muszą także istnieć etapy przeżywania traumatycznego doświadczenia, ponieważ z czasem dotarły do mnie nauki, jakie mogłem wyciągnąć z pobytu na oddziale intensywnej terapii neurologicznej.

W grudniu skończyłem pięćdziesiąt lat. W tym okresie rozmawiałem z psychoterapeutą o ostatnich wydarzeniach. Kiedy mu powiedziałem, że neurolodzy całkowicie odrzucili pogląd, że mój wylew mógł mieć jakiś związek z przeżywanym przeze mnie stresem, popatrzył na mnie chwilę dłużej i powiedział: „No cóż, na pewno ci to nie pomogło". Przypomniał mi, że zanim głowa dosłownie mi pękła, często czułem się, że może eksplodować. Przez wiele lat stale martwiłem się o Nica. Racjonalizowałem swoje reakcje: żaden, obdarzony sumieniem, rodzic dziecka uzależnionego od narkotyków nie może zbyt długo czuć się szczęśliwy. Byłem wdzięczny za chwile ulgi – kiedy wydawało się, że radzi sobie lepiej, a przynajmniej kiedy nic złego się z nim nie działo. W tym czasie starałem się, jak mogłem, cieszyć się życiem.

Dzięki Karen, Jasperowi, Daisy i reszcie mojej rodziny oraz przyjaciołom przeżywałem chwile wytchnienia, nawet jeśli były one krótkie.

Doktor zwrócił uwagę na to, że mogłem dokonać innego wyboru. Nie odwołując się do idei ruchu AA czy Al-Anon, zasadniczo wrócił do modlitwy o spokój ducha. Mogłem raz na zawsze pogodzić się z tym, że są rzeczy, których nie mogę zmienić, zdobyć się na odwagę zmieniania rzeczy, które zmienić mogę, oraz wykazać się mądrością, aby dostrzegać różnicę między nimi. Kluczową rolę odgrywał ten drugi człon. Czy miałem odwagę, aby zmienić rzeczy, które mogłem zmienić?

– Próbowałem – odparłem. – Próbowałem przez wiele lat.

– Najwyraźniej nie próbowałeś wystarczająco mocno.

Psychoterapeuta spytał mnie, dlaczego chodziłem na terapię raz w tygodniu. Powiedziałem, że nie miałem czasu albo pieniędzy na więcej.

Jeśli chodzi o finansową wymówkę, stwierdził:

– Gdyby w ciągu minionych kilku lat ktoś ci powiedział, że Nic potrzebuje bardziej intensywnego leczenia, aby dojść do zdrowia, czy znalazłbyś jakiś sposób, żeby za to zapłacić?

– Tak – przyznałem.

– Czy jego zdrowie psychiczne jest ważniejsze niż twoje?

Zrozumiałem, o co mu chodzi.

Jeśli chodzi o czas poświęcany na psychoterapię, spytał:

– Ile czasu warto poświęcić na to, aby położyć kres czyimś cierpieniom? Ile czasu tracisz teraz przez swoje cierpienie? Omal nie umarłeś. Masz teraz pięćdziesiąt lat. Jak chcesz spędzić resztę życia? To zależy od ciebie.

Mój krwotok do mózgu ostatecznie sprawił, że zacząłem bardziej doceniać – niż się jej obawiać – głęboką prawdę ukrytą w oczywistości: czas, jaki mamy w życiu, jest skończony. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, posłuchałem przesłania lekarza i zacząłem robić wszystko, co w mojej mocy, aby uwolnić się od obsesyjnego martwienia się o Nica. Jego nie mogłem zmienić, mogłem zmienić tylko siebie. Zamiast więc skupiać się dochodzeniu przez Nica do zdrowia, od tamtej pory skoncentrowałem uwagę na sobie.

Wróciłem na mityngi Al-Anonu. Chodziłem także dwa razy w tygodniu

na psychoterapię i po raz pierwszy w życiu położyłem się na kozetce u psychoanalityka. Różnica okazała się głęboka – to jak rozmontowywanie wielopoziomowej budowli z klocków Lego, w której kryją się schowane pomieszczenia i poddasza, rozmontowywanie jej cegła po cegle, przyglądanie się każdej z nich – drobiazgowy, często przerażający proces. Dowiedziałem się przy tej okazji, że w którymś momencie skupianie uwagi na nieustającym kryzysie w życiu Nica stało się dla mnie bezpieczniejsze niż skoncentrowanie się na sobie. Bezpieczniejsze okazało się nawet narażenie się na niemal zabójczy krwotok do mózgu.

Każdy, kto chodzi na intensywną psychoterapię wie, że choć to nie jest łatwe, taki wysiłek może przynieść korzyści zmieniające życie. Odkrywałem całe pokłady poczucia winy i wstydu, co może pomóc wyjaśnić, dlaczego tak chętnie byłem gotów przyjąć na siebie odpowiedzialność za uzależnienie Nica – prawdę mówiąc za jego życie. W rezultacie wszystkie pozostałe klisze z Al-Anonu i ośrodków leczenia uzależnień nie brzmią już jak banały. Nadal nie jestem w stanie w pełni zaakceptować pierwszego punktu (nie spowodowałeś tego). Dostrzegam jednak, że nigdy się nie dowiem, jak bardzo mogłem się przyczynić do powstania jego problemów czy wręcz je spowodować. Niedawno w „New York Times Magazine" syn dziennikarza Billa Moyersa, William C. Moyers, który sam zmagał się z uzależnieniem, napisał: „Dochodzenie do zdrowia (…) polega na zmaganiu się z tą dziurą w duszy". Ale co spowodowało tę dziurę? Nikt tego nie wie. Tak bardzo nie zdajemy sobie sprawy z naszych błędów, ale jesteśmy za nie odpowiedzialni. Przyznaję, że popełniłem straszliwe błędy, wychowując Nica. Nie zamierzam siebie z nich rozgrzeszać, nawet teraz.

Pogodziłem się z pozostałymi dwoma punktami. Nie mogę nad tym zapanować i nie mogę tego wyleczyć. „Mimo wszystkich wylanych łez i cierpień oraz rozpaczliwie dobrych intencji większość rodzin osób uzależnionych ostatecznie ponosi porażkę", pisze Beverly Conyers. „Osoby uzależnione nadal pogrążają się w autodestrukcyjnych zachowaniach, tkwią w uzależnieniu aż do chwili, gdy coś W NICH SAMYCH – coś zupełnie niezależnego od wysiłków wszystkich innych ludzi – zmieni się na tyle radykalnie, że pragnienie bycia na haju osłabnie i ostatecznie zostanie przezwyciężone przez pragnienie lepszego życia". Ale czym innym jest czytać te słowa, a czym innym ewoluować w taki sposób, aby naprawdę je zaakceptować. Jestem pewny, że zrobiłem wszystko, co mogłem, aby pomóc Nicowi. Teraz wszystko zależy od

niego. Godzę się z tym, że muszę pozostawić go samemu sobie, a on poradzi sobie ze swoim życiem albo sobie nie poradzi. Wyobrażam sobie, że Nic także może poczuć ulgę na myśl, że przestałem dążyć do przejęcia kontroli nad jego dochodzeniem do zdrowia. Dzięki temu powstają warunki dla powstania między nami związku zupełnie innego rodzaju – takiego, jaki starał się mi pokazać w Santa Fe. Zamiast związku opartego na współzależności i braku granic, dzięki czemu mogłem próbować kontrolować jego życie – nawet po to, aby go uratować – nasz związek może przekształcić się w relację opartą na niezależności, akceptacji i współczuciu. Związek, w którym istnieją zdrowe granice. Miłość jest czymś, co się dostaje.

Krwotok do mózgu pomógł mi zrozumieć tę różnicę. To było coś, o czym wiedziałem na płaszczyźnie intelektualnej, ale co dotarło do mnie także w inny sposób i teraz wiem to na poziomie emocjonalnym. Moje dzieci będą żyły ze mną lub beze mnie. Rodzicom trudno pogodzić się z tym, ale dzięki temu możemy ostatecznie pozwolić im dorosnąć.

Szkoda, że nie udało mi się wcześniej tego zrozumieć.

Gdyby tylko rodzicielstwo było czymś łatwiejszym. Ale nigdy tak nie będzie. Gdyby tylko życie było łatwiejsze. Ale nie jest – i już do tego nie dążę. Kiedyś mocno pragnąłem, żeby wszystko stało się prostsze, ale ten sposób patrzenia na świat kompletnie się załamał podczas zmagań z uzależnieniem Nica i w następstwie mojego pobytu na oddziale intensywnej terapii. Przy tej okazji dowiedziałem się jeszcze jednego: okazało się, że potrafię się pogodzić – prawdę mówiąc, przyjmuję to z ulgą – z faktem, że świat jest pełen sprzeczności, że wszystko jest w nim, mniej lub bardziej, szare i nic nie jest po prostu czarne ani białe. Jest w nim wiele dobra, ale aby cieszyć się pięknem i miłością, człowiek musi znosić to, co bolesne.

Nauczyłem się także kilku rzeczy, jeśli chodzi o kwestie praktyczne. Odkąd rozeszła się wiadomość, że nasza rodzina przechodzi przez to wszystko, zaczęli się do nas odzywać przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, przyjaciele przyjaciół przyjaciół oraz nieznajomi. Najwyraźniej ludzie nadal sięgają po mój artykuł, ponieważ ciągle przychodzą listy od czytelników. Wydaje się, że każda nowo poznana osoba znajduje się w środku jakiejś wersji piekła uzależnienia, własnego albo swoich dzieci, małżonka, rodzeństwa, rodzica albo przyjaciela. Często pytają o radę. Ale nawet teraz moje rady mogą mieć bardzo ograni-

czony charakter.

Zgadzam się z podstawowym zaleceniem wszystkich racjonalnych kampanii antynarkotykowych: rozmawiajcie z waszymi dziećmi o narkotykach wcześnie i często. W innym wypadku pozostawiacie edukację komuś innemu. Czy powinniście szczerze i otwarcie mówić o własnych doświadczeniach z narkotykami? To jednostkowa decyzja, ponieważ każdy rodzic i każde dziecko są niepodobni do innych. Zadbałbym starannie o to, żeby nigdy nie gloryfikować narkotyków czy alkoholu, i zawsze brałbym pod uwagę wiek dziecka. Nigdy nie przekazywałbym mu więcej informacji, niż potrafi w swoim wieku zrozumieć. Ale ostatecznie nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, czy w ogóle, i jak wiele opowiecie im o własnych doświadczeniach. Inne rzeczy liczą się o wiele bardziej.

W jakim punkcie jestem dziś w tej kwestii, jeśli chodzi o moją własną rodzinę? Sądzę, że dzieci nie muszą i nie powinny znać wszystkich osobistych szczegółów waszego życia, ale nigdy nie skłamałbym i uczciwie będę odpowiadał na ich pytania. Wcześniej czy później Jasper i Daisy przeczytają tę opowieść. Nie zaskoczy ich – to jest również ich życie. Cały czas rozmawiamy nie tylko o Nicu, ale także o narkotykach, presji ze strony rówieśników oraz innych sprawach w ich życiu. Dowiedzą się o doświadczeniach ich ojca z narkotykami i jaką miały cenę. Już znają historię swojego brata.

Dla rodziców najważniejsza jest jednak odpowiedź na pytanie, w jakim momencie ich dziecko przestaje jedynie eksperymentować, być typowym nastolatkiem, w jakiejś fazie życia albo rytuale przejścia do dorosłości. Ponieważ nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, doszedłem do wniosku, że wolałbym się pomylić i interweniować raczej za wcześnie niż za późno – nie czekając, aż dziecko zacznie bezwiednie ściągać niebezpieczeństwo na siebie albo na innych. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że żałuję, że nie zmusiłem Nica – kiedy był nieletni i mogłem zgodnie z prawem go do tego zmusić – do poddania się długotrwałemu programowi leczenia uzależnień. Wysłanie dziecka – a także dorosłego, jeśli już o to chodzi – na terapię, zanim jest na to gotowy i nie potrafi zrozumieć zasad rządzących dochodzeniem do zdrowia, może nie zapobiec ponownemu sięgnięciu po narkotyk, ale z tego co widziałem, nie może też zaszkodzić, a raczej pomóc. W dodatku okres wymuszonej abstynencji w okresie nastoletnim, kiedy człowiek się kształtuje, jest czymś o wiele lepszym niż spędzenie tego samego czasu pod wpływem narkotyków. Przymusowa terapia, w ramach dobrego

programu, trzyma dziecko chociaż przez okres terapii z dala od narkotyków. Ponieważ im mniej człowiek zdążył zażyć, tym łatwiej jest mu przestać, im dłużej pozostaje w terapii, tym lepiej.

Gdzie rodzic powinien wysłać swoje dziecko? Na jaki rodzaj programu? Choć takie programy mogą pomóc dzieciom, byłbym ostrożny w stosunku do programów obejmujących elementy surowej dyscypliny. Nie chodzi o to, że nie rozumiem pragnienia, aby wysłać dziecko na obóz, na którym obowiązuje dyscyplina wojskowa. Rodzice dają za wygraną i mówią: „Zróbcie coś z moim dzieciakiem". Jednak nie ma żadnych przekonujących dowodów na to, że takie obozy czy podobne programy pomagają dzieciom, mogą natomiast im zaszkodzić. Na zlecenie amerykańskiego Krajowego Instytutu Sprawiedliwości (National Institute of Justice) przeprowadzono swego czasu ocenę obozów o wojskowym drylu, organizowanych w ośmiu stanach, którą podsumowano następująco: „Najczęściej spotykane elementy obozów o zaostrzonym rygorze, takich jak dyscyplina w stylu wojskowym, ćwiczenia fizyczne i ciężka praca, nie zmniejszają poziomu recydywy". W raporcie przygotowanym przez Koch Crime Institute z Kansas stwierdzono, że „lęk przed umieszczeniem w obozie o wojskowym drylu, nie odstraszał badanych od popełnienia przestępstw" i trzy czwarte badanych dzieci w ciągu roku po pobycie w takim obozie ponownie ma kontakt z jakąś formą ograniczenia wolności. Na swojej stronie internetowej Amerykańskie Stowarzyszenie Zdrowia Psychicznego (National Mental Health Association) donosi, że „stosowanie strategii zastraszania i upokarzania w przypadku większości młodych osób przynosi efekty przeciwne do zamierzonych", „w przypadku osób, które mają za sobą pobyt w obozie o wojskowym drylu występuje większe prawdopodobieństwo, że zostaną ponownie aresztowane albo aresztowane szybciej niż sprawcy innych przestępstw". Wskazuje także na znacznie poważniejszy problem, związany z obozami o wojskowym rygorze, w których dochodzi do wielu „przypadków niepokojących nadużyć". W 1998 roku w stanie Georgia Amerykański Departament Sprawiedliwości przeprowadził śledztwo, które doprowadziło do sformułowania wniosku, że „model paramilitarnych obozów treningowych jest nie tylko nieskuteczny, ale także szkodliwy". Nie licząc kilku przypadków śmierci i nadużyć, w takich obozach „powstaje niebezpieczna sytuacja, która często wyrządza uczestnikom szkody psychiczne", oświadczył Mike Riera, psycholog i autor wielu publikacji, znany ze swojej pracy z nastolatkami, z którym spotkaliśmy się w sprawie Nica. „Jeśli

gniew i dezorientacja, stojące za problemami dziecka, zostaną zepchnięte pod ziemię, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że przybiorą patologiczny charakter, przejawiając się w postaci niezdolności do utrzymywania relacji z innymi albo aktów przemocy, depresji lub prób samobójczych. A zatem nadużycia prowadzą do kolejnych nadużyć".

Co więc robić? Słyszałem opowieści o udanym leczeniu od ludzi, którzy wysłali dzieci na różnego rodzaju programy – zamknięte, otwarte, czterotygodniowe w stylu Ohlhoff Recovery, szpitala Świętej Heleny, Sierra Tucson, Hazelden oraz setki innych; albo trzymiesięczne programy na pustyni; sześciomiesięczne, jak te, które oferuje Ohlhoff, Hazelden i inne ośrodki terapeutyczne w całym kraju; a także trwające cały rok programy powiązane z nauką w szkole średniej lub obejmujące dalszą edukację po ukończeniu szkoły średniej. W przypadku wielu uzależnionych długotrwały pobyt w społeczności zachowującej trzeźwość, takiej jak Herbert House, zmienił ich życie – to znaczy uratował im życie. Nie ma jednej prostej odpowiedzi, ponieważ nikt nie wie, co dokładnie pomoże konkretnej jednostce. Trudno uzyskać w tej kwestii wiarygodną pomoc specjalistów, ale zabiegałbym o nią. Domagałbym się też drugiej i trzeciej opinii. Rozmawiałbym z lekarzami, psychoterapeutami, psychologami w szkołach i poza szkołą – upewniwszy się wcześniej, że mają doświadczenie w kwestii problemów narkotykowych oraz uzależnienia od alkoholu. Zastanawiałbym się nad ich radami, cały czas pamiętając o tym, że to nie jest nauka ścisła i każde dziecko, każda rodzina są niepodobne do innych.

Niemal w każdym przypadku wysłanie dziecka do ośrodka terapeutycznego wbrew jego woli, okazało się najtrudniejszą decyzją, jaką rodzice kiedykolwiek musieli podjąć. Matka jednego z przyjaciół Nica ze szkoły podstawowej opowiadała mi, że wynajęła jakiegoś człowieka, żeby porwał jej siedemnastoletniego syna, który brał metamfetaminę i był dilerem. Wyszkoleni profesjonaliści schwytali chłopaka i zawieźli go, skutego w kajdankach, na trzymiesięczny program przetrwania na pustyni. Ta kobieta płakała przez trzy dni. Po skończeniu tego programu jej syn wrócił do narkotyków tylko raz, ale teraz twierdzi, że jej interwencja uratowała mu życie.

Słyszałem podobne opowieści na mityngach AA, na które chodziłem razem z Nikiem. Uzależnieni wracający do zdrowa przypominali sobie okres w życiu, w którym rodzice zorganizowali interwencję i zmusili ich do podjęcia leczenia. „Nienawidziłem ich w tym momencie. Uratowali mi życie". Słyszałem

także o niepowodzeniach. „Próbowałem, ale mój syn zmarł". W przypadku uzależnienia nie można zagwarantować jakiegokolwiek rezultatu. Statystyki są tu niemal bez znaczenia. Nigdy nie wiadomo, czy twoje dziecko znajdzie się wśród tych dziewięciu albo siedemnastu, albo czterdziestu lub pięćdziesięciu procent osób, którym naprawdę się udało. Zarazem jednak statystyki są użyteczne – działają trzeźwiąco. Informują, że przeciwnik jest potężny i chronią przed irracjonalnym optymizmem.

Czasami, kiedy Nic wracał do narkotyków, obwiniałem jego psychologów, terapeutów, ośrodki rehabilitacyjne i oczywiście samego siebie. Z perspektywy czasu zrozumiałem, że dochodzenie do zdrowia to proces długotrwały. Nawet jeśli miał nawroty, kolejne programy leczenia przerywały cykl zażywania narkotyków. Bez nich możliwe że już by nie żył. A teraz ma szansę.

To prowadzi do następnego pytania. Tak, pomógłbym mojemu dziecku wrócić do ośrodka terapeutycznego po kolejnym powrocie do brania narkotyków. Nie jestem pewien, jak wiele razy. Raz, dwa razy, dziesięć razy? Nie wiem. Niektórzy eksperci nie zgodzą się ze mną. Będą doradzali, aby w ogóle nie pomagać uzależnionym. Uważają, że osoba uzależniona musi dojść do zdrowia o własnych siłach. Mogą mieć rację w przypadku niektórych dzieci. Na nieszczęście nikt nie wie tego na pewno.

Nauczyłem się także kilku innych rzeczy. Ośrodki leczenia uzależnień nie są najlepsze, ale to najlepsze, co mamy. Leki mogą pomóc niektórym uzależnionym, ale nie można oczekiwać, że zastąpią terapię i trwającą cały czas pracę nad powrotem do zdrowia. Nie pomagałbym osobie zażywającej narkotyki w żaden inny sposób, oprócz pomocy w powrocie do leczenia. Nie płaciłbym za nią czynszu, nie wykupywałbym jej z aresztu, o ile bezpośrednio stamtąd nie pojedzie do ośrodka terapeutycznego, ale nawet wtedy nie płaciłbym za nią kaucji, nie spłacałbym jej długów i nigdy nie dawałbym żadnej gotówki.

W 1986 roku Nancy Reagan, która zainicjowała antynarkotykową kampanię pod hasłem: „Po prostu powiedz nie" („Just say no") wypowiedziała sławne zdanie: „Nie istnieje żadne moralne stanowisko pośrednie. Obojętność to nie jest rozwiązanie. (…) Dla dobra naszych dzieci błagam was wszystkich, bądźcie nieustępliwi i trwajcie przy swoim sprzeciwie wobec narkotyków".

Nie znam żadnej dojrzałej osoby, która opowiadałaby się za używaniem narkotyków takich jak metamfetamina. Musimy jednak rozumieć złożony

świat, w którym dorastają nasze dzieci, i pomóc im najlepiej, jak tylko potrafimy.

Ludzie mówili do Nica: „Po prostu przestań".

Nauczyłem się, że to nie jest takie łatwe.

Ludzie mówili mi, żebym dał sobie spokój i przestał się zamartwiać, ponieważ nic nie mogę zrobić. „Wyrzuć to z siebie". Nigdy mi się to nie udało. Ostatecznie przekonałem się, że muszę wykonać ciężką pracę, aby spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy, ponieważ nie pomaga ani uzależnionemu, ani pozostałym członkom rodziny, ani tobie – kiedy ta sprawa staje się jedyną ważną rzeczą w twoim życiu. Moja rada: zrób wszystko, co niezbędne – terapia, mityngi Al-Anonu, mnóstwo Al-Anonu – żeby się z tym uporać. I bądź cierpliwy wobec siebie samego. Pozwól sobie na robienie błędów. Bądź wyrozumiały dla siebie i szczególnie kochający wobec małżonka albo partnera. Nie skrywaj sekretów. Jak często powtarzają na spotkaniach AA, jesteś tak chory, jak twoje sekrety. Choć to nie jest rozwiązanie, otwartość przynosi ulgę. Opowiadanie innym naszych historii pomaga pamiętać, przez co sami przechodzimy. Uzależnieni potrzebują nieustających przypomnień i wsparcia i to samo dotyczy ich rodzin. Pomaga także czytanie historii innych. Pomaga pisanie, przynajmniej mnie pomogło. Gdybym był malarzem, jak Karen, starałbym się namalować wszystko, przez co przechodziłem. Ona często malowała. Ja pisałem.

Nie jestem już całkowicie zaabsorbowany Nikiem. To się może zmienić, ale w tym momencie przyjmuję do wiadomości, a nawet się z tego cieszę, że on żyje po swojemu. Oczywiście zawsze będę miał nadzieję, że zachowa trzeźwość. Mam nadzieję, że łącząca nas relacja nadal będzie stawała się coraz zdrowsza, ze świadomością, że to się może wydarzyć, tylko pod warunkiem że będzie trzeźwy.

Co się stało z moimi zmartwieniami? Staram się je sobie wyobrażać w pewien sposób. Artysta Chuck Close powiedział raz: „Przytłaczała mnie całość". Nauczył się więc rozkładać obrazy na sieć drobnych kwadratów, bo z nimi potrafił sobie poradzić. Malując po jednym kwadracie za każdym razem, Close tworzy fascynujące portrety o wielkich rozmiarach. Mnie także często przytłaczała całość, ale nauczyłem się zamykać zmartwienia związane z Nikiem w jednym albo dwu kwadratach, w ramach pewnej siatki, która pojawi-

łaby się na obrazie, gdyby Close miał namalować moje życie. Dotykam ich od czasu do czasu. A kiedy tak robię, przepływają przeze mnie najróżniejsze emocje, ale już mnie nie przytłaczają.

Czasami nadal wpadam w przerażenie na myśl o przyszłości, ale znacznie rzadziej niż kiedyś. Lepiej sobie radzę z tym wyzwaniem, jeśli podejmuję problemy po kolei. Nie wszystkie naraz. To może brzmieć nazbyt prosto, ale to najgłębsza myśl, jaką znam. Nadal się martwię, co się stanie z Nikiem za pięć lat, za dziesięć – a także z Jasperem i Daisy, jeśli już o to chodzi – ale potem wracam do dnia dzisiejszego.

Dzisiaj.

Jest czerwiec. Urodziny Daisy. Skończyła dziesięć lat. Dziesięć! To także dzień zakończenia roku w ich szkole – Daisy przechodzi do piątej klasy, Jasper do siódmej.

W tym roku podczas uroczystości przejścia do następnej klasy dzieci śpiewają piosenkę na melodię *I Believe in Love,* do której ułożyły słowa z pomocą nauczycieli. Gra World Beat Band. „Czwarta klasa to były drzwi – śpiewa Daisy razem z kolegami – a wiedza to do nich klucz. Fiesta była fantastika. Śpiewaliśmy w harmonii. Złote hrabstwo i Dni Ohlone cieszyły nas. Skończył się czwartej klasy czas. Jesteśmy teraz piątoklasistami, idziemy naprzód. Wierzę w muzykę. Wierzę w miłość…"

Wstaje rocznik Jaspera i śpiewa swoją zwrotkę: „Szósta klasa to była ciężka praca, wycieczka na Angel Island trochę napędziła nam stracha. Starożytny Egipt, Chiny i greccy filozofowie, ale nic tak naprawdę nie rymuje się z Mezopotamią. Wierzę w muzykę. Wierzę w miłość…".

Wieczorem nasz cotygodniowy obiad u Nancy i Dona kręci się wokół uroczystości zakończenia roku szkolnego, urodzin Nancy i Daisy, a także mojej rocznicy. Dokładnie rok temu miałem krwotok do mózgu.

Dzieciaki bawią się w kuchni, grając w „chińskie warcaby" z Nancy, która ciągle przegrywa i nie może się z tym pogodzić. „To nie fair", marudzi, kiedy Jasper znowu zwycięża.

Jasper, Daisy i ich kuzynka ciągną na długim sznurze stary wózek do przewożenia mebli. Po kolei wożą się na nim po mieszkaniu, zupełnie jak gdyby to było narciarstwo wodne. Jeździec w wózku bierze ostre zakręty wokół sa-

lonu. W kuchni Nancy wrzuca garść posiekanej szalotki do rondla ze stopionym masłem. Kiedy jest chrupiąca i brązowa, dodaje czerwonego octu winnego, miesza, a potem zostawia sos, aby doszedł, pyrkocząc na małym ogniu, i wychodzi na taras. Spoglądając w stronę drzew, wydaje zabawne, ptasie dźwięki. Wrony i jaskółki zlatują się na krakersy.

Don wspina się ścieżką z ogrodu po skończonym podlewaniu. Ma ze sobą kieszonkowe radio ze słuchawkami. Dzieciaki wbiegają do kuchni, a za nimi wpada banda szczekających psów, w tym także Brutus, który powoli stara się nadążyć za innymi. Nancy zrobiła udziec jagnięcy w sosie octowo-szalotkowym, a do tego biała fasola z jarmużem, świeżym tymiankiem i czosnkiem. Brat Karen kroi mięso. Na deser jej siostra upiekła ciasto cytrynowe z bladoróżową, błękitną polewą oraz malutkimi małpkami, słonikami i niedźwiadkami, w których znajdują się świeczki. Śpiewamy *Happy Birthday* Daisy i Nancy, które zdmuchują świeczki. Potem Jasper, siedzący obok mnie przy stole, mówi: „Nie mogę uwierzyć, że już jest lato".

Lato. Surfujemy w Santa Cruz. Jesteśmy tu z przyjaciółmi podczas spokojnego dnia na półwyspie Pleasure Point. Fale są nieduże, więc większość miejscowych wyjadaczy została w domu. Ale takie jedwabiste, łagodnie załamujące się fale są idealne dla dzieci. Woda jest przejrzysta i ciepła. Siedząc na swojej desce i czekając na następną falę, korzystam z okazji i na moment zaglądam do sieci kwadratów w mojej głowie, ale rezygnuję, dochodząc do zajmowanych przez Nica. Spędziliśmy tutaj razem tak wiele czasu.

W drodze do domu, w górę wybrzeża, Jasper wybiera CD. Podobnie jak Nic, kiedy był młodszy, w tym momencie uwielbia Becka i wręcza mi *Midnite Vultures,* żebym wsunął do odtwarzacza. Samochód jest zapiaszczony, wszyscy jesteśmy zapiaszczeni i przewiani solą, morskie powietrze napływa przez otwarte okna, Beck śpiewa – a Jasper i ja razem z nim. Daisy jest niezadowolona i prosi, żebyśmy ściszyli muzykę. Patrzę w stronę błękitnego oceanu, tak mocno czuję Nica.

W domu Jasper siedzi z Daisy na tarasie i ją pociesza. Jest przygnębiona, ponieważ oglądała wideo na temat globalnego ocieplenia. „Czuję się, jakbym stała przed ścianą, a jakiś potężny potwór powoli zbliżał się w moją stronę, chcę go powstrzymać, ale nie mogę" – opowiada. Ma łzy w oczach. – „Chciałabym tam polecieć i zaszyć tę dziurę w warstwie ozonowej". Jakby tego było

mało, usłyszała również, że Pluton nie jest już uważany za planetę. „Biedny, mały orzeszek", mówi ocierając łzę. Ale wkrótce otrząsa się ze smutku związanego z Ziemią i Plutonem, ponieważ Jasper zaczyna reżyserować wspólnie przez nich napisaną sztukę, w której oboje występują, zatytułowaną *Queen Mean*.

Siedzę w swoim gabinecie i piszę, gdy przychodzi mejl od dziewczyny Nica. Dołączyła do niego kilka fotografii z ich ostatniej wyprawy. Nic ma teraz dłuższe włosy, nosi duże okulary przeciwsłoneczne, czapkę z daszkiem, czarny T-shirt i spodnie rozszerzane od kolan. Stoi na brzegu jakiejś rzeki. Przed gejzerem w Parku Narodowym Yellowstone. Uśmiecha się – to radosny uśmiech.

Rankiem ogród jest zanurzony w delikatnej mgle. Karen wstała wcześnie, żeby zawieźć Daisy na trening pływacki. Jasper jest na górze i brzdąka na gitarze. Dzwonię do Nica, żeby się przywitać. Rozmawiamy chwilę. Słyszę jego głos – brzmi jak Nic, mój syn, znowu. Co będzie dalej? Zobaczymy. Zanim odkłada słuchawkę, mówi:

– Powiedz Karen, Jasperowi i Daisy, że ich kocham.

A potem dodaje, że musi iść.

Posłowie

W ciągu dziesięciu lat, które upłynęły od publikacji książki, odezwały się do mnie tysiące osób. Wśród nich było wielu uzależnionych albo tych, którzy kochali kogoś, kto zażywa narkotyki. Podobnie jak ja w chwili, gdy to wszystko się zaczęło, czuli się osamotnieni i przestraszeni. Wielu z nich mówiło mi, że moja opowieść stała się dla nich źródłem pocieszenia i zachęciła do dzielenia się własną historią z innymi.

Zanim napisałem książkę, powstał artykuł dla „New York Times Magazine". Przed wysłaniem tekstu dałem go najpierw do przeczytania pewnej przyjaciółce, która po lekturze ostrzegła mnie, żebym go nie publikował. Powiedziała, że ludzie w szkole Jaspera i Daisy zaczną patrzeć na naszą rodzinę inaczej, a nawet inaczej traktować nasze dzieci. Zaczną nas osądzać. Przygotowałem się więc na najgorsze. Artykuł się ukazał i co? Jak myślicie?

Jeśli nawet były jakieś negatywne opinie na nasz temat w szkole czy gdzie indziej, nigdy o nich nie słyszałem ani ich nie odczułem. Zobaczyłem natomiast coś zupełnie innego. Niezwykły przypływ troski, pragnienia pomocy, współczucia i ludzkiej dobroci. Poczułem się niezwykle blisko związany z ludźmi, których nawet nie znałem. Kiedy pewnego dnia przechodziłem przez szkolny dziedziniec, tuż po publikacji artykułu, mama jednego z uczniów, nieznana mi, chwyciła mnie za ramię i odciągnęła na bok. Płakała, zanim zdołała wykrztusić słowo. Wychowała się w rodzinie alkoholika. Martwiła się o swojego syna, wówczas ucznia ósmej klasy, ponieważ przyłapała go na paleniu marihuany. Do tej chwili nikomu o tym nie mówiła.

Jeden z ojców opowiadał mi, że jego córka znajduje się w ośrodku terapeutycznym z powodu uzależnienia i zaburzeń związanych z jedzeniem. W pewnej chwili głos mu się załamał i zaczęły mu się trząść dłonie. Opowiedział mi to wszystko szeptem, jakby było coś wstydliwego w tym, że twoje dziecko cierpi na poważną chorobę. Od czasu publikacji książki słyszałem tysiące takich historii. Związane z nimi szczegóły za każdym razem sprawiają, że serce mi pęka, ale czuję się zaszczycony, że mogłem wysłuchać każdej z nich.

Anne Lamott radzi: „Staraj się nie porównywać swoich wewnętrznych odczuć z tym, jak inni zachowują się na zewnątrz". Innymi słowy, może wydawać się, że wszyscy radzą sobie świetnie, a ich dzieci po prostu płyną przez życie. Ale nikt nie płynie przez życie bez wysiłku.

Kiedy opowiadamy innym o naszych zmaganiach, czujemy ogromną ulgę i pocieszenie. Otrzymujemy pomoc. Przypominamy sobie przy tej okazji, że życie jest ciężkie dla wszystkich. Wszyscy jesteśmy związani przez nasze cierpienie i wzajemne wsparcie.

Czytelnicy pisali do mnie także dlatego, ponieważ czuli się tak samo, jak ja przez te wszystkie lata, gdy Nic zażywał narkotyki: rozpaczliwie potrzebowali pomocy. Niektórzy z nich czuli się przytłoczeni myślą, że mają wychowywać dzieci w kulturze, w której narkotyki są dostępne na wyciągnięcie ręki. Zadawali mi pytania, jak uchronić dzieci przed narkotykami i jak położyć kres zażywaniu przez nie narkotyków, kiedy już do tego doszło, i w jaki sposób zapobiec temu, aby początkowe doświadczenia z narkotykami nie przekształciły się w uzależnienie. Podobnie jak ja, nie mieli pojęcia, do kogo się zwrócić po pomoc i większość z nich musiała się zmierzyć z katastrofalnym amerykańskim systemem leczenia uzależnień.

Na użytek pracy nad książką, którą napisałem po *Moim pięknym synu*, zatytułowaną *Clean: Overcoming Addiction and Ending America's Greatest Tragedy*, nadal prowadziłem swoje badania na temat uzależnień i dowiedziałem się, że dziewięćdziesiąt procent osób, które potrzebują pomocy, nigdy jej nie dostaje. W przypadku osób uzależnionych prawdopodobieństwo, że wylądują w więzieniu, jest znacznie większe niż że znajdą się w ośrodku terapeutycznym. Osoby, którym uda się uzyskać pomoc specjalistów, trafiają do niefunkcjonalnego systemu, w którego obrębie niemal nie sposób się poruszać. Niezależnie od tego, czy usiłują pomóc komuś, kogo kochają, czy szukają pomocy dla siebie, większość w chwili gdy po raz pierwszy stykają się z tym systemem, przeżywa głęboki kryzys. Paraliżuje ich lęk, a mimo to muszą w tej niezwykle dramatycznej dla siebie sytuacji podejmować jedną z najbardziej skomplikowanych i najważniejszych decyzji swojego życia.

Ponieważ nie wiedzą, do kogo się zwrócić, szukają pomocy w internecie. Wyszukiwanie, za pomocą Google Search, programów leczenia uzależnień od narkotyków daje około siedemdziesięciu trzech milionów rezultatów. Różne programy obiecują cudowne efekty i sztucznie nadymają swoje współczynniki skuteczności. Wiele stron internetowych, które jawią się jako źródło obiektywnej, rzetelnej informacji, stanowi w rzeczywistości zakamuflowaną reklamę programów terapeutycznych, przy czym koszt niektórych z nich sięga pięćdziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie.

Poszukujący pomocy zwracają się o radę do specjalistów, ale niewielu z nich wie, jaki program polecić. Ludzie często postępują więc tak, jak sam robiłem na początku, czyli polegają na opiniach przyjaciół przyjaciół – ale z całą pewnością to nie jest właściwa droga, która pozwoli nam dotrzeć do metody leczenia poważnej, potencjalnie zabójczej choroby.

Jak napisałem w *Clean*… „Oczywiście wiele osób zaleca ośrodki leczenia uzależnień, ale czym jest, ściśle rzecz biorąc, taki ośrodek? Nie ma żadnej standardowej definicji: to dość ogólnikowy termin, obejmujący rozmaite rodzaje poczynań terapeutycznych, w tym także wiele takich, które są szkodliwe. Niektóre ośrodki leczenia uzależnień uciekają się do stosowania gróźb i brutalnych, upokarzających kar. Niektórymi z nich kierują „eksperci" z własnego nadania, niedysponujący żadnym specjalistycznym wykształceniem ani rekomendacjami, o ile nie liczyć faktu, że sami uwolnili się od uzależnienia. W wielu stanach USA każdy może otworzyć ośrodek terapeutyczny. Można nawet znaleźć w sieci poradniki pod tytułem *W jaki sposób otworzyć ośrodek leczenia uzależnień od narkotyków*. Niektóre programy są organizowane przez wyznawców kultów religijnych i wiele ośrodków aktywnie odrzuca formy terapii odwołujące się do wyników badań naukowych, w tym stosowanie takich leków, jak suboxone i metadon, mimo że z całą pewnością stanowią one najskuteczniejszy sposób leczenia uzależnień od opioidów".

„Często im więcej informacji ludzie otrzymują, tym bardziej robią się zdezorientowani (…) i stają się coraz bardziej rozczarowani, sceptyczni i nieufni, ponieważ większość proponowanych terapii to sklecony naprędce zbiór często bezużytecznych i czasami szkodliwych programów dochodzenia do zdrowia, nieopartych na wynikach badań naukowych, ale odwołujących się do tradycji, domysłów, myślenia życzeniowego i pseudonaukowych wierzeń, czasem graniczących z voodoo. (Słyszałem o pewnym programie, w którym twierdzono, że można wyleczyć uzależnienie za pomocą egzorcyzmów i pośmiertnej reintegracji)".

I wreszcie docierały do mnie pytania osób, które przeczytały moją opowieść do ostatniej strony i niepokoiły się o los Nica, ponieważ zakończenie książki nie rozstrzyga, jak jego losy się potoczą.

Osoby, które zadają takie pytania, bądź osobiście, bądź w listach albo prywatnych wpisach na Facebooku i Twitterze, starały się je formułować możliwie jak najbardziej taktownie i delikatnie. Czasami z góry przepraszając

mnie za swoją ciekawość, jak gdyby obawiały się, że mogą otworzyć jakąś ranę. Pytano mnie, czy Nic przeżył.

Dziękowałem wszystkim za to, że odezwali się do mnie i zapewniałem, że tak, udało się mu.

Niemniej nadal czekały mnie wyzwania. W 2010 roku, po dwóch latach trzeźwości, znowu sięgnął po narkotyki. Oczywiście, jak w przypadku wszystkich wcześniejszych nawrotów jego choroby, byłem przerażony i zrozpaczony, ale coś ważnego się zmieniło. Poprzednie nawroty szybko prowadziły do katastrofy i musiałem interweniować, jednak tym razem zdołał powstrzymać bieg wypadków o własnych siłach. Zorientował się, że to jest nawrót, uświadomił sobie, że potrzebuje pomocy, i sam zgłosił się do zamkniętego programu terapeutycznego. Stamtąd przeniósł się następnie do programu otwartej terapii.

W następstwie tego nawrotu razem z Karen wybraliśmy się z Nikiem na spotkanie z nowym psychiatrą. Doktor spędził z nim godzinę na rozmowie, a potem wezwał nas do gabinetu. Powiedział na głos to, czego się obawialiśmy: ostatni nawrót był dowodem, że uzależnienie Nica nadal stanowi dla niego poważne zagrożenie.

Jednak wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, że nawrót choroby jest elementem dochodzenia do zdrowia, psychiatra oświadczył, że nie powinniśmy traktować tego jako czegoś nieuchronnego. Powinniśmy raczej założyć, że istnieją powody powrotów Nica do narkotyków, kryjące się głębiej niż jego uzależnienie. Po czym spytał, czy możemy pokazać mu wyniki psychologicznych testów Nica.

Spytałem:

– Jakich testów psychologicznych?

Doktor popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Chce pan powiedzieć, że Nic przeszedł kilkanaście programów terapii uzależnień, spotykał się z tymi wszystkimi psychoterapeutami – też musiało być ich kilkunastu – i żaden z nich nie zrobił mu testów?

Żaden tego nie zrobił.

W tym momencie psychiatra wskazał na główny problem związany z le-

czeniem uzależnień: większość osób, które popadają w uzależnienie, cierpi na współistniejące zaburzenia psychiczne i ma za sobą jakąś postać traumy. Jeśli w terapii nie zajmiemy się tymi kwestiami, powroty stają się bardzo prawdopodobne.

Doktor zlecił testy, a ich rezultaty okazały się rozstrzygające: Nic cierpi na poważną chorobę afektywną dwubiegunową i depresję. Po rozwodzie wielokrotnie zabierałem go do psychoterapeutów, niektórzy z nich rozpoznawali u niego depresję oraz zaburzenia lękowe, ale żaden nie zauważył, jak intensywne są te dolegliwości, żaden nie poddał go testom ani nie zaproponował skutecznego leczenia.

Po otrzymaniu diagnozy Nic przeniósł się z powrotem do Los Angeles, gdzie zaczął pracować z pewnym psychiatrą nad leczeniem nie tylko uzależnienia, ale także swoich zaburzeń psychicznych. Nadal spotyka się z tą lekarką na sesjach psychoterapeutycznych i przyjmuje pod jej kontrolą przepisywane lekarstwa. Z wielkim nabożeństwem zażywa antydepresanty i leki stosowane w chorobie afektywnej dwubiegunowej, obok suboxone, leku, o którym wcześniej wspominałem, blokującego intensywne pragnienie opioidów i zapobiegającego ich przedawkowaniu.

Od tamtej pory nie miał ani jednego nawrotu.

Wiele razy zastanawialiśmy się z Nikiem, jak wyglądałoby jego życie, gdyby wcześniej, kiedy był młodszy, poddano go testom psychologicznym. Co by się stało, gdyby jego choroba została wtedy zdiagnozowana i leczona? Czy wtedy także uzależniłby się od narkotyków? A nawet gdyby tak się stało, czy jego uzależnienie przybrałoby tak skrajną postać? I czy okazywałby się równie niepodatny na leczenie? Czy nadal przeżywałby nawroty choroby?

Nie ma odpowiedzi na te pytania, ale obaj wierzymy, że gdyby postawiono mu odpowiednią diagnozę, kiedy był dzieckiem, albo we wczesnym okresie nastoletnim, oszczędziłoby to mu przynajmniej części, jak nie większości cierpień.

Podczas swoich poszukiwań dotyczących kwestii uzależnień natknąłem się na dowody świadczące o tym, że wiele osób sięga po narkotyki, żeby samemu wyleczyć się ze swoich problemów psychicznych. To wydaje się sensowne, że osoba cierpiąca na nieleczoną depresję i chorobę dwubiegunową, sięgnie po narkotyki. Kiedy Nic czuł się głęboko przygnębiony, poczucie euforii, jakie dawały mu narkotyki, nie było jedynie najprostszym remedium.

Było także jedynym, jakie mógł znaleźć. Kiedy odczuwał nieznośny lęk, zażywał narkotyki, aby złagodzić ból i strach. Kiedy przeżywał straszliwe wzloty i upadki nastroju, związane z chorobą dwubiegunową, sięgał po narkotyk, aby poczuć się zdrowym. Odkąd znalazł się pod stałą opieką lekarzy w związku ze swoimi zaburzeniami psychicznymi, nie sięga po narkotyki.

W chwili, gdy to piszę, jest czysty od ośmiu lat.

Sześć lat temu Nic się ożenił. Jego żona, Jette, była jego najlepszą przyjaciółką w szóstej i siódmej klasie. To ona była dziewczyną, o której wspominałem w *Moim pięknym synu*, opowiadając, jak zabrałem Nica i grono jego przyjaciół na plażę, a potem z powrotem do naszego domu, gdzie zostali na noc. Nazwałem ją Skye. „Mają już w ciele pewną wczesnonastoletnią niezdarność, która jednak znika, gdy zaczynają bawić się jak znacznie młodsze dzieci, koziołkując po piasku, siłując się i śmiejąc nieprzytomnie. Przed nadejściem zmroku jedziemy do domu, gdzie grają w „Twistera" oraz w „Prawda czy wyzwanie", podczas której padają ryzykowne pytania, jak choćby „Czy myślisz, że Skye jest ładna?" (Nic tak myśli. Skye ma brązowe włosy, duże oczy, kiedy ktoś przy nim wymieni jej imię, Nic oblewa się rumieńcem. Wieczorami długo rozmawia z nią przez telefon, czasami ponad godzinę).

Skye – *Jette* – jest teraz moją synową.

Nic nie widział Jette dziesięć lat, odkąd zaczął brać narkotyki i się od nich uzależnił. Podobnie jak wiele osób uzależnionych, zerwał kontakty ze swoimi przyjaciółmi, włączając w to Jette, zastępując ich innymi, którzy podobnie jak on sięgali po narkotyki.

Tak się złożyło, że Nic i Jette przyjechali w rejon Zatoki odwiedzić rodziców i wpadli na siebie podczas wernisażu wystawy Karen w galerii sztuki. Jedna z przyjaciółek, która widziała ich spotkanie po latach, podeszła wtedy do mnie i szepnęła mi do ucha: „Oni się pobiorą".

Rok później wzięli ślub.

Jasper był drużbą na ślubie Nica. Daisy zrobiła dla swojego starszego brata coś, czego nie zrobiłaby dla nikogo innego: włożyła różową sukienkę w kwiatki.

Mieszkają w Los Angeles. Nic pracuje jako pisarz. Oprócz dwu książek wspomnieniowych *Na głodzie* oraz *We All Fall Down* (Wszyscy upadamy) napi-

sał powieść i pracował jako scenarzysta przy kilku programach telewizyjnych. Czasami występuje publicznie, opowiadając o uzależnieniu i dochodzeniu do zdrowia, na spotkaniach ze studentami i nie tylko. Często występujemy razem.

Ale oczywiście Nic nie jest jedynym z moich dorosłych już dzieci. Jasper skończył dwadzieścia cztery lata, Daisy dwadzieścia dwa. Cała trójka mieszka blisko siebie, w odległości dwudziestu, trzydziestu kilometrów. Często wpadają do siebie do domu i spotykają się na kolacji albo chodzą do kina lub na plażę.

To wszystko brzmi jak szczęśliwe zakończenie koszmarnej historii uzależnienia, i to prawda. To, co chcę powiedzieć, niezależnie od tego, jak okropnie to brzmi, to że zwykle jest nadzieja. Ludzie zazwyczaj odzyskują zdrowie. Osobom w udręce chciałbym powiedzieć: uzależnienie to skomplikowana choroba, która często staje się jeszcze bardziej skomplikowana ze względu na współwystępujące z nią zaburzenia psychiczne. Życie z nią zawsze stanowi wyzwanie i czasami jest udręką. Ale te choroby można wyleczyć. A więc powtarzam: nie porzucajcie nadziei.

Zadrżałem, pisząc te słowa: „Nie porzucajcie nadziei". Bo kiedy je pisałem, w mojej głowie rozległa się kakofonia głosów i ujrzałem strumienie łez. To głosy oraz łzy osób, które spotykałem i z którymi korespondowałem, oni nie mają żadnej nadziei.

Codziennie odzywają się do mnie rodzice i inne osoby, które straciły kogoś najbliższego. Spotykam także ich, ludzi rozbitych. Dostrzegam to w ich oczach, zanim się odezwą. Pokazują mi fotografie i mówią: „On był światłem mojego życia" albo „Ona była moim aniołem". Kolejne dzieci zabite przez tę chorobę, ponieważ nigdy nie trafiły na leczenie, jakiego potrzebowały. Dla nich nie ma nadziei.

Czuję wdzięczność, że mój syn żyje, ale moje serce krwawi na myśl o innych rodzicach i dzieciach, rodzeństwie, partnerach, mężach, żonach, którzy stracili kogoś, kogo kochają.

Po napisaniu *Mojego pięknego syna* zamierzałem wrócić do pracy nad książ-

ką na temat biznesu. Jednak ze względu na ludzi, którzy stracili swoich ukochanych, nie mogłem. Wokół mnie było za wiele cierpienia. Te wszystkie zdruzgotane rodziny zmagały się ze strasznym problemem i prawie nikt o tym nie mówił. A kiedy nagle spada na nas uzależnienie, nikt nie wie, co ma zrobić. Zabrałem się więc do pracy, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o zażywaniu narkotyków i uzależnieniu, a także dlaczego ponosimy tak żałosną klęskę, starając się powstrzymać te plagi.

Efektem moich poszukiwań była książka *Clean*. Starałem się opowiedzieć w niej o tej katastrofie, ale także o postępach, skąd czerpię nadzieję na przyszłość. Opisałem zmianę paradygmatu zapobiegania uzależnieniom oraz ich leczenia, wyrastającą ze świadomości, że uzależnienie jest raczej chorobą niż skazą charakteru. Choć zmiany przebiegały powoli, widziałem, że coś się dzieje, dostrzegałem ewolucję od archaicznych prób zapobiegania i leczenia uzależnienia w stronę nowoczesnych metod opartych na wynikach badań naukowych.

Sądziłem, że obserwujemy poprawę, i tak też było. Niestety od tamtej pory sytuacja zmieniła się na gorsze.

W roku, gdy ukazał się *Mój piękny syn*, w Ameryce z powodu przedawkowania narkotyków zmarło trzydzieści sześć tysięcy osób. W 2013 roku, gdy pisałem *Clean* ta liczba wyniosła czterdzieści tysięcy. W 2017 roku zanotowano sześćdziesiąt cztery tysiące takich przypadków. Każdego dnia umiera sto siedemdziesiąt pięć osób – osiem w ciągu godziny. Przewiduje się, że w 2018 roku ta liczba wzrośnie jeszcze bardziej. Głównym winowajcą pozostają opioidy, w tym leki przeciwbólowe kupowane na receptę, takie jak oxycontin i vicodin, a także narkotyki sprzedawane na ulicach, takie jak heroina i fentanyl. Stanowią one główną przyczynę śmierci osób poniżej pięćdziesiątego roku życia. Więcej ludzi umiera z powodu przedawkowania opioidów niż w następstwie wypadków samochodowych, samobójstw czy z powodu jakichkolwiek innych nienaturalnych przyczyn. Jednocześnie, gdy uwaga społeczeństwa skupia się na kryzysie związanym z nadużywaniem opioidów, stale rośnie spożycie metamfetaminy i kokainy.

Za przypadkami przedawkowania opioidów stoi wiele przyczyn. Koncerny farmaceutyczne twierdziły, że produkowane przez nich opioidy nie uzależniają, i po części z tego powodu lekarze zbyt często je przepisywali. Nawet je-

śli przepisywano właściwe dawki, to dzieci mogły bez problemu znaleźć te środki w domowej apteczce rodziców. (Jeśli je macie, wyrzućcie albo zamknijcie je na klucz!) W wielu przypadkach osoba zażywająca środki przeciwbólowe, kiedy nie mogła zdobyć ich więcej, odkrywała heroinę i fentanyl – substancje o podobnym działaniu. Do tego tanie, co wyjaśnia gwałtowny wzrost ich użycia – oraz przypadków przedawkowania – tych substancji. Fentanyl jest pięćdziesiąt razy silniejszy niż heroina. Kolejnym źródłem niepokoju staje się opioid o nazwie karfentanyl – blisko sto razy silniejszy od fentanylu. Według „New York Timesa" ilość tej substancji mniejsza niż płatek śniegu może zabić człowieka.

Obecny kryzys ma korzenie w trwającej od połowy stulecia wojnie Ameryki z narkotykami.

Większość ludzi wie, że prezydent Nixon „odziedziczył" wojnę w Wietnamie, ale niewielu pamięta, że w 1971 roku zapoczątkował wojnę z narkotykami. Nie ulega wątpliwości, że ta wojna okazała się niepowodzeniem; kosztowała ponad bilion dolarów, a jednocześnie stale wzrastało spożycie narkotyków oraz towarzyszące mu zniszczenia i śmierć.

Można by się śmiać ze sposobu, w jaki administracja Stanów Zjednoczonych starała się uporać z tym problemem, gdyby nie przerażające konsekwencje. Nie liczę przypadków śmierci. Ale wystarczy pamiętać o tragediach związanych z zażywaniem narkotyków – przestępczości, wypadkach drogowych, samobójstwach, przemocy seksualnej, molestowaniu, przemocy domowej, chorobach spowodowanych alkoholem i narkotykami, aby dostrzec skalę tego problemu. Mimo to najczęściej pozostaje on ukryty.

Dzieje się tak dlatego, że w wielu przypadkach jako przyczynę śmierci, spowodowanej de facto przez uzależnienie, oficjalnie podaje się inny powód: samobójstwo, zabójstwo, wypadek, zawał serca, nadciśnienie, chorobę układu oddechowego, udar albo inny rodzaj krwotoku do mózgu, zapalenie wątroby i inne choroby zakaźne, HIV, AIDS. Ponieważ firmy ubezpieczeniowe mogą odmówić wypłaty ubezpieczenia z polisy na życie, jeśli przyczyną śmierci było nadużywanie alkoholu i narkotyków, lekarze i patolodzy sądowi robią pogrążonym w żałobie bliskim zmarłego „przysługę", podając bezpośrednią przyczynę śmierci – wypadek albo chorobę – zamiast wymienić stojącą za tym pierwotną przyczynę. Poza tym niezależnie od względów natury

praktycznej, uzależnienie zwykle pozostaje czymś utrzymanym w sekrecie, ze względu na związane z nim odium wstydu. W następstwie nagłej śmierci dziedzica fortuny pewnej bogatej rodziny ze Środkowego Zachodu, w relacjach prasowych podawano przyczynę śmierci wpisaną do aktu zgonu przez koronera: obrażenia odniesione podczas wypadku motocyklowego. Ani razu nie wspomniano o śmiertelnej dawce heroiny, jaka znajdowała się w krwiobiegu młodego człowieka.

Kiedy zaprzeczamy w ten sposób wszechobecności problemu uzależnienia, marginalizujemy i stygmatyzujemy jego ofiary. Według pewnego ogólnokrajowego badania „Twarz odzyskiwania zdrowia" jedna czwarta osób uzależnionych dochodzących do zdrowia miała problem ze zdobyciem pracy albo awansu, z uzyskaniem ubezpieczenia zdrowotnego. Siedem na dziesięć osób twierdziło, że odczuwa wstyd albo zakłopotanie w sytuacjach towarzyskich. W naszym społeczeństwie osoby uzależnione są postrzegane jako ludzie obciążeni jakąś skazą charakteru, a nie cierpiący na poważną chorobę. Często ignorujemy ich dolegliwości, z wyjątkiem przypadku, kiedy kryminalizujemy samo uzależnienie oraz niebezpieczne zachowania, do których może doprowadzić. W dodatku, ze względu na groźbę aresztowania i postawienia w stan oskarżenia, osoby uzależnione z mniejszym prawdopodobieństwem będą przyznawały się do swoich problemów, i poszukiwały leczenia we wczesnym etapie choroby. W efekcie choroba się rozwija, co zwiększa prawdopodobieństwo, że osoba uzależniona wejdzie w konflikt z prawem.

Epidemia nadużywania opioidów zmusiła wreszcie polityków do podjęcia problemu, jaki społeczeństwo amerykańskie ma z narkotykami, i niektórzy z nich przyznali, że podejście cechujące wojnę z narkotykami okazało się przeciwskuteczne. Prezydent Barack Obama nazwał wojnę z narkotykami „kompletną porażką". Jak pisałem w komentarzu redakcyjnym w gazecie „USA Today": „Jego administracja podkreślała znaczenie programów leczenia i zapobiegania, opartych na wynikach badań naukowych, które dowiodły, że uzależnienie jest pewną chorobą mózgu, mającą determinanty biologiczne, psychologiczne i środowiskowe".

Prezydent opowiadał się za wprowadzeniem szeroko zakrojonych ustaw, które umożliwiałyby finansowanie programów i badań dotyczących zdrowia psychicznego i uzależnienia. (...) Ustawa Affordable Care Act (ACA), jako dobra nowina dla osób cierpiących na zaburzenia związane z nadużywaniem substancji chemicznych, przewidywała obligatoryjne wprowadzanie do pla-

nów ubezpieczeniowych pokrywania kosztów leczenia w zakresie zdrowia psychicznego, w tym opieki nad osobami uzależnionymi, na równi z innymi chorobami".

Pisałem, że pierwszy prokurator generalny w administracji Obamy, Eric Holder, położył kres drakońskiemu ustawodawstwu obowiązkowego minimum, zmuszającego sędziów do wydawania wyroków skazujących, co doprowadziło do wypełniania więzień osobami skazanymi za przestępstwa narkotykowe niezwiązane ze stosowaniem przemocy. Główny specjalista do spraw polityki narkotykowej w administracji Obamy, Michel Boticelli, nawoływał do zastąpienia „nieskutecznej polityki i nieskutecznych praktyk" zapobieganiem, opartym na wynikach badań naukowych, oraz leczeniem i minimalizowaniem następstw. Dzięki lekarzowi generalnemu w administracji Obamy, Vivekowi Murthy'emu, opublikowano przełomowy raport dotyczący alkoholu, narkotyków i problemów zdrowotnych, w którym ogólnokrajowym priorytetem stały się programy zapobiegania i leczenia oparte na wynikach badań naukowych.

Donald Trump, jako kandydat na prezydenta, nazwał amerykański kryzys narkotykowy „problemem okaleczającym społeczeństwo". Powiedział, że „to jest epidemia, która nie zna granic i nie okazuje miłosierdzia i my wszyscy okażemy wielkie współczucie i zdecydowanie, kiedy wspólnie będziemy pracować nad tym ważnym zagadnieniem".

W komentarzu redakcyjnym pisałem: „Jednakże jako prezydent zasadniczo porzuca uzależnionych i ich rodziny".

Po wyborze na urząd prezydenta Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze, powołujące do życia prezydencką Komisję do walki z Uzależnieniem od Narkotyków i kryzysem związanym z zażywaniem leków na bazie opioidów. Komisja opublikowała swoją listę pięćdziesięciu sześciu zaleceń, obejmującą poszerzenie dostępu do leczenia, ale w chwili gdy ukazuje się to nowe wydanie *Mojego pięknego syna*, administracja prezydenta Trumpa nie przeznaczyła na ten program niemal żadnych środków. Prawdę mówiąc, Trump zaproponował obcięcie funduszu liczącego sześć miliardów dolarów, przeznaczonego na działalność niektórych agencji zajmujących się problemami z zażywaniem narkotyków i uzależnieniami.

Jak pisałem: „Prezydent jest zdecydowany rozmontować ACA, co powinno budzić niepokój tych Amerykanów, którzy spełniają diagnostyczne kryteria

uzależnienia jako choroby, oraz czterdziestu milionów regularnie nadużywających alkoholu i innych środków odurzających, którzy należą do grupy ryzyka i mogą wymagać jakiejś postaci leczenia. W dodatku (...) co najmniej trzydzieści siedem stanów usiłuje znieść ustawodawstwo wymagające od planów ubezpieczeniowych pokrywanie kosztów leczenia chorób psychicznych, w tym uzależnień".

Jednocześnie Trump wrócił do nieudanej polityki wojny z narkotykami. Prokurator generalny Jeff Sessions przywrócił obowiązek skazywania za posiadanie minimalnej ilości narkotyków. Oświadczył: „Musimy mieć możliwość aresztowania ludzi, wtedy można przerwać ich destrukcyjne nawyki. Wiele osób nigdy nie uwolniło się od uzależnienia. Ucieczką jest tylko grób".

Prawdę mówiąc, większość z nich mogłaby dojść do zdrowia, gdyby otrzymała właściwe leczenie. Jak pisałem: „Każda polityka, która prowadzi do wtrącania ludzi chorych do więzień, jest nieludzka i szkodliwa".

A tymczasem uzależnienie nadal niszczy rodziny i społeczności. Niemniej, kiedy uderza, ludzie zwykle są zaskoczeni. Zważywszy na ogrom cierpień, jakie powoduje, to zdumiewające, że my – jako zbiorowość – pod tak wieloma względami postępujemy niewłaściwie w walce z tą chorobą. Jesteśmy żałośnie nieskuteczni, gdy chodzi o edukację na temat nadużywania narkotyków i uzależnień. Jednodniowe lub tygodniowe sesje edukacyjne, obecne w programach szkolnych, tracą – pod względem wartości i czasu trwania – w porównaniu do sygnałów zachęcających do zażywania i nadużywania narkotyków. Zawodzimy także w kwestii zapobiegania, ponieważ nie potrafimy skutecznie diagnozować ani leczyć problemów psychicznych i społecznych, które tworzą podatny grunt dla uzależnień.

Stygmatyzacja i przesądy prowadzą także do ograniczenia wsparcia finansowego badań nad uzależnieniami i do ograniczenia dostępu do form leczenia opartych na badaniach naukowych. W rezultacie z uzależnieniem wiąże się stosunkowo słaba prognoza na wyleczenie, co jeszcze bardziej wzmacnia związaną z nim stygmatyzację. (Wiele osób sądzi, że osoby dotknięte uzależnieniem nie mogą wyzdrowieć, gdyby jednak otrzymały właściwe leczenie, okazałoby się, że to byłoby możliwe).

Osób uzależnionych, które zdołają znaleźć dobry program, często nie stać na leczenie. Mimo zapisów w ACA wymagających od firm ubezpieczeniowych pokrywania kosztów leczenia chorób psychicznych, w tym także zwią-

zanych z zażywaniem substancji chemicznych, na równi z innymi chorobami, rzadko zdarza się, aby w ramach tego rodzaju ubezpieczeń opłacano niezbędne formy leczenia. Dobrych programów terapeutycznych finansowanych z funduszy publicznych jest jak na lekarstwo.

W rezultacie niewielu uzależnionych ma szansę na długoterminową, wszechstronną opiekę. W chwili gdy szukają pomocy, jeśli w ogóle tak się zdarza, zwykle znajdują się w kryzysie, co sprawia, że jeszcze trudniej jest się leczyć, i koszty takiego leczenia są znacznie wyższe. W tej fazie choroby wielu z nich zachowuje się wojowniczo, okazuje złość, cierpi na depresję, a niektórzy nawet dopuszczają się aktów przemocy, więc lekarze, pielęgniarki, psychologowie i pracownicy społeczni nie zawsze chcą się nimi zajmować. Niektórzy opiekunowie przyznają, że woleliby spożytkować swoją energię, jak ujęła to pewna pielęgniarka, na „pacjentów, którzy potrafią to docenić, niż na opornych, którzy z dużym prawdopodobieństwem ponownie znajdą się na oddziale ratunkowym za tydzień, za miesiąc albo dwa".

Wojna z narkotykami nie była jedyną, jaką prezydent Richard Nixon obwieścił w 1971 roku. W swoim ówczesnym orędziu o stanie państwa ogłosił także wojnę z rakiem. „Poproszę o przyznanie funduszy (…) na uruchomienie intensywnej kampanii zmierzającej do znalezienia lekarstwa na raka. Nadszedł czas w Ameryce, gdy ten sam rodzaj skoncentrowanych wysiłków, dzięki którym udało się doprowadzić do rozbicia atomu i wysłania człowieka na Księżyc, należy zwrócić w stronę pokonania tej straszliwej choroby. Niech cały naród zjednoczy się z pełnym zaangażowaniem w dążeniu do osiągnięcia tego celu". Pod koniec 1971 roku podpisał ustawę National Cancer Act, stwierdzając przy tej okazji: „Mam nadzieję, że w najbliższych latach będziemy, z perspektywy czasu, postrzegali tę dzisiejszą decyzję, jako najbardziej znaczące działanie podjęte przez moją administrację".

Oczywiście nie udało się pokonać raka, ale chorobę, niegdyś stanowiącą wyrok śmierci, obecnie można leczyć. Częstotliwość występowania raka zaczęła spadać w 1990 roku i nieprzerwanie maleje. Od 2004 roku współczynnik śmiertelności z powodu raka zmniejsza się dwukrotnie szybciej niż w ciągu poprzednich dwóch dekad.

Sądzę, że potrzebujemy toczonej na wszystkich frontach wojny z uzależnieniem, wzorowanej na wojnie z rakiem. Możemy ocalić życie milionom osób i zaoszczędzić miliardy dolarów, marnowane obecnie z powodu samych

uzależnień oraz ich następstw.

Jak powinna wyglądać taka kampania? Podobnie jak wojnę z rakiem, trzeba ją odpowiednio skoordynować i należycie finansować, musi być wszechstronna, wieloaspektowa i długofalowa. „Wojna z rakiem zaowocowała napływem środków finansowych" na badania podstawowe, zauważa doktor Vincent DeVita, profesor medycyny w Yale Cancer Center. „Powstały dzięki niej programy wdrożeniowe i próby kliniczne. Wprowadzone regulacje prawne wyposażyły National Cancer Institute w wyjątkową autonomię w obrębie narodowych instytutów zdrowia, umożliwiając finansowanie i koordynowanie badań".

Wojna z uzależnieniem powinna obejmować wyasygnowanie znaczących środków na badania oraz podobne programy wdrożeniowe i próby kliniczne. Badacze mają setki obiecujących pomysłów na nowe leki, terapie poznawcze i behawioralne oraz leczenie łączące różne elementy, a tym samym obfity napływ pieniędzy do tej dziedziny badań powinien umożliwić znaczne poszerzenie zakresu badań i przyciągnąć do tego obszaru naukowców, którzy dowiedzą się więcej na temat mechaniki uzależnienia i opracują oraz poddadzą testom obiecujące metody leczenia.

Należy także przeprowadzić całościowy przegląd systemu leczenia. Podobnie jak dzieje się w przypadku lekarzy i szpitali, osoby praktycznie zajmujące się leczeniem uzależnień, i związane z tym programy, powinny być obowiązkowo licencjonowane, a następnie monitorowane. Programy, które oferują leczenie odbiegające od wymaganych standardów, powinny zniknąć z rynku. Opieka medyczna oparta na wynikach badań naukowych – w gabinetach lekarzy, a także w klinikach oferujących stacjonarne oraz otwarte programy – powinna być dostępna dla każdego, kto tego potrzebuje. Ubezpieczenia zdrowotne, w tym Medic Aid, muszą pokrywać koszty długoterminowej opieki wysokiej jakości.

Tymczasem można zaobserwować opór wobec niektórych z najskuteczniejszych metod leczenia, jakimi obecnie dysponujemy. Wspomniałem, że Nic zażywa suboxone, lek obniżający poziom narkotykowego głodu, blokujący powstawanie opioidowej euforii i zapobiegający przedawkowaniu. Ten lek, wraz z innymi medykamentami, stanowi z całą pewnością najbardziej skuteczną metodę leczenia uzależnienia od opioidów, jednak wiele ośrodków oferujących leczenie ignoruje dowody przemawiające na rzecz

jego skuteczności i odmawia jego stosowania.

I wreszcie, ostatnim elementem wojny z uzależnieniem powinno być zapobieganie, słowo klucz, nieustannie powtarzane w przypadku leczenia otyłości, chorób serca i wielu innych dolegliwości. Możemy zaoszczędzić miliony dolarów i ocalić życie wielu ludziom, jeśli będziemy interweniować wcześniej i zapobiegać rozwojowi uzależnienia oraz jego następstw. Zapobieganie uzależnieniom powinno obejmować rozpoznanie – i zmierzenie się z nimi frontalnie – czynników ryzyka, obejmujących problemy społeczne i psychologiczne oraz choroby psychiczne, które często prowadzą do uzależnienia.

Obok obniżenia liczby zachorowań i poziomu śmiertelności wojna z rakiem zmieniła także sposób postrzegania tej choroby i traktowania osób nią dotkniętych. Rak nie jest już wielkim „R", głęboko skrywaną tajemnicą, obarczoną wstydem. Trzeba więc zacząć myśleć o uzależnieniu, uwolnionym od stygmatyzacji, jako o poważnej chorobie, którą należy jak najwcześniej rozpoznać i wcześnie leczyć. To mogłoby być przełomowe osiągnięcie, najważniejsze ze wszystkich.

Czy możemy wyleczyć uzależnienie? I znowu, mimo czterdziestu pięciu lat intensywnych badań, wiele przypadków raka nadal opiera się leczeniu. Mimo to postępy, jakie zrobiliśmy, są ogromne. Przy okazji uwolniliśmy ludzi od niewyobrażalnych cierpień, zaoszczędziliśmy setki milionów dolarów i uratowaliśmy życie milionom osób. Wojna z uzależnieniem mogłaby osiągnąć to samo, a nawet więcej. Dzięki spadkowi liczby wizyt osób uzależnionych w szpitalnych oddziałach ratunkowych i zmniejszeniu liczby osób osadzonych w więzieniach moglibyśmy zaoszczędzić fundusze, które można by następnie przeznaczyć na leczenie innych chorób i poprawę opieki medycznej. Moglibyśmy także wyeliminować poziom bezdomności i zredukować skalę przemocy, w tym molestowania dzieci, przemocy domowej, agresji na tle seksualnym i gwałtownych przestępstw. Moglibyśmy uchronić rodziny przed rozpadaniem się i przyczynić się do naprawy zerwanych więzi sąsiedzkich. Moglibyśmy złagodzić ogromne cierpienia.

Mimo obecnego kryzysu nadal mam nadzieję, po części dlatego, że naukowcy nieustannie dokonują nowych odkryć, a metody terapii oparte na ba-

daniach powoli zostają włączane przez profesjonalistów do programów leczniczych. Mam nadzieję, ponieważ coraz więcej osób dowiaduje się, że uzależnienie to choroba, a nie wybór. Źródłem nadziei jest także dla mnie powstanie ogólnokrajowych organizacji zajmujących się problemami dotyczącymi uzależnień oraz oddolnych ruchów zapoczątkowanych przez rodziców, którzy stracili swoje dzieci. W wielu miastach, w całym kraju, ci rodzice połączyli swoje siły i zorganizowali programy zmierzające do edukowania opinii publicznej na temat narkotyków i uzależnień oraz skutecznie lobbowali wśród prawodawców na rzecz finansowania ze środków publicznych kampanii mających na celu zapobieganie uzależnieniom, wprowadzanie programów leczenia oraz wprowadzanie w wielu stanach legislacji znanej jako: „911 Dobry Samarytanin". W przeszłości zdarzało się, że ludzie umierali na skutek przedawkowania narkotyku, ponieważ ich przyjaciele bali się, że po wezwaniu pomocy sami zostaną aresztowani, co rzeczywiście mogło się zdarzyć. Wspomniana legislacja chroni osoby zwracające się do przedstawicieli władz o pomoc w celu ratowania ludzkiego życia. Wspomniane grupy skutecznie lobbowały także za szeroką dostępnością leku pod nazwą naloxone albo narcan. To środek, który pozwala na pewien czas utrzymać przy życiu osobę, która przedawkowała opioidy, dzięki czemu chory może dożyć do przyjazdu karetki ratunkowej.

Podczas swoich podróży po całym kraju spotkałem wielu rodziców, którzy poświęcili życie w walce o położenie kresu uzależnieniom. Czerpią siły ze swojej udręki, walcząc o to, żeby inni rodzice nie musieli przechodzić przez to wszystko, przez co oni przeszli. Ci ludzie mówią „dosyć". Nie chcą dłużej godzić się z ignorowaniem tej choroby. Walczą ze stygmatyzacją i odmawiają chowania się w cieniu. Wspierają się nawzajem i niestrudzenie pracują na rzecz położenia kresu temu kryzysowi.

A ja? Nie ma dnia, żebym nie uświadamiał sobie tego, jak ogromne mamy szczęście – Nic, ja i cała nasza rodzina. Wiem, że wyłącznie dzięki temu szczęściu mój syn ciągle żyje, podczas gdy inni musieli pogrzebać swoje dzieci. Nawet teraz każdego dnia myślę o nich.

Jestem bardzo dumny z pracy, którą Nic wykonał i nadal wykonuje, ale oczywiście nie ma żadnych gwarancji. Niemniej jestem optymistą, pamiętając o wynikach badań, które wskazują, że im dłużej chory żyje, nie biorąc narkotyków, tym większe ma szanse na życie bez nich. Ale zawsze jest ryzyko:

słyszałem o ludziach, którzy wracali do narkotyków po dwudziestu latach spędzonych w trzeźwości.

W chwili, gdy piszę te słowa, Nic ma trzydzieści sześć lat.

Po tym, co przeszliśmy, te trzydzieści sześć lat brzmią jak cud.

Podziękowania

Z wielkim szacunkiem chciałbym podziękować przede wszystkim Steve'owi Shoptawowi, Edythe London, Walterowi Lingowi, a zwłaszcza Richardowi Rawsonowi – wszyscy z Integrated Substance Abuse Programs na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles – za to, że pomogli mi zrozumieć problematykę uzależnień. Chciałbym także podziękować ludziom, którzy czytali fragmenty tej książki i zaproponowali mi poprawki i wskazówki. Oprócz doktorów Rawsona, Shoptawa i London proszę o przyjęcie podziękowań doktor Judith Wallerstein oraz doktor Gayathri J. Dowling, zastępcy dyrektora w Science Policy Branch Office of Science Policy and Communications, w National Institute on Drug Abuse.

Kanwą tej książki jest artykuł zamieszczony w „New York Times Magazine". Chciałbym wyrazić swoją największą wdzięczność i szacunek redaktorom tego pisma. Mogłem zawsze liczyć na ich niezawodną wiedzę i nieomylne wyczucie. Moje podziękowania niech zechcą przyjąć Katherine Bouton, Gerry Marzorati, a zwłaszcza Vera Titunik.

Jeszcze trudniej przychodzi mi wyrazić to, jak ogromną wdzięczność jestem winien Eamonowi Dolanowi, redaktorowi tej książki. Nie sposób przecenić jego wkładu w jej powstanie. Na każdym etapie pracy czułem ogromną inspirację oraz wiedzę płynącą z jego mądrości, inteligencji i pracy redakcyjnej. Jestem także wdzięczny Janet Silver, za jej wrażliwość, dobroć i oddanie książce. Reem Abu-Libdeh i Larry Cooper wnieśli swoje doświadczenie adiustacyjne. Michaela Sullivan i Melissa Lotfy zaprojektowały, odpowiednio, okładkę i układ książki. Chciałbym także, aby moje podziękowania przyjęli: Bridget Marmion, Lori Glazer, Megan Wilson, Carla Gray, Lois Wasoff, David Falk, Sasheem Silkiss-Hero, Chester Chomka, Sanj Kharbanda, Elizabeth Lee i Debbie Engel ze Stanów Zjednoczonych oraz Suzanne Baboneau, Ian Chapman, Rory Scarfe, Emma Harrow i Jeremy Butcher z Wielkiej Brytanii. Mogłem także zawsze liczyć na poparcie oraz pomoc mojego agenta, Binky Urban, przy pokonywaniu wielu pól minowych. Podziękowania zechcą także przyjąć Ron Bernstein, Jacqueline Shock, Liz Farrell, Karolina Sutton, Molly Atlas i Alison Schwartz. Jasper Sheff, za swoje spostrzeżenia i poprawki, oraz Daisy, za sugestie w sprawie fotografii na okładce [wydania oryginalnego].

W ciągu minionych kilku lat pozostawałem pod ogromnym wrażeniem

odwagi i poświęcenia ludzi, którzy starają się pomagać uzależnionym i ich rodzinom. Moja rodzina mogła liczyć na pomoc, wskazówki i wsparcie takich osób, jak David Frankel, Rick Rawson, Paul Ehrlich, Jace Horwitz z Herbert House Sober Living Environment oraz skromnych świętych, którzy wolą pozostać znani jedynie ze swojego imienia, jako Randy i Ted. Zachowuję szczególną i bezgraniczną wdzięczność dla Mary Margaret McClure, Dona Alexandera oraz wspaniałych nauczycieli naszych dzieci.

I wreszcie chciałbym podziękować cudownym społecznościom mieszkańców Point Reyes Station oraz Inverness, a także członkom mojej rodziny i przyjaciołom. Jeśli czasem mieli dość opowieści o naszym nieustającym kryzysie – co wydawałoby się całkowicie zrozumiałe, skoro ja sam miałem tego dość – nigdy nie dawali mi tego odczuć. Moje gorące podziękowania zechcą zatem przyjąć: Mike, Ginny, Annie, Peggy, Sue i Nan, Armistead, Christopher, Lee, Steve R., Heidi, Bo, Jenny, Jim, Mike M., Marshall, Jennifer, Suning, Ginee, Fred, Jessica, Peter, Ilie, Jeremiah, Taylor, Vicki, Susan, Buddy, Debra, Mark, Jenny, Becca, Bear, Susan, Lucy, Steve, Mark, Nancy, Don, Sumner i Joan oraz Jamie, Kyle, Dylan i Lena. Jednego z najgorszych dni sprawdziłem swoją pocztę głosową i okazało się, że Jamie zadzwonił z Nowego Jorku: „Mam ochotę polecieć tam i zbudować wokół was ochronny mur". Ty i Kyle zrobiliście to (i robicie). Na koniec, z moją bezgraniczną miłością dziękuję wam (jeszcze raz), Daisy, Jasper, Nic i Karen.

Źródła

Pomocne materiały do dalszych lektur. Z całą pewnością lista nie jest wyczerpująca, ale wymienione poniżej książki i artykuły oraz strony internetowe mogą okazać się użyteczne.

Addiction. Seria filmów HBO. Produkcja John Hoffman Susan Froemke. DVD dostępne na: www.hbo.com. Home Box Office, 2007.

Al-Anon and Al-Anon Family Group Headquarters. The Al-Anon Family Groups – Classic Edition. Virginia Beach, VA: Al–Anon Family Group Headquarters, Inc., 2000.

Al-Anon and Al-Anon Family Group Headquarters. Alateen – Hope for Children of Alcoholics. Virginia Beach, VA: Al-Anon Family Group Headquarters, Inc., 1973.

Al-Anon and Al-Anon Family Group Headquarters. Courage to Change: One Day at a Time in Al-Anon II. Virginia Beach, VA: Al-Anon Family Group Headquarters, Inc., 1968, 1972, 1973.

Al-Anon and Al-Anon Family Group Headquarters. One Day at a Time in Al-Anon. Virginia Beach, VA: Al-Anon Family Group Headquarters, Inc., 1968, 1972, 1973.

Al-Anon and Al–Anon Family Group Headquarters. Paths to Recovery – Al-Anon's Steps, Traditions, and Concepts. Virginia Beach, VA: Al-Anon Family Group Headquarters, Inc., 1997.

Black, Claudia, Straight Talk from Claudia Black: What Recovering Parents Should Tell Their Kids About Drugs and Alcohol. City Center, MN, Hazelden Publishing, 2003.

Brown, Stephanie, Virginia M. Lewis, Andrew Liotta, The Family Recovery Guide: A Map for Healthy Growth. Oakland, CA 2000.

Cheever, Susan. My Name Is Bill: Bill Wilson – His Life and the Creation of Alcoholics Anonymous. New York 2005.

Cheever, Susan, Note Found in a Bottle. New York 2006.

Conyers, Beverly. Addict in the Family: Stories of Loss, Hope, and Recovery.

Center City, MN, Hazelden Publishing and Educational Services, 2003.

Didion, Joan, The Year of Magical Thinking, New York 2005.

Hoffman, John, Susan Froemke, red. HBO's Addiction: Why Can't They Just Stop? New York 2007.

Johnson, Vernon. Intervention: How to Help Someone Who Doesn't Want to Be Helped, Center City, MN, Hazelden Publishing, 1986.

Kellermann, Joseph L., A Guide for the Family of the Alcoholic. Center City, MN, Hazelden Publishing and Educational Services, 1996.

Ketcham, Katherine, William F. Asbury, Mel Schulstad, Arthur P. Ciaramicoli, Beyond the Influence: Understanding and Defeating Alcoholism. New York 2000.

Lamott, Anne, Bird by Bird: Some Thoughts on Writing and Life. New York 1995.

Lamott, Anne, Plan B: Further Thoughts on Faith. New York 2006.

Lamott, Anne, Traveling Mercies: Some Thoughts on Faith. New York 2000.

Lynch, Thomas, „The Way We Are," fragment *Bodies in Motion and at Rest: On Metaphor and Mortality.* New York 2001.

„The Meth Epidemic." *Frontline.* DVD. PBS, 2005.

Milan, James Robert, Katherine Ketcham, *Under the Infl uence: A Guide to the Myths and Realities of Alcoholism.* New York 1983.

Mnookin, Seth, *Harvard and Heroin,* Salon.com, Aug. 27, 1999.

Mnookin, Seth, *The End of My World As I Knew It,* „Slate.com", Dec. 31, 2004.

Mnookin, Wendy, *My Son the Heroin Addict,* „Salon.com", Aug. 27, 1999.

Moyers on Addiction: Close to Home. Reżyseria Bill Moyers. VHS. Curriculum Media Group, 1998.

Moyers, William C., Katherine Ketcham, *Broken: My Story of Addiction and Redemption.* New York 2006.

Orenstein, Peggy. Staying Clean, „New York Times Magazine", February 10, 2002.

Recovery of Chemical Dependent Families (broszura). Center City, MN, Hazelden

/ Johnson Institute, 1987.

Schwebel, Robert, *Saying No Is Not Enough: Helping Your Kids Make Wise Decisions About Alcohol, Tobacco, and Other Drugs.* New York 1989.

Shannonhouse, Rebecca, *Under the Influence: The Literature of Addiction.* New York 2003.

Sheff, Nic, *Tweak.* New York 2007.

Singer, Mark. *The Misfit: How David Milch Got from* NYPD Blue *to* Deadwood *by Way of an Epistle of St. Paul.* „The New Yorker", February 14 i 25, 2005.

Wallerstein, Judith S., Sandra Blakeslee, *What About the Kids: Raising Your Children Before, During, and After Divorce.* New York 2003.

Wallerstein, Judith S, Julia M. Lewis, Sandra Blakeslee, *The Unexpected Legacy of Divorce: The 25-Year Landmark Study,* New York 2000.

Strony internetowe, na których można znaleźć dalsze informacje i wskazówki, w tym dotyczące mityngów programu dwunastu kroków.

Al-Anon/Alateen
http://www.al–anon.org
http://www.al–anon.alateen.org/english.html

Nar-Anon
http://nar–anon.org/index.html

Alcoholics Anonymous
http://www.alcoholics–anonymous.org

Narcotics Anonymous
http://na.org

Partnership for a Drug–Free America
http://www.drugfree.org

Drugfree.org
http://www.drugfree.org/Portal/DrugIssue/MethResources/default.html

KCI
http://www.kci.org

UCLA Integrated Substance Abuse Programs
http://www.uclaisap.org

Hazelden
http://www.hazelden.org

National Association for Children of Alcoholics (NACoA)
http://www.nacoa.net

American Society of Addiction Medicine
http://www.asam.org

National Institute on Drug Abuse
http://www.nida.nih.gov

National Institute on Drug Abuse
http://www.nida.nih.gov/DrugPages/Methamphetamine.html

National Institute on Drug Abuse for Teens
http://teens.drugabuse.gov

Przypisy

[1] Roald Dahl, *Wiedźmy*. Przeł. J. Łoziński. Poznań 2003, s. 76.

[2] Truman Capote, *Inne głosy, inne ściany*. Przeł. B. Zieliński, Warszawa 1995, s. 60.

[3] W oryginale cytat przekręcony (powinno być: Better a serpent than stepmother). Cyt. za: Eurypides, Alkestis, w: Tragedie, t. 1 przeł. J. Łanowski, s. 90.

[4] J.D. Salinger. *Franny i Zooey*, przeł. M. Skibniewska, Warszawa 2014, s. 39-40.

[5] William Szekspir, *Otello*, przeł. M. Słomczyński, Warszawa 2005, s. 55.

[6] Amerykańska firma malująca auta tanio i szybko (przyp. tłum.)

[7] Joan Didion, *Rok magicznego myślenia*. Przeł. H. Pasierska, Kraków 2016, s. 125-126.

[8] Lew Tołstoj, *Śmierć Iwana Iljicza*, w: tegoż *Opowiadania i nowele*. Wybór, oprac. R. Łużny, Wrocław 1985, s. 303.

[9] Evelyn Waugh, *Powrót do Brideshead*. Przeł. I. Doleżal-Nowicka, Warszawa 2009, s. 96.

[10] Dzielnica San Francisco (przyp. tłum.)

[11] J.K. Rowling, *Harry Potter i Czara ognia*. Przeł. A. Polkowski, Poznań 2001, s. 20.

[12] J.K. Rowling, *Harry Potter i Książę półkrwi*. Przeł. A. Polkowski, Poznań 2006, s. 559.

[13] J.K. Rowling, *Harry Potter i Książę*..., s. 513.

[14] Joan Didion, *Rok magicznego*..., s. 37.

[15] William Szekspir, *Żywot i śmierć króla Jana*. Przeł. M. Słomczyński, Warszawa 2005, s. 56.

[16] Zadie Smith, *Białe zęby*. Przeł. Z. Batko, Kraków 2002, s. 12.